

Władca Barcelony
Tytuł oryginału: TE
DARE LA TIERRA

Copyright © Chufo Llorens Cervera 2008
All rights reserved

First published by Random House Mondadori S.A., Barcelona, 2008

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2009

Polish translation copyright © Jerzy Zebrowski 2009

Redakcja: Beata Słama Ilustracja na okładce:
Opalworks kt graficzny okładki i serii: Andrzej
Kuryłowicz Skład: Laguna

ISBN 978-83-7359-860-7
(oprawa twarda)

ISBN 978-83-7359-859-1
(oprawa miękka)

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009
www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa — księgarnie internetowe
www.merlin.pl
www.empik.com
www.ksiazki.wp.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS
ANDRZEJ KURYŁOWICZ Wiktorii
Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

2009. Wydanie II/oprawa twarda
Druk: Druk-Intro S.A., Inowrocław

*Mojej żonie, Cristinie, której zawdzięczani,
oprócz zaszczytu dzielenia z nią życia,
cudowny zawód pisarza.*

*Moim małym wnukom,
Santiemu Triginer Valenti
i Nachete Valenti Mercadal,
jak również siostrzyczce tego ostatniego,
Micaeli, którzy wnieśli w moje życie
nową energię.*

Dramatis personae

GŁÓWNI BOHATEROWIE

- Marti Barbany de Montgri — główny bohater powieści
- Bernat Montcusi — wpływowa osobistość na dworze hrabiego, ojczym Lai
- Laia Betancourt — pasierbica Bernata Montcusiego
- Eudald Llobet — przyjaciel z wojska Guillema Barbany de Gorb, ojca Martiego, potem szanowany duchowny
- Baruch Benvenist — pierwszy naczelnik bankierów, wykonawca testamentu Guillema Barbany, ojciec Ruth
- Ruth — najmłodsza córka Barucha
- Ramón Berenguer I zwany Starym — hrabia Barcelony i mąż Almodis
- Almodis z Marchii — trzecia żona Ramóna Berenguera I, matka dwóch jego synów i dwóch córek
- Ermesenda z Carcassonne — babka Ramóna Berenguera I, zagorzała przeciwniczka Almodis
- Guillem z Balsareny — spowiednik Ermesendy z Carcassonne i biskup Vic
- Delfin — karzeł i nadworny błazen. Doradca i wierny sługa Almodis z Marchii
- Aixa — niewolnica kupiona przez Martiego Barbany i później подарowana Lai

POSTACIE DRUGOPLANOWE

DZIECIŃSTWO MARTIEGO

Emma de Montgri — matka Martiego

Mateu Cafarell — stary służący, który od zawsze towarzyszył Emmie de Montgri

Tomasa — stara piastunka Emmy de Montgri Guillem Barbany de

Gorb — ojciec Martiego, żołnierz w służbie

Berenguerów

Don Sever — proboszcz i pierwszy nauczyciel Martiego Jofre

Ermengol — przyjaciel Martiego z dzieciństwa Rafael Munt, zwany

Feletem — przyjaciel Martiego z dzieciństwa

DWÓR W BARCELONIE

Ramón Borrell — hrabia Barcelony, mąż Ermesendy z Carcassonne

Ramón Berenguer II — syn Ramóna Berenguera i Almodis z Marchii

Berenguer Ramón — brat bliźniak tego poprzedniego, również hrabia

Barcelony i spadkobierca ojca Pedro Ramón — pierworodny syn

Ramóna Berenguera I, owoc jego

związku z Elisabet z Barcelony — przyrodni brat poprzednio

wymienionych Ines i Sancha — siostry bliźniaków Ramóna

Berenguera i Berenguera

Ramóna Elisabet z Barcelony — pierwsza żona Ramóna

Berenguera I, matka

Pedra Ramóna Blanca z Ampurias — druga żona Ramóna

Berenguera I, którą porzucił,

by móc ożenić się z Almodis Hugo z Ampurias — hrabia

Ampurias Marcal de Sant Jaume — potężny arystokrata,

przyjaciel Ramóna

Berenguera I Gilbert d'Estruc — zaufany dworzanin Ramóna

Berenguera I i wierny

śluga jego żony Almodis Olderich de Pellicer — *veguer*

Barcelony Gualbert Amat — majordom, zaufany rycerz Ramóna

Berenguera I

Odó de Montcada — biskup Barcelony Guillem de
Valderribes — główny notariusz Ponę Bonfill i March —
sędzia z Barcelony Eusebi Vidiella i Montclus — sędzia z
Barcelony Frederic Fortuny i Carratala — sędzia z
Barcelony Lionor — pierwsza dama Almodis Doña
Brigida i dona Barbara — damy do towarzystwa Hilda —
piastunka bliźniaków Almodis

DZIELNICA CALL

Ryfka — żona Barucha, matka jego trzech córek: Estery, Batszewy i Ruth
Estera — najstarsza córka Barucha Benvenista
Batszewa — siostra poprzednio wymienionej
Benjamin Haim — mąż Estery
Ishai Melamed — narzeczony Batszewy
Szemuel Melamed — ojciec Ishaia Melameda
Eleazar Bensahadon — drugi naczelnik bankierów
Enosz — kupiec
Avimelej — woźnica Barucha
Aszer Ben Barcala — szanowany bankier
Jusuf — handlarz niewolników

OTOCZENIE BERNATA MONTCUSIEGO

Conrad Brufau — sekretarz Bernata Montcusiego Fabia de
Claramunt — dawny zarządca ufortyfikowanej *masii* w pobliżu
Terrassy
Edelmunda — służąca Montcusiego
Luciano Santangel — zabójca albinos
Adelaida — piastunka Lai

DWÓR TULUZY

Ponce III z Tuluzy — mąż Almodis z Marchii
Robert de Surignan — doradca Ponce'a III
Opat Sant Genis — spowiednik Almodis w Tuluzie

SŁUŻBA W DOMU MARTIEGO BARBANY

Omar — ojciec rodziny zakupiony przez Martiego

Naima — żona Omara

Mohamed — syn Omara

Amina — nowo narodzona córka Omara

Mariona — kucharka

Andreu Codina — majordom

Caterina — gospodyni

W PODRÓŻY

Jeszua Hazan — naczelnik żydowskich kupców w Sydonie

Hugues de Regent — badacz kierujący wyprawą z Sydonu do Persji

Basilis Manipoulos — kapitan statku „Stella Maris”

Hasan al-Malik — mieszkaniec Famagusty

Rashid al-Malik — brat Hasana al-Malika mieszkający w Mezopotamii

Elefterios — woźnica z Famagusty

Nikodemos — szwagier tego poprzedniego, karczmarz

Marwan — poganiacz wielbłądów, służący Martiego

INNI

Abenamar, Abu Bakr ibn Ammar — słynny poeta, minister al-Mutamida z Sewilli i ambasador na dworze Berenguerów

Roger de Toeny — normandzki najemnik, zięć Ermesendy, mąż jej córki Estefanii

Wiktor II — papież

Kardynał Bilardi — kamerling papieża Wiktora II

Oleguer — wartownik pałacowy

Florinda — znachorka

Cugat — złodziej, przyjaciel Edelmundy

RÓD HRABIÓW BARCELONY

Borrell II GD Letgarda de Roergue

Ermengarda GD Mir Gilabert

Ramón Borrell I GD Ermesenda z
Carcassonne hrabia Barcelony (972-1017)

Ermengol I
hrabia Urgell

I
Borrell

Berenguer Ramón I (1017-1035)
1. Sancha z Kastylji GD 2. Guisla de Lluca

Estefania
OD
1. Roger de Toeny 2.
Garcia, król Pampeluny

Ramón Berenguer I (1035-1076) Sancho Berenguer Guillem Berenguer Bernat Berenguer
GD1. Elisabet z Barcelony 2. Blanca z Ampurias 3. Almodis
z Marchii* 4. Elisabet

1 ————— , r— Sancha
, 1 , r
Berenguer Arnau Pedro Ramón Ines
Ramón Berenguer II Berenguer Ramón
„Cap d'Estopes" (1076-1082) (1076-1097)
OD
Mafalda de Puglia
I Ramón Berenguer III
Wielki (1097-1131)

* Wcześniej żona Hugona Pobożnego z Lusignan i Ponce'a z Tuluzy, z którymi miała pięciu synów, wśród nich Guillerma IV i Ramóna IV, hrabiów Tuluzy.

CZEŚĆ PIERWSZA

Żądza i niewinność

1

Sfora

Hrabstwo Gerony, maj 1052 roku

Zapadał zmierzch. Pięciu mężczyzn, ponurych i rozdrażnionych, jechało konno ocienioną bukami polną drogą, dzielącą hrabstwa Ampurias i Gerony. Widać było na milę, że nie są to wytrawni myśliwi, lecz garstka tak licznych w tamtych okolicach najemników, gotowych wynająć swój miecz każdemu feudałowi, który chce skorzystać z tego typu usług, by najechać pogranicze albo odebrać ziemię sąsiedniemu hrabstwu. Wyruszyli o świcie dla zabicia nudy, sądząc, że ustrzelenie z łuku jelenia albo upolowanie dzikiej świni będzie o wiele prostszym zadaniem niż zaszlachtowanie w walce bliźniego. Jednakże zawiódł ich brak doświadczenia: nie brali pod uwagę kierunku wiatru, ani nie potrafili poruszać się w gąszczu tak, by nie łamać gałęzi i nie robić niepotrzebnego hałasu, przez co polowanie okazało się fiaskiem. Tak więc, wycieńczeni, głodni i zirytowani, wracali do Gerony, podejrzewając, że jelenie, wiewiórki, dziki i głuszce szydzą z nich w głębi lasu i obwieszczają głośno ich nieudolność.

Nagle człowiek, który wyglądał na dowódcę oddziału, uniósł prawą rękę, aby ich zatrzymać. Drugi z mężczyzn, gruby olbrzym o sumiastych wąsach, zbliżył się do niego.

— Co się dzieje, Wolfgangu?

Człowiek, do którego się zwrócił, wskazał ręką przed siebie i odparł:

— Ludzie!

Na znak swego przywódcy jeźdźcy zsiadli z koni i dalej szli pieszo, trzymając wierzchowce za uzdy. Wkrótce poczuli zapach dymu. Przystanęli na leśnej polanie i przywiązawszy konie do drzew, zaczęli skradać się pochyleni, tym razem bardzo uważając, by nie złamać żadnej gałązki i poruszać się bezgłośnie. Gdy dotarli na skraj lasu, zatrzymali się, obserwując uważnie. To, co ujrzeli, ucieszyło ich oczy. Przeczuliwali, że nieudane polowanie może jeszcze mieć szczęśliwy finał. Wznosiła się przed nimi zadbane *masia**, z której komina wydobywał się dym. Jej mieszkańcy byli całkowicie pochłonięci pracą w gospodarstwie. Dwaj mężczyźni podkuwali pięknego wierzchowca. Zwierzę przywiązane było za uzdę do haka wbitego w ścianę. Młodszy z mężczyzn podtrzymywał tylną lewą nogę konia, by ułatwić zadanie starszemu, który, ubrany w skórzany fartuch, uderzał drewnianym młotem w płaskie główki gwoździ, starając się przybić podkowę do kopyta szlachetnego rumaka. Po prawej dziewczynka popędzała niewielkim biczem osła z zasłoniętymi oczami, który leniwie chodził w kółko w kieracie. Na klepisku staruszka przędła kądziel, podczas gdy inna kobieta, w zaawansowanej ciąży, przesiewała przez wielkie sito ziarna pszenicy, poruszając nim tak samo rytmicznie, jak biodrami.

— Gunterze, czy widzisz to, co ja? — zapytał spokojnie Wolfgang.

— Chyba tak. I wydaje mi się, że dzień nie jest jeszcze stracony. Zauważyłeś, jak ta dziewczyna kręci tyłeczkiem?

— Na wszystko przyjdzie pora. Powiedz Ricardowi, żeby tu przyszedł.

Mężczyzna o imieniu Gunter odwrócił się i gestem nakazującym pośpiech i zachowanie ciszy wezwał jednego z dwóch

* *Masia* — typowa dla Katalonii wiejska posiadłość.

kompanów, którzy przykucnęli z tyłu. Ten wykonał bezgłośnie jego polecenie.

Widząc go obok siebie, zapytał:

— Masz przygotowaną kuszę?

— Zawsze ją mam, Wolfgangu.

— Spójrz uważnie i powiedz: trafisz stąd mężczyznę, który trzyma konia za nogę?

— Masz na myśli tego młodszego?

— Właśnie.

— Mogę stanąć?

— Bez wychodzenia z krzaków i dopiero wtedy, kiedy ci rozkażę.

Mężczyzna zmierzył wzrokiem odległość, wziął do ręki kuszę i wydobywszy z kołczana strzałę, umieścił ją w prowadnicy i napiął cięciwę.

— Uważaj go za martwego.

— Liczyłem, że sobie poradzisz.

Wydał szeptem rozkazy pozostałym trzem.

Plan był prosty, a podstawowy czynnik stanowiło zaskoczenie. Zamierzali zagarnąć trzodę i mienie, a jeśli na dodatek mogli sprawić przyjemność ciału, tym lepiej. Może dzięki temu zdołają zapomnieć o nieudanym polowaniu.

Sprawdziwszy, czy wszyscy zajęli swoje stanowiska, Wolfgang dał znak. Łucznik stanął, wycelował kuszę i nacisnął spust. Łagodny świst zakłócił spokój tej chwili i ku zaskoczeniu starszego z mężczyzn, młodszy upadł na ziemię, a na jego koszuli pojawiła się wielka plama krwi. Ciszę zmierzchu rozdarło szczekanie psów.

Najemnicy wyszli pospiesznie z kniei. Staruszka, przerażona, rzuciła kądziel i zerwała się na nogi, nie wiedząc, co począć. Ciężarna kobieta podbiegła do męża i wsparłszy bezwładną głowę na jego piersi, krzyknęła do dziewczynki: „Uciekaj, Mario, uciekaj!”. Ogłuszającemu gdałaniu kur, które biegały jak oszalałe po podwórku, wtórowało dolatujące z owczarni przeraźliwe beczenie owiec. Jeden z mężczyzn rzucił się na dziewczynkę,

by ją schwytać, a ta smagnęła go z całej siły po twarzy biczem, którym poganiała osła, i popędziła w stronę lasu. Olbrzym odsunął staruszkę, przytknął ostrze sztyletu do gardła mężczyzny w fartuchu i powiedział z dziwnym akcentem:

— Tylko spokojnie. Jeśli będziecie pomocni, szybko sobie pójdziemy i przeżyjecie. W przeciwnym razie nigdy już nie opowiecie, co się wydarzyło. — I zwracając się do mężczyzny, który wyglądał na dowódcę, dodał: — Co teraz robimy, Wol...

Wolfgang przerwał mu z wściekłością:

— Idioto! Mówiłem ci tysiąc razy, żebyś nie zwracał się do mnie po imieniu!

Jego kompan wybełkotał „przepraszam”.

W tym momencie ogromny pies, mieszaniec, który strzegł w odległej zagrodzie stada ciężarnych klaczy, wyskoczył z gąszczu i rzucił się na kusznika. Złapał go potężnymi szczękami za prawe ramię i zaczął szarpać łbem, jakby chciał mu je rozerwać. Wolfgang podszedł do psa od tyłu i jednym pewnym cięciem rozplątał mu kark. Krzyki rannego mężczyzny mieszały się z lamentami dziewczynki, która wierzgała rozpaczliwie w objęciach swego prześladowcy, mającego na twarzy siną szramę od uderzenia biczem. Wolfgang rozkazał:

— Ciężarną i dziewczynę na siano. Tego człowieka zabierzcie do środka — niech wam pokaże, pod którą cegłą ukrywa oszczędności. Nie róbcie mu krzywdy bez potrzeby. I zamknijcie z nim staruchę.

Mężczyźni rozdzielili się: Gunter i Ricardo, kusznik, który starał się zatamować szmatą krew płynącą z poszarpanego ramienia, ruszyli w kierunku domu, podczas gdy Wolfgang i pozostali dwaj najemnicy zawlekli kobietę w ciąży i dziewczynkę do stajni. Gdy tylko ci pierwsi przeszli przez drzwi, próbowali zmusić starca, by oddał im swoje oszczędności.

— Zabiliście mojego syna, który był jedynym skarbem w tym domu. Mam tylko to, co widać. Zabierzcie wszystko i zostawcie nas w spokoju. Moja synowa jest w ciąży.

— Przeklęty sukinsynu! Uważasz nas za idiotów? Wskaż,

pod którą cegłą ukrywasz pieniądze, albo poznasz, co znaczy gniew normandzkiego wojownika!

— Powtarzam, że nic nie mam.

— Zobaczysz, jak zaraz odzyskasz pamięć!

Wypowiedziawszy tę pogroźkę, Gunter rozerwał staruszcze gorset, odsłaniając jej blade ciało.

Starzec, który w młodości musiał być krzepkim mężczyzną, rzucił się na człowieka krzywdzącego jego żonę, ale kusznik powalił go na ziemię jednym uderzeniem motyki w plecy. Kobieta krzyczała przerażona. Drugi z mężczyzn zaczął pastwić się nad leżącym, bijąc go bez opamiętania, aż jego głowa zmieniła się w krwawą miazgę.

— Przeklęci skąpcy, wolą stracić kobietę i życie niż oddać pieniądze.

Ricardo, wciąż z motyką w ręce, dyszał z wysiłku.

— Przywiążmy jądo krzesła i zobaczymy, co postanowi szef.

— Idź, ja tam chcę się zabawić.

— Z tym workiem kości?

— Znasz przysłowie: „Ze starej kury jest dobry rosół”? Poza tym w czasach niedostatku nie należy wybrzydzać. Zapuszczałem się w gorsze miejsca!

Kobieta szlochała w kącie.

— Każdy ma swoje rozkosze. W każdym razie nie ociągaj się, musimy jeszcze zgarnąć łupy.

Gunter wyszedł i skierował kroki do stajni. Kiedy tam dotarł, jego oczy dostrzegły sylwetkę kobiety, która, choć brzemienna, bardzo go podniecała.

Klęcząc na ziemi, błagała Wolfganga:

— Nie róbcie krzywdy dziewczynce! Ma dopiero dwanaście lat i jest dziewicą! Weźcie mnie, na litość boską!

— Za mało jednej baby dla nas wszystkich. Poza tym dzięki temu mężczyzna, który ją poślubi, będzie zadowolony: przygotujemy ją, żeby miał z niej więcej pożytku.

I zaczął rozpinać spodnie.

Jakiś czas później pięciu zbirów opuściło *masię*, wioząc zawieszony u siodła dwa worki pełne kur i królików z obciętych głowami. Za nimi pozostał krajobraz pożogi i zgrozy: dwóch zabitych mężczyzn i trzy zhańbione kobiety. Jedna z nich, zaledwie dwunastoletnia, leżała skulona na ziemi w stodole, pocieszana przez matkę, która gładziła jej włosy, zabrudzone gliną, słomą i krwią.

Ermesenda z Carcassonne

Gerona, maj 1052 roku

Głosy dobiegające zza grubych ścian grzmiały w przestrzeni. Ermesenda z Carcassonne — pani Gerony, wdowa po Ramónie Borrellu, hrabim Barcelony i prawdziwa hrabina z urodzenia — słynęła z budzących lęk wybuchów gniewu, gdy coś ją rozdrażniło. W jej obecności potężny Roger de Toeny, dowódca straży broniącej miasta, kulił się ze strachu jak dzieciak przyłapany na wykradaniu z koszyka malin.

— Fakt, że jesteście moim zięciem, nie tylko nie upoważnia was do popełniania występków, lecz wprost przeciwnie, zobowiązuje do dawania przykładu. A tymczasem wasza nieskuteczność daje przyzwolenie dla bezprawia i gwałtów, na które pozwala sobie motłoch będący pod waszymi rozkazami.

Dowódca oddziałów normandzkich, obozujących na peryferiach stolicy, stał z hełmem opartym na przedramieniu. Ruchy pióropusza zdobiącego przyłbicę świadczyły o zdenerwowaniu wojownika, nieprzyzwyczajonego do znoszenia czyichkolwiek reprimend.

— Widzicie, pani, nie jest łatwo zapanować nad oddziałami zabijaków, którzy nudzą się, gdy nie walczą i nie mając pieniędzy na swoje potrzeby, uzurpują sobie czasem prawo, by zagarnąć

to, czego pragną. Ostatnie łupy już dawno podzielono i bezczynność tylko ich drażni, zamiast odprężyć.

— Chcecie mi powiedzieć, że wolą wojnę od spokojnego życia, jakie wiodą na mojej ziemi?! — krzyknęła hrabina.

— Spróbujcie zrozumieć, pani. Są żołnierzami... Jakie inne zajęcie odpowiada im bardziej niż to, które wybrali? — odparł Roger de Toeny, starając się uśmierzyć gniew hrabiny.

— Wy odpowiadacie za to, żeby się nie nudzili. Możecie sprowadzić kuglarzy, zaklinaczy węży albo linoskoczków, ale wiedźcie, że nie pozwolę, by działy się takie rzeczy, jak tamtego wieczoru. Ta horda dzikusów powinna bronić moich poddanych... A tymczasem są oni zmuszeni trzymać pod kluczem swoje mienie i zamykać w domach kobiety!

— Rozumiem wasze uczucia, ale zawsze może się zdarzyć, że ci ludzie pod wpływem wina, bezczynności i braku kobiet dopuszczają się jakiegoś wybryku.

— Ośmielacie się nazywać wybrykiem zabicie strzałą czło- wieka, zakatowanie na śmierć drugiego i zgwałcenie miesz- kających z nimi kobiet, z których jedna miała zaledwie dwanaście lat? Bądźcie pewni, że jeśli nie potraficie przywołać do porządku tych łotrów, ja będę musiała to zrobić... I przysięgam, że nie zawaham się ani chwili!

Norman stał w miejscu, jakby na coś czekał.

— Powiem wam, co macie zrobić — ciągnęła hrabina. — Dowiedcie się, kim byli sprawcy tego bohaterskiego wyczynu, i kiedy ich złapiecie, niech zawisną na szubienicy w obozie w obecności wszystkich żołnierzy. To będzie nauczka dla zuch walców i przestroga dla buntowników.

Roger de Toeny uśmiechnął się z przekąsem.

— Powiedzcie mi, pani, czy naprawdę sądzicie, że którykol- wiek z moich ludzi wyda swego towarzysza broni?

— Uważacie, że jestem głupia? Nic mnie nie obchodzi, czy to zrobią! Jeśli nie znajdą się winni, powieście dwóch spośród najważniejszych w drużynie i sprawa załatwiona. Prawdę mówiąc, wolę, żeby milczeli. W ten sposób dowiedzą się, że nikt nie jest

bezkarny. Mam nadzieję, że nie dojdzie więcej do godnych pożałowania wydarzeń, ale jeśli tak się stanie, zobaczycie, jak szybko poznamy sprawców.

— Ależ, pani, niewinni poniosą karę za winowajców — zaprotestował Norman.

— Powiedzcie mi zatem, skoroście tacy wrażliwi, czym za winili moi skrzywdzeni poddani. Jeśli musicie tłumaczyć się przed waszymi kapitanami, złożcie wszystko na karb... „wybryku” starej hrabiny.

Między obojgiem zawisła wibrująca cisza. Dowódca straży nieco się uspokoił, wyprostował potężną sylwetkę i skłoniwszy lekko głowę, wyszedł z sali długim krokiem. Za jego plecami rozbrzmiewał głos starej Ermesendy:

— A jeśli chodzi o was, powinniście czasem dzielić łoże z Estefanią, zamiast spędzać noce na zabawie przy winie i grze w kości. Moja córka głupio postępuje, że jest taka dobra... Szkoda, że nie trafiliście na mnie!

Senor de Toeny nie mógł się pohamować i zanim otworzył gwałtownie skrzydła drzwi wejściowych, obrócił się na obcasach tak raptownie, że pióropusz na jego hełmie zakołysał się groźnie, i zawołał z głębi sali potężnym głosem, który odbił się echem od ścian:

— Wolałbym umrzeć, pani! Wolałbym umrzeć!

I zatraskując z hałasem drzwi, opuścił salę.

Gdy stara hrabina została sama, wzięła do rąk modlitewnik, który podarował jej brat, Pere Roger, biskup Gerony. Zręczne palce jakiegoś mnicha zilustrowały go cudownymi miniaturami. Próbowwała czytać, ale na próżno. Jej myśli błądziły niespokojnie po manowcach burzliwego życia i nie pozwalały się skupić. Wstała z fotela i podszedłszy do niewielkiego kredensu stojącego w jednym z narożników sali, wyjęła z niego karafkę i nalała sobie szczodłą porcję likieru z czereśni, który sama wytwarzała w zaopatrzonej w kadź i fiolki izbie w pobliżu winiarni. Potem, usiadłszy przy ostrołukowym oknie w fotelu na krzyżakach, wykonanym ze szlachetnego inkrustowanego drewna i przybitej

do niego ćwiekami z lśniącego mosiądzu eleganckiej wytłaczanej skóry, pogrążyła się w rozmyślaniach, zdecydowana bronić za wszelką cenę praw swego męża Ramóna Borrella do hrabstw Gerony i Osony, które otrzymał w posagu.

Był rok Pański 992. Poselstwo z Barcelony, które towarzyszyło Ramónowi Borrellowi w podróży do Carcassonne, prezentowało się doprawdy imponująco. Szlachcice na koniach eskortowali przystrojone girlandami kwiatów powozy, którymi podróżowały damy. Rzucały się w oczy uprząże jeźdźców, z lśniącymi metalowymi wypustkami i polerowaną skórą siodeł oraz białe karety duchownych. Szpice włóczni żołnierzy wyglądały, jakby zrobiono je z czystego srebra. Dźwięki bębnów i trąbek brzmiały ogłuszająco. Dobosze wybijali takt, a trębacze ślali w niebo swe akordy, powiewając proporcami. Tak wytwornego orszaku nie powstydziliby się żaden monarcha świata. Zdumiony lud, zgromadzony tłumnie na ulicy i w oknach, klaskał i wiwatował, rzucając na bruk płatki róż. Rudowłosy szlachcic, który szedł na czele tego majestatycznego pochodu, poślubiał młodą hrabinę i dzień ów miał przejść do historii Carcassonne.

Kościół wydał się wtedy Ermesendzie wyjątkowo wspaniały. Szlachta tłoczyła się w zdobionych ławach, podczas gdy lud zgromadził się przed domami, chcąc zobaczyć orszak swojej hrabiny. Gdy prowadzona pod rękę przez ojca minęła drzwi świątyni i usłyszała dźwięki organów, miała wrażenie, że niebo wali jej się na głowę. Spod gęstego welonu zasłaniającego twarz mogła obserwować ukradkiem postawnego mężczyznę o długich rudych włosach. Czekał na nią przy ołtarzu ubrany w książęcą zbroję z błyszczącym na napierśniku wspaniałym złotym łańcuchem, z którego zwisała kamea z koralu z płaskorzeźbą dzika. Czas stanął w miejscu i przez moment wierzyła, że znów jest dziewczynką, która śniła kiedyś o takiej chwili. Podeszła do narzeczonego. Ojciec puścił jej ramię i zajął miejsce obok prezbiterium. Skłoniwszy głowę, Ramón Borrell stanął u jej lewego

boku. Umilkły nagle wspaniałe dźwięki muzyki i w świątyni zapadła przejmująca cisza.

Ermesenda pamiętała najdrobniejsze szczegóły tej uroczystości. Mszę odprawiało dwóch biskupów — z Beziers i z Barcelony, a także dziekan z Carcassonne. Cała plejada ważnych duchownych z obu stron Pirenejów, odzianych we wspaniałe ornaty i szaty wyszywane złotem, pełniła rolę zwykłych ministrantów. Kulminacyjny moment nastąpił, gdy zgodnie z rzymskim obrzędkiem jeden z kapłanów polecił jej, by złączyła otwarte dłonie, i wówczas Ramón Borrell położył na nich trzynaście srebrnych monet, których symboliczne znaczenie tak dobrze знаła. Wszystko działo się bardzo szybko. Uniesiono jej lewą rękę, która wysunęła się, drżąca i blada, z ciasnego rękawa sukni, i gdy Ramón Borrell nakładał jej obrączkę, usłyszała słowa:

Ego Raimundus Borrellius comes civitatis Barcinonensis, accepto te Ermesenda sicut uxor mea et promisso cavere te, omni periculos, respetare et cautelare vos a malo et esere fidelis in salute et malaltia usque tandem Deus Dominus nostro cridi me al seu costat at finem dels meus dies *.

Choć w owej chwili dopełniało się jej przeznaczenie, umysł Ermesendy zarejestrował potok pięknych i dźwięcznych słów, których nie rozumiała, ale które przemieszane z łaciną rozbrzmiewały radośnie w jej głowie. Potem ona złożyła przysięgę. Zagrała muzyka i rozdzwoniły się dzwony, towarzysząc jej uroczystym, rytmicznym biciem aż do chwili, gdy wraz z mężem przeszła przez bramę zamku w Carcassonne, którego grube mury zagłuszyły ich dźwięk.

Wysiadła z powozu i podczas gdy przybywali goście, za-

* Autor posługuje się tu wymyślonym przez siebie językiem romańskim, stanowiącym mieszankę pierwotnego języka katalońskiego i ludowej łaciny, dla oddania klimatu epoki, kiedy takie zjawisko było powszechne, gdyż języki romańskie dopiero powstawały. „Ja, Ramón Borrell, hrabia miasta Barcelony, biorę cię za żonę i przyrzekam strzec cię od wszelkich niebezpieczeństw, szanować cię i chronić od zła oraz być ci wiernym w zdrowiu i chorobie, aż Bóg, Pan Nasz, wezwie mnie do siebie u kresu moich dni”.

prowadzono ją w okamgnieniu do komnat, gdzie oprócz piastunki czekał na nią zastęp dam i służących, które zdjęły jej ślubny strój. Wyperfumowały ją, uczesały i wpięły we włosy diadem z pereł, który należał do jej babki, po czym ubrały ją w długą suknię w kolorze malwy, której duży dekolt odsłaniał zarys piersi i której rękawy powiewały wokół ramion niby skrzydła motyla. Potem przepasały ją złotym sznurem opadającym wzdłuż bioder, podkreślając jej krągłe kształty. Przyjrząwszy się sobie w lustrze z polerowanego brązu, dziewczyna miała wrażenie, że jest naga.

— Nianiu, czy w tym stroju mam się pokazać gościom?

— Tak, moje dziecko — odparła czule piastunka.

— Ale czuję się obnażona... — zaprotestowała dziewczyna.

— Zameżna dama powinna obiecywać, lecz nie przyzwalać, powinna sugerować, ale nie dawać. Mąż musi w tobie widzieć kobietę, nie dziecko. W przeciwnym razie tej nocy nie będzie wiedział, jak cię traktować.

— Co się ze mną stanie tej nocy, nianiu?

— To, co nakazuje natura. Nie martw się: jeśli instynkt mnie nie zawodzi, będziesz miała dobrego nauczyciela.

Ermesenda wpatrywała się w nią bezradnie.

— Ale, nianiu...

— Daj się prowadzić, moje dziecko. Owce ufają pasterzowi i nie zadają pytań. Załóż to.

Piastunka podała jej niebieską podwiązkę.

— Co mi dajesz?

— Nie zadawaj tyle pytań. Załóż ją na pończochę, tak by nie widziały jej te wścibskie baby. — Wskazała trzy damy zajęte porządkowaniem komnaty. — W moich okolicach, w Cerdañi mówią, że to przynosi szczęście. Tutaj nazwaliby to czarami.

Ermesenda spojrzała jej w oczy, zdjęła szybko pantofelek i założyła podwiązkę na udo, zawiązując kokardkę, po czym opuściła halkę, podszewkę i suknię.

— Gdybyś kazała mi rzucić się do rzeki, zrobiłabym to. Bardzo cię kocham, nianiu! Gdybym nie mogła zabrać cię ze

sobą do Barcelony, nie wyszłabym za mąż. Bez ciebie czuję się zagubiona jak dziecko w lesie...

W tym momencie myśli Ermesendy spowiła mgła i obrazy zaczęły bezładnie nakładać się na siebie, mimo upływu czasu, wciąż budząc przerażenie.

Sala bankietowa, w której zebrali się goście z obu dworów, wyglądała olśniewająco. Całą jej długość zajmował ogromny stół zastawiony obficie wykwintnymi potrawami, między którymi stały oświetlające je masywne kandelabry. Były tam wielkie wazy, z których dobywały się wspaniałe zapachy, tace z nadzianymi na rożen jeleniami, ryby przywiezione z pobliskich śródziemnomorskich wybrzeży i mnóstwo pucharów przygotowanych do próbowania rozmaitych bulionów, z których słynęła okolica. Główne miejsca przy stole przeznaczono dla rodziców panny młodej, Rogera I i Adelaidy de Gavalda, oraz jej teściów, Borrella II i Legardy de Rouergue. Po obu ich stronach mieli zasiąść nowożeńcy: mąż Ermesendy obok jej matki, a ona przy swoim teściu. Na powitanie muzykanci siedzący na galerii zagrali im wesołą melodię. Pary hrabiowskie zasiadły w fotelach, a zaproszeni goście zajmowali wyznaczone miejsca, zgodnie z surowym protokołem uwzględniającym ich rangę i pokrewieństwo.

Ermesendę zaprowadzono do ogromnego stołu. Pamiętała, że na początku ceremonii nie ośmielała się nawet spojrzeć na gości. Rozpoczęła się uczta, wino lało się strumieniami i wszyscy z rozkoszą zajęli się jedzeniem. Dopiero od tamtej chwili potrafiła uporządkować wspomnienia i odtworzyć dokładnie w pamięci końcowe momenty owego szczególnego wieczoru. Wkrótce toastów i wiatów na cześć młodej pary było coraz więcej, muzyka stała się głośniejsza i świat jakby przestał się nią interesować. W ciągu całego wieczoru niemal nie miała okazji spojrzeć na swego męża, tak więc do czasu, gdy damy przyszły po nią, by przygotować ją do nocy poślubnej, prawie go nie widziała. Śmiech i radosna wrzawa były tak głośne, że słysząc je było daleko poza ścianami sali. Służący wciąż biegali do kuchni po desery i nikt, z wyjątkiem jej matki, która głęboko spoglądała

córce w oczy, nie zauważył chyba, kiedy wyszła. Cztery dworki czekały na nią przy wejściu do sypialni. Otworzyły się drzwi i Ermesenda znalazła się w miejscu, gdzie miał nastąpić najważniejszy akt w jej dotychczasowym życiu. Ujrzała kasetonowy sufit, gobeliny zakrywające wszelkie otwory w ścianach, zapobiegając niedyskretnym spojrzeniom, grube kotary zasłaniające ogromne małżeńskie łóże, które tak dobrze znała z dziecięcych zabaw ze swym bratem Pere. Nie bez powodu nazwano tę komnatę salą okrętową: wielkie łóże z baldachimem, do którego trzeba było wchodzić po drabince, miało kształt łodzi i wspierało się na czterech grubych złotych kolumnach.

Jej piastunka czekała z powagą obok parującej wanny, przejęta ważną rolą, jaką miała do spełnienia tej nocy w życiu swej podopiecznej. Ermesenda czuła, jak kobiece ręce zdejmują jej odzież, pozostawiając nagą. Potem, wsadziwszy ją do wanny i wyszorowawszy, namaściły ją przywiezionymi z dalekich ziem olejkami i perfumami, aby skóra nie pachniała dymem i jedzeniem z uczy. W końcu damy odeszły i dziewczyna została sama z Brunildą, swą nianią. Ta przeczesała jej włosy szylkretowym grzebieniem i delikatnie włożyła przez głowę bogato haftowaną nocną koszulę. Nie zwlekając, zaprowadziła ją do lustra, które dostała w prezencie od męża. Był to przywieziony przez katalońskich kupców z krajów muzułmańskich arkusz polerowanego metalu, w którym odbijało się całe jej ciało. Ermesenda zobaczyła pionowe wycięcie w koszuli, ozdobione z obu stron lamówkami, które zaczynało się dokładnie na wysokości jej krocza. W odpowiedzi na jej pytające spojrzenie piastunka oznajmiła:

— Dobrze jest, gdy pierwszej nocy panna młoda okazuje skromność. To wycięcie pozwoli waszemu mężowi osiąść was bez zniewagi. Nie zapominajcie, że strzeżecie honoru Carcassonne. Tylko nałożnica pokazuje się nago.

— Jakże dziwnym zakamarkom mego ciała Carcassonne po wierzyło swój honor, nianiu.

— Tak to jest, moje dziecko. Niczego nie wymyślam. Tak być musi. Teraz wejdź do łóża i czekaj. Ja już pójdę. I... nie

zapominaj, że to, co teraz może sprawiać ból, jutro przyniesie radość.

Ermesenda pocałowała i uściśnęła mocno nianię, i weszła po drabince do swego szczególnego tabernakulum. Zaczynała wyszła, zgasiwszy wszystkie kandelabry i zostawiwszy zapaloną tylko świecę, która oświetlała wizerunek Najświętszej Dziewicy. Dziewczyna została sama w półmroku, czekając w łożu, zalek-niona i przejęta, na przybycie męża. Przywoływała w pamięci wciąż żywe wspomnienie owego dnia, gdy matka powiedziała jej po raz pierwszy o człowieku, którego ma poślubić.

— Mężczyzna, któremu jesteś przeznaczona, to hrabia Ramón Borrell z Barcelony, potomek pochodzącego sprzed osiemset dwunastego roku, spokrewnionego z nami rodu Bello I, hrabiego Carcassonne i Barcelony. Jak wiesz, ród ten nie ma nic wspólnego z przybyłymi z północy Frankami, gdyż nasza błogosławiona ziemia stanowiła już wtedy część Septymanii, która przyjęła kulturę łacińską. Kiedy Almanzor zajął Barcelonę, przeżyliśmy prawdziwą katastrofę. To były straszne czasy, gdy obawialiśmy się, że Maurowie przekroczą Pireneje. — Ton głosu jej matki był poważny. — Carcassonne potrzebuje dobrej ochrony od południa, szczególnie przed islamem i monetą przetargową jesteś ty: przyszła pani Foix i Narbonne. Twoim mężem zostanie hrabia Barcelony, Gerony i Osony, dzielny rycerz, zdolny bronić naszych granic z tym większym zapalem, gdy chodzi o ziemie jego żony.

Ermesenda przypominała sobie to wszystko, pozwalając odpocząć zmęczonemu ciału w komnacie przylegającej do zamkowej wieży. Jej niespokojne myśli błądziły po zakamarkach pamięci. Wspomnienia były tak żywe, że wywoływały ból serca.

W tym momencie zabrzmiały jej w uszach słowa matki:

— To nieważne, moja córko, że na razie go nie kochasz. Ja nie znałam twego ojca, gdy mnie za niego wydano, i byłam bardzo szczęśliwa. Powiem ci tylko jedno: kiedy rozchylisz nogi, myśl o Carcassonne.

Marti Barbany

Barcelona, maj 1052 roku

Nad morzem wstawał świt i Barcelona przeciągała się jak zaspana panna młoda po nocy poślubnej. Łodzie rybackie wracały na wybrzeże wypełnione srebrzystymi rybami. Radosne powitania rybaków mieszały się z żartami i docinkami, gdy ktoś zauważał, że rywal miał gorszy połów niż on.

W Castellvell i na targu zgromadził się nieprzebrany tłum wieśniaków, parobków, żebraków, duchownych i kupców. Były tam rozmaite środki transportu: ciężkie fury zaprzężone w woły, wozy pełne skrzyń umocowanych linami, muły i konie. Kufry i wory mieściły wszelkie towary, którymi handlowano na targowisku przy murach. Jediną zaletą tego miejsca w porównaniu z bramą Regomira, znajdującą się obok stoczni, był znośniejszy zapach. Na drugim targu, gdzie przywożono ryby, smród był nie do wytrzymania, zwłaszcza gdy nadchodziło lato i cuchnęły dodatkowo wyziewy z rzeki, które docierały aż do Cagalell, a jeszcze bardziej, kiedy oczyszczano jej dno i otwierano kanał, by odprowadzić ścieki do morza. Strażnicy przy bramach, spoceni pod koleczkami, napierśnikami i hełmami, obchodzili się z ludźmi bez pardonu: zaprowadzali porządek batem i popychali drzewcami halabard tych, którzy powodowali zatory. Każdy sposób był dobry, szczególnie jeśli sprawiał, by ta kawalkada ludzi

i zwierząt posuwała się naprzód. W przypadku sporu, kto ma iść pierwszy, niezawodnym środkiem okazywało się rozdzielanie dyskutujących albo odsyłanie ich na koniec kolejki, wśród przekleństw i wołania o pomstę do Boga lub diabła.

Całe to zamieszanie wynikało z faktu, że poborcy musieli wyceniać towary, aby pobrać podatek nałożony przez *prohomes** z rady miejskiej, by hrabia miał fundusze na budowę kanału Rec Comtal, który miał sprowadzać wodę z rzeki Besós do miasta. Taką właśnie inwestycję zamierzano w tamtych czasach zrealizować w Barcelonie.

W tłumie jechał na pięknym siwym koniu, wykastrowanym i spokojnym, młodzieniec średniego wzrostu, o ogorzalej cerze męzczyzny, rysach wyrzeźbionych przez wiatr, brązowych oczach, długich czarnych włosach i miłej powierzchowności. Wyróżniał go wydatny podbródek z dołeczkiem, zdradzający upór i zdecydowany charakter i z pewnością nadający sens jego rodowemu nazwisku, które nawiązywało do tej szczególnej cechy: nazywał się Marti Barbany. Na grzbiecie wierzchowca wiózł dwa juki, przymocowane do siodła rzemieniami, i czekał cierpliwie, aż nadejdzie jego kolej, poklepując dłonią kark konia. Od czasu do czasu dotykał piersi, aby się upewnić, czy jest na swoim miejscu sakiewka zawierająca, oprócz innych skarbów, list, od którego zależała jego przyszłość. Nosił spodnie zakończone sztylpami przywiązanymi skórzanymi paskami do łydek, kaftan z prostej tkaniny i sięgającą do ud długą opończę z materiału w pionowe prążki, wkładaną przez głowę i przepasaną rzemieniem. Na nogach miał sznurowane buty ze skóry jelenia, a na głowie zieloną czapkę, jakich używali treserzy drapieżnych ptaków albo sokolnicy.

Zmuszony powoli posuwać się do przodu, znów pogrążył się w rozmyślaniach, czy postąpił słusznie, opuszczając rodzinny dom w taki sposób i w takich okolicznościach, jak to uczynił.

* *Prohom* — miano przysługujące obywatelom Barcelony, którzy cieszyli się szczególnym prestiżem i razem z feudałami, duchowieństwem i hrabią mieli swoich przedstawicieli w organach władzy.

Trzy dni trwała jego podróż, którą rozpoczął w okolicach Empuries i z bożą pomocą miał zakończyć w Barcelonie. Nie potrafił sobie wówczas wyobrazić, jak zawiłe będą w kolejnych latach ścieżki jego życia i ile niespodzianek szykuje mu los!

Wracał wspomnieniami do odległych, ukochanych miejsc. Urodził się w wiosce w pobliżu Empuries, w *masii*, którą hojny hrabia Hugo podarował jego przodkom, gdy ci, przybywszy dwa pokolenia wcześniej z Conflent na granicy Cerdani, zostali jego wasalami, wykarczowawszy przydzielony im las. Owa dzika knieja zamieniła się w tuzin *feixas* i trzy *mundinas** uprawnej ziemi. Marti był jedynym dzieckiem małżeństwa Guillemma Barbany de Gorb i Emmy de Montgri, której rodzina uważała ten związek za mezalians i nie akceptowała go, gdyż Guillem był jedynie najemnym żołnierzem, poddanym regentki Ermesendy z Carcassonne, a przedtem jej męża, Ramóna Borrella, hrabiego Barcelony, aż do jego śmierci. Z tego względu miał obowiązek zapuszczać się na pogranicze, by atakować i grabić małe samotne folwarki oraz organizować wypadki na terytoria mauretańskiego władcy Leridy. Zajmował się tym, gdy tylko przygasały częste konflikty z hrabią Mirem Geribertem, który ogłosił się księciem Olerdoli. Matka Martiego pochodziła natomiast z zamożnego rodu z samej stolicy prowincji La Garrotxa. Rodzina wyrzekła się jej, gdy uparła się, że wyjdzie za najemnika, którego uważali za grasującego po drogach zbója. Jego matka została wydziedziczona i cały rodzinny majątek podarowano klasztorowi w Cluny, rządzącemu na tych ziemiach. Emma pragnęła, by Marti został duchownym, ale nie miał powołania do kapłaństwa. Wspominał zawsze tak bliskiego mu dziadka ze strony ojca, który od dziecka dużo dla niego znaczył. Staruszek wyraźnie utykał na lewą nogę i nigdy nie mówił z jakiego powodu. Jednak gdy Marti skarżył się już w dzieciństwie, że ojca nigdy nie ma w domu i ciągle tylko walczy, dziadek zawsze usprawiedliwiał go, twierdząc, że wielu mężczyzn z powodu życiowych okoliczności musi

* *Feixas, mundinas* — katalońskie miary powierzchni.

wypełniać narzucone im zadania. Takie pogawędki skończyły się, gdy atak apopleksji uczynił ze starca śliniącego się niedołęgę T przesiadującego przy kominku. Pewnego popołudnia, wróciwszy z pola, zastali go martwego jak ptaka. Następnego dnia położyli go na wozie o masywnych kołach i zawieźli na cmentarz sąsiadujący z *sagrera** kościoła w Castelló, gdzie, po zwyczajowej modlitwie za jego duszę, został pochowany, otoczony życzliwością sąsiadów i przyjaciół, którzy towarzyszyli mu w tej smutnej i ostatniej wędrówce. Kondukt prowadziła jego matka. Marti przypominał sobie, że po raz pierwszy w życiu czuł wtedy ogromny niesmak. Miał zaledwie siedem lat. W owej chwili wiedział już na pewno, że jego świat nie będzie ograniczał się do wyjazdów na targi i jarmarki i sprzedawania tego, co uprawia jego rodzina. Nie chciał harować od świtu do nocy jak jego dziadek i skończyć pod grudami ziemi przy wtórze monotonnej modlitwy księdza.

Mijały lata dzieciństwa, a w nim narastało pragnienie zdobywania nowych doświadczeń. Jego matka, której przybywało siwych włosów, nalegała — w nadziei, że w ten sposób chłopak zbliży się do Kościoła — by dwa razy w tygodniu dosiadał Muleya, niezaprzęganego już do pracy starego astmatycznego osła, i jechał do parafii w miasteczku, gdzie don Sever, ksiądz pełniący urząd kanonika Vilabertran, zgodził się uczyć go arytmetyki i podstaw gramatyki w zamian za skromne wynagrodzenie w postaci płodów rolnych i czasem jakiegoś kurczaka czy królika. Marti musiał więc studiować katechizm i żywoty świętych z komentarzami uczonych hagiografów, które zacny ksiądz dawał mu do czytania, aby wzbudzić w nim powołanie, na co Marti chętnie się godził z obawy, że zostanie pozbawiony tak interesujących zajęć.

— Marti — mówił mu ten zacny człowiek — jeśli się przyłożysz, możesz zostać duchownym. Weź pod uwagę, że opat lub

biskup znaczy tyle samo albo więcej niż hrabia czy markiz, a ty jesteś bardzo bystry...

I dodając do zobowiązań, które na siebie przyjął, także zadanie wychowania chłopca, don Sever jadał razem z nim na plebani i uczył go ogłady, uprzejmości i zasad obowiązujących przy stole nawet w najbardziej wyrafinowanym towarzystwie. Skończyły się wtedy pasjonujące wyprawy na grzbiecie osiołka nad zatokę Rosas i emocjonujące wędrówki po okolicznych plażach, gdzie Marti pływał ze swymi przyjaciółmi, Feletem i Jofrem, wchodził do zatopionych jaskiń, marząc o przygodach, a przede wszystkim ukrywał się w trzcinach, aby podglądać, jak panny zdejmują gorsety i spódnice, by pluskać się ze śmiechem w wodzie.

Przed śmiercią dziadka, gdy miał prawie cztery lata, powiedziano mu, że dobry Bóg zabrał mu ojca podczas jednego z wypadów w pobliże Vic na wojnie, którą jego pan toczył z „księciem” Olerdola. Podobno włócznia weszła między łopatki, przebijając koleczki i pozbawiając go życia. Pamiętał dokładnie posłańca, który w towarzystwie księdza z parafii przywiózł złą nowinę. Był mroźny listopadowy wieczór. Wiatr tramontana wiał złowieszczo, unosząc w powietrze wszystko, czego dobrze nie umocowano, wrywając z zawiasów okiennice, które ktoś nieostrożnie zostawił otwarte, a nawet powalając duże drzewa. Dach domu trzeszczał i zawodził jak zranione zwierzę, kiedy ktoś załomotał do drzwi. W kominku płonął ogień i trzaskające drwa promieniowały ciepłem. Obok paleniska spożywali wieczerzę trzech dzierżawcy, a przy stojącym w kącie długim stole siedziała na honorowym miejscu jego matka, obok niania Tomasa, wierny Mateu Cafarell, który od dnia swego nieudanego ślubu towarzyszył Emmie, oraz on, Marti. Głośnie szczekanie psów obwieściło, że na dworze dzieje się coś niezwykłego, a stukaniu kołatki u drzwi zawtórował znajomy głos.

— Otwórz, Emmo. To ja, don Sever.

Stary ogrodnik, który pełnił rolę służącego i furmana, odsunął na bok miskę i wzięwszy kaganek, ruszył chwiejnym krokiem

do drzwi, podczas gdy niania, wyraźnie zaniepokojona, wycierała ręce w ścierkę i spoglądała przerażona na matkę Martiego. Na znak swojej pani ogrodnik zdjął grubą dębową belkę i odsunął rygle. Drzwi otworzyły się, płomień zadrżał przez chwilę od podmuchu wiatru i w progu pojawiła się wychudła postać księdza. Towarzyszył mu żołnierz, którego postura i wzrost, może na zasadzie kontrastu, zaimponowały Martiemu. Zobaczywszy wyraz twarzy matki, wiedział od razu, że ksiądz przynosi złe wieści. Słowa, których wspomnienie wciąż dźwięczało mu w uszach, potwierdziły jego podejrzenia.

— Marti, idź do swojego pokoju.

Pamiętał, że szybko wyszedł, wzięwszy na ręce Sułtana, swego małego pieska, ale gdy tylko znalazł się za drzwiami dzielącymi jego pokój od głównej komnaty, przyłożył ucho do drewna i usłyszał, oprócz znajomych głosów matki i nauczyciela, posępny i poważny głos posłańca. Był zaszokowany, jak chłodno zareagowała matka, usłyszawszy złe wieści:

— Zbyt późno stało się to, czego od dawna oczekiwałam.

Po dłuższej chwili posłaniec się oddalił, ponownie zaskrzypiały rygle i zawiasy, i Marti usłyszał prowadzoną półgłosem rozmowę matki z nianią i starym sługą. Wyczuwając, że matka przyjdzie zaraz powiedzieć mu „dobranoc”, szybko się rozebrał i włożywszy sięgającą mu za kolana grubą koszulę, wszedł pod kołdrę, czekając, co się stanie. Otworzyły się drzwi i drżący blask świecy niesionej przez matkę zakreślił na płytach posadzki świetlisty łuk. Postawiwszy lichtarz na stole, matka usiadła na skraju łóżka. Marti poczuł na czole jej ciepłą dłoń i zmrużonymi oczami wpatrywał się w ogromny cień kobiety na przeciwległej ścianie. Czas i okoliczności zahartowały ją. Jej głos brzmiał obojętnie i bezbarwnie, jakby oznajmiała coś nieuchronnego, czego już od dawna należało się spodziewać.

— Marti, mój synu, teraz jesteś naprawdę sierotą, choć właś ciwie zawsze tak było. Twój ojciec zginął, robiąc to, co najbardziej lubił: walcząc na wojnie. Pozostawił w spadku jedynie pierścień, którego strzegę i który mam ci przekazać, gdy skoń-

czysz osiemnaście lat. Zanim nadejdzie ta chwila, otrzymam wskazówki, co masz z nim zrobić i dokąd powinieneś się udać.

Choć zmarły był jego ojcem, Marti nie czuł żalu ani przygnębienia. Usiadł na łóżku i objął matkę. Drzenie jej dorodnych piersi wskazywało, że ta silna kobieta, która odgrywała w jego dzieciństwie najważniejszą rolę, płacze.

Właśnie tamtej nocy postanowił, że pewnego dnia wyjedzie. Nie chciał być całe życie wieśniakiem. Miał wielkie ambicje, a horyzonty — gdyby nie wyjechał — ograniczone. Przedtem jednak zdarzyło się wiele rzeczy, gdyż człowiek robi plany, a los decyduje. W wieku szesnastu lat zakochał się, a przynajmniej tak mu się wtedy wydawało. Na jednym z jarmarków poznał Basilię, dziewczynę w jego wieku, z bogatej chłopskiej rodziny. Na sianie dotykał z rozkoszą jej piersi. Sądził, że spotkało go największe szczęście, i choć przyjaciele się z niego śmiali, nie przejmował się tym i poprosił matkę, by pozwoliła mu starać się o jej rękę. Emma potraktowała sprawę poważnie i zasięgnęła języka. Wkrótce Marti przeżył wielkie rozczarowanie, dowiadując się, że dziewczyna została przyrzeczona bogatemu dziedzicowi i jej ojciec nie ma zamiaru pozwolić, by jakiś przybłęda zniweczył jego plany.

Mijały dni, miesiące i lata, wymazując z jego pamięci wspomnienie miłosnego zawodu. Gdy osiągnął stosowny wiek, matka wręczyła mu pierścień i pergamin, który, o czym nie wiedział, ktoś dostarczył niedawno do ich domu. Było tam jakieś nazwisko i adres w Barcelonie.

— Synu, przed miesiącem ktoś przyniósł to pismo. Miałam ci je przekazać, gdy osiągniesz pełnoletność. Przeczytasz w nim instrukcje, do których masz się stosować, gdy dotrzesz do miasta. To rodzaj glejtu, który, o ile dobrze zrozumiałam, otworzy ci drzwi do jego nadawcy. Jesteś już mężczyzną i choć chciałabym z egoistycznych pobudek, żebyś pozostał przy mnie, matczyzna miłość nakazuje mi popierać twój wyjazd i nie stać na drodze twego przeznaczenia. Nie chcę być ci zawadą. Ruszaj w drogę i nie oglądaj się za siebie. Tu nie masz już czego szukać.

— Matko, czekałem tak długo, że parę miesięcy nie robi

różnicy. Zbliżają się żniwa i nie zostawię cię samej z tą pracą. Kiedy wrócę — a przysięgam, matko, że wrócę — będę godny waszego trudu. Gdybym nie wrócił, będzie to znaczyło, że zginąłem.

W dniu wyjazdu uściskał dzielną kobietę, która — choć we łzach — zachowała swą zwykłą nieugiętość, i wyruszył na spotkanie przygody. Odwróciwszy się po raz ostatni, zobaczył, jak postacie matki, niani Tomasy i Mateu nikną w oddali, ogromniejąc równocześnie w jego sercu. Spiał wierzchowca i w monotonnym rytmie stukotu końskich kopyt zaczął oddalać się od tego wszystkiego, co do owej chwili stanowiło jego świat. Miał osiemnaście lat i trzy miesiące.

Kolejka posuwała się naprzód i o świcie dotarł do bramy. Jeden z żołnierzy pilnujących wejścia zapytał go, kim jest i czego chce. Marti Barbany wyjął z sakiewki dokument, który wiozł dlajednego z kanoników z katedry, i strażnik, po konsultacji ze zwierzchnikiem i sprawdzeniu, kim jest adresat listu, przybił pieczęć. Marti popędził konia i w tłumie ludzi wjechał do wielkiego miasta. Ruszył pod górę zatłoczoną ulicą i minąwszy plac, przy którym stał budzący podziw Pałac Hrabowski, dotarł do Szpitala Katedralnego, gmachu Pia Almoina, gdzie rezydował archidiakon Llobet, któremu miał pokazać dokument wręczony przez kogoś jego matce. Zsiadł z konia przy bramie, przywiązał go do przygotowanej w tym celu drewnianej poręczy, dał monetę chłopcu, który zaofiarował się go pilnować, po czym wszedł do budynku i zbliżył się do stołu, gdzie młody ksiądz przyjmował osoby przychodzące w sprawach, których załatwienie leżało w gestii kanoników i urzędujących tam wysokich dygnitarzy. Duchowny miał go właśnie obsłużyć, gdy dzwony Pia Almoina zaczęły bić na Anioł Pański i zawtórowały im dzwonnice pozostałych klasztorów i kościołów Barcelony i okolic. Ulica zastygła w bezruchu. Zabiegani przechodnie przystanęli, otulone szalami kobiety i mężczyźni z czapkami w rękach czekali, aż umilkną echa dzwonów, by powrócić do swoich zajęć.

— Czym mogę wam służyć?

Ksiądz ożywił się nagle i dźwięcznym miłym głosem, pasującym bardziej do kantora z chóru, spytał Martiego Barbany o jego nazwisko i cel wizyty.

— Przywożę list, glejt do archidiakona Llobeta. Jeśli pozwolicie, chciałbym się z nim zobaczyć.

Marti przedstawił dokument i ksiądz, przyłożywszy do prawego oka grube szkło z drewnianą rączką, zaczął go czytać.

— Zechciejcie chwilę poczekać.

Potrząsnął stojącym na stole dzwoneczkiem i natychmiast zjawił się młodzieniec z tonsurą, gotów na jego rozkazy.

— Zanieście to pismo do ojca Llobeta.

— Wolałbym wręczyć mu je osobiście, jeśli można. To mój glejt — wtrącił się Marti.

Mówiąc to, wyciągnął rękę, by ksiądz oddał mu list. Ten przyjrzał się uważnie śmiałkowi i pomyślał, że ów chłopak, mimo młodego wieku i nieco plebejskiego wyglądu, musi być kimś niezwykłym.

— Jak sobie życzycie, ale wydaje mi się mało prawdopodobne, by was przyjął. Ojciec Eudald jest bardzo zajęty i nawet jeśli macie list polecający, nie ma zwyczaju przyjmować niezapowiedzianych wizyt.

— Powiedzcie Jego Wielebności, że pragnie się z nim widzieć Marti Barbany.

Wówczas mnich, jakby się usprawiedliwiając, wyjaśnił:

— To, co on zdecyduje, pozostaje, jak rozumiecie, poza moją gestią.

Pomocnik księdza wrócił wkrótce, oznajmiając, że archidiakon przyjmie gościa.

Mnich spojrział na młodzieńca z zaciekawieniem i dodał:

— Słyszeliście. Po raz pierwszy, odkąd sprawuję ten urząd, archidiakon przyjmuje kogoś bez wcześniejszej zapowiedzi. Na świętego Bartolome, macie wyjątkowe szczęście!

4

Biskup Guillem de Balsareny

Barcelona, maj 1052 roku

Zadanie, które czekało zacnego biskupa, nie było wcale przyjemne ani łatwe. Musiał wykorzystać swoje dyplomatyczne talenty, jeśli miał wyjść bez szwanku z sytuacji, która wydawała się dość trudna. Z jednej strony chciał być lojalny wobec hrabiny Ermesendy z Carcassonne, by odwdziżyć się za szczodrość, jaką okazywała jego diecezji w Vic, z drugiej zaś leżało mu na sercu dobro hrabstw Gerony i Osony, z których Ermesenda, na wyraźne życzenie jej zmarłego męża, hrabiego Ramóna Borrella, miała czerpać dochody, dopóki dobry Bóg zachowa ją na tym świecie, choć formalnym władcą hrabstwa Barcelony był wówczas jej wnuk, Ramón Berenguer I.

Więści wędrowały w tamtych czasach powoli, jednakże informacje, które papież Wiktor II pragnął przekazać swoim biskupom i opatom, docierały do nich szybko przez gęstą sieć klasztorów pośredniczących w kontaktach między poszczególnymi diecezjami i Rzymem. I z pewnością wolałby po tysiąc kroć nie otrzymać ich jako ostatni.

Biskup Guillem był Sługą Bożym. Troszczył się o powierzonych sobie wiernych, okazywał miłosierdzie i rozsądzał sprawiedliwie wszystkie sprawy, które wymagały jego interwencji, aby zapobiec konfliktom, zarówno gdy chodziło o szlachetnie uro-

dzonych sąsiadów, którzy sprzeczali się o ziemię, jak i chłopą, który czuł się pokrzywdzony, gdyż rodzina narzeczonej wniosła jego pierwotnemu za mały posag, albo człowieka napadniętego na terenie *sagrery*. Kolejka ubogich, która każdego ranka ustawiała się przy drzwiach jego rezydencji w oczekiwaniu na kocioł z zupą, była doprawdy długa i złożona z przeróżnych osób.

Wycieńczony podróżą posłaniec przybył nocą z tak ważną wiadomością, że wikariusz nie wahał się zbudzić biskupa, choć ten dopiero się położył po odprawieniu jutrzni. Gdy wysłannik papieża przywoził coś naprawdę pilnego, pismo opatrzone było hasłem: *Kogut zapieje trzy razy*. Sekretarze biskupa mieli przykazane, by w takim przypadku natychmiast obudzić go lub odszukać. Ubrał się pospiesznie. Nie wypadło, by posłaniec widział osobę tak wysokiej rangi w nieodpowiednim stroju. Szata zdobi człowieka i dla większości ludzi właśnie wygląd jest warunkiem uznania i szacunku. Spojrzawszy przelotnie w lustro z polerowanej miedzi, zobaczył w nim dostojną postać we fioletowej todze, z piuską na głowie, która zasłaniała tonsurę. Usatysfakcjonowany tym widokiem kazał wezwać posłańca do swych prywatnych komnat. Wszedł osobnik pokryty taką warstwą kurzu z drogi, że jego twarz wyglądała jak maska i była nie do rozpoznania. Uklęknął przed opatem i ucałował jego pierścień, wyjął z sakiewki opieczętowany pergamin i mu go wręczył. Biskup rozkazał zakonnikowi, który wprowadził posłańca, by go nakarmiono i pozwolono odpocząć, a sam pozostał w komnacie, aby przeczytać otrzymany o tak niestosownej porze list. Brzmiał on następująco:

Spisano w Sant'Angelo, Rzym,
dnia 16 maja 1052 roku

Czcigodny bracie w Chrystusie!

Wiadomość, którą Warn przesyłam, ma ogromne znaczenie i wymaga całkowitej dyskrecji. Nie należy dopuścić, w zaistniałych okolicznościach, aby wieści,

które Warn przekazuję, rozeszły się i dotarły do uszu niepowołanych osób, które rozgłosiłyby treść tego listu. Liczę zatem na właściwą Warn rozwagę i niezawodną dyskrecję.

Zachowanie równowagi sił jest w tym przypadku zbyt ważne, by jakiś bezwzględny wróg Kościoła zrobił niewłaściwy użytek z tej informacji i poważnie zaszkodził prawdziwej wierze, gdyż postępowanie książąt ma fundamentalne znaczenie w sprawowaniu rządów nad poddanymi i zły przykład z ich strony byłby zgubny nie tylko dla hrabstwa Barcelony, ale dla całego chrześcijaństwa, stawiającego obecnie czoło potężnym hordom Proroka. Dlatego też jest sprawą ogromnej wagi, by unikać wszelkich sytuacji prowadzących do tego, że hrabstwa katalońskie, między którymi panuje kruchy pokój, będą walczyły ze sobą zamiast z prawdziwym wrogiem przyczajonym za rzeką Ebro, naturalną granicą dzielącą nas od zaborczych *taif* Leridy i Tortosy, rządzonych teraz przez wojowniczych synów roztropnego Ibn Ahuda z Saragossy.

Dotarły do moich uszu z wiarygodnych źródeł — nie zapominajcie, że spowiednikiem hrabiny Almodis jest opat Sant Genis — nowiny, z pewnością prawdziwe, że może dojść do poważnego konfliktu między hrabiną Ermesendą a jej wnukiem, hrabią Barcelony. Nie jest to na rękę Kościołowi, gdyż wszystko, co umniejsza autorytet władzy, wprowadza zamęt i zachęca poddanych do nieposłuszeństwa, szkodzi sprawie chrześcijaństwa.

Mój drogi opacie, macie do rozwiązania poważny problem, z którym trzeba się szybko uporać, bo w przeciwnym razie możemy oczekiwać przykrych konsekwencji. Pozostawiam wam wybór środków działania. Ograniczam się do przedstawienia sytuacji.

Otóż wasz hrabia, Ramón Berenguer I z Barcelony,

wdowiec po hrabinie Elisabet i obecny mąż Blanki z Ampurias, wyruszył rok temu na Wschód, gdyż miał załatwić ważne sprawy dla hrabstwa Barcelony, i wracając, zdać mi po drodze relację z pierwszej ręki i przekazać swoje opinie na temat islamu, który dobrze zna, mając blisko siebie tak niebezpiecznego i przebiegłego wroga. Chodzi o to, że po naszej rozmowie zatrzymał się w zamku hrabiego Ponce'a III w Tuluzie, gdzie miały miejsce niesłychane wydarzenia: wasz porywczy hrabia cudzołożył z panią zamku, Almodis, córką Bernarda i Amelii z Marchii. Ten występek, choć karygodny, jeszcze nas nie przeraża, albowiem znamy słabości ludzkiej natury i żądze ciała, którym czasem trudno się oprzeć. Martwią nas jednak konsekwencje, jakie mogą z tego wyniknąć, gdyż waszego hrabię ogarnęła tak chorobliwa namiętność, że zamierza porzucić żonę, którą poślubił zaledwie przed rokiem, i żyć w konkubinacie, bo nie ma innej możliwości, z kobietą, która niewątpliwie będzie jego nałożnicą. Stanie się to powodem drwin i zgorszenia chrześcijan, którzy zawsze biorą przykład ze swoich książąt. Już w tym momencie, jak z pewnością rozumiecie, sprawa jest poważna, ale pomyślcie oprócz tego o delikatnych relacjach hrabiny Ermesendy z jej wnukiem i działaniach, jakie podejmie niewątpliwie z powodu porzucenia przez hrabiego Blanki z Ampurias, jej protegowanej, gdyż to ona doprowadziła do ich ślubu. Trzeba też wziąć pod uwagę reakcję hrabiego Ponce'a z Tuluzy, który z pewnością poczuł się dotknięty, że ktoś próbuje wykraść mu żonę i tym samym pozbawić go honoru. Nikt nie pragnie wojny między babką i wnukiem, która pozbawiłaby obrony południowe rubieże i wydała je na pastwę wrogów chrześcijaństwa. Warto również pomyśleć, jak postąpią poszczególne katalońskie hrabstwa opowiadające się z różnych powodów, mniej lub bardziej

godnych, jawnych bądź ukrytych, po jednej lub drugiej stronie, gdyż, jak wiecie, w mętnej wodzie ryba bierze. Wiemy, że Urgell, Cardona, Tost i Besalu poparłyby hrabiego, podczas gdy Conflent, Carcassonne, Osona, Gerona i wreszcie cała Septymania walczyłyby u boku hrabiny.

Pozostawiam w Waszych czcigodnych rękach rozwiązanie tego palącego problemu i nalegam, byście przede wszystkim pomówili pilnie z Ramónem Berenguerem i próbowali mu wyperswadować, by wyrzekł się swej niegodziwej i niedorzecznej skłonności, a gdyby nie dał się przekonać, udajcie się do hrabiny Ermesendy, czego Warn nie zazdrozczę, ponieważ wiem, jaka jest drażliwa.

A zatem, zacny opacie, ruszajcie w drogę i stańcie do walki „z otwartą przyłbicą” — tak się u Was mówi, prawda? Wiercie mi, że nie zazdrozczę Warn tej misji, i bądźcie pewni, że będę niecierpliwie oczekiwał wieści od Was. Z Rzymu będą towarzyszyły Warn moje modlitwy, a tymczasem przyjmijcie braterski uścisk.

Wasz brat w Chrystusie,
Wiktor II, papież

Guillem de Balsareny rozsiadł się wygodnie w fotelu i otarłszy wierzchem prawej dłoni wielkie krople potu perlące się na czole, zaczął czytać od początku zaskakujący list.

Ramón Berenguer i Almodis

Tuluza, grudzień 1051 roku

Uzbrojony jeździec uniósł rękę. Towarzyszący mu orszak zatrzymał się natychmiast, czemu towarzyszyło rżenie gryzących wędzidła koni. Rozległ się głos jednego ze strażników strzegących zwodzonego mostu:

— Kto idzie?

— Ten, kto przybywa z dalekiego Rzymu i spodziewa się być przyjęty przez hrabiego Ponce'a Trzeciego z Tuluzy, jak zasługuje na to swoją rangą i pochodzeniem. Jestem Ramón Berenguer, hrabia Barcelony, i wasz pan mnie oczekuje.

Ciężki most zaczął opadać przy wtórze okrzyków, ze zgrzytem łańcuchów i skrzypieniem drewna, podczas gdy na murach trębacz obwieszczał przybycie dostojnego gościa. Kopyta koni zastukały o belki mostu, a potem o kamienny dziedziniec fortecy. Giermek przytrzymał uzdę ogiera hrabiego i ten zeskoczył z siodła, rozkazując swoim ludziom, by uczynili to samo. Skórzaną rękawicą otrzepał kurz ze zbroi na nogach. Natychmiast podszedł do niego dowódca straży, którego głos zagłuszył hałas, jaki czynili zsiadający z koni jeźdźcy. Hrabia Barcelony oddał hełm swemu zastępcy i zdjawszy kaptur kolczugi, który okalał jego twarz, zwrócił się do dowódcy:

— Wybaczcie, już was słucham.

— Pozdrawiam was, hrabio, w imieniu mego pana i proszę, byście zechcieli pójść za mną. Zaprowadzę was do kasztelana zamku, który się wami zajmie.

— Zadbajcie o moich żołnierzy i dajcie im wszystko, co niezbędne, żeby odpoczęli i oni, i ich konie.

— Tak, panie — odparł strażnik tonem pełnym szacunku. — Gościnność to cecha, która wyróżnia panów Tuluzy.

Hrabia Barcelony ruszył za dowódcą straży, a za nim giermek, któremu oddał miecz i tarczę, na dowód zaufania i szacunku, jak było w zwyczaju, gdy szlachcic odwiedzał krewnego albo kogoś równego sobie rangą.

Zamek w Tuluzie był bardziej pałacem niż fortecą. Miał wykwintną architekturę. Galerie z obrobionego kamienia, kształtne ostrołukowe okna, bogactwo i przepych komnat, przez które przechodził orszak, dowodziły gustu i finezji, kontrastujących z surowymi twierdzami Barcelony, Gerony i Osony, mającymi zapewniać przede wszystkim bezpieczeństwo, czego wymagała bliskość islamu i agresywność sąsiednich hrabstw. Dowódca straży zatrzymał się przy siedzibie kasztelana i gdy ten go zastąpił, ruszyli dalej. Dotarli w końcu przed wielką dębową bramę, na której mistrzowskie dłuto cieśli wyrzeźbiło piękny herb rodu władców Tuluzy. Stali przy niej dwaj wartownicy, każdy z halabardą w prawej ręce i spiczastą tarczą w lewej, strzegąc wejścia. Na widok kasztelana stanęli na baczność w oczekiwaniu rozkazów.

— Zawiadomcie szambelana, że przybył dostojny gość.

Pierwszy z wartowników otworzył jedno ze skrzydeł bramy. Wypowiedziawszy kilka słów, zamknął je ponownie i zwrócił się do kasztelana.

— Przekazałem już wiadomość o waszym przybyciu. Ze chciejcie chwilę zaczekać.

Gdy tylko to powiedział, brama znów się otworzyła i wysunął przez nią łysą głowę Robert de Surignan, wielki doradca hrabiego Ponce'a.

— Wejdźcie, panie, i pozwólcie się ugościć. Hrabia Ponce i hrabina Almodis oczekują was.

Dworzanin uderzył trzy razy okuciem swej laski o deski podłogi i wypowiedział jego nazwisko.

— Panowie, Ramón Berenguer Pierwszy, hrabia Barcelony, Gerony i Osony prosi o audiencję.

Gość postąpił naprzód i wszedł do wspaniałej sali.

Była ona doprawdy imponująca. Hrabia Barcelony nie widział dotąd niczego podobnego. Pomieszczenie miało podłużny kształt. Przez sześć otworów z każdej strony, zasłoniętych wzorzystymi gobelinami, napływało ciepło dochodzące z dwóch wielkich bocznych kominków, w których płonęły ogromne polana. Ściany były ozdobione herbami, a między nimi znajdowały się gigantyczne kinkiety, które podtrzymywały ciężar oświetlających wielką salę grubych pochodni. Ale najbardziej przyciągnęły uwagę hrabiego arkusze polerowanego metalu, które — rozmieszczone wokół zapalonych knotów — odbijały światło i potęgowały jego blask. Z wysokiego sufitu zwisały z kolei trzy złote lampy w stylu Karolingów, ze świecami na obwodach kilku ułożonych koncentrycznie kręgów. Dzięki przywiązanim do nich grubym linom, przeciągniętym przez krążki i umocowanym do bocznych żelaznych zaczepów, łatwiej było je czyścić i konserwować. W głębi sali, na dwóch tronach ustawionych pod złotym baldachimem, siedzieli hrabia i hrabina Tuluzy.

Ramón podszedł do nich pewnym krokiem, wytworny i swobodny. W miarę jednak, jak zbliżał się do tronu, obecność hrabiny Almodis sprawiła, że nie zwracał już uwagi na przepych sali, blask świec, a nawet postać gospodarza. Uklęknął przed hrabiną. Utkwił wzrok w jej bujnych rudych włosach i tajemniczych zielonych oczach, pasujących idealnie do złotej koronkowej lamówki przy dekolcie, która zakrywała przesmyk między krągłymi piersiami. Nie widział już niczego poza nią.

Emanująca zmysłowością hrabina rzuciła na niego urok.

Hrabia Ramón Berenguer podniósł się ociężale, po czym zajął wskazane przez hrabiego Ponce'a miejsce w fotelu naprzeciwko gospodarzy.

— Witajcie, hrabio, w tej skromnej rezydencji, gdzie synowie waszego ojca będą zawsze mile widziani. Jak mają się wasi bracia, Sancho, Guillermo i Bernardo?

— Sancho jest przeorem w Sant Benet. Dwaj pozostali bracia, Guillermo i Bernardo, synowie drugiej żony mego ojca, doni Guisli de Lluca, z którymi łączą mnie serdeczne więzi, na razie się nie ożenili. Są jeszcze bardzo młodzi.

Po tej wymianie uprzejmości przeszli do prawdziwego powodu jego wizyty w pałacu.

— O ile mi wiadomo, odbyliście długą podróż na Wschód — zagał Ponce.

— W istocie, wyruszyłem tam, by nawiązać kontakty handlowe z Bizancjum i dotrzeć do Jerozolimy. W Ziemi Świętej jest niespokojnie i Ojciec Święty zobowiązał mnie, bym w drodze powrotnej przybył do Rzymu i przekazał mu informacje z pierwszej ręki. Jego zdaniem my, władcy ziem graniczących z islamem, którzy mamy i mieliśmy zatargi z niewiernymi, wiemy lepiej niż ktokolwiek inny, jak należy z nimi postępować, znamy ich metody działania i tajniki dyplomacji. Dlatego chciał zasięgnąć mojej skromnej rady.

Przez cały ten czas hrabina się nie odzywała, jednakże Ramón Berenguer czuł na sobie przenikliwe spojrzenie jej zielonych oczu.

Po dłuższej rozmowie hrabia Tuluzy oznajmił przeproszającym tonem:

— Wybaczenie, że uchybiłem zasadom gościnności i wezwałem was do siebie, nie pozwalając wam przedtem odpocząć, ale rzadko mamy tu okazję pomówić z ludźmi dobrze poinformowanymi. Postaram się w każdym razie zrekompensować wam mój brak taktu. Moje stare kości nie nadają się do długich biesiad. Zwykle o tej porze jestem już w swojej komnacie. Jeśli pozwolicie, podczas wieczery będzie wam towarzyszyła moja droga małżonka.

Ramón Berenguer poczuł przyspieszone bicie serca na myśl, że spędzi wieczór z tą tajemniczą kobietą. To, co dodał po chwili Ponce z Tuluzy, przygasiło jednak jego entuzjazm.

— Z pewnością dotrzymają wam towarzystwa również mój szambelan i spowiednik hrabiny. Ich ogląda i wymowa zadziwią was i uprzyjemnią wam pobyt w naszym zamku.

Hrabina Almodis słuchała cierpliwie rozmowy prowadzonej przez jej męża i wytwornego gościa. Miała trzydzieści cztery lata i całe jej życie było podporządkowane interesom rodu, w których realizowaniu monetę przetargową stanowiły zawsze ona i jej siostry, Llicia i Rangarda. Pierwsza, po nieudanym małżeństwie z Guillemem z Besalu, wyszła za Artala, hrabiego Pallars. Druga została żoną Peire Rogera, hrabiego Carcassonne. Almodis przypadły w udziale najbardziej gorzkie doświadczenia. W wieku dwunastu lat poślubiła Guillerma III z Arles i chociaż Ojciec Święty anulował to małżeństwo ze względu na jej zbyt młody wiek, utrata dziewictwa była dla niej traumatycznym przeżyciem. Potem wydano ją za Hugona Pobożnego, pana Lusignan, który spłodziwszy z nią syna, porzucił ją i odebrał jej dziecko. Tym razem usłyszała, że wymaga tego racja stanu. W końcu trafiła do łóżka hrabiego Ponce'a z Tuluzy. Z tego związku przyszło na świat czworo dzieci: trzech chłopcy i dziewczynka. Ponce, dwadzieścia pięć lat od niej starszy, był człowiekiem doświadczonym i lubieżnym. Potrafił rozgrzać jej łóżko i choć wprowadził ją w zawiłe labirynty seksu, nigdy nie zaznała romantycznej namiętności, którą opiewali trubadurzy podczas pałacowych biesiad, i zawsze przypuszczała, że w relacjach między mężczyzną i kobietą kryje się coś, co jej umyka. Do owego dnia rozrywki w zamku zapewniały jej jedynie damy, dworskie uczyty, a przede wszystkim Delfin, jej ukochany garbaty błazen.

Almodis wróciła do swoich komnat, by przebrać się do kolacji w wieczorowe szaty. Podczas gdy służące się nią zajmowały, ona pogrążyła się w rozmyślaniach. Wiedząc, kim jest gość, przypomniała sobie proroctwo, które zachowywała w pamięci przez całe swe nieszczęsne życie.

Choć od owych wydarzeń minęły dwadzieścia dwa lata, ich wspomnienie było tak żywe, jakby miały miejsce poprzedniego dnia.

Miasto zbudziło się wtedy pod białym całunem śniegu, który sprawiał, że wszystko wyglądało inaczej. Śnieżne płatki opadały powoli i niepewnie, unosząc się w powietrzu jak pióra łabędzia. Almodis wyjrzała przez okno swej komnaty ze świadomością, że odtąd nie będzie już oglądała pejzażu, który towarzyszył jej przez dwanaście lat. Podniosła wzrok na wieżę kościoła, usłyszawszy radosne bicie dzwonów, które zdawały się obwieszzać jej ślub z Guillermem III, przyszłym hrabią Arles, i obserwowała, jak lodowe gargulce ronią pożegnalne łzy z kropel wody na dachy sąsiednich domów. Jej duszą targały sprzeczne uczucia. Z jednej strony tęsknota za dzieciństwem, które nieuchronnie odchodziło w przeszłość, zabierając ze sobą słodkie krajobrazy jej ukochanej ziemi, zabawy z braćmi, zasobne w wodę rzeki, cudowne zmierzchy, złote łany pszenicy i konne przejażdżki wiosną przez leśne gęstwiny. Wewnętrzny głos mówił jej, że z chwilą, gdy wypowie słowa małżeńskiej przysięgi, wszystko to stanie się jedynie pięknym, lecz coraz bardziej odległym wspomnieniem. Nie wiedzieć dlaczego, takie myśli ją przynębiały. Z drugiej strony nadzieja, jak sięgająca po horyzont tęcza, zwiastowała jej wielkie chwile, których niewątpliwie chciała doświadczyć i które zaspokoilyby jej żądzę przygody. W tym momencie przypomniła sobie dziwny epizod, który przeżyła pewnego popołudnia owej zimy. Wyruszyła do lasu w towarzystwie swego brata Adalberta, dosiadając po raz pierwszy klaczy o imieniu Hermosa, którą dostała jako ślubny prezent od swego ojca Bernarda z Marchii. Kiedy rankiem ujrzała ją osiodłaną na zamkowym dziedzińcu, jej czułe serce podskoczyło z radości. Klacz była biała jak padający wówczas śnieg, miała małą głowę, bystre spojrzenie i końcówki wszystkich czterech nóg czarne jak heban. Almodis wyczuła, że narodziło się między nimi dziwne porozumienie. Wieczór był wymarzony. Światło sączyło się między gałęziami drzew, z których zwisały lodowe

sople, tworząc wyjątkowo piękne i tajemnicze figury. Łagodny wiatr, stały bywalec tych okolic, świstał jej w uszach, gdy swobodnie galopowała. Adalberto, który jechał za nią, nie mógł jej dogonić, zatrzymała więc klacz, żeby poczekać na brata. Hermosa uniosła uszy, zarżała cicho i pogrzebała prawym kopytem w leśnym runie. Adalberto, ściągając raptownie cugle, zatrzymał wierzchowca tuż obok niej.

— Spójrz tam, Almodis!

Podniosła wzrok i w odległości pół mili dostrzegła cienką smugę białego dymu, który wzbijał się leniwie w niebo. Nigdy dotąd nie widzieli czegoś podobnego, choć przejeżdżali tamtędy wiele razy.

— Chodź, bracie, zobaczmy, kto mieszka w naszym lesie.

Nie bez powodu użyła słowa „nasz”. Oboje uważali to miejsce za swoją własność. Nie dając bratu czasu na protesty, spięła klacz i ta popędziła jak wichur we właściwym kierunku.

Dotarłszy w pobliże polany, nad którą unosił się dym, zsiadli z koni, przywiązali je do zwisającej nisko gałęzi dębu korkowego i zachowując ostrożność, ruszyli pieszo, by zbadać tajemniczą sprawę. Posuwali się powoli. Adalberto szedł pierwszy, starając się nie zostawiać siostry za bardzo z tyłu. Ona poruszała się wolniej, gdyż zarośla zahaczały o jej spódnicę. Miała wrażenie, jakby setki macek próbowały przeszkodzić jej w osiągnięciu celu. Wreszcie uniesiona w górę prawa ręka brata kazała jej się zatrzymać. Chłopak rozsunał gałęzie, które zasłaniały im widok, i przyglądał się z uwagą temu, co las tak zazdrośnie przed nimi ukrywał. Almodis podeszła jeszcze kilka kroków i przykucnęła obok brata, by lepiej widzieć. Czterdzieści sążni od nich rosło wielkie drzewo, na którym — dość wysoko nad ziemią, na przecięciu trzech grubych konarów — stał szałas zbudowany z pni, wrzosów, gałęzi i listowia, a z jego prymitywnego komina wydobywała się smuga dymu. Zanim zdążyli powziąć jakąkolwiek decyzję, rozsunała się zasłona przy wejściu do dziwnego szałasu i z jego wnętrza wychylił się człowieczek niskiego wzrostu, którego drobny i wykrzywiony tułów wspierał się na

dwóch krótkich nóżkach. Miał na sobie wyblakłą szarą koszulę, przewiązaną w pasie powrozem, i obcisłe portki, przepasane na chudych łydkach skórzanymi rzemykami, wpuszczonymi do sznurowanych butów. Nosił kozuch z baraniej skóry, a długie włosy, równie splątane jak broda, opadały mu na wykrzywione plecy. Almodis przypomniała sobie, że Adalberto trącił ją lekko łokciem i przyłożył palec do ust, nakazując milczenie. Karzeł, w ogóle niezależny, odwrócił się do nich i piskliwym głosem, harmonizującym z jego posturą, oznajmił głośno i wyraźnie:

— Dostojni państwo, jesteście w królestwie pana tego lasu. Witajcie, jeśli przychodzicie w pokoju, ale niech piekło was pochłonie, jeżeli macie podstępne zamiary i w głębi waszych serc czai się zło.

Adalberto zaniemówił, ale jego siostra wyszła z ukrycia na polanę i stanęła u stóp wielkiego drzewa.

— Wiesz, kim jestem?

— Jesteś Almodis z Marchii, młoda hrabina z tych okolic, którą ciekawość przywiodła na moje ziemie i która przybywa tutaj w towarzystwie swego brata. Zapraszam go, by wyszedł z gąszczy i pokazał twarz.

Almodis zobaczyła, że Adalberto wychodzi z lasu i staje u jej boku, bardziej przerażony, niż chciał się przyznać.

— A kim ty jesteś?

— Jak widzicie, wiem więcej o was niż wy o mnie. Ale lepiej nam się będzie rozmawiało, jeśli pozwolicie, bym ugościł was w moim pałacu.

Wypowiedziawszy te słowa, karzeł chwycił leżącą obok niego zwykłą sznurową drabinę i opuścił ją wzdłuż pnia dębu, aż ostatni szczebel znalazł się na ziemi.

Brat i siostra podeszli do drabinki, która zwisała między nimi. Człowieczek zszedł z pomostu i wrócił do swego szałas. Adalberto wahał się przez chwilę i gdy miał właśnie powiedzieć siostrze, że byłoby może rozsądniej odejść z tego miejsca, zobaczył, że Almodis, zakasawszy spódnicę, zaczęła się wspinać i jest już na trzecim szczeblu drabinki. Widząc, że jej nie prze-

kona, przytrzymał chwiejącą się drabinę prawą nogą, by pomóc siostrze w zachowaniu równowagi. Wkrótce oboje znaleźli się na pomoście, na którym stał szałas. Widziane z tej wysokości korony drzew tworzyły pod ich stopami morze bieli. Inne też były rozmiary szałasów. Przy wejściu wisiała zasłona z worka, a z wnętrza dochodził odgłos przesuwania jakiegoś przedmiotu. Nagle mała ręka odciągnęła zasłonę i człowieczek zaprosił gości niskim głosem do swego mieszkania. Almodis nie dała bratu czasu, by cokolwiek powiedział: w jednej chwili pochyliła głowę i weszła do środka. Adalberto uczynił to samo i karzeł, który wrócił po drabinę, podążył za nimi. Dach szałasów zrobiony był z liści palmowych tworzących piramidę, tak że oboje zmieścili się tam bez problemu. Almodis przyglądała się z zaciekawieniem mieszkaniu karła, którego chytre i bystre spojrzenie towarzyszyło jej oglądzinom. Adalberto trzymał się na uboczu, onieśmielony i wyczekujący, wciąż nie mogąc uwierzyć, że znalazł się w takiej sytuacji.

— Jak widzicie — oznajmił karzeł — mój dom nie jest przygotowany do przyjmowania gości i wszystko ma rozmiary proporcjonalne do mojej osoby, ale jeśli usiądziecie na pryczy, wasze dostojne głowy nie będą dotykały sufitu.

Brat i siostra wymienili spojrzenia i usiedli na barłogu karła wciśniętym pod jedną ze ścian. Ich gospodarz przysiadł na miniaturowym taborecie stojącym przy stole na środku izby. Almodis penetrowała wzrokiem wszystkie zakątki szałasów oświetlonego nikłym blaskiem oliwnej lampki, od niewielkiego paleniska po widoczne w głębi okienko, od stołu po drewnianą klatkę, z której wnętrza wpatrywały się w nią ciekawie okrągłe ślepia małej sowy. Człowieczek zauważył jej zainteresowanie.

— Podoba wam się moja samotnia?

— Przede wszystkim jesteśmy zaskoczeni. Tysiąc razy prze mierzaliśmy ten las i do dziś się na nią nie natknęliśmy — odezwała się Almodis, ponieważ Adalberto nie ośmielił się otworzyć ust.

— Widzicie, właśnie o to mi chodziło. To miejsce leży daleko

od wszelkich szlaków, a legenda opowiada o wiedźmach i leśnych duchach zamieszkujących w jednej z grot, których od wieków pełno jest w tej okolicy. Ja z całą pewnością żadnego z nich nie widziałem. Wieśniacy boją się napotkać żywą lub martwą istotę nie z tego świata, a ja nie mam zwyczaju wzniecać dymu, który doprowadziłby kogoś do mojej osoby, chyba że sobie tego życzę. Dlatego spalam odpowiednie drewno. Co więcej, mój szałas jest ukryty w listowiu, a ludzie patrzą raczej pod nogi, gdyż z góry zwykle im nic nie zagraża.

— Powiedziałeś: „chyba, że sobie tego życzę”. Czyżbyś chciał, żebyśmy trafili do twojej kryjówki?

— Oczywiście. Nigdy nie przyprowadzam nikogo do domu, a jeśli muszę z kimś pomówić, korzystam z przystosowanej do tego grot.

W tym momencie Almodis usłyszała niepewny głos swego brata, który odważył się włączyć do rozmowy.

— A w jakim celu mielibyśmy się poznać?

Człowieczek spojrzał w kąt, gdzie siedział Adalberto.

— Wyjaśnię wam całą prawdę. Dowiedcie się w końcu, po co was tu sprowadziłem.

Na chwilę zapadła cisza, po czym karzeł oznajmił:

— Natura poskąpiła mi urody, ale wynagrodziła braki innymi przymiotami, które, odpowiednio spożytkowane, mogą przynieść mi znaczne korzyści. Jeśli jednak wykorzystam je niewłaściwie, sprowadzą na mnie wiele nieszczęść.

— Nie wiem nawet, kim jesteś ani do czego zmierzasz.

— Nazywam się Delfin, nie mam żadnych krewnych i jestem ogromnie rozczarowany brakiem ludzkiej dobroci. Dlatego już przed wielu laty postanowiłem żyć tak jak teraz. Nie mam ochoty służyć komuś, kto na to nie zasługuje, i wiem, co by mnie czekało z tym karłowatym ciałem, którym obdarzyła mnie natura, gdybym pozostał przy osobie niepotrafiącej docenić moich zalet. Wiem równocześnie, że dzięki moim ukrytym zdolnościom po trafię dotrzeć, jeśli się postaram, do odpowiednich ludzi i odegrać doniosłą rolę w naszym niespokojnym świecie.

— O jakich zdolnościach mówisz? — chciał wiedzieć Adalberto. Karzeł zastanawiał się przez chwilę, po czym zaczął swą opowieść:

— Urodziłem się w Besalu. Jak mi powiedziano, moja matka zmarła podczas porodu, a ojca, który był podobno wędrownym kuglarzem, nigdy nie znałem. Opatrzność czuwała nade mną i mój niski wzrost pomógł mi przeżyć. Pewien człowiek zatroszczył się o mnie w nadziei, że w przyszłości stanę się dla niego źródłem dochodów. Udało mu się mnie wykarmić dzięki kozie, która miała za dużo mleka i była w istocie moją mamką. Karły sprzedawano po dobrej cenie, by zabawiały wieśniaków na jarmarkach, a jeśli któryś był inteligentny i miał efektowny garb, mógł dostać się nawet na dwór hrabiego, aby dostarczać mu rozrywki przy kominku w długie zimowe wieczory. Widziałem, co szykuje mi los, i nie chciałem się na to godzić. Ominąłem posterunek na moście w Besalu, ukryty w juku na grzbiecie mulicy pewnego kupca, który owej nocy wypił za dużo wina i liczył, że zwierzę samo dowiezie go do domu. Gdy tylko zatrzymał się on na pierwszy postój, aby opróżnić pęcherz, wyskoczyłem i schowałem się w lesie. W tamtej okolicy było pełno kryjówek. Potem przemykałem między wioskami i miastami, dochodząc do wniosku, że ludzka istota stworzona jest bardziej do zła niż dobra i jeśli nie potrafię zdobyć uprzywilejowanej pozycji, lepiej żyć z dala od ludzi. Przekroczyłem Pireneje i dotarłem w te okolice. Od tamtej pory mieszkam w lesie.

— Zważywszy na to, że my też jesteśmy ludźmi, nie rozumiem, dlaczego chciałeś nas poznać — odezwała się Almodis.

— Opowiedziałem wam na razie o kolejach mojego życia, ale nie wspomniałem o zdolnościach, które, dobrze wykorzystane, mają wydobyć mnie z nędzy i pozwolą wieść życie, jakiego pragnę, a poza tym przyniosą znaczne korzyści temu, kto zapewni mi opiekę.

Na twarzy Almodis malowało się zakłopotanie.

— Coraz mniej rozumiem z tego, co mówisz, ale kontynuuj, rozmowa z tobą jest chociaż przyjemna i zabawna.

— Dobrze, pani. Jesteście zaskoczeni tą sytuacją, lecz z pewnością pamiętacie, że nie wiedząc, kto jedzie przez las, zwróciłem się do was po imieniu.

— Pamiętam i właśnie o to miałam cię zapytać, zanim zacząłeś snuć swoją opowieść.

— Na tym polegają moje uzdolnienia. W pewnych okolicznościach potrafię przewidzieć przyszłość i robię to bez afektacji, bez wróżenia z trzewi ptaków i obserwowania ich lotu, bez wylewania oliwy na wodę, by zobaczyć, jakie tworzy obrazy, czy napełniania miski krwią kozłęcia, by sprawdzić, jak krzepnie. Dlatego powtarzam wam, że jeśli zawrzemy umowę, przez całe życie, z całą pewnością pasjonujące, będziecie mieli przy sobie wróżbiarza, który ostrzeże was przed wieloma, jeśli nie wszystkimi, mającymi nastąpić wydarzeniami, abyście mogli unikać nieprzychylnych wam ludzi, a będzie ich wielu, bo im wyżej zajdziecie, tym większą będziecie wzbudzali zazdrość. Wiem, że wasze życie będzie pełne przeszkód i trudności, których dziś nawet się nie domyślacie. Mając mnie pod ręką, zdołacie zapobiec intrygom i podstępom waszych wrogów. Nie zapominajcie też, że jestem dość pomysłowy i potrafię was zabawić w zimowe wieczory.

— Nie ma w tym nic niezwykłego, że nas rozpoznałeś — wtrącił się Adalberto. — Dzieci hrabiów Marchii zna wielu ludzi. Jeśli nie zademonstrujesz w bardziej przekonujący sposób swoich rzekomych zdolności, wrócimy tam, skąd przyszliśmy. Z drugiej strony moja siostra ma wyjść za mąż, założyć rodzinę i mieć dzieci, jakich więc wrogów napotka na swej drodze i o jakiej chwalebnej przyszłości mówisz?

Karzeł ciągnął, nie zwracając uwagi na chłopca:

— Przedstawię wam moją propozycję. Na pewno uważacie, że jestem szaleńcem albo marzycielem. Dam wam dowód mojej uczciwości, przepowiadając wydarzenia, które zaważą na waszym życiu. Nie spiesz mi się. Jeśli moja przepowiednia się sprawdzi, zawsze możecie tu do mnie wrócić. Jeżeli się pomylę, pozostawicie mnie mojemu losowi.

— Mów, słucham cię — ponagliła go Almodis.

— Na razie odwołam się do przeszłości, abyście mogli uwierzyć moim słowom. To da się sprawdzić. Przyszłość istnieje tylko w wyobraźni.

Oczy rodzeństwa wpatrywały się w niego pytająco.

— Dziś, pani, macie urodziny. Tego ranka подарowano wam klacz, której daliście imię Hermosa. Na prawym udzie macie białą bliznę, pozostałość po ranie odniesionej w dniu, gdy brat popchnął was podczas wspinaczki na mury wieży obronnej. Wiecie o tym tylko wy dwoje. Z obawy przed karą zawarliście pakt milczenia, który obowiązuje do dzisiaj.

Almodis i Adalberto spojrzeli na siebie zdumieni. Oczy chłopca wyrażały lęk, a jego siostry — ciekawość. Oboje doskonale pamiętali ten pakt.

— Powiedz mi zatem, co przyniesie przyszłość — poprosiła Almodis.

— Czy to znaczy, pani, że akceptujecie umowę? — spytał karzeł.

— Masz moje słowo.

Człowieczek podszedł do kąta, otworzył drewnianą skrzyneczkę i wydobyl z jej wnętrza cienką igłę z kości i białą chusteczkę.

— Dajcie mi waszą krew na znak przymierza.

— Nie rób tego, siostro! — krzyknął Adalberto.

— Przestań! — syknęła Almodis i rzuciwszy bratu wyzywające spojrzenie, wyciągnęła rękę.

Karzeł nakłuł delikatnie opuszkę środkowego palca jej prawej dłoni. Kropla krwi natychmiast wsiąkła w chusteczkę. Złożył ją starannie i schował do skrzyneczki.

— Mam już waszą krew, teraz dajcie mi rękę.

Dziewczyna podała mu białą dłoń i człowieczek ujął czubki jej palców, przyglądając im się uważnie.

— Teraz posłuchajcie. Przejdziecie długą wyboistą drogę, o której nic mi bliżej nie wiadomo, zanim wypełni się wasze przeznaczenie. Wasza krew zapewni przedłużenie dynastii po

drugiej stronie Pirenejów. Będziecie wrogiem papieży, ale największe niebezpieczeństwo zagrozi wam ze strony kogoś bardzo bliskiego. Zajmiecie znaczące miejsce w historii. Jeśli tak nie będzie, kaźcie spalić mnie na stosie, lecz jeżeli moje przewidywania są słuszne, domagam się należnych mi korzyści i pragnę uczestniczyć u waszego boku i na waszym dworze w wydarzeniach waszego pasjonującego życia.

— Bredzisz. Moja siostra poślubi za parę miesięcy Guillerma Trzeciego z Arles.

Karzeł odwrócił się do Adalberta:

— Mówiłem o drugiej wyboistej drodze. Nie twierdzę, że to wszystko wydarzy się od razu.

— Przestań, Adalbercie — odezwała się Almodis. — Interesuje mnie ten człowiek. W porządku, Delfinie, jeśli wypełni się moje przeznaczenie, zadbam o to, żeby wypełniło się także twoje. Niech tak będzie.

Pamiętała te wydarzenia tak dokładnie, jakby miały miejsce poprzedniego dnia.

Przypominała sobie okoliczności, które potrafiła wykorzystać, aby Delfin wszedł w jej życie. W wieczór poprzedzający dzień ślubu rozmawiała z ojcem, hrabią Bernardem z Marchii. Było to w zakrystii, za główną absydą kościoła, do którego przybyli na próbę ceremonii. Hrabia, podekscytowany jak chyba nigdy dotąd, mówił do niej z przejęciem. Jego słowa rozbrzmiewały nadal echem w zakamarkach jej pamięci.

— Posłuchaj, moja córko, wypełnisz jutro jeden z najbardziej szlachetnych obowiązków, do jakich predestynowana jest każda szlachcianka, która chce służyć swoim krewnym, swojej pozycji i interesom swego rodu. Twój związek z Guillermem z Arles przypieczętuje przyszłość naszej dynastii. Więzy krwi połączą dwa równe sobie rody o wspólnych korzeniach. Muszę ci powiedzieć, że opatrzność wyznaczyła ci misję, która napawa mnie dumą i przynosić będzie zaszczyt waszym dzieciom i wnukom. Wczoraj, w obecności notariuszy z obu hrabstw i za poświadczeniem dostojników, wśród których byli biskupi Arles i Marchii,

podpisano wasze *sponsalici**. Mogę ci już wyjawić, że w tym momencie przewyższasz rangą własnego ojca. Almodis, jesteś od wczoraj przyszlą hrabiną Arles, a także dożywotnią hrabiną Montpellier i Narbonne. W istocie muszę przyznać, że winien ci jestem hołd i posłuszeństwo.

W labiryncie jej pamięci wciąż brzmiały słowa, które usłyszał w odpowiedzi:

— Ojciec mój i panie, nie ośmielę się nigdy wam rozkazywać, czy to jako hrabina Arles, Montpellier i Narbonne, czy też królowa Jerozolimy. Czuję dumę i wdzięczność, że mogę zwrócić mojej ojczyźnie i rodzinie choć cząstkę długu, który zaciągnęłam przez sam fakt, że jestem tym, kim jestem, i takie, a nie inne jest moje pochodzenie. O jedno chcę was prosić w tak szczególnym dniu. Wiem, że choć wyruszę ku swemu przeznaczeniu dumna i radosna, że pójdą ze mną w orszaku, oprócz mojej niani, liczne damy dworu, zgódźcie się, by mogli mi również towarzyszyć mój drogi brat Adalberto i błazen, który będzie mnie zabawiał podczas długich zimowych wieczorów w dalekim Montpellier. Myślę, że jeśli, zwłaszcza na początku, będą obok mnie ludzie, którzy mówią moim językiem i mają podobne zwyczaje, będę mniej tęskniła za domem i zniosę jakoś rozłąkę.

Hrabia był tak podekscytowany, że nie spytał nawet, którego spośród nadwornych błaznów wybrała jego córka, by towarzyszył jej w burzliwej przygodzie, i natychmiast wyraził zgodę. Po jakimś czasie Adalberto przeszedł przez zwodzony most zamku w towarzystwie człowieczka, który siedział na grzbiecie osiołka i wśród ciżby dam, rycerzy, żołnierzy i giermków pozostał niezauważony. Tak oto Delfin wkroczył w nowe życie.

Damy krzątały się spieszenie po komnacie, przynosząc i zacierając garnki z bielą cynkową oraz naczynia pełne maści

* *Sponsalici* — sporządzany w obecności świadków dokument, w którym określano posag, uzgodniony przed zawarciem małżeństwa.

o różnej gęstości i barwie. Owal twarzy Almodis przybrał idealny kształt, burza jej rudych włosów kontrastowała wspaniale ze śnieżną bielą skóry, łuki brwi podkreślała brązowa kredka, którą zrobiono z barwnika skorupiaka z wybrzeży Dalmacji. Pomalowane na wiśniowo wargi połyskiwały drobinami srebrnego proszku z Numidii, zwanego *argentium*, przywożonego z owych dalekich ziem przez kupców, którzy przemierzali Septymanię na szlaku z Sewilli do Galii. Twarz Almodis wyglądała wspaniale. Pierwsza dama dworu postawiła przed nią ogromne lustro z polerowanego metalu, sprowadzony zza Morza Śródziemnego prezent od hrabiego. Odbijała się w nim cała jej sylwetka. Jedna z dam grała na dziesięciostunowej harfie i nuciła stary romans, a służące wносиły niewielką miedzianą wannę.

Tym były wszystkie zajęte, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Któraś z dam podeszła do nich i je uchyliła. Usłyszały z daleka szmer rozmowy. Dama wróciła i szepnęła hrabinie do ucha kilka słów:

- To Delfin, pani. Prosi o posłuchanie.
- Niech wejdzie.

Dziewczyna podeszła ponownie do rzeźbionych drzwi i wpuściła karła, bladego jak płótno. Na jego widok Almodis, która tak dobrze go znała, rozkazała oschłym i stanowczym tonem:

- Wyjdźcie wszystkie.

Kobiety zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Delfin uklęknął u stóp swojej pani i ucałował rąbek jej sukni.

Hrabinę zaskoczyło jego nienaturalne zachowanie. Zwykle skłonny był do radości, sarkazmu i uciechy. Zawsze gdy podchodził do niej w takim nastroju, zwiastował ważne wydarzenia.

- Co się dzieje, Delfinie?
- Pani, nie wiem, czy mam się ośmielić...
- Jeśli mi nie wyjaśnisz, czemu wtargnąłeś do moich komnat w takim pośpiechu, każę wychłostać solidną różgą twój grzbiet, aż ci się wyprostuje.

Karzeł wahał się przez chwilę, po czym oznajmił:

- Pani, stanie się to, na co tak czekałem. Przybył do zamku człowiek, który nada sens waszemu życiu.

przekazał go adresatowi
Chłopak wahał się przed
celem, postanowił ustąpić
przez drzwi, znajdując
stronie, i zniknął mu z
drzwi się otworzyły i
pasował do jego wycięcia
wydał mu się dziwnie
sznurem, przypominał
człowieka Kościoła. I
szczęcina włosów, **Ojciec**
mi brwi, a w rękach,
której wiały wrażenie
niezwykłe)

idzieł Martiego Barbany przez komnaty Pia
równaniu z tymi, które chłopak widział
nu się niezwykle okazałe. Zdumiały go
sokie kasetonowe sufity, niepodobne do
ronach. Były imponujące i nie mógł się
y podobne cuda. Gdy znaleźli się w wes-
rosił go, by zaczekał, ale przedtem przy-
że jeśli Marti nie odda mu listu, by on
vi, prawdopodobnie nic więcej nie działa.
zez chwilę, ale skoro był już tak blisko
O i wręczył list duchownemu. Ten przeszedł
ce się pod kamiennym łukiem po prawej
oczu. Zaledwie Marti zdążył się rozejrzeć,
i pojawił się w nich człowiek, który nie
)brażenia duchownego i którego wygląd
i znajomy. Odziany w tunikę przepasaną

Duchowny poprowa potężną sylwetką bardziej wojownika niż
Almoina, które, w poonsurę na jego ogromnej głowie otaczała
dotychczas, wydały r*ł bystre spojrzenie, nastroszone krzaczaste
przede wszystkim wye wystawały z szerokich rękawów i spratych
w rodzinnych stfkle silnych, trzymał list od matki Martiego.
nadziwić, jak powstał;
tybulu, duchowny pop
pomniał raz jeszcze,

Chłopak wstał, widząc, że ksiądz mierzy go wzrokiem od stóp do głów. Zaniepokoił się tym i odetchnął z ulgą dopiero wtedy, gdy zauważył w jego oczach wyraźny uśmiech.

— A więc ty jesteś Marti Barbany.

— W istocie, Wasza Wielbność — odparł młodzieniec, lekko skłaniając głowę.

— Już od dawna oczekiwałem twojej wizyty. Trochę się spóźniłeś.

— Termin mojego wyjazdu nie zależał tylko ode mnie. Jestem, albo raczej byłem jeszcze do niedawna, jedynym mężczyzną w domu, a moja matka ma już swoje lata.

— Kto jest dobrym synem, z pewnością jest też dobrym człowiekiem — zawyrokował ksiądz. — A ty, jako godny potomek swojego ojca, bez wątpienia nim jesteś.

— Jeśli to prawda, nie z niego brałem przykład — odparł stanowczo Marti.

Księżdz zaskoczyła ta zgryźliwa odpowiedź.

— Nie oceniaj nikogo, nie znając wszystkich faktów... Ale proszę, wejdź do moich komnat. Tu nie jest odpowiednie miejsce do przyjmowania syna tak drogiego mi przyjaciela.

Marti wszedł za duchownym do sali, której trzy z czterech ścian były dosłownie obłożone książkami i pergaminami. Oprócz nich widać było tylko skromne biurko i klęcznik przysunięty do ścian pod krzyżem z surowego drewna. Światło wpadało przez okno, a na kamiennym parapecie stały dwie wielkie donice pełne wypielęgnowanych kwiatów, co świadczyło niewątpliwie o zamiłowaniu gospodarza do botaniki.

Kapłan usiadł w okazałym fotelu i wskazał Marti emu miejsce naprzeciwko siebie. Wziąwszy do prawej ręki gęsie pióro, zaczął się nim bawić.

— A zatem jesteś synem Guillema Barbany de Gorb.

— Podobno, ale prawdę mówiąc, do dzisiaj mało mnie to obchodziło i nie miałem z tego absolutnie żadnych korzyści.

— Dlaczego tak mówisz? — spytał kapłan.

Marti odpowiedział z całkowitą szczerością:

— Prawie go nie pamiętam i nie sędzę, abyśmy oboje, moja matka i ja, zbyt wiele dla niego znaczyli. Był dla mnie obcym człowiekiem i sędzę, że ja dla niego też. W ciągu całego życia widziałem go w sumie dwa lub trzy razy.

— Źle czynisz, osądzając człowieka, którego nie znałeś, i nie próbując się dowiedzieć, jakie okoliczności sprawiły, że czuł się w obowiązku postępować tak, a nie inaczej.

— Uważam, że podstawowym obowiązkiem ojca i męża jest troszczyć się o rodzinę.

— Z pewnością, kiedy warunki pozwalają, by był blisko, ale czasami można zrobić więcej dla krewnych i przyjaciół, będąc daleko i wypełniając zobowiązania, niż ofiarowując im swoje towarzystwo, z którego wynikają mniejsze korzyści.

— Kiedy mężczyzna żeni się i zostaje ojcem — zaproponował Marti — akceptuje obowiązki, które pociąga za sobą taka decyzja. Jeśli przedkłada nad nie inne powinności i zobowiązania, nie powinien brać sobie kobiety, a tym bardziej płodzić z nią dziecka.

Kapłan poruszył się niespokojnie w fotelu i gdy się odezwał, w jego głosie brzmiała nuta powagi.

— Zbyt łatwo wydajesz sądy w sprawie, której nie znasz. Człowiek, z racji urodzenia albo obowiązku, może być zmuszony do podjęcia się pewnych zadań, które wymagają rozłąki z rodziną. Obawiam się, że w tym momencie taka możliwość najwyraźniej umyka twojej uwadze.

— Zechciejcie mi wyjaśnić, co jest ważniejsze dla żonatego mężczyzny niż troska o rodzinę, to może zrozumieć, co próbujecie usprawiedliwić. — Marti przerwał i po chwili kontynuował, głosem drżącym z emocji: — Jeśli dziecko pamięta, że jego matka wstawała codziennie o świcie i szła w pole, marzła zimą i pociła się w lecie, orała ziemię pługiem zaprzężonym w woły i zginała kark, zbierając plony, takie usprawiedliwienie brzmi mało przekonująco.

Archidiakon milczał przez chwilę, która Martiemu wydawała się wiecznością, po czym położył na stole trzymane w dłoniach pióro i pogładziwszy się po czubku, głowy oznajmił:

— Chyba powinienem wyjaśnić ci wiele spraw.
— Słucham was uważnie. Mówcie, jeśli chcecie.
— Nie zawsze byłem księdzem. Przedtem walczyłem i wtedy właśnie poznałem twego ojca.

W pamięci Martiego ożyło nagle wspomnienie z dzieciństwa: przypomniał sobie potężną sylwetkę mężczyzny, który przed wielu laty zjawił się w środku nocy w towarzystwie proboszcza w ich domu w Empuries, choć oczywiście wyglądał wtedy zupełnie inaczej. Nic nie mówiąc, chłopak słuchał z uwagą. Ksiądz ciągnął:

— To było w czasach, gdy uczyłem się tego straszego rzemiosła. Twój ojciec, aby dotrzymać umowy zawartej kiedyś przez jego dziadka, zaciągnął się na służbę u hrabiów Barcelony. Już jego dziadek służył u Ramóna Borrella, hrabiego Barcelony, Gerony i Osony, który był mężem Ermesendy z Carcassonne. Twojemu ojcu nie było łatwo, gdyż wojną parali się żołnierze i aby przyjęli do swego grona chłopca, musiał nie tylko mieć konia, ale wykazać się fizyczną siłą i naturalnymi predyspozycjami. Tak więc zaczęliśmy razem naszą karierę i po przeszkoleniu nas uznano, że możemy dołączyć do oddziału Eldericha d'Oris, majordoma hrabiny wdowy Ermesendy, która po śmierci syna Garbusa i wobec niepełnoletności wnuka Ramóna Berenguera Pierwszego, została na nowo regentką hrabstwa. Braliśmy udział w wypadach, które organizował na południowych rubieżach majordom hrabiny, służąc mu jako wasale w zamian za nie wiadomo jakie przywileje otrzymane w przeszłości przez naszych przodków. Dlatego właśnie twierdzą, że wasz ojciec był dobrym synem. Wtedy nauczyliśmy się naprawdę walczyć, a przede wszystkim przywykliśmy do okrucieństw wojny. Nasze serca stały się nieczułe na cudze cierpienie, a palenie wiosek i zabijanie ludzi było dla nas chlebem powszednim.

Marti chłonał opowieść księdza jak człowiek odkrywający nagle nieznaną oblicze bliskiej mu osoby, którą zupełnie inaczej oceniał.

Skupiwszy najwyraźniej uwagę chłopca, kapłan ciągnął:

się do walki. Kluczyk zawiesiłem na szyi, nie przeczuwając, że wkrótce czekają mnie straszne chwile i jeśli teraz mogę o tym opowiadać, zawdzięczam to, powtarzam raz jeszcze, wspniałemu towarzyszowi, jakim był dla mnie twój ojciec.

Marti, wsłuchany w jego słowa, odezwał się po raz pierwszy: — Co się zatem takiego zdarzyło, że nazywacie mego ojca wspniałym towarzyszem?

64

— Na polu walki zawiązują się i umacniają najtrwalsze przyjaźnie i muszę powiedzieć, że twój ojciec był dla mnie nie tyle towarzyszem, ile bratem, którego się wybiera i przez to jeszcze bardziej kocha. Pamiętam, że pewnej nocy opowiadał mi o waszej matce i o was, o tym, jak przyjęte przez jego dziadka zobowiązania oddaliły go od rodziny i zmusiły do prowadzenia takiego trybu życia. Obozowaliśmy przy ognisku, gdy, pod wpływem nagłego impulsu, wyjął z sakwy pergamin i rzekł do mnie: „Gdyby coś mi się przytrafiło, podejmijcie odpowiednie kroki, aby mój syn, który jest teraz małym dzieckiem, stawiał się przed wami z tym oto pierścieniem”. Pokazał mi go na serdecznym palcu swej lewej ręki. „Dostarczycie go mojej żonie, gdy zdarzy się to, co mi pisane. W ten sposób rozpoznacie mego syna, gdy dorośnie, i proszę was, byście mu wtedy o mnie opowiedzieli i wręczyli mój testament oraz klucz, który wam daję. Ja mam drugi taki sam”. Powiedziawszy to, wręczył mi zalakowany pergamin opieczętowany pierścieniem, który macie teraz na palcu, i zdjęty z szyi kluczyk, który, prawdę mówiąc, nie wiem, co otwiera. Tak czy inaczej, jeśli chodzi o pierścień, który tak dobrze znam, gdyż sam dostarczyłem go waszej matce, okazał się zbędny. Przyjrzałem ci się uważnie i stwierdzam, że jesteś żywym portretem swego ojca.

Marti był bez reszty pochłonięty opowieścią.

— Gdy zapytałem go, po co to wszystko — kontynuował archidiakon Llobet — skoro przeżył już tyle niebezpieczeństw i przeciwności losu, pamiętam, że mi odpowiedział: „Człowiek odpowiedzialny musi kiedyś o tym pomyśleć, a wiem, że moja pora nadeszła”. Schowałem dokument głęboko w sakwie i ukryłem ją w bezoiecznym miejscu. Iak każdy żołnierz, który szykuje

że nieprzyjaciel jest oddalony za ledwie o mil się coś
nieprzewidzianego. Arnau de Ruscalle najwyraźniej zawarł
przymierze z Mirem Geñ który z wysiłkiem szy z zamku Fals,
którego pan został nieda\ Przez okno w g^{k(?)}bi zaatakował nasze tyły.
Odwróciwszy się, waP głową tajemniczą ce... Powstało
straszliwe zamieszanie. Strza^eści. jak chmary wściekłych
owadów i piechurzy ^liśmy długą drogę,

ily nas tam oddziały
abina wiodła wtedy
;o ona nie uznawała.

-----forpoczta doniosła,
ił nam co najmniej
śmy prowizoryczny

Don Eudald przymknął oczy jak człowiek_i. Ził nas nieoczeki-
próbuję coś sobie przypomnieć. Wpadający[^], ze nieprzyjaciel
komnaty promień światła tworzył nad jeg_{<in} oddziały byłyby
poświatę, harmonizującą z klimatem opowijają_c p_o wyczerpują-
— Otóż wyruszyliśmy o świcie i przes; taki brak profesjo-
docierając w okolice Vallfermosy. Oczekiwa_o dobrego stratega
hrabiego Mira Geriberta, z którym nasza hr[^]i wypoczęci i we
spór, gdyż ogłosił się księciem Olerdoli, czeg_{,ro}ń, a twój ojciec
Szykowaliśmy się do noclegu, gdyż nasza „nego chleba i ka
że nieprzyjaciel jest jeszcze daleko i zostąd bitwą osłabionym
jeden dzień do rozpoczęcia walki. Rozbiliim żołądkiem, gdyż
obóz i czekaliśmy na rozkazy. O świcie obiliśmy do pasa małe
wanie dźwięk rogu. Nasz chorąży obwieściliśmy odpowiednie
zbliżył się w nocy, aby nas zaskoczyć. Itzejdzie za naszymi
niewątpliwie w niekorzystnej sytuacji, ataku na naszą korzyść,
cym marszu. Twojego ojca i mnie zadziwił ciarki i nawet we-
nalizmu, jako że jedno z przykazań kaźdegrpoczta obwieściła,
głosi, iż żołnierze powinni stawać do walę. i wtedy zdarzyło
właściwym czasie. Wszyscy przygotowali lda, władca Vallarty,
i ja zjedliśmy lekkie śniadanie, kromkę psz[^]ibertem i wyszedł-
wałek boczku, bo choć niedobrze jest być przcyno jego wasalem,
z głodu, jeszcze gorzej zaczynać ją z pełny_czyliśmy pod słoń-
rany brzucha źle się wtedy goją. Przytroczyłby spadały z nieba
skórzane bukłaki, aby mieć zapas wody, i zaj[^]Arnaua de Ruscalle
miejsca w szyku, licząc na to, że słońce w
plecami, oślepiając wroga, co przemawiało 65

W takich momentach człowieka przechodzą
terani nie sa wlni oH tean nrrirria \Tpc7a fn_

dzieć: „Zaopiekuj się moim synem...”.

Na chwilę zapadła głucha cisza, po czym ksiądz mówił dalej, patrząc nieobecny wzrokiem.

66

ledy, zaprawieni w walce przeciwko mauretańskiemu władcy z Leridy i wsławieni odzyskaniem ziem Tortosy, rzucili się na naszych żołnierzy. Jedna ze strzał przebiła moją tarczę z miedzi obciążonej skórą muflona i utkwiała mi w szyi. Spójrz. — Powiedziawszy to, ksiądz odchylił wycięcie tuniki i pokazał chłopakowi brzydką szramę, sięgającą od podstawy szyi aż po obojczyk. — Niemal straciłem przytomność i upadłem obolały na ziemię. Panowała piekielna wrzawa, krzyki walczących mieszały się z jękami umierających, lamentami rannych, modlitwami i bluźnierstwami. Piechurzy ociekali krwią. Nagle rzucił się na mnie ogromny Maur, najemnik Ruscaledy, i sądziłem, że nadeszła moja ostatnia godzina. Już polecałem duszę Najświętszej Maryi, gdy pojawił się wasz ojciec i swym ogromnym toporem odciął niewiernemu głowę. Wówczas róg zatrąbił do odwrotu. Załamały się szyki i nasz oddział pozostał jak wysepka otoczona morzem nieprzyjaciół. Twój ojciec zarzucił sobie na plecy pas od miecza, wziął na barki moje zmaltretowane ciało i pozbywszy się topora, chwycił w dłoń iberyjski kord, który tak się przydawał w walce wręcz. Siekł nim i ciał na prawo i lewo, zbliżając się do naszych szeregów i pozostawiając za sobą odrąbane członki nieprzyjaciół jak drwał konary drzew w lesie. Już byliśmy blisko... Straciłem dużo krwi. Strzała wciąż tkwiła w mojej szyi. Wtedy przysięgłem Chrystusowi, że jeśli ocaleję, po wypełnieniu moich zobowiązań zostanę księdzem. Ta strzała była jak znak z nieba, który miał mi zawsze przypominać o złożonej obietnicy. Twój ojciec upadł, a ja znalazłem się na ziemi wraz z nim obok naszej forpocztę. Wówczas, aby uniemożliwić nam osiągnięcie celu, nieprzyjaciel obrzucił nas gradem włóczni. Twój ojciec, który już był ranny, osłonił mnie swoim ciałem. Usłyszałem głuchy trzask i dostrzegłem ból na jego twarzy, gdy jedna z włóczni utkwiała mu między łopatkami. Pamiętam jak przez mgłę, że złapał moją dłoń i zanim straciłem przytomność, zdążył powie-

w moim imieniu zobowiązaniu

już wtedy poświęcić się służyć

obietnicy, nie miałem jednak nie było zwycięzców ani pokona-

>ole bitwy spowił mrok, każda ze
swoich poległych. Elderich d'Oris
włoki tych, którzy zginęli w walce,
łodzi Charona. Medycy nie mogli
ńczyn, opatrywaniem ran i nastą-

— W tej zaciętej potyczce

nych. Kiedy zaszło słońce i t

stron starała się zebrać ciała i

rozkażał ułożyć stos i spać z

Ja także omal nie trafiłem do

nadążyć z amputowaniem ko

wianiem kości. Duchowni u

konającym, a ja, trawiony gę

cos na serdecznym palcu. Uf

sprawę, że twój ojciec przed śn

który teraz ty nosisz. Wtę

zobaczyłem księdza. Pochyłe

modlitwy, polecając Bogu im

Jemu właśnie wyjawilem swo

śmierci przekazał komu trzeba

na piersi. Nie byłem świadom

z zamków mego pana. Zbudzi

dziłem, że jestem nagi i mam

natychmiast, że nie będę mog

po chwili odczułem ulgę, zo

z kluczykiem. Pozostawiła lą

dziano mi potem, że przymos

dowiedziawszy się, że wracai

trwała długo, ale gdy tylko od

pana o pozwolenie, bym mógł f

zyczenie mego towarzysza, r

dziś. Twoja matka była przep

zagrała o swoje życie w kosc

jej pierścieni i powiedziałem, że

i w jaki sposób mnie odnajdzie

jak ułoży się moje życie i

zadbałem o to, by w razie g<

iraczką, poczułem nagle, że mam
posłem lewą rękę i zdałem sobie
niercią włożył mi na rękę pierścień,
y, zanim straciłem przytomność,
my nade mną wypowiadał słowa
ają duszę przed ostatnią podróżą,
j sekret, prosząc, by w razie mojej
zawartość sakiwki, którą miałem
y, że zawieszono mnie do jednego
wszy się po dwóch dniach, stwier-
obandażowany tors. Pomyślałem
ł spełnić prośby twojego ojca, ale
baczy wszy obok siebie sakiwkę
jakaś miłosierna dusza... Powie-
ł ją przed paroma dniami ksiądz,
m do zdrowia. Rekonwalescencją
zyskałem siły, poprosiłem mego
'»r-r- J O
udać się do waszego domu i spełnić
Pamiętam tamtą noc, jakby to było
elniona goryczą, jak osoba, która
i i wszystko straciła. Wręczyłem
i otrzyma wiadomość, gdzie, kiedy
cie. Nie wiedziałem wtedy jeszcze,
i gdzie będę, gdy dorośniesz. Ale
jybym zachorował, ktoś wypełnił
2 wobec twego ojca. Zamierzałem
bię Bogu, by dotrzymać złożonej
pojęcia, jakimi drogami podążę

Marti milczał, wpatrując się w zamyśleniu w pierścień na swoim palcu. Potem się odezwał:

— Teraz rozumiem wasze słowa: nie można nikogo osądzać, nie wiedząc o nim wszystkiego.

— Twoja matka była zawsze zgorzkniała, bo została wydziedziczona przez rodzinę, płacąc w ten sposób za wybór męża, a w zamian nie otrzymała rekompensaty w postaci życia u jego boku. Zrozum, że człowiek ma obowiązki nie tylko wobec żony, jeśli chce zachować honor swych przodków.

Marti odparł po chwili milczenia:

— Wybaczcie, ale nie potrafię zebrać myśli.

Ksiądz wstał z fotela.

— Wkrótce wyjaśni się wiele spraw — rzekł. — Dam ci pergamin, który przechowywałem przez te wszystkie lata. Jeśli chcesz, zostawię cię samego, byś przeczytał go w spokoju. Kiedy skończysz, użyj dzwonka, który jest na stole, wtedy mój sekretarz po mnie przyjdzie.

Duchowny podszedł do stojącego na półce kufierka i włożywszy do zamka klucz, który wyjął z głębokiej kieszeni szaty, zdjął żelazną klódkę i otworzył go. Potem poszperał wśród schowanych tam dokumentów i wydobyl pergamin, pożółkły z powodu upływu czasu, oraz mały kluczyk. Zamknąwszy wieko kufra, położył oba przedmioty na stole przed młodzieńcem.

— Nie musisz się spieszyć. Będę w bibliotece. Mam dużo zaległości, które ciągle odkładałem na później. Kiedy skończysz, każ mnie zawiadomić.

Ksiądz oddalił się o wiele ciszej, niż należało oczekiwać po osobie jego postury. Marti został sam na sam z pytaniami na temat przeszłości swego ojca, która, choć o tym nie wiedział, miała wyrzeć tak wielki wpływ na jego losy.

i gdzie rzuci mnie los. Gdy przełożeni wyznaczyli mi to miejsce, wysłałem list do twej matki, byś się tutaj zjawił, założywszy na palec pierścień twego ojca, jak to uczyniłeś.

7

Wieczera

Tuluza, grudzień 1051 roku

Ramón Berenguer oczekiwał z niepokojem przybycia hrabiny, podejmowany przez jej spowiednika, opata Sant Genisa i szambelana pałacu, Roberta de Surignana. Ubrany był w odświętne szaty. Przez boczne wycięcia jego krótkiej tuniki ze złotego adamaszku wystawały obcisłe rękawy wytwornej szkarłatnej koszuli, ściągniętej w talii ozdobnym paskiem, z którego zwisał sztylet z czarnego onyksu z sylwetką pirenejskiego niedźwiedzia na rękojeści. Na nogach miał pończochy w kolorze kobaltowego błękitu i ciżemki ze skóry daniela, a na szyi gruby złoty łańcuch z wygrawerowanym herbem Barcelony. Długie włosy związał jak paż. Wiedział, że jego strój jest niewyszukany, a zarazem elegancki. Nie słuchał zbyt uważnie słów opata i szambelana, starających się umilić mu rozmową czas oczekiwania. Nie odrywał wzroku od drzwi, w których miała się ukazać Almodis z Marchii. Komnata była niewielka, ale urządzona z przepychem. Gospodarze wyjaśnili mu, że to ulubiony zimowy salon hrabiny, w którym najchętniej przyjmuje gości. Był tam ogromny kominek, gdzie płonęły z trzaskiem drwa. Nad nim lśnił herb panów Tuluzy, a z obu jego stron wisały wzorzyste gobeliny ze scenami polowań: jedna przedstawiała dzika otoczonego przez sforę na leśnej polanie i rozszarpującego ostrymi kłami charta, który ośmielił

się do niego zbliżyć, druga — grupę giermków uderzających w tarcze, by wypłoszyć z lasu stado jeleni i wystawić je swoim panom, czekającym w gąszczu z kuszami.

Na środku salonu ustawiono stół dla czworga biesiadników, nakryty pięknym obrusem i zastawiony talerzami z porcelany i wytwornymi kryształami. Gdy hrabina miała niewielu gości, wołała przyjmować ich w tej komnacie, uważając, że rozmowa jest tu mniej oficjalna i bardziej bezpośrednia niż w ogromnej jadalni zamku, gdzie mieściło się ponad trzydzieści osób. Z boku stał kredens pełen pachnących potraw, a na nim marmurowa rzeźba przedstawiająca kobietę w wytwornych szatach, przeglądającą się w strumieniu. Była tam też srebrna waza, w której bulgotał ostro przyprawiony rosół z ostrygami i rybnymi pulpętami. Obok stał ogromny półmisek warzyw, a przy nim drugi, z małymi porcjami drobiu, przepiórek, kuropatw i drożdów, nie licząc srebrnych pojemników z sosami, którymi można było doprawić każde z dań. W głębi sali piekło się powoli nad rozżarzonymi węglami nadziane na ruszt prosię. Pod ścianą stali jak cienie giermkowie, gotowi na rozkazy swej pani, a dwaj inni szykowali dzbany z winem i kryształowe karafki z wodą, by podać je na stół, gdy zarządzi to podczaszy.

Omawiano różne tematy, od polityki po problem piractwa na Morzu Śródziemnym, którym trudnili się nie tylko niewierni, lecz także marynarze z różnych stron świata, gdyż bardziej opłacało im się napadać na statki niż być uczciwymi żeglarzami i narażać się za marne pieniądze na niebezpieczeństwa rejsów i trudy życia na morzu. W pewnym momencie Ramón zapytał o zdrowie sędziwego hrabiego Tuluzy.

— Powiedzcie mi, szambelanie, co dolega waszemu panu, że zostaliśmy w tak miłym dniu pozbawieni jego towarzystwa?

Robert de Surignan odparł:

— Widzicie, panie, wiek robi swoje, dolegliwości są coraz poważniejsze, dają o sobie znać rany odniesione na polu walki. Hrabia Tuluzy cierpi poza tym stale na ataki podagry i ma z tego powodu okropne bóle. Lekarze z pałacu nie potrafią im zaradzić.

Nagle z korytarza wyłonił się w świetle pochodni niesionych przez kilku ludzi orszak hrabiny Almodis. Była w długiej zielono-złotej sukni, która uwydatniała jej talię i kontrastowała wspaniale z rudymi włosami, przystrojonymi diademem ze szmaragdów. Ramón poczuł się podobnie, jak wtedy, gdy ujrzał ją pierwszy raz. Jego dusza zamarła i wszystko wokół przestało istnieć. Słyszał tylko szmer rozmów i nie widział już niczego poza tą oszałamiającą postacią.

W owej chwili nie domyślał się nawet, że Almodis, przyszła hrabina Tuluzy, przeżywa to samo. Wydana za mąż jako mała dziewczynka, gdyż wymagała tego racja stanu, została dwukrotnie porzucona i w końcu poślubiła człowieka o wiele od niej starszego, który teraz był już w podeszłym wieku. Obecność przystojnego młodego Katalończyka, jego szlachetna sylwetka i blask oczu sprawiły, że narodziło się w niej nieznane dotąd uczucie. Amor przeszył strzałą jej serce i namiętność rozlewała się w jej duszy jak lawa, przenikając ją do szpiku kości.

Po wymianie uprzejmości, których wymagały dobre manieri, zasiedli do wieczerzy. Almodis posadziła hrabiego Barcelony po swojej prawicy, opata po lewej stronie, a Roberta de Surignana naprzeciwko siebie. Służący zachowywali się jak niewidzialne duchy, gotowi na każde skinienie swoich panów. Zupę podano w małych miskach. Pływające w niej pulpety, podobnie jak ostrygi, chwytano się kciukiem i wskazującym palcem. Skończywszy jeść, Ramón zauważył jednak, że przy każdym z biesiadników pojawiła się czarka z pachnącą wodą i plasterkiem cytryny, który należało wycisnąć, obmywając zatłuszczone palce. Potem czterej giermkowie podawali każdemu Inianą chusteczkę, aby wytarł dłonie.

Kiedy przyszła kolej na drób i prosię, hrabia obserwował, jak hrabina zręcznie posługuje się małym złotym trójzębem i nie brudząc sobie rąk, wkłada do ust porcje jedzenia, które pokroił uprzednio krajczy. Ponieważ jednak opat i szambelan korzystali z podanych im przez służących niewielkich noży, Ramón, jak miał to w zwyczaju, używał do krojenia i nadziewania mięsa swego sztyletu.

Wieczera przebiegała w miłej i swobodnej atmosferze, ale między Ramónem i hrabiną przepływały jakieś tajemnicze prądy. Jeden ze służących wygasił nagle pochodnie i komnata pogrążyła się w półmroku. Dwaj słudzy wnieśli wspaniały tort ze świeczką na środku, która oświetlała herb Barcelony zrobiony z leśnych malin i kremu nałożonego na pulchny biszkopt. Hrabia zamierzał wstać, aby podziękować za tak subtelny wyraz hołdu, gdy poczuł na łydce delikatne muśnięcie, jakby dotyk skrzydeł motyla. Odwróciwszy się do hrabiny, zobaczył jej uśmiech. Gładziła jego nogę ukrytą pod obrusem bosą stopą. Dostrzegł wtedy w głębi jej lśniących zielonych oczu nieomylny przekaz, który potrafią odczytać tylko wybrańcy trafieni strzałą Kupidyna. „Pragnę cię”, mówiły te oczy, podczas gdy hrabina wyjmowała z wąskiego rękawa złożony na pół pergamin i wręczała mu go dyskretnie, korzystając z półmroku. Ramón wyciągnął rękę i wziął list, chowając go natychmiast do kieszeni tuniki. Opat i szambelan patrzyli w inną stronę. Ich uwagę pochłaniał tort i poczynania służących, którzy próbowali zapalić na nowo pochodnie.

Później, gdy hrabina odeszła i trzech mężczyźni zasiedli wygodnie przy kominku, Ramón nie mógł skupić się na rozmowie, którą prowadzili z nim opat Sant Genis i Robert de Surignan. Pragnął tylko wrócić do swej komnaty, aby móc przeczytać spokojnie list.

8

Odkrycie

Barcelona, maj 1052 roku

Marti wziął do ręki zalakowany pergamin, który wręczył mu ksiądz. Był tak podekscytowany, że nie słyszał odgłosu oddalających się kroków. Tego ranka odkrył wiele tajemnic i podejrzewał, że lektura listu, który ma właśnie otworzyć, odmieni jego życie. Rozciął scyzorykiem lakowapiecczęć. List był złożony na czworo i miejscami trudno go było odczytać, gdyż czas zatarł niektóre fragmenty tekstu. Marti błogosławił swoją matkę i upór don Severa, który uczył go liter. Przypomniał sobie jego słowa: „Opat lub biskup są o wiele ważniejsi niż markiz czy hrabia”. Rozsiadłszy się w fotelu, zaczął czytać.

Dnia Pańskiego 3 maja 1037 roku

Drogi synu,

Nie wiem, ile czasu minie, zanim twoje oczy spoczną na tym liście, który stanowi zarazem mój testament. Jest moją wolą i pragnieniem, by został on w całości wypełniony. Oznacza to, że przeszedłem już wyznaczoną mi drogę przez życie i mam przeczucie, iż moje serce wkrótce przestanie bić.

Niewiele zachowasz po mnie wspomnień, gdyż z po-

wodu zaistniałych okoliczności twoja matka i ty rzadko mieliście okazję cieszyć się moją obecnością, ale człowiek dysponuje ograniczonym czasem i źle wywiązuje się z obowiązków, gdy się one nakładają, a czasem nawet ze sobą kolidują. Musiałem dokonać wyboru między spokojnym życiem wśród bliskich, w ciepłe domowego ogniska, a wypełnianiem zobowiązań moich przodków, co nakazywał mi honor wasala — i wybrałem to drugie. Uznasz, być może, że popełniłem błąd. Niewykluczone, ale postąpiłem zgodnie z głosem sumienia. Powiedzą ci, że byłem najemnikiem i lubiłem wypady na pogranicze. Nikt przy zdrowych zmysłach, kto przeżył wojnę, nie mówi takich rzeczy. Wojna jest straszna. Krzyki i jęki dobiegające z pola walki pozbawiają snu i spokoju nieszczęśników, którzy je słyszą, i dręczą ich potem przez całe życie. Twój pradziadek zawarł z hrabią Ramónem Borrellem układ zwany *convenientia*, którego miał przestrzegać zarówno on, jak i jego potomkowie, przypadła mi więc w udziale odziedziczona po ojcu służba, którą każdy z nas zobowiązany był pełnić tak długo, aż uniemożliwi to upływ czasu lub odniesione na wojnie rany albo gdy najstarszy syn, osiągnąwszy dojrzałość, zajmie jego miejsce. W zamian za to nasza rodzina uzyskała prawo karczowania ziem w rejonie Empuries, które z biegiem lat przejmowali na własność. Jak się domyślasz, jest to miejsce, w którym dorastałeś, najpierw w towarzystwie dziadka, a po jego śmierci pod opieką matki. Ja odegrałem w tej historii najbardziej niewdzięczną rolę. Ominęło mnie twoje dzieciństwo i dałem powód rodzicom twojej matki, by uważali, że ich córka wyszła za nieodpowiedzialnego człowieka, który wolał wypady na pogranicze niż wypełnianie małżeńskich obowiązków. Takie wiodłem życie, choć, Bóg mi świadkiem, nie dla przyjemności, lecz z poczucia honoru i dla dobra moich bliskich.

z zrozumiesz, dlaczego ,wią
i jacy są zwykle ci,

No cóż, Marti, mój synu, teraz, jak powiedziałem, nie byłem taki, jak o mnie mówią, podobno walczyłem na pograniczu. OKH, ludzi nierozważnych, wojna jest straszna, przyciąga ty polegają zawsze inni, nie jak piractwo czy kaperstwo, błąd: wcześniej czy później sądzą, że na polu bitwy ka znajdzie się na wy- a im nic nie grozi. To karygodny i ub włóczęgi, a wtedy później imię każdego wojowni A tymczasem jest roz- kutym przez kowala grocie strz<em/ upokorzenie poko- ich losy splatają się na zawsze-gwa^enie żon i córek, koszt rzezi, upojenie zwycięstw.mu przy podziale łu- nanych, grabież ich dobytku, jnione w krótkim czasie pieniądze przypadające każdemu; w i no/ hazard i kobie- pów - trofeum zwycięzcy, trwfr yna s ię kręcić. Nie po-na typowe dla żołnierzy rozryw po bitwie spryciarzy, ty... I wówczas koło znów zac2a kać rachmistrzów hra- wiem ci, jakie kary spotykają ugi, przyłbice i hełmy, którzy próbują coś ukraść i osiągnąć nierozważny chciałby biego. Przeszukiwane są kolcz za próbę przywłaszcze- wszelkie miejsca, w których kto, o d i a ł e m łupów mogą ukryć zrabowane przedmioty. Aj być przestroga i przy- nia sobie czegokolwiek przed jorów cudzej własności. złodzieja nawet powiesić, co rm za to słowem, że choć kładem dla potencjalnych amatwykorzystałem żadnej

Muszę ci powiedzieć, i ręc z a k o n a n y c h i w c i a g u dobrze walczyłem, nigdy nie < o to, co sprawiedliwie kobiety, zawsze szanowałem mi w udziale zgodnie tych wszystkich lat brałem tyll strasznym rzemiosłem mi się należało i przypadało je, stanowi należną mi z moją rangą. Trudniłem się i w spadku. Nie wstydz i to, co zdobyłem, wykonując ; pozostawiłem lamyfun- zapłatę, którą mogę przekazać c } a do śmierci, a potem się go przyjąć, gdyż twojej matc < i i e sumienny i przewi- dia, z których będzie korzysta zapisze je tobie. Zdziwisz się,

dujący ojciec potrafi zaoszczędzić w ciągu całego życia, jeśli nie marnuje owoców swego trudu na zbytki, jak mają to w zwyczaju najemni żołnierze. Przejmij moje dziedzictwo bez wahania, gdyż wykonując najstraszliwsze z rzemiosł, zdobyłem majątek zgodnie prawem, a jeśli masz wyrzuty sumienia, przeznacz go na działalność dobroczynną, aby zrekompensować moje złe uczynki. Zamów za spokój mojej duszy tyle mszy, ile uznasz za stosowne. Wiedź życie w pokoju i dostatku. Bądź roztropny, zabijaj tylko w obronie własnej lub gdy chodzi o honor, twój albo twoich bliskich. Nie wdawaj się w sprzeczki i ustępuj w sprawach, które nie dotyczą twego dobrego imienia, ale jeśli musisz użyć sztyletu, bądź konsekwentny. Wrogów należy posyłać na cmentarz, jeśli chcesz żyć w spokoju, bo tam nie mogą ci już zaszkodzić. Wymagaj dla siebie szacunku i niech ludzie, którzy stawiają ci czoło, wiedzą, że mają przed sobą mężczyznę.

Mój list dotrze do ciebie za pośrednictwem kogoś, kto był dla mnie więcej niż bratem. W razie wątpliwości korzystaj z jego rad. Powiem ci na koniec, gdzie znajdziesz owoc tylu lat moich wyrzeczeń. Odszukaj Żyda Barucha Benvenista, przy bramie dzielnicy Cali w Barcelonie. Był moim bankierem i ma mój testament. Nikt nie może go otworzyć, jeśli nie dołączy tego listu i klucza, który wręczy ci Eudald Llobet. Tak się nazywa mój przyjaciel, który ma zadbać, by dotarły do ciebie moje słowa, wraz z pierścieniem stanowiącym dowód, że jesteś moim spadkobiercą.

Żegnam cię, mój synu. Noś z godnością moje nazwisko, opiekuj się matką, która musiała z wielkim poświęceniem znosić moją nieobecność, i nigdy nie postępuj niezgodnie ze swym sumieniem. W moim skromnym rozumieniu grzechem jest tylko to, co szkodzi bliźniemu. Krótko mówiąc, bądź naprawdę czło-

wiekiem czyniącym dobro i pokój, na ile to możliwe. Służ wiernie jednemu panu, bo dwóm się nie da, i wiedz, że wielkim skarbem mężczyzny jest jego słowo.

Teraz znasz już prawdę o moim życiu. Jeśli moje wyjaśnienia cię satysfakcjonują i zdołałem sprawić, że zmieniłeś zdanie na mój temat, spróbuj mi wybaczyć i wiedz, że w ostatnich chwilach będzie mi z pewnością towarzyszył twój wizerunek i obraz mojej żony, twojej matki, którą za twoim pośrednictwem również proszę o wybaczenie.

Do zobaczenia w innym świecie, jeśli tam trafię dzięki miłosierdziu Najwyższego.

Guillem Barbany de Gorb

Marti położył pergamin na kolanach, otarł łzę i głęboko się zamyślił. Był tak pogrążony w zadumie, że nie usłyszał, kiedy ktoś do niego podszedł. Gdy podniósł wzrok, zobaczył nad sobą ojca Llobeta, który obserwował z wyrozumiałością jego wewnętrzne rozdarcie. Ksiądz zasiadł w fotelu i oznajmił głośno:

— Ciężko patrzeć, jak w głębi naszego serca upadają gmachy, które zdawały się mieć solidne fundamenty, gdy odkrywamy fakty rzucające nowe światło na nienaruszalne z pozoru prawdy.

— Co chcecie przez to powiedzieć?

— Jestem przekonany, że przeczytawszy list od ojca, zmieniłeś zdanie na jego temat.

— Otrzymałem dziś lekcję, której nigdy nie zapomnę.

— Jaką?

— Nie będę nikogo osądzał, nie znając wszystkich faktów, a w przypadku sporu wysłucham najpierw obu stron.

— Roztropna decyzja. Co zamierzasz teraz zrobić?

Marti odpowiedział pytaniem:

— Znacie bankiera Barucha Benvenista?

— Któż go nie zna? Sądzę, że słyszała o nim większość mieszkańców Barcelony.

— Muszę go odszukać. Ma testament mego ojca. Jeśli to możliwe, byłbym wam niezmiernie wdzięczny, gdybyście mi towarzyszyli.

— Z radością, gdyż to mój dobry przyjaciel, o ile może nim być sławny Żyd i główny dostawca szczepek do moich doni czek. — Mówiąc to, wskazał rośliny na oknie. — Ale nie idźmy do niego na próżno. To człowiek bardzo zapracowany. Pozwólcie, że umówię się z nim na spotkanie i zawiadomię cię, kiedy nas przyjmie. Gdzie się zatrzymałeś?

— Jeszcze nigdzie. Zjawiłem się u was zaraz po przybyciu do miasta.

— W porządku, dam ci list polecający do właściciela kwater. Mieszka na przedmieściach, w pobliżu bramy Bisbe, tam znajdziesz dach nad głową. Znajdę cię, kiedy Baruch Benvenist wyznaczy nam spotkanie.

— Nie chcę sprawiać wam kłopotu, poradzę sobie.

— To żaden kłopot. Będzie ci tam lepiej niż w jakimkolwiek zajeździe czy oberży. Poza tym łatwiej cię odnajdę.

— Jesteście dla mnie wyjątkowo uprzejmi.

— Czczę tylko pamięć twego ojca, którego zawsze będę wspominał. Ulżyło mi wreszcie, że dotrzymałem złożonej mu obietnicy, bo czułem się przez te wszystkie lata tak, jakbym dźwigał zawieszony na szyi ciężki kamień.

Powiedziawszy to, zabrał się do pisania.

9

Noc

Tuluza, grudzień 1051 roku

Ramón Berenguer przemierzał szybkimi krokami kamienną posadzkę swej komnaty. Nie czekając nawet, aż wyjdą pokojówki, wyciągnął z kieszeni list i zaczął go czytać w świetle kandelabru zdobiącego ustawiony pośrodku stół. Jego zdrętwiałe niecierpliwe palce rozłożyły pergamin. List miał następującą treść:

Jeśli w Waszym sercu zagościło to samo uczucie, co w moim, proszę, byście zastosowali się tej nocy do wskazówek, które przekażę Wam wkrótce za pośrednictwem osoby cieszącej się moim bezgranicznym zaufaniem. Przeczytawszy ten list, zechciejcie go spalić.

Pod tekstem nie było podpisu.

Poczuł ściskanie w żołądku i drzenie nóg i musiał przysiąść na skraju łoża. Przeczytał list ponownie, nie ośmielając się go zniszczyć i nie wiedząc, co robić. Pełen niepewności, postanowił czekać na posłańca choćby nawet do świtu. Trwało to dość długo, aż w końcu wzbudził jego czujność delikatny szmer, ktoś poruszał się za drzwiami. Otworzył bezgłośnie jedno ich skrzydło i wyjrzał na zewnątrz. Sądził, że zawodzą go zmysły, zaślepione emocjami i obawami, i że myli pragnienia z rzeczywistością. Na drugim

korytarzu nikogo nie zobaczył, ale gdy zamierzał zamknąć drzwi, zza zasłony wyłoniła się jak cień drobna postać i przyłożywszy palec do ust, nakazała mu milczenie. Mały człowieczek prześlizgnął się niemal między jego nogami i hrabia Barcelony rozejrzał się na boki jak złoczyńca, który boi się straży, i wrócił do swojej komnaty, czując, że serce podchodzi mu do gardła tak jak wtedy, gdy zetknął się po raz pierwszy z hordami Maurów. Wtedy zza jednej z rzeźb zdobiących narożnik u zbiegu korytarzy wyłoniła się czarna sylwetka mnicha, który upewniwszy się, że nikt go nie zauważył i że Delfin, błazen hrabiny, wszedł do komnaty Ramóna Berenguera, pospieszył przekazać nowiny swemu przełożonemu, opatowi Sant Genisowi, na którego polecenie obserwował kwaterę czcigodnego gościa.

Karzeł natychmiast przedstawił się hrabiemu.

— Panie, jestem Delfin, sekretarz hrabiny Almodis i jej jedyny powiernik. Dotrzymuję jej wierności, czasem ryzykując życie, przez wszystkie trudne lata. Tylko ja ocalałem z orszaku, który towarzyszył jej, gdy wraz z nianią opuszczała Marchię po zawarciu pierwszego małżeństwa.

Po tym wstępie Ramón był nieco zbity z tropu. Przyzwyczajony jednak do dworskich intryg w swoim otoczeniu, postanowił działać rozważnie, podejrzewając, że ktoś próbuje zwabić go w pułapkę i poróżnić z hrabią Tuluzy.

— Powiedz mi, karzełku, kto naprawdę cię przysłał? Wyglądasz bardziej na błazna niż powiernika. Daj mi dowód, że jesteś tym, za kogo się podajesz, i że mnie nie oszukujesz.

Karzeł obruszył się, bardziej z powodu nieufności hrabiego niż epitetu, którym go obdarzył.

— Jestem może małego wzrostu, panie, ale zawsze uważałem, że prawdziwą wielkość człowieka określa odległość między jego brwiami i linią włosów. Mam wysokie czoło i sądzę, że moja czaszka mieści dużo zdatniejszy mózg niż wiele koronowanych czerepów hrabiów czy książąt. Jeśli mi zaufacie, będę kontynuował, w przeciwnym razie odejdę tam, skąd przyszedłem.

Ramón zdawał sobie sprawę, że nie powinien zniechęcać do siebie tego drażliwego człowieczka, zmienił więc ton.

— Przyznasz, że to raczej niezwykle, bym, goszcząc w domu szlachcica, musiał przyjmować w środku nocy w mojej komnacie służącego, który przedstawia się tak, jak ty to uczyniłeś.

— Dla mnie też nie jest to przyjemna sytuacja i nie wy, panie, narażacie się w razie zdemaskowania na bicz kata, jeśli nie na coś więcej. Skoro mi nie wierzycie, wystarczy wezwać strażę.

— Daj mi jakiś dowód.

— Dobrze, panie, powiem wam coś, o czym wiedzą tylko dwie osoby i jeśli dowiedział się ktoś inny, to wyłącznie od jednej z nich. Ponieważ wy bez wątpienia tej informacji nie wyjawiliście, zrozumiecie, że, jak was zapewniałem, jestem naprawdę powiernikiem hrabiny.

Zrobiwszy chwilę przerwy, by spotęgować napięcie, Delfin ciągnął:

— Tej nocy otrzymaliście list, w którym oznajmiono wam, zdając się na waszą łaskę i narażając na śmieszność, że kocha was najdoskonalsza z istot. Zapowiedziano też moją wizytę. Zanim będę kontynuował, chcę wam coś wyjaśnić. Hrabina, której służę wiernie, mimo mej skromnej postury, jest wyjątkowo nieszczęśliwą kobietą. Nie zaznała nigdy miłości, a jej małżeństwa były kwestią racji stanu. Urodziła dzieci i choć je kocha, gotowa jest rzucić dla was wszystko, jeśli odwzajemnicie jej uczucie.

Słyszając te słowa, hrabia zbladł jak płótno. Karzeł mówił dalej:

— Jeśli powiecie „tak”, wypełnię powierzone mi zadanie, stosując się do wskazówek mojej pani. Jeśli usłyszę „nie”, odejdę i przekażę jej waszą odpowiedź. Ale jeśli mnie oszukacie i skrzywdzicie ją, chcąc tylko się zabawić, stanę się waszym śmiertelnym wrogiem.

Ramón zamierzał zareagować na tę impertynencję, ale pohamował się, słyszając potwierdzenie cudownej nowiny. Skoro karzeł zna treść listu, świadczy to niezbitcie, że przysłała go hrabina, może się więc uważać za najszczęśliwszego ze śmiertelników.

— Wierzę ci. Gdy tylko ujrzałem ją dziś rano, wiedziałem, że narodziło się między nami gorące uczucie. Powiedz mi, co mam robić?

— Ja także wam wierzę. Przewidywałem, że tak się stanie, zanim was poznałem.

Widząc pytające spojrzenie hrabiego, karzeł dodał:

— To długa i skomplikowana historia, a tej nocy jest jeszcze wiele do zrobienia.

Karzeł podszedł do jednej ze ścian komnaty, obmacał zręcznymi palcami gzyms i gdy przycisnął rzeźbiony liść akanru, Ramón zobaczył ze zdumieniem, jak przesuwa się pionowa płyta, odsłaniając mroczną czeluść. Człowieczek, wzięwszy ze stołu kandelabr, rzekł niemal rozkazującym tonem:

— Idźcie za mną, panie!

10

Baruch Beiwenist

Barcelona, maj 1052 roku

Od niepamiętnych czasów Żydzi z różnych katalońskich hrabstw żyli oddzieleni od chrześcijan. Wynikało to z wielu powodów. Z jednej strony zalecenia Kościoła w tej sprawie były wyraźne: wszystko, co może skalać prawdziwą wiarę, należy traktować podejrzliwie. Niewątpliwie też był to sposób, by zapobiec ekscesom pospólstwa. Gdy brakowało kozła ofiarnego, którego można by obarczyć odpowiedzialnością za wszelkie nieszczęścia (epidemię dżumy, plagę szarańczy czy klęski żywiołowe, takie jak susza), zawsze obwiniano Żydów. Z drugiej strony, biorąc pod uwagę, że świadczyli oni ważne usługi hrabiemu jako bankierzy, poborcy podatkowi lub lekarze, należało zapewnić im ochronę, a zadanie to było o wiele łatwiejsze, gdy mieszkali w zamkniętej dzielnicy.

To tego dochodził jeszcze charakter narodu izraelskiego. Żydzi woleli żyć w odosobnieniu, mieli swoją religię, własne zwyczaje i wiedzieli, że chrześcijanie oskarżają ich o ukrzyżowanie Chrystusa, co wpływało na ich wzajemne relacje. Poza tym oni także nie chcieli kłać tradycji przez kontakty z tymi, których uważali za niewiernych, chyba że chodziło o handel. Ich obyczaje były całkowicie endogamiczne: zawierali małżeństwa między sobą zgodnie z tradycyjnym obrządkiem, mieli swoje synagogi, lom-

bardy, mykwy i koszerą żywność. Wszystko to sprawiało, że łączyły ich silne więzi braterstwa i że nikt z zewnątrz nie mógł zostać ich współnikiem w interesach. Każda z zamkniętych dzielnic, w których mieszkali na terytorium całej Katalonii, nazywała się cali. W Barcelonie wchodziło się do niej przez bramę Castellnou, którą z tego powodu zwano także bramą Cali.

W najbliższy piątek, po pierwszym porannym spotkaniu z ojcem Llobetem, Marti Barbany udał się w jego towarzystwie z miejsca swego zakwaterowania do bramy Cali, przy której o tej porze panował ożywiony ruch. Dom, stojący przy najbardziej zadbanej ulicy, był solidnym budynkiem zbudowanym tak, jak rezydencje chrześcijańskiej szlachty.

Składał się z dwóch skrzydeł o różnej wysokości. Bramę głównego budynku stanowił półkolisty łuk, ozdobiony surową kamieniarką, a na wysokości pierwszego piętra widać było osiem okien, w dwóch grupach po cztery, z witrażami spawanymi ołowiem. Na drugim piętrze znajdował się tylko jeden ciąg takich okien, zwieńczony poddaszem z trzema dymnikami. Dach był jednospadowy, wykończony arabską dachówką. Budynek po prawej, przeznaczony niewątpliwie dla służby, miał bramę wychodzącą na wewnętrzny dziedziniec, w którego głębi były stajnie. W górnej jego części widniały kolejne mniej ozdobne okna, a nad nimi galeria o siedmiu łukach, której osiem kolumn wspierało daszek również pokryty arabską dachówką. Wszystkie wjazdy dla wozów i bryczek były zabezpieczone kamieniami, by koła pojazdów nie niszczyły narożników.

Marti i potężnie zbudowany ksiądz podeszli do głównej bramy i pociągnawszy za łańcuch dzwonka, cierpliwie czekali.

— Co to jest? — spytał chłopak, wskazując zamaskowany schowek po prawej stronie belki nad drzwiami.

— To skrytka na mezuzę*.

* Mezuz — mały cienki płat koszernej skóry, na której wypisane są teksty Księgi Powtórzonego Prawa. Ukrywa się ją przy wejściu do domu, nad drzwiami po prawej stronie, aby zawsze przypominała mieszkańcom zasady postępowania i strzegła domu przed złymi duchami.

Marti chciał zapytać o coś jeszcze, gdy otworzył się judasz w drzwiach i za ochronną żelazną kratą ukazały się dociekliwe oczy służącego, który przyglądał im się nieufnie.

— Kim jesteście i czego chcecie?

— Czy Baruch Benvenist jest w domu? — spytał ojciec Llobet.

— To zależy.

— Od czego?

— Od tego, kto go szuka i po co.

Ksiądz zdawał sobie sprawę, że Żydzi w cali zachowują dużą ostrożność, zanim otworzą drzwi obcemu. Marti był jednak zaskoczony impertynencją sługi, bo na wsi to się nie zdarzało.

Archidiakon, zauważywszy jego zdziwienie, rzekł:

— Nie należy tak traktować przybyszów. To niezgodne z tradycyjną żydowską gościnnością.

— Wypełniam tylko rozkazy. Czasy są trudne. Zaledwie wczoraj tuż obok tego domu zginął podczas sprzeczki człowiek. Jestem jedynie wiernym sługą.

— W porządku, powiedz twojemu panu, że — zgodnie z umową — przybył don Eudald Llobet w towarzystwie syna jego dobrego klienta.

— Zechciejcie tu zaczekać.

Służący, zanim zamknął judasza i zniknął, postanowił okazać im nieco więcej szacunku, myśląc, że skoro jego pan jest umówiony z tymi ludźmi, z pewnością są oni, a zwłaszcza ksiądz, ważnymi osobami, wobec czego przez swą nieufność mógł się wkrótce narazić na nieprzyjemne konsekwencje. Oczekiwanie nie trwało długo. Usłyszeli zgrzyt rygli i brzęk łańcuchów, po czym otworzyło się jedno skrzydło drzwi i w progu pojawił się sługa, o wiele bardziej uprzejmy niż parę chwil temu.

— Mój pan mówi, że mam was zaprowadzić do jego gabinetu.

Goście weszli do środka i służący poprowadził ich długim korytarzem do komnat bankiera, które znajdowały się w głębi domu. Korzystając z okazji, próbował usprawiedliwić swoje wcześniejsze zachowanie.

— Zrozumcie mnie, w dzisiejszych czasach ostrożności nigdy za wiele.

— Nie musicie się usprawiedliwiać. Doskonale rozumiemy wasze postępowanie i cieszymy się, że mój ukochany przyjaciel ma tak sumiennego sługę.

Ojciec Llobet starał się pozyskiwać sympatię służących i doszedł do wniosku, że w wielu przypadkach najłatwiej dociera się do panów za pośrednictwem ich podwładnych.

Komnata, do której zostali wprowadzeni, była obszerna i umeblowana niezwykle gustownie. Przed regałami, które wypełniały pergaminy i teksty talmudyczne, stał rzeźbiony dębowy pulpit z Torą, bogato zdobioną skórą i srebrem, a naprzeciwko znajdowała się menora, umieszczona symetrycznie po drugiej stronie wielkiego stołu. W głębi, za fotelem bankiera, obitym miękką wytłaczaną skórą z Kordoby, przywiezioną z pewnością z ziem al-Andaluz, widać było trzyczęściowe okno, za którym rozciągał się ogromny sad ze zbudowaną na wysokiej kamiennej płycie studnią artezyjską. Służący wyszedł, zostawiając ich w oczekiwaniu na pojawienie się jego zapracowanego pana.

Dwaj przybysze spojrzeli na siebie zdziwieni, słysząc bezstający kogoś apodyktyczny głos, przytłumiony nieco przez grube kotary i ustawione przy ścianach półki z księgami. Potem rozległ się odgłos kroków i szelest kosztownej tkaniny i w otwartych drzwiach pojawiła się postać Barucha Benvenisty. Był człowiekiem drobnym i wątłym, o bladej cerze i przenikliwych oczach. Miał delikatne rysy, nos, który zdradzał jego żydowskie pochodzenie, i siwą brodę. Marszcząc brwi, przyglądał im się uważnie, ze źle skrywaną ciekawością, aż skupił wzrok na księdzu, którego natychmiast rozpoznał. Wtedy się odprężył, wyciągnął do niego zadbane małe dłonie, które wysunęły się nagle z szerokich rękawów fioletowej togi, i przywitał go wylewnie.

— Mój dobry przyjacielu! Dlaczego pozbawiłeś mnie na tak długo twego bezcennego towarzystwa? Czyżbyś i ty unikał starych przyjaciół z powodu ich wiary?

Dwaj mężczyźni spotkali się na środku komnaty i uścisnęli sobie dłonie, jak zauważył Marti, niezwykle serdecznie. Kontrast między nimi był uderzający.

— W żadnym wypadku — odpowiedział na pytanie ksiądz. — Niestety, dni mijają niepostrzeżenie i jesteśmy tak przytłoczeni pracą, że brakuje nam czasu na to, co lubimy. Wiesz, że nic nie sprawia mi większej przyjemności niż dysputa z tobą w letni wieczór przy kieliszku wybornego wina na twoim przepięknym tarasie.

— W tym przewyższamy mahometan, którym Koran zabrania pić sfermentowanych napojów. Ja też mogę powiedzieć to samo: trudno znaleźć adwersarza na twoim poziomie, by rozprawiać na poważne tematy, i gdy się go spotyka, nawet jeśli dyskusja pozostaje nierozstrzygnięta, jest to boski nektar dla intelektu. Zazdroszczę ci jednak celibatu. Mój czas jest ograniczony z powodu żony i trzech córek, które są wcieleniem Lilith i zdają się spiskować przeciwko mnie. Gdy oznajmiono mi wasze przybycie, miałem tu prawdziwy rodzinny problem. Najmłodsza córka jest lekkomyślna, a matka staje zawsze po jej stronie, kwestionując mój autorytet. Nawet Hiob nie wszystko by zniósł! Czasem czuję się osaczony we własnym domu... Ale wybaczcie tę dygresję. Przedstaw mi, proszę, swojego młodego przyjaciela i siadajcie. Źle wypada dziś w jego oczach moja gościnność.

— A zatem zbliż się, Marti.

Chłopak podszedł natychmiast do dwóch mężczyzn stojących na środku komnaty. Ksiądz, obejmując go serdecznie, oznajmił:

— To Marti Barbany, syn Guillema Barbany de Gorb. O ile mi wiadomo, masz jego testament.

Stary Żyd ujął w dłonie prawą rękę chłopca i przyjrzał się uważnie jego twarzy, mrużąc chytne oczka, jakby chciał wyregulować ostrość widzenia.

— Na błogosławione imiona Adonai! Powierzano mi wiele testamentów i nie potrafię ich wszystkich spamiętać, lecz ten, który pozostawił twój ojciec, był tak niezwykły, że wypalił piętno w mej duszy. Ale rozgośćcie się. Czuję, że nasza dzisiejsza pogawędka może się przedłużyć.

Baruch zajął miejsce w fotelu za stołem, a goście zasiedli równie wygodnie naprzeciwko niego.

Stary bankier skrzyżował ręce i ukrywając drobne dłonie w rękawach, przymknął powieki jak człowiek, który próbuje coś sobie przypomnieć.

Marti był niezwykle przejęty, wiedząc, że z całą pewnością jego przyszłość zależy od tego, co usłyszy.

— Widzisz, mój przyjacielu, pamiętam dokładnie tamto popołudnie. Lało jak z cebra, strugi wody spływały z gargulców i żłobiły ziemię, tworząc gigantyczne kałuże, ludzie zamykali się w domach, byłem więc zaskoczony, że ktoś w taką ulewę składa mi wizytę, i powiedziałem mu to. Potem zapytałem twego ojca, dlaczego wybrał właśnie mnie. Był gojem i wydało mi się dziwne, że zwraca się do skromnego *dajana** z żydowskiej dzielnicy Barcelony, szczególnie że tak się spieszył, zamiast pójść w tej sprawie do jakiegoś notariusza w mieście. Co innego, gdyby szukał porady lekarskiej, gdyż żydowscy medycy cieszą się wielką sławą i nawet hrabia korzysta z naszych usług. Brzmiały mi w uszach, jakby to było wczoraj, słowa jego odpowiedzi. Najpierw rzekł: „Jestem żołnierzem, zawitałem tu przejazdem i brak mi czasu. Nie chciałbym, by plon wielu lat mojej służby na pograniczu, który okupiłem krwią, dostał się w ręce jakiegoś nieuczciwego skryby. Nie tylko żydowscy lekarze są najlepsi, bo choć to prawda, że z ludźmi waszej nacji trudno zawierać transakcje, wiem, jak poważnie traktują interesy i jak szanują wolę zmarłych. Dlatego postanowiłem powierzyć wam moje dobra, gdyż nie ufam skrybom, którzy są w większości przekupni, a nie mam dość czasu, by szukać kogoś, komu mógłbym zawierzyć tak jak wam i czyja sława przekracza granice”. Któż nie czułby się przytłoczony taką lawiną komplementów? „Schlebiacie mi, odparłem, i nie sądzę, bym zasługiwał na tyle pochwał, ale wdzięczny wam jestem, że macie tak dobre zdanie o mojej nacji. Gdyby wszyscy chrześcijanie myśleli podobnie, nasze życie

* *Dajan* — urząd odpowiadający stanowisku burmistrza.

byłoby o wiele przyjemniejsze i zarazem mniej niebezpieczne". Od takich mniej więcej słów zaczęliśmy owego popołudnia naszą długą rozmowę. Twój ojciec przekazał mi dziwny testament, który miał zostać otwarty, gdy jego spadkobierca pojawi się u mnie z pierścieniem i kluczem. To pamiętam dokładnie, ale jeśli chodzi o szczegółowe warunki, pozwólcie, że poszukam odpowiedniego pergaminu i zapoznam cię z jego treścią. Pamięć czasem mnie zawodzi, a nie chciałbym popełnić błędu. Mam do czynienia ze zbyt wieloma dokumentami.

— Dlaczego mówicie, że to był dziwny testament?

— Zrozumiesz, kiedy ci go odczytam.

Benvenist podniósł się z fotela i podszedł do jednej z szaf w gabinecie. Wyjąwszy z głębokiej kieszeni togi pęk kluczy, wybrał jeden, włożył go w zamek i przekręcił o sto osiemdziesiąt stopni. Marti miał tak napięte nerwy, że głuchy zgrzyt metalu rozbrzmiał w jego uszach głośnym echem. Bankier otworzył następnie prawe skrzydło drzwi szafy i ich oczom ukazał się rząd półek, na których leżały w pozornym nieładzie różnej wielkości pergaminy. Benvenist poszperał wśród nich i wyciągnął jeden, opieczetowany lakiem.

— Ten dokument przywodzi mi na pamięć mnóstwo wspomnień. Zechciej dać mi twój pierścień.

Marti, zaskoczony prośbą starca i nie spuszczać wzroku z jego twarzy, zdjął z serdecznego palca lewej ręki pierścień i podał mu przez stół. Benvenist powiedział przepaszającym tonem:

— Rozumiesz, że to zwykła formalność, ale zaufanie, jakim obdarzył mnie twój ojciec, wymaga, abym postępował ściśle według prawa i był szczególnie skrupulatny.

Po tym wstępie otworzył sekretarzyk, wyjął z niego laskę laku i rozgrzał ją nad knotem płonącej świecy. Gdy lak kapnął na biały pergamin, przycisnął do niego pierścień, wykonując dokładną kopię pieczęci z testamentu. Potem porównał obie i pokazał księdzu, jakby oczekując potwierdzenia.

— Zobacz, że obie pieczęcie są takie same. Teraz możemy

otworzyć dokument. Sam złam pieczęć. W końcu to ciebie dotyczy treść tego pergaminu.

Wypowiedziawszy te słowa wręczył Martiemu niewielki sztylet, na którego rękojeści z kości słoniowej wygrawerowana była gwiazda Dawida, i skinieniem głowy dał mu znak, by zaczynał. Marti, myśląc wciąż o tym, jak bardzo zmieni się jego życie, wziął sztylet i rozciął pieczęć. Otworzywszy być może swoją puszkę Pandory, zwrócił pergamin Żydowi.

Pan domu, trzymając go w prawej ręce, wziął do lewej lupę zrobioną z żółtego topazu, przysunął ją do prawego oka i zaczął czytać, powoli i poważnym tonem, jak osoba przywykła do publicznych wystąpień. Starał się wyraźnie wymawiać słowa, by słuchacze zrozumieli wagę i treść dokumentu.

Dnia Pańskiego 3 maja 1037 roku

Ja, Guillem Barbany de Gorb, będąc w pełni władz umysłowych i dysponując wolną wolą, bez żadnych nacisków i wyłącznie z własnego wyboru, powierzam niniejszym mój testament *dajanowi* dzielnicy Cali miasta Barcelony, Baruchowi Benvenistowi. We właściwym czasie powinien go otrzymać mój jedyny syn, Marti Barbany de Montgri. Nastąpi to, gdy osiągnie pełnoletność i udowodni, że jest osobą, która ma prawo do jego otwarcia.

W tym momencie bankier zaczął tłumaczyć, na jakich zasadach opierała się własność ziem w Empuries, przypominając, że dawny hrabia podarował je rodzinie Barbany w zamian za wasalną służbę, pełnioną przez jej członków przez trzy pokolenia. Wyjaśnił również, że matka Martiego może korzystać dożywotnio z plonów zbieranych z pól, ale sprzedaż ziemi wymaga jego zgody.

Do tego momentu w dokumencie nie było niczego dziwnego. Marti wiedział już o tym wszystkim z listu, który wręczył mu

ojciec Llobet, i dlatego nie mógł zrozumieć, z jakiego powodu testament tak zapadł Żydowi w pamięć. Jego milczenie i fakt, że podniósł wzrok znad pergaminu, by skupić uwagę chłopca, zdawały się sugerować, że zbliża się do sedna sprawy. I rzeczywiście tak było.

Zważywszy na to, że wspomniane dotychczas decyzje nie różnią się niczym od tych, jakie mógłby podjąć każdy dobry ojciec rodziny, przechodzę do wyjaśnienia motywów mego postępowania, jak również okoliczności zgromadzenia majątku, który pozostawiam po swym burzliwym życiu i powierzam teraz opiece Barucha Benvenista.

Podczas długich lat służby w oddziałach hrabiego Barcelony, czy to pod jego rozkazami, czy też Ermesendy z Carcassonne, która dwukrotnie była regentką (najpierw z powodu niepełnoletności jej syna, Berenguera Ramóna I, a potem wnuka, Ramóna Berenguera I), zdobyłem za zasługi w walce stanowisko dowódcy piechoty, co zapewniło mi uczestnictwo w podziale łupów. Dobra te należą mi się zgodnie z prawem i zachowałem je dla mojego syna, aby w przypadku, gdyby ktoś się o nie upomniał, choć to wysoce nieprawdopodobne, mógł wykazać, że wszystko, co posiada, otrzymał w spadku i że układ o *convenientia*, który dotyczył trzech pokoleń, wygasł wraz z moją śmiercią. Pragnę, by dzięki temu majątkowi uniknął poddaństwa, które było moim udziałem. Chociaż żywot żołnierza nie pozwala mu nabywać nieruchomości i cały swój dobytek musi mieć przy sobie, zdobyłem przed laty odpowiedni kufel, w którym trzymałem rzeczy należące mi się jako wojenne łupy. Jest w nim, mój synu, wszystko, czego dorobiłem się w ciągu wielu lat i co chcę przekazać ci w spadku. Zważywszy na to, jaką cierpiałem biedę, jestem dumny ze swojego

wysiłku, wiedząc, że majątek, który ci zostawiam, jeśli wykorzystasz go rozsądnie, pozwoli ci stać się wolnym i szanowanym człowiekiem, a z czasem może nawet jednym z *prohoms* Barcelony. Cały spadek przejmuje Baruch Benvenist i on ci go przekaże. Mam nadzieję, że podejmiesz słuszną decyzję i że dobrze wykorzystasz owoce mojej pracy, bym mógł w ten sposób wynagrodzić ci lata, gdy zaniedbywałem cię jako ojciec.

Żegnaj, mój synu. Kiedy odczytasz ten dokument, nie będzie mnie już na tym świecie. Módl się żarliwie za wieczny spokój mojej duszy.

Podpisano: Guillem Barbany de Gorb

Na marginesie widniał skomplikowany podpis Barucha Benvenista.

Po wysłuchaniu słów Żyda Marti poprosił o testament, by przeczytać go jeszcze raz. Zamyślił się na moment, podał pergamin ojcu Llobetowi, by on także się z nim zapoznał, po czym spojrział wyczekująco na *dajana*. Ten, rozumiejąc bez słów, o co chodzi, wstał od stołu i wyszedł z komnaty. Po krótkiej chwili wrócił w towarzystwie służącego, który wniósł dziwny kufer, postawił go na stole i oddalił się. Zobaczywszy go, ojciec Llobet, który podniósł właśnie wzrok znad pergaminu, wykrzyknął:

— Na relikwie świętej Eulalii! Poznaję ten kufer. Przypadł w udziale waszemu ojcu jako zdobycz wojenna po kampanii pod Leridą w tysiąc dwudziestym drugim roku, w której hrabia zwyciężył.

Dębowy kufer wzmocniony był czterema żelaznymi obręczami z kutego żelaza najlepszej jakości i miał pewną szczególną cechę.

— Choć przez całe długie życie zajmuję się strzeżeniem różnych niezwykłych przedmiotów, nigdy nie powierzono mi na przechowanie czegoś takiego.

Mówiąc to, Baruch Benvenist wskazał zamki kufra. Najwyraźniej było w nim coś dziwnego. Nie miał zawiasów i opasywały

go cztery wyjątkowo grube żelazne obręcze, z zamknięciem na każdym boku, aby więc podnieść wieko, należało je równocześnie otworzyć. Żyd, wydobywszy z kieszeni togi klucz o dziwnych ząbkach, oznajmił:

— Ty powinieneś mieć drugi. Kiedy otworzę dwa zamki i zostawię klucz, otwórz pozostałe dwa.

— Pamiętam, jakby to było wczoraj, ów dzień, gdy twój ojciec wyjaśnił mi działanie tego mechanizmu — powiedział ojciec Llobet. — Był to podobno skarbiec mauretańskiego władcy Tortosy, który zabierał ze sobą, gdy wyruszał w podróż. Jeśli oba klucze nie są włożone do dwóch przeciwległych zamków, kufra nie da się otworzyć. To koronkowa robota królewskich ślusarzy.

Na znak Benvenista Marti wstał i podszedł do kufra. Drżały mu ręce. Baruch Benvenist umieścił swój klucz w jednym z zamków i pokazał Martiemu, do którego ma włożyć drugi. Przekręcił klucz, ale nic to nie dało. Wówczas Marti przekręcił swój i rygle obu zamków zazgrzytały, przesuwając się równocześnie. Następnie wyjęli klucze i powtórzyli tę samą operację z pozostałymi dwoma zamkami. Wzmocnionego żelazem wieka nic już nie trzymało i Marti, świadomy doniosłości chwili, mógł je zdjąć. Oczom trzech mężczyzn ukazał się owoc wysiłków człowieka, walczącego całe życie na pograniczu. Na stercie monet, których wartość przekraczała na pierwszy rzut oka tysiąc lub półtora tysiąca *mancusos sargentianos**, leżała cenna biżuteria, złote wisioriki i kolczyki, bransoletka z błękitnym szafirem i diadem, który musiał należeć do królowej. Był ze złota i drogich kamieni, a na środku miał rubin w kształcie łyżki, lśniący w blasku świec jak ogromna kropla krwi.

* Wartość jednego *mancuso* odpowiadała trzydziestu pięciu złotym monetom o wadze czterech gramów. Istniały *mancusos sargentianos* z Saragossy, *mancusos jafaries*, od imienia Jafara Almudisa, oraz pochodzące z mennicy Mansura Ceptisa z Ceuty. Ostatecznie zaczęto je bić w Barcelonie, powierzając to zadanie Żydowi o nazwisku Bonhom. Nazywano je barcelońskimi albo „od dobrego Żyda”. Ważyły siedem uncji po dwa siedemdziesiąt grama.

— Ojciec doprawdy uczynił cię bogaczem — stwierdził Żyd.
— Zrób z tego mądry użytek i nie zmarnuj tylu lat trudu i wyrzeczeń twego rodzica — upomniął Marti ego ojciec Llobet.
Młodzieniec, który wciąż nie mógł uwierzyć w to, co ma przed oczami, zastanawiał się chwilę, zanim odpowiedział:
— Biorę Boga na świadka, że wykorzystam ten spadek, aby spełnić życzenie mojego ojca, a was proszę o pomoc i radę. Przeznaczę to nieoczekiwane bogactwo, owoc uczciwej i wytrwałej pracy, na działalność, która przyniesie korzyść wielu ludziom, by zadośćuczynić tym, których ojciec przez swoje nieszczęsne rzemiosło niewątpliwie skrzywdził. Jeśli wypełnię to zadanie, niech Pan w niebiosach mnie wynagrodzi, a jeśli nie, niech mnie ukarze.

11

Spotkanie

Tuluza, grudzień 1051 roku

Korytarz był długi i kręty, odchodziły od niego inne korytarze, które musiały prowadzić do innych komnat albo na zewnątrz. W pewnym momencie, przy nikłym świetle kandelabru niesionego przez karła wspięli się na schody wykute w litej skale. Hrabia domyślał się, że są na wysokości dziedzińca, gdyż słyszeli nad sobą uczujących strażników. Potem odgłosy libacji rozpłynęły się w mroku i hrabia zobaczył, jak karzeł przesuwał palcami po murze, który zamyka korytarz. W końcu znalazł przycisk i ku zdumieniu Ramóna ściana przesunęła się, umożliwiając im wejście do konfesjonału stojącego z boku małej kaplicy.

— To prywatna kaplica hrabiny — wyjaśnił Delfin. — Można się tu dostać tylko tym sekretnym korytarzem albo przez prywatne komnaty mojej pani.

Hrabia Barcelony nie mógł wyjść z podziwu. Karzeł, otworzywszy drzwiczki konfesjonału i wprowadziwszy hrabiego do kaplicy, oznajmił:

— Teraz musicie tu poczekać. Powiadomię moją panią.

Po tych słowach zniknął za jedną z bocznych kotar, zabierając kandelabr i pozostawiając Ramóna Berenguera, hrabiego Barcelony, zdumionego, pełnego nadziei i rozdartego między po-

czuciem triumfu i wyrzutami sumienia człowieka, który nadużywa gościnności przyjaciela, zamierzając wykraść mu kobietę.

Lampka tabernakulum rzuciła czerwoną poświatę. Oczy hrabiego przywykły stopniowo do półmroku i wkrótce rozróżniał już kontury przedmiotów. Uklęknął w ostatniej ławce i zaczął się modlić.

„Boże mój i Panie, nie potrafię oprzeć się przeznaczeniu. Postawiłeś przede mną tę kobietę i pozostaje mi jedynie ją kochać. Stworzyłeś ją taką, by porażała mój wzrok i pozbawiała mnie woli. Błagam cię o zmiłowanie za to, co zamierzam uczynić, jeśli ona się zgodzi. Wybacz mi... Jestem gotów zaryzykować wieczne potępienie mej duszy”.

W tym momencie, w aureoli światła dochodzącego z małej zakrystii za ołtarzem, pojawiła się Almodis z Marchii. Ubrana była w dyskretną tunikę, stosowny dla damy strój do sypialni, i niosła w lewej ręce kaganek, którego drżący płomień rozjaśniał mroczne wnętrza.

Hrabina Tuluzy dostrzegła Ramóna w głębi kaplicy i skierowała ku niemu swe kroki. Wyszedłszy jej na spotkanie, uklęknął i ucałował wyciągniętą dłoń. Kiedy się podniósł, wymienili żarliwe spojrzenia, które nie wymagały słów.

Almodis, nie puszczając ręki hrabiego, pociągnęła go za sobą. Przez wielobarwną rozetę wpadało do kaplicy blade światło księżycy. Wpatrując się intensywnie w zahipnotyzowanego Ramóna Berenguera, hrabina zaprowadziła go do swojej sypialni przez znajdującą się za ołtarzem komnatę, w której celebransi przebierali się przed nabożeństwami. Tam zbliżyła się do niego powoli się i ku zdumieniu hrabiego, w blasku dwudziestu świec ogromnych kandelabrow, zrzuciła z siebie ubranie. Haftowana tunika, halki i koszula opadły na podłogę. Rozpuściwszy na koniec gruby warkocz, w który splecione były jej rude włosy, ukazała się oczom hrabiego zupełnie naga. Ramón Berenguer, który dotychczas kochał się ze swymi dwiema żonami przy mdłym blasku świecy, wizerunkach świętych odwróconych do ściany i zawsze w nocnej koszuli, nie mógł oderwać od niej

wzroku. Hrabina weszła po drabince do swego łoża z baldachimem i wyciągnęła zapraszająco rękę. Hrabia pozbył się niezdarnie odzienia i wspiał się na górę, jakby szturmował mury zamku wroga. Kiedy zamierzał wywiązać się brutalnie z roli, którą natura wyznaczyła samcom wszystkich gatunków, Almodis powstrzymała go.

— Zapanuj nad sobą i delektujmy się tą chwilą, która może się już nie powtórzyć.

Opierając delikatnie prawą rękę na jego ramieniu, kazała mu się położyć. Potem przyłgnęła do niego i z twarzą zasłoniętą kaskadą rudych włosów, zaczęła pieścić go ustami. Ramón Berenguer, hrabia Barcelony, Osony i Gerony, myślał, że umrze z rozkoszy i że dla takich chwil warto zrezygnować z wiecznej chwały. Niech Bóg zachowa ją dla siebie, jego już nie interesowała.

12

Plany na przyszłość

Barcelona, maj 1052 roku

Marti był bardzo skonfundowany. Przekonanie, że ojciec pozostawił go swemu losowi, by wieść życie, jakie lubił, zaczęło nagle pękać i rozsypywać się jak zamek z piasku. Poznane ostatnio fakty skłoniły go do kilku wniosków. Po pierwsze, jego ojciec wypełniał jedynie obowiązek, który spoczywał na nim z racji paktów i umów zawartych przez jego przodków i z którego honor nakazywał mu się wywiązać. Poza tym, w przeciwieństwie do innych żołnierzy w tamtych czasach, przestrzegał obowiązujących na wojnie zasad i starał się wykonywać swój trudny zawód, nie będąc barbarzyńcą. Po drugie, nie chciał nawet bogacić się dla siebie i wszystkie dobra gromadził z myślą o synu, którego prawie nie znał.

W testamencie pozostawił tylko jedno zalecenie, by syn uczył jego pamięć, godnie wykorzystując spadek i wynagradzając w ten sposób szkody, jakie przez swoje rzemiosło ojciec wyrządził innym. Można by rzec, że dzięki wysiłkom ojca Marti mógł łatwiej rozpocząć swą przygodę w tym pasjonującym mieście, o czym wcześniej nie marzył nawet w najpiękniejszych snach.

Minęło dziesięć dni, odkąd przybył do Barcelony pełen nadziei, z niewielką ilością pieniędzy, pierścieniem i listem polecającym, a teraz mógł powiedzieć, że mu się poszczęściło. Porządkując

myśli, powziął dwie decyzje. Przede wszystkim postanowił wyprowadzić posłańca do matki i przekazać jej dobre nowiny, aby nie żywiła już urazy do zmarłego męża. Poza tym zlecił archidiaconowi Llobetowi odprawienie stu mszy za wieczny odpoczynek duszy ojca. Gdy wypełnił te dwa zadania i zanim jeszcze zaczął się zastanawiać, na jakie cele przeznaczy otrzymany niedawno majątek, postanowił najpierw pomyśleć, jak najlepiej go strzec, bo nie mógł długo trzymać takiego dobytku w sakwach. Poprosił o pomoc starego Benvenista, wiedząc, że zaufanie, jakim darzył go ojciec, jest gwarancją jego uczciwości.

— Widzę, że lubisz wcześniej wstawać i masz lekki sen — przywitał go bankier w drzwiach swego domu.

— Powiedzcie raczej, że w ogóle nie mogę spać. Trudno przyjąć do wiadomości te wszystkie rewelacje, które przekazaliście mi przedwczoraj. Dziś rano sądziłem, że mi się to tylko przyśniło.

Starzec wziął Martiego pod rękę i zaprowadził do swego gabinetu, gdzie obaj usiedli.

— A więc nie, drogi przyjacielu, to nie był sen. Przekonasz się z upływem lat, że takie niezwykle przypadki, które zmieniają bieg życia, nie są częste, a jednak się zdarzają, i nauczysz się temu nie dziwić. Miłosierdzie Jahwe dociera do wszystkich ludzi.

— Ta nowa sytuacja mnie przerasta, ale myślę, że się przyzwyczaję. O wiele łatwiej przywyknąć do bogactwa, niż będąc bogaczem, pogodzić się z biedą.

— Nie wierz w to. Nagłe bogacenie się niesie wiele niebezpieczeństw, jeśli ktoś nie ma głowy na karku.

— Nie obawiajcie się. Zawsze dotrzymałem słowa i życie mego ojca jest dla mnie rozkazem.

Benvenist przyglądał mu się z uwagą.

— Dobrze, przejdźmy do rzeczy. Po pierwsze, co chcesz zrobić z pieniędzmi, by były bezpieczne? Dopóki czegoś nie postanowisz, nie możesz nosić ich przy sobie.

— W tej sprawie tu przyszedłem. Pragnąłbym, byście je przechowali, zanim poweźmę odpowiednie decyzje. Prosiłbym

was też o radę. Ojciec wspominał chyba w testamencie, że mogę na nią liczyć.

— Czuję się zaszczycony, ale muszę ci przypomnieć, że jestem Żydem.

— To dla mnie żadna przeszkoda, a raczej zaleta. Czy nie doradzacie przypadkiem hrabiemu? Pochodzę ze wsi, ale szybko się uczę. Obserwuję, jak postępują ci, których powinienem naśladować. Skoro ludzie najbardziej wpływowi korzystają z usług Żydów i darzą ich zaufaniem w sprawach tak delikatnych, jak zdrowie i podatki, dlaczego ja miałbym tego nie robić?

Żyd pogładził brodę.

— W porządku. Zanim zaczniemy się martwić, na co powinienś przeznaczyć te pieniądze i jak je najlepiej zainwestować, pomyślmy najpierw, gdzie i w jaki sposób je przechowamy, aby były bezpieczne i byś zawsze mógł nimi dysponować, nawet gdybym wyjechał z miasta albo, co gorsza, gdyby coś mi się stało.

— I co mi radzicie?

— Jeśli chcesz, moglibyśmy ukryć je w piwnicy mojego domu, gdzie przechowuję także swój dobytek. To bezpieczne i bardzo dyskretne miejsce, o którym prawie nikt nie wie: wykuta w skale piekarnia z czasów rzymskich, którą powiększyłem. Nawet nasz hrabia, może przez ostrożność, a może dlatego, że woli trzymać pewne rzeczy z dala od wścibskich oczu, powierza mi swoje bogactwa.

Marti się uśmiechnął.

— Wasza propozycja wydaje mi się doskonała, ale zanim z niej skorzystam, chciałbym dowiedzieć się bardziej szczegółowo, co waszym zdaniem powinienem zrobić, by stać się kiedyś prawdziwym obywatelem Barcelony.

— Drogi młodzieńcze, za bardzo ci spieszno. Aby zostać szanowanym obywatelem tego miasta, trzeba po pierwsze czasu, a po drugie, należy dobrze go wykorzystać, aby wykazać się uczciwością i pracowitością niezbędną do zdobycia uznania innych mieszkańców. Wierz mi, że mieszkać w Barcelonie nie znaczy jeszcze być jej obywatelem.

— Wyjaśnijcie mi to, proszę — nalegał Marti.

— Widzisz, na tych terenach zachowało się dziedzictwo wazygockie, a zatem i rzymskie. Można powiedzieć, że dominia, które utworzyły Marchię Hiszpańską, wyprzedzają znacznie, jeśli chodzi o prawa, pozostałe królestwa półwyspu, zarówno chrześcijańskie, jak i mauretańskie, gdzie są trzy liczące się stany: król, szlachta, czyli feudałowie, i kler. Tymczasem na naszej błogosławionej ziemi istnieje czwarta władza, obywatele, i wierz mi, że z dnia na dzień mają oni coraz większe wpływy. Dlatego właśnie zdobycie pełni praw obywatelskich, jeśli ktoś się tu nie urodził, nie jest sprawą łatwą. Rozumiesz mnie? Ośmielam się twierdzić, że nadejdą czasy, gdy tytuł ten będzie miał taką samą wartość, jak w starożytności obywatelstwo Rzymu.

Marti, który nie uрониł ani słowa z wyjaśnień Żyda, zamyślił się na chwilę.

— Musi jednak istnieć jakaś droga dla tych, którzy urodzili się poza miastem.

— Owszem, ale jest długa i kręta. Trzeba mieć szczęście albo, na przykład, zawrzeć małżeństwo z kobietą, która ma obywatelstwo.

— Skoro inni sobie poradzili, mnie też się uda. A jeśli chodzi o szczęście, sami pokazaliście, że gwiazdy mi sprzyjają— odparł Marti z mieszaniną prostoduszności i wiary w siebie.

Żyd spojrział na niego przenikliwie, a dziesiątki zmarszczek wokół jego chytrych oczek nagle zniknęły i uśmiechnął się szeroko.

— Lubię ludzi z takim charakterem. Nie wiem, czy ci się uda, ale życzę ci powodzenia.

— Trudności nigdy mnie nie przerażały. Wprost przeciwnie, pobudzają mnie do działania. Pracuję przez całe życie i nic innego nie potrafię. Ręczę za moją uczciwość, a o małżeństwie wcześniej czy później będę musiał pomyśleć.

— Czas najlepiej potwierdzi twe słowa.

— Wytyczmy więc dla mnie drogę, jeśli łaska, zaczynając od początku — powiedział Marti stanowczym tonem.

— Dobrze, więc do dzieła. Przede wszystkim musisz się osiedlić, dbając o swoją reputację i szacunek sąsiadów, bo to ci pomoże znaleźć żonę. Rozumiesz?

Marti skinął lekko głową.

— Zatem jeszcze dziś, jeśli pozwolisz, pójdę z tobą na targ niewolników, który odbywa się za murami, na placu Boqueria, i wybierzemy dla ciebie odpowiednią służbę. Na razie zostanie tam pod strażą, a my zajmiemy się twoim zakwaterowaniem.

— Niewolnicy, powiadacie? — Marti był wyraźnie niezadowolony.

— Posiadanie niewolników, a nie tylko służących, doda splendoru twemu nazwisku. Sąsiedzi nie zrozumieliby, dlaczego nie ma ich człowiek o takiej pozycji. Poza tym możesz być pewny, że nie zostaniesz oszukany. Jeden z głównych handlarzy jest moim krewnym i dobrze ci doradzi. Przy zakupie niewolnika należy brać pod uwagę, poza jego użytecznością, także stan zdrowia i charakter, i określić wyraźnie, do jakiej pracy ma być przeznaczony.

— Dobrze — zgodził się Marti, trochę wbrew sobie — posłucham waszych zaleceń. A co mi radzicie, jeśli chodzi o mieszkanie?

— Zanim znajdziemy coś odpowiedniego, wynajmiesz dom zaspokajający twoje potrzeby. W tak ważnej sprawie nie należy się spieszyć. Ale nie zaczynajmy od końca i róbmy wszystko we właściwej kolejności.

Żyd podniósł się z fotela i skinął na Martiego, by podążył za nim. Chłopak obejrzał jego skarbiec i stwierdził z zadowoleniem:

— Dziękuję wam i mam nadzieję, że kiedyś będę mógł się za wszystko odwdziaczyć.

— A ja liczę, że ten dzień nigdy nie nadejdzie.

— Dlaczego tak mówicie? — spytał Marti, nieco urażony.

— Żle się dzieje, gdy ludzie mojej nacji muszą prosić o przy usługę chrześcijan.

13

Następnego dnia

Tuluza, grudzień 1051 roku

Ramón odtwarzał po wielokroć w pamięci zdarzenia minionej nocy jako coś nierealnego i niepowtarzalnego. Przypominał sobie, iż w pewnym momencie dyskretne pukanie do drzwiczek, które prowadziły do korytarza kaplicy, oznajmiło kochankom, że czas minął. Hrabina wyszła pospiesznie z łoża i chwyciwszy lekki szlafrok, narzuciła go sobie na ramiona, aby okryć ponętne kształty. Hrabia miał zamęt w głowie i mieszała mu się kolejność zdarzeń. Pamiętał niejasno szeptu Almodis i z jej pochylonej sylwetki wnosił, że rozmawiała z karłem. Na znak hrabiny ubrał się i po długim pocałunku z trudem się od siebie oderwali. Jej pożegnalne słowa rozbrzmiewały mu echem w głowie: „Jutro w południe Delfin zaprowadzi cię do mojego prywatnego ogrodu. Musimy wyjaśnić sobie wiele spraw”.

Karzeł towarzyszył mu w drodze powrotnej do komnaty i gdy bezpiecznie tam dotarli, umówił się z nim na spotkanie następnego dnia. Ramón spytał o jego pana, hrabiego Tuluzy. „Nie martwcie się, o tej porze bierze lecznicze kąpiele w wodach siarkowych”, odparł karzeł. „Wróci do zamku dopiero po drugiej”. Potem, leżąc w wielkim łożu i nie mogąc zmrużyć oka, Ramón zaczął obmyślać plan, który tak czy inaczej zależał od tego, co powie mu Almodis. Plan, choć ryzykowny, wydawał się realny.

obcisłymi rękawami, przywiązanych za pomocą tasiemek do środkowych palców obu dłoni i wykończonych złotą lamówką. Lśniące rude włosy splecione miała w gruby warkocz. Ramón miał wrażenie, że widzi zjawę z innego świata. Almodis podeszła do niego uśmiechnięta i pewna siebie i wyciągnęła rękę, by ją ucałował. Potem, sam nie wiedząc kiedy, znalazł się u jej boku na kamiennej ławce.

— Pani, czy to bezpieczne miejsce?

— Najbezpieczniejsze w pałacu. Tu zwykle się spowiadam. Tylko opat Sant Genis przychodzi tutaj, gdy go wezwę.

Almodis była piękna, pasjonowała ją polityka i miała jedną ambicję: kontrolować swoją przyszłość, aby nie znaleźć się w niekorzystnej sytuacji z powodu decyzji innych. Po chwili milczenia, która Ramónowi wydawała się wiecznością, oznajmiła:

— Wiesz równie dobrze jak ja, po co tu jesteśmy.

— Pani...

— Pozwól, hrabio, że na razie ja będę mówiła.

Ramón, drżąc z emocji, ujął obie dłonie Almodis i czekał.

104

Wkrótce, gdy on wyruszy do Gerony, aby spotkać się ze swą babką, jego zaufany dworzanin, Gilbert d'Estruc, pogalopuje wprost do Barcelony z rozkazami.

Świt zaskoczył go przy oknie komnaty, przekonanego, że przyśnił mu się tej nocy piękny, niepowtarzalny sen. To uczucie towarzyszyło mu aż do chwili, gdy Delfin przyszedł, by zaprowadzić go do prywatnego ogrodu hrabiny. Był to zaciszny zakątek między absydą kaplicy i salonem Almodis. Wchodziło się tam wprost z kaplicy albo po schodkach z balustradą z pierwszego piętra. Kamienna ławka, stojąca między grządkami pod gęstą magnolią, stanowiła, jak powiedział karzeł, konfesjonał jego pani. W tle słychać było szmer płynącej wody. Delfin zniknął dyskretnie jak cień i Ramón Berenguer, hrabia Barcelony, został sam, zdenerwowany i oszołomiony jak żołnierz przed pierwszą bitwą. Kiedy hrabina Almodis pojawiła się na schodach, poczuł kołatanie serca, znajdując potwierdzenie, że to nie sen. Jej smukłą

— To, co wczoraj nam się przydarzyło, opisują starożytne księgi i dotychczas sądziłam, że takie historie wymyślają trubadury i poeci. Jestem pewna, że czujesz to samo. Nie pytaj, dlaczego tak się dzieje, ale od chwili, gdy wczoraj rano przekroczyłeś próg sali tronowej, wiedziałam, że z tym uczuciem nie da się walczyć. Gdy pojawia się w jednym sercu, można mu się jeszcze oprzeć, ale gdy zagości w dwóch, o wszystkim decyduje przeznaczenie. Nigdy nie zaznałam szczęścia, lecz nie to mnie niepokoi. Jestem dojrzałą kobietą, a do wczoraj nie przeżyłam niczego podobnego. Moje pierwsze małżeństwo zostało anulowane, drugi mąż mnie porzucił i nigdy nie obudziła się w mej duszy taka namiętność jak tej nocy. Moje życie, hrabio, straci sens, jeśli zabraknie mi nadziei, że od czasu do czasu się spotkamy.

Ramón Berenguer sądził, że lada chwila przebudzi się z pięknego snu i znajdzie w zupełnie innej rzeczywistości. Nie ośmielał się nawet oddychać, aby czar nie prysnął. Almodis zamilkła, więc odważył się odezwać.

— Wierz mi, że nie traciłem ducha nawet wówczas, gdy w bardzo młodym wieku stawałem do walki przeciw Maurom. Ja też do wczoraj nie znałem miłości i podobnie jak ciebie dwukrotnie zmuszono mnie do małżeństwa. Gdy jako dziecko zostałem sierotą, ze względu na rację stanu moja babka i regentka hrabstwa, Ermesenda z Carcassonne, znalazła mi żonę wśród szlachcianek Barcelony. Nie wiedziałem, czym jest miłość, i w swej naiwności wierzyłem, że to mieszanina wdzięczności i przywiązania. Elisabet urodziła mi dzieci i dwa lata temu mnie opuściła. Wszyscy nalegali, że powinienem powtórnie się ożenić i znów zaaranżowaniem małżeństwa zajęła się moja babka. Wybranką została tym razem Blanca z Ampurias i aż do dziś było mi obojętne, czy pozostanę wdowcem, czy będę miał żonę. Tak samo jak wy, nie mogłem dotąd swobodnie decydować, z kim chcę dzielić życie. Uczucie, które zrodziło się nagle między nami, jest czymś tak zniewalającym i nieprzewidywalnym, że od tej chwili moja egzystencja, jeśli nie zostaniesz przy mnie, straci sens i będzie nieznośnym cierpieniem.

— Myślę tak samo, hrabio, i byłabym gotowa na wszystko, byle tylko budzić się co rano u twego boku. Ale zastanów się, co masz do stracenia. Nie wybaczyłabym sobie, gdybyś z mojej winy stracił hrabstwo, a może nawet życie. Dzielą nas święte śluby, groźba konfliktu między dwoma narodami i obowiązek dawania przykładu naszym poddanym.

— Powtarzam ci, pani, że moje życie straci wartość, jeśli nie będę mógł przeżywać go wspólnie z tobą.

Na chwilę zapadło milczenie. Potem znów odezwała się Almodis:

— Wystarczyłoby mi, gdybym miała od ciebie wiadomości i spędziła czasem z tobą parę dni w zamku jakiegoś wasala, który zechce nas ugościć pod pretekstem polowania albo turnieju.

Ramón Berenguer wyprostował się dumnie.

— Być może tobie by to wystarczyło, ale mnie nie. Jestem hrabią Barcelony. Klnę się na diabła, że nikt nie będzie już podejmował za mnie decyzji! Jeśli ty jesteś nagrodą, pokonam wszelkie przeszkody, które staną mi na drodze do szczęścia. Skoro Bóg sprawił, że cię poznałem, nie mam zamiaru się poddawać.

— Przykro mi, panie, że to powiedziałam. Wszystko jest tak skomplikowane, że nie widzę sposobu, by poradzić sobie z tyloma trudnościami. Jestem mężatką, urodziłam dzieci, Kościół nie unieważni mojego małżeństwa, Tuluza też zaprotestuje i nasze życie stanie się piekłem.

— Pani, jeśli mnie wesprzesz, potrafię pokonać wszystkie trudności. Odjadę, ale wkrótce otrzymasz ode mnie wiadomości. Zostawię żonę i uprowadzę cię do Barcelony, nie zważając na wszelkie protesty, a kiedy już tam będziesz, nikt nie odważy się choćby tknąć rąbka twej sukni.

Wbrew swojej woli i mimo chęci kontynuowania podróży, Ramón Berenguer zatrzymał się w Perpignan za radą majordoma, Gualberta Amata, gdyż żołnierze po ciężkim dniu byli wyczerpani

i rozdrażnieni. Miejscowy hrabia, Bertrand de Saint-Remy, był krewnym rodu hrabiów Barcelony i choć należał do stronników hrabiny Ermesendy, o której przyjaźń zabiegał ze względu na sąsiedztwo ich ziem, podlegał Ramónowi po podziale terytoriów, jakiego ten dokonał wspólnie z babką.

Orszak został przyjęty, jak nakazywało prawo, przez mieszkańców zamku w Perpignan. Gdy dano już gościom zwyczajowe dowody szacunku i zaspokoiono ich potrzeby, hrabia Barcelony oddalił się do swych komnat, nie bawiąc się w uprzejmości, gdyż chciał być sam, by uporządkować myśli.

Czas włókł się niemiłosiernie. Nocą hrabia wpatrywał się w świecący nad murami fortecy jasny księżyc, świadka spotkań zakochanych, i wyobrażał sobie, że w dalekiej Tuluzie Almodis również na niego patrzy. Kiedy o świcie wrócił do sypialni, walczył z bezsennością, rozmyślając o zmiennych kolejach swego losu, i robił plany na przyszłość, postanowiwszy, że od tej pory ani babka Ermesenda, ani nikt inny nie będzie decydował o jego życiu.

Snuł wspomnienia i odtwarzał w pamięci wydarzenia minionych lat.

W zeszłym roku podpisał dwa traktaty pokojowe o wielkim znaczeniu dla przyszłości hrabstwa i dla jego osobistych planów. Niekończącym się potyczkom z sąsiadem z Penedes, hrabią Mirem Geribertem, położył wreszcie kres układ, w którym obaj rezygnowali ze swych pretensji i który gwarantował tymczasowy rozejm, pozwalający mu skoncentrować wysiłki na przedsięwzięciach ważniejszych dla hrabstwa, jak również zadbać bardziej o bezpieczeństwo miasta, gdyż kiedyś zarozumiały hrabia, który zawłaszczył spadek swego brata Sanca, opanował dwie wieże murów obronnych. Przyczyny tych konfliktów sięgały odległych czasów. Wiele z nich Ramón odziedziczył po ojcu, Berenguerze Ramónie zwanym Garbusem, którego nie znał. Po śmierci ojca jego babka Ermesenda nadal była zwaśniona z młodym hrabią z Penedes. Motywy sporu były wielorakie. Jedne miały charakter polityczny, gdyż sąsiad miał czelność ogłosić się księciem Oler-

doli, podważając autorytet hrabiego, inne wynikały z uporu babki, która nie chciała zrezygnować z przywilejów *potestas**, należnych jej po śmierci męża, Ramóna Borrrella. Choć niewątpliwie postąpiła tak, by bronić praw Ramóna i jego braci, rozumiał on, że to relikty minionej epoki i że w XI wieku tego typu problem, wynikający bardziej z urażonej ambicji niż z innych powodów, można było rozwiązać za pomocą układu o *convenientia*, który o wiele bardziej odpowiadał skłonnej do buntu feudalnej szlachcie.

Ramón wiele już w życiu doświadczył i to sprawiało, że czuł się czasem o wiele starszy, niż był w rzeczywistości. Zanim osiągnął dojrzałość, jego babka Ermesenda z Carcassonne ożeniła go z Elisabet z Barcelony, która z czasem urodziła mu troje dzieci. Przeżył ją tylko jeden z synów, Pedro Ramón. Pierwsza córka dostarczała Ramónowi samych radości. Młodszy od niej syn miał porywczy charakter i sprawiał już w dzieciństwie wiele kłopotów. Owidowiawszy, Ramón opłakiwał śmierć żony. Chociaż jej nie kochał, była dobrą i wierną towarzyszką życia, która nie zawiodła go w żadnej sytuacji i przeżyła dzielnie u jego boku niezliczone trudności i perypetie, nie wahając się ryzykować życia. Na przykład owej nocy, gdy pałac hrabiego został obrzucony kamieniami podczas buntu wicehrabiego Eudalda II I biskupa Gilaberta, krewnych władcy Penedes, który sprowokował zamieszki. Bunt został stłumiony dzięki interwencji mieszkańców, którzy poparli hrabiego i przywrócili jego władzę. Aby zapewnić pokój w Barcelonie, trzeba było zapłacić wysoki podatek, ale nie miało to dla niego znaczenia. Po śmierci Elisabet przed dwoma laty, babka postanowiła ożenić Ramóna, prawdopodobnie po to, by móc go kontrolować, z nieco od niego starszą i cieszącą się jej zaufaniem Blançą z Ampurias. Pamiętał dokładnie tę datę: szesnasty marca 1051 roku. Ślub odbył się w klasztorze Sant Cugat, jednym z ulubionych miejsc Ermesendy.

* *Potestas* — relacja podległości między szlachcicem wyższej i niższej rangi, z którą wiązały się określone zobowiązania.

Ale to było, zanim za sprawą opatrności pojawił się na jego drodze anioł, którego nie miał zamiaru opuszczać.

W istocie obmyślony przez niego plan był już wprowadzany w życie. Gilbert d'Estruc wykonywał jego rozkazy, a on zaczął działać, gdy tylko dotrze do Barcelony, pamiętając o tym, że w drodze powrotnej powinien zatrzymać się w Geronie i pomówić z babką, aby załagodzić spór ze starą i drażliwą hrabiną.

14

Targ niewolników

Barcelona, maj 1052 roku

Dopełniwszy wszystkich formalności niezbędnych dla zabezpieczenia zdobytej niedawno fortuny, Marti wyruszył na targ niewolników, postanawiając wykorzystać po drodze towarzystwo swego przyjaciela Żyda, by dowiedzieć się, jak i kiedy zainwestować pieniądze.

Wyszli z miasta, z dzielnicy Cali, przez bramę Castellnou, i zostawiwszy za sobą mury, skierowali kroki na plac Boqueria, przechodząc przez drewniany most nad szerokim korytem rzeki, które wypełniało się, gdy woda spływała z gór i gromadziła się w Cagalell, gdzie podczas upałów nieznośnie cuchnęło. Tam właśnie handlowano niewolnikami, sprowadzanymi zarówno z terenów pogranicza Marchii, położonych w pobliżu wielkiej rzeki Ebro, jak i z okolic plaży u podnóża wzgórza Montjuic, gdzie od niepamiętnych czasów statki pływające po Marę Nostrium wyładowały towary. W wielu przypadkach byli to niewolnicy, przywożeni ze wszystkich portów Morza Śródziemnego, od Konstantynopola po Słupy Herkulesa.

Ciekawość Martiego była nienasycona i Żyd, zadowolony z jego dociekliwości, odpowiadał wyczerpująco na wszelkie pytania.

— Widzisz, nie ma złych czy dobrych interesów, są tylko

ludzie, którzy źle lub dobrze prowadzą. Jeśli masz cierpliwość i szeroko otwarte oczy, zauważysz, że istnieją dwa rodzaje handlowania: takie, które wymaga stałej obecności kupca, oraz okazje, które trafiają się sporadycznie i które dzięki wizji lub odwadze potrafisz wykorzystać.

— Powiedźcie mi, Baruchu, dlaczego wy, Żydzi, nie prowadzicie sami interesów, które z takim wyczuciem doradzacie innym?

— Odpowiedź jest bardzo prosta: zabrania nam tego prawo. Ludziom mojej nacji wolno zajmować się tylko określonymi transakcjami i zawodami. Skoro i tak zazdrość, która jest córką nieudolności i złej woli miernot, sprawia, że co jakiś czas wody ich nienawiści występują z brzegów i musimy zamykać się w naszych dzielnicach, wyobraź sobie, co by się działo, gdybyśmy zaczęli rywalizować z chrześcijanami. Nie, drogi przyjacielu, życie jest zbyt cennym dobrem, by narażać je dla większego czy mniejszego bogactwa. My, Żydzi, ograniczamy się do prowadzenia interesów, na które mamy zezwolenie, i drogo nas ono kosztuje.

O takich sprawach mówili, gdy w oddali pojawiło się łukowate zwieńczenie bramy wiodącej na targ niewolników. W miarę jak się do niej zbliżali, oczy chłopaka otwierały się coraz szerzej ze zdumienia. Nigdy, nawet podczas największego jarmarku w Geronie, na który zawoził swoje plony, nie widział tylu wozów, karet i koni, ile zgromadziło się wokół tego ogromnego targowiska. Powietrze wypełniały krzyki woźniców torujących sobie drogę, złorzeczenia strażników, obelgi forysiów i trzaski batów ludzi nadzorujących transport niewolników. Marti zwrócił szczególną uwagę na wozy, na których ich wieziono. Zaprzężone w cztery woły sunęły powoli przy wtórze rozdzierających lamentów nieszczęśników, stłoczonych na ogromnych platformach w wielkich drewnianych klatkach o grubych prętach. Były one oznakowane różnymi kolorami identyfikującymi ich właścicieli, podobnie jak położone w głębi targu lochy, do których wprowadzano udręczonych niewolników.

Mniej więcej na środku placu stało jak szubienica wielkie podium, wsparte na dębowych kozłach i przykryte sięgającą do ziemi płachtą z wytartego zielonego aksamitu. W jego centrum umieszczono żelazny słup, z którego zwisało mnóstwo metalowych obręczy, a z tyłu znajdował się zadaszony i okratowany korytarz prowadzący do lochów. Widząc, że Marti przygląda się słupowi, Baruch wyjaśnił:

— Służy do przykuwania niewolników łańcuchami. Niektórzy bywają agresywni. Pamiętajcie, że w swoich krajach byli wolnymi ludźmi, więc nim pogodzą się z nowym położeniem, często przysparzają kłopotów.

Wokół podium, za drewnianym płotkiem, gromadzili się uczestnicy licytacji. Na obwodzie placu widać było tu i ówdzie ciągnięte przez krępe konie karety z wielkimi kołami, mające opuszczone zasłonki ze skóry lub grubej tkaniny, gdyż ich właściciele woleli nie pokazywać się pospólstwu. Zdarzały się także lektyki. Szczególnie jedna zwróciła uwagę Martiego. Była wyjątkowo luksusowa, nieśli ją szczupli wysocy Murzyni, a jej złota kabina, ozdobiona u góry czarno-zielonymi motywami kwiatowymi, miała zaciągnięte zasłonki.

— Do kogo należy ten palankin? — spytał Marti.

— Ma barwy rodu Montcusich. Jego patriarcha, Bernat, to jeden z najbardziej wpływowych ludzi w mieście i, szczerze mówiąc, najbardziej odpychających. Nie jest feudałem, należy do stanu obywateli, ale zobacz, ile znaczy, skoro nie pochodząc ze szlachty, stał się już dawno jednym z ulubionych doradców hrabiego i spadają na niego najmniej przyjemne zadania. Kiedy trzeba powiedzieć „nie” któremuś ze szlachciców, zajmuje się tym Montcusi. Pamiętaj, co mówiłem na temat tego, jak trudno jest uzyskać godność obywatela?

— Czemu ma zaciągnięte zasłonki? — drążył Marti.

— Niewątpliwie siedząca tam osoba chce pozostać niezauważona i na pewno jest to kobieta. Kiedy dama potrzebuje niewolnicy, przyjeżdża wybrać ją osobiście, ale korzysta przy licytacji z usług pośrednika. Taka osoba nigdy się nie ujawnia ani nie wychyla z karety.

— Wszyscy nieszczęśnicy, których tu teraz przywieziono, zostaną sprzedani?

— Nie od razu. Ci, którzy pojawią się dziś, przyjechali wiele dni temu. Niewolników trzeba przygotować i umyć, ich czarną skórę namaścić naturalnym asfaltem z Judei zmieszany z maścią palmową, żeby błyszczała. Ci, którzy ucierpieli z powodu trudów podróży i dotarli wycieńczeni i wychudzeni, powinni w miarę możliwości odzyskać siły i przybrać na wadze. Trzeba wykąpać dziewczyny, natrzeć im włosy aromatycznymi olejkami, wybielić zęby proszkiem i zetrzeć pumeksem zgrubiały naskórek na nogach i rękach. Wielu niedoświadczonych nabywców zostaje oszukanych. Wygląd odgrywa zasadniczą rolę, zwłaszcza u niewolnic. Niektórzy handlarze są tak sprytni, że potrafią sprzedać lubieżnemu starcowi zgrzybiałą staruchę, jakby była młodą dziewczyną.

Marti nie posiadał się ze zdumienia.

Nagle zabrzmiał róg i w głębi placu zaczęły poruszać się kotary. Nadzorca stali z biczami po obu stronach okratowanego korytarza. Pojawili się niewolnicy, skuci ze sobą łańcuchami. Przerażeni próbowali zasłaniać sobie rękami oczy, gdyż oślepiało ich światło dnia. Na przedzie szło pięciu mężczyzn okrytych tylko zawiązanymi na biodrach przepaskami. Gdy dotarli na podium, jeden ze strażników zaczął przykuwać ich łańcuchami do słupa, a drugi, posługując się drewnianą rękojeścią pejsza, ustawiał ich tak, by byli widoczni dla tłumu. Otyły jegomość, ubrany w tunikę sięgającą za kolana, trzewiki z zaokrąglonymi nosami i turban ozdobiony ogromnym żółtym topazem, wszedł, sapiąc, na podium w towarzystwie zwinnego jak małpa Murzyna niosącego koszyk, w którym była laska, zakończona farbowanym na czerwono strusim piórem oraz tuba z mosiądzu.

— To z pewnością ważna licytacja. Gdyby tak nie było, nie prowadziłby jej Jusuf, który jest jednym z najlepszych licytatorów na rynku — szepnął Baruch do chłopaka.

Otyły jegomość wziął do lewej ręki zdobioną laskę, a do prawej tubę, i zbliżywszy jej ustnik do grubych warg, rozpoczął przemowę.

— Szlachetni panowie, przedstawiciele władz Barcelony i kleru, damy, jeśli tutaj są, i wszyscy obywatele! — Tłum zamilkł uciszony przez ludzi stojących w głębi, którzy nie słyszeli, co mówi licytator. — Dziś jest dzień świętowania i zabawy. Rozpoczyna się comiesięczny targ niewolników i bez wątpienia mamy tym razem znakomity towar. Z pewnością znajdą tu wasze miłości wszystko, czego potrzebują. Tragarzy lektyk, silnych jak dęby i wytrzymałych, zarówno białych, jak i czarnych, pochodzących z lodowatej Północy lub gorących ziem Numidii. Ogrodników, którzy potrafią pielęgnować wasze sady i ogrody i — jak przystało na mieszkańców Maghrebu — są mistrzami w sztuce wykorzystywania wody. Kucharki, dziewczyny zdadne do każdej roboty, dzieci, które szybko nauczą się być paziami, cztery bajadery z Kordoby mogące uprzyjemnić wam wolne chwile i wiele innych niespodzianek. Wyciągnijcie z sakiewek, wasze wielmożności, *mancusos*, denary i soldy, gdyż każdy znajdzie tu coś na swoją kieszeń!

Grubas zacerpnął tchu i odwrócił się do pięciu Murzynów, którzy stali za jego plecami, jakby dopiero ich zauważył.

— Zobaczcie, waszmościowie, co tutaj mamy. Przybyli nie dawno z Teb, są silni jak woły i zostali już poskromieni biczem. Pięciu pięknych niewolników, którzy nadają się do najcięższej nawet pracy, gdyż nie mają dusz. Potrafią nauczyć się wszystkiego i nie są wymagający, jeśli chodzi o jakość pożywienia. Co innego z ilością. — Zgromadzeni zareagowali śmiechem na ten oczywisty żart licytatora. — Jedzą jak konie, ale ich strawą będą resztki z waszych stołów. Możecie kupić ich wszystkich albo pojedynczo, dwóch lub trzech. Rzecz jasna, właściciel oferuje specjalną cenę za całą piątkę. Jeden kosztuje dwa soldy, wszyscy razem: trzy *mancusos*. Składajcie oferty, waszmościowie!

Jego głos, wzmocniony przez tubę, słychać było teraz głośno i wyraźnie we wszystkich zakątkach targowiska. Zgłaszano kolejne oferty, a zręczny licytator dokładał starań, by podsycić ambicje licytujących i skłonić ich do podwyższenia proponowanych sum.

Marti obserwował zaciekawiony tak nowe dla niego widowisko. Spoglądał to na podium, to na lektykę, która na początku

zwróciła jego uwagę, i szybko dostrzegł, że ukrywająca się w niej osoba od czasu do czasu wysuwa spod zasłonki chusteczkę. Sygnał ten odbierał jeden z licytujących i zależnie od jej koloru, podwyższał natychmiast proponowaną sumę. Licytacja trwała i wymieniano nieprzerwanie *mancusos*, soldy i denary o różnej wartości i pochodzeniu. W pewnym momencie pojawiła się na schodkach młoda kobieta o szlachetnych rysach i dumnym spojrzeniu.

— Mamy teraz dziewczynę, która będzie skarbem dla każdej damy. Zna łacinę i grekę, recytuje w różnych językach piękne poematy i gra na kilku instrumentach. Może być doprawdy znakomitą towarzyszką.

Przetarg zaczęto od dwóch soldów, ale suma ta natychmiast wzrosła, gdyż dziewczyną zainteresowało się wielu licytantów, którzy podbijali stawkę.

Osoba ukryta w lektyce wysunęła przez szczelinę w okienku zieloną chusteczkę. Grubas zamierzał zakończyć licytację na ostatniej ofercie człowieka, który odbierał jej sygnały.

Baruch przez cały czas doradzał Martiemu, co ma robić, dlatego był zaskoczony, że tym razem chłopak podjął decyzję, nie prosząc go o radę.

Głos Martiego zabrzmiał donośnie:

— Daję *mancuso* za tę kobietę.

Marti poczuł na sobie spojrzenia zebranych. Cena, którą zaproponował, była stanowczo wygórowana.

Słyszając, jak chłopak podnosi stawkę, Baruch zauważył ze zdziwieniem, że nie patrzy on na podium, lecz obserwuje białą dłoń wysuniętą z lektyki. Po dwóch jeszcze sygnałach danych chusteczką i dwukrotnym podbiciu ceny Jusuf obwieścił, że Marti został właścicielem dziewczyny. Tym razem zasłonka nieco się uchyliła i wyjrzała zza niej dyskretnie twarz kobiety, z której szarych oczu emanował bezbrzeżny smutek i która od tej chwili stale się Martiemu śniła.

— Dlaczego tak podbiłeś cenę? — spytał Baruch. — Ta kobieta nie jest aż tyle warta.

— Jeśli dodać do tego piękno oczu, które widziałem, za płaciłem za mało.

— Masz na myśli damę z lektyki?

— Właśnie ją.

— Jeśli się nie mylę, to pasierbica Montcusiego. Matka dziewczyny była wdową, gdy za niego wyszła, i wniosła w posagu córkę, której oczy wywarły na tobie takie wrażenie — wyjaśnił z uśmiechem stary Żyd. — Bardzo drogo cię kosztowała przyjemność oglądania jej.

— To niewielka suma, zważywszy na to, że się z nią ożenię.

— Nie masz szans. Niejeden prosił starego Montcusiego o jej rękę i odszedł z niczym. Jest oczkiem w głowie ojczyma.

— Czyżbyście ją znali?

— Znam ją dobrze, chociaż rzadko wychodzi z domu i zawsze w towarzystwie dam i służby.

— To nie będzie przeszkodą. Coś na pewno wymyślicie.

— Jesteś tak zuchwały jak twój ojciec. To, co zamierzasz, jest niewykonalne.

— Nie sądzę, biorąc pod uwagę przyjaciół, których mam, mój upór i szczęście.

Po całym zdarzeniu Marti zauważył, że tragarze dźwignęli lektykę i opuścili targ. Licytacja trwała i głos Jusufa znów brzmiał czysto i donośnie, uciszając szemranie tłumu.

— Zobaczmy, co tu teraz mamy.

Na podium weszły trzy osoby. Sądząc z rysów, pochodziły z Andaluzji. Kobieta była ciężarna, a chłopiec miał najwyżej dziesięć, dwanaście lat. Licytator od razu oznajmił:

— Oto pełna rodzina, którą można kupić w całości albo, zgodnie ze zwyczajem, tylko jej poszczególnych członków, jak waszmościom pasuje. Mężczyzna jest doświadczonym plantatorem winnic, kobieta potrafi doskonale gotować i tkąć, a chłopiec może być dobrym paziem lub gońcem, zanim dorośnie i stanie się silniejszy. Poza tym za cenę trzech osób możecie mieć cztery, bo kobieta nosi w brzuchu dziecko albo i dwoje. Jest w szóstym miesiącu ciąży, więc to, co zje przez trzy następne miesiące,

dobrze zaprocentuje. W dodatku będzie można ją zatrudniać także jako mamkę.

Początkowo licytacja dotyczyła całej trójki, ale potem już każdego z osobna. Najwięcej było chętnych na chłopca i mężczynę. Ten ostatni, przeczuwając lub rozumiejąc, że chcą rozdzielić jego rodzinę, objął ramieniem żonę. Ten gest wzruszył Martiego. Przypomniawszy sobie natychmiast, że ojciec polecił mu wykorzystać spadek w taki sposób, by zadośćuczynić złu, jakie mógł on wyrządzić ludziom. Nie zauważywszy nawet, że Benvenist próbuje jego interwencję, podwyższył natychmiast stawkę za całą trójkę tak, by nikt nie miał ochoty jej przebić.

Kiedy Jusuf uderzył laską w podium, by zakończyć licytację, w oczach ojca rodziny widać było wdzięczność.

15

Plan

Tuluza, maj 1052 roku

Trzydziestoletni mnich, dosiadający mulicy i mający białą opaskę na prawym ramieniu, stanął pod murem fortecy hrabiego Tuluzy, czekając, by opuszczono zwodzony most i pozwolono mu wejść do zamku, w którym miał nocować. Wszystko przebiegło tak, jak przewidywał. Zsiadłszy z mulicy, podał uzdę służącemu i przedstawił się dowódcy straży, po czym udał się w towarzystwie młodszego oficera do miejsca zakwaterowania. Na dźwięk dzwo-
nu przybył niezwłocznie do refektarza, gdzie zakonnicy i żoł-
nierze, którzy nie pełnili służby, spożywali wspólnie wieczerzę. Usiadł w kącie przeznaczonym dla przejezdnych i czekał spokoj-
nie na osobę, z którą miał się spotkać.

Zdążył już uporać się ze skromną porcją jedzenia, którą mu podano, gdy jego bystre oczy dostrzegły przy wejściu do prze-
stronnej jadalni wątlą i wychudzoną sylwetkę człowieka — to
on z pewnością go oczekiwał. On również go zobaczył i klucząc
między stołami i innymi przeszkodami, które, zważywszy na
jego niski wzrost, przypominały prawdziwe góry, podszedł do
niego i wspiął się na ławkę z prawej strony, z dala od hałaśliwego
towarzystwa.

— Jaką mieliście podróż, panie?

— Dobrą aż do Pirenejów. Przeprowa przez przełęcz w tym

stroju i na grzbiecie mulicy była nieco uciążliwa, ale najważniejsze, że już tu jestem.

— Witajcie. Wierzcie mi, że hrabina katowała mnie codziennie przez tych pięć miesięcy. Kazała mi ciągle wchodzić na mury fortecy i nie dawała żyć do czasu, aż zobaczyłem, że zbliżacie się z opaską na ramieniu, i poszedłem przekazać jej tę nowinę. Dni dłużyły mi się niemiłosiernie i niejeden raz ucierpiałem z powodu jej złego nastroju. Jeśli ktoś cieszy się naprawdę z waszego przybycia, to przede wszystkim ten, z kim rozmawiacie.

— Nie myśl, że łatwo jest pogodzić tyle różnych spraw. Mój pan ma mnóstwo obowiązków, ale najważniejsze, że już tu jestem z dokładnymi rozkazami, aby rozpocząć realizację planu.

— Musi być bezpieczny. Dla hrabiny nie ma odwrotu. Wasza Wielebność i ludzie, którzy z wami współdziałają, w razie niepowodzenia po przybyciu do Barcelony ściągnęliby na siebie gniew hrabiego, ale moja pani straciłaby reputację, a mnie z pewnością ścięto by głowę. A słowo daję, że z upływem czasu bardzo się do niej przywiązałem — powiedział karzeł wesoło.

— Jeśli ty i twoja pani zrobicie, co do was należy, możecie uważać, że już jesteście w pałacu mego pana. Jeśli coś się nie powiedzie, Bóg mi świadkiem, że nie będzie w tym naszej winy.

— Dobrze. Chociaż hrabina bezgranicznie mi ufa, w tak wyjątkowej sytuacji chce usłyszeć bezpośrednio z waszych ust, jaki przygotowaliście fortel.

— Oczywiście. Powiedz mi, kiedy i gdzie ją spotkam.

— Teraz jest odpowiednia chwila. Moja pani poszła do swego gabinetu i zazwyczaj, kiedy ma na to ochotę, przyjmuje tam przybyszów z innych krajów, którzy przywożą jej wieści i nowiny ze świata.

— A zatem nie traćmy czasu.

Karzeł zeskoczył z ławki i idąc przodem, wskazywał drogę.

— Chodźcie za mną.

Wyszli dyskretnie z zatłoczonej jadalni, nie wzbudzając ni-

czegoż zainteresowania, gdyż wszyscy byli zajęci jedzeniem, grą w kości, dyskutowaniem w mniejszych lub większych grupkach o bieżących wydarzeniach lub słuchaniem najnowszych opowieści z podróży.

Karzeł, który znalazł zakamarki pałacu jak podszewkę swoich małych kieszonek, poprowadził mnicha do komnat hrabiny.

Słyszając dźwięk dzwonczków na czapeczce garbusa, strażnicy nie zareagowali. Wiedzieli, jak swobodnie porusza się Delfin po zamku, i nauczyli się unikać wszelkich zatargów z tym wpływowym karłem. Pozwolili mu zatem przejść, gdy tymczasem mnich czekał w korytarzu przed komnatą. Karzeł zniknął za grubymi kotarami przy drzwiach, które zapobiegały przeciągom i tłumiły odgłosy rozmów, i po chwili się pojawił.

— Moja pani was oczekuje. Zechciejcie mi towarzyszyć.

Gilbert d'Estruc, zaufany człowiek Ramóna Berenguera, gdyż nim właśnie był mnich, wszedł zdecydowanym krokiem, który dowodził jego żołnierskiej profesji, do prywatnego gabinetu Almodis z Marchii, władczyni Tuluzy.

Hrabina, co było rzeczą niezwykłą, stała na środku komnaty, ściskając w rękach małą chusteczkę, co dowodziło, z jakim niepokojem wyczekiwała tego spotkania.

Rzekomy mnich uklęknął przed damą.

— Wstańcie, panie. Czekałam na wasze przybycie jak rozbitek, który wypatruje na horyzoncie zarysów łądu. Nie traćmy czasu na zbędne konwenanse. Chodźcie za mną. W moim gabinecie będzie nam wygodniej i bezpieczniej.

Mnich podążył za hrabiną, podziwiając jej grację i śmiałość, z jaką przeszła do sedna sprawy. Karzeł zamierzał się wycofać.

— Delfinie, weź taboret i usiądź z nami. Chcę, żebyś był we wszystkim zorientowany tak jak ja, i liczę na twoją spostrzegawczość, gdybym przeoczyła jakiś szczegół.

Karzeł przyciągnął z wysiłkiem stołek i zajął miejsce obok swej pani. Gilbert d'Estruc usiadł naprzeciwko niej.

— Czekałam na ten dzień, odkąd wasz pan odjechał, i jestem gotowa na wszystko. Powiedzcie, co mam uczynić.

— Opowiem wam, pani, po kolei, co powinniście wiedzieć. Pewnych spraw, ze względu na wasze bezpieczeństwo, nie mogę na razie wyjaśnić. Dowiedcie się wszystkiego w miarę wprowadzania w życie tajnego planu.

— Skoro to decyzja waszego pana, niech tak będzie — zgodziła się Almodis. — Mówcie.

— Macie całe lato, aby wykonać tę część planu, która na was przypada. Gdybyście nie zdążyli, musicie mnie zawiadomić, abym mógł opóźnić inne przygotowania. Wszystko musi działać jak w zegarku: nie może zawieść żaden trybik. Jeśli nie odpowiada wam jakiś szczegół planu albo wydaje wam się niewykonalny, proszę, byćcie bez wahania mi to powiedzieli.

— Słucham was. — Almodis z trudem ukrywała zniecierpliwienie.

— Pod koniec lata, we wskazanym przez was dniu, powinniście wyjechać z nieliczną świtą, by odwiedzić jakąś damę lub krewnego w zamku odległym o więcej niż pięćdziesiąt mil i położonym w takim miejscu, by droga do niego prowadziła przez rozległy las Cerignac między Tuluzą i Narbonne, na wysokości Raveil. Towarzyszyć wam będzie niewielka eskorta i wybrane przez was damy, którym możecie ufać. Na koźle zasiądzie stangret. Przodem pojedzie foryś na koniu. Nalegam tylko, by eskorta liczyła jak najmniej ludzi.

— A jeśli mąż przydzieli mi więcej żołnierzy, co mam zrobić?

— Wszystko zostało przewidziane, pani. W takim przypadku wykorzystacie wasze zdolności aktorskie.

— Mówcie jaśniej, bo nie rozumiem.

— Posłuchajcie, pani. W wyznaczonym miejscu w środku lasu będą na was czekali rycerze mego pana, przyczajeni i przebrani za zwykłych rozbójników. Dwa sznury obezwładnią stangreta i forysia, potem dwaj rycerze chwycą cugle koni z zaprzęgu, trzej inni podbiegną do drzwiczek powozu, a pozostali odetną wam drogę ucieczki.

Almodis pokręciła głową.

— Moja eskorta będzie walczyć do upadłego.

— Właśnie wtedy macie się wykazać zdolnościami aktor skimi. Wyciągną was brutalnie z powozu i przystawią wam nóż do piersi. Jeśli ludzie z waszej eskorty są inteligentni, nie ruszą się z miejsca, sądząc, że ich pani grozi śmierć. Potem wyprzęgnie się konie i przepłoszy je za pomocą pochodni. Rycerze zabiorą ze sobą was, Delfina i damy, które wskażecie. Muszę wiedzieć już teraz, ile ich będzie. Wasza eskorta będzie przekonana, że napadła na was banda rozbójników, których tylu włóczy się po traktach w poszukiwaniu okupu. Gdy wasz mąż dowie się, co zaszło, nie podejmie żadnych kroków, czekając na wiadomość, jakiej sumy zażądają porywacze. Wysyłanie pościgu naszym tropem nie będzie miało sensu. Podłoże jest skaliste, a okolica obfituje w jaskinie i kryjówki. Będziemy zatem mieli dość czasu, by zrealizować drugą część planu.

— Na czym ona polega, mój panie?

— Nie jestem upoważniony, by wam to ujawnić, ale bądźcie dobrej myśli, bo najtrudniejszy etap będziemy już wtedy mieli za sobą.

— A jeśli eskorta będzie walczyć?

— Rycerze, których przyśle mój pan, są najlepsi w hrabstwie. Wasi żołnierze, od dawna pogrążeni w bezczynności, zajmujący się tylko strzeżeniem zamku i polowaniami, nie potrafią stawić czoła wytrawnym wojownikom, nawykłym do walk na pograniczu przeciwko Maurom z Leridy i Tortosy. Zaufaj mi, pani, wszystko zostało przewidziane.

16

Laia Betancourt

Barcelona, maj 1052 roku

Lektyka kołysała się w rytm ruchów tragarzy. Przecięli korytoko rzeki w Cagalell i przez bramę Castellnou weszli w obręb miejskich fortyfikacji, a potem, pozostawiając z boku dzielnicę Cali i mijając budowaną wciąż katedrę, podążyli w kierunku stojącego tuż przy murach domu Bernata Montcusiego. Wewnątrz luksusowej lektyki siedziały naprzeciwko siebie dwie kobiety. Pierwsza, zwrócona twarzą w kierunku marszu, była ubrana jak prawdziwa dama. Miała na sobie pelisę koloru kości słoniowej pasującą idealnie do jej jasnej karnacji, a na głowie czepek ozdobiony małymi szarymi perłami, dodającymi blasku jej oczom. Podobne perły stanowiły wykończenie bucików. Siedząca naprzeciw niej dama do towarzystwa liczyła sobie około czterdziestu lat. Była krzepkiej postury, nosiła ciemną suknię i białe nakrycie głowy okalające owal jej pomarszczonej twarzy. Miała surowe spojrzenie i szorstkie maniery.

— Laio, wydaje mi się, że robisz dramat z każdego niepowodzenia. Dobrze wiem, że podobała ci się ta niewolnica i chciałaś ją kupić, by towarzyszyła ci w zabawie, ale twój ojciec wydał polecenie, któremu musiałyśmy się podporządkować.

— Nianiu, nigdy o nic nie proszę ani niczego nie pragnę. Bernat nie jest moim ojcem. Był mężem mojej matki, a ona już

nie żyje. Gdyby to ode mnie zależało, wolałabym mieszkać w Puigcerda, w domu mojego wujostwa. Tu czuję się jak w więzieniu, nie mogę wychodzić, nie mam przyjaciółek, dni mijają mi na nauce i wypełnianiu obowiązków przynależnych być może mojej matce, której nigdy nie potrafię zastąpić. Spędzam czas, zajmując się ojczymem i starszymi ludźmi, których... Dlatego chciałam mieć młodą niewolnicę, aby dotrzymywała mi towarzystwa.

— Nie skarż się — upomniała ją niania. — Don Bernat Montcusi cię uwielbia i boi się ciebie stracić. Dlatego się o ciebie troszczy.

Na ustach Lai pojawił się grymas sprzeciwu.

— Tak! Kiedy mu pasuje, traktuje mnie jak kobietę, a kiedy nie, odnosi się do mnie tak, jakbym była jeszcze małą dziewczynką. Mam prawie czternaście lat, a nie bywam w żadnych miejscach, gdzie spotyka się młodzież w moim wieku. Jak mam poznać męża, który zechce mnie poślubić?

— Nie spiesz się, moje dziecko. Twój ojciec w stosownym czasie dokona za ciebie wyboru i zrobi to z wielką rozwagą. Zostaniesz spadkobierczynią jednej z największych fortun w hrabstwie i jest rzeczą normalną, że jako jedynaczka będziesz miała wokół siebie całą chmarę łowców posagów i konkurentów różnej maści. Któż lepiej niż twój ojciec potrafi wybrać najodpowiedniejszego z nich, by zadbać o twą przyszłość?

— Nie chcę, by ktokolwiek szukał mi męża — zaprotestowała Laia. — Pragnę znaleźć go sama. Nie życzę sobie być kochana z powodu majątku. Pieniądze są bez znaczenia. Mężczyzna, który się ze mną ożeni, ma kochać mnie.

— Jesteś małą dziewczynką i w dodatku naiwną. Kobieta od chwili narodzin ma być posłuszna ojcu, a kiedy dorośnie — mężowi. Taki już nasz los, odkąd przychodzimy na świat. Doceń swoje szczęście: ojciec zapewni ci przyszłość, a to najlepsze, co mogło cię spotkać.

Laia nie ustępowała:

— Nie ma do mnie żadnego prawa. Powtarzałam ci tysiąc

razy, że jest moim ojczymem i nie zasłużył nigdy na moje uczucia, kiedy byłam mała.

— Nie mów głupstw. Senor Montcusi jest z natury oschły, ale zawsze robił dla ciebie wszystko, co mógł.

Dyskutowały o tym już nie pierwszy raz, więc Laia postanowiła zmienić temat.

— Dobrze, nianiu, dajmy temu spokój. Niewolnica, którą chciałam kupić, podobała mi się. Licytator powiedział, że gra na kilku instrumentach i recytuje poezję w różnych językach. Wiesz, jak nazywa się człowiek, który mnie przelicytował?

— Barcelona nie jest dużym miastem, Laio, ale czy sądzisz, że mogę znać nazwiska prawie trzech tysięcy jego mieszkańców?

— Więc dowiedz się, kto to jest.

— Co zamierzasz zrobić?

— Chcę odkupić od niego tę niewolnicę.

17

Roma dixit

Barcelona, maj 1052 roku

Biskup Guillem de Balsareny przybył do Barcelony z niepokojem w duszy. Podwójna misja, którą zlecił mu Ojciec Święty, była doprawdy niełatwa. Dobrze znał ludzkie słabości i miał świadomość, że próba przeciwstawienia się człowiekowi, którym kieruje zazdrość, jest trudnym zadaniem, a staje się ono niemal niewykonalne, gdy chodzi w dodatku o wszechwładnego księcia, nawykłego do zaspokajania swych królewskich kaprysów, do pochlebstw dworzan i rozdawania tytułów i majątków. Świta biskupa zatrzymała się przy bramach Pałacu Hrabiego. Poleciwszy się opiece Najświętszej Maryi, biskup gotów był stawić czoło skomplikowanej misji.

Rozpoznawszy jego karetę i charakterystyczny zaprzęg złożony z czterech białych mulic, dowódca straży ustawił żołnierzy w szeregu, wprawiając opata w zakłopotanie. W bramie od razu pojawił się szambelan, który tego dnia pełnił służbę. Gdy biskup Guillem wysiadał z karety, forys pospieszył mu z pomocą, stawiając na ziemi podnózek. Biskup wszedł powoli po schodach do starego pałacu, wspierając się na pastorałe, i został wprowadzony przez pazia do poczekalni obok sali tronowej, gdy szambelan obwieszczał jego przybycie. Wróciwszy po chwili, przeprosił go, że musi czekać.

— Księżę biskupie, gdybyśmy wiedzieli o waszej wizycie, zostalibyście natychmiast przyjęci.

— Nieważne. Gdyby mój habit nie umacniał we mnie cnoty cierpliwości, nie byłbym godzien go nosić.

— Hrabia rozkazał, byście weszli, gdy tylko skończy *Comes Consili*. To nie potrwa długo.

Prałat rozsiadł się na wyściełanej ławie przeznaczony dla dostojnych gości. Wkrótce przyszedł po niego odźwierny. Otworzyły się drzwi i jakiś głos obwieścił jego przybycie. Podążając wolnym, uroczystym krokiem, zawsze wsparty na pastorał, biskup Guillem de Balsareny przeszedł przez salę i stanął przed Ramónem Berenguerem I, hrabią Barcelony. Skłonił lekko głowę, z szacunkiem, ale bez unizoności, i czekał, jak nakazuje protokół, aż hrabia odezwie się pierwszy.

Ramón Berenguer przemówił do niego entuzjastycznym tonem:

— Witajcie, Guillemie. Usiądźcie i powiedzcie mi, jakież to sprzyjające okoliczności skłoniły was do opuszczenia zacisznego Vic i przyjazdu do ruchliwej Barcelony, która tak was męczy? Wygląda na to, że odgadliście moje życzenia, albowiem zamierzam wkrótce was wezwać.

Biskup, podciągając habit, zajął miejsce w fotelu, który podsunął mu paź, i korzystając z milczenia hrabiego, odparł:

— Nawet nie wiecie, jak bardzo mnie to cieszy, hrabio. Oby ten szczęśliwy przypadek wróżył nasze wzajemne zrozumienie.

Berenguer uniósł ledwo dostrzegalnie brwi. Prałat domyślił się, że coś przeczuwa i zajmuje defensywną postawę.

— Co macie na myśli, Guillemie?

Biskup próbował ostrożnie wybadać zamysły hrabiego.

— Coś mi mówi, że moja wizyta i wasz zamiar wezwania mnie nieprzypadkowo zbiegły się w czasie.

— Nie wiem, do czego zmierzacie. Mówcie, to wam powiem, czy nasze interesy są wspólne, czy rozbieżne, choć dotyczą tej samej kwestii.

Biskup Guillem zaczął więc rozmowę na temat drażliwej sprawy, która sprowadziła go na dwór.

— Jak sobie życzycie, hrabio. Doszło do uszu Kościoła, naszej Świętej Matki, że zamierzacie popełnić jeden z najbardziej nierozważnych czynów, jakiego może się dopuścić książę, chrześcijanin i sługa papieża.

— O jakim to występku mówicie? — spytał opryskliwie Ramón Berenguer.

— Skoro nie wzbudziłem waszego niepokoju, z pewnością wiecie, co mam na myśli.

— Biskupie, nie owijajmy w bawełnę. Obaj wiemy, o co chodzi, i będzie lepiej, jeśli przejdziemy do rzeczy jak ludzie światowi.

— W porządku — odparł z westchnieniem opat. — Zamie rzałem działać z rozwagą i dyplomacją, ale skoro wolicie, bym mówił wprost, niech tak będzie. Dostałem polecenie bezpośrednio z Rzymu, bym jako przedstawiciel Ojca Świętego przekonał was do rezygnacji z nedorzecznego pomysłu porzucenia doni Blanki i życia w konkubinacie z obecną żoną hrabiego Ponce'a z Tuluzy.

Choć Ramón Berenguer spodziewał się podobnych słów, szczerść pralata zdumiała go i zezłościła.

— Jakim prawem Rzym wtrąca się w sprawy, które dotyczą wyłącznie mnie, w dodatku zanim jeszcze cokolwiek się stało?

Biskup odpowiedział spokojnie:

— Dobrze wiecie, że już wiele się wydarzyło i że uknuty został przewrotny plan. Przede wszystkim chcecie porzucić bez powodu kobietę, którą poślubiliście zaledwie przed rokiem. Poza tym zamierzacie porwać żonę hrabiego, który gościł was w swoim zamku, by żyć z nią w konkubinacie, gdyż taki, a nie inny, jest ostateczny cel waszego spisku.

Głos Ramóna, choć opanowany, pobrzmiwał nutą groźby.

— Po pierwsze, muszę wam powiedzieć, że powinienem mieć wreszcie prawo do decydowania o moich uczuciach. Rzym wie, że byłem dotąd wiernym poddanym, który poświęcił niemal całą młodość dla politycznych korzyści hrabstwa i bardzo się liczył z interesami Kościoła. Ożeniłem się dwukrotnie, zgodnie z wolą babki, która utrzymuje nader przyjazne stosunki z Rzymem. Po

drugie, Rzym nie może znać moich zamiarów, choć jest tak dobrze poinformowany. Jak każdy chrześcijański książę, mogę się domagać, by moje małżeństwo zostało anulowane, podobnie jak związek hrabiny Almodis, co w jej przypadku Rzym robił już dwukrotnie i co jest chlebem powszednim na dworach w całym chrześcijańskim świecie. Nie sądzę, bym zasługiwał na mniej przychylnie i dyskryminujące traktowanie ze strony papieża.

— Hrabio, rozumiem wasze racje, ale sądzę, że stawiacie sprawę na głowie. Szanuję to, mimo niezręczności sytuacji, że pragniecie się rozwieść po tak krótkim czasie. Nikt nie wie, co dzieje się za ścianami małżeńskiej alkowy, ale powinniście przestrzegać kanonicznych reguł i dostarczyć stosownemu trybunałowi jakichś dowodów albo przynajmniej argumentów. Rozumiemy, że po anulowaniu małżeństwa, zważywszy na wasz młody wiek, zechcecie powtórnie się ożenić. Ale nie może to powodować zgorszenia wśród chrześcijan. Dalibyście zły przykład, wykradając żonę innemu hrabiemu, który w dodatku jest wiernym poddanym Rzymu.

— Mój zacny biskupie, jako prawy członek Kościoła mało wiecie o ludzkich namiętnościach. Macie być może wiedzę teoretyczną, ale nie pojmujecie, jakie przeżywa się piekło, gdy kocha się jedną kobietę, a musi dzielić łożę z inną.

— Rozumiem wasz problem, ale przed rokiem nie byliście już dzieckiem i wobec całego chrześcijańskiego świata złożyliście śluby, z których wynikają określone konsekwencje. Nie możecie teraz wyprzeć się wszystkiego z powodu przelotnego być może kaprysu. Książęta cieszą się wieloma przywilejami, ale ciążą na nich również obowiązki, których nie ma pospólstwo.

Ramón wyprostował się dumnie.

— Rzym nie przejmował się mną, zezwalając na moje pierwsze małżeństwo, gdy byłem jeszcze małoletni! A poza tym, co wy wiecie, Guillemie, o kapryсах i namiętnościach? Ożeniono mnie z Elisabet z Barcelony, zanim osiągnąłem dojrzałość, i przez lata nie mogłem skosztować małżeństwa. Gdy owdowiałem, moja babka Ermesenda, której, jak wiecie, trudno się sprzeciwić,

wybrała mi na żonę hrabinę Blance z Ampurias, niewzbudzającą we mnie żadnych uczuć. Zgodziłem się, bardziej ze względu na jej polityczne interesy niż moje. Moja babka, jako tytułarna regentka Gerony, chciała być w dobrych układach z Ampurias. Ja nic na tym nie zyskiwałem, ale było to dla mnie bez znaczenia, gdyż nigdy przedtem nie zaznałem prawdziwej miłości. Teraz, dzięki szczęśliwej podróży, której nigdy nie będę żałował, trafiła mnie w serce strzała Kupidyna. Gdybym tylko ja został nią zraniony, być może dałbym za wygraną, ale hrabina Tuluzy odwzajemnia moje uczucia. Przysięgam, że w takiej sytuacji nie zrezygnuję z miłości, bez względu na wszystko.

— Macie świadomość, że ryzykujecie utratę królestwa? — spytał biskup łagodnie.

— W razie potrzeby rzuciłbym na szalę wszystkie hrabstwa świata.

— Nie mam na myśli ziemskich mocarstw, tylko Królestwo Niebieskie.

— Coś wam powiem, mój zacny Guillemie. Pan rzekł do Łazarza: *Wstań i idź*, czyż nie tak? A powinien był mu powie dzieć: *Wstań i mów*. W ten sposób moglibyśmy się dowiedzieć, gdzie się znajduje i jak wygląda Królestwo Niebieskie. U muzuł manów wszystko przynajmniej jest jasne. Chrześcijanom nie mówiono nigdy o hurysach ani zielonych łąkach, a doprawdy nie widzę siebie na chmurze, śpiewającego psalmy. Na razie znalazłem szczęście u boku hrabiny Almodis i zaznałem największej rozkoszy na tym świecie. I cokolwiek by się działo, choćbym musiał pokonywać niezliczone trudności i przeszkody, powiedzcie komu trzeba, że nie zamierzam z niej zrezygnować — oznajmił z naciskiem Ramón, mając świadomość, że gdy prowadzili tę rozmowę, jego wierny druh Gilbert d'Estruc zapoz nawał hrabinę Tuluzy z planami ucieczki.

18

Szczęście sprzyja odważnym

Barcelona, lato 1052 roku

Marti był prawie bez przerwy zajęty. Nigdy sobie nie wyobrażał, że jako bogacz będzie miał tyle problemów. Oczywiście jego bogactwo było ograniczone i względne. Zdawał sobie sprawę, że od jego wysiłku i wytrwałości będzie zależało, czy pieniądze pomnoży, czy roztrwoni, ale w porównaniu z tym, co miał poprzednio, wydawało mu się, że posiada fortunę króla Midasa. Dzięki uprzejmości kanonika Llobeta nadal mieszkał w klasztorze, ale w głowie kiełkował mu pomysł kupienia domu.

Tak czy inaczej, odkąd nie tyle zobaczył, co wyobraził sobie twarz dziewczyny z targu niewolników, z trudem koncentrował się na swoich sprawach, gdyż jego myśli zaprzętało bez przerwy mgliste wspomnienie jej wizerunku. Wiedział już, że ma na imię Laia, a jej ojcem jest Bernat Montcusi, jeden *zprohomes* miasta, którego ogromna fortuna czyniła ją jeszcze bardziej nieprzystępną. Ale nie stanowiło to przeszkody, by rozmyślać, w jaki sposób mógłby zamienić z nią kilka słów. W jego głowie rodził się pomysł, który stopniowo nabierał kształtów i którego realizacja, gdyby starczyło mu odwagi, przybliżyłaby go niewątpliwie do obiektu jego westchnień. Wszystko to skłaniało go, by nabyć jak najszybciej dom godny człowieka, który ma wielkie plany i zamierza stać się z czasem obywatelem Barcelony.

Miasto rozrastało się i pracowitość jego mieszkańców sprawiała, że pękało w szwach. Nie mogło już pomieścić ludzi, którzy chcieli się w nim osiedlić zwabieni perspektywami lepszej przyszłości, tak więc przy murach obronnych wyrastały jak grzyby po deszczu budy, lepianki i zagrody, tworząc nowe przedmieścia.

Pewien handlarz winem, który owdowiał i nie miał spadkobierców, chciał sprzedać swój dom usytuowany poza miastem, na drodze do Sant Pau del Camp. Problem polegał na tym, że razem z domem sprzedawał on tłocznię, a także winnice na żyznych ziemiach w Magórii, które dostarczały mu winogron niezbędnych do wyrobu wina. Marti rozważał tę sprawę i na jego ostateczną decyzję wpłynęły dwa czynniki. Po pierwsze, usłyszawszy rozmowę w tawernie Pod Żłotym Kłosem, do której czasem chadzał, dowiedział się, że jeden z młynów usytuowanych w sąsiedztwie winnic, stanowiących przedmiot jego wahań i wątpliwości, jest na sprzedaż po dobrej cenie. Po drugie, odkrył przypadkowo, że Omar, niewolnik, którego kupił wraz z rodziną w Boquerii, jest ekspertem od wszystkiego, co dotyczy prowadzenia wody, budowy kanałów i nawadniania. Kolejną niespodzianką był fakt, że człowiek ten mówi różnymi dialektami Maghrebu, jak również po łacinie i gwarą Beduinów z pustyni, a także potrafi liczyć i pisać. Zapytany, dlaczego nie wspomniano o tych jego umiejętnościach podczas licytacji, Omar przyznał, że wolał je zataić, aby nie oddzielono go od rodziny. Nie wiedział, jak wyrazić Martiemu wdzięczność, i starał się służyć jak najlepiej temu młodzieńcowi, który traktował go jak wolnego człowieka, a nie niewolnika. Jego żona, Naima, urodziła tymczasem córkę, tak więc Mohamed, ich mały synek, miał siostrzyczkę.

Marti podjął decyzję pewnego ranka w bramie gmachu Pia Almoina, w którym trwały ciągle prace budowlane. Dzielił się z Eudaldem Llobetem swymi wątpliwościami, podczas gdy Omar, zawsze milczący, stał w stosownej odległości, trzymając za uzdę jego wierzchowca.

— Odpowiada mi położenie tego domu i jego cena, ale właś-

ciciel chce go sprzedać razem z winnicą. Powodem jest ziemia. Rozmawiałem z nim. Brakuje mu wody na inne uprawy.

— A młyn, o którym mi wspominaliście?

— Jest w odległości pół mili.

— Wybaczcie, *sayid* — wtrącił Omar unizonym tonem — wodę można sprowadzić.

Obaj mężczyźni odwrócili się do niewolnika.

— Co ty mówisz? Młyn dzieli od winnic ponad pół mili, a grunty na tym odcinku należą do innego właściciela.

— Jeśli o to chodzi, można je wykupić — zauważył Eudald.

— A jeśli nie zechce ich sprzedać?

— Jeżeli wodę da się sprowadzić, dzierżawi się prawo do budowy kanału.

— Można to zrobić?

— To całkowicie legalne.

— Co powiesz, Omarze? — spytał Marti.

— Mówię, *sayid*, że wodę da się sprowadzić.

Znowu spojrzeli na niewolnika.

— To zbyt duża odległość. Nawet gdybym kupił tę ziemię, byłyby zbyt duże straty wody z powodu nierówności terenu.

— Wcale nie, mój panie, jeśli właściwie się go skanalizuje. — Omar wydawał się pewien tego, co mówi.

— Pozwól, Marti, żeby to wyjaśnił — rzekł Eudald.

W istocie półtora miesiąca później Marti Barbany był właścicielem domu przy murach obronnych miasta, winnic z przylegającymi do nich terenami, przez które poprowadzono system nawadniania, młyna i kanału zbudowanego z połączonych z prawą półokrągłych arabskich dachówek, a także zamykanych na łańcuchy śluz, dzięki którym, zgodnie z planem Omara, woda docierała do najdalszych zakątków majątku.

Dom handlarza winem przylegał do miejskich murów. Miał jednospadowy dach i dwie kondygnacje. Marti zamieszkał na pierwszym piętrze. Na dole znajdowało się wejście do sklepu i miejsce przeznaczone na dębowe beczki z winem. Arkada głównych drzwi była wykończona różnej wielkości kamieniami,

uwielbiał tę niewinną sobotnią rozrywkę, gdy w towarzystwie syna zmarłego przyjaciela przychodził nad morze i wciągał w nozdrza rozmaite zapachy: saletry, smoły, konopi i bardziej złożonych substancji, zwłaszcza wiosną, gawędząc równocześnie z młodzieńcem na przeróżne tematy.

134

a posadzka składała się z kamiennych płyt. Z prawej strony przylegał do budynku otoczony murem niebrukowany dziedziniec z osobnym wejściem. Była tam studnia artezyjska, z której czerpano wodę, i niewielka oficyna, gdzie mieszkał Omar z rodziną. Obok znajdowała się stajnia z trzema jucznymi zwierzętami, jednym mułem i dwoma końmi, oraz dwie zagrody z kurami i królikami. Zajmowali się nimi mały Mohamed i Naima. Z tego względu Marti zrezygnował ze swego pierwotnego pomysłu, by założyć chlew. Wiedział, jaką niechęć i odrazę wywołują świnie u muzułmanów.

Błogosławił codziennie chwilę, w której postanowił kupić Omara. Niewolnik był pracowity, przewidujący i biegły w uprawie winorośli, tak więc zbiory zapowiadały się znakomicie. Z drugiej strony po nabyciu pierwszego młyna Marti kupił trzy następne, co kosztowało go horrendalną sumę siedmiuset *man-cusos*, a system nawadniania, który zaprojektował Omar, okazał się tak użyteczny, że dzięki zastosowaniu śluz mógł sprzedawać cenną wodę wielu sąsiadom, którzy płacili mu obiegowymi monetami lub częścią zbiorów.

Marti ciągle był zajęty. Rozstrzygał wszelkie spory dotyczące korzystania z wody, kręcił się wśród kupców, szukając okazji do zrobienia interesu, odwiedzał swego doradcę, Żyda Barucha, albo chodził do kanonika Llobeta, nękał go pytaniami, co powinien robić, aby zrealizować swe obsesyjne marzenie i stać się pewnego dnia pełnoprawnym obywatelem tego miasta, którego puls czuł w swoich żyłach i które od pierwszego dnia podbiło jego serce.

Spacerowali obaj brzegiem morza. Było piękne popołudnie i do plaży podpływały nieustannie statki, przybywające z towarami z najodleglejszych portów. Kanonik, którego świat ograniczał się na co dzień do pergaminów, ryz papirusu i atramentu,

— Otóż słyszałem, że domy co bogatszych obywateli miasta zdobi wiele przedmiotów, które mogą oni kupić jedynie wtedy, gdy przywożą je do naszych portów statki z Genui albo Pizy, a często nabywają nie te, których potrzebują, tylko te, które są dostępne. Gdyby wiedzieli, że są one do nabycia gdzieś w mieście,

135

— Powiadasz, że jesteś zadowolony z domu, który kupiłeś.

— W istocie. Teraz przydałoby się znaleźć gospodynię, która odciążałaby mnie od pochłaniających czas domowych obowiązków i potrafiła zarządzać służbą. Nie znacie przypadkiem kogoś odpowiedniego?

— Pozwól mi się zastanowić, może miałbym taką osobę.

— Słucham was.

— Spowiada się u mnie pewna bardzo zacna wdowa, która jest w trudnej sytuacji. Przed trzema laty jej mąż, kamieniarz, zginął przygnieciony wielką skałą, a jej jedyny syn wyruszył rok temu z karawaną do Berberii i do dziś nie ma o nim żadnych wieści.

— Z czego żyje ta kobieta?

— Można by rzec, że wiąże koniec z końcem, wynajmując się do różnych prac, jakie tylko się trafią, a poza tym przychodzi wydawać zupę biedakom w Pia Almoina i pomaga mi wszystko organizować. To bardzo zdolna kobieta, kryształowo uczciwa i w dodatku potrafi zarządzać.

— Jak się nazywa?

— Caterina. Przyjechała z ojcem ze wsi z północy. Tu poznała męża i po ślubie zostali w mieście. Miała ciężkie życie i sądzę, że idealnie będzie ci pasowała.

— Pomówcie z nią i jeśli ma choć połowę zalet, o których wspomnieliście, powiedzcie jej, że ma już dom.

Przechodzili z jednego tematu do drugiego i popołudnia miały niepostrzeżenie. Tego dnia Martiego dręczyła jeszcze jedna sprawa, którą chciał omówić ze swoim przyjacielem.

— Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Sądzę, że gdyby udało się go zrealizować, przyniosłoby mi to znaczne korzyści.

— Powiedz, o co chodzi?

z pewnością by się tam udali. Poznawszy potrzeby naszych klientów, mógłbym kupić te rzeczy po dobrej cenie w miejscu, gdzie są produkowane, i sprzedawać o wiele drożej, doskonale na tym zarabiając. Rozmawiałem już o tym z Baruchem i popiera mój pomysł.

— Zadziwiasz mnie, doprawdy! Twój ojciec był dzielnym żołnierzem, a ty, żyjąc w pokoju, okazujesz się równie zuchwały. Boję się zgadywać, dokąd cię zaprowadzi ten dobry węch.

— Mam tylko jedną wątpliwość.

— Jaką?

— Wyobrażam sobie, że ktoś na dworze musi zatwierdzić tak śmiały plan, a trudno mi będzie do niego dotrzeć.

Archidiakon pogładził gęstą brodę.

— Powinien to zrobić Bernat Montcusi, *prohom* z Barcelony. Chyba już ci kiedyś o nim mówiłem. Zajmuje się sprawami zaopatrzenia miasta, a poza tym jest jednym z faworytów hra biego. Nie należy do moich przyjaciół, nie budzi mojej sympatii, ale mogę na niego wpłynąć. Przychodzi zwykle do mego konfesjonału wyrównywać rachunki z Bogiem. Nie bój się, potrafię sprawić, żebyś go poznał, chociaż muszę przyznać, że to człowiek szorstki i bardzo zapracowany.

Marti wstrzymał na chwilę oddech, przeczuwając, że wiatr przeznaczenia znów dmie w jego żagle.

19

Biskup i Ermesenda

Gerona, czerwiec 1052 roku

Biskup Guillem de Balsareny, nie otrzepawszy się nawet z kurzu po podróży, czekał na audiencję w westybulu pałacu potężnej hrabiny, regentki *in pectore* Barcelony i Osony, która, choć mogła zamieszkać w którymkolwiek z hrabstw należących do jej męża, Ramóna Borrella, w obecnej chwili, nie mając tam żadnych obowiązków, wołała żyć w swojej Geronie.

Przybył więc, pędząc galopem i zajeżdżając konie, do zwyczajowej rezydencji hrabiny, aby zapoznać ją z delikatną sprawą, którą miał się zająć na polecenie papieża Wiktora II. Ludzie z jego eskorty, równie wycieńczeni jak ich wierzchowce, zostali przyjęci przez strażników, a służącymi zajęła się czeladź kasztelana.

Hrabina Ermesenda kazała zwykle czekać gościom w westybulu przez dłuższy lub krótszy czas, zależnie od ich rangi i prestiżu, aby zaznaczyć dystans i dać przybyszowi odczuć, że zostanie przyjęty przez najważniejszą władczynię katalońskich hrabstw. Chciała poza tym, by ambasadorowie, których nie znała osobiście, podchodzili do niej powoli w towarzystwie szambelana po długim czerwonym dywanie od drzwi do jej tronu, żeby zdążyła dobrze im się przyjrzeć.

Salon, w którym zwykła przyjmować dostojnych gości, zwany

z tego powodu „salą ambasadorów”, był luksusowym pomieszczeniem. Na honorowym miejscu stał wymoszczony poduszkami niewielki tron, a po jego prawej stronie fotel na krzyżakach, który zajmował gość, kiedy pozwalano mu usiąść. Na ścianach wisiały gobeliny i broń, w głębi sali były trzy ostrołukowe okna, po bokach zaś wygaszone w tym momencie kominki.

Z powodu wieku i dumnej natury hrabina pamiętała zawsze i przy każdej okazji o swym znakomitym rodowodzie i była o niego bardzo zazdrosna. Jej przodkowie wywodzili się od Wizygotów, gdyż władcy Septymanii nie należeli do tej samej linii co napływowe rody hrabiów frankońskich. Ona pochodziła z tego właśnie kraju i zawsze, nawet zanim wyszła za Ramóna Borrella, o wiele bliższe były jej sercu katalońskie hrabstwa w sąsiedztwie Pirejenów niż rozległe barbarzyńskie hrabstwa na północy. Mówiła *langue d'oc*. Zarówno ona, jak i jej bracia, Benito i Pedro, byli dumni z przynależności do rodu Carcassonne, którą wpoili im rodzice, Roger I Starszy i Adelaida de Gavalda.

Po niezbyt drugim oczekiwaniu, które biskupowi wydawało się jednak wiecznością, stukanie laski odźwiernego o podłogę obwieściło, że wielka pani przyjmie dostojnego gościa. Otworzyły się oba skrzydła drzwi i prałat podszedł do tronu, gdzie oczekiwała go sławna dama, której sama obecność onieśmielała posłańców i przerażała ambasadorów. Miała na sobie fioletową suknię o obcisłych rękawach, obszytą złotą lamówką, a w upiętych włosach dwie złote klamry. Biskup, z odkrytą głową, jak nakazywał protokół, skłonił się lekko, zbliżył do niej i czekał, aż odezwie się pierwsza.

— A zatem, mój zacny biskupie, cóż tak ważnego sprowadziło was w te okolice i zmusiło do porzucenia waszej ukochanej, spokojnej diecezji w Vic, aby mnie odwiedzić?

— Pani, przybyłem tu, mimo trudów podróży, w poczuciu troski o wasze sprawy. Wcześniej byłem z tego samego powodu w Barcelonie i wiercie mi, że to miasto coraz bardziej mnie męczy. Ma już ponad pięćset domostw i wciąż przybywają nowi mieszkańcy, zwabieni jego sławą i możliwościami robienia in-

teresów, handlowania i uprawiania roli jak najbliższej rynków zbytu i ośrodków władzy. Słowo daję, że nie rozumiem ludzi, którzy mogą żyć w ciszy i spokoju na wsi, lgną do niewygód wielkiego miasta, którego sam zapach drażni moje nozdrza i którego wrzawa nie daje wytchnienia duszy.

Hrabina przyglądała mu się uważnie i widząc jego zakurzone szaty, stwierdziła:

— Musicie przybywać w naprawdę pilnej sprawie, bo o ile wiem, nie macie w zwyczaju zjawiać się przede mną w takim stroju.

Guillem de Balsareny zamrugał lekko, czego hrabina nie omieszkała dostrzec.

— Wybaczcie, pani, ale jestem tak zafrasowany, że wyruszyłem w drogę bez właściwego ekwipunku.

— Rozumiem. A zatem mówcie.

Wiedząc, że władcy mają nieprzyjemny zwyczaj karania posłańca, który przynosi złe wieści, biskup zagaił ostrożnie:

— Pani, misja, która mnie do was sprowadza, jest trudna i nie ośmielam się...

— Guillemie! Dość tych niedomówień. Wyjaśnijcie mi, co aż tak bardzo was dręczy, że przyjmujecie bojaźliwą postawę, nielicującą z właściwą wam godnością i roztropnością.

Prałat opanował zdenerwowanie i na znak dany przez hrabinę zajął miejsce w fotelu obok tronu.

— Widzicie, pani, chodzi o to, że dotarły do mnie smutne wieści dotyczące bezpieczeństwa waszych posiadłości, i powinniście poznać je z pierwszej ręki, nie z powodu mojego kaprysu, lecz z polecenia Ojca Świętego, który zlecił mi tę misję.

— Niepokoicie mnie, księżę biskupie. Proszę, byście przeszli do sedna sprawy. Im szybciej się dowiem, co macie mi do przekazania, tym więcej będę miała czasu, by zapobiec kłopotom.

Biskup gniótł niemilosiernie w rękach swój podróżny kapelusz.

— Chodzi o to, pani, że wasz wnuk, hrabia Barcelony, zamierza dopuścić się występku o nieobliczalnych konsekwencjach. Ermesenda słuchała go bez mrugnięcia okiem.

— Mówcie, ojcze. Przyznaję, że czuję lęk, choć ten głupiec niczym mnie już nie zadziwi.

— Pani, w zeszłym roku wasz wnuk wyruszył na ziemie niewiernych, by wypełnić dwie misje. Pierwsza dotyczyła ochrony interesów Barcelony w dziedzinie handlu na obszarach zdominowanych przez Turków i muzułmanów, a druga polegała na tym, by dostarczyć Ojcu Świętemu obszernych informacji na temat wszystkiego, co może interesować Kościół, zważywszy na to, że ze względu na bliskie sąsiedztwo innowierców hrabia wie bez wątplenia dużo o ich zwyczajach i zamiarach. Można rzec, że zdaniem papieża wasz wnuk, ze względu na swoją wiedzę i częste kontakty z islamem, jest w tej kwestii autorytetem.

Ermesenda zamyśliła się na chwilę, po czym spytała:

— Cóż zatem może mieć tak poważne konsekwencje dla przyszłości moich ziem?

— Jak wiecie, wasz wnuk poślubił zeszłej zimy Blance z Ampurias. Małżeństwo to przyniosło wiele korzyści hrabstwu Barcelony i Ampurias, a także Gerony, gdyż zapewniło upragniony przez wszystkich pokój, poskramiając porywczość ojca panny młodej, hrabiego Hugona z Ampurias i jego niebezpieczną skłonność do wszczynania konfliktów.

Twarz Ermesendy była nieprzenikniona.

— Wyobrażam sobie, że nie przebyliście tak długiej drogi, aby mówić mi o rzeczach oczywistych. Dobrze wiecie, że sama doprowadziłam do tego małżeństwa i że kosztowało mnie to nie tylko wiele wysiłku, ale i pieniędzy, gdyż musiałam odstąpić hrabiemu ziemie w Ullastret, które odziedziczyłam po mężu i o które przez lata się spieraliśmy.

Biskup zbladł.

— Dlatego właśnie, pani, to, co się wydarzyło, może mieć poważne następstwa.

— Dokuczacie mi, księżę biskupie. Przejdźcie do sedna i skończmy z tym wreszcie.

— Jak wiecie, nie przybywam z mojej diecezji z Vic, lecz z Barcelony, gdyż na polecenie Ojca Świętego próbowałem

załatwić tę sprawę z waszym wnukiem, aby nie musieć zwracać się do was, ale moje starania okazały się daremne. Głos hrabiny rozbrzmiał echem w sali.

— Dość już tego, panie! Zaczynam tracić cierpliwość. Po wiedzcie mi natychmiast, co się dzieje.

Biskup Guillem przełknął ślinę, szykując się na konsekwencje swej misji.

— Pani, wasz wnuk zamierza porzucić żonę, Blance z Ampurias, aby żyć w konkubinacie z małżonką hrabiego Ponce'a z Tuluzy, którą, jak sam mi oznajmił, gotów jest przyjąć w Barcelonie jako nałożnicę, gdyby papież nie anulował jego poprzedniego związku.

Hrabina Ermesenda uniosła groźnie brwi, a na jej czole nabrzmiała żyła, co, jak dobrze wiedział zacny biskup, źle wróżyło.

Jej głos zabrzmiał tym razem spokojnie i szorstko jak syczenie żmii.

— Wyjaśnijcie mi wszystko szczegółowo.

Guillem de Balsareny przez dłuższą chwilę zapoznawał ją z sytuacją i na koniec pokazał hrabinie list Ojca Świętego.

Ermesenda, przeczytawszy uważnie niepokojące pismo, położyła je na kolanach i zwróciła się do zrozpaczonego prałata, który czekał niepewnie na decyzję hrabiny, świadomy tego, z jaką determinacją strzeże ona odziedziczonych hrabstw i w ciągu całego życia ile kosztowało ją to wyrzeczeń. Czyniła ogromne wysiłki, by utrzymać ich jedność mimo buntów szlachty, i zachowała je w nienaruszonym stanie najpierw dla syna, a potem dla wnuka.

— Co ten głupiec sobie myśli? Poświęciłam życie, by spełnić życzenia mego męża, a co on teraz wyprawia? Chce z powodu niemoralnej, nieprzyzwoitej namiętności stracić hrabstwo Barcelony, które z pewnością zbuntuje się przeciwko jego bezwstyd nemu zachowaniu? Chce ulec żądaniom tego nędznika, Mira Geriberta, który śmiało ogłosić się księciem Olerdola, próbując pozbawić mnie dziedzicznego prawa do *potestas* i który z pewnością wykorzysta sytuację, by dopiąć swego? Nie ma mowy!

Nie martwcie się, biskupie, poradzę sobie z sąsiadem z Ampurias i dopilnuję, by mój szalony wnuk odzyskał rozum. Temu pierwszemu prześlę wiadomość za pośrednictwem mego zięcia, Rogera de Toeny, za którym nie przepadam, ale który w takich sytuacjach jest bardzo przydatny. Niech jego żołnierze, najwyraźniej znużeni zbyt długą bezczynnością, zabawią się trochę, najeżdżając na pola hrabiego i paląc mu zbiory, gdyby nie chciał zawrzeć honorowego pokoju. Co do mojego wnuka, odezwę się do niego, gdy tylko pomówię z papieżem o tej żenującej sprawie.

— Ojciec Święty jest w Rzymie, z pewnością bardzo zajęty. Nie sądzę, by zamierzał was odwiedzić, hrabino.

— Nie jestem jeszcze taka stara. Chętnie złożę wizytę w Zamku Świętego Anioła i mam nadzieję, że zostaną przyjęta przez papieża z takim samym szacunkiem, z jakim ja bym go przyjęła. O ile wiem, stąd do Rzymu jest tak samo daleko, jak z Rzymu tutaj. Moje mulice dobrze biegają, a moje statki przemierzają szybko i często Morze Śródziemne.

20

Praca i mijające dni

Barcelona, lato 1052 roku

Marti Barbany osiągnął to, czego tak bardzo pragnął: dzięki wpływowi Eudalda Llobeta miał stawić się w urzędzie, gdzie załatwiał sprawy zarządca rynków i doradca finansowy Ramóna Berenguera I, *prohom* Bernat Montcusi. W tych dniach był on niezwykle zajęty. Przyjmował petentów w trypoziomowym gmachu i Marti miał świadomość, jak ważną jest osobistością, widząc, ilu szacownych obywateli zabiega u niego o audiencję. Z dziedzińca, na który podjeżdżały karety, prowadziły w górę marmurowe schody z balustradami z kutego żelaza i poręczami ze szlachetnego drewna. Wchodziło się po nich na galerię z kolumnadą, gdzie przy każdych kolejnych drzwiach stał służący, pytając o nazwiska osoby, które przychodziły ze swoimi sprawami do poszczególnych urzędników. Marti wspinał się po stopniach na pierwsze piętro i skierował do przedostatnich drzwi, zgodnie ze wskazówkami Eudalda Llobeta, który wcześniej umówił go na rozmowę. Znalazł się w urządzonym po królewsku salonie, gdzie różne grupy obywateli gawędziły przyjacielsko, oczekując na wezwanie. Wrodzona ciekawość pozwoliła mu dostrzec, że choć należeli do jednej warstwy, mieli skłonność do grupowania się według profesji: kupcy nie mieszały się z ziemianami, a ci ostatni z rycerstwem. Od czasu do czasu przez drzwi w głąbi

salonu wychylał głowę służący i wzywał po dwie osoby. Początkowo Marti nie wiedział, z jakiego powodu, ale gdy nadeszła jego kolej, zrozumiał natychmiast, że czas urzędnika był zbyt cenny, by tracił go na czekanie. Dlatego w poczekalni było dwóch petentów: gdy tylko wyszedł jeden, natychmiast wchodził następny. Towarzysz Martiego nie miał szczęścia: od razu reprimendę dostał od sekretarza, który wpuszczał do środka obywateli, gdyż nie przyniósł dokumentu, którego najwyraźniej już wcześniej od niego żądano. Czasem, pomyślał Marti, trzeba bardziej liczyć się z podwładnymi ludźmi sprawującymi władzę niż z nimi samymi, gdyż człowiek taką ma już naturę, że im mniej znaczy, tym bardziej domaga się poważania. *Prohom* wyszedł, nie załatwiwszy swojej sprawy, a Marti, starając się pozyskać względy drażliwego osobnika, na jego nieco szorstkie pytanie, kim jest i czego sobie życzy, odpowiedział:

— Widzę, że jesteście bardzo zajęci i nie chciałbym przeszkadzać w waszych licznych i ważnych obowiązkach.

Sekretarz, słysząc to pochlebstwo, zmienił ton.

— Niewątpliwie przynosicie odpowiednie dokumenty, ale tracę beznadziejnie czas na sprawy, które nie do mnie należą. W pierwszym westybulu powinno się zatrzymywać petentów niespełniających określonych wymagań, ale muszę to robić ja i potem nie nadążam z innymi zajęciami. Ludzie są tępi, a ja nie będę powtarzał tysiąc razy, jak ma wyglądać podanie. Jeśli na biurko mojego pana trafi jakieś pismo, które nie jest od powiednio sporządzone i opieczętowane, nie muszę wam mówić, komu się za to oberwie.

— Doskonale to rozumiem i nie zamierzam nadużywać ani waszego czasu, ani waszej sprawdzonej fachowości — ciągnął Marti, widząc, że jego pochlebstwa przynoszą efekty.

— Świadczy o tym wasz wygląd. Powiedzcie mi zatem, z czym przychodzicie?

— Mam wyznaczone spotkanie *zprohomem*, doradcą do spraw aprowizacji i rynków, Bernatem Montcusim. Umówił mnie z nim ojciec Eudald Llobet.

Ton i postawa sekretarza stały się nagle uprzejme i pełne szacunku.

— Zechcecie podać mi wasze nazwisko?

— Nazywam się Marti Barbany.

— Pozwólcie, że sprawdzę w księdze przyjęć.

Urzędnik zaczął przerzucać sprawnie stertę związanych sznurkiem pergaminów, które leżały z jego prawej strony i wkrótce oznajmił:

— Nie musieliście czekać w kolejce. Gdybyście mi powie dzieli, kim jesteście i z czyjego polecenia przychodzicie, zo stalibyście przyjęci od razu. Osoba, która umówiła was na spot kanie, jest w tym domu bardzo lubiana i szanowana.

— Nic nie szkodzi. Niech Bóg mnie broni, bym przeszkadzał wam w pracy.

— Zechciejcie usiąść. Za chwilę wracam.

Sekretarz, wyniosły i zarozumiały, opuścił miejsce za stołem, i skłoniwszy się lekko, zniknął za drzwiami, które miał za sobą, poruszając się jak majordom. Marti nie czekał długo. Sekretarz wkrótce wrócił i oznajmił donośnie:

— Don Bernat Montcusi, najjaśniejszy doradca do spraw aprowizacji i rynków, oczekuje was.

Marti wstał i poczuł natychmiast lekki drżenie nóg.

— Jak się nazywacie?

— Conrad Brufau.

— Bądźcie pewni, że nie zapomnę waszego nazwiska ani waszej operatywności.

Urzędnik polecił mu iść za sobą. Przeszli korytarzem do kasetonowych drzwi. Tam umundurowany wartownik odsunął lancę i wpuścił sekretarza do środka. Ten, poprosiwszy o zezwolenie, wprowadził przestraszonego Martiego do komnaty i wyszedł.

Gdy drzwi się zamknęły, Marti opanował przyspieszone bicie serca i pod nieobecność doradcy, zaczął się rozglądać.

Gabinet urządzone bogato, ale z umiarem. Wszystko, co się w nim znajdowało, było doskonałej jakości, jednak nie razilo

przepychem. Dało się zauważyć, że pracująca tam osoba przywykła do przebywania wśród cennych przedmiotów przywiezionych z dalekich stron.

Bernat Montcusi był jednym z zaufanych doradców rodu hrabiego, mianowanym na to stanowisko przez dawną regentkę Ermesendę z Carcassonne, i mówiono, że swego czasu bywała ona w jego domu. Słynął z trudnego charakteru, ale łatwo ulegał pochlebstwom i uwielbiał blask złota. Główne miejsce w jego gabinecie zajmował wielki, mający wysokość człowieka, wygaszony kominiek, na którego gzymsie stały różne gustowne ozdoby. Marti zwrócił uwagę na ogromny piaskowy zegar z dwunastoma kreskami na każdym z dwóch stożkowatych naczyń z dmuchanego szkła, wskazującymi godziny dnia i nocy. Był on umocowany na przewężeniu metalową obręczą do muru, tak że osoba, która go używała, mogła go codziennie obracać, aby drobne ziarenka piasku przesypywały się z jednego stożka do drugiego. Naprzeciw kominka stały trzy rzeźbione drewniane ławy wyściełone wygodnymi poduszkami. Ściany zdobiły kosztowne gobeliny. Z boku komnaty, naprzeciwko rozległego kolistego tarasu, znajdował się wielki stół z niezbędnymi do pracy akcesoriami, oświetlony ośmioramiennym kandelabrem i wyposażony w pióra, kałamarze, teczki do akt i proszki do osuszania atramentu.

Marti podszedł bliżej i jego tętno, już przyspieszone, zaczęło pulsować jeszcze szybciej. Zobaczył na stole, naprzeciwko fotela, oprawiony w ramkę w kształcie malarskich sztalug niewielki szkic portretu i rozpoznał natychmiast smutne spojrzenie dziewczyny o szarych oczach, o której śnił przez wiele nocy. Ożyły wspomnienia. Były to te same oczy, które wpatrywały się w niego zaintrygowane z lektyki w dniu, gdy kupił Omara i jego rodzinę, i z których powodu odważył się wylicytować niewolnicę.

Za jego plecami rozległ się głos:

— Chyba nie przyszlście oglądać mego gabinetu. Zechciejcie usiąść i wyjaśnić mi cel waszej wizyty. Dysponuję ograniczonym czasem i przyjąłem was natychmiast tylko dlatego, że przyby-

wacie z polecenia mojego spowiednika, Eudalda Llobeta, który nie szczędzi wam pochwał.

Marti obrócił się szybko na pięcie i zobaczył przed sobą dostojną postać. Doradca był człowiekiem otyłym, o bladej cerze i prawie bez szyi, gdyż podwójny podbródek niemal opadał mu na tors. Jego łysinę okalała kępka włosów. Powolnym i uroczyście gestem wskazał młodzieńcowi krzesło, obserwując go uważnie chytrymi przenikliwymi oczkami. Martiemu zabrakło odpowiednich słów na tę chwilę, której z takim niepokojem oczekiwał. Zajął miejsce naprzeciwko doradcy, a ten zasiadł w swoim fotelu.

— No dobrze, młody człowieku, jeśli macie choć połowę zalet, które przypisuje wam archidiakon, w co wątpię, zrobicie w Barcelonie wspaniałą karierę.

Marti ośmielił się wreszcie odezwać:

— Eudald Llobet był wielkim przyjacielem mojego ojca i niewątpliwie życzliwie mnie traktuje.

— Dobrze znam waszego protektora. Nie jest człowiekiem, który szafowałby pochlebstwami przez wzgląd na dawną przyjaźń. Ale zostawmy te dygresje, bo czas nagli i mogę wam poświęcić tylko chwilę. Przedstawcie mi dokładniej projekt, o którym wspominał Eudald.

Marti zaczął niepewnie, ale w miarę jak mówił, jego głos nabierał mocy. Pod koniec nie przemawiał już jak załkniiony chłopak, lecz jak dorosły mężczyzna, który zna się na rzeczy. Bernat Montcusi słuchał z przymrużonymi oczami i głową spoczywającą na oparciu fotela.

— ...Sprawilibyśmy dzięki temu, że luksusowe wyposażenie mieszkań naszych co znamienitszych obywateli będzie budziło podziw przyjezdnych i przynosiło prestiż miastu.

Tym zdaniem Marti zakończył swoją przemowę. Po przerwie, która wydała mu się nieskończenie długa, doradca oznajmił:

— Wspaniała wypowiedź, słowo daję. Muszę przyznać, że mnie zaskoczyliście. Wyrażacie się niezwykle jasno i precyzyjnie.

Nasz wspólny przyjaciel, ojciec Llobet, nie przesadził z pochwałami na wasz temat.

— Schlebiacie mi, panie.

— Powiedzcie mi jednak, jak sobie poradzę, gdybym wydał wam zgodę na otwarcie działalności, z gradem skarg, którymi zasypią mnie z pewnością osoby zagrożone waszą konkurencją na targowiskach i jarmarkach?

Marti uśmiechnął się, gdyż przewidział to pytanie.

— Stratni byłiby przede wszystkim cudzoziemcy. Myślę, że nie powinno się pozbawiać obywatela prawa handlowania tym, czym chce, i korzystania z efektów swojej pracy, tym bardziej że podatki, które będę musiał płacić przy bramie poborcom za posiadanie sklepu wewnątrz murów miasta, zasilą skarbiec.

— Znakomicie, młodzieńcze, znakomicie. Pozwólcie, że to przemyślę i w ciągu paru dni otrzymacie wiążącą odpowiedź. Powiedzcie mojemu sekretarzowi, gdzie mieszkanie, i obiecuję, że znów się zobaczymy. Myślę, że byłoby najlepiej spotkać się u mnie w domu i wyjaśnić pewne szczegóły. O niektórych sprawach wolę rozmawiać poza tym gabinetem. Jak rozumiecie, wszystko ma swoją cenę i aby doprowadzić do realizacji waszego pomysłu, będę musiał przekonać do niego paru nieprzejednanych wrogów wszelkich nowości. Tylko blask złota może zwalczyć ich wrodzoną skłonność do sprzeciwiania się waszej błyskotliwej inicjatywie. Ten koszt będziecie musieli ponieść, ale pomyślcie, że lepiej cieszyć się wspólnie sukcesem niż w pojedynkę znosić nędzę. Miłosierdzie polega na dzieleniu się z innymi, zwłaszcza jeśli od nich zależy nasze powodzenie, owoce naszego przedsięwzięcia.

Marti sądził, że zawodzi go słuch.

— To zbyt wielki zaszczyt, panie. Nie zasługuję na wizytę w waszym domu.

— Nie martwcie się. Jestem przekonany, że w niedługim czasie będziecie godni o wiele większych zaszczytów.

Dostojny doradca wstał z fotela, kończąc rozmowę. Marti pożegnał się lekkim skinieniem głowy, okazując szacunek, ale

nie unizoność. Wychodząc, zdołał rzucić okiem na stojący na kominku piaskowy zegar i zdał sobie sprawę, że jeden z najbardziej wpływowych ludzi w mieście poświęcił mu ponad godzinę swego bezcennego czasu. Przy drzwiach pozdrowił uprzejmie Conrada Brufaua, który spojrzał na niego zdumiony, zauważywszy, że dostojny doradca przeznaczył dla tego młodzieńca trzykrotnie więcej czasu, niż miał zwyczaj poświęcać któremukolwiek z petentów. Dochodząc już do podnóża schodów prowadzących do dziedzińca dla karet, Marti Barbany przystanął na chwilę. Nie wiedział zbyt dobrze, czy rozmowa, którą odbył, była szczerą i rzeczową, czy też miała drugie dno, którego na razie nie dostrzegał i które mogło go uwikłać w dość niebezpieczną rozgrywkę.

21

Papież z Rzymu

Rzym, lato 1052 roku

Ermesenda z Carcassonne wsiadła na statek w Cadaques, by popłynąć do Ostii, portu Rzymu, i stamtąd dotrzeć do Zamku Świętego Anioła, papieskiej rezydencji Wiktora II. Towarzyszył jej biskup Guillem de Balsareny. Ich statek miał jeden maszt i czworokątny żagiel z banderą hrabstwa Gerony, którego flota słynęła zasłużenie jako jedna z najbezpieczniejszych na Morzu Śródziemnym. Wiedząc, że znajduje się w miejscu kontrolowanym przez Hugona z Ampurias, którego rozgniewało do szaleństwa niedopuszczalne zachowanie jej wnuka w stosunku do jego córki, Ermesenda korzystała z eskorty drużyny Normanów Rogera de Toeny. Sama ich obecność napawała lękiem najbardziej zuchwałych wojowników. Potem mieli oni spotkać się z nią w porcie w Ostii i eskortować ją podczas podróży przez Italię. Dotarli do Cadaques trzeciego dnia o świcie i oddział Normanów rozwinął szyki, by ubezpieczać ich wejście na statek. Ermesendę i biskupa dowiozła do żaglowca łódź z ośmioma wioślarzami. Kiedy dopłynęła do burty, hrabinę wciągnięto do góry w wielkim wiklinowym koszu. Potem użyto go jeszcze wielokrotnie, by dostarczyć na pokład także czcigodnego duchownego i płynące w drugiej łodzi dworki Ermesendy. Statek przygotowano tak, by hrabina wdowa z Gerony miała zapewnione wszelkie wygody.

Kapitan, stary i doświadczony wilk morski, odstąpił jej swoją kajutę i umieścił damy w uprzątniętym pomieszczeniu obok drugiego pokładu. Biskupa zakwaterował na rufie, w kabinie bosmana, a pod pokładem towarzyszącą hrabinie straż. Rejs minął spokojnie i po dziewięciu dniach Ermesenda i jej orszak dotarli do celu. Oddział Normanów już tam na nią czekał, a ich znakomity dowódca przygotował dwie karety ze służbą, które miały ją zawieźć do Zamku Świętego Anioła. Podróż trwała dwa dni. Na widok ogromnej fortecy z okrągłymi wieżami, niekończącymi się blankami murów i potężnymi przyporami, podróżnych przeszedł dreszcz. Tylko Ermesenda pozostała niewzruszona. Obserwując swego zięcia, Rogera de Toeny, i biskupa, spytała:

— Co was tak zatrzaża? Ta ogromna sterta kamieni? Skoro tak, powiem wam, że pierwsza lepsza skała w moich Pirenejach jest potężniejsza niż ten zamek, a stworzyła ją natura, nie ma więc czego się bać.

Gdy tylko przybyli do zamku i zostali tam zakwaterowani, otrzymali wiadomość, że papież natychmiast ich przyjmie.

Ermesenda przywdziała swe najlepsze szaty, dbając o każdy szczegół. Ojciec Święty powinien zobaczyć przed sobą władczynię, ale zarazem kobietę pokorną i bardzo przygnębioną. Wybrała w tym celu czarną suknię bogato zdobioną perłami, bez dekoltu, z obcisłymi rękawami ściągniętymi na przegubach. Twarz miała niezmiernie bladą, bez odrobiny pudru na policzkach. Zobaczywszy swe odbicie w lustrze z polerowanego metalu, poczuła się w pełni usatysfakcjonowana. Usłyszała dyskretne pukanie do drzwi.

— Wejdźcie, Guillemie.

Biskup stanął przed nią, wyraźnie strapiony.

— Jesteście gotowa, pani?

— Jak widać, biskupie. Nie ubrałam się tak na bal karna wałowy.

— Więc chodźmy, pani. Protokół wymaga, byśmy byli w poczekalni kamerlinga jakiś czas przed wyznaczoną godziną audjencji u papieża.

— Zaczekajcie chwilę, Guillemie.

Władczym gestem nakazała jednej z dworek, by wpięła jej we włosy czarną kłamrę, przytrzymującą szarą koronkową mantylę, która opadała jej na twarz.

— Podoba wam się mój strój, Guillemie?

— Jest doskonały. Gustowny i prosty. Zasłonięcie twarzy dowodzi skromności i powściągliwości, co z pewnością zyska uznanie w oczach Ojca Świętego.

— A przy tym pozwoli mi dyskretnie wszystko obserwować. Ależ jesteście prostoduszni! — Zaśmiała się ironicznie. — Jasne, że w waszej diecezji w Vic nie musicie uciekać się do forteli stosowanych w wielkiej polityce. Chodźmy, jestem gotowa.

Zdumiony biskup podążył za hrabiną. Przy drzwiach komnaty czekał na nich mnich i dwaj strażnicy: pierwszy pełnił rolę przewodnika, a pozostali stanowili eskortę. Szli bez końca po korytarzach, salach i schodach Zamku Świętego Anioła, mijając licznych wartowników.

Gdy dotarli wreszcie do komnaty kardynała Bilardiego, papieskiego sekretarza i kamerlinga, towarzyszący im mnich zamienił kilka słów z pilnującym wejścia strażnikiem i ten, spytawszy o zgodę kogoś, kogo nie widzieli, wprowadził ich do salki, gdzie czcigodny duchowny przyjmował gości przed audiencją u papieża. Choć Ermesenda słyszała o przepychu papieskiej rezydencji, nie mogła wyjść z podziwu na widok bogatych kasetonowych sufitów, zachwycających gobelinów, które zdobiły ściany, i eksponowanych na każdym kroku wspinających płócien i rzeźb.

Nie każąc im długo czekać, kamerling pojawił się w drzwiach swego gabinetu. Wyglądał poważnie i majestatycznie. Był w tunice z obszernymi rękawami, przewiązanej w pasie szeroką szarfą ze szkarłatnego aksamitu. Na piersi miał zawieszony złoty łańcuch z pięknie rzeźbionym krucyfiksem. Duchowny podszedł do hrabiny i biskup zbladł, widząc, że Ermesenda nie wstała, jakby była w Geronie i udzielała posłuchania zwykłemu księdzu z jednej ze swych parafii.

Doświadczony sekretarz, pyszniąc się swymi florenckimi raa-

nierami i jakby nie zauważając jej nieuprzejmości, pozdrowił ją wytwornie i szarmancko. Rozumiał, że ma przed sobą wpływową katalońską hrabinę, rządzącą w istocie tymi ziemiami, na których toczyła się walka o władzę, uwikłaną w skomplikowane feudalne pakt i rodowe koligacje.

— Moja droga hrabino, nie znam powodów waszej wizyty, ale cieszę się, że mamy przyjemność gościć was w Rzymie.

Hrabina odparła tonem tajemniczym i poważnym:

— Drogi Bilardi, dotąd znałam was jedynie z relacji, które przywoził z Rzymu mój wierny sługa, Guillem de Balsareny. Od dziś będę mogła potwierdzić z przekonaniem, że kamerling Ojca Świętego jest człowiekiem, który nadawałby się na ambasadora w każdej europejskiej placówce.

Ermesenda przypisywała już sobie zwycięstwo, zastosowawszy starą taktykę pochlebstw, na które tak wrażliwi są mężczyźni, również ci, a jakże, którzy służą Kościołowi. Ale Bilardi natychmiast przejrzał jej grę.

— Pani, mam świadomość, że człowiek może przeżyć trzy dni bez jedzenia, trzy bez picia i tylko jeden bez pochlębstw, co dotyczy również duchownych, których większość, tutaj w Rzymie, grzeszy próżnością. Mimo wszystko dziękuję za uprzejmość. Ale powiedzcie mi, hrabino, czemu zawdzięczamy zaszczyt goszczenia was?

— Trudno mi uwierzyć, by kardynał kamerling nie znał treści listów, które Ojciec Święty rozsyła za pośrednictwem swych sług do wiernych w całym chrześcijańskim świecie.

Guillem wydawał się zdruzgotany. Bilardi, budzący respekt i wpływowy papieski sekretarz, nie był przyzwyczajony do takiej szczerości.

— Pani, papież ma swoje metody postępowania.

— Nie sądzę, by osobiście prowadził korespondencję. Przesłał mi informację o pewnym poważnym incydencie i jestem tutaj, by w miarę możliwości zapobiec bezprawiu. Proszę, byście mnie nie zmuszali do opowiadania dwa razy tej samej historii, i chciała bym, abyście byli obecni przy rozmowie, która za chwilę ma się

odbyć, gdyż wasze rady i doświadczenie mogą okazać się bardzo cenne, zarówno dla papieża, jak i dla biednej strapionej wdowy. Bilardi zastanawiał się przez chwilę. Podczas długich lat służby u Ojca Świętego nikt nie ośmielił się dotąd zwracać do niego tak otwarcie i bezpośrednio, z pominięciem całego labiryntu ceremoniału i dwuznacznych wypowiedzi, do których tak skłonni byli odwiedzający papieża ambasadorowie różnych królestw.

— Dobrze, hrabino, skoro tak sobie życzyście... Chciałem poznać wątek sprawy, który dotyczy Barcelony, z politycznego punktu widzenia, aby przedstawić go Ojcu Świętemu i zyskać na czasie. Zrozumcie, że papież ma zwyczaj przyjmować codziennie nie mniej niż dwadzieścia osób, dlatego staram się, by był wcześniej należycie poinformowany.

Ermesenda nie ustępowała.

— Panie, nauczyłam się już w dzieciństwie, że najlepiej potrafi zrelacjonować wydarzenie ten, kto był jego świadkiem lub brał w nim udział. Mam również świadomość, że jedynym kapitałem, który człowiek traci bezpowrotnie, jest czas. Nie martwcie się, zaprowadźcie mnie przed oblicze namiestnika Chrystusa i po zwólcie mi z nim pomówić.

— Niech tak się stanie.

Guillem rzucił kamerlingowi skruszone spojrzenie, prosząc o wybaczenie dla swojej pani, i oboje udali się na prywatną audiencję do Wiktora II.

Bilardi zakomunikował władczym gestem kapitanowi papieskiej straży, że jego eskorta nie jest potrzebna, i poprowadził hrabinę i biskupa do ogromnych drzwi, za którymi znajdowała się sala audiencyjna.

Gdy tylko majordom obwieścił przybycie dostojnych gości, skrzydła drzwi otworzyły się i dwoje Katalończyków weszło do wspaniałego pomieszczenia.

Odległość między drzwiami a tronem była spora. Ermesenda oszacowała, że największa sala, jaką dotąd widziała, musiała być pięciokrotnie mniejsza. Tron papieski stał pod biało-złotym baldachimem na podeście, pięć schodków powyżej podłogi.

Wszystko to przypominało gościowi, jak mało znaczy, i skłaniało go, by padł na kolana przed namiestnikiem Chrystusa na Ziemi. Wiktor II emanował całym swym blaskiem, ubrany w nieskalanie białą albę. Na głowie miał papieską tiarę, którą zakładał, przyjmując wysokich dygnitarzy, aby nie zapominali, że to on jest królem królów, najwyższym władcą, i że wszelka władza ziemska podlega jemu.

Ermesenda weszła po schodkach i skłoniła głowę przed papieżem, a biskup Guillem uczynił to samo, stojąc o stopień niżej. Papież dał im do ucałowania swój pierścień i choć wiedział, kim są jego goście, pozwolił, by Bilardi oficjalnie mu ich przedstawił.

W sali zapadła głęboka cisza, gdyż protokół nakazywał milczeć, dopóki Ojciec Święty pierwszy się nie odezwie.

Głos papieża zabrzmiał donośnie, odbijając się echem od ogromnego sklepienia. Wiktor II nie był, tak jak Bilardi, dyplomatą. Świadomy swej władzy, mógł sobie pozwolić przejść od razu do rzeczy, nie tracąc czasu na zbędne dywagacje.

— Rad jestem was widzieć, droga córko, i cieszę się, że tak szybko przybyliście na moje wezwanie. Nasz sługa i niewątpliwie także przyjaciel, biskup de Balsareny, okazał się jak zawsze kompetentny i niezawodny. Pomówmy zatem o delikatnej sprawie, która nas martwi. Zwróciłem się do was o radę, gdyż wiecie najlepiej, co jest dobre dla naszej drogiej Katalonii, tak ukochanej przeze mnie od czasu oblężenia Barbastro, gdzie w istocie wasz wnuk, sprawiający nam teraz tyle kłopotów, dał dowody nie zwykłej odwagi, z którą nie licuje jego późniejsze nikczemne zachowanie. Był bastionem obrony chrześcijaństwa przed Saracenami, a stał się złym przykładem. Mówcie, Ermesendo, i starajcie się wyłożyć swobodnie, co myślicie, nie zważając na to, kogo macie przed sobą. Wyrażajcie się możliwie szczerze i jasno.

Hrabina, doświadczona dyplomatka i dobra aktorka, westchnęła ciężko i zaszlochała.

— Uspokójcie się, Ermesendo, stoicie przed pasterzem, który strzeże swych owiec. Unieście woalkę i nie płaczcie, dotarliście do celu podróży.

Hrabina odsunęła z twarzy koronkę, która zasłaniała jej oczy, i spojrzała w twarz papieża.

— Dziękuję, Ojczy Świąty, ale kiedy słaba kobieta walczyła ze wszystkich sił, by strzec jedynej prawdziwej wiary przed potężnymi wrogami, i widzi u kresu swoich dni, jak jej potomek naraża to, co osiągnęła przez tyle lat wyrzeczeń i pracy, ogarnia ją zniechęcenie i smutek i ma ochotę się poddać.

— Droga córko, wiemy o waszej walce i staraniach i nie pozwolimy, by poszły na marne. Wysłaliśmy wam list z nowymi, które do nas dotarły, abyście mogli potwierdzić nasze podejrzenia. Powiedzcie mi zatem, co się dzieje w Barcelonie.

— Wasza Świątobliwość, jeśli temu nie zapobiegniecie, rozpęta się szaleństwo. Mój wnuk, Ramón Berenguer, zapalał niegodziwą namiętnością do zamężnej kobiety, co gorsza, żony hrabiego Ponce'a z Tuluzy, co może mieć poważne polityczne konsekwencje w Septymanii. Chce żyć z nią w konkubinacie, ku zgorszeniu poddanych i z uszczerbkiem dla wiary.

— Nie mówicie mi nic nowego. Chcę wiedzieć, czy to już się stało?

— Do mojego wyjazdu jeszcze nie. Na razie porzucił Blance z Ampurias, damę o wielkich zaletach, którą poślubił zaledwie przed rokiem. To córka hrabiego Hugona, mojego sąsiada z Geroni, z którym od wieków wiodę liczne spory. Jest bardzo urażony, co stawia mnie w jeszcze trudniejszej sytuacji, i z pewnością zechce to wykorzystać. Ale to nie koniec politycznych problemów. Wybaczcie, że poświęcam im tyle czasu, lecz hrabia Mir Geribert, który miał czelność ogłosić się księciem Olerdoli, wobec osłabienia hrabstwa Barcelony będzie sobie drwił z praw mojego drugiego wnuka, Sancha Berenguera, i zajmie Llobregat. Wierście mi, Wasza Świątobliwość, że jestem zrozpaczona.

Wiktor II rozmyślał przez chwilę, pogrążony w milczeniu.

— Co proponujecie, hrabino? Co może zrobić Rzym, aby uzdrowić sytuację i stanąć w obronie wiary waszych poddanych?

— Ojczy Świąty, skoro wezwaliście mnie do siebie, rozumiem, że ta sprawa niepokoi Kościół. Sądzę, że to wy powinniście

naciąć ranę i zapobiec rozprzestrzenianiu się gangreny. Wy, Wasza Świętobliwość, dysponujecie bronią mogącą zwalczyć to zło.

— Znacie dobrze zachnych mieszkańców Katalonii, powiedzcie mi zatem, co to za broń?

Ermesenda oznajmiła ściszym, ale stanowczym głosem:

— Ekskomunika, Ojciec Święty.

Wiktor II ściągnął brwi, okazując głębokie zatroskanie.

— Nie zamierzałem uciekać się aż do tego. Sugerujecie, hrabino, bardzo zdecydowane środki.

— Jeśli nie podejmiecie szybko działań, konsekwencje mogą być bardzo poważne.

— Co sądzicie o propozycji hrabiny Gerony, Bilardi?

Kamerling, stojący dyskretnie z boku, odpowiedział spokojnie i dyplomatycznie:

— Gdyby nie było innej możliwości, rozważałbym takie rozwiązanie, ale jest tak radykalne, że lekarstwo może się okazać gorsze od choroby. Chyba lepiej to jeszcze przemyśleć. Niedobrze jest podejmować decyzje pochopnie.

— A jak wy uważacie, biskupie?

Guillem de Balsareny miał do wyboru pomóc hrabinie lub zająć bardziej ugodową postawę. W końcu zdecydował się na to pierwsze.

— Wasza Świętobliwość, ja, ubogi ksiądz, nie jestem od powiednią osobą, by wyrażać opinie w tak poważnej sprawie, ale skoro mnie pytacie, jako człowiek znający problemy Katalonii uważam, że Kościół nie powinien pozwolić, by na podlegających mu ziemiach dochodziło do podobnych skandali. Co powiedzą poddani, jeśli będziemy pobłażać możliwym? Któż nie ośmieli się porzucić żony, skoro tak niewiele to kosztuje?

Ermesenda skorzystała z poparcia swego biskupa.

— Zauważcie, Ojciec Święty, że jeśli nałożycie ekskomunikę na mojego wnuka i jego nałożnicę, przyznacie jego poddanym prawo do nieposłuszeństwa, a ksiązę, który traci *auctoritas*, staje się bezbronny wobec swoich wrogów.

— Dobrze, hrabino. Niech tak będzie. Guillemie, informujcie

mnie na bieżąco, co się dzieje w Barcelonie. Jeśli nasze podej-
rzenia się sprawdzą, ekskomunikujemy tę parę szaleńców. Wtedy,
hrabino, gdy cała władza znajdzie się w waszych rękach, nie
zapomnijcie nigdy, komu to zawdzięczacie, i sprawujcie ją jak
należy.

— Ale, Wasza Świątobliwość... — wtrącił się Bilardi.

Wiktor II rzekł do niego:

— Nie czas na subtelności, kardynale. Gra idzie o zbyt wielką
stawkę i może na tym ucierpieć autorytet papieża. — Potem
zwrócił się do Ermesendy: — Jeśli zdarzy się to, co przeczuwacie,
możecie liczyć na moją przychylność i pomoc.

— Nie powinniście nigdy we mnie wątpić. Jestem nie tylko
wierną chrześcijanką, która wypełnia przykazania, ale potrafię
również okazywać wdzięczność.

— A zatem, hrabino, idźcie w pokój i niech Bóg was strzeże.

— Zostańcie z Bogiem.

Gdy Bilardi szykował się, by odprowadzić Ermesendę i biskupa
do ich komnat, hrabina opuściła na twarz koronkową mantylę.
Gdyby Guillem mógł w tym momencie dostrzec, co się pod nią
kryje, ujrzałby na jej ustach triumfalny uśmiech.

22

Las Cerignac

Tuluza, wrzesień 1052 roku

Orszak nie był zbyt liczny. Dwaj jeźdźcy kłusowali przed ciężką czterokołową karetą, na której drzwiczkach widniał herb hrabstwa Tuluzy. Opuszczone zasłonki z miękkiej skóry zasłaniały jej wnętrze i równocześnie chroniły pasażerów przed kurzem z drogi. Zaprzęg liczył sześć koni. Na koźle siedział stangret z batem w ręce, a na pierwszym wierzchowcu jechał młody foryś. Tylną straż karety stanowiło ośmiu żołnierzy z włóczniami i tarczami, których konie miały również na czaprakach barwy Tuluzy, a za ostatnim z nich szła na postronku Hermosa, przywiązana rzemieniem do łęku siodła klacz hrabiny. Zostawili za sobą rzekę Garonę, której wody przybrały, i byli w drodze prawie cały dzień. Już dwa razy zmieniali konie. Kapitan, który dowodził oddziałem, obserwował niespokojnie horyzont, obawiając się, że z gromadzących się nad nimi złowrogich ciemnoszarych chmur spadnie nagle potężna ulewa. Znając charakter swej pani, nie ośmielał się zarządzić postoju, by szukać schronienia, bo miał rozkaz opuścić las Cerignac przed zmrokiem. W karecie siedzieli hrabina Almodis, błazen Delfin i Lionor, pierwsza dama dworu. Hrabina Tuluzy wybrała ją starannie spośród wszystkich swoich dworek, gdyż miała do niej pełne zaufanie. Lionor, mimo ryzyka, jakie musiała ponieść, zgodziła się towarzyszyć swej pani i dzielić jej los.

— Delfinie, chyba już pora — szepnęła Almodis.

Karzeł poruszył się niespokojnie.

— Z pewnością, pani. Jesteśmy w połowie lasu. Z tego, co mówił szlachetny Gilbert d'Estruc, niedługo dojdzie do spotkania. Jesteście gotowa?

— Od tamtego odległego dnia, gdy odwiedził zamek hrabiego, jestem więcej niż gotowa. Nie mogę znieść oczekiwania — odparła z westchnieniem Almodis.

— Wierzycie, pani, że wszystko się uda? — spytała pobladła Lionor.

Almodis zamierzała jej odpowiedzieć, gdy karetka zaskrzypiała nagle, gwałtownie hamując. Na zewnątrz rozległy się przekleństwa i stukot kopyt. Z koron drzew spadły dwie pętle z liny, obezwładniając stangreta i forysia, którzy zawisli nad kareką, przewiązani sznurem w pasie. Drzwiczki od strony drogi otworzyły się gwałtownie i pojawiła się w nich pomalowana na czarno twarz Gilberta d'Estruc, któremu towarzyszył brodacze o groźnym wyglądzie.

Rozkazano im, by wysiedli z karety. Gdy tylko Almodis postawiła nogę na ziemi, zorientowała się z zachowania Gilberta d'Estruc, że jej eskorta jest gotowa bronić swej hrabiny i dlatego realizowali drugą wersję planu. Wszystko stało się błyskawicznie. Pod pachą dowódcy oddziału z Tuluzy utkwiała strzała. Żołnierzy otoczyła grupa rozbójników. Ludzi, którzy galopowali przed kareką, ściągnięto z koni i rozbrojono. Lionor i Delfin wyszli z powozu i stali z boku, nie ośmielając się pisnąć ani słowa. Z dolnych konarów gęstych drzew zeskoczyli trzej kusznicy z bronią gotową do strzału i pełnymi kołczanami na plecach. Za Almodis stanął Gilbert d'Estruc i jego brodaty kompan. Pierwszy z nich trzymał ją w pasie, przykładając do gardła ostrze sztyletu.

— Jak widzicie, kapitanie, stawianie oporu byłoby szaleństwem. Sądzę, że wasz pan zdoła przeżyć trochę czasu bez swej ukochanej żony, może nawet dzięki temu odpocznie, zanim wyłoży pewną sumę pieniędzy, która dla niego nic nie znaczy, a nam pozwoli przetrwać zimę.

Żołnierze czekali na rozkazy dowódcy, krwawiącego silnie z powodu rany od strzały, gdy tymczasem napastnicy, odziani w łachmany, wypatrywali czujnie najmniejszego choćby znaku ze strony człowieka, który groził Almodis.

— Niczego nie osiągniecie, próbując mnie bronić, kapitanie! — wykrzyknęła hrabina słabym głosem. — Walka jest przegrana. Ci złoczyńcy chcą tylko okupu... — Widząc, że kapitan się waha, dodała: — Nie martwcie się, kiedy zostaną uwolniona, powiem mężowi, że to ja kazałam wam się poddać. A teraz róbcie, co wam każą, na litość boską.

Dowódca nadal się wahał.

Głos Gilberta d'Estruc zabrzmiał rozkazująco, choć był w nim ton ironii.

— Pani ma rację, kapitanie. Wasz honor ucierpi bardziej, jeśli wrócicie do Tuluzy ze zwłokami hrabiny.

Kapitan rzucił miecz i wydał żołnierzom rozkaz, by zrobili to samo.

— Tak już lepiej. Postąpiliście rozsądnie. Dzisiaj szczęście wam nie sprzyjało, ale dzięki swemu zachowaniu nie straciliście szansy, że w przyszłości to się zmieni.

Dalej wszystko potoczyło się błyskawicznie. Żołnierzy ściągnięto z koni, a zwierzęta wyprzęgnięte z karety rozpędzono po lesie, używając pochodni. Gdy tylko zniknęły, ciągnąc za sobą uzdy i łańcuchy, każdy z napastników przywiązał do łęku swego siodła jednego z wierzchowców zaskoczonych żołnierzy. Potem, kiedy zostali pozbawieni włóczni i strzał, d'Estruc rozkazał, by pozwolono im zachować sztylety i miecze, a stangreta i forysia uwolniono z więzów.

— Zauważcie, że zachowujemy się jak prawdziwi rycerze i nie zostawiamy was w środku lasu, zdanych na łaskę dzikich bestii. Tyle że czeka was teraz długa droga, co jest nam na rękę, gdyż będziemy mieli czas zrealizować nasze plany. Wkrótce, jeśli hrabia Tuluzy okaże się równie rozsądny, jak jego kapitan, z radością powitacie w zamku waszą hrabinę.

Dowódca oddziału nie raczył nawet odpowiedzieć rozbój-

nikowi i chwyciwszy sprawną ręką strzałę, która sterczała mu spod pachy, zwrócił się do swej pani wyraźnie przybity, ale z nutą dumy w głosie.

— Hrabino, gdyby nie wasz rozkaz, dobrze wiecie, że zginął bym w waszej obronie. Powiadomię waszego męża, co się dziś wydarzyło, i będę niecierpliwie czekał na okazję, by odpłacić się tej bandzie zbójów.

— Ruszajcie, kapitanie, i wiedzcie, że wasz honor pozostanie nienaruszony. Zobaczymy, co się wydarzy. Jesteśmy jedynie liśćmi, które unosi wiatr przeznaczenia — odpowiedziała Almodis, starając się okazać smutek, którego bynajmniej nie czuła.

Rozbójnicy dosiedli koni, a Gilbert d'Estruc, Perelló Alemany i Guillem d'Oló oddali swoje wierzchowce Almodis, jej damie dworu, Lionor, i małemu Delfinowi, który nie sięgał do strzemion. Klacz Hermosa szła przywiązana do jednego z siodeł.

23

Niebezpieczni wspólnicy

Barcelona, wrzesień 1052 roku

Dom doradcy hrabiego Bernata Montcusiego znajdował się w pobliżu Castellvell. Jedna ze ścian przylegała do murów obronnych, tak że do rezydencji wchodziło się wprost z drogi okrążającej miasto. Solidny wysoki gmach kontrastował z sąsiednimi budynkami, które wyglądały przy nim jak domostwa wieśniaków. Składał się z parteru i dwóch pięter oraz galerii z zadaszaniem wspartym na symetrycznych hakach. Przez półokrągłą bramę wchodziło się na niewielki dziedziniec z pomieszczeniami dla straży. W głębi znajdował się ogród otoczony kamiennym murem, porośniętym gęstymi pnączami. Były tam krzewy, drzewa owocowe i ścieżki prowadzące do sztucznego zbiornika z zachwycającymi gości ruchliwymi karpiami. Osłonięta bluszczem pergola w najdalszym zakątku ogrodu służyła za jadalnię latem, gdy miasto dręczyły upały. Do tego właśnie domu podjechał konno Marti Barbany, który wciąż nie mógł uwierzyć w swą szczęśliwą gwiazdę, towarzyszącą mu, odkąd przybył do Barcelony. Dotarłszy do bramy, zsiadł z konia i wręczył cugle giermkowi, który wyszedł go powitać. Wiedząc, że jego pan spodziewa się gościa na obiedzie, zapytał, jak się nazywa i kim jest.

— Jestem Marti Barbany i mam umówione spotkanie z doradcą hrabiego.

— Najjaśniejszy Bernat Montcusi oczekuje was w altanie w ogrodzie. Zechciejcie pójść za mną...

Służący ruszył przodem i wszedł na dziedziniec dla karet, prowadząc za uzdę wierzchowca Martiego. Chłopak, otrzepując kurz z nogawek, podążał za nim. Dotarłszy do łuku, za który nie wolno już było wprowadzać koni, giermek przekazał zwierzę jednemu ze stajennych i lekkim skinieniem dłoni dał znak Martiemu, by szedł za nim. Przekroczyli próg chłodnego domu i znaleźli się w pasażu z wypalanej cegły, który okrążał rezydencję i wychodził wprost na ogród. Tam giermek oddał Martiego pod opiekę wyższemu niewątpliwie rangą majordomowi, który — zająwszy się lekką peleryną i kapeluszem młodzieńca — poprowadził go w kierunku altanki. W miarę, jak się do niej zbliżali, Marti obserwował z zaciekawieniem oczami mieszkańca wsi cudowną symetrię ogrodu. Ocienione ścieżki, strumienie wody, zadbane grządki... Wszystko to wymagało pracy, którą potrafiły wykonać tylko ręce ludzi sprowadzonych z dalekich krajów i znających się, tak jak jego Omar, na nawadnianiu ziemi.

Doradca siedział w obrośniętej bluszczem altanie i aby znieść dokuczliwy upał, popijał jakiś napój. Nalewał mu go z karafki z weneckiego szkła chłopak, który, sądząc z karnacji, mógł być Andaluzyjczykiem, podczas gdy drugi, o podobnym wyglądzie, chłodził swego pana ogromnym wachlarzem z piór marabuta.

Martiego znowu przeszły ciarki, uspokoił się jednak, widząc na ustach Bernata Montcusiego szeroki uśmiech. Służący zniknął, skinąwszy lekko głową, i zostawił zdenerwowanego młodzieńca przed obliczem człowieka, który miał zapewne największe wpływy na dworze Ramóna Berenguera I, hrabiego Barcelony, obok takich osobistości, jak majordom Gualbert Amat, *veguer** Olderich de Pellicer i główny notariusz, Guillem de Valderribes.

— Drogi młodzieńcze, czuj się jak u siebie w domu.

* *Veguer* — wicehrabia, urzędnik lokalnej administracji, pełniący funkcje sądowe, rządowe i wojskowe.

Marti nie mógł się nadziwić przychylności, z jaką odnosił się do niego człowiek o takiej pozycji.

— Jestem zaszczycony, że zapraszacie mnie do siebie, jakbym był przybyłym z daleka krewnym.

— Wiecie, że przyjaciele ojca Eudalda są moimi przyjaciółmi, zwłaszcza gdy chodzi o kogoś, kto na taki przywilej zasługuje. Usiądźcie, bo reguły dobrego wychowania nakazują mi zaczekać, aż pierwsi to zrobicie, a moje stare nogi ciągle mi dokuczają z powodu panującej w tym mieście przeklętej wilgoci.

Niemal nie zdając sobie z tego sprawy, Marti usiadł jak równy z równym naprzeciw swego wpływowego gospodarza.

Po konwencjonalnym wstępie, jakiego wymagały podstawowe zasady uprzejmości, doradca przeszedł do sedna sprawy:

— A zatem, drogi Marti, rozmawiałem z osobami, których dotyczy w jakiś sposób wasz projekt, i jeśli usuniemy pewne przeszkody, na co z pewnością wyrazicie zgodę, rada jest skłonna wydać wam warunkowe zezwolenie na prowadzenie przez rok handlu, by sprawdzić wasze umiejętności.

Marti poczuł przyspieszone bicie serca.

— Ale chodźmy lepiej coś przekąsić. Wino pite z umiarem nie czyni szkody i sprzyja porozumieniu.

Marti miał wrażenie, że w tych słowach kryje się jakaś aluzja.

Doradca dźwignął się z fotela i podszedł do stołu pośrodku altany nakrytego dla dwóch osób. Marti podążył tuż za nim, nie wiedząc, jak ma się zachowywać podczas uczyty, postanowił więc naśladować swego gospodarza i nie wypowiadać żadnych opinii, dopóki ten nie wyjawí swych zamiarów. Za ich plecami pojawili się natychmiast dwaj służący, gotowi podsunąć im krzesła. Marti usiadł dopiero wtedy, gdy zrobił to doradca. W upalny dzień altana stanowiła rozkoszną, pachnącą oazę cienia. Stół prezentował się wspaniale: talerze były z wykwintnej porcelany, a kieliszki z zielonego weneckiego szkła.

Rozmowa przebiegała swobodnie i wkrótce Martiemu zaczęło się wydawać, że doradca staje mu się o wiele bliższy. Instynkt przestrzegał go jednak, że oznaki zaufania to fortel ze strony

sprytnego starca, który chciał stworzyć sprzyjający dla siebie klimat.

Czas mijał niepostrzeżenie na pogawędce o tysiącu rozmaitych spraw.

Gdy podano deser, Marti wiedział, że nadszedł kluczowy moment rozmowy. Doradca i inspektor do spraw rynków i targowisk zamierzał wszystko mu wyjaśnić. Odprawiwszy służących, oznajmił krótko i zwięźle:

— Młodzieńcze, owego dnia, gdy zjawiliście się w moim biurze, uświadomiłem sobie, że możecie być tym, kogo szukałem.

Marti słuchał uważnie, starając się zapamiętać jego słowa, by potem móc się nad nimi zastanowić.

— Służenie księciu jest wielkim zaszczytem, ale przynosi niewiele zysku, gdyż mam związane ręce i nie wykorzystuję licznych okazji, z których mógłbym czerpać znaczne korzyści. Gdybym jednak spotkał kogoś odpowiedniego, kto lojalnie by mi służył, uczyniłbym go bogatym bez uszczerbku dla mego honoru i wpływów.

Marti zachowywał milczenie, nie chcąc zbyt pochopnie przytakiwać ani zaprzeczać. Doradca ciągnął:

— Nie sądzicie, że to prosta sprawa. Nie nadaje się do tego nikt z dworu. Ci ludzie nie wiedzą, że praca człowieka uszlachetnia, i gardzą tymi, którzy zajmują się handlem. Co więcej, wielu pożąda mego stanowiska i gdyby mogli, zastawiliby na mnie pułapkę, bym popadł w niełaskę hrabiego.

— A co mogę zrobić ja, biedak przybyły niedawno na dwór, by pomóc wam w tak trudnej sytuacji? — zapytał Marti z udawaną naiwnością.

— Właśnie to najbardziej mnie interesuje. Jesteście młodzieńcem, którego jeszcze nikt nie zna. Macie ambicje i rekomendację ojca Llobeta. Nie jesteście obywatelem Barcelony i jeśli zrobicie coś, co wzbudzi zawiść, użyję moich wpływów, by wam pomóc. Sądzę zatem, że nasz układ jest korzystniejszy dla was niż dla mnie.

— Z całym szacunkiem, panie, ale na czym ma on polegać?

— To proste. Zrozumiałem, po naszej rozmowie pierwszego dnia, że jesteście przedsiębiorczym i energicznym młodzieńcem i że z czasem zechcecie zająć się interesami, które uznacie za korzystne. A zatem wszelkie przedsięwzięcia wymagające specjalnego zezwolenia, czy to wydawanego przeze mnie, czy też uzyskiwanego za moim pośrednictwem od wyższych urzędników, będą obciążone podatkiem zmieniającym się zależnie od wysokości dochodów, jakie przyniosą.

Myśli Martiego płynęły wartkim strumieniem: jeśli odmówi, straci poparcie jednego z najbardziej wpływowych ludzi na dworze, jeżeli zaś się zgodzi, będzie miał otwartą drogę do prowadzenia rozmaitych interesów. Będzie mógł wejść w spółkę, z kim zapragnie. Nie miał innego wyjścia, więc szybko podjął decyzję.

— Nie tylko przyjmuję waszą hojną propozycję, lecz jestem nieskończenie wdzięczny, że oferujecie mi takie możliwości.

— Nie muszę wam mówić, że nasz układ jest poufny i że tylko wy i ja o nim wiemy.

— Rozumiem to doskonale. Nie martwcie się, potrafię do chować tajemnicy.

Na twarzy starca po raz pierwszy pojawił się wyraz groźby.

— Jeśli popełnicie błąd, to nie ja będę miał powód do zmartwienia.

Natychmiast jednak się rozchmurzył. Wstał z fotela i wzięwszy do ręki kielich, wznosił toast.

— Za nasze wielkie plany i korzystne interesy.

Marti poszedł w ślady swego gospodarza i stuknęli się lekko kielichami.

Doradca polecił mu, by następnego dnia zjawił się w jego biurze, po czym nadal swobodnie sobie gawędzili. Chwilę później Montcusi odprowadzał go już do drzwi. Minęli właśnie ogród i mieli wejść na pasaż z cegieł, gdy serce zamarło młodzieńcowi w piersi: w ich kierunku zmierzała w towarzystwie surowej opiekunki smukła jak libański cedr dziewczyna o szarych oczach,

którą widział przez moment podczas licytacji. Gdy znalazła się obok nich, starzec musiał mu ją przedstawić.

— Oto moja córka, Laia. Córko, poznaj mego nowego przyjaciela, Martiego Barbany.

Marti uklonił się niezdarnie i szepnął:

— Padam do waszych stóp, pani.

Kobiety poszły dalej. Marti powiódł za nimi wzrokiem i nie zauważył, jak chytrym i przebiegłym spojrzeniem zmierzył go doradca.

Bernat Montcusi spędził popołudnie zamknięty w swoim gabinecie. Gdy zapadła noc, służący zapalili świece i lampy oliwne. Majordom podał mu na jego prośbę lekki posiłek. Służba oddaliła się do swoich komnat. W pałacu nie słyhać było najmniejszego hałasu. Bernat Montcusi wziął kandelabr, który oświetlał jego biurko, i skierował się do pokoju na drugim piętrze, zawsze zamkniętego na cztery spusty. Wyjął z kieszeni togi mały klucz i otworzywszy drzwi, wszedł do środka. Postawił kandelabr na stoliku i położył się na podłodze. Wymacał deszczułkę, która przesunęła się pod naciskiem jego palców, odsłaniając ukryty otwór. Przyłożył do niego prawe oko. W tym momencie Laia zdejmowała spódnicę. Potem ściągnęła również bawełniane pończochy. Ujrzał ją przez chwilę całkiem naga.

Bernat Montcusi, doradca hrabiego, zaczął się masturbować.

24

Almodis wsiada na statek

Tuluza, wrzesień 1052 roku

Po jakimś czasie orszak opuścił las Cerignac. Gilbert d'Estruc rozkazał żołnierzom, by się zatrzymali, i gotów był spełnić wszelkie życzenia Almodis dotyczące zasłużonego odpoczynku albo przerw w podróży, tak uciążliwej dla ludzi nienawykłych do długiej jazdy. Twarze Lionor, damy do towarzystwa, i karła wyglądały nader malowniczo: pokrywała je warstwa kurzu, w którym rzeźbiły bruzdy strużki potu.

— Pani, nawet gdyby ktoś nas ścigał, mamy znaczną prze wagę. Jeśli chcecie, możemy chwilę odpocząć, byście odzyskali siły.

— Nie potrzebuję odpoczynku, ale moja dama i Delfin być może tak. Gdy tylko nabiorą sił, ruszamy w drogę. Chciałabym jak najszybciej dotrzeć do celu.

Dona Lionor podeszła do swojej pani i szepnęła jej na ucho:

— Pani, muszę pilnie pójść na stronę. Mój organizm domaga się postoju, natura ma swoje potrzeby... Myślę, że dotyczy to także Delfina.

— W porządku, Gilbertcie — zgodziła się niechętnie hrabi na. — Zrobimy postój i pojedziemy dalej. Zanim wróci moja dama, przedstawcie mi, proszę, jeśli już możecie, dalszą część naszego planu.

— Teraz już mogę, pani. Największe zagrożenie minęło, więc powiem wam, co postanowił mój pan. Otóż parę mil stąd jest ufortyfikowana *masia*, gdzie oczekuje nas grupa katalońskich żołnierzy, wiernych naszemu panu, hrabiemu Ramónowi Berenguerowi, którzy będą nas eskortowali w dalszej drodze. Odpoczniecie tam i przygotujecie się do drugiego etapu podróży. Mój pan uznał, że przeprawa przez wąwóz w Pirenejach byłaby zbyt ryzykowna, gdyż łatwo tam urządzić zasadzkę, zdecydował więc, że dotrzecie do Barcelony morzem. Na redzie w pobliżu Narbonne czeka na nas statek wynajęty przez Żydów z Tortosy. Traficie na jego pokład ukryta w wielkim kufrze. W drugim schowa się Delfin, gdyż jego postać za bardzo zwraca uwagę. Wasza dama, przebrana w habit zakonnicy, będzie w pobliżu, aby spełniać wszelkie wasze życzenia. Nikt nie powinien was rozpoznać, by wieści nie dotarły przedwcześnie do Tuluzy. Znalazłszy się na pokładzie, będziecie mogli korzystać — w granicach możliwości, jakie oferuje statek — ze wszystkich wygod, jakich jesteście teraz pozbawieni. Jeśli niebiosy zechcą nam sprzyjać, w ciągu czterech lub pięciu dni dopłyniecie do Barcelony, gdzie mój pan czeka na was, usychając z tęsknoty.

— A zatem, zacny kawalerze, nie chcę, żeby czekał zbyt długo. Nie należę do kobiet, z którymi trzeba się delikatnie obchodzić. Proszę, byście wymagali ode mnie takiego samego wysiłku, jak od swoich ludzi.

— Pani — odparł d'Estruc, odnosząc się do niej z coraz większym szacunkiem — nigdy w życiu nie znałem damy równie śmiałej i gotowej stawiać czoło niebezpieczeństwu.

Dofia Lionor i Delfin już wracali z gęstych zarośli, każde z innej strony, i orszak mógł ruszać w dalszą drogę. Tym razem przygotowano wierzchowce tak, by Almodis i dona Lionor siedziały na nich bokiem, co zapewniało im większą wygodę. Almodis dosiadała Hermosy, Lionor potulnej klaczy, a Delfin — konika proporcjonalnego do swojego wzrostu.

Na redzie stała zakotwiczona galera. Nad bocianim gniazdem lśniło światło głównego masztu, a latarnia na rufie rzucała migotliwy blask na spokojne wody zatoczki. Z galery wysłano na plażę dwie szalupy, które miały kursować tam i z powrotem, by przewieźć na pokład wszystko, co trzeba. Do brzegu zbliżała się grupa ludzi, pieszych i jeźdźców. Ci pierwsi nieśli dwa kufry: jeden znacznych rozmiarów, drugi mniejszy. Żadnego z rybaków, którzy reperowali sieci lub oddawali się zajęciom typowym dla ludzi morza, zamierzając właśnie wyruszyć na połów głowonogów na łodziach wyposażonych w latarnie z knotami, nie zdziwił widok tak niezwykłego orszaku. Nikt nie dociekał, jakie towary przewozi się z plaży na statki kotwiczące w tej okolicy, gdyż było to wybrzeże przemysłowe i nie należało wsadzać nosa w nie swoje sprawy, zadawać zbyt wielu pytań, ani interesować się statkami, które należały na ogół do wpływowych osób. Orszak dotarł do brzegu. Rozkazy wydawał człowiek o dumnej postawie i władczo brzmiącym głosem.

— Przede wszystkim macie dostarczyć na pokład ten duży kufer, a wy, matko — zwrócił się do stojącej z boku zakonnicy — dopilnujcie, aby przewieziono go ostrożnie i postawiono w najbezpieczniejszym miejscu na galerze.

Ludzie niosący kufer wypełnili gorliwie rozkazy i z pomocą wioślarzy i służących umieścili go, nie bez wysiłku, na dziobie szalupy. Łodzie pływały bez przerwy tam i z powrotem, a gdy załadowano już cały ekwipunek, na pokład weszło sześciu najwyższych rangą rycerzy. Pozostali chwycili konie za uzdy i zniknęli z plaży równie szybko, jak się pojawili. Gilbert d'Estruc, Bernat de Gurb, Guerau de Cabrera, Perelló Alemany, Guillem de Muntanyola i Guillem d'Oló towarzyszyli swojej przyszłej pani gotowi, gdyby zaszła potrzeba, oddać za nią życie.

25

Plany i ambicje

Barcelona, wrzesień 1052 roku

Martiego dręczyła niepewność i zakłopotanie. Wciąż odtwarzał w myślach rozmowę z Bernatem Montcusim, nadwornym doradcą hrabiego. Aby wyjaśnić wątpliwości, musiał postępować roztropnie, gdyż każdy fałszywy krok, o którym dowiedziałaby się tak wpływowa osobistość, narażał go na niebezpieczeństwo, należało więc być przebiegłym i powściągliwym. Początkowo chciał zasięgnąć rady Eudalda Llobeta, ale szybko z tego zrezygnował, gdyż był on zaprzyjaźniony z doradcą, więc jakakolwiek różnica poglądów mogła spowodować nieprzyjemne dla nich obu konsekwencje. Po długim namyśle postanowił udać się do Barucha Benvenista, który od początku traktował go uprzejmie i serdecznie. Oznajmiwszy Caterinie, pełniącej już gorliwie w jego domu funkcję gospodyni, że wróci późno na kolację, skierował kroki do kościoła Sant Jaume, aby stamtąd udać się przez bramę Castellnou do domu Benvenista. Solidność budowli i pozorne bogactwo użytych materiałów znów wzbudziły jego podziw. Przypomniawszy sobie pierwszą wizytę, którą złożył tam w towarzystwie Eudalda Llobeta, odszukał ukryty łańcuch dzwonka i pociągnął za niego. Niemal natychmiast rozległ się odgłos kroków i gdy oczekiwał, że podobnie jak poprzednio, ktoś wyjrzy przez judasza, otworzyły się drzwi i ukazała się

w nich figlarna piegowata twarz małej dziewczynki, która wydawała się bardziej zaskoczona niż on.

— Niech Elohim ma was w opiece.

— I ciebie także — odparł Marti. — Czy don Baruch Benvenist jest w domu?

— Ojciec jest w swoim gabinecie, ale jeśli zechcecie zaczekać, z pewnością was przyjmie — odrzekła dziewczynka bez cienia nieśmiałości. — Mam na imię Ruth. Jestem jego najmłodszą córką. Wejdźcie, proszę, nie stójcie w drzwiach.

Marti, rozbawiony tupetem dziewczynki, ośmielił się dodać:

— Ja nazywam się Marti Barbany. Nie byłem umówiony. Liczyłem się z tym, że nie zostanę przyjęty, ale muszę omówić z don Baruchem pewną pilną sprawę. Proszę, powiedz o tym ojcu, a jeśli nie ma czasu, zobaczę się z nim w bardziej sprzyjającej chwili.

— Ojciec mówił o was wiele razy i zawsze w ciepłych słowach. Jeśli zechcecie pójść za mną, postaram się, żebyście długo nie czekali. Pozwólcie.

Dziewczynka zaczęła, aż Marti przejdzie przez próg, i zamknąwszy drzwi, dała mu znak, by podążył za nią. Młodzieniec obserwował z podziwem jej zgrabny chód, szczupłą talię i długie warkocze. Przebyli znaną już Martiemu drogę i gdy dotarli korytarzem do rozwidlenia, którego prawa odnoga prowadziła do gabinetu Żyda, dziewczynka poszła w przeciwnym kierunku, bezpośrednio do ogrodu. Jego zapachy przypomniały mu niedawną wizytę w domu Bernata Montcusiego i skłoniły do porównań. Bez wątpienia ogród *prohoma* był dużo bardziej okazały, ale w ogrodzie Barucha dobry gust, żywa zieleń krzewów, rozmieszczenie drzew i niezwykła studnia sprawiały nieskończenie większą przyjemność zmysłom.

Dziewczynka zaprowadziła Martiego pod rozłożysty kasztan, który rzucał popołudniową porą długi przyjemny cień. Pod ogromnym drzewem stał duży sosnowy stół otoczony czterema krzesłami i ławą. Na jednym z konarów wisiała huśtawka: drewniana deska na linach ozdobionych kwiatkami.

— Tutaj możecie poczekać na mojego ojca, unikając dokuczliwego upału. Przychodzę tu zawsze, gdy tylko mogę. To moje ulubione miejsce.

Martiego bawiło zachowanie dziewczynki. Kiedy miał zamiar odpowiedzieć, że czekałby na bankiera w dowolnym miejscu, uprzedziła go, mówiąc:

— Przyniosę wam dla orzeźwienia lemoniadę. Sama ją robię. A po drodze zawiadomię ojca, że na niego czekacie.

Zanim Marti zdążył jej podziękować, dziewczynka zniknęła mu z oczu jak zwinna gazela.

Chłopak przyglądał się domowi z perspektywy ogrodu. Z miejsca, w którym się znajdował, widział galerię biegnącą obok gabinetu Żyda, a dalej dwa wejścia, prowadzące — jak sądził — do prywatnych pokoi. Za narożnikiem musiały znajdować się kuchnie. O tym rozmyślał, gdy wróciła dziewczynka, niosąc tacę z dwoma pucharkami i karafką napełnioną apetycznym żółtym napojem.

— Jeśli pozwolicie, napiję się z wami. Zawsze lepiej robić to w towarzystwie niż samotnie.

Po chwili postawiła tacę na stole i napełniła dwa pucharki lemoniadą.

— Dziękuję — powiedział z uśmiechem Marti. — Jesteś bardzo uprzejma, ale nie chcę, żebyś traciła przy mnie czas. Kiedy przyszedłem, wydawało mi się, że masz coś do załatwienia. Nie musisz się mną zajmować. Zaczekam sam na twojego ojca.

— Nie martwcie się. Moje sprawy mogą poczekać. Pijcie i powiedzcie mi, jak wam smakuje lemoniada.

Marti przysunął kieliszek do ust i spróbował napoju, obdarzył dziewczynkę zasłużonym pochlebstwem.

— Jest wyborna i orzeźwiająca, tak jak ty.

Dziewczyna odpowiedziała ze swobodą niepasującą do jej wieku:

— Dziękuję za komplement. Moim zdaniem takie właśnie powinny być dziewczyny, które chcą sprawić komuś przyjemność. Mężczyzna, wracając do domu, oczekuje odrobiny spokoju, a przede wszystkim radości.

— Wierz mi, że jeśli postępujesz tak, jak mówisz, we właściwym czasie bez problemów znajdziesz dobrego męża.

Dziewczynka uśmiechnęła się promiennie.

W tym momencie otworzyły się drzwi gabinetu Barucha i ukazał się w nich gospodarz. Podciągnąwszy szatę, zszedł po schodach z domu do ogrodu. Zbliżając się, mówił uprzejmym tonem:

— Drogi przyjacielu, czemu zawdzięczam zaszczyt twych odwiedzin? Córka powiadomiła mnie o twoim przybyciu, uwolniłem się więc najszybciej, jak mogłem, od swoich obowiązków, by móc ci służyć.

Marti wstał i postawiwszy pucharek na stole, wyszedł mu na spotkanie.

— Czekałem w uroczym towarzystwie. Muszę wam pogratulować: wasza córka jest czarującą istotą i troskliwą gospodynią.

— Dziękuję za komplement. Myślę, że zarówno żona, jak i ja staraliśmy się wpoić naszym trzem córkom zasady dobrego wychowania, chociaż zastanawiam się czasem, czy sobie je przyswoiły.

Dziewczynka uśmiechała się wyczekująco. Żyd zwrócił się do niej:

— Ruth, chyba tym razem dobrze się spisałaś. Mogę wyjątkowo powiedzieć, że jestem z ciebie dumny, chociaż nie mam wątpliwości, że nasz gość przypadł ci do gustu. Inaczej znalazłabyś pretekst, żeby zajęła się nim któraś z twoich sióstr. A teraz zechciej się pożegnać i wracaj do domu. Matka na ciebie czeka.

— Mogę dokończyć z wami lemoniadę? — spytała dziewczynka z nadąsaną miną. — Zawsze mnie uczyliście, że nie należy pozwalać, by gość pił samotnie.

— Ruth, oszczędź mi tych kobiecych forteli. Zajmę się naszym gościem. Przynieś jeszcze jeden pucharek i odejdz.

Marti przyglądał się rozbawiony, jak dziewczynka zabiera tacę ze swoim pucharkiem i skłoniwszy się lekko, idzie do kuchni.

— Wybaczcie. Nikt nie wie, jaki krzyż dźwiga ojciec, który pragnąc mieć syna, spłodził trzy córki.



— Jeśli jej siostry są równie czarujące, wróżę wam dostatnią starość.

Żyd pokiwał głową.

— Wątpię w to. Kobieta ma tysiąc twarzy i w różnych sytuacjach, zależnie od potrzeb, ukazuje jedną z nich. Dziś sprawiło jej przyjemność wasze towarzystwo. Może potraktowaliście ją jak kobietę, a ponieważ ma dopiero jedenaście lat, poczuła się szczęśliwa i pokazała się z najlepszej strony. Ale biada mi, gdy próbuję stawić czoło trzem siostram, które w zмовie z matką są silniejsze ode mnie! Jeszcze zanim zacznę, wiem, że przegrałem.

W tym momencie Ruth wróciła z pucharkiem dla ojca. Postawiła go na stole, pytając ponownie:

— Nie pozwolicie, żebym została? Będę milczała i z pewnością wiele się nauczę. Mówiliście wiele razy, że pan Barbany jest inteligentnym młodzieńcem i rozmowa z nim to czysta przyjemność.

Żyd zwrócił się do Martiego:

— Widzisz, że mam o tobie dobre zdanie. Ale gdyby było inaczej, ta gaduła też bez żenady by to powtórzyła. — Po chwili odezwał się do córki: — Ruth, pan Barbany przyszedł do mnie z konkretną sprawą i sądzę, że jego problemy nie powinny interesować jedenastoletniej dziewczynki. Zechciej natychmiast odejść.

Dziewczynka nie wydawała się zbyt skłonna do posłuszeństwa, ale w tym momencie przywołał ją kobiecy głos. Ruth, najwyraźniej zbuntowana, westchnęła ciężko i zrobiwszy obrażoną minę, poszła do matki, czekającej na nią w drzwiach.

Dwaj mężczyźni zostali sami. Żyd nalał sobie lemoniady i wskazał Martiemu krzesło.

— No dobrze, drogi przyjacielu, wyjaśnijcie mi powód twojej wizyty. Przeczuję, że to coś ważnego, skoro zjawiasz się u mnie bez zapowiedzi. Widzę też, że tym razem nie towarzyszy ci ojciec Llobet, a zatem chcesz rozmawiać o swych troskach tylko ze mną.

Marti, raz jeszcze podziwiając przenikliwość bankiera, odparł:
— Widzicie, moje przywiązanie do ojca Llobeta i wdzięczność, jaką mu jestem winien, sprawiły, że chcę prosić was o radę, nie zwracając mu się z mych niepokojów. Zważywszy na jego sytuację, lepiej, by nie wiedział o pewnych sprawach, które wam wyjawię, bo mogłoby mu zaszkodzić, gdyby usłyszały o nich inne osoby.

— Rozumiem. Zamieniam się w słuch.

Marti przez dłuższy czas opowiadał Żydowi o swoich planach związanych z interesami i o dziwnej propozycji, którą złożył mu doradca hrabiego. Gdy skończył, Baruch, który ani razu mu nie przerwał, pogładził długą brodę i rzekł po chwili milczenia:

— Oczekujesz ode mnie nader trudnej rady. My, Żydzi, dobrze wiemy, jak postępują pewne przekupne osoby, które sprzedają swoje wpływy i bez których aprobaty nie sposób niemal dorabiać się w tym mieście. Zaczynając jakąkolwiek działalność, zawsze mamy cichego współlnika, który zabiera część tortu, nic nie robiąc i nie ponosząc żadnego ryzyka. Tacy ludzie są jak pijawki. Należy postępować z nimi ostrożnie i inteligentnie, bo podobnie jak te plugawe stworzenia mogą przynosić korzyści, ratując wam życie przez upuszczenie krwi, jeśli jednak przesadzicie, możecie wykrwawić się na śmierć.

Marti chłonął słowa tego mądrego człowieka. Żyd mówił dalej:

— W każdej transakcji handlowej obowiązuje kontrakt dotyczący obu stron, ale w układach z tymi ludźmi, których, o czym nie powinienś zapominać, nie brakuje na dworze, nie ma niczego na piśmie, bo unikają wszelkich dokumentów, które mogłyby ich zdemaskować. Jeśli nie dostaną swego udziału, możesz pakować manatki i wyjeżdżać. I to daleko, bardzo daleko, bo mają wyjątkowo długie ręce...

— Co zatem mogę zrobić?

— Wykorzystujcie go, kiedy będzie wam to na rękę — po radził Baruch z szelmowskim uśmiechem.

— Nie rozumiem.

— Czy nie powiedziałeś, że będziesz musiał dzielić się z nim

zyskiem z każdego przedsięwzięcia, które wymaga jego zezwolenia?

— Na to się zgodziłem.

— Więc trzymaj się umowy i staraj się robić interesy, na które nie potrzeba jego zezwolenia. W pozostałych niech ma swój udział, abyś był dla niego dobrą inwestycją i aby rozumiał, że jeśli podetnie ci skrzydła, straci intratne dochody. Innymi słowy: niech wie, że jeśli zechce mieć cały tort, może nie dostać nawet kawałka, który mu się należy.

— Sugerujecie, że powinienem prowadzić podwójną grę? — spytał Marti, zaczynając rozumieć słowa Barucha.

— W istocie, wzbudź w nim zazdrość, niech widzi, że jeśli pozwoli wam czerpać dochody z różnych przedsięwzięć, dostanie swoją część z niektórych, ale nie ze wszystkich. Pozostawiam do twojego uznania, jaką przynętę mu podsuniesz, by uznał, że przynosisz mu wystarczające zyski, i pozwolił ci działać, nie domagając się udziału w interesach, które będziesz prowadził bez jego pośrednictwa.

— Podziwiam waszą przenikliwość, Baruchu. — Na ustach Martiego pojawił się szczery uśmiech.

Benvenist machnął lekceważąco ręką.

— Nie sądz, że to samo przyszło. Żydzi uczyli się przez wieki żeglować po burzliwych wodach. Ludzie są jak wilki i aby przeżyć wśród nich, trzeba przestrzegać zaleceń Rzymianina Horacego, który idąc za radą swego mistrza Epikura, głosił zasadę *aurea mediocritas*, czyli żyj najlepiej, jak potrafisz, nie wzbu dzając zawiści innych.

— W jakim kierunku, waszym zdaniem, powinienem działać, aby wyzwolić się spod jego wpływów?

— Wszelkie przedsięwzięcia w mieście wymagają, w takiej czy innej formie, jego zgody. Co innego, gdybyś działał głównie na morzu — tam jego wpływy nie docierają, bo popadłby w konflikt z żeglarzami. Wierz mi, że na żegludze i imporcie zamorskich towarów można sporo zarobić, choć oczywiście nie bez ryzyka, a zezwoleń na tego typu handel udziela hrabia.



— Nie znam się na tym i nie lubię mrzonek. Widzicie jakąś szansę, bym osiągnął sukces na tym polu, nie ponosząc od razu klęski?

— Możliwe. — Żyd wahał się przez chwilę, ale w końcu postanowił dokończyć. — Nasi ludzie przymierzają się do pewnego przedsięwzięcia, które moglibyśmy rozpocząć z tobą, co, szczerze mówiąc, także nam byłoby na rękę, gdyż bez zaufanego chrześcijanina, firmującego oficjalnie nasz projekt, nie uda się go zrealizować.

— Gdybyście zechcieli mi wyjaśnić... — poprosił zaintrygowany Marti.

— Posłuchaj. Główne ryzyko żeglugi polega na tym, że to wary, statek albo obie te rzeczy mogą zginąć. Rozumiesz?

— Na razie tak. Ale...

— Pozwól mi mówić dalej. Przede wszystkim należałoby kupić albo przynajmniej wydzierżawić statek. Ty pokryłbyś koszty, choć mógłbym ci w tym pomóc. Potem musiałbyś wybrać z wyczuciem ładunek i port lub porty, w których będziemy składowali i odbierali towary.

— Słucham was, mówcie dalej.

— Musisz myśleć perspektywicznie. W dzisiejszych czasach handluje się w ten sposób, że towary kupowane w odległych miejscach przywożone są do Barcelony. — Marti słuchał uważnie słów Żyda. — Handel w przyszłości będzie polegał na wykorzystaniu do maksimum warunków pogodowych i ładowności statków, w oparciu o wiedzę, co warto dostarczyć do każdego portu leżącego na trasie rejsu mieszkańcom danego obszaru. Wyobraź sobie, że zawarłeś z rocznym wyprzedzeniem kontrakty w różnych królestwach na dostawy towarów, a równocześnie załadunek tych, które macie przewieźć do następnego miejsca. Podam ci przykład: wypływasz z Barcelony i zatrzymujesz się w Perpignan, gdzie wyładowujesz towary, na które jest popyt w tym regionie, i załadowujesz te, których oczekują w kolejnym porcie. W Palermo dokonujesz tej samej operacji. Powtarzasz ją w Brindisi i kończysz w Ragusie, a wracając, przywozisz do Barcelony to wszystko, czego potrzebują i co gotowi są kupić

mieszkańcy miasta. W ten sposób wykorzystujesz maksymalnie na całej trasie, tam i z powrotem, ładowność twojego statku. Nie muszę ci mówić, że gdy statek wróci, powinieneś już być w podróży i kupować towary, które będą transportowane podczas następnego rejsu.

Marti nie mógł wyjść z podziwu.

— Ale powiedzcie mi, panie, dlaczego nie możecie sami się tym zająć?

— Byłoby to zbyt ryzykowne. Potrzebujemy do współpracy ludzi śmiałych, zaufanych i gotowych podejmować się niebezpiecznych zadań, których Żydom nie wolno wykonywać.

— Jakie więc mielibyście z tego korzyści?

— Już wyjaśniam. Morze jest pełne niebezpieczeństw, nad przyrodą nie sposób zapanować, wszędzie czyhają sztormy, cisza morska, piraci i wrogowie. Czerpalibyśmy zyski z tego, że jeden z naszych wspólników kupowałby od was w każdym porcie po umówionej cenie załadowany towar, a także statek. W przypadku, gdybyście ucierpieli z powodu sztormu, nic nie straciecie, bo ani ładunek, ani statek nie będzie należał do was. Stratę poniesiemy my.

— Nie rozumiem was.

Żyd mówił dalej, jakby mu nie przerwano.

— Jeśli jednak dotrzecie szczęśliwie do celu, odkupicie statek i towar po wyższej cenie. Różnica będzie stanowiła nasz zysk. Gdyby udało nam się mieć na morzu kilka statków, w przypadku straty jednego pozostałe zrekompensują szkodę i na dłuższą metę ryzyko będzie minimalne. Ty będziesz miał zapewniony określony dochód z przewozu towarów, a my bezpieczny handel na morzu, co z czasem przyniesie nam korzyści.

— A co będzie, jeśli pierwszy rejs się nie powiedzie?

— Jesteśmy ludem, który pracuje cierpliwie, i wiemy, że konsekwentne działanie przynosi w końcu efekty.

Marti opuścił dom Benvenista z głową pełną pomysłów, obliczywszy już z Żydem, ile pieniędzy mógłby zainwestować ze spadku po ojcu, aby stać się właścicielem połowy statku, który spełni jego oczekiwania.

26

Morska podróż

Wrzesień 1052 roku

Statek kołysał się gwałtownie, jakby był korkiem unoszonym bezwładnie na falach. Morze pokryły białe grzywy piany, a z ołowianego nieba, przecinanego piorunami lały się strugi deszczu, tak że przerażona załoga prawie nic nie widziała. Gdy pękł reling w ładowni, nic nie pozostało na swoim miejscu. Na pokładzie czyniono wysiłki, by przymocować luźne ładunki, przemieszczające się bezwładnie od dziobu do rufy i z bakburty na sterburtę, a zarazem wypełniać rozkazy kapitana, który z mostka na rufie usiłował przekrzyczeć piekielny hałas sztormu. Pilot, przywiązany do koła sterowego, walczył z bezwładnością statku. Rozkaz był wyraźny i kategoryczny. Opuszczono wszystkie żagle, pozostawiając podniesiony tylko fok na dziobie. „La Valerosa”, której nadwyřężone wręgi trzeszczały jak szkielet ogromnego rannego zwierza, próbowała halsować i płynęła rufą na wiatr, by schronić się w zacisznej zatoczce, jakich wiele było u wybrzeża. W trakcie tego manewru pękła nagle jedna z grubych lin, które umożliwiały sterowanie statkiem, i galera na chwilę stanęła w poprzek. W tych warunkach było to bardzo ryzykowne położenie. Bosman, krzyjąc jak opętany i siekąc batem po plecach bandę galerników, próbował wykonywać rozkazy kapitana. Wiosła na bakburcie poruszały się rytmicznie, a na sterburcie pozostawały zanurzone

w wodzie, aby wspomóc zapasowy ster. Północny wiatr wywoływał potężne fale. Udręczony statek unosił dziób, próbując stawić im czoło, a potem opadał w otchłań wodnego piekła, która mogła pochłonąć go jak skorupkę orzecha, jak zepsutą zabawkę. Nim zdążył się wynurzyć, zalewała go kolejna fala. Noc, rozświetlana błyskawicami i jasna niemal jak dzień, robiła upiorne wrażenie. Kapitan, doświadczony i znający te okolice, w chwilach lepszej widoczności osłaniał prawą ręką oczy przed atakami fal i strugami deszczu, starając się dostrzec brzeg i wypatrzeć wejście do jednej z zatoczek, które tak dobrze znał od dzieciństwa, aby zapewnić bezpieczeństwo statkowi i ocalić w ten sposób powierzony mu cenny ładunek. W końcu wyczuł instynktownie, że opłynęli przylądek, gdyż nagle napór fal osłabł i kadłub przestał trzeszczeć. Spojrzenia wszystkich marynarzy skierowały się na mostek na rufie, pełne ulgi i wdzięczności dla człowieka, który ocalił im życie. Szczególnie galernicy, przykuci łańcuchami do ław, mieli świadomość, że ich przeznaczenie wiąże się nieuchronnie z losem statku. Wpływali, jak oznajmił kapitan, do zatoki Montjoi. Gdy schronili się już za cypłem, rozkazał ustawić statek dziobem do morza i podnieść wiosła. Rzucono kotwicę, spuszczać wystarczająco dużo łańcucha, by zaczepiła się ona o muliste dno. Sprawdzący, czy tak się stało, kapitan kazał zwinąć strzepy głównego żagla, umocował bom i zbadał, w jakim stanie jest pokład statku. Potem polecił przywiązać i zabezpieczyć ładunki, które przesunęły się z powodu sztormu.

Reszta nocy, w zacisznej i osłoniętej przez cypel zatoczce, minęła spokojnie. Burza umykała na zachód w takim pośpiechu, iż trudno było uwierzyć, że niewiele wcześniej o mało nie trafili do piekła. Zapaliwszy latarnię na rufie i zarządziwszy dalsze porządki na statku, by przywrócić mu normalny wygląd, kapitan zszedł po schodkach do kajuty znajdującej się na rufie pod jego kabiną i zastukał delikatnie do drzwiczek strzegących prywatności niewielkiego pomieszczenia. Cichy głos zapytał:

— Kto tam?

— Kapitan, pani.

Usłyszał jakiś szmer, po czym drzwi się otworzyły.

Kajuta była stosunkowo obszerna. Z obu stron znajdowały się dwie koje przytwierdzone śrubami do burt. Na środku stał niski stolik przymocowany do drewnianej podłogi. Okno w kadłubie, zrobione ze spojonych ołowiem szkiełek, zapewniało w ciągu dnia oświetlenie kajuty i pozwalało obserwować kilwater, który statek pozostawiał na wodzie. Widać było przez nie maszt, na którym powiewała flaga z godłem Barcelony i mocno przytwierdzoną do stewy latarnię oświetlającą rufę. Wraz ze światłem, umieszczonym na szczycie głównego masztu, wskazywała ona nocą pozycję galery, aby zapobiec ewentualnym kolizjom zdarzającym się w miejscach, gdzie był duży ruch statków. Z drugiej strony kajuty, obok drzwi, znajdowała się szafa i ogromny kufer, w którym wniesiono na pokład jedną z pasażerek, i który mieścił w tym momencie wszystkie jej osobiste rzeczy.

Kapitan przyjrzał się dwóm kobietom w świetle wpadającym przez okno. Twarz damy do towarzystwa zdradzała przerażenie, gdy tymczasem hrabina, mimo wyraźnych oznak zmęczenia, była spokojna.

— Kiedy dotrzemy do Barcelony, odwdzięczymy się wam, kapitanie, za kunszt i opanowanie, jakie wykazaliście w tak trudnej sytuacji — powiedziała uprzejmie Almodis.

— Uważam, pani, że spełniłem jedynie obowiązek odpowiedzialnego żeglarza.

— Dobrze wiecie, że czasem nie jest to łatwe i nie wszyscy są do tego zdolni.

— Schlebiacie mi, pani. Dobrze znam człowieka, który po wierzył was mojej opiece, i nie mogłem go zawieść.

— Powiedzcie mi, kapitanie, jak się mają moi ludzie?

— Nikomu nie było łatwo. Skoro nawet marynarzom sztorm dał się we znaki, osoby nienawykłe do przebywania na statku przeżywały z pewnością ciężkie chwile. Tak czy inaczej muszą przyznać, że ludzie z waszej eskorty spisali się bardzo dzielnie.

r

— Proszę, kapitanie, byście wezwali do mnie Delfina i Gilberta d'Estruc.

— W tej chwili, pani. Jeśli nie macie innych rozkazów, życzę dobrego snu. Jutro, jeśli Bóg pozwoli, dopłyniemy do Barcelony.

Dona Lionor, dama do towarzystwa Almodis, wciąż była w szoku z powodu sztormu, gdy rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

— Proszę wejść — powiedziała Almodis.

Don Gilbert d'Estruc stanął przed nią z czapką w ręku bladej jak ściana.

— Wybaczcie waszemu sekretarzowi, nie jest w stanie podnieść się z koi i doskonale go rozumiem. Moi ludzie też cierpią na morską chorobę. Co do mnie, muszę przyznać, że choć już wcześniej żeglowałem, nigdy nie przeżyłem takiego sztormu. A wam, pani, najwyraźniej nic nie dolega.

— Panie d'Estruc, mam zbyt poważne problemy, by odczuwać mniej czy bardziej silne kołysanie statku.

W tym momencie usłyszeli wyraźny, choć odległy głos marynarza z bocianiego gniazda.

— Łodzie na sterburcie!

Gdy d'Estruc rzucił się do okienka, by zobaczyć, co się dzieje, z pokładu dobiegł głos drugiego bosmana.

— Wszyscy do broni!

Z mgły wyłoniły się płynące od strony brzegu, z wiosłami owiniętymi workowym płótnem dla uniknięcia plusku wody, dwie szalupy z ponad dwudziestoma uzbrojonymi po zęby ludźmi, których wygląd zwiastował kolejne nieuchronne zagrożenie.

Gilbert d'Estruc postanowił natychmiast zadbać o bezpieczeństwo swojej pani.

— Hrabino, nie ma czasu do stracenia! Ukryjcie się w kufrze i nie wychodźcie, póki nie minie zagrożenie albo póki wszyscy nie zginiemy!

— Pani, róbcie, co każe kapitan i pozwólcie mi włożyć wasze szaty — wtrąciła Lionor, trupio blade. — Pomyślą, że to ja jestem damą, i zyskacie w ten sposób na czasie.



Almodis uśmiechnęła się z wdzięcznością do swej dworki.

— Dziękuję, to dobry pomysł. Panie, dajcie mi wasz sztylet i pozwólcie dołączyć do waszych ludzi.

— Pani, stawiacie mnie w trudnej sytuacji. Przykazano mi, żeby...

— Teraz, panie, ja rozkazuję... Pospieszcie się, czas nagli! Dajcie mi sztylet, idźcie na pokład i zorganizujcie obronę statku.

Gilbert d'Estruc wręczył swej pani broń, którą nosił u pasa, i wybiegł z kajuty. Jego ludzie, odzyskawszy siły, stali przy drzwiach. Bernat de Gurb, Guerau de Cabrera, Perelló Alemany, Guillem de Muntanyola i Guillem d'Oló, nienękani już chorobą morską, czekali z mieczami w dłoniach na rozkazy gotowi oddać życie za hrabinę.

Marynarze szykowali się do obrony. Mieli w rękach miecze, sztylety, bosaki, łańcuchy i wszelkie tępe lub ostre narzędzia, które mogli znaleźć na statku. Kiedy kobiety zostały same, Almodis rozkazała:

— Ubierz się w moje najlepsze szaty i stań w głębi kajuty! Szybko!

Na statku rozgorzała walka. Napastnicy wdzierali się na pokład, dokonując abordażu za pomocą lin zakończonych hakami. Almodis obserwowała to przez wizjer w drzwiach kajuty. Ludzie Gilberta d'Estruc walczyli jak lwy. Zorientowała się szybko, kto dowodzi tą zgrają łajdaków. Był prototypem pirata, a raczej bandyty, gdyż atak nastąpił z lądu, a nie z innego statku. Człowiek ten trzymał w jednej ręce mauretańską szablę, a w drugiej zakrzywiony sztylet. Na oku miał przepaskę, a na głowie czerwoną chustkę. Walka, która toczyła się na pokładzie, wydawała się wyrównana. W pewnym momencie Gilbert i jego ludzie musieli się przemieścić, aby obronić mostek, bo gdyby opanowali go napastnicy, losy statku byłyby przesądzone. Wtedy właśnie, widząc, że korsarz zbliża się do kajuty, gotów do niej wejść, Almodis rozkazała Lionor:

— Otworzę drzwi. Pozwól, żeby cię zaatakował. To będzie mniejsze zło... Nie bój się, nie zostawię cię samej.

krwi, obryzgując szaty Lionor.

Na pokładzie toczono zażarty i
chylała się na żadną ze stron. l_{szy} ^^ hrabim otworzyła wręcz.
Gilbert d'Estruc spostrze[^] się w jeg⁰ wnętrzu⁵ nie Almodis wchodzi
po schodkach y^{QZ} ^^ ktQra zapewniała jej mając za włosy zakrwawioną
gąblą w rękę? wszedł do kajuty Dotarłszy na górę, stanęła za bal^{^^} szaty
kobietę) na jeg^Q łona blaskiem płonącego za nią c^o lubieżny uśmiech
Mogło t^Q się z otchłani piekieł, pokazała k[^] do zakosztowania cieles.
irzwi, wsunął do pochwy sztylet ózek, rzucił się natychmiast na
w tym momencie, że nadeszła gotów zedrzeć suknię z biednej
śmiertelnie pobiła. Almodis,
wrzaw^y, wysła me^{P⁰}

Powiedziawszy to i odsuną pokrywą ogromnego kufra i u_l<
wbiła piratowi między łopatki przestając obserwować kajuty
pr^{ft} d'Estruc. Bandyta runął na dopływ powietrza. Korsarz, z
sz^{Lionor} -Kiedy zobaczył wystrojoną w W^{mdla} - Wstan * p^{oda} J mi
skrzywionej twarzy pojawił się
oznaczać hojny okup, nie licząc c³ⁱ³ o co chodzi J^eJ P^{anL} nych
uciech. Bandyta zarygłował <
i odłożywszy szablę na jedno z ł P^{ods}uwa nam los^u Da^J mi &
przeżoną kobietę, która pojęła U-
jej ostatnia godzina. Gdy był już o^o g^{romn} szabl[^] / TM^Wia fc
doni Lionor, jego twarz nagle i
korzystając z panującej na pok^{uderza} J^a c lez[^]ce^g o ^^ Y[^]
strzeżenie z kufra i bez namysłu g^{lowe} - Ka^Jut* zalał strumień sztylet,
który zostawił jej Gilbe ziemię, pociągając za szaty doń³⁰ -'
Szala zwycięstwa nie prze-

- Lionor, nie pora teraz, że^{ca} całym Statku trwała walka
szablę, która jest za tobą. §^l na §^{le} zdumion^y> że hrabina
Przeżona kobieta nie wiedzi³rowadz[^]ch na mostek, trz^y
- Co zamierzacie zrobić? low[^] Pr^zy^wódc^y napastników.
- Skorzystać z okazji, którą[^]tradą i w mroku nocy, oświet-
Nie chcę tracić bezcennego czas^{1^3}, J^{ak} l^{stota}, która w^yloniła
Przestraszona dama sięgnęła p^{3TM}^ ^P * **&***
swojej pani.

Hrabina chwyciła ją mocno i z
całej siły w kark, odcięła mu



— Patrzcie, głupcy, co spotyka tych, którzy ośmielają się atakować hrabinę Barcelony!

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki walka ustała i wkrótce na statku zapadła martwa cisza. Potem okrzyki zwycięstwa jednych przemieszały się z jękami przerażenia innych, którzy, widząc klęskę swego przywódcy, rzucali się do morza. Tych, którzy nie zginęli, wzięto do niewoli i zamknięto w ładowni. Swoich rannych opatrzono, na ile było to możliwe. Stopniowo przywrócono porządek, naprawiono takielunek i wymieniono podarte żagle. Potrzeba było całego dnia, by zmaltretowany statek nadawał się do żeglugi. O świcie kapitan rozkazał wziąć kurs na Barcelonę. Po południu, gdy zobaczyli już mury miasta, zdumiony Gilbert d'Estruc, oparty o sterburtę, powiedział do Guillema d'Oló, jednego ze swych dzielnych towarzyszy, który, z obandażowaną głową i ręką na temblaku, ocalał z potyczki:

— Słowo daję, że nie spotkałem nigdy takiej kobiety. Na przyszłość lepiej żyć z nią w przyjaźni.

— Zdaje się, że jest nieufna i niełatwo się zaprzyjaźnia. Jej jedynym przyjacielem jest chyba karzeł, którego ma przy sobie.

— Nie sądzę. Podczas ataku ukrył się w beczce, w której trzymano śledzie, i gdy minęło zagrożenie, próbował wejść do kajuty hrabiny. Almodis wyrzuciła go rozwścieczona. „Wynoś się, zasrańcu!”, krzychała. „Zamieszkać w latrynie, nędzniku, bo to dla ciebie odpowiednie miejsce!”.

Zyski przyniesie morze

Barcelona, jesień 1052 roku

Umysł Martiego zaprzętały dwie sprawy, pozbawiając go snu. Pierwsza dotyczyła jego uczuć, druga — przyszłości. Choć były zupełnie odmiennej natury, instynkt podpowiadał mu, że jeśli poradzi sobie z drugą, będzie to miało wpływ na pierwszą. Obserwował z okna sypialni morze i w księżycowe noce wpatrywał się z rozkoszą w horyzont. W jego niedorzecznych marzeniach pojawiała się ciągle Laia, córka Bernata Montcusiego. Miał wrażenie, że jej szare oczy pragną mu coś powiedzieć. Marti był realistą i rozumiał, że jeśli chce się do niej zbliżyć, musi zostać obywatelem Barcelony i zdobyć uznanie jej ojca, co oznaczało zapewnianie temu wpływowemu człowiekowi znacznych zysków. Jego interesy szły znakomicie: winnice w Magórii, a zwłaszcza dostawy wody z młynów, zapewniały mu co miesiąc spore dochody. Kwota siedmiuset *mancusos*, wydana na zakup i adaptację systemu nawadniania, zdążyła się zwrócić. Jego firma już funkcjonowała i sądził, że pod koniec zimy będzie działała pełną parą, tym bardziej że kupione przez niego dwie sąsiednie nieruchomości podwoją albo potroją jej wartość. Ale od rozmowy z Baruchem jakiś wewnętrzny głos mówił mu, że jego wielkie nadzieje na przyszłość wiążą się z morzem. W minionym tygodniu odwiedził bankiera i skapitalizował swój majątek. Spadek

po ojcu, po odliczeniu kosztów, wystarczał, zdaniem Barucha, na zakup połowy galery i pozostawienie pewnej rezerwy na wypadek, gdyby któreś z jego przedsięwzięć wymagało finansowego wsparcia. Sprawa była dość trudna, gdyż chodziło nie tylko o nabycie statku i znalezienie uczciwego współnika, który umożliwiłby mu zrealizowanie planu. Potrzebował także, rzecz jasna, zaufanego kapitana, wytrawnego żeglarza, odważnego i zdolnego wywiązać się w określonym czasie z przydzielonych mu zadań, mimo przeciwności losu i niesprzyjającej pogody. Musiał wyruszać w morze na długo przed rozpoczęciem sezonu i zawierać kontrakty na zakup i sprzedaż towarów w kolejnych portach, by statek nie pływał bez ładunku. Poza tym opóźnienie dostaw w stosunku do konkurencji zawsze oznaczało straty. Praca armatora była bardzo skomplikowana, ale ambicja, młodość i chęć spełnienia marzeń stanowiły atuty Martiego. Jeden z tematów do rozmyślań w bezsenne noce podsunęła mu opatrność, drugi — głos serca.

Gdy któregoś dnia czysty przypadek pozwolił mu rozwiązać problem, pomyślał, że to ojciec z miejsca, w którym przebywa, kieruje jego losem. Pewnego popołudnia poszedł na plażę u stóp wzgórza Montjuic, gdzie pracowali *mestres d'aixa**, portowiciele i uszczelniacze kadłubów, budując lub naprawiając statki, które potem przemierzały morza. Prace przy jednym z nich tak bardzo go zaciekały, że postanowił przyjrzeć im się z bliska. Kil pękatego kadłuba, o wręgach pokrytych już w połowie dębowymi belkami, osadzony był od stewy dziobowej do rufowej w podłużnym wykopie w piasku, którego ściany wzmocniono deskami, aby się nie zawaliły i aby budowniczy statku mogli opierać drabiny o jego burty, pracując na poziomie plaży. Wszyscy krzątali się jak mrówki. Każdy robił swoje, nie przeszkadzając w pracy pozostałym. Sylwetka jednego z ludzi wydała się Martiemu dziwnie znajoma. Dostrzegł go między grupą powróźników skracających z cienkich włókien grube liny a stojącym na palen-

* *Mestre d'aixa* — rzemieślnik, który projektuje, buduje i naprawia statki.

ku kociołkiem ze smołą, którą dwaj mężczyźni mieszała żerdziami, aby nie stężała. Marti podszedł bliżej i przyjrzał się uważnie temu człowiekowi.

Przypomniał sobie nagle nagiego chłopca skaczącego do wody ze skały w zatoczce w pobliżu Rosas. Mężczyzna, na którego patrzył, miał zawiązaną na głowie chustę, brązową brodę i złoty kolczyk w prawym uchu. Choć bardzo się zmienił, Marti rozpoznał profil swego przyjaciela Jofrego, który w dzieciństwie był tylekroć, razem z Feletem, towarzyszem jego zabaw.

Podszedł do niego i odezwał się z nutą niepewności i nadziei w głosie:

— Jofre?

Mężczyzna odwrócił się i mrużąc oczy, przyglądał się uważnie człowiekowi, który wymówił jego imię. Stopniowo jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech i odpowiedział tym samym tonem:

— Marti?

Nie mówiąc nic więcej, padli sobie w ramiona i objęli się mocno. Po chwili spoglądali sobie radośnie w oczy, jakby nie mogli uwierzyć, że znów się spotykają.

Wkrótce siedzieli przy dzbanach wina w znajdującej się na plaży gospodzie Pod Starym Trytonem. Słowa płynęły potokiem wspomnień i pytań i kiedy dzwony pobliskich kościołów wybijały godzinę dziesiątą, mieli sobie jeszcze do przekazania tyle nowin, że postanowili nie kończyć rozmowy. Marti zaproponował, by Jofre wyprowadził się z pensjonatu, gdzie wynajmował pokój, i zamieszkał u niego, dopóki przebywał w Barcelonie, zajmując się budową statku, którego jest współwłaścicielem. Później, gdy przyjaciel przeniósł się już do jego domu, kontynuowali nocą na tarasie z kolumnadą opowieści o swoim życiu.

Tym razem mówił Jofre:

— Widzisz, nie miałem tyle szczęścia co ty i nikt nie zostawił mi spadku. Moją pasją, jak dobrze wiesz, zawsze było morze. Kochałem je namiętnie, jak kocha się niestałą i kapryśną kobietę, która budzi w tobie zazdrość, a zarazem jest nie do zniesienia. Zdawałem sobie sprawę, że nigdy nie potrafię żyć z dala od

szumu fal. Było moim przeznaczeniem. Pewnego dnia pożegnałem się z rodziną i podążyłem do Rosas. Ponad trzy miesiące włóczyłem się po porcie i klepałem biedę, pracując przy wyładunku i załadunku statków, które przyływały z daleka. Tam poznałem powołanie. Opowieści zasłyszane w portowych tawernach, przy szumiącym w głowach rumie, w którym tak gustują ludzie morza, rozpały moją wyobraźnię. Kiedyś wpłynął do portu wypełniony towarem statek z Genui. Rozładunek tego wieloryba trwał kilka dni. Pewnie przypadłem do gustu kapitanowi — może dlatego, że dzięki mnie mógł pić do upadłego, gdyż o pierwszej nocy, kiedy zasypiał na stole w gospodzie, odstawiałem go na pokład w szalupie pożyczonej od przyjaciela — w każdym razie zatrudnił mnie na statku do obsługi stengi. Nie muszę mówić, że tego dnia otworzyło się przede mną niebo i zaczął mój flirt z morzem.

Marti słuchał uważnie relacji przyjaciela, który ciągnął: — Nie będę cię zanudzał historią mego życia w ciągu tych wszystkich lat i przejdę do tego, co cię interesuje. Służyłem na różnych statkach i odwiedziłem wszystkie porty Morza Śródziemnego, od Słupów Herkulesa po Konstantynopol. Przeżyłem niezliczone przygody i niebezpieczeństwa. Pewnego dnia stwierdziłem, że na morzu o wiele bardziej opłaca się ścigać niż być ściganym, i z zapałem stałem się ogarem. W czasie jednego z ostatnich rejsów zawiąłem do Mahón i tam poznałem Joana Zafortezę, który trudnił się kaperstwem między Minorką a Sycylią. Szczęście mi dopisało i choć raz opatrność była po mojej stronie. Rok później mój kapitan zginął podczas ataku na statek z Pizy. Zgodnie z panującymi na morzu zwyczajami, wrzuciliśmy jego ciało do wody i załoga wybrała mnie, abym dowodził okrętem do powrotu na wyspę, jak nakazuje piracki kodeks. W tym czasie ograbiliśmy dwa statki: jeden płynący do Blanes, a drugi do Ceuty. Zrządzeniem kapryśnego losu, kapitan piratów ma prawo zatrzymać dla siebie jedną trzecią łupu. Kiedy po trzech miesiącach wróciliśmy na morze, oficjalnie dowodziłem okrętem. Utrzymałem się na tym niebezpiecznym stanowisku

przez kilka lat, a gdy uzbierałem dość pieniędzy, postanowiłem zrealizować marzenie mego życia i, jak ci już opowiadałem, zacząłem budowę własnego statku. Wziąłem na współniczkę wdowę po moim byłym szefie Joanie Zafortezie, by okazać wdzięczność za to, co zrobił dla mnie jej mąż. Niestety, pięć miesięcy temu utonął podczas sztormu jej najstarszy syn i nie-szczęсна kobieta musi teraz wyżywić siebie i trójkę jego małych dzieci, nie ma więc pieniędzy. Stawia mnie to w trudnym położeniu i na skraju bankructwa. Jeśli nie zwoduję statku przed sezonem, już nim nie popłynę, bo będę musiał odsprzedać swoją część i zająć się czymś innym.

Teraz Marti był już pewien, że ojciec wskazuje mu z zaświatów drogę.

— Powiedz mi, dlaczego kadłub twojego statku ma tak oryginalny kształt?

— Zapamiętałem na zawsze, jak pojemne ładownie miał ten, którego kapitan dał mi pierwszą pracę w Rosas. Wiele razy widywałem potem takie statki na morzach całego świata. Żaden nie pomieści więcej towaru, więc postanowiłem zbudować podobny.

— Mówisz, że wdowa chce sprzedać swoje udziały?

— Będzie do tego zmuszona. Pieniądze, które zostawił jej mąż, już nie wystarczają, bo ma teraz więcej wydatków, a moje oszczędności się skończyły, kiedy więc statek będzie gotowy, wypłynie w morze z innym właścicielem.

— Jeśli chcesz, Jofre, mogę nim być ja. Jeżeli wdowa się zgodzi, uważaj mnie za swego nowego współnika.

I tak też się stało. Następnego dnia w obecności notariusza, znajomego Barucha, podpisano umowę. Dwaj przyjaciele zostali właścicielami jednostki, która nie przeszła jeszcze morskiego chrztu. Marti wykupił dwie trzecie udziałów, a Jofre jedną trzecią, spełniając jednak swe marzenie, by chodzić po pokładzie statku jako jego właściciel i kapitan.

Przybycie na dwór

Barcelona, jesień 1052 roku

Statek minął już Iluro i pokonywał ostatni etap podróży. Płynął powoli, gdyż był przeciążony, a poza tym do rufy miał przywiązaną jedną z szalup odebranych napastnikom. Drugą uciekli ci, którzy przeżyli potyczkę. Załoga pracowała w pocie czoła, by wykorzystać do maksimum skąpy takielunek statku, który sunął naprzód, pchany wiosłami galerników i wiatrem dmącym we wszystkie żagle, jakie mogły udźwignąć maszty. Hrabina Almodis stała na dziobie z rozwianymi rudymi włosami, wpatrując się nieruchomo w horyzont niczym okrętowy galion.

Ramón Berenguer, hrabia Barcelony, przemierzał niespokojnie plażę przed bramą Regomira, skracając sobie czas oczekiwania. Wiedział, dzięki sygnałom wysyłanym za pomocą ognia i dymu, że „La Valerosa” zbliża się do celu podróży. Jakiś jeździec przygalopował plażą na grzbiecie szybkiego rumaka, którego boki były białe od piany. Znalazłszy się obok hrabiego, zeskoczył na ziemię, nie czekając, aż szlachetny wierzchowiec się zatrzyma, i wyjął z sakwy zwinięte w rulon pismo.

— Mój panie, to ostatni raport.

Ramón Berenguer przystanął, podobnie jak ludzie z jego eskorty, rozwinął szybko list i zaczął czytać.

„La Valerosa” pojawiła się na wysokości Arenys. Ma prędkość około pięciu węzłów. Jest uszkodzona i płynie z trudem, ale o własnych siłach. Przy takim wietrze powinna dotrzeć do Barcelony o zmierzchu, w porze niesporów.

Ramón przebiegł ponownie wzrokiem list i zwracając się do *veguera* Oldericha de Pellicera, zawołał:

— Jeśli nic się nie zmieni i wiatr nie osłabnie, przybędą wieczorem. Realizujcie przewidziany plan. Kiedy statek rzuci kotwicę, chcę przy nim być.

— Pamiętajcie, panie, że biskup Odó de Montcada i główny notariusz Guillem de Valderribes, którzy zapowiedzieli swoją obecność, nie dotarli jeszcze na plażę.

— Rozumiecie chyba, Olderichu, że po wszystkich udrękach i cierpieniach, które przeszedłem, nie zamierzam odwlekać spotkania z damą mego serca z powodu — nieprzypadkowego, jak podejrzewam — spóźnienia biskupa. Wiem, że podlega władzy Rzymu i nie powinienem wtrącać się w jego sprawy, ale on również nie ma żadnego prawa ingerować w moje, ani osądzać moich czynów.

— A co z notariuszem, który ma poświadczyć wasz związek? Co powiecie na jego temat?

— Otrzymał rozkazy i jeśli nie przybędzie na czas, oskarżę go o nieposłuszeństwo. Jest moim poddanym i mimo swej pozycji, podlega mojej władzy. Wykonujcie zatem wasze zadania.

Olderich opuścił hrabiego i ruszył w kierunku nadzorca plaży, który podobnie jak załoga hrabiowskiej feluki, unoszącej się spokojnie na wodzie w pobliżu brzegu, oczekiwał na rozkazy.

Feluka była statkiem długości trzydziestu stóp, pomalowanym na niebiesko i srebrno, wyposażonym w dwanaście par wiosł i nieco podniesioną sterownicę na rufie. W środkowej części, na wysokości trawersu, znajdowała się zdobiona złotem luksusowa kajuta, w której osiem osób mogło usiąść wygodnie w fotelach obitych granatowo-żółtym adamaszkiem. Były to barwy hrabstwa

Barcelony. Wioślarze, ubrani w krótkie tuniki w kolorach rodu Berenguerów i niebieskie spodnie, czekali w bezruchu na ławach, aż hrabia i jego dostojni towarzysze zechcą wejść na pokład. Na brzegu czekali z podwiniętymi nogawkami tragarze, którzy parami mieli wnosić w koszach szlachetnie urodzonych na felukę, by nie zamoczyli sobie nóg.

Nagle z ust oczekujących wyrwał się okrzyk radości, gdy na horyzoncie zamajaczyła sylwetka „La Yalerosy”.

Potrwało jeszcze trochę, zanim znaleźli się na statku.

Gdy wykonano kłopotliwą operację dostarczenia całego orszaku na pokład feluki, wioślarze opuścili wiosła do wody i w tempie dyktowanym przez sternika zaczęli płynąć w kierunku unoszącej się na powierzchni boi o barwach hrabstwa, przymocowanej łańcuchem do wielkiego kamienia, który leżał na piaszczystym dnie. Kiedy feluka dotarła na miejsce spotkania, galera spuszczała już kotwicę. Statki stanęły burta w burtę i z pokładu galery zrzucano sznurową drabinę, która ześlizgnęła się w kierunku relingu małej feluki. Nie bacząc na protokół, hrabia Barcelony Ramón Berenguer I wskoczył jak szalony na pierwszy szczebel chwiejnej drabinki, zanim ktoś z orszaku zdążył ją przytrzymać. Za nim podążyli wszyscy pozostali. Gdy wszedł na pokład, ludzie, którzy tyle wycierpieli, wypełniając powinność lenników, zgotowali swemu panu gorącą owację. Nowo przybyli witali się wylewnie ze swą hrabię. Gilbert d'Estruc, Perelló Alemany, Bernat de Gurb, Guerau de Cabrera, Guillem de Muntanyola i Guillem d'Oló nie mogli uwolnić się z objęć swych towarzyszy.

Wyściskawszy po kolei każdego z nich, Ramón Berenguer poprosił na stronę Gilberta d'Estruc.

— Gdzie hrabina? — spytał z nutą zniecierpliwienia w głosie.

— Szykuje się w swej kajucie, aby was przyjąć. Powiedziała mi, nim zacumowaliśmy, żebyście nie wchodzili do jej alkowy, dopóki nie przyśle po was dworki.

— Więc opowiadaj tymczasem, mój zacny Gilbercie.

— Panie — odparł d'Estruc, na którego twarzy malowało się zmęczenie podróżą — opowieść będzie długa i zawiła. Przyjdzie

czas, żeby zdać relację z tego, co przeżyliśmy przez te wszystkie dni, ale jedno wam powiem: gdyby nie odwaga i zdecydowanie hrabiny, tej grupy zaprawionych w walce, dzielnych marynarzy być może dziś by tu nie było.

— Opowiedz mi, co się stało, na Boga! Dzięki temu łatwiej zniosę oczekiwanie.

D'Estruc zrelacjonował swemu panu dokładnie, jak zachowała się Almodis podczas strasznego ataku piratów.

— Bez wątpienia mogę stwierdzić, mój panie, że oprócz żony zyskaliście odważnego żołnierza, który będzie chlubą waszych oddziałów.

Drzwiczki kajuty otworzyły się i pojawiła się w nich doña Lionor.

— Panie, hrabina Almodis przyjmie was teraz — oznajmiła, skłaniając głowę.

Potężny władca Barcelony wszedł do kajuty z miną młodzieńca, którego czeka pierwsza schadzka.

Para spędziła w kajucie kapitana sporo czasu. Wieczorem łódź hrabiego, w otoczeniu wypełnionych ludźmi jasno oświetlonych kutrów rybackich, przyłynęła do plaży, gdzie mieszkańcy miasta, dowiedziawszy się, co się dzieje, czekali cierpliwie, by towarzyszyć swej nowej pani do wrót kościoła Sant Jaume. Nieśli świece i lampy oliwne, wiwatując tak głośno, że po przybyciu do pałacu Almodis czuła się zmuszona wyjść i pozdrowić tłum. Straż powstrzymywała halabardami rozgorączkowany plebs.

Tylko jedna osoba nie podzielała powszechnej radości: Pedro Ramón, pierworodny syn Ramóna Berenguera i jego pierwszej żony, zmarłej Elisabet z Barcelony. Ukryty za zasłoną obserwował z bocznego balkoniku na drugim piętrze profil nałożnicy, która uzurpowała sobie jego prawa, a w tym momencie pozdrawiała uniesioną ręką wiwatujące spóółstwo.

r

CZEŚĆ DRUGA

Ziemia i morze

29

Odrzucona petycja

Barcelona, 1053 rok

Ponieważ interesy prowadzone przez Martiego poniekąd wspólnie z Bernatem Montcusim szły znakomicie, postanowił zwrócić się do doradcy z petycją, z którą wiązał pewne nadzieje. Na dźwięk dzwoneczka w saloniku, gdzie zwykle planował swoje przedsięwzięcia, zjawiała się natychmiast Caterina.

— Nie ma Omara?

— Wyszedł, panie.

— Nie nazywaj mnie panem, Caterino, bo tego nie lubię. Wiesz, dokąd się wybierał?

— Chyba do młynów, bo widziałam, jak wyjeżdżał na koniu. Kiedy załatwia coś w mieście, idzie pieszo.

— W porządku, przygotuj mi niebieską tunikę i szare spodnie i zawiadom kuchnię, żeby na mnie nie czekali.

— Zaraz to zrobię.

Po chwili Marti wyszedł, elegancko ubrany, zrealizować swój plan.

Conrad Brufau, sekretarz, którego życzliwość zdobył już pierwszego dnia, wiedział, że jego zwierzchnik zawsze przyjmuje Martiego, nie każąc mu siedzieć w poczekalni.

— Mój pan poprosi was, gdy tylko wyjdzie z jego gabinetu zarządca pałacu.

Szlachcic z prowincji, który czekał na audiencję, ośmielił się zaprotestować.

— Najpierw ja złożę swoją skargę.

Conrad Brufau zmierzył go wzrokiem.

— Chcecie uczyć mnie, co mam robić?

— Wiem tylko, że teraz moja kolej, więc ten pan wchodzi po mnie.

— Jeśli chcecie, żeby wasza skarga, czegokolwiek dotyczy, została odrzucona, wejdę do gabinetu doradcy i oznajmię mu, że wbrew jego poleceniu żądacie, by don Marti Barbany czekał w kolejce. Przekonacie się wtedy, że natychmiast załatwi was odmownie i każe wejść temu panu, który jest przyjmowany, gdy tylko się zjawia. Skoro tak wolicie, zaraz was zaanonsuję.

— Wybaczenie — mruknął szlachcic. — Nie wiedziałem, że takie są polecenia doradcy. Przyznaję, że sprawy hrabstwa są ważniejsze od potrzeb jednostki.

Marti, który nauczył się dworskich manier, przysłuchiwał się obojętnie rozmowie szlachcica i urzędnika.

Brufau wyszedł, by zapowiedzieć gościa, i prowincjusz zobaczył zdumiony, jak dostojny doradca pojawia się w progu swego gabinetu, witając przybysza, który stoi przed nim z sakiewką u pasa.

Zamykając drzwi, doradca objął Martiego po przyjacielsku i poprowadził do jednego z dwóch foteli stojących naprzeciw jego stołu.

— Cóż za miła niespodzianka, drogi młodzieńcze! Jesteście chyba jedyną osobą w hrabstwie, która, prosząc o audiencję, za każdym razem sprawia mi radość.

Marti zdjął płaszcz, położył go na wolnym fotelu i odpowiedział:

— Staram się, panie. Nie nachodzę was, bo interesy zbyt wiele mnie absorbują, a poza tym wiem, jak bardzo brakuje wam czasu.

Bernat Montcusi rozsiadł się w fotelu, skrzyżował ręce i rzekł:

— A więc słucham.

Marti musiał uczynić nadludzki niemal wysiłek, aby nie okazać

zdenerwowania. Jednakże dzięki zdobytemu już doświadczeniu zdołał rozpocząć rozmowę, wykorzystując skąpstwo doradcy. Najpierw odpiął od pasa sakiewkę i położył ją na stole. Widząc pytające spojrzenie Montcusiego, wyjaśnił:

— Oto, panie, wasza część zysków z umowy, którą zawarliśmy.

Wypowiedziawszy te słowa, posunął sakiewkę w kierunku doradcy.

— Co mi tu przynosicie?

— Zobaczcie sami.

Montcusi, nie odrywając od niego wzroku, rozwiązał sakiewkę i zajrzał bardzo ostrożnie do jej wnętrza. Marti dostrzegł przewrotny błysk w jego lisich oczach.

— Co to jest?

— Udział, który wam się należy zgodnie z ustaleniami.

— Widzę, że jest tego o wiele za dużo.

— W istocie, ale ponieważ muszę zostawić moje sprawy w rękach zaufanych osób, gdyż nie będzie mnie przez pewien czas, wolę wypłacić wam z góry należność za przyszły rok. Gdyby po moim powrocie okazało się, że powinniście dostać więcej, wyrównam rachunki, ale w żadnym przypadku nie chciałbym, by moja nieobecność naraziła was na straty.

— Czy mam rozumieć, że wypływacie w świat statkiem, który kupiliście od wdowy z Majorki?

Twarz Martiego zdradzała, że zaskoczyło go to pytanie.

— Niezupełnie, statek nie jest jeszcze gotowy, ale owszem, wybieram się w rejs... Skąd o tym wiecie? Nikomu nic nie mówiłem.

— Docierają do moich uszu wieści, które wiatr przynosi z Barcelony.

Marti zrozumiał subtelną aluzję.

— Sądzę, że pomagając przyjacielowi z dzieciństwa, który jest w tarapatkach, nikomu nie szkodzę, zwłaszcza że ojciec Llobet głosi zawsze, iż lewica nie powinna wiedzieć, co czyni prawica — odrzekł.

— Salomonowa odpowiedź.

— Tak, chcę poznać świat i lepszej okazji nie znajdę. Interesy idą świetnie, w hrabstwie panuje pokój i mam odpowiednie osoby, które zajmą się moimi sprawami.

— Chcecie powiedzieć: naszymi — poprawił go Montcusi, lekko się uśmiechając.

— Oczywiście. Widzicie, że przekazuję wam z góry dochody, których jeszcze nie uzyskałem.

— Powiedzcie mi, bo po części mnie to dotyczy, kim są te zaufane osoby?

— Mój niewolnik Omar, specjalista od *agri**; ojciec Llobet, który będzie strzegł moich pieniędzy, oraz bardzo kompetentny *dajan* z Cali, obrotny handlarz, który zatroszczy się o kupno i sprzedaż towarów.

— Dobrze go znam i jestem zadowolony z waszego wyboru. Nie mam nic przeciwko temu, by Baruch Benvenist zajmował się naszymi sprawami, ale niech nie zwraca się do mnie w żadnej sprawie. Nie chcę mieć do czynienia z którymkolwiek Żydem, z wyjątkiem mojego lekarza.

Marti nie był zaskoczony, że doradca do spraw aprowizacji domyślił się, iż chodzi o Benvenista, i dodał pospiesznie:

— Dlatego właśnie wypłacam wam przed wyjazdem spodziewane zyski i wiedzcie, że na wypadek, gdyby coś mi się przydarzyło, zapisałem w testamencie, by ojciec Llobet, jego wykończony, przekazał wam należne udziały.

— Rozsądna decyzja.

Marti wiedział, że za chwilę rzuci na szalę swoją przyszłość.

— A więc, młodzieńcze, kiedy zamierzacie wyruszyć?

— Za parę miesięcy.

Doradca zaczął podnosić się z fotela.

— No dobrze, jeśli nie potrzebujecie ode mnie niczego więcej...

Martiemu serce skoczyło do gardła.

Agri i campi — określenia rozległych upraw.

.— Widzicie, panie, pomyślałem sobie, że skoro obdarzyliście mnie swoim zaufaniem i miałem zaszczyt wiele razy jadać u was, chciałbym odwdziżyć się za okazaną mi życzliwość, przekazując dowód mego szczególnego podziwu i szacunku waszej córce.

Wyraz twarzy doradcy zmienił się nieco.

— Słucham was.

— Nie ujrzałem jej po raz pierwszy w waszym domu.

— Gdzie zatem? — spytał Montcusi, w którego głosie słychać było cień nieufności i zaciekawienie.

— Na targu niewolników, który odwiedziłem jakiś czas temu, gdy brakowało mi służących.

— I co?

— Tamtego dnia wpadła mi w oko pewna muzułmanka. Pięknie śpiewa i w ciągu lata uprzyjemniała mi wiele wieczorów.

— A co to ma wspólnego z nami?

— Otóż wasza córka licytowała się wtedy ze mną, gdyż również chciała kupić Aixę, bo tak ma na imię ta dziewczyna, ale w końcu przypadła w udziale mnie.

— Mówcie dalej.

— Pomyślałem, że skoro wyjeżdżam na dłuższy czas, a wam pragnę okazać wdzięczność, cieszyłbym się ogromnie, gdyby Aixa sprawiała wieczorami radość waszej córce, bo mnie nie będzie mogła teraz służyć, a szkoda, by jej niezwykle zdolności się marnowały.

Bernat Montcusi milczał — zdawało się, że całą wieczność — po czym powiedział powoli i wyraźnie:

— Mój drogi młodzieńcze, przynosicie mi duże korzyści i chciałbym, by nasze relacje były przyjacielskie i trwałe. Jeśli tak je potraktujecie, będzie o wiele lepiej dla nas obu. Moja córka — a właściwie pasierbica, gdyż ożeniłem się z jej matką, kiedy była wdową — stała się, zastępując mi dziecko, moim oczkiem w głowie. To prawda, że pewnego dnia powinna wyjść za mąż, o ile nie zechce wstąpić do klasztoru, co zresztą napęłiłoby mnie radością. Przyjmując waszą ofertę, nie daję wam

najmniejszej nadziei, że cokolwiek dla niej znaczą. Macie ogromnie wiele zalet, ale nie jesteście obywatelem miasta. Chcę, byście zrozumieli, że dopóki nie zdobędziecie obywatelstwa Barcelony, co będzie nader trudne, nie możecie starać się o jej rękę. Czy wyrażam się jasno?

— Oczywiście, panie.

— Nie mam szlacheckiego pochodzenia — ciągnął Montcusi — i sam doszedłem do pozycji, którą zajmuję. Od wielu lat jestem pełnoprawnym obywatelem Barcelony, co jest niemal równoznaczne z posiadaniem herbu szlachcica i czego zresztą nie spotyka się w żadnym ze śródziemnomorskich miast. Hrabia zaszczyca mnie swoim zaufaniem i służenie mu zawsze było najważniejszym celem mego życia. Rozumiecie, iż żaden parweniusz nie może nawet zbliżyć się do Lai. Chcę, by moja wychowanka wyszła za kogoś, kto zapewni jej rodowód i szacunek, a wy, co stwierdzam z ubolewaniem, taką osobą nie jesteście.

Marti poczuł, że pęka mu serce, ale z właściwym sobie zapałem odparł:

— Rozumiem to, ale nie obrażcie się, gdy w imię okazanej mi przyjaźni powiem wam, że poświęcę życie, aby zasłużyć na godność, którą zdobyliście, a kiedy zostanę pełnoprawnym obywatelem, wrócę, z całym szacunkiem, by ponowić moją prośbę.

— Spróbujcie. Macie do tego prawo. Czeka was długa i trudna droga, a szansę są nikłe. Trzeba mieć bardzo wpływowych protektorów, a wy dopiero tu przybyliście. Fakt, jesteście obdarzeni uporem i nie brak wam śmiałości, co podziwiam. Zawsze chętnie będę waszym wspólnikiem w interesach, ale więzy krwi to zupełnie inna sprawa. Zatem, Marti, w imię naszej przyjaźni radziłbym wam, byście poświęcili wysiłki poprawie gospodarki. Przekonacie się, że młodzieńcze namiętności z czasem przemijają.

— Dziękuję za radę — odparł Marti, nieco urażony pobłażliwym tonem rozmówcy — ale, jak sami stwierdziliście, jestem uparty. Dotyczy to wszystkiego, co robię. Dlatego oświadczam wam, i nie uważajcie tego za bezczelność, iż zamierzam stać się godny ręki waszej pasierbicy.

Głos Bernata Montcusiego zagrział w komnacie:

_ A ja zapewniam was, że dopóki nie uzyskacie obywatelstwa, zawsze się będę sprzeciwiał tym planom.

.— Czy mogę zakładać, że przyjmujecie mój dar?

.— Z radością — ustąpił doradca, wzdychając. — A teraz...
Dziękuję za wypłacenie mi z góry zysków. Z całego serca życzę wam szczęśliwej podróży.

Marti, zdając sobie sprawę, że Montcusi nie chce kontynuować rozmowy, wstał z fotela.

— Zostańcie z Bogiem, doradco.

Wziął płaszcz i sakwę i wyszedł z gabinetu człowieka, którego potrzebował, choć czuł do niego coraz większą niechęć.

30

Ponce III z Tuluzy

Robert de Surignan i opat Sant Genis rozmawiali ze swym panem Ponce'em III, hrabią Tuluzy, który leżał na prostym łożu, ze stertą poduszek pod prawą stopą, nękany nagłym atakiem podagry. Jego błazen, Batiston Krótkie Nóżki, z wyraźnym wysiłkiem dokładał drew do wielkiego kominka, jak zwykle podsłuchując rozmowę, którą jego pan prowadził z mnichem i doradcą.

— Wniosek jest oczywisty. Ta para nikczemników uknuła spisek, gdy on korzystał tu z mojej gościny, i zainscenizowali całe to przedstawienie w lesie Cerignac, by moi ludzie nie bronili hrabiny.

— Wszystko na to wskazuje, bo gdyby było inaczej i gdyby chodziło o zwykłych rzezimieszków, w ciągu paru dni zażądaliby okupu — stwierdził Robert de Surignan.

— Ostrzegałem was już zeszłego lata, zauważywszy podejrzane zachowanie hrabiny — wtrącił opat Sant Genis. — Od powiedzieliście mi wtedy, że ma swoje kaprysy i że wszędzie widzę duchy. Całe szczęście, że wiedziony intuicją powiadomiłem o sprawie Ojca Świętego, aby Kościół podjął stosowne kroki. Cudzołóstwo to nie błahostka, a kiedy chodzi o książąt,

~

w podatku chrześcijańskich, pociąga za sobą poważne konsekwencje.

— Dziękowałem wam już za to, co zrobiliście, i przyznaję, że nie sądziłem, by moja żona była zdolna do takiego wiarołomstwa. Starzeję się i za bardzo wszystkim ufam, ale przysięgam na Boga, że ta para drogo zapłaci za naruszenie mego dobrego imienia. Chodzi o honor Tuluzy.

— Panie, nadużyli waszego zaufania, postępując jak złoczyńcy. Gdybyście tamtej nocy byli na wieczerzy, być może zauważylibyście, że coś wisi w powietrzu — rzekł Surignan.

— Teraz za późno na żale. Lepiej działać, by ta niefortunna sytuacja spowodowała jak najmniejsze szkody. Jeśli szybko nie zareagujemy, stanę się pośmiewiskiem całej Septymanii. Opatcie, sprowadźcie skrybę. Podyktuję list do papieża i niech posłaniec wyruszy jak najszybciej do Zamku Świętego Anioła.

Mężczyźni wyszli z komnaty. Hrabia pozostał sam z błaznem, którego darzył zaufaniem i którego żarty ogromnie go bawiły.

— A ty, Batiston, nie zauważyłeś tamtej nocy niczego dziwnego? Błazen hrabiny nic ci nie powiedział?

— Delfin przyjaźni się ze mną, ale jest wiernym psem swojej pani. Nigdy by jej nie zdradził. Ale jeśli pozwolicie, panie, skoro nikt mnie nie słyszy, powiem wam coś na pociechę.

— Słucham cię, Krótkie Nóżki.

— Panie, tam, skąd pochodzę, mamy pewne porzekadło.

— Pomiń te wstępy.

— Brzmi ono: „Bycie rogaczem ma tę zaletę, że kobietę bierze sobie na głowę kto inny”. Sądzę, panie, że ciężar, którego się pozbyliście, teraz przypadł w udziale hrabiemu Barcelony.

— Być może masz rację, Batiston, ale jeśli pozwolisz sobie na takie uwagi przy kimś z pałacu, rozbiję ci łaskę na łbie.

To powiedziawszy, Ponce z Tuluzy zamachnął się w powietrzu kijem, którym podpierał się, gdy miał atak podagry.

List, który parę dni później otrzymał papieski kamerling, monsignore Bilardi, brzmiał następująco:

Spisano w Tuluzie dnia 2 lutego 1053 roku

Od hrabiego Ponce'a III z Tuluzy
do Jego Świątobliwości Wiktora II

Wasza Świątobliwość,

Zwracam się do Was o sprawiedliwość, jako wierny sługa Kościoła, którego honor został splamiony.

Jakiś czas temu gościłem w moim zamku hrabiego Barcelony Ramóna Berenguera I, wypełniając obowiązek dobrego chrześcijanina i gospodarza. Wiem, że znacie sprawę z relacji opata Sant Genisa i nie zamierzam zabierać Was cennego czasu, powtarzając, co się wydarzyło. Muszę jednak dodać, że hrabia i moja niewierna małżonka żyją w Barcelonie w konkubinacie, o czym wszyscy wiedzą. Dlatego ośmielam się prosić o Waszą interwencję w kwestii anulowania mojego małżeństwa z Almodis z Marchii, której wyrzekam się od tej chwili wobec całej chrześcijańskiej szlachty na wzgardę jej imienia i dla odzyskania mego honoru.

Gorąco Was proszę, byście zechcieli uwzględnić moje słuszne roszczenia i podjęli stosowne kroki.

Miejcie na względzie wpływy Tuluzy i dobre stosunki, jakie moje hrabstwo zawsze miało ze Stolicą Apostolską. W ostatnich miesiącach rozważałem wiele możliwych rozwiązań, ale roztropność i dobro poddanych nakazują unikać niektórych z nich, by nie pogłębiać skandalu, którego skutki mogą odczuć inne chrześcijańskie królestwa. Nie pozwolę jednak, aby ucierpiał na tym mój honor. Tuluzę doznała zniewagi i konsekwencje tego, jeśli im nie zaradzicie, mogą być nieobliczalne.

Wasz pokorny sługa, który zwraca się do Waszej Świątobliwości w nadziei, że zajmiecie się jego słuszną i bolesną skargą.

Ponce III, hrabia Tuluzy

Bilardi, przeczytawszy list, pogrążył się w rozmyślaniach. Jeśli nie postąpią roztropnie, ta niedorzeczna historia może poważnie zaszkodzić Kościołowi. Intuicja i doświadczenie podpowiadały mu, że spory po obu stronach Pirenejów często kończą się wojnami, a niejedną z nich zapoczątkował banalny incydent, w którym poszło o spódnicę.

31

Aixa

Marti Barbany nie przyjmował do wiadomości, że część jego służby to niewolnicy. Choć fortuna mu sprzyjała i interesy szły znakomicie, traktował swych służących jak robotników i współpracowników. Przyjął na służbę nowych ludzi, którzy podlegali Caterinie: Marioną, chłopką z Berguedy, zarządzała kuchnią, a Andreu Codina, polecony przez Eudalda Llobeta, pełnił funkcje majordoma i zaufanego, zatrudniającego wedle własnego uznania stajennych, woźniców, maszterzy, forysiów, plantatorów winnic i innych niezbędnych pracowników. Marti nie mógł uwierzyć, że odkąd przybył do Barcelony, los uśmiecha się do niego. Poświęcał cały czas rozlicznym interesom, wizytom u ojca Llobeta, spotkaniom z Baruchem Benvenistem, a ostatnio szedł co wieczór na plażę naprzeciwko stoczni, by rozmawiać z Jofrem i zajmować się sprawami związanymi z budową jego statku. Ciągle jednak rozmyślał, jak wykorzystać to, że Bernat Montcusi zgodził się, by ofiarował Lai śpiewają niewolnicę, Aixę.

Pewnego popołudnia, siedząc na tarasie z podcieniami, gdzie miał zwyczaj odpoczywać po kolacji, polecił Caterinie, by sprowadziła niewolnicę. Aixą zjawiała się przed nim, niosąc swój *oud**, przekonana, że jej pan chce posłuchać pięknej muzyki.

Oud — arabski instrument strunowy, uważany za przodka lutni.

Aixa pierwszy raz w swym smutnym życiu była szczęśliwa. Jako dziewczynka została porwana w pobliżu targu, gdzie przybyła z rodziną, i sprzedana handlarzowi niewolników. Ten, wypaliwszy jej żelazem pod prawą pachą — by nie straciła na wartości — niewielką czterolistną koniczynkę, sprzedał ją z kolei eunuchowi, który dostarczał kobiety do haremu pewnego emira, gdzie została strasznie zhańbiona. Kiedy mu się znudziła, trafiła w ręce katalońskiego kupca, który przywiózł ją na targ do Barcelony. Przeklinała swój los, ale wkrótce zaczęła go błogosławić, gdyż jej nowy pan nikogo nie traktował jak niewolnika. Był dobry i uprzejmy, więc mimo swego położenia czuła się szczęśliwa w nowym domu i starała się ze wszystkich sił dobrze pracować, by mu się odwdziżyć.

— Kazałeś mnie wezwać, panie?

— Tak, Aixo. Odłóż instrument i siadaj.

Dziewczynę zdumiało niezmiernie, że pan każe jej usiąść w swojej obecności, gdyż nigdy się to nie zdarzało, chyba że miała grać na lutni, na małym taborecie. Posłuchała go natychmiast i czekała z pokorą, co powie ten młody człowiek, który zawsze traktował ją niezwykle delikatnie.

— Otóż, Aixo, muszę prosić cię o przysługę.

— Przysługę, panie? Jestem tu tylko po to, by słuchać waszych rozkazów.

— Zamierzam zwrócić ci wolność. Będiesz wolną kobietą, więc nie musisz spełnić mojej prośby.

Do Aixy nie docierał jeszcze sens jego słów.

— Nie rozumiem was, panie. Zapłaciliście przecież za mnie wysoką cenę.

— Wyjawię ci mój sekret — powiedział Marti, pragnąc zwierzyć się komuś, kto zechce go wysłuchać, ze swych miłosnych problemów. — Znam cię i wiem, że jesteś uczciwa i lojalna. Gdy wylicytowałem cię na targu, zrobiłem to, by móc poznać pewną osobę, o której od tamtego dnia marzę. Nie wiem, czy zdawałaś sobie sprawę, że przez wiele wieczorów, gdy osładzałaś mi czas swymi pięknymi pieśniami, moje myśli błądziły daleko, tak że czasem pytałaś nawet: „Czy mam grać panie?”.

— Tak, pamiętam — przyznała z uśmiechem Aixa. — I ko-
bieca intuicja podpowiadała mi, że dedykujesz moje ballady
innej osobie.

— Więc cię nie zawiodła.

— Znam to uczucie, panie. Jako dziewczynka kochałam roz-
paczliwie pewnego młodzieńca z Mezopotamii. Jestem Arabką.
Los mnie z nim rozdzielił, ale wspominam go każdej nocy.

— Zatem, jeśli tego pragniesz i pomożesz mi w mojej sprawie,
będziesz wolna, by do niego wrócić.

— Nie, panie. — Niewolnica westchnęła zrezygnowana. —
Minęło zbyt wiele księżyców. Teraz on jest już pewnie statecznym
ojcem rodziny i nie ma sensu udawać, że wszystko będzie jak
dawniej. Wolę żyć dalej marzeniami niż obudzić się w gorzkiej
rzeczywistości. Gdybym wróciła, nie będąc dziewczcą, zhańbiła
bym moją rodzinę. Nie wybaczyliby mi takiej zniewagi, a nawet
mogliby mnie ukamienować. Przy was odzyskałam spokój i nigdy
tego nie zapomnę.

— Wiedz, Aixo, że gdyby nie konwenanse, które nakazują
mi posiadanie niewolników, już jutro zwróciłbym wam wszystkim
wolność.

— Zatem, panie, dlaczego ofiarowujecie ją mnie?

— Ponieważ pragnę, byś dobrowolnie wyświadczyła mi przy-
sługę, o którą poproszę.

— Dla mnie zawsze będziecie panem i zawsze będę miała
wobec was dług.

Marti zaczerpnął tchu.

— W dniu, kiedy cię kupiłem, znałem twoje zalety jedynie
ze słyszenia i stałem się twoim właścicielem, aby móc poznać
kobietę, która również brała udział w licytacji. Od tamtej pory
za każdym razem, gdy dedykowałaś mi swoje piękne pieśni,
moje myśli, jak jaskółki, leciały do niej na fali twojego głosu.

— Zanadto mi schlebiacie, panie. Nie ma większej radości
dla artysty niż być zwierciadłem tak wzniosłych uczuć. Ale
wybaczcie, że nie rozumiem, jakiej misji miałabym się podjąć.

— Za parę miesięcy, Aixo, wyruszę w długą i daleką podróż.

Ubolewałbym bardzo, gdybyś w tym czasie była zamknięta w klatce jak skowronek, którego treli nikt nie słyszy. Chciałbym, byś pod moją nieobecność sprawiała wieczorami radość damie mego serca i mówiła jej o mnie, pomagając mi zdobyć jej względy- Ale pragnę, byś czyniła to dobrowolnie, a nie z obowiązku, jako moja niewolnica.

— Panie, wasza wielkoduszność mnie przytłacza. Chętnie spełnię waszą prośbę, ale nie zwracajcie mi wolności. Nie po trafiłabym jej wykorzystać.

— W sercu już cię nią obdarzyłem. Niech to będzie naszą tajemnicą, ale powinnaś wiedzieć, że udam się do notariusza, aby poświadczył twoje wyzwolenie. Pod moją nieobecność Caterina przechowa ten dokument. Nie wiem, co przyniesie ci los, ale pamiętaj, że nie jesteś niczyją własnością i możesz liczyć na mą dozoną wdzięczność, jeśli uda ci się sprawić, by moja ukochana zaczęła darzyć mnie uczuciem i zachowywała w duszy mój obraz.

Trzy dni później, w porze niesporów, Omar zawiózł jednokonną bryczką do rezydencji Bernata Montcusiego wyzwoloną niewolnicę, wystrojoną w najlepsze szaty. Służący miał zalakowany list do właściciela domu z podziękowaniem za to, że wyraził zgodę na obdarowanie jego pasierbicy talentami Aixy. Drugi list, przeznaczony dla Lai, niewolnica ukryła pod ubraniem przed wzrokiem jej ojczyma.

32

Bernat Montcusi

O zmierzchu otworzyła się jedna z bram na tyłach ogrodzenia otaczającego rezydencję w Castellvell i wyszedł przez nią skromnie ubrany człowiek. Rozejrzawszy się wokół i schowawszy do jednej z obszernych kieszeni szaty ciężki klucz, którym wcześniej zamknął furtkę, otulił się peleryną, wcisnął na czoło czapkę i ruszył wzdłuż miejskich murów, w kierunku ulicy słynącej z licznych piekarni. Przemierzywszy ją ze spuszczonego wzrokiem w obawie, że ktoś rozpozna go w tym przebraniu, poszedł skrótami na plac, gdzie stał kościół Sant Just i Pastor. Biły dzwony po nieszpórach i parafianki wychodziły z mszy. Przemykając się chyłkiem, mężczyzna zaczął czekać, aż plac opustoszeje i kiedy uznał, że może przejść niezauważony, zbliżył się do drzwi kościoła. Gdy je pchnął, zapiszczały jak kot, któremu przydepnięto ogon. Wewnątrz świątyni unosił się jeszcze zapach wosku i kadzideł.

Przybysz zaczął czekać, aż jego oczy przywykną do półmroku, po czym usiadł w jednej z ławek z kłęcznikami ustawionych w pobliżu okazałego konfesjonału z rzeźbionego drewna. Uklęknął i obserwował kątem oka zakrystię, czekając, aż wyjdzie z niej spowiednik. Nie musiał czekać długo. Wkrótce szuranie sandałów oznajmiło obecność księdza. Był wysoki, niezdarny i miał długą

brodę. Otworzył konfesjonał, ucałował krzyż stuły, która wisiała na haku, i zawiesiwszy ją sobie na szyi, zamknął drzwiczki. Mężczyzna odczekał stosowną chwilę, po czym podszedł do konfesjonału. Po chwili spowiednik odciągnął zasłonkę, pozdra- wiając go dziwnie brzmiącym głosem:

— Niech będzie pozdrowiona Najświętsza Maryja.

— Bez grzechu poczęta.

— Powiedz, mój synu, jakie popełniłeś grzechy.

— Wiele, ojcze.

— Więc zacznij je wyliczać, po to przyszedłeś. Zobaczysz, że to ulży twojej duszy.

Bernat Montcusi, który tym razem udał się do nieznanego księdza, zamiast do swego stałego spowiednika, archidiakona Pia Almoina, Eudalda Llobeta, zaczął wyniszczać przewinienia, które ciążyły mu na sumieniu.

— Zgrzeszyłem przeciwko drugiemu przykazaniu, wyma- wiając nadaremno imię Boga. Kłamałem. Pożądałem cudzej własności. Wykorzystywałem swoje stanowisko, by gromadzić bogactwa.

Ksiądz słuchał, nieruchomy jak posąg.

— Co jeszcze, mój synu? Zgrzeszyłeś przeciw szóstemu przy- kazaniu?

— Ojcze, odkąd zmarła moja żona, często się onanizuję.

— Zadawałeś się z kobietami z domów publicznych, czy z jakąś niewolnicą?

— Ani jedno, ani drugie, ojcze. Boję się chorób, które roz- noszą te kobiety. A jeśli chodzi o niewolnice, nie chcę, by w moim domu którakolwiek uważała, że nabywa szczególnych praw, sypiając ze swoim panem.

— A zatem, mój synu, grzech onanizmu, choć niemiły Bogu, jest w pewnym sensie zrozumiały. Zadam ci jako pokutę...

— Jeszcze nie, ojcze.

— Masz na sumieniu coś więcej?

— Tak, ojcze. I dlatego właśnie przyszedłem dziś do was po radę.

— Mów, synu, słucham cię.

Przez chwilę obaj milczeli.

— Otóż, jak wam powiedziałem, jestem wdowcem. Moja żona miała córkę z poprzedniego małżeństwa, która ukończyła trzy naście lat. Jest piękna jak gazela, jej powabne kształty zaczynają już zarysowywać się pod tuniką, a piersi przypominają dojrzałe truskawki...

— Pomińcie te szczegóły...

Montcusi mówił dalej ochryłym, nieprzyjemnie brzmiącym głosem.

— Ojcowska miłość, którą darzyłem ją, dopóki żyła jej matka, zmieniła się w niszczycielską namiętność. Burzy mi się krew, gdy widzę, że czas jej wyjść za mąż, i mógłbym chyba zabić tego, kto ośmieli się ubiegać o jej rękę.

Ksiądz słuchał uważnie.

— Co mam zrobić, ojcze? — spytał przygnębiony doradca.

— Powinieneś oddalić ją od siebie. Bliskość kobiety jest bardzo szkodliwa. Od urodzenia są kusicielkami. Zobacz, że Adam był szczęśliwy w raju, aż Bóg stworzył Ewę. Mają zło w duszy i od dziecka przypominają zdradliwego węża. Radzę, byś kazał jej wstąpić do klasztoru. Tam powściągną jej grzeszne skłonności, bo choć uważacie ją za istotę niewinną, dobrze wie, jak cię kusić, a ty, biedny grzesznik, jesteś bezbronny wobec jej bezwstydu.

— Ojcze — odparł Montcusi niemal bezgłośnie — nie potrafię jej odprawić.

— Zatem skazujesz się na zgubę. Bez postanowienia poprawy nie mogę dać ci rozgrzeszenia.

— Ojcze, choćbym miał płonąć w ogniu piekielnym, nie umiem bez niej żyć. Moje dni byłyby szare i jednostajne, po zbawione sensu. Nie mogąc cieszyć oczu jej obecnością, stałbym się martwy za życia.

— Drogi synu, walcz z pokusą, która cię trawi. To nie twoja wina, tak chce natura. Dla mężczyzny wiek nie ma znaczenia. Dziewczynka, gdy waży trzydzieści funtów, jest już kobietą.

Bóg, który w niczym się nie myli, rzeki, stwarzając mężczyznę: *Bądźcie płodni i rozmnażajcie się*. Dlatego, gdy kobieta dojrzeje, wychodzi za mąż i rodzi dzieci. Dlaczego jej nie poślubisz? Nie ma nic lepszego niż małżeństwo, by okiełznać cielesne żądze.

— Nie mogę, ojcze. Swego czasu ją przysposobiłem, a jak wiadomo, Święty Kościół nie zezwala na związek ojczyma z pasierbicą.

— Ale istnieją bulle i zezwolenia. Możecie ubiegać się o zgodę na ślub.

— Ona nigdy by na to nie przystała.

— Zatem, mój synu, nie widzę rozwiązania twego problemu. Jednakże, choć dziś, z braku postanowienia poprawy, nie mogę dać ci rozgrzeszenia, przychodź do mnie. Zobaczmy z czasem, jak pokonać tę przeszkodę. Módl się dużo, mój synu, modlitwa to jedyna tarcza przeciwko złu, które nieskończenie wiele razy przybiera postać kobiety.

La

Marzenia i nadzieje

dozgi
go w
jej d<
duszi
tylko
dnia,

alejkja była zachwycona. Nowa niewolnica uszczęśliwiała ją,

Mpieśni wypełniały radością nudne przedtem wieczory. Aixa, i nieonnie wdzięczna Martiemu, korzystała z każdej okazji, by otrzyychwalać, tak że w czułym sercu Lai rodziło się nieznane Niewjtąd uczucie i sympatia do młodzieńca, który tak wielko-darzziiie zrzekł się Aixy na jej korzyść i którego twarz widziała

Lii dwa razy: raz na targu niewolników, a potem tego popołu-ku i gdy natknęła się na niego w towarzystwie ojczyma u wylotu zgodj wiodącej do ogrodu.

czytajął trzy miesiące, odkąd Aixa pojawiła się w jej życiu, śniła nawet w najśmielszych snach, że prezent, który mała od Martiego Barbany, będzie tyle dla niej znaczył, 'olnica podbiła jej serce. Od śmierci matki Laia nikogo nie A_a takim uczuciem, jak tę zachwycającą istotę. 3t adresowany do doradcy hrabiego zawierał wyrazu szacun- stanowił kurtuazyjny dowód wdzięczności za wyrażenie y na przekazanie Lai prezentu. Gdy Bernat Montcusi go ił, nie przeczuwał, jakie będą tego konsekwencje.

Barcelona, 7 marca 1053 roku

Do czcigodnego Bernata Montcusfego, *prohoma* miasta i generalnego zarządcy rynków, targowisk i magazynów hrabstwa Barcelony.

Najdostojniejszy panie,

Pragnę ponownie wyrazić wdzięczność za udzielenie mi zgody, bym ofiarował Waszej córce talenty mojej Aixy. Jak powiedziałem, mając zaszczyt gościć u Was po raz ostatni, gra znakomicie na cytrze i pięknie śpiewa, a jej zdolności marnowałyby się podczas mojej długiej nieobecności. Wyruszam, jeśli Bóg pozwoli, w daleką podróż w przyszłym miesiącu, gdy otrzymam zezwolenie na żeglugę.

Korzystam z okazji, by przesłać Wam wyrazy najgłębszego szacunku i zapewnić, że przekazuję wszystkie swoje interesy w ręce osób, które będą się nimi zajmowały równie troskliwie jak ja.

Wasz oddany sługa,
Marti Barbany

Drugi list Aixa ukryła wśród swoich rzeczy, by go oddać, gdy zdobędzie zaufanie swej nowej pani, i starała się z całej duszy zyskać jej względy. Jej kojący śpiew podziałał jak balsam, pomagając zabić ranę, którą pozostawiła w sercu dziewczyny śmierć matki. Tej wiosny noce spędzane w altance na słuchaniu pięknych pieśni Aixy zaczęły być dla Lai niezwykle ważne i niewolnica stawała się powoli jej powiernicą i przyjaciółką.

- Ale czy jest tak miły, jak mówisz?
- Nawet bardziej. Skoro mnie, która jestem niczym, traktował tak dobrze, czego nie zrobiłby dla damy, która zdobyła jego serce?
- Przecież prawie mnie nie zna.
- Kiedy pojawia się miłość, nie liczy się rasa, wiara ani

pochodzenie. Wierzcie mi, że ten wywar działa natychmiast: zobaczył was i pokochał, to całkiem proste.

— Aixo, skąd mogę wiedzieć, że nie fantazjujesz?

Aixa milczała przez chwilę, zastanawiając się, czy powinna wręczyć list.

— Dlaczego nie odpowiadasz?

— Pani, mam do wypełnienia pewną misję, która nie polega wcale na śpiewaniu wam pięknych pieśni.

Laia nie rozumiała.

— Wręczone wam coś, co trzymałam dla was, gdy przybyłam do tego domu. Jeśli wasz ojciec to odkryje, ukarze mnie.

— Mówiłam ci tysiąc razy, że Bernat nie jest moim ojcem. Był mężem mojej matki i zostałam oddana pod jego opiekę, aż ukończę dwadzieścia jeden lat. Wtedy będę wolna, dostanę w spadku majątek mojego prawdziwego ojca, którym dysponowała moja matka, i ułożę sobie życie.

— Ale na razie należycie do niego duszą i ciałem, a zatem ja także. Dlatego może z nami zrobić, co tylko zechce.

— Aixo, przejdź do rzeczy. Jeśli masz coś dla mnie, daj mi to.

Niewolnica poszła bez słowa do swej izdebki, znajdującej się w podziemiach domu.

Wkrótce wróciła, rozglądając się wokół, z ukrytym wśród szat listem od Martiego.

— Proszę. Oddaję w wasze ręce moje życie. Uważajcie.

Laia zeskoczyła z ławki i biorąc list, powiedziała:

— Nigdy nikomu tak wiele nie zawdzięczałam. Nie zdradzę cię, choćby mnie chcieli zabić. Wkrótce po ciebie poślę. Prze czytam to w bezpiecznym miejscu, nie zamierzam ryzykować.

Laia udała się do swej komnaty, a Aixo do kuchni. Zaryglowawszy drzwi, dziewczyna złamała lakową pieczęć i zaczęła czytać:

Do Lai.

Światło moich źrenic, pragnienie mojego życia. Odkąd ujrzałem Was na targu niewolników, wszystko

straciło znaczenie. Wspomnienie Waszych szarych oczu towarzyszy mi dzień i noc. Nie mając nadziei na rozmowę z Wami, nie mam po co żyć. Jestem jak ślepiec szukający po omacku napoju, którym nasyci pragnienie. Jeśli dacie mi nadzieję, zrobię wszystko, by zasłużyć na zdobycie Waszego serca. Zazdroszczę powietrzu, którym oddychacie, i chciałbym zastąpić podszwy Waszych pantofli, bo choć stąpają w kurzu, są wciąż przy Was.

Jak bez wątpienia wiecie, wyruszam w długą podróż. Od Was zależy, czy będzie mi towarzyszyła nadzieja, czy moje dni będą szare i smutne. Jeśli pozwolicie mi pomówić z Wami przed wyjazdem, będę najszczęśliwszym z ludzi. Jeśli nie, moje życie będzie coś warte tylko pod warunkiem, że choć przez chwilę Was zobaczę. Są bowiem chwile, które znaczą tyle, co wieczność. Jeśli zaszczycicie mnie spotkaniem, moja dusza będzie Wam do zgonnie wdzięczna. Wybierzcie czas i miejsce.

Z Waszym imieniem w myślach, w sercu i na ustach oczekuję niecierpliwie wiadomości.

Marti

Laia przycisnęła list do swych młodych piersi i łzy, powstałe z nadziei, pragnień i marzeń, zamglily jej szare oczy.

34

Festyn

Barcelona hucznie się bawiła. Kilka miesięcy po zawarciu małżeństwa z Almodis, wraz z nadejściem wiosny, hrabia Ramón Berenguer wykorzystał roztropnie starą jak świat strategię, którą stosowali już rzymscy cesarze, kiedy chcieli zapewnić plebsowi rozrywkę i zyskać jego przychylność. Określały ją słowa: „Chleba i igrzysk”. Gdy tylko lud dostawał dodatkową rację pożywienia i można było zamknąć sklepy, aby pójść na festyn, który *veguer* organizował w imieniu swego pana, zaciężni mieszkańcy zapominali o codziennych troskach i poświęcali czas na picie wina, zabawę i oglądanie przedstawień. Bernat Montcusi, generalny zarządca hrabstwa, otrzymał rozkaz, by dostarczyć każdemu ojcu rodziny na każdą osobę, którą miał pod opieką, garniec * pszenicy, funt mięsa wieprzowego, porcję wołowiny i trzy denary. Pokazną sumę przekazano także klerowi i radosne bicie dzwonów w kościołach Santa Eulalia del Camp, Sant Vicenc de Sarria, Sant Gervasi de Cassoles i Sant Andreu del Palomar mieszało się z uderzeniami tych z katedr, które przewodziły pozostałym, jakby starając się odpędzić ekskomunikę zagrażającą hrabiowskiej parze.

* Garniec — miara objętości, ok. 4,6 l.

Bernat, jak zwykle, zdołał przejąć część funduszy dla siebie.

Organizowano dwojakiego rodzaju rozrywki, o zupełnie odmiennym charakterze, jedne przeznaczone dla plebsu, drugie — dla wiernej Berenguerom szlachty.

Na ulicach i placach tłumy oglądały uliczne przedstawienia. Mimowie, kuglarze, cyrulicy, szarlatani, siłacze i komedianci nabijali sobie sakwy, ale najbardziej fascynowały prosty lud turnieje i zawody, odbywające się codziennie na esplanadzie w Vilanova, po drugiej stronie murów. Nagrody były wysokie i sławni rycerze z całej Septymanii pragnęli sprawdzić swe siły i umiejętności, wabieni zarówno pieniędzmi, jak i zaszczytem noszenia na ramieniu chusteczki swej damy. Ramón Berenguer i Almodis z Marchii przewodniczyli turniejowi. Główna loża, z daszkiem z czerwono-żółtymi frędzlami, znajdowała się dokładnie w połowie odcinka, który musieli pokonać zawodnicy. Stały tam dwa wspaniałe trony. Poniżej i po bokach znajdowały się miejsca oznaczone dumnie herbami szlacheckich rodów. Naprzeciwko, na tej samej wysokości, umieszczono trybunę dla sędziów, którzy czuwali nad przestrzeganiem zasad turnieju i pilnowali, by wszyscy rycerze mieli równą szansę w walce. Po obu stronach placu stały okrągłe namioty zawodników, którzy mieli rywalizować tego ranka, z powiewającymi u góry proporcami w odpowiednich barwach. Spoceni i zmęczeni giermkowie krzatali się nieustannie, polerując lśniące zbroje i hełmy z pióropuszcami. Kopie, które miały zostać skruszone w walce, stały w idealnym szeregu, wetknięte w drewniane kozły.

Laia, która od chwili otrzymania listu pragnęła gorąco poznać swego adoratora, ułożyła z Aixą plan. Wykorzystała fakt, że jej ojczym jest bardzo zajęty, starając się połączyć własne interesy z interesami hrabiego. Zarządca chodził po mieście, kontrolując stragany i zezwolenia na organizowanie rozrywek i przedstawień na ulicach. Kroczył niestrudzenie w towarzystwie swych urzędników od kościoła Sant Jaume do Castellnou, stamtąd do bramy Bisbe i Castellvell, a potem przez Aladins do bramy Regomira. Nic nie umykało jego uwadze i powoli napełniał sakwę wszelkimi

będącymi w obiegu monetami. Kiedy jakiś kupiec wdawał się
1<: nim w dyskusję, natychmiast go zatrzymywano i wtrącano do
jochu, a jeśli handlował na ulicy, jego stragan bez skrupułów
wywracano. Laia doskonale to wszystko wiedziała i nie tracąc
czasu, postanowiła skorzystać z okazji, jaką podsuwał jej los.
Aixa powiedziała jej, gdzie bywa codziennie Marti, i ustaliły,
że najbezpieczniej będzie spotkać się z Omarem, jego zarządcą,
który zajmuje się handlem w mieście i winnicami w Magórii,
i wręczyć mu pergamin, aby oddał go swemu panu. Laia napisała
list i Aixa poszła niezwłocznie na plac, ukrywając pismo w fał-
dach obszernej szaty. Gdyby natknęła się na kogoś z domo-
wników, nikogo by nie zdziwiło, że służąca załatwia jakieś sprawy
na polecenie swej pani.

Dotarłszy na rynek, Aixa długo nie mogła znaleźć Omara,
i dyż tego ranka musiał udać się do jednego z młynów, którego
zarządca wołał uczestniczyć w festynie ku czci hrabiny niż
pracować.

Po chwili dostrzegła jego nieomylny zmęczony krok i powolne
uchy. Ujrawszy dziewczynę, Maur zaczął iść szybciej.

1 — Już traciłam nadzieję, Omarze. Myślałam, że zaczniesz
wcześniej pracę.

1 — W istocie, przyjaciółko, ale w takich dniach jak teraz
trzybywa mi jeszcze obowiązków.

2 — Jak się mają Naima, Mohamed i mała Amina?

— Bardzo dobrze. Nie potrafię wyrazić wdzięczności Al-
achowi, któremu chwala na wieki, za naszego pana. Zauważ,
że to był uśmiech losu, bo owego błogosławionego dnia zależeliś-
ny od kaprysu lub pieniędzy pozostałych licytujących...

— Ja też błogosławię tamten dzień. Tylko przy naszym panu
znalłam spokoju.

1 — A teraz jesteś szczęśliwa? — spytał Omar.

— Jak nigdy dotąd. W pani mam przyjaciółkę, a co najlepsze,
mogę odwdziżyć się naszemu panu za to, co dla mnie zrobił.

— No dobrze, Aixo, dlaczego chciałaś się ze mną spotkać?

Dziewczyna wyjęła z fałd szaty list od Lai.

— . Weź, nasz pan niecierpliwie na niego czeka.
Przypuszczam,
że wiesz, kto go napisał...
— Powiedz swojej pani, że mój pan dostanie go jeszcze tego popołudnia — odparł z uśmiechem Omar.
Aixa oddaliła się, życząc mu powodzenia.
Omar, który o wszystkim wiedział, natychmiast poszedł na plażę obok stoczni, gdzie przebywał jego pan. Gdy tam przybył, Marti sprawdzał z Jofrem, jakie poczyniono postępy w budowie statku. Żeglarz stał tyłem do Omara, korzystając więc z tego, służący dał niepostrzeżenie znak swemu panu, że ma dla niego pilną wiadomość.
— Wybacz mi na chwilę, przyjacielu — rzekł Marti — muszę zająć się innymi sprawami. Zdaje się, że mój sekretarz przynosi jakieś nowiny, a ponieważ w tych dniach z powodu świętowania panuje ogólne zamieszanie, niemal wszystko jest pilne.
— Idź spokojnie, Marti — powiedział Jofre. — Poradzę sobie. Nasz *mestre d'aixa* wszystko obejrzał i chciał, by uszczelniacze, cieśle i powroźnicy przyszedli do pracy. Nie muszę ci mówić, że dziś trzeba było podwoić stawki. Zauważysz to w moich zleceniach wypłat. W przeciwnym razie stracilibyśmy kolejny tydzień, a czas na Morzu Śródziemnym szybko ucieka.
— Za chwilę do ciebie wracam.
Omar czekał w stosownej odległości. Marti podszedł do niego.
— Jakaż to pilna sprawa kazała ci zostawić pracę na targu i szukać mnie na plaży w tak szczególnym dniu? — spytał Marti, przecząc szczerym uśmiechem surowemu tonowi głosu.
Maur także się uśmiechnął.
— Panie, jeśli uznacie, że nie miałem wystarczającego po wodu, pozwolę się wychłostać. Proszę.
Odszukał w torbie list i wręczył go swemu panu.
Marti nie rozpoznał początkowo charakteru pisma, ale widząc figlarny uśmiech sługi, zrozumiał, o co chodzi.
Drżąc z emocji, odszedł na bok, złamał pieczęć, rozwinął pergamin i zaczął czytać.

Barcelona, 20 czerwca 1053 roku

Don Marti Barbany,

Umiłowany przyjacielu, jestem Wam nieskończenie wdzięczna za Wasz dar. Od nikogo nie otrzymałam dotąd tak cennego prezentu. Aixa nie tylko pięknie śpiewa, ale zyskałam w niej, dzięki Waszej hojności, także przyjaciółkę. Poruszyło mnie to, co mówiła o Waszych uczuciach. Myśl, że wywarłam tak duże wrażenie na nieznanym, przejmuję mnie dreszczem i boję się, byście w chwili naszego spotkania nie zmienili zdania na mój temat. Jestem tylko czternastoletnią dziewczyną, która gorąco pragnie mieć zaufanego przyjaciela. Jeśli chcecie, możemy zobaczyć się w środę, bo tego dnia odbywa się główny turniej, na którym będzie cała służba z mojego domu. Łatwiej wymknę się wtedy spod kontroli ojczyma. Spotkamy się w porze nony w domu Adelaidy, mojej piastunki, którą czasem odwiedzam. Znajduje się za kościołem Sant Miquel, na przeciw wejścia do zakrystii.

Wasza przyjaciółka,
Laia

Marti włożył list do wewnętrznej kieszeni kamizelki i nie potrafiąc ukryć emocji, rzucił się na Omara, wyściskał go i powiedział:

— Doprawdy, gdybym miał ci zapłacić za te nowiny proporcjonalnie do radości, jaką mi sprawiłeś, musiałbym sprzedać swoją część statku.

35

Schadzka

Punktualnie o drugiej po południu wystrojony Marti, niemal unosząc się w powietrzu, skierował kroki w stronę kościoła Sant Miquel, wzdłuż dawnego rzymskiego *cardo**.

Omar, który jak co dzień pomagał mu się ubierać, stwierdził:

— Panie, skoro dziś zmienialiście trzy razy tunikę, to co będzie w dniu ślubu?

— Daj spokój, Omarze — prychnął Marti. — Nie wiem, czy ten dzień kiedykolwiek nadejdzie. Pozwól mi cieszyć się chwilą. Przyszłość jest niepewna, pełna tajemnic, i tylko Bóg ją zna.

Zanim wyszedł, stanął przed metalowym zwierciadłem w sypialni i zobaczył w nim ogorzałego młodzieńca o szlachetnym spojrzeniu i statecznym wyglądzie, odzianego w zieloną tunikę z czarnymi portugalskimi lamówkami, granatowe spodnie, buty z delikatnej skóry z Kordoby i wytworny florencki beret zakrywający włosy przycięte w stylu karolińskim. Przybył na spotkanie przed czasem i odnalazłszy właściwy dom, zaczął przechadzać się po ulicy, czekając, aż dzwony kościoła Sant Miquel wybiją odpowiednią godzinę, aby mógł wspiąć się na

* *Cardo* lub *cardus* — w starożytnym Rzymie jedna z głównych ulic miasta, biegnąca z południa na północ.

piętro i spotkać tam panią swoich snów. Skromny budynek miał tylko jedno wejście z zadaszeniem. Z boku widać było mur z trójkątnymi otworami, przez które mogło wlatywać powietrze. Zapewne znajdował się tam magazyn zboża wymagający wentylacji. Marti wszedł w przyjemny cień bramy i trochę ochłonął. Czuł, że serce bije mu jak szalone i podchodzi do gardła. Miał tak sucho w ustach, że zesztyniał mu język. Wbiegł po zniszczonych schodach, pokonując po dwa stopnie naraz, i dotarłszy na piętro, zaczerpnął głęboko powietrza i zapukał do drzwi. Usłyszał pospieszne kroki i po krótkiej chwili drzwi się otworzyły. W progu pojawiła się uśmiechnięta kobieta w średnim wieku, o miłej twarzy i siwych włosach, i powiedziała:

— Marti Barbany, jak sądzę. — Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

Młodzieniec, zdejmując beret, odparł:

— We własnej osobie.

— Oczekują was, wejdźcie.

Marti tak też uczynił. Zamknąwszy drzwi, kobieta dodała:

— Zechciejcie pójść za mną.

Dotarli wąskim korytarzem do drzwiczek z małych drewnianych płycin. Kobieta zapukała w nie i ze środka odpowiedział jakiś głos. Martiemu zdawało się, że to Aixa.

— Pani, przybył gość.

Drzwiczki uchyliły się nieco i w szparze pojawiła się rozpromieniona twarz jego dawnej niewolnicy. Starsza kobieta oznajmiła:

— Ja już uciekam, mam dużo pracy.

Aixa dodała:

— Za chwilę do was przyjdę. — Otwierając szeroko drzwi, zwróciła się do Martiego: — Panie, możecie wejść, oczekują was.

Marti wszedł do pogrążonej w półmroku komnaty i zdołał dostrzec tylko profil dziewczyny, która stała pod światło, przy oknie z zamkniętymi okiennicami.

Usłyszał za plecami głos Aixy.



— Panie, oto Laia. Jeśli przydałam wam się na coś, moja dusza śpiewa z radości. Laio, oto człowiek, który jest, był i będzie najlepszym panem, jakiego miałam w życiu.

Po tych słowach służąca wyszła dyskretnie, zamykając drzwi.

Młodzi stali naprzeciwko siebie. Oczy Martiego przywykły już do półmroku i dziewczyna wydawała mu się zjawą z innego świata. Była ubrana w zmarszczoną pod biustem granatową suknię z dużym prostokątnym dekoltem i rękawami ściągniętymi w przegubach. Na plecach miała chustę, a na głowie koronę z grubego sznura, obszytego jasnoniebieskim adamaszkiem z wplecionymi srebrnymi nićmi, spoczywającą na włosach rozdzielonych przedziałkiem i zaczesanych po bokach w koki. Oboje, jakby się umówili, podszli do ławy stojącej na środku komnaty, i nie odrywając od siebie wzroku, usiedli.

— Pani — zaczął Marti, płonąć z emocji — od dnia, gdy moje oczy dostrzegły na targu niewolników zarys waszej twarzy, jej obraz prześladowuje mnie we śnie i powoduje przyspieszone bicie serca. Jeśli dacie mi nadzieję, będę pracował bez wytchnienia, by zasłużyć na waszą rękę. W przeciwnym razie zniknę z waszego życia i już nigdy nie powrócę.

Dziewczyna, spuściwszy głowę, słuchała zarumieniona słów Martiego. Potem, bardzo powoli, podniosła wzrok.

— Mam wobec was dług, którego nie potrafię spłacić, choć bym żyła tysiąc lat. Po pierwsze, przynieśliście mi pociechę, jakiej nigdy wcześniej nie zaznałam. Wiedźcie, że od śmierci mojej matki nikomu się nie zwierzałam, dopóki nie przysłaliście mi Aixy. Po drugie, zaszczyciliście mnie listem, na który chyba nie zasłużyłam, ponieważ nie znacie mnie i nie wiecie, jaka jestem. Muszę przyznać, że po raz pierwszy ktoś zwrócił się do mnie w taki sposób i ogromnie mi to schlebia.

— Uczuć nie da się kontrolować. Miałem okazję poznać wiele kobiet i żadna nie wzbudziła w moim sercu takiej namiętności. Gdy kładę się spać, towarzyszy mi blask waszych szarych oczu. Gdyby służący zbudził mnie, kiedy o was śnię, kazałbym go wychłostać. Ocknąwszy się rano, mam od razu przed oczami

waszą twarz. Tak nie da się żyć, chciałbym zatem wiedzieć, na co mogę liczyć.

— Mam prawie czternaście lat i nie chciałabym skrzywdzić kogoś, kto okazał mi tyle dobroci.

— Chcecie powiedzieć, że nic do mnie nie czujecie?

Dziewczyna poderwała się gwałtownie.

— Nie, Marti! Chodzi o to, że mój ojczym nigdy nie pozwoli, byście się do mnie zbliżyli.

Marti ujął jej dłonie.

— Czy to znaczy, że mogę mieć nadzieję?

— Marti, łatwo jest was podziwiać, a od tego zaczyna się miłość. Aixa opowiadała mi o waszych zaletach i zaczęłam darzyć was uczuciem, ale to na nic. Ojczym prędzej zamknie mnie w klasztorze, niż wyda za mąż za kogoś, kto nie jest obywatelem Barcelony.

— Dajcie mi nadzieję, a zdobędę świat! Wyruszę w podróż na rok lub dłużej. Wrócę bogaty. Jeśli będę wiedział, że na mnie czekacie, nic mnie nie powstrzyma.

— Zaczekam na was, ile będzie trzeba, i prędzej wstąpię dobrowolnie do klasztoru, niż wyjdę za innego.

— Zachowajcie mnie w pamięci, dopóki nie wrócę, bo żyć z dala od was znaczy tyle, co umrzeć.

Ujął ją czule za podbródek i pocałował.

36

Delfin i Almodis

Minęło kilka miesięcy, odkąd Almodis przybyła do Barcelony, i jej związek z Ramónem Berenguerem przysparzał wiele problemów. Ekskomunika, zapowiedziana przez biskupa Odó z Montcady i jeszcze nienałożona, wywoływała niepokój nie tylko na dworze, ale w całym hrabstwie. I wciąż dochodziło do ulicznych starć między zwolennikami starej hrabiny Ermesendy a zwolennikami Almodis. Charaktery obu kobiet nie sprzyjały szczególnie ich porozumieniu. Życie pary hrabiowskiej nie układało się dobrze, gdyż każde z nich zajmowało się swoimi sprawami i niewiele czasu spędzali razem. Hrabia i jego kuzyn, Ermengol d'Urgell, zaangażowali się w wojnę, gdyż potrzebował ich pomocy Arnau Mir de Tost, władca Ageru i wasal Ramóna, kiedy bracia Ahmad al-Muqtadir i Yusuf al-Muzaffar, którzy rządili Saragossą i Leridą, zaatakowali Ager i zagrażali miastu Manresa. Tak więc, gdy hrabia pomagał przyjacielowi, który odwdzieczył mu się później, zdobywając dla niego miasto Camarasa, albo gdy bronił swych praw wobec zbuntowanej szlachty, która bardzo niechętnie rezygnowała z roszczeń i przywilejów na rzecz najpotężniejszego hrabstwa Katalonii, kochankowie mieli niewiele czasu dla siebie. Hrabina poświęcała się z kolei działalności dobroczynnej: fundowała klasztory, opiekowała się wdowami

i żebrakami, nadzorowała budowę nowej katedry i przewodniczyła posiedzeniom sądów, które rozstrzygały spory dotyczące spraw własności, granic majątków lub niewolników. Kiedy chodziło o jej ziemie, zmieniała się w obrończynię swoich praw, które próbowały kwestionować inne szlacheckie rody, uważające się za równe Berenguerom, takie jak Sant Jaume, Montcada, Gelabert, Folch czy Alemany.

Czasy były burzliwe, a sytuację komplikowała jeszcze zapowiedziana przez Rzym ekskomunika. Straszyla jak widmo i dla wielu stanowiła zapowiedź pasma nieszczęść, a nawet końca autonomii hrabstwa i być może kolejnej inwazji Saracenów. W młynach, oberżach i karczmach nie mówiono o niczym innym. Kler, posłuszny nakazom Rzymu, rozgłaszał ponure przepowiednie, w każdym naturalnym zjawisku dostrzegając złą wróżbę. Z ambon przypominano biblijną historię króla Dawida i obwieszczano, że rozwiązanie hrabiego będzie przyczyną wszelkich nieszczęść, jakie spadną na Barcelonę. Krótko mówiąc, sytuacja pogarszała się z każdą chwilą i coraz częściej dochodziło do starć między zwolennikami papieża i hrabiego.

Almodis pragnęła urodzić syna, który spełniłby nadzieje jej męża, gdyż uważał on swego pierworodnego, Pedra Ramóna, pochodzącego z jego związku z Elisabet, za nieudacznika. Na dworze barcelońskim oparciem dla niej były dwie osoby: Lionor, dama do towarzystwa, której ze wszystkiego się zwierzała, i Delfin, karzeł, wypełniający jej wolny czas. Prowadziła z nim długie rozmowy dotyczące nieodmiennie kwestii jej zajścia w ciążę. Zważywszy na to, że opat Sant Genis pozostał w Tuluzie, zaczęła się spowiadać ojcu Llobetowi, którego poznała dzięki swojemu dworzaniowi. Był jedyną chyba osobą w jej nowym otoczeniu, którą darzyła zaufaniem. Nie ufała oblegającym ją codziennie na dworze przymilnym pochlebcom, lecz polubiła owego szorstkiego księdza o wyglądzie bardziej wojownika niż duchownego, który zawsze mówił to, co myśli, i nie miał zwyczaju jej ustępować.

Owego ranka hrabina gawędziła z Lionor, gdy obie wykańczały kolorowymi nićmi gobelin.

— Powiedz mi, Lionor, kiedy twoim zdaniem zostanę matką?

— To sprawy natury, pani, i niczego nie można przewidzieć. Powiem wam jedynie, że im mniej będziecie się tym zamartwiali, tym szybciej spełnią się wasze pragnienia.

— Pod jednym wszakże warunkiem. Małżeńskiego łoża nie sposób dzielić na odległość, a mój pan ciągle jest na wojnie.

— Za to kiedy wróci, będzie najbardziej namiętym ko chankiem.

Hrabina westchnęła. Rozejrzała się, by mieć pewność, że nikt ich nie podsłuchuje, i dodała cicho:

— Masz rację, Lionor, ale chcę ci coś wyznać. Wiem, że nie powinnam i gdyby była tu moja matka, zwróciłabym się do niej, jednak na pewne tematy mogę rozmawiać tylko z tobą.

— Słucham was, pani. Wiecie, że milczę jak grób.

— Widzisz, co prawda mój małżonek przybywa do mnie pełen ognia, ale...

— Ale co, pani?

— Nie wiem, jak ci to wyjaśnić. Rozumiem, że te sprawy wymagają czasu, a...

Lionor patrzyła na nią wyczekująco.

— On jest jak wulkan i eksploduje, zanim zdąży napelnić moje wnętrze. No, więc już ci powiedziałam!

Kobieta zadumała się na chwilę.

— Z pewnością, pani, musicie temu jakoś zaradzić.

— A co mogę zrobić?

— Częściej z nim przebywać, pani, by obcowanie z wami nie było wyjątkowym wydarzeniem, wtedy nie będzie taki nie cierpliwy.

— Ale, Lionor, ja zbyt rzadko go widuję. Mam wyruszyć na wojnę z niewiernymi?

— To wcale niegłupi pomysł. Mężczyźni są bardzo dziwni. Jeśli rycerz znajdzie w was co noc ukojenie, zapewne wrócicie do Barcelony z pełnym łonem. Czasem polowa prycza jest lepsza niż najbardziej miękkie łoże.

Obsesja posiadania syna dręczyła Almodis, wiedziała bowiem,

że umocni się w swoich prawach, gdy zapewni hrabiemu spadkobiercę, tak więc po rozmowie z Lionor nie przepuszczała żadnej okazji, by poruszyć ten temat to z Delfinem, to z ojcem Llobetem. Każdego z nich pytała o inne sprawy, zależnie od tego, na czym się który znał.

Rankiem pewnego deszczowego dnia, gdy karzeł pomagał jej nawozić rośliny w cieplarni, zasypała go pytaniami na temat dręczącej ją obsesji.

— Powiedz mi, Delfinie, co według ciebie się stanie, gdy nadejdzie pora? Będę matką spadkobiercy czy pozostanę bez płodna? Co ci mówi twój instynkt?

Piskliwy głos karła odbił się echem od sklepienia.

— Powtarzałem wam tysiąc razy, że moje przeczucia zdarzają się nieoczekiwanie. Często dotyczą spraw nieistotnych i rzadko mnie nawiedzają, gdy wysilam umysł, starając się dowiedzieć czegoś, co naprawdę mnie interesuje albo budzi moją ciekawość.

— Aż za dobrze to wiem, ale odpowiedz, nie miałeś żadnej wizji, która stanowiłaby dla mnie wskazówkę?

— Sen. Miałem tylko sen, którego nie mogę uważać za wróżbę.

— Na Boga, Delfinie! Opowiedz mi natychmiast, co ci się śniło. Czyż nie jest prawdą, że Józef interpretował sny faraona i że okazały się one prorocze?

Delfina nadal bolały słowa, którymi hrabina potraktowała go tamtej nocy, gdy przerażony atakiem piratów wtargnął do jej kajuty.

— Dobrze, skoro chcecie wiedzieć, co się śni tchórzowi, powiem wam.

— Delfinie, wierz mi, że nie będę bawić się w subtelności. Jeśli chcesz dać mi nauczkę, odpowiem ci w jedyne sposoby, jaki rozumie cały świat. Zapytam cię o to samo po serii batów, skoro tak wolisz. Zobaczmy, czy minie ci wtedy ochota na grę w słówka.

— Pani, nazwałaś mnie „zasrańcem” w obecności doni Lionor.

— Wówczas na to zasługiwałaś, a nawet na coś gorszego, bo

stchórzyłeś, więc nie nadużywaj mojej cierpliwości, bo i tak mam jej zbyt wiele. Opowiedz mi natychmiast ten sen.

Karzeł dobrze wiedział, że może sobie pozwolić na dużo więcej, odgrywając błazna, niż wtedy, gdy rozmawiał poważnie ze swoją panią.

— Otóż pewnej nocy, gdy tylko przybyliśmy, wypilem zapewne za dużo tutejszego słodkiego wina, które zwą moscatelem. To zdradziecki trunek, bo usypia rozum, tak więc nie miałem nawet siły wrócić do swoich komnat i ległem na belach słomy, którą karmią konie. Natychmiast zasnąłem i miałem dziwny sen.

— Przejdź do sedna sprawy, Delfinie.

— Dobrze, pani. Byłyście z doią Lionor w gabinecie, gdy zwrócił waszą uwagę głośny płacz. W głębi, gdzie macie tamborek z kanwą, na którym pracujecie, stała duża kołyska, mogąca pomieścić kilkoro dzieci. Pochyliłyście się nad nią obie i zobaczyłyście w środku dwoje niemowląt. Odsunąwszy płótno, którym były przykryte, ujrzałyście z przerażeniem, jak jedno z nich rozdrapuje drugiemu do krwi twarz.

— I co wnioskujeś z tego majaczenia?

— Nic, pani. Pytaliście mnie, więc powiedziałem. Chcieliście wiedzieć, co mi się śniło, i teraz już wiecie. Nie zapomniałem jednak przepowiedni, o której wam mówiłem w moim lesie w dniu, gdy zawarliśmy przymierze krwi, pamiętacie? Zapoczątkujecie nową dynastię i myślę, że nadszedł już właściwy moment.

— Ale by tak się stało, muszę zostać matką.

— Oczywiście.

Hrabina zamysliła się na chwilę, po czym, przesunąwszy prawą ręką po twarzy, jakby chciała coś z niej strzepnąć, spytała:

— Powiedz mi, Delfinie, skoro wychodzisz swobodnie z pałacu, odwiedzasz gospody, zajazdy i karczmy i zadajesz się z prostymi ludźmi, co oni o mnie mówią? Kochają mnie czy nienawidzą?

— Zależy kto, pani.

— Nie bądź taki tajemniczy i mów natychmiast. Od czego to zależy?

— Od pozycji i kultury danej osoby.

— To znaczy?

— Widzicie, pani, prosty lud jest przestraszony, boi się utraty pokoju w hrabstwie. Jedni obwiniają hrabiego, inni papieża. Pierwszego za to, że sypia z wami bez ślubu, a drugiego, że wtrąca się w nie swoje sprawy, gdyż nie dotyczą jednej rodziny, lecz wielu. Ale i jedni, i drudzy wolą na wszelki wypadek pojednać się z Bogiem i wydają pieniądze na błagalne modły, posty i różańce, bo ich spokój zależy od pokoju w hrabstwie. Bez pokoju nie ma handlu, a jeśli władza osłabnie, Maurowie mogą znów zaatakować Barcelonę i wtedy ludzie wszystko tracą. Niektórzy nigdy się nie spowiadali, a teraz nie odchodzą od konfesjonału. Księża podsycają jeszcze z ambon ich obawy i widzę często, jak pokutnicy, ledwie wyznali swe winy, podchodzą do skarbnicy i wrzucają do niej datki. To także sposób na wybląganie miłosierdzia Najwyższego i uproszenie go, by strzegł hrabstwa przed islamem. Wielu pamięta jeszcze Almanzora.

— Czy sądzisz, że gdyby ekskomunika została rzeczywiście nałożona, wpłynęłoby to aż tak bardzo na przyszłość hrabstwa?

— Instynkt podpowiada mi, że nie, ale księża nadużywają łatwowierności ludu i przewidują rozliczne niepokoje i klęski. Przypominają, że gdy hrabia czy monarcha zostaje ekskomunikowany, można odmówić mu posłuszeństwa, a to wywoła anarchię, pieniądź straci na wartości, wszystko ogarnie paraliż i miasto podupadnie. Tyle że najwyraźniej duchowieństwa to nie dotyczy. Gdyby wierzyli, że tak się stanie, po co by im były jałmużny, które wierni zostawiają w kościołach w intencji ocalenia pokoju lub jako pokutę za wyznane grzechy? Pieniądze, o ile wiem, przydają się tylko na tym świecie. Nie wierzę, by święty Piotr pobierał opłatę za wstęp do nieba w *mancusos*.

— Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo bym chciała wyjść z tobą którejś nocy i wmieszać się w lud. Powiem więcej: władca, który nie stara się poznać z pierwszej ręki opinii swoich poddanych, choćby miał najlepszych doradców, zawsze popełnia błędy.

— Macie rację, pani, ale nie uda wam się opuścić pałacu po kryjomu, bez wiedzy waszej damy do towarzystwa, dam dworu i straży.

— Nie powiedziałabym. Zdarzały się już bardziej nieprawdopodobne rzeczy, które wcześniej uznałabym za niemożliwe.

— Wszystko jest zapisane w gwiazdach, jeśli coś ma się zdarzyć, to się zdarza, ale wasz zamysł, powtarzam, jest raczej nierealny.

— Tak czy inaczej, nie zaszkodzi spróbować. Zawsze wierzyłam, że człowiek potrafi wpływać na swoje przeznaczenie.

— Wybaczcie, że wam to powiem, ale jesteście nadal tą samą zuchwałą dziewczynką, którą poznałem w Marchii.

37

Rady Beiwenista

Po spotkaniu z Laią Marti rozpoczął gorączkowe przerwania do podróży. Przez całe lato odwiedzał winnice i młyny, magazyn wewnątrz murów miasta i stocznice, gdzie zorał ostatni etap budowy statku, a wszystkie wieczory w domu Barucha, zdobywając setki szczegółowych informacji niezbędnych do tego, by mógł zrealizować swoje zamie. Bankier był niewyczerpanym źródłem wiedzy i Marti : sobie sprawę, że doświadczenie Żyda ma kluczowe znaczenie dla jego planów. Podczas tych miesięcy gorączkowej krzątał dzięki pomocy Aixy spotkał się kilka razy z Laią w domu starej piastunki i kielkujące uczucie dziewczyny stopniowo kwitowało.

Tej nocy Marti siedział z bankierem w jego ogrodzie rozłożonym kasztanem przy dwóch kieliszkach wina, które Baruch przechowywał w piwnicy, i rozmówcę pytaniami, chłonąc jego słowa i zapamiętując jego rady.

Ryfka, żona Barucha, donosiła wciąż wino w kryształowych karafce, napełniając im kieliszki. Ruth siedziała ukryta za cieniem, korzystając z okazji, by podsłuchiwać rozmowę ojca i miłym i wytwornym młodzieńcem.

238

alowej
Irzwia-
z tym



Benvenist oznajmiał właśnie:

— Przed wszystkim chcę ci powiedzieć, że według moich kalkulacji możecie się uważać za bogatego człowieka. Wielu z tych, którzy udają bogaczy wobec hrabiego, nie ma takiego majątku jak ty.

— Darzę was bezgranicznym zaufaniem. Zajmuję się pracą tak, jak nakazał mi ojciec w swoim testamencie, i dzięki temu, że opiekujecie się moim majątkiem, mogę poświęcić się całkowicie moim obowiązkom, ale podajcie mi informacje, o które prosiłem.

— Otóż, Marti, nie wszystkim można swobodnie handlować. Niektóre towary wolno eksportować do danego miasta czy królestwa, ale dostarczanie ich gdzie indziej jest zakazane.

— A od czego to zależy?

— Od wielu okoliczności, na przykład czy prowadzi się wojnę z którymś z sojuszników hrabstw Barcelony, Gerony i Osony, czy twój eksport może być w przyszłości konkurencyjny albo po prostu czy któremuś z wielkich kupców jest on nie na rękę.

— Kto kontroluje towary dostarczane do portu?

— Podlegasz prawu, które obowiązuje w danym królestwie, i odniesiesz z tego korzyści, bo na to, czego zabrania Barcelona, zezwala Genua, a co tam z kolei objęto zakazem, jest legalne w Wenecji albo Konstantynopolu. Kontrola towarów odbywa się w miejscu załadunku, należy zatem do kompetencji hrabstwa, miasta lub królestwa, w którym znajduje się dany port. Tam załatwiasz formalności, tak więc sukces lub niepowodzenie rejsu zależeć będzie nie tylko od profesjonalizmu kapitana statku, lecz także od handlowych umiejętności armatora, czyli w tym przypadku twoich.

— A jeśli w trakcie planowania podróży nadarzy się okazja kupienia towarów, które nie figurują na zakazanej liście? Co powinienem wtedy zrobić?

— Zadeklarować je przy wyładunku. Nikt nie będzie mógł tego zakwestionować ani nałożyć na ciebie kary.

— A jak mogę oszacować wartość nowych towarów, aby

ubezpieczyć je zgodnie z naszą umową, skoro nie wiem, jak ryzykowny jest ich transport?

— Tym się nie martw. W każdym porcie, do którego zawińiesz, znajdziesz ludzi naszej nacji, którzy oszacują ryzyko i koszt towarów zabieranych przez ciebie na pokład. Zawsze uznamy ich decyzje i zobowiązania. To, co postanowią, będzie dla nas prawem.

— Niepokoi mnie jeszcze jedno, mistrzu.

— Nie nazywajcie mnie tak. Wiedza, którą wam przekazuję, to bardziej owoc wielu lat doświadczeń niż studiów. Ale powiedz, jakie dręczą cię wątpliwości?

— Jak będę się porozumiewał podczas dokonywania transakcji?

— Gdziekolwiek się znajdziesz, nasi ludzie zapewnią ci tłu macza, ale w codziennych kontaktach wystarczy łacina. Wszystkie ludy znad Morza Śródziemnego, którym Rzym narzucił swoje panowanie, mówią lepiej lub gorzej tym językiem. Znając łacinę, porozumiesz się bez problemów.

Marti zasypywał przyjaciela pytaniami dotyczącymi tysiąca spraw i miejsc, a ten wszystko mu wyjaśniał.

— Wybaczcie, że tak was wykorzystuję — powiedział Marti, którego ciekawość wydawała się nie do zaspokojenia.

— Nie miej żadnych skrupułów. W pewnym sensie nasi ludzie będą twoimi współnikami. Ale teraz przeproszę cię na chwilę. Mój pęcherz nie może czekać. Z wiekiem staje się to wstydlwym problemem, z którym borykają się biedni i bogaci, hrabiowie i żebracy.

— Ależ oczywiście, Baruchu, jesteście przecież w swoim domu, a ja sprawiam wam tylko kłopot. Wasze pasjonujące opowieści tak mnie oszałamiają, że tracę poczucie czasu i zapominam o elementarnych zasadach grzeczności, które nakazują, by gość nie zwlekał z wyjściem po zachodzie słońca.

Bankier wstał i zapewniwszy młodzieńca, że nic nie sprawia mu większej przyjemności niż jego wizyty, poszedł sobie ulżyć.

Gdy tylko zniknął, zjawiła się w komnacie Ruth i mimo

surowego spojrzenia matki, podeszła do Martiego i naląła mu z karafki kolejną porcję złocistego płynu.

— Wyruszenie podobno w długą podróż — powiedziała, jakby nie słyszała już tysiąca szczegółów na jej temat.

— Zgadza się. Zaangażowałem się w nowe dla mnie przedsięwzięcie i muszę się dużo nauczyć. Dlatego potrzebuję dobrych rad twojego ojca.

— Daleko płyniecie?

— Najdalej, jak pozwoli mi czas i warunki na morzu.

— Ależ wam zazdroścę — westchnęła dziewczynka, mrużąc oczy. — Poznacie świat i wzbogaciecie się o nowe wspomnienia. Jeśli urodzę się ponownie, chcę być mężczyzną. Życie żydowskiej dziewczyny jest nudne i monotonne. Zależy w dodatku od woli ojca i kaprysu losu, czy dostanie dobrego męża, czy starca.

Ryfka zamierzała interweniować, ale Marti ją ubiegł.

— Nie sądzę, by ojciec zmusił cię do małżeństwa z kimś, kto ci się nie spodoba. Masz szczęście być córką człowieka wyjątkowego i bardzo wyrozumiałego.

W tym momencie rozległ się w kuchni łoskot i Ryfka, rzuciwszy Ruth ostrzegawcze spojrzenie, którego dziewczynka najwyraźniej nie chciała zauważyć, poszła sprawdzić, co się stało.

— Może macie rację, ale wiem, że gdybym zakochała się w chrześcijaninie, nigdy by się nie zgodził na taki związek — stwierdziła dziewczyna.

— Ale powinien bardziej pociągać cię chłopak, który wyznaje tę samą wiarę i ma podobne do twoich zwyczaje, a nie zupełnie ci obce. Poza tym poznasz z pewnością więcej Żydów niż chrześcijan.

— Nic pewnego — odparła dziewczynka z wymowną miną. — Na przykład poznałam was. Przychodźcie do naszego domu i ojciec was lubi.

Jej szczerość napawała Martiego lękiem i wprawiała w zdenerwowanie.

— Jesteś uroczą dziewczynką i masz mnóstwo zalet, ale wspomniałaś wcześniej, że nie chciałabyś wyjść za starca, a moja

wiara, obok tego, że jestem znacznie starszy od ciebie, stanowiła-
by jeszcze dodatkowy problem.

— Nigdy bym nie powiedziała, że jesteście starzy.

Marti nie wiedział już, jakimi argumentami poskromić jej
zuchwałość, gdy wybawił go z opresji głos Barucha.

— Ruth, znów zamęczasz naszego gościa?

— Nie, ojcze. Opowiadał mi o cudownej podróży, w którą
zamierza wyruszyć, a ja z przyjemnością dotrzymywałam mu
towarzystwa pod waszą nieobecność, ale już sobie idę. Naprawdę
nie chcecie, bym wam jeszcze dołała? — spytała, wskazując
karafkę.

— Nasz gość za wszystko już dziękuje, a ja chcę tylko, żebyś
już poszła — ofuknął ją ojciec.

Dziewczynka wyszła, uprzejmie się pożegnawszy.

— Wybaczcie jej, to jeszcze dziecko, ma pstro w głowie i nie
potrafi zachować się jak należy.

— Jest zachwycającą istotą i z pewnością bez trudu znajdziecie
jej odpowiedniego męża.

— Obawiam się, że spośród trzech moich córek właśnie ona
sprawi mi najwięcej kłopotów, kiedy zechcę wydać ją za mąż.
Najstarsza wychodzi w przyszłym roku za chłopca z Besalii
Onieposzlakowanej opinii, którego ojciec jest właścicielem łązni.
Druga poślubi najstarszego syna rabina Szemuela Melameda,
z którym już wszystko uzgodniłem, ale boję się, że ta mała
odrzuci każdego kandydata, którego zaproponuję ja albo matka.
Jestem pewien, że jeśli jej się nie spodoba, postawi na swoim.

38

Spowiedź

Ojciec Llobet otrzymał wyraźne polecenia: miał stawiać się w pałacu każdego ranka, odprawiać mszę w prywatnej kaplicy hrabiny i słuchać jej spowiedzi, aż zostanie na nią nałożona zapowiadana ekskomunika. Gdyby z Rzymu nadeszła wiadomość, której wszyscy się obawiali, wtedy i tylko wtedy przestanie jej służyć, gdyż osoba ekskomunikowana nie może przyjmować sakramentów. Sumienie dyktowało mu jednak co innego.

Przyjął tę nową funkcję z powodu śmierci swego poprzednika. Kiedy zwierzchnik zlecił mu to zadanie, początkowo chciał odmówić, gdyż zdobyte w burzliwym życiu doświadczenie radziło mu trzymać się z daleka od władców i doczesnych wpływów, stwarzających jedynie problemy i przynoszących korzyści tylko tym, którzy chcieli zaistnieć za wszelką cenę, a on do nich nie należał.

Nie mógł zaprzeczyć, że początkowo był uprzedzony do hrabiny Almodis. Jej obecność na dworze nie była stosowna. Jednak mimo swych chrześcijańskich przekonań zmienił zdanie, poznawszy ją bliżej, i jego żołnierska dusza zrozumiała, że ta kobieta, jeśli nie przeszkodzi w tym ekskomunika, będzie nieskończenie bardziej przydatna hrabstwu Barcelony niż porzucona przez hrabiego Blanca z Ampurias. Dotarła do jego uszu opowieść

I

o starciu z piratami. Zdawał sobie sprawę, jak bardzo wyolbrzymiają fakty historie przekazywane z ust do ust, lecz Gilbert d'Estruc, dowódca wyprawy, z którym łączyła go dawna przyjaźń, zrelacjonował mu szczegółowo wydarzenia owej fatalnej nocy, gdy doszło do abordażu na plaży Montjoi. Odwaga hrabiny przejęła dreszczem starego wojownika i od tamtej pory traktował ją z podziwem i sympatią.

Rozpoczął pracę o świcie. Po porannej modlitwie udawał się do pałacu i czekał w konfesjonale skromnej prywatnej kaplicy, aż przyjdzie jego jedyna penitentka. Zjawiała się punktualnie w towarzystwie dam dworu i Delfina, garbatego króla, którego najwyraźniej darzyła zaufaniem. Spowiedź była zwykłą rozmową, gdyż od pierwszego dnia Llobet wyraźnie określił swoje stanowisko.

— Posłuchajcie, pani. Wiemy oboje, że popełniacie oczywiste cudzołóstwo, wywołując zgorszenie waszych poddanych. Choć zdaję sobie sprawę, że moja decyzja może mieć dla mnie zgubne konsekwencje, chcę, byście wiedzieli, iż nie udzielę wam rozgrzeszenia, jeśli nie wyrazicie skruchy i chęci poprawy. Skoro nie zamierzacie spełnić warunków niezbędnych do przyjmowania najświętszego sakramentu, nie ma sensu, byście przede mną klękali. Do czasu anulowania przez Rzym waszego poprzedniego związku — co najwyraźniej jest dla was osiągalne, gdyż dwukrotnie miało już miejsce — i połączenia was świętym węzłem małżeńskim z hrabią, jeśli on także uzyska stosowne zezwolenie, nie liczcie na moją pobłażliwość. Jeśli się nie zgadzacie, zwolnijcie mnie natychmiast i niech inny, bardziej wyrozumiały ksiądz, którego z pewnością znajdziecie, zadba o spokój waszej duszy.

Wyniosła odpowiedź hrabiny zaskoczyła ojca Llobeta.

— Po pierwsze, od dzisiaj będziemy rozmawiali, siedząc na dwóch taboretach na tym samym poziomie, jako że nie będąc godna otrzymać rozgrzeszenia, nie spowiadam się przed wysłannikiem Boga, i w tym przypadku to ja, hrabina Barcelony, czynię zwykłemu księdzu zaszczyt równania się ze mną. O tym, czy

zostajecie, czy nie, zadecyduję sama. Nawet hrabia Barcelony nie będzie interweniował w sprawie, która dotyczy tylko mnie. Chcę poza tym, byście wiedzieli, że od tej chwili mianuję was moim duchowym doradcą. Nigdy nie odpowiadała mi fałszywa służalczość, którą okazują niemal wszyscy przebywający w otoczeniu władców. Podoba mi się ogromnie wasza szczerość i chciałabym, byśmy z czasem się zaprzyjaźnili.

Od tamtego dnia rozmowy z hrabiną stały się dla ojca Llobeta, wraz z tymi, które prowadził od czasu do czasu z Baruchem Benvenistem, pokarmem dla intelektu. Jej błyskotliwe argumenty i cięte riposty zaskakiwały nieustannie odczytanego archidiakona, który kiedyś był żołnierzem. Przypominał sobie celny wywód Almodis na temat jej grzechów.

— Nurtuje mnie pewna wątpliwość, którą chciałabym wyjaśnić.

— Słucham was, pani.

— Dobrze wiem, że nie możecie udzielić mi rozgrzeszenia, ponieważ nie zamierzam za żadne skarby opuścić Ramóna. Żałuję jednak innych grzechów, które mnie dręczą, na przykład zabicia człowieka. Możecie wybaczyć mi tę winę, która, jak sądzę, oddziela mnie od Chrystusa, i pozostawić na boku to, co tak bardzo martwi Kościół, a co z kolei nie obarcza w ogóle mego sumienia?

— Pani, sakrament spowiedzi nie jest targowiskiem, na którym kupuje się to, co nam odpowiada. Grzechy stanowią pewną całość i nie da się ich rozdzielić. Sakrament spowiedzi ma swoje reguły i nie możemy dopasowywać ich do naszych potrzeb, tak jak odzieży.

— Bóg mówi: *Grzechy, które zatrzymacie, będą zatrzymane, a które odpuscicie, będą odpuszczone*. Nie możecie zatrzymać jednego, a uwolnić mnie ze wszystkich pozostałych, zwłaszcza tego, który leży mi na sumieniu? Gdyby coś mi się stało, wytłumaczyłabym tam, w górze, z czyjego rozkazu wydano mnie pierwszy raz za mąż bez mojej zgody, a później, z powodu racji

stanu, kazano poślubić starca. Czy kobieta nie ma prawa decydować o swoim życiu i musi być zawsze poddana woli mężczyzn?

— Pani, sprawy wielkiej polityki nie należą do kompetencji ubogiego księdza. Gdyby każda księżniczka czy dama mogła zrywać wedle własnego kaprysu święte więzy małżeństwa, nie godząc się ze swym przeznaczeniem, podwaliny chrześcijaństwa rozsypałyby się jak zamek z piasku.

— Ale zrozumcie, że to moje życie, które przeżywam tylko raz, i nie udźwignę na mych słabych barkach wszystkich królestw tego świata. Kiedy na moim grobie umieszczą płytę z wyrytym napisem: *Tu spoczywa Almodis*, skończę wędrówkę przez ten padół łez, więc pragnę, by od teraz była ona jak najprzyjemniejsza. Dość się już napłakałam.

Takie wywody, równie celne co logiczne, rozbrajały księdza, który w wielu przypadkach nie wiedział, co odpowiedzieć.

Na koniec hrabina nawiązywała często do sprawy sukcesji i domagała się od księdza jego opinii z laickiego punktu widzenia.

— Powiedzcie mi jeszcze, mój zacny kanoniku, co, ze względu na dów politycznych, byłoby najlepsze dla hrabstwa. Przypuśćmy, że nadeszła z Rzymu anulacja naszych poprzednich małżeństw i że hrabia Barcelony i ja jesteśmy mężem i żoną. Zdaniem *vox populi* — i moim także — Pedro Ramón, pierworodny syn mego męża, nie grzeszy rozumem, jest niezrównoważony i gnuśny. Czy uważacie, że powinien rządzić? Nie sądzicie, że gdybym mogła dać Barcelonie spadkobiercę, byłoby lepiej, by hrabia — dla dobra hrabstwa i swoich poddanych — zmienił testament i przekazał władzę najbardziej odpowiedniej osobie?

— Pani, nie do mnie należy wyrażanie opinii na ten temat. Stawiacie mnie w niezręcznej sytuacji.

— Llobecie, pytam was jako człowieka światłego i dawnego żołnierza, który służył wiele lat Berenguerom. Co w tym złego, że hrabina Barcelony radzi się kogoś bliskiego i doświadczonego? Proszę was, a jeśli trzeba rozkazuję, byście odpowiedzieli na moje pytanie.

Duchowny zastanawiał się przez chwilę.

— Mógłbym wybrnąć z opresji, oszukując was.

— Ale tego nie uczynicie, bo to niezgodne z waszą wiarą i charakterem. Odpowiedzcie mi.

— A więc dobrze, pani. Gdyby owoc waszej miłości — na razie grzeszny — odziedziczył po matce zdolności polityczne i odwagę, byłoby może wskazane, by przejął władzę.

39

Pod osłoną nocy

Delfin zawsze lękał się uporu swojej pani, gdy w jej głowie rodził się jakiś pomysł. Almodis, mając niewątpliwie obsesję na punkcie poczęcia spadkobiercy, obmyśliła pewien plan, i karzeł zdawał sobie sprawę, że jego pani pokona na swej drodze każdą przeszkodę, by osiągnąć cel. Było to dla niego nader kłopotliwe, bo w razie zdemaskowania jej zamiarów on z pewnością za wszystko by odpowiadał, gdyż hrabina nigdy nie ponosiła żadnej kary: po pierwsze, ze względu na swoją pozycję, a po drugie, z powodu ślepej miłości, jaką darzył ją hrabia, chroniącej ją przed wszelkimi zarzutami.

Delfin potrafił przewidywać przyszłość, ale, wbrew opinii hrabiny, nie posiadał żadnej czarodziejskiej czy magicznej mocy, która pozwoliłaby mu sprawić, by gwiazdy sprzyjały jakiemuś przedsięwzięciu. Przy każdej jednak okazji starał się przebywać w towarzystwie osób, które chwaliły się takimi zdolnościami, bądź w dobrej wierze, bądź po to, by wykorzystywać obawy i niepokoje zacnych ludzi i opróżniać ich sakiewki.

Pewnego nieszczęsnego dnia wspomniał lekkomyślnie Almodis o swej znajomej, niewidomej wieszczce, którą odwiedzało wiele bezpłodnych kobiet i panien chcących odtworzyć sobie błonę dziewiczą, by nie przynieść wstydu rodzinie, a ona miała

podobno dobrą rękę do tych spraw. Poznał ją w gospodzie, którą prowadził jej szwagier za murami Castellnou. Dowiedział się o niej, pytając, dlaczego tyle osób przemyka ukradkiem między stołami, przy których popijają wino stali bywalcy, i kieruje się do ukrytych drzwi w głębi sali, prowadzących na zaplecze.

Hrabina natychmiast zareagowała na tę wiadomość.

— A więc, przyjacielu, umówisz mnie z nią. Potrzebuję jej wiedzy i dobrze się składa, że jest ślepa. W przyszłym tygodniu, za radą doni Lionor, spotkam się z hrabią, który oblega Tortosę, i chcę wykorzystać wszelkie dostępne środki, by nie stracić okazji i zejść w ciążę.

— Ale, pani... — odważył się zaproponować karzeł. — Florinda przyjmuje tylko nocą, a wasza eskorta będzie rzucała się w oczy, zjawiając się w tak szczególnym miejscu.

— Co ty sobie myślisz, głupcze? Że hrabina Almodis z Marchii przybędzie na spotkanie tak delikatnej natury przy akompaniamencie bębnow i trąbek?

— Zatem, jaki macie plan, pani?

— Udamy się tam tylko we dwoje i zrobimy to dyskretnie.

— Możecie pozbawić mnie życia, lecz nie strachu, który czuję na samą myśl, co będzie, jeśli z jakiegokolwiek powodu wasz fortel się wyda i zostaniemy zdemaskowani. Nie wątpię, że cały gniew hrabiego spadnie wtedy na mnie.

— To jedynie potencjalna możliwość, pewne jest natomiast, że jeśli nie będziesz mi posłuszny, ściągniesz na siebie mój gniew i przysięgam, że wyprostuję ci biczem grzbiet.

Znalazłszy się w tak niezręcznej sytuacji, Delfin wybrał najmniej ryzykowne rozwiązanie. Florinda świadczyła usługi na zapleczu gospody zwanej Oberżą Kuternogi, ze względu na ułomność jej właściciela. Zrujnowana budowla stała między dwoma domami i przylegała tylną ścianą do starych murów obronnych. Aby do niej dotrzeć, trzeba było pokonać niebezpieczny odcinek drogi, pogrążony w ciemnościach, w których tonęło miasto, a zwłaszcza przedmieścia, gdzie rabusie — amatorzy cudzej własności — mieli znakomite warunki, by pod osłoną nocy

uprawiać swój niecny proceder. Florinda zdawała sobie sprawę, że jej sukces zależy w dużym stopniu od tego, co mówią odwiedzający ją ludzie, gdyż wrażliwe zmysły rekompensowały jej zawiązką brak wzroku, tak więc gdy zjawił się u niej Delfin, nie wspominając, oczywiście, kim jest osoba, która chce skorzystać z jej usług, sprytna kobieta, potrafiąca czerpać zewsząd informacje, skorzystała z okazji, by dowiedzieć się czegoś o przyszłej klientce.

— Skoro nie chcesz mi powiedzieć, kim jest osoba, która potrzebuje mojej rady, wyjaw chociaż, co ją trapi, abym była przygotowana do udzielenia jej pomocy i aby przez twój brak zapobiegliwości nie przychodziła tutaj nadaremnie.

Karzeł pozostał nieufny.

— Nie kwestionujemy twojej ceny, choć z pewnością nie jest niska, ale stawiamy warunek, że ta kobieta odwiedzi cię potajemnie, bo bardzo by jej zaszkodziło, gdyby została rozpoznana.

Florinda wywnioskowała, że musi to być jakaś prawdziwa dama, gdyż w takim mieście jak Barcelona nie zdarzało się raczej, by o świcie rozpoznawano kogokolwiek na przedmieściach.

— Chodzi o przerwanie ciąży? Potrzebuję do tego specjalnych środków.

— Wprost przeciwnie, ale nie każ mi więcej o tym mówić. W odpowiednim czasie wszystkiego się dowiesz.

Uzgodniwszy termin wizyty, zakończyli rozmowę.

Już samo opuszczanie pałacu było ryzykowne, a w dodatku musieli to zrobić w tajemnicy, nocą i bez eskorty. Delfin zaplanował wszystko w najdrobniejszych szczegółach, do czego przyczyniła się niewątpliwie wypchana sakiewka, którą wręczyła mu hrabina.

Straż pałacowa co jakiś czas robiła obchód, a jej dowódca nadzorował kolejne zmiany wartowników. Byli oni rozstawieni w pobliżu murów obronnych i pilnowali w ten sposób wszystkich wyjść z pałacu. Grając z żołnierzami w kości, Delfin dowiedział się, że jeden z nich będzie nocą pełnił wartę przy bramie na

tyłach pałacu. Człowiek ten miał mało pieniędzy, a właśnie po raz trzeci został ojcem. Podszedł więc do niego i zaproponował mu umowę.

— Posłuchajcie, Oleguerze — tak się ów żołnierz nazywał — gdybyś zechciał wyświadczyć mi drobną przysługę, byłbym ci dozgonnie wdzięczny.

— Jeśli tylko potrafię i nie będzie to ryzykowne, możemy porozmawiać.

— Otóż służę u pewnego klucznika, który, wyobraź sobie, będąc żonatym, zadurzył się w dziewczce z tawerny, chciałby więc wyjść dyskretnie z pałacu w porze komplety, nie zwracając uwagi dowódcy nocnej straży i wrócić, zanim będzie go potrzebował jego pan.

— A w jaki sposób mnie to dotyczy?

— Zaczynasz wartę w porze komplety, zmieniają cię w porze jutrzni i po odpoczynku wracasz na posterunek w porze prymy. Dokładnie wtedy, ani wcześniej, ani później, mój pan wróci, a ty wpuścisz go do pałacu.

— Ale z pewnością po przerwie przydzielą mi wartę gdzie indziej.

— Mój pan i ja będziemy szli wzdłuż murów, aż znajdziemy bramę, na której zawieszisz czerwoną chusteczkę.

— Skąd tyle o mnie wiesz?

— Zdobywanie informacji, drogi przyjacielu, to podstawowa sprawa, jeśli chce się przeżyć w świecie pałacowych intryg.

— Przypuśćmy, że się zgodzę. Co otrzymam w zamian za podjęte ryzyko?

— Sakiewkę z pięcioma denarami, gdy mój pan będzie wychodził, drugą taką samą, kiedy będzie wracał i pewność, że wpływowa osoba zaciąga u ciebie dług wdzięczności. Mój pan zdaje sobie sprawę, że wszystko ma swoją cenę.

— Przebóg! Nie mogę się nadziwić, jacy my, mężczyźni, jesteśmy narowiści. Żadne cugle ani wędzidło nie okiełznają skuteczniej zalotnika niż dziewczka, która mu się opiera.

— Tak to już jest w sprawach płci.

W ten sposób doszli do porozumienia. W umówionym czasie hrabina Almodis, przebrana w męski strój, ukrywając się pod peleryną z kapturem i w dodatku zasłaniając twarz, sekretnymi drzwiami opuszczała w towarzystwie karła mury pałacu, gotowa na wszystko, byle dać hrabiemu i hrabstwu Barcelony następcę tronu, który zasługiwałby na to miano, w przeciwieństwie do bezużytecznego pierworodnego syna jej męża, spłodzonego z byłą żoną, niezyską Elisabet.

40

Niewidoma Florinda

Przy bramie, której strzegł Oleguer, pojawiły się dwa cienie. Wartownik, z włócznią u boku i tarczą na plecach, przechadzał się nerwowo tam i z powrotem po krótkim korytarzu. Niska postać podeszła do niego, podczas gdy wyższa trzymała się w bezpiecznej odległości. Zaczęli rozmawiać szeptem.

— Jesteśmy. Załatwmy sprawę.

— Przyniosłeś to, co obiecałeś?

Niski człowieczek sięgnął do kabzy, którą ukrywał pod peleryną, i wyjął z niej uzgodnioną sumę.

— Proszę, możesz sprawdzić.

Wartownik wziął skórzany woreczek i zważywszy go w rękach, rozsypał rzemień, którym był zawiązany, a zbliżywszy się do latarni przy swojej budce, przeliczył pieniądze.

— Robię kiepski interes. Gdybym miał głowę na karku, powinienem się z tego wycofać.

— Wtedy byś ją stracił. Jeśli mnie zawiedziesz, nie spoczne, póki cię nie dopadnę.

Wartownik najwyraźniej się zreflektował.

— Dobrze już, dobrze. Jestem uczciwy i zawsze dotrzymuję słowa.

Karłowi ulżyło, gdyż w razie niepowodzenia jego planu pomoc ze strony wartownika miała kluczowe znaczenie.

Stojąca w cieniu postać czekała na koniec ich rozmowy.

— Ustalmy szczegóły, Oleguerze. Kiedy znów obejmiesz wartę, umieścisz w bramie murów, przy której was postawią, czerwoną chusteczkę.

— Mam ją tutaj. — Wartownik wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki, którą nosił na kolczudze, szmatkę w umówionym kolorze i pokazał ją Delfinowi. — A wy, zanim wejdziecie, wręczycie mi drugą część należności.

— Będzie tak, jak uzgodniliśmy.

Po tych pertraktacjach wartownik odryglował drzwi i odsunął się na bok, pozwalając wyjść na ulicę najpierw tajemniczej osobie, a potem Delfinowi.

Barcelona była kiepsko oświetlona i złoczyńcy wykorzystywali to, napadając na nieostrożnych przechodniów, którzy ośmielali się pojawiać na ulicach o tej porze, kradnąc im sakiewki i ograbiając ich ze wszystkiego.

— Pani, gdy tylko dotrzemy na przedmieścia, wykorzystamy pomysł, który przyszedł mi do głowy.

Głos Almodis brzmiał głucho spod kaptura.

— Rób, co chcesz, tylko się pospiesz. I nie bądź taki strachliwy, bo cienie nie gryzą.

— Pani, lepiej zapobiegać niż leczyć. Cmentarze są pełne śmiałków, a nie ludzi ostrożnych, a ja nie mam ochoty przy spieszać mojego spotkania z kostuchą.

Hrabina i jej karzeł szli szybkim krokiem, starając się ukrywać za występami murów i kolumnadami na placach. Im także schodzono zresztą z drogi, gdyż o tej porze nikt nie wzbudzał zaufania.

Wkrótce oddalili się od pałacu. Przeszli przed kościołem Sant Jaume i okrążywszy Cali, dotarli do Castellnou. Gdy się tam znaleźli, Delfin wyjął z torby kołatkę i potrząsając nią, zaczął iść przed Almodis. Od pory jutrzni wolno było chodzić wyznaczonymi ulicami każdemu, kto cierpiał na zakaźną chorobę,

pod warunkiem, że szedł przed nim służący, krewny lub przyjaciel, klekocąc kołatką z kości lub drewna. W tych okolicznościach wszyscy omijali ze strachem nieszczęsnych chorych, mogli więc oni podążać przed siebie z taką łatwością, jak rozgrzany nóż wchodzi w masło, i nawet gdy natknęli się na strażników, ci przezornie ich unikali z obawy, że się nie zarażą. Trąd i dżuma budziły większe przerażenie niż czające się za rzeką Ebro hordy Maurów. W ten oto sposób hrabina i karzeł przeszli przez bramę.

Na Oberży Kuternogi wisiał stoczony przez robaki drewniany szyld z nazwą lokalu, oświetlony rachitycznym mdłym światłem starej latarni. Hałaśliwe głosy podpitych klientów słychać było nawet na zewnątrz. Delfin wyczuł, że Almodis przebiegł po plecach dreszcz.

— Pani, jeśli się boicie, zrezygnujmy.

— Jeżeli szukasz pretekstu, żeby uciec, nie licz na mnie. Pamiętaj, że to ja ucięłam głowę piratowi, a ty schowałeś się do beczki po śledziach, a więc naprzód i bez sztuczek, bo oboje wiemy, kto jest kto.

Karzeł zrozumiał, że kości zostały rzucone, i postanowił sprostać zadaniu. Pchnąwszy drzwi, zrobił krok do przodu i wszedł do karczmy. Almodis podążyła za nim. Wrzawa była nie do zniesienia. Ludzie niemal krzyczeli, by się wzajemnie słyszeć, między stołami latały przekleństwa i szyderstwa. Kula wy karczmarz powstrzymał zdecydowanie od bójki jednego z gości, nie chcąc, by mu zrujnowano lokal. Gdy weszli dwaj zakapturzeni przybysze, natychmiast zapadła cisza. Karczmarz odwrócił się na pięcie. Szwagierka zapowiedziała ich wizytę, podszedł więc niezwłocznie do dziwnej pary i rzekł służalczym tonem:

— Panowie, jeśli zechcecie pójść za mną, zaprowadzę was w mniej hałaśliwe i bardziej stosowne miejsce. Mój lokal ma pomieszczenia dla ludzi z wyższych sfer.

Karczmarz, wykonawszy pół obrotu, wskazał im ręką, by poszli za nim. Almodis i Delfin tak właśnie uczynili, podążając za tym

dziwnym człowiekiem, który torował sobie drogę między stołami w tłumie podchmielonych klientów. Jego oryginalny chód przypominał ruchy statku podczas silnego sztormu.

Na zapleczu Oberży Kuternogi prowadziły schodki mające tylko trzy stopnie. Florinda dbała bardzo o sceniczną oprawę i starała się, by przybywająca z wizytą osoba była widoczna, długi korytarz oświetlał więc szereg oliwnych lamp, ona zaś pozostawała w półmroku, co sprawiało, że spotkanie miało bardziej uroczysty charakter, a jej autorytet rósł w oczach gościa. Dzięki intuicji i wyostrzonemu słuchowi zorientowała się, że para, którą prowadzi jej szwagier, jest niezwykła, i mimo dużego doświadczenia nie pozostała na ten fakt obojętna. Typowy chód męża swojej siostry rozpoznawała już z daleka. Człowiek, który uzgadniał z nią termin wizyty, musiał być niewielkiej postury, gdyż słyszała wyraźnie jego drobne kroczki. Zaskoczył ją natomiast zdecydowany krok i pewność siebie tej drugiej osoby. Kulawy karczmarz, doszedłszy do stołu, dokonał prezentacji.

— Florindo, oto szlachetne osoby, które potrzebują twoich usług. Ja się oddalam... — Zwracając się do pary, dodał: — Gdyby wasze miłości czegoś ode mnie potrzebowały, wystarczy powie dzieć.

Gdy Delfin odpowiadał, że niczego im nie brak, druga tajemnicza osoba zdążyła zająć miejsce na jednej z dwóch chyboliwych ław stojących naprzeciwko stołu wieszeczki, i zrobiła to tak bezceremonialnie, jakby była u siebie.

Florinda usłyszała skrzypienie ławy i wyczuła, że tej nocy czekają nader trudne zadanie, gdyż ze strony tej damy nie może liczyć na bojaźliwy szacunek, jaki okazują zwykle ludzie korzystający z jej porad.

Odezwała się do niej:

— Zwykle patrzę w twarz moim klientkom, jeśli więc nie macie nic przeciwko temu, chciałabym zobaczyć waszą.

— Powiedziano mi, że jesteś niewidoma. Że masz bielmo na oczach.

— Widzę tylko cienie, ale wystarczy, że dotknę palcami zarysu twarzy. Zdziwicie się, jak dokładnie potrafię ją potem opisać.

Delfin, zajmwszy miejsce, zamierzał się wtrącić, jednak hrabina mu nie pozwoliła.

— Zapłaciłam za twoje usługi, więc to ja będę decydowała, co masz robić.

Kobieta była nieco zbita z tropu.

— Pani, muszę wiedzieć, z kim mam do czynienia.

— A ja wolę, żebyś nie wiedziała. Tak czy inaczej, odsłoń twarz. Tu jest nieznośnie gorąco. Ale nie wolno ci mnie dotykać.

— Zatem niewiele wam pomogę.

— Dobra kobieto, niczego więcej nie zobaczysz. Skoro nie interesuje cię sakiewka ze złotem, którą dostaniesz, jeśli będę zadowolona, powiedz to od razu i zakończmy tę wizytę.

Florinda spostrzegła, że intratna okazja wymyka jej się z rąk i skąpstwo wzięło górę nad ambicją, by postępować tak, jak miała w zwyczaju. Nabrała w każdym razie pewności, że ta kobieta jest ważną osobą.

— Dobrze, na razie mi to wystarczy — odrzekła. — Zajmijmy się sprawą, która was tu przywiodła, ale miejcie na względzie, że skoro nie pozwalacie mi się dotykać, będę musiała wypytać was o wiele szczegółów, które wyczytałabym z waszej twarzy.

— Nie obawiaj się. Jestem na to gotowa.

— A więc przejdźmy do rzeczy. Powiedźcie mi, co was dręczy. Almodis zrozumiała, że powinna mówić bez ogródek, oznajmiła więc wprost:

— Jestem mężatką w takim wieku, gdy macierzyństwo za czyną być problemem i, powiedziałabym, zdarza się sporadycznie. Potrzebuję syna, który da mi zabezpieczenie na starość. Jeśli go nie urodzę, spadkobiercą mojego męża zostanie jego pierworodny z pierwszego małżeństwa, a mnie czeka bieda. Dlatego muszę koniecznie znaleźć się w błogosławionym stanie... Zresztą to nie mój jedyny problem.

W końcu Florinda przemówiła:

— Mamy do rozwiązania trzy problemy. Po pierwsze, musimy wiedzieć, czy ziemia, w której chcemy siać, jest nadal żyzna i czy nie leżała zbyt długo odłogiem. To dotyczy was. Potem trzeba sprawdzić, czy siewca ma dobre nasienie i na koniec, czy zasiew odbywa się o właściwej porze i przy użyciu odpowiednich środków. Dochodzimy więc do kilku wniosków. Przede wszystkim, musicie spółkować z mężem przez całą noc, podczas pierwszej pełni księżyca przez dwadzieścia jeden dni od końca okresu. Zaspokójkcie go dwukrotnie, nie leżąc pod nim, by za trzecim razem był bardziej powściągliwy, bo to przyniesie lepsze efekty. Dam wam maść, którą zastosujecie według instrukcji. Musicie zrobić to na osobności, ale łatwo sobie poradzicie. Mężczyźni w pewnych sytuacjach wierzą we wszystko, co mówi im kobieta. W końcu, przed trzecim stosunkiem, wypijecie oboje napój, który jest afrodyzjakiem i stymuluje zapłodnienie. Tym razem będziecie leżeć pod nim i obejmiecie nogami jego tors na wysokości bioder, przyciągając go do siebie. Jeśli to zrobicie, istnieje duża szansa, że zostaniecie ponownie matką. Gdyby się nie powiodło, nic już nie poradzimy, bo kiedy natura się czemuś sprzeciwia, niewiele można zrobić.

Kobieta wstała i poruszając się bardzo pewnie, jak na osobę niewidomą, poszła w głąb komnaty, gdzie obok półek pełnych flakonów i gąsiorów stał stół z fiolkami i alembikami. Krzątała się dłuższą chwilę, podgrzewając miksturę w piecyku na małe węgielki i wypowiadając dziwne zaklęcia. Potem wypatroszyła rybę, której intensywny zapach rozszedł się po komnacie, i wyjęła z jej trzewi ikrę, dodając do niej przyprawy z różnych słoików: seler, gałkę muskatołową, daktyle, goździki, trufle, czosnek i olej z lnu. Roztarta to wszystko w moździerz i włożyła gotową maść do niewielkiego pojemnika, który zamknęła zatyczką z wosku i zalakowała. Potem, wzięwszy inne składniki, sporządziła napój. Skończywszy, wróciła z dwoma niewielkimi słoikami do Almodis, która obserwowała jej poczynania.

— Oto, co powinniście zrobić. Odwiedźcie waszego męża

w miejscu, które najbardziej wam odpowiada. Odmówicie jednak sypiania z nim przez kilka nocy, aż wzbudzie jego gorące pożądanie. Znajdźcie jakąś wymówkę i postawcie mu warunki. Niech wie, jaką otrzyma nagrodę w dniu, gdy je spełni. Gdy nadejdzie ten dzień, oddacie mu się trzy razy. Podczas dwóch pierwszych stosunków, jak już mówiłam, macie nie leżeć pod nim. Po drugim razie znajdziecie jakiś pretekst, by zrobić przerwę. Wtedy zaproponujecie mu wywar, który wam daję. To słodkie wino z szafranem, bazylią, kolendrą, jałowcem i selerem. Zapewnicie go, że ten napój wzmocni jego potencję. Wy tymczasem oddalicie się na chwilę i dyskretnie natrzecie sobie krocze maścią z drugiego słoika. Tylko ich nie pomylcie. Kiedy wróćcie do męża, wchodząc w was po raz trzeci poczuje intensywniejszy niż kiedykolwiek zapach kobiety. Wyjaśniałam wam już, w jakiej macie być pozycji. Kiedy naprze na was jak taran, zaczniesz również działać maść, którą posmarujecie sobie krocze, i im mocniej będzie naciskał, tym mniejszy poczuje opór. Wytrysk będzie opóźniony, ale bardziej intensywny, i nie pozwólcie, by choć jedna kropla wyciekła poza naczynie, którym natura obdarzyła kobietę. Zrozumieliście mnie?

Almodis, położywszy przed Florindą na stole sakiewkę pełną monet i obiecawszy, że jeśli jej rady, maść i napój zadziałają, otrzyma drugie tyle, okryła się peleryną i wyszła. Delfin podążył za nią, jedną ręką potrząsając kołatką z kości, a w drugiej niosąc woreczek z miksturami, które wieszczka sporządziła dla Almodis.

41

Pożegnania

Zbliżał się dzień wyjazdu i Marti miał jeszcze do wypełnienia ostatnią misję: poczuwał się do obowiązku, żeby pożegnać się z matką. Dosiadł najlepszego konia, umieścił na jego grzbiecie juki pełne prezentów, wiedząc, że sprawi nimi przyjemność swoim bliskim, i wyruszył w kierunku *masii*. Jego wierzchowiec pokonał drogę w cztery dni, przemierzając codziennie osiem mil *. Ujrzawszy ze wzgórza rodzinną posiadłość, poczuł radość w duszy i wiedział, że wypełnił ostatnią wolę swego ojca. Zamiast ugoru zobaczył żyzne pola i krzątających się ludzi. Dla jego matki pracowało teraz kilka rodzin. Zakup bogatego w wodę sąsiedniego gospodarstwa sprawił, że ziemie stały się bardziej żyzne i nizina była barwna jak planeta malarza. Zauważywszy Martiego, Sultana, który natychmiast go poznał, pospieszył mu na powitanie i radosnym szczeniem obwieścił wszystkim, że jeździec, który przybywa ze wzgórza, to ich młody pan. Ludzie wyszli na drogę, a jego matka, usłyszawszy nowinę, stanęła w drzwiach *masii*, wycierając ręce w ścierkę. Marti spiął piętami swego szlachetnego rumaka i wjechał na środek podwórka.

* W tym przypadku mila (legua) to ok. 5,5 km.

Zeskoczywszy z konia, bez namysłu wziął w objęcia drobną postać matki i mocno ją uściśnął.

Zasypały go słowa powitania, gratulacje i wyrazy wdzięczności zacnych ludzi. Starzy służący, Mateu i Tomasa, chlubili się przed nowymi dzierżawcami zażyłością ze swoim panem i to oni opowiadali o postępach w uprawie ziemi i o tym, jakim błogosławieństwem jest dostatek wody. Potem, gdy opadły emocje, Emma i Marti zostali sami przy suto zastawionym stole.

— A więc, mój synu — powiedziała kobieta, wyraźnie za troskana — wyruszasz w daleką podróż.

— Pójdę za głosem przeznaczenia. Chcę poznać świat, który mnie otacza, tak jak wy znacie klepisko tego domu.

Emma nie potrafiła ukryć uśmiechu.

— Od dziecka zawsze o tym myślałeś.

Przesunęła ręką po czole, jakby chciała odpędzić złą wróżbę, i zmieniła temat.

— Basilia wyszła za mąż i jest już matką. W zeszłym tygodniu widziałyśmy się na jarmarku w Besalu.

W pamięci Martiego ożyło nagle mgliste wspomnienie czegoś, co zdarzyło się bardzo dawno temu.

— Aż tak daleko pojechaliście, matko?

— Płacą tam wyższe ceny niż na targach, poza tym jarmarki są bezpieczniejsze i trwają kilka dni.

— Czy ona jest szczęśliwa?

— Na to wygląda.

— Cieszę się. Takich wspomnień z dzieciństwa nigdy się nie zapomina. Miłość to co innego.

— Doświadczyłeś jej już?

— Możliwe.

— Mogę wiedzieć, kim jest twoja wybranka?

— Jeszcze nie. Wszystko w swoim czasie.

— A jednak wyruszasz w długą podróż.

— To nie stanowi przeszkody, matko. Czas i odległość wy stawiają uczucia na próbę. Wiatr gasi nikły płomień, ale podsyca mocny. Tak samo jest z miłością.

— Uważam inaczej. Miłość sprawia, że dwoje ludzi chce być ze sobą bez względu na wszystko. Jeśli wolisz wyjechać niż być z osobą, którą kochasz, twoje uczucie nie jest do statecznie mocne.

— Matko, dopóki nie pozbędziecie się goryczy, która tkwi w waszym sercu, nie zaznacie szczęścia.

— Przez wiele lat byłam samotna i w złym momencie porzuciłam wszystko dla twojego ojca.

— Dzięki niemu mogę wam teraz pomóc i czynię to.

— Wolałabym żyć w niedostatku i zawsze mieć męża przy sobie, jak inne kobiety.

Marti nie chciał dyskutować. Zawsze gdy rozmawiał z matką o ojcu, dochodziło między nimi do sprzeczki, a nie był po temu odpowiedni moment.

Spędzili dzień razem, oglądając ulepszenia, jakie wprowadzono w gospodarstwie za pieniądze, które przysyłał. Następnego dnia po obiedzie wyruszył do Barcelony z goryczą w ustach i poczuciem, że żegnają się na długo.

— Wyjaśnij mi, przyjacielu, skąd ta radość na twojej twarzy? — spytał Martiego archidiakon Llobet, gdy chłopak przyszedł pożegnać się z księdzem po powrocie do Barcelony.

— Zbyt dobrze mnie znacie, niczego nie mogę przed wami ukryć. Eudaldzie, zakochałem się w najpiękniejszej istocie, jaką w życiu spotkałem. I to z wzajemnością.

Sługa Boży przyglądał mu się drwiąco.

— Kimże jest ta szczęśliwa dama, o której śniesz?

— To Laia, córka doradcy Montcusiego.

— Aj, przyjacielu! Dobrze go znam i wiem, że nigdy nie pozwoli, by parweniusz odebrał mu córkę. Wierz mi, podczas twojej podróży czas i odległość sprawią, że spojrzysz na wszystko z innej perspektywy. Ciesz się tym, co masz, i nie kuście losu, który na razie ci sprzyja.

— Nie zgadzam się. Moje uczucia są trwałe, więc planów nie zmienię — oznajmił gniewnie Marti i wyszedł.

Nadszedł wreszcie dzień, gdy Marti był gotowy stawić czoło swemu przeznaczeniu.

Statek był ukończony i czekał na morzu, aż różni urzędnicy dopuszczą go oficjalnie do żeglugi. Marti pytał Jofrego, ile minie czasu od chwili, gdy dowie się, co ma załadować na statek, do momentu podniesienia kotwicy. Jofre miał ustalić kurs, gdy będzie wiedział, do których portów ma zawinąć, zależnie od tego, co Marti zaplanuje podczas swej podróży. Po uzgodnieniu wszystkich szczegółów postanowili porozumiewać się za pośrednictwem zaprzyjaźnionych z Jofrem kapitanów, którym Marti miał przekazywać wiadomości, kontaktując się z nimi w różnych portach.

Teraz pozostało już tylko pożegnać się z Laią i znaleźć statek żeglugi przybrzeżnej odpowiadający jego potrzebom. Jofre, znający wszystkich marynarzy, którzy pływali po Morzu Śródziemnym, wyszukał właściwą jednostkę. Był to statek o pełnomorskiej sylwetce, który musiał śmigać jak wiatr. Służył do transportu niewielkich ładunków, wymagających szybkiego przewiezienia. Jego małą ładownię wypełniały w całości zapasowe żagle. Kapitan był Grekiem, starym wilkiem morskim o nieco małym wyglądzie, pękatym jak beczka i o koślawych nogach, które przywierały do desek pokładu jak macki ośmiornicy. Przepłynął w życiu wszystkie morza i potrafił wyczuć sztorm na długo, zanim się rozpętał. Nazywał się Basilis Manipoulos i dowodził statkiem „Stella Maris”. Pierwszego września 1053 roku wypłynęli z Barcelony.

Lizystrata

Obozowisko Ramóna Berenguera, listopad 1053 roku

Budząca lęk papieska ekskomunika została nałożona przed końcem roku i sprawa zapewnienia hrabstwu spadkobiercy stała się dla Almodis pilniejsza niż kiedykolwiek. Tak więc, mając dość nieobecności męża, zaplanowała podróż, zdaniem wielu niedorzeczną.

Obozowisko znajdowało się na wzgórzu nad rzeką Ebro. Ermengol d'Urgell przybył na wezwanie swego kuzyna Ramóna Berenguera I z Barcelony, aby pomóc mu w walce przeciw kalifowi Muhammadowi II z Tortosy, który odmawiał zapłacenia należnych danin. Oddziały katalońskie były liczne i najślawniejsi rycerze brali udział w wyprawie, która nie tylko miała przynieść im zyski, ale stanowiła zemstę na muzułmanach za to, że przed rokiem najechali ziemie Penedes i zniszczyli miasto Manresa. Morze namiotów sięgało od wzgórza do brzegów rzeki. Hrabia miał zamiar podejść pod mury Tortosy i zademonstrować potęgę swego wojska i machin wojennych, by kalif uznał, że bardziej mu się opłaca zawrzeć honorowy pokój i zapłacić daniny niż przyglądać się bezradnie, jak jego miasto obracane jest w ruinę.

Do obozowiska zbliżała się niewielka grupa jeźdźców. Hrabina Almodis podróżowała ze swą damą dworu Lionor i drobnej postury powiernikiem w karocy zaprzężonej w sześć koni, z woź-

nicą na koźle i forysiem dosiadającym na oklep pierwszego wierzchowca. Ciężki powóz otaczała eskorta złożona z ośmiu jeźdźców. Hrabina, odsunawszy skórzaną zasłonkę zakrywającą jedno z okien, wychyliła się i spytała rycerza, którego strzemię było na wysokości drzwiczek:

— Mój zacny Gilbercie, jak daleko jeszcze do obozowiska?

D'Estruc, który przeżył w służbie hrabiny tyle przygód i trudnych chwil, został mianowany przez Ramóna Berenguera dowódcą jej straży.

— Pani, widać już chorągwie. Jadąc w tym tempie, przed zmierzchem dotrzemy na miejsce.

— Powiedźcie woźnicy, żeby popędził konie. Chcę przed zmrokiem zrobić mężowi niespodziankę.

— Wedle rozkazu, hrabino.

Almodis opuściła zasłonkę i usłyszawszy trzask bicia nad głowami koni i krzyki woźnicy, wiedziała, że jej polecenie zostało wykonane.

Wartownik przy głównej bramie, zgodnie z regulaminem, krzyknął ostrzegawczo i oficer straży wszedł natychmiast po schodkach na podwyższenie, aby zobaczyć, kto zbliża się do obozu. Osłoniwszy oczy lewą ręką, dostrzegł karocę otoczoną uzbrojonymi ludźmi. Wytężywszy wzrok, ujrzał na koźle i na włócznie jednego z rycerzy proporce z barwami hrabstwa Barcelony.

— Straż, formować szyk! — zawołał z góry.

Żołnierze, którzy właśnie odpoczywali, wybiegli pospiesznie z namiotów, nie mając nawet czasu zapiąć hełmów, kolczug, napierśników i napleczników. Każdemu coś spadało. Jednemu zwisały nagolenice, bo nie zdążył ich zawiązać. Gdy grupa jeźdźców dotarła do bramy obozu, żołnierze stali już w szyku z włóczniami przy boku. Kapitan eskorty Almodis i dowódca oddziału wymienili regulaminowe formułki.

— Czołem, straże!

— Kto jedzie?

— Hrabina Barcelony, dona Almodis z Marchii, i jej eskorta.

— Zechciejcie, wasze miłości, zaczekać, aż spełnią swój obowiązek i sprawdzę waszą tożsamość.

Kiedy oficer szykował się, by zejść z wieżyczki obserwacyjnej, Almodis wychyliła się z okienka powozu i oznajmiła:

— Przyjrzyjcie mi się dobrze i dajcie mi zarazem okazję, bym was zobaczyła. Chcę ujrzeć twarz oficera, który po tak wyczerpującej podróży opóźnia moje spotkanie z mężem, hrabią Barcelony.

Oficer oniemiał i nie ruszywszy się z miejsca, rozkazał, bardziej krzyżąc, niż mówiąc:

— Otworzyć bramy! Niech zabrzmiały bębny i trąbki na cześć Almodis z Marchii, hrabiny Barcelony!

Zgodnie z tradycją rzymską i wizygocką, ogromne namioty Ramóna Berenguera oraz jego kuzyna, Ermengola d'Urgell, stały na środku obozu, dokładnie na skrzyżowaniu dwóch głównych dróg. Oba były okrągłe i miały stożkowate dachy, ale w tylnej części namiotu hrabiego Barcelony znajdował się dodatkowo odgradzony grubą kotarą z adamaszku kwadratowy salon. W przedsiönku stał wielki stół, przy którym hrabia odbywał spotkania z dowódcami, szeroki pięcioczęściowy parawan zasłaniający jego polowe łóżko, a z boku nieduży ołtarz, gdzie świętowano zwycięstwa i proszono niebiosa o pomoc przed rozpoczęciem walki.

W tym momencie obaj kuzyni byli w towarzystwie swych inżynierów, którzy pokazywali im rozłożone na stole pergaminy ze szczegółowymi rysunkami machin wojennych i trzech wież oblężniczych.

Dźwięk trąbek i bębnow obwieścił, że jakieś niecodzienne wydarzenie zakłóciło rutynę monottonnych dni wyczekiwania.

Hrabia wezwał Gualberta Amata, który natychmiast się przed nim stawił.

— Zobaczcie, co się dzieje, i dlaczego biją w bębny o tak dziwnej porze.

_ Jak każecie, panie.

Amat wyszedł, by wypełnić jego rozkaz, a dwaj kuzyni wrócili do swego zajęcia.

Majordom, usłyszawszy hałas, wychylił się z namiotu swego pana i zobaczył Almodis, która, nie czekając, aż foryś postawi pod drzwiczki podnózek, wysiadała z powozu. Przytknąwszy palec do ust, nakazała mu, by się nie odzywał.

Wyraz zdumienia na twarzy szlachcica rozbawił hrabinę.

— Mój zacny Amacie, będę wam dozgonnie wdzięczna, jeśli mi pomożecie i zachowacie milczenie. Wiecie jako dobry żołnierz, że zaskoczenie to połowa zwycięstwa. Proszę was nato miast, byście zajęli się moimi ludźmi, zapewnili im odpoczynek, żywność i paszę dla koni.

Zdumiony Amat, nie mogąc sprzeciwić się woli hrabiny, pozdrowił Gilberta d'Estruca, obserwującego z rozbawieniem całą scenę z wysokości siodła, po czym przystąpił do wypełniania otrzymanych rozkazów.

Almodis weszła bez żadnych przeszkód do namiotu męża. Zanim dotarła do kotary, która oddzielała salę posiedzeń od reszty pomieszczenia, przyglądała włosy przed stojącym w przedsiönku lustrem, otrzepała z kurzu suknię i obciągnęła ją, by przesmyk pomiędzy jej wydatnymi piersiami wyglądał kusząco. Głosy dochodzące z wnętrza namiotu wskazywały, że hrabia będzie zaskoczony czekającą go niespodzianką. Wypięła pierś i wypuściła powoli powietrze, po czym rozsunęła kotarę. Gdyby nawet podróż była bardziej męcząca i nieprzyjemna, wyraz zdumienia na twarzy męża i wszystkich obecnych zrekompensowałyby z nawiązką jej trudy.

Zapadła niezręczna cisza. Potem, jakby na rozkaz, inżynierowie zebrali swoje plany i zaczęli wychodzić, zdając sobie sprawę, że hrabina nie odbyła długiej i żmudnej podróży, by spotkać się z nimi.

Para hrabiowska pozostała sama.

— Moja kochana, nie wiem, czy to się dzieje naprawdę, czy mój zaślepiony umysł śni piękny sen.

— Nie jestem zjawą, mój mężu. Istnieję.

Ramón podszedł do niej i wzięwszy ją w objęcia, poprowadził do łóża.

Kiedy zamierzał się rozebrać, Almodis położyła mu na piersi prawą rękę i powstrzymała go.

— Nie teraz, Ramónie — szepnęła. — Jest pora na rozmowę i pora na działanie, a ta jeszcze nie nadeszła.

— Ale...

Almodis musnęła delikatnie palcami wargi męża i oznajmiła:

— Wszystko w swoim czasie. Przybyłeś tu w jakimś celu, prawda? Jeśli mnie kochasz, przywieź mi daniny z Tortosy, a tej samej nocy będę twoja jak nigdy dotąd.

CZEŚĆ TRZECIA

Wschód i Zachód



Podróż Martiego Barbany

Marti, siedząc w osłoniętej brezentem nadbudówce na rufie statku, wspominał wydarzenia sprzed wyjazdu, od którego minęło już pięć miesięcy. Morze było spokojne i statek okrążył już cypel włoskiego buta. Przepływając przez Cieśninę Messyńską, młodzieniec miał szczęście podziwiać o świcie fatamorganę i pomyślał, jakim cudem jest jego życie. Kto powiedziałby mu dwa lata wcześniej, że będzie przeżywał takie chwile, zamiast jeździć wozami na targowiska do sąsiednich miasteczek, by sprzedawać płody rolne i zwierzęta hodowlane z *masii* swojej matki? Odwiedził już dotąd dziewięć portów i w każdym dokonywał transakcji, korzystając z rad Barucha co do ich legalności i mając zawsze do pomocy współników Żyda z Barcelony, którzy informowali go, czym najlepiej handlować, zważywszy na trasę rejsu, w który miał wypłynąć statek pod dowództwem jego przyjaciela Jofrego. Nie zapominał nigdy o ubezpieczeniu, stosując się dokładnie do zaleceń mądrego bankiera. W niektórych portach, korzystając z tego, że rozładunek i załadunek statku trwał kilka dni, zapuszczał się w głąb lądu, mając w ten sposób więcej okazji do robienia interesów. Teraz płynął właśnie w kierunku Cypriusa *. Wracając pamięcią do dnia, gdy po raz ostatni, nie widząc się już z Laią, dostał od niej wiadomości.

Dawna nazwa Cypru, pochodząca od kopalni miedzi.

Czekał wtedy zdenerwowany w bramie domu Adelaidy, żywiąc nadzieję, że zobaczy cudowną sylwetkę swej ukochanej. Nagle na ulicy pojawiła się zakapturzona kobieta, rozglądająca się niespokojnie na boki i bojąca się najwyraźniej, że ktoś ją zauważy. Przyjrzawszy się uważniej, rozpoznał chód Aixy, która przyszła na spotkanie bez swojej pani. Wciąż brzmiały mu w uszach jej słowa: „Moja pani nie może przyjść. W domu coś wiedzą i myślę, że posłali kogoś za mną. Przynoszę wam list”.

List od Lai był wymięty, bo Marti czytał go tyle razy, że znał już jego treść na pamięć. Raz jeszcze wyjął go z sakwy, którą nosił przy pasie, i zaczął czytać po raz kolejny.

25 sierpnia 1053 roku

Najdroższy Marti!

To być może moja ostatnia wiadomość. Nie wiem, co się wydarzyło, ale ojczym uwięził mnie w domu, który — choć przypomina złotą klatkę — jest dla mnie jak loch. Dlatego właśnie, wiele ryzykując, wysyłam Aixę, by wręczyła Ci ten list. Nie muszę mówić, że gdyby została zdemaskowana, drogo by za to zapłaciła. Wyruszasz w podróż, a ja nie będę mogła się z Tobą pożegnać. Mam przeczucie, że to wszystko dzieje się z Twojego powodu. Nie pytajcie, skąd wiem, ale jestem pewna, że mój ojczym coś knuje. Nic Ci nie powie, bo jesteś mu potrzebny, ale dobrze go znam i wiem, że w jego głowie rodzi się jakiś spisek, który dotyczy Ciebie.

W ciągu tych miesięcy, gdy miałam szczęście Cię spotkać, dowiedziałam się, czym jest miłość. Moje życie należy do Ciebie i choćby zamknęli mnie w klasztorze, co może się zdarzyć, nikt nie wyrwie Cię z mego serca. Jeśli po Twoim wyjeździe i podczas Twej nieobecności rozluźnią mi więzy, będzie to bez wątpienia znak, że intuicja mnie nie zawodzi.

Z każdego miejsca, gdzie się zatrzymasz, przysyłaj mi wiadomości za pośrednictwem kapitanów statków płynących do Barcelony. Wiem od ojczyma, że ludzie morza są bardzo solidarni, bo wzajemnie się potrzebują. Twój sługa Omar przekaze listy Aixy, a ona mnie. Aixy już mu powiedziała, że gdyby nie mogła przyjść po nie do domu mojej starej piastunki Adelaidy, ma ich nie oddawać nikomu innemu. Jeśli stanie się coś złego, Omar zatrzyma listy. Ja z kolei, gdy tylko nadarzy się okazja, napiszę Ci, co u mnie. Moje listy będą czekały na Ciebie, w miarę możliwości w jednym z portów, do których zawiniesz. Omar się tym zajmie. Nie martw się o mnie. Nie grozi mi nic gorszego niż zesłanie do któregoś z klasztorów w okolicach Barcelony.

Widzę z mego okna mewy i jerzyki, jak szybują ku niebu i lecą, dokąd chcą. Co uczyniłam, że znacę mniej od nich? Gdybym mogła, zjawiłabym się u Twego boku szybciej, niż zdążyłabym o tym pomyśleć.

Zawsze będę na Ciebie czekała, mając codziennie w sercu Twój obraz.

Kochająca Cię dozgonnie,
Laia

Marti schował swój skarb do sakwy i ruszywszy wolnym krokiem do kajuty kapitana, szedł po trzech stopniach, które dzieliły ją od pokładu, i zastukał do drzwi. Z wnętrza kabiny odpowiedział ochrypły głos Basilisa:

— Kto tam?

— To ja, kapitanie, Marti Barbany.

Stary Manipoulos od pierwszego dnia darzył szczególną sympatią tego śmiałego młodzieńca, który, mimo młodego wieku, miał maniery i wygląd szlachcica.

Marti słyszał, jak Grek podchodzi powoli do drzwi i je otwiera.

Pojawiła się jego brodata twarz i po chwili zaprosił gościa do środka.

— Przeszkadzam, kapitanie?

— Bynajmniej. Wejdźcie. Cisza na morzu mnie irytuje. Wolę, gdy jest nieco bardziej wzburzone. Praca na pokładzie wszystkim dobrze robi. Ludzie nie mają czasu na kłótnie, muszą zajmować się żaglami i takielunkiem, dzięki temu nie rozmyślają i nie tęsknią za domem. Zauważcie, że po pracowitym dniu nigdy nie trzeba nikogo karać. Za to gdy brak im zajęcia, następnego dnia bosman musi brać do ręki bicz z siedmioma rzemieniami, bo dochodzi do bójek na noże.

— Właśnie o tej ciszy chciałem z wami pomówić.

Grek wskazał Martiemu krzesło i podał mu cynowy kubek z likierem miętowym, wytwarzanym na wysepce w archipelagu Cykladów, z której pochodził.

— Słucham was, Marti.

— Kiedy dopłyniemy do Cypriusa, kapitanie?

Basilis pogładził z namysłem podbródek.

— Trudne pytanie. Morze jest kapryśne jak narowista klacz. Kiedy jego kochanek wiatr je porzuca, staje się leniwe z tęsknoty i wszystko, co po nim pływa, nieruchomieje. Zdradzę wam jednak, że o ile nie myli mnie przecucie, ta cisza wkrótce się skończy i o zmierzchu, a najpóźniej o świcie, powieje bryza, która wyrwie nas z letargu.

— A zatem?

— Jeśli moja przepowiednia się sprawdzi, najpóźniej w środę o świcie zobaczymy Paleaphapos i zacumujemy przed zamkiem Famagusta, o ile będziemy mieli szczęście znaleźć tam po południu odpowiednie miejsce.

— Jak długo się tam zatrzymamy?

— Nie potrafię powiedzieć. Muszę spotkać się w Nikozji z ważnymi osobami, których czas jest cenny i niełatwo się do nich dostać.

— Wykorzystam więc ten postój. Chcę pojechać do kopalni miedzi.

— Dobrze zrobicie, handlując tym szlachetnym metalem. Jest bardzo poszukiwany i łatwy w transporcie. Już w czasach apostołów Pawła i Barnaby wydobywali go Rzymianie. W dodatku mogę dać wam adres kupca, który mieszka w Pelendri i handluje metalami.

— Będę wam ogromnie wdzięczny. Trzeba się spieszyć, bo w każdej chwili mogą pojawić się piraci i szlaki morskie staną się bardzo niebezpieczne.

— A dokąd chcecie popłynąć z Cypriusa?

— Na Maltę.

— Potrebujecie więc innego statku. Ja muszę wyruszyć do portu w Sydonie, na Wschodzie.

— Nigdy was nie zapomnę, Basilisie. Wiedźcie, w razie potrzeby, że w Barcelonie macie przyjaciela.

Greki, wzięwszy pergamin, pióro i kałamarz z atramentem, zaczął pisać list polecający do Cypryjczyka Theopanos Avidisa, który mieszkał w okolicach Pelendri. Przeczytawszy go na głos, aby Marti znał jego treść, zwinął pergamin i opieczętował go pierścieniem.

— Wybaczcie, ale muszę zrobić to w ten sposób. Tylko tak mój przyjaciel będzie wiedział, że to ja was polecam.

Od tego momentu dni dłużyły się niemiłosiernie i podróż zdawała się trwać wiecznie. Marti pragnął jak najszybciej zaplanować trasę rejsu i wrócić do Barcelony, aby zacząć realizować swe ryzykowne przedsięwzięcie, ale musiał najpierw zadbać o to, by wykorzystać do maksimum całą pojemność ładowni i każdą milę podróży swego statku. Handel kwitł podczas wojny i pokoju. Statki docierające z portów śródziemnomorskich do Katalonii przywoziły jedwab, brokat, kość słoniową, a często niewolników, którymi handlowali, jak dobrze wiedział, wyłącznie Żydzi, a zabierały żelazne okucia, uprzęże, zbroje, sukno z Tuluzy i skóry z Kastylii. Jednakże układając się co noc do snu, Marti czuł przyspieszone bicie serca. Coś mu mówiło, że wkrótce ogromnie się wzbogaci, a Famagusta będzie miejscem, gdzie wypełni się jego przeznaczenie.

Almodis zaskoczyły krzyki, które słyhać było przy wejściu do namiotu. To Delfin sprzeczał się swym piskliwym głosem z dowódcą straży, który nie chciał go przepuścić, twierdząc, że nie otrzymał stosownych rozkazów i że o tej porze pani odpoczywa. Od miesięcy w obozie panował niezwykle spokój, gdyż większość wojska wyruszyła przygotować atak na Tortosę.

Na czele oddziałów stanął Ramón Berenguer, odziany w galową zbroję i otoczony przez swych kapitanów. Towarzyszył mu jego kuzyn, Ermengol d'Urgell. Almodis pamiętała zaskakująco dokładnie dzień jego wyjazdu. Rano, po mszy na głównym placu, którą odprawił Odó de Montcada, biskup Barcelony, pomagała hrabiemu, w zaciszu jego komnaty i przy asyście dwóch giermków, włożyć bojowy rynsztunek. Na koszulę wdział pikowaną kamizelkę, by nie ocierały go metalowe ogniwa kolczugi. Druściana siatka ochraniała również jego nogi. Gdy był już ubrany, przeszli wszyscy do salonu w ogromnym namiocie, by jego rycerze i słudzy włożyli na niego zbroję. Najpierw dopasowali mu napierśnik i naplecznik, potem naramienniki, naręczaki i nalołkce, nagolenice chroniące łydki, oraz nabiodrka. Później założyli naudniki, osłaniające z obu stron mięśnie górnych części nóg, nakołanniki na zawiasach, które umożliwiały zginanie kolan,

trzewiki i ostrogi. Na koniec Guillem de Muntanyola i Guerau de Cabrera podali mu hełm ze złotą koroną ozdobioną pióropuszem z czerwono-żółtych piór. Były to barwy hrabstwa, występujące w herbie rodu Berenguerów. Hrabia Barcelony wyglądał bez wątpienia imponująco. Tak przynajmniej sądziła Almodis. Przy wejściu do namiotu czekali na niego giermkowie, trzymając ognistego rumaka, który rżał z podniecenia, przeczuwając, że zbliża się bitwa. Miał założone siodło z łąkiem, pancerz, pas pod brzuchem i naczółek. Obok namiotu stali także czterej służący, którzy mieli walczyć, gdyby zaszła potrzeba, u boku hrabiego, i dostarczyć mu zapasowego konia z odpowiednim ekwipunkiem. Byli wyposażeni w krótkie miecze i lekki rynsztunek, aby mogli pomóc swemu panu podnieść się z ziemi, gdyby został powalony, gdyż leżący rycerz, który z powodu ciężaru swej zbroi nie mógł się podźwignąć i dosiąść wierzchowca, stawał się dla wroga łatwym łupem.

Almodis, która w ciągu tych kilku tygodni nie pozwalała ukochanemu na cielesne zbliżenia, pamiętała, co powiedział, zanim dosiadł ogromnego rumaka.

— Pani, zdobędę Tortosę i oddam ci należne daniny. W przeciwnym razie przyniosą mnie martwego na tarczy.

Almodis zdjęła wtedy demonstracyjnie chustę z ramion i na oczach wszystkich ofiarowała ją hrabiemu. Ten zawiązał ją sobie na przedramieniu i z pomocą giermków dosiadł szlachetnego rumaka, który — wykonując zręczne wolty i rżąc dziko, jakby rwał się do bitwy — stanął na czele dzielnych oddziałów.

Ramón wyruszył w drogę w otoczeniu swoich dowódców, a za nimi podążała imponująca armia, zdolna samą swoją obecnością wprawić w przerażenie obrońców najlepiej ufortyfikowanego miasta. Na początku szły szwadrony kawalerii hrabstw Barcelony i Urgell, potem grajkowie, których instrumenty — trąbki, mauretańskie piszczałki, kotły, bębny i rogi — wyznaczały rytm marszu. Za nimi byli piechurzy. Każdy miał obwiązane rzemieniami skórzane ochraniacze na nogawkach, tarczę na plecach, torbę z prowiantem u boku i kolczugę podbitą tkaniną, aby się

nie rozgrzewała. Niektórzy mieli na głowach szyszaki z utwardzonej skóry, ale większość była w hełmach z metalową osłoną nosa. Ich uzbrojenie stanowiły krótkie miecze i włócznie. Dalej maszerowali cyrulicy, medycy, znający się na upuszczaniu krwi, nacinaniu skóry i sporządzaniu maści na rany, oraz tragarze z noszami. Na końcu, jako tylna straż, kroczyli łucznicy z hakami na plecach i kołczanami pełnymi strzał oraz procarze z procami i torbami wypchanymi okrągłymi kamieniami. Pochód zamykały oddziały pomocnicze, zaspokajające typowe potrzeby każdej armii: kucharze, cieśle, specjalizujący się w budowaniu wież oblężniczych i katapult, saperzy, konstruktorzy mostów, umożliwiających przeprawy przez rzeki etc. Potem, bardzo blisko, ale w pewnej odległości, szedł nieunikniony tłum ludzi, którzy podążają za wojskiem jak minogi za rekinem, aby żyć na jego koszt: pokątni handlarze, magowie, czarodzieje, znachorzy, szulerzy, żydowscy lichwiarze i całe mnóstwo kobiet, zarówno żon żołnierzy, mających nawet ze sobą dzieci, jak i prostytutek o obwisłych piersiach, które roznosiły choroby, dostarczając rozrywek obozującym żołnierzom.

Od tego dnia minęły już trzy miesiące, gdyż oddział wyruszył w drogę w listopadzie 1053 roku.

Wojsko dotarło w okolice Tortosy i rozbiło tam imponujący obóz, aby zniechęcić przeciwnika do walki. Namioty ciągnęły się aż po horyzont. Obrońcy miasta obserwowali je z blank murów, przewidując, że czeka ich zguba. Emir przekazywał informacje królowi, a ten ubolewał, że z powodu konfliktu z kuzynem z Leridy nie może dostać posiłków. Nie mógł się zdecydować, czy bronić miasta, czy poddać je, by uniknąć większych strat. Zanosilo się na długie i krwawe oblężenie, a wiedział z doświadczenia, że im większy opór napotka nieprzyjaciół, tym bardziej będzie się mścił, gdy miasto upadnie. Hrabia Barcelony cieszył się legendarną sławą i Muhammad II radził się jak zwykle astrologów i wróżbitów, co ma robić. Zaczęły się już wzajemne zaczepki. Na ciskane z katapult kamienie obrońcy miasta odpowiadali gradem strzał, które utrudniały

atakującym zbliżenie się do murów. Na decyzję króla wpłynęły dwa czynniki. Pierwszym było pojawienie się na polu bitwy ogromnych trzypoziomowych wież oblężniczych, zaopatrzonych w koła i osłoniętych niewyprawionymi zwierzęcymi skórami, które nasączono wodą, aby były odporne na wylewaną z murów gorącą smołę. U dołu każda z machin miała taran służący do atakowania bram, wyżej ukryci byli żołnierze, którzy wspierali uderzenie, a na samej górze znajdował się niewielki opuszczany pomost stanowiący zarazem tarczę ochronną i zaopatrzony od spodu w żelazne zęby, które robiły wylom w murze. Wieże, ciągnięte przez muły, zbliżały się od strony rzeki i mogły pomieścić trzystu wojowników. Drugim czynnikiem, który brał pod uwagę Muhammad II, było przekonanie, że saperzy Berenguera, specjaliści od prac podziemnych, uszkodzili jeden z wielkich zbiorników wody w Tortosie i jej poziom najwyraźniej się obniżał.

Decyzję króla przyspieszył koszmar, który nawiedził go pewnej nocy. Wezwał do siebie głównego astrologa i podzielił się z nim swymi obawami. Przyśniło mu się, że zboczony krwią księżyc tonął w zbiorniku, z którego wypływała czerwona woda, zatapiając ulice i przelewając się przez mury.

Astrolog wahał się przez chwilę, wiedząc, że Muhammad ma zwyczaj zabijać posłańców, którzy przynoszą złe wieści. Znalazł natychmiast sposób, aby przedstawić sprawę w korzystnym dla siebie świetle i wskazać korzyści wynikające z trudnej sytuacji.

— Panie, niebiosy przekazują wam wyraźny sygnał, co powinniście uczynić, aby za kilka lat okazało się, że podjęliście trafną decyzję. Ten sen oznacza, że w waszym królestwie rządzi zdrada. Wszystko zalewa czerwona fala intryg i jeśli im nie zapobiegacie, wróży to wielkie nieszczęścia. Zawrzyjcie pokój z wrogiem, spłaćcie należne daniny, korzystając z pieniędzy rodzin, które nie są wam wierne, zarekwirujcie majątki zbuntowanych poddanych i wydajcie ich dzieci jako zakładników. W ten sposób upieczecie dwie pieczenie na jednym ogniu i uwolnicie się na wiele lat od ambitnych potomków niechętnych wam szlachty. Zyskajcie na czasie i pozbądźcie się na razie strasznego wroga.

Rady astrologa ostatecznie zadecydowały. Wkrótce wyszedł za mury z białą flagą i zielonym sztandarem z czerwoną salamandrą — herbem miasta Tortosy — szwadron kawalerii, towarzysząc emirowi, który wiozł instrukcje króla *taify*, by ustalić warunki spotkania obu władców i kapitulacji.

Ramón Berenguer żądał bardzo dużo. Domagał się corocznej daniny w wysokości trzydziestu tysięcy *mancusos* w złocie, dwustu niewolników po poddaniu miasta i stu dziewcząt do dyspozycji jego dowódców.

Emir, przekazawszy swemu panu żądania Barcelończyka, wrócił, by uzgodnić szczegóły kapitulacji. Muhammad II, stosując się do rad swego astrologa, pozbył się wewnętrznych wrogów, zarekwirował ich dobytek, a ich synowie i córki stali się zakładnikami i niewolnikami.

Takie właśnie nowiny poruszony Delfin chciał przekazać swej pani, mimo trudności, jakie robił mu dowódca straży, wykonując rozkazy.

Almodis wyjrzała z namiotu i poleciła kapitanowi, by wpuścił błazna. Delfin wszedł do środka, podążając tuż za hrabiną i starając się dotrzymać jej kroku. Almodis zasiadła na niewielkim tronie i wskazawszy karłowi miejsce na taborecie u swych stóp, spytała, co chce jej powiedzieć.

— Pani, daniny z Tortosy należą już do was. *Host* Barcelony nie poniósł niemal żadnych strat. Król Muhammad II poddał się oddziałom waszego męża. Dziś, najpóźniej nocą, wróci do was.

Przed zachodem słońca, usłyszawszy przy południowej bramie dźwięki rogu, Almodis wiedziała, że Ramón Berenguer wjeżdża do obozu.

Pozostawiwszy żołnierzy pod wodzą majordoma, hrabia Barcelony wracał z wojny w towarzystwie zaledwie garstki jeźdźców, którzy próbowali za nim nadążyć. Nie czekając, aż giermek złapie za uzdę jego czarnego rumaka, który — lśniąc od potu i tocząc pianę z pyska, gryzł nerwowo wędzidło — Ramón zeskoczył z siodła i pospieszył do namiotu.

Almodis czekała na niego sama na środku komnaty. Gdy

rozsunęła się kotara, mąż ukazał się przed nią w zakurzonej kolczudze i tunice, w ostrogach przymocowanych do trzewików, czerwonych od krwi płynącej ze zranionych boków konia, z twarzą przypominającą glinianą maskę, w której wyżłobiły bruzdy strugi potu. Małżonkowie uściskali się namiętnie.

— Witaj, mój mężu. Nigdy nie wyglądałeś bardziej wytwornie i szykownie. Jesteś wcieleniem Achilleśa z waszej własnej *Iliady* i Ulisseśa z *Odysei*, wracającego w przebraniu z podróży.

— Cóż, tak jak ten ostatni, przybywam po swoją nagrodę. Bardzo za tobą tęskniłem, moja wierna Penelopo.

— Ta noc będzie najpiękniejszą w twoim życiu. Zapewniam, że nigdy jej nie zapomnisz. Nie pozwolę, by kąpała cię i pielęgnowała jakaś niewolnica. Chcę zająć się tym sama. Będę twoją niewolnicą, twoim paziem, podczaszym i konkubiną.

Oznajmiwszy swej damie, Lionor, że tylko ona i Delfin mają przebywać na przemian w przedsionku sypialni, śpiąc tam i jedząc, aby zapewnić parze hrabiowskiej wszystko, czego będzie potrzebowała, zwróciła się do Ramóna:

— Chodź za mną.

Hrabia poszedł za żoną w głąb namiotu. Czekala tam na niego cynowa wanna z gorącą wodą. Almodis wlała do niej płyn z trzech karafek, które wzięła ze stolika, i gdy w powietrzu rozszedł się upojny zapach lawendy, szepnęła:

— Nic nie rób, ja o wszystko zadbam.

I zaczęła rozbierać swego męża. Ramón Berenguer, postrach Maurów z Tortosy, mruczał jak zadowolony kocur. Gdy Almodis dała mu znak, wszedł do wanny po trzech stopniach i zanurzył się w wodzie.

— Odpręż się i zamknij oczy.

Kiedy, na znak hrabiny, je otworzył, to, co zobaczył, wydało mu się wizją raju, którą tak wysławiali wyznawcy islamu. Nagie ciało Almodis, osłonięte jedynie jej rudymi włosami i cienkim przezroczystym szalem, lśniło w świetle kandelabru, który rozświetlał złocistym blaskiem królewski namiot.

Ramón wpatrywał się w nią pożądliwie — tak długo wszak musiał zachowywać wstrzemięźliwość.

— A teraz pozwól mi działać.

Głos Almodis brzmiał jak syreni śpiew.

Wytarłszy po kąpieli wielkim kawałkiem płótna ciało swego ukochanego, kazała mu się przenieść na ogromne polowe łoże. Wtedy zaczęła, jak kocica w rui, lizać jego blizny. Od tego momentu przez kolejne trzy dni i trzy noce Almodis wypełniała skrupulatnie zalecenia Florindy.

Kiedy Ramón wyszedł w końcu z sypialni i zwołał swoich dowódców, majordom spytał, czy odpoczął po bitwie.

Hrabia odpowiedział mu z uśmiechem:

— Wszystkie bitwy, które stoczyłem w życiu, mój przyjacielu, są niczym w porównaniu z tą, w której brałem udział podczas ostatnich nocy.

Famagusta

„Stella Maris”, po opuszczeniu wszystkich żagli i okrzyku bosmana: „Rzucić kotwicę!”, stanęła pięćset sążni od brzegu, w zatoce, gdyż okazało się, że reda u stóp zamku Famagusta jest pełna statków. Basilis rozkazał zwolnić odcinek liny kotwicznej odpowiadający czterokrotnej długości pokładu, aby mieć pewność, że kotwica zahaczyła o dno. Potem cała załoga, pragnąc zejść na ląd, wzięła się gorliwie do porządkowania statku, gdyż dobrze znali Greka i wiedzieli, że inaczej nikogo nie wypuści. Gdy wyznaczono strażę i zanim jeszcze dwie szalupy zaczęły przewozić ludzi na brzeg, Basilis zwrócił się do marynarzy z nadbudówki na rufie:

— Zgrajo wyrzutków, zejdzicie na ląd, by przepuścić w trzy dni zarobek z trzech miesięcy. Nic mnie to nie obchodzi, powiem więcej, jest mi to na rękę, bo dzięki temu wrócicie na statek bez grosza i nie będę musiał szukać was w portowych tawernach i burdelach. Postarajcie się, by żaden Cypryjczyk, któremu przypawicie rogi, nie chciał bronić swego honoru, wbijając wam nóż pod żebra. Jest dość wolnych kobiet, które będą wdzięczne, że upieczecie chleb w ich piecu, i z przyjemnością przyniosą ulgę waszym prąciom, nie ma więc potrzeby wdawać się w awantury z mężami i władzami. Zapamiętajcie, że nie zapłacę ani

jednego przeklętego dirhema okupu, jeśli któryś z was trafi do lochu. Zaciągnęliście się na mój statek, przypieczętowując to swymi nędznymi kciukami, i dopóki „Stella Maris” nie wróci do Barcelony, wasze brudne tyłki należą do mnie. Idźcie i wypijcie całe cypryjskie wino, jeśli macie ochotę, ale nie każcie mi potem was szukać. Klnę się na moich zmarłych, że kto mnie do tego zmusi, popamięta Basilisa Manipoulosa.

Taką przemową Gerk pożegnał swoich ludzi.

Marti zaczekał, aż wszyscy opuszczą pokład, po czym, pożegnawszy się z kapitanem i wyraziwszy mu wdzięczność, wyruszył zająć się własnymi sprawami.

Marynarze z szalupy, wiosłując w wprawą, której nabyli przez lata praktyki, wysadzili go na piaszczystej plaży. Marti zabrał swój tobołek, wyskoczył zwinnie na brzeg i odwróciwszy się, by spojrzeć po raz ostatni na „Stellę Maris”, poczuł nagle sentyment do tego statku, który kołysał się wraz z innymi na falach zatoki, oraz do jego pokracznego kapitana.

U szczytu urwiska, na które wchodziło się po schodkach wykutych w skale, czekały na pasażerów chcących dotrzeć do Famagusty lekkie wozy zaprzężone w wąż chabety i zapewniające transport za przystępną cenę.

Marti, uzgodniwszy wysokość opłaty z siedzącym na koźle woźnicą, którego koń wyglądał najlepiej, zajął miejsce z tyłu i położył rzeczy obok siebie. Kiedy ruszyli, spytał woźnicę o dobrą gospodę, w której mógłby odpocząć podczas pobytu w Famaguście, gdyż jego zmaltretowane stawy, po tyłu zimnych porankach na morzu, skrzypiały bardziej niż zardzewiałe resory wozu. Woźnica polecił mu oberżę Pod Minotaurem, znajdującą się w pobliżu redy starego portu i prowadzoną przez męża jego siostry. Tam więc pojechali. Gdy Marti spytał o nazwisko oberżysty, woźnica odparł:

— Pytajcie o Nikodemosą i powiedzcie, że przysyła was Elefterios.

Gospoda czy też oberża Pod Minotaurem była bardzo starą budowlą, pamiętającą czasy piątej satrapii z okresu dominacji

perskiej, zbudowaną na ruinach dawnych publicznych łaźni, których mury oparły się działaniu czasu. Marti wysiadł z wozu, zapłacił woźnicy i przytroczywszy do pasa sakiewkę, wszedł do oberży. Przemierzył sień, dziwiąc się, jakie ma rozmiary w stosunku do fasady budynku. Jacyś kupcy, którzy — jak wywnioskował z ich mowy — byli Grekami, siedzieli akurat w głębi sali, koło okna. Podszedł do kontuaru i zwrócił się do oberżysty obsługującego nowych gości.

— Niech Bóg ma was w opiece, dobry człowieku. Szukam Nicodemosza, właściciela gospody. Przysyła mnie Elefterios.

— To właśnie ja. Skąd znacie tego szubrawca, mego szwagra?

— Przywiózł mnie tu swoim wozem z miejsca, gdzie zakotwiczył mój statek, i bardzo dobrze się o was wyrażał.

Oberżysta, słysząc to pochlebstwo, zmienił krytyczne nastawienie do szwagra.

— Osobiście nie mam nic przeciwko niemu, ale wiecie, jak jest w rodzinie: nie chciał przejąć interesu mojego teścia i uznano go za czarną owcę. Rozumiecie, że nie potrzebuję konfliktu z jego siostrą, czyli moją żoną, tylko dlatego, że nie potrafią się dogadać. Każdy odpowiada za siebie, nie sądzicie?

— Oczywiście. W ten sposób unika się sprzeczek i nieprzyjemności.

Po chwili przerwy Marti ciągnął:

— Potrzebuję pokoju, na razie na jedną noc. Znajdziecie coś dla mnie?

— To mój zawód, a w dodatku przychodzicie z polecenia. Chcecie pokój z oknem na ulicę czy może być wewnętrzny?

— Byle było w nim cicho. Zamierzam najpierw zjeść kolację, by nie zbudził mnie głód, a potem będę spał jak kłoda.

— Dam wam ostatni pokój w głębi korytarza, tak że nie usłyszycie nawet tych, którzy wychodzą w nocy za potrzebą, gdyż nikt nie będzie musiał mijać waszych drzwi.

— Ile kosztuje?

— Jeśli zapłacicie mi greckimi monetami, dwie drachmy. Przyjmuję także dirhemy.

— Mam pieniądze z Barcelony. Mogą być?

— Wszystko, co pochodzi z tego miasta, jest mile widziane. Katalończycy traktują poważnie interesy, a ich monety — sody, denary, *manculos jafaries* czy *sargentianos* albo funty — nie zmieniają wartości. Policzę wam dobry kurs.

Martiemu odpowiadała ta oferta, więc dobili targu.

Cypryczyk zaprowadził nowego gościa do jego pokoju. Było to duże pomieszczenie z posadzką z czerwonego marmuru, przedzielone w połowie arkadą, stanowiącą pozostałość dawnej funkcji budynku. Stał tam kufer do przechowywania rzeczy, krzesło, dzban z wodą i miednica, a pod spodem wiadro. W głębi, za arkadą, znajdowało się wielkie łóżko wyposażone w gruby wełniany materac i przykryte kapą.

Oberżysta czekał, aż jego gość wyraził swoją opinię.

— Naprawdę mi się podoba, jestem wam bardzo wdzięczny.

— A zatem, skoro nie życzyacie sobie niczego więcej...

— Owszem, jeśli można.

— Po to jesteśmy.

— Chodzi o dwie sprawy.

— Mówcie, czego chcecie.

— Jutro muszę dotrzeć do Pelendri i byłoby mi na rękę, gdybyście znaleźli mi jakiś wóz.

— Mogę zawiadomić, jeśli to wam odpowiada, mojego szwagra. Nie lubię mieć długów wdzięczności.

— W porządku. Nie proponowałem tego, bo skoro wasze rodzinne stosunki są skomplikowane, wolałem was nie angażować.

— O której godzinie potrzebujecie transportu?

— Późnym rankiem.

— Może być tuż przed południem?

— Zgoda.

— Czego jeszcze potrzebujecie?

— Miejsca, gdzie mógłbym zjeść na kolację dobre owoce morza.

— Jesteście pół mili od portu. Idźcie do Złotego Małża.

. _ Dzięki za informacje.

— Wybaczcie, ale radzę, byście pojechali wozem. O tej porze lepiej nie chodzić samotnie.

— Nie bójcie się o mnie. Zbyt często podróżowałem po świecie, bym nie był przezorny.

— Za dnia nie ma problemu, ale nocą włóczę się po ulicach różni osobnicy o nie zawsze uczciwych zamiarach.

— Powtarzam, że nie musicie się martwić. Będę uważał.

Kiedy oberżysta wyszedł, Marti uporządkował swoje rzeczy, umył się w miednicy, ubrał w odpowiedni strój, wyjął z torby krótki sztylet z piękną rękojeścią z kości słoniowej i włożywszy go za pas, wyruszył do Złotego Małża.

46

Zdemaskowana

Jego żądza była niepohamowana. Bernat walczył od miesięcy ze swoim popędem, lecz popełniał ciągle ten sam grzech wyuzdania, co biblijni starcy, którzy podglądali w kąpielu cnotliwą Zuzannę. W sękach konarów drzew widział pączki piersi dziewczyny, a w kształcie lutni, której struny trącał uliczny grajek proszący dobrych ludzi o jałmużnę przed pałacem hrabiego, zmysłową krągłość jej bioder. Coraz częściej odwiedzał konfesjonał. Czasem, gdy był w swoim gabinecie, ogarniał go nagle paniczny lęk, że ją straci, i wracał natychmiast do domu, wpytując wszystkich, dokąd poszła, kiedy i po co. Wyładowywał zły nastrój na służbie, niewolnikach, a nawet osobach, które go odwiedzały. Gdy z jakiegoś błahego powodu Laia się spóźniła, nie bacząc na obecność służących, robił jej straszliwą awanturę, zawstydzając dziewczynę, która wracała do swoich komnat przygnębiona i zapłakana.

Laia, która od wczesnego dzieciństwa czuła do ojczyma dziwną niechęć, nie rozumiała jego zachowania i próbowała, wzmowie z Aixą, unikać spotkań z nim podczas posiłków, udając bóle głowy albo typowo kobiece przypadłości, co zaczęło Bernata niepokoić. Mimo niechęci, jaką żywił do potomków tych, którzy ukrzyżowali Chrystusa, kazał w końcu wezwać Halewiego, słyn-

nego żydowskiego lekarza. Medyk przybył do domu notabla w stroju typowym dla przedstawicieli jego profesji. Miał granatową togę przepasaną złotym sznurem, a na serdecznym palcu prawej ręki wielki ametyst. Wszystko to uwypuklało jego dostoyny wygląd, którego dominującymi cechami były orli nos i przetykana srebrzystymi nitkami siwizny długa wypielęgnowana broda. Lekarza zdumiało dziwne pytanie Bernata, gdy zamierzał zbadać pacjentkę.

— Musicie jej dotykać, aby stwierdzić, co jej dolega?

— Tak się robi. Trudno postawić diagnozę, nie badając pacjenta, bez względu na to, czy chodzi o kobietę, czy mężczyznę.

— Czytałem w *Kanonie medycyny* Awicenny, że badał puls żony sułtana Persji za pomocą przywiązanego do jej przegubu nawoskowanego powrozu, będąc za drzwiami.

— Może on tak czynił, ale ja z pewnością tego nie potrafię.

Na tym poprzestali. Potem, zbadawszy dokładnie dziewczynę, która przez cały czas pozostała ubrana, Żyd przepisał różne mieszanki leczniczych ziół mających poprawić jej ogólny stan oraz złagodzić migreny i bóle menstruacyjne. Skończywszy, odszedł z Montcusim na stronę.

Udali się obaj do gabinetu dostoynika i gdy już tam byli, Bernat Montcusi spytał:

— I co powiecie, Halevi? Czy mojej córce dolega coś po ważnego?

— Bynajmniej, panie. Rodzicom trudno przyjąć do wiadomości, że czas ucieka i dziewczynki stają się kobietami. Wasza córka dojrzała i choć wydaje wam się szczupła i krucha, w jej organizmie zachodzą zmiany, które czynią kobietę zdolną do posiadania potomstwa. Stąd te migreny, bóle brzucha i dziwne zachowanie, o których wspominać. Jej kaprysy z pewnością się skończą, gdy tylko wyjdzie za mąż.

Bernat zbladł i Halevi to zauważył.

— Nie wpadajcie w panikę. Nie przekazuję wam żadnych złych nowin. Chcę wam tylko uświadomić, że w swoim czasie możecie zostać dziadkiem.

Z niezrozumiałych dla Żyda powodów w zachowaniu i tonie głosu Montcusiego zaszła nagła zmiana. Oznajmił, z trudem hamując gniew:

— Wezwałem was, byście zadbali o zdrowie mojej córki. Wasze rozważania na temat tego, czy mogę być dziadkiem, są zbędne. — Montcusi nie potrafił opanować wściekłości. — Moja córka nigdy nie wyjdzie za mąż! Zrozumieliście? Nigdy!

— Jak sobie życycie, ekscelencjo.

— Porozmawiajcie z moim zarządcą — ciągnął Bernat nieco spokojniej. — Dajcie mu receptę, by zielarz sporządził leki, i powiedzcie, ile wynosi wasze honorarium. On wam zapłaci. A teraz zejdźcie mi z oczu.

Zacny Żyd nie wiedział, czym uraził dostojnika, ale znając chrześcijan, z którymi tak trudno było współżyć, i mając świadomość, że nagle zmiany nastroju możnych zwykle wróżą poważne kłopoty, wyszedł niezwłocznie, skłoniwszy lekko głowę.

Montcusi pozostał przygnębiony i zadumany w samotności swego gabinetu. Uwaga Halewiego ugodziła go jak sztylet. Na samą myśl, że Laia może pewnego dnia zniknąć z jego życia, przeżywał katusze. Nigdy, przenigdy, do tego nie dopuści! Przepędzi każdego natręta, który ośmieli się zbliżyć do jego pasierbicy, i pewnego pięknego dnia będzie należała do niego.

Zapadała noc i sklepienie niebios wypełniało się gwiazdami, umysł doradcy zaś ogarniały mroczne przeczucia. Nadeszła pora działań, które stały się jego codzienną obsesją. Niemal bezwiednie położył się na podłodze i przyłożył oko do otworu między deskami, czekając, aż Laia się rozbierze. Tej nocy dziewczyna nie spieszyła się do snu. Chodziła po pokoju i nagle podeszła do komody w kącie sypialni. Usiadłszy na taborecie, wysunęła jedną z szufladek, przycisnęła jakąś sprężynę i otworzyła skrytkę po prawej stronie. Wsunąwszy do niej rękę, wydobyła niewielką szkatułkę. Bernat zobaczył, jak sięga po klucz wiszący na skórzanym rzemyku obok medalika z Matką Boską. Włożyła go do zamka szkatułki i wyjęła z niej kilka listów. Zdumiony i rozgniewany Montcusi patrzył, jak czyta je uważnie i przytyka

do warg, a potem wkłada z powrotem do skrytki. Ogarnięty wściekłością doradca zamierzał wstać, ale dziewczyna zaczęła się rozbierać i popęd przeważył nad furią. Znieruchomiał jak drapieżnik, który czai się, by dopaść zdobyczy. Wówczas ukazały się jego oczom, jak dwa pączki kwiatów, różowe piersi Lai. Nie wytrzymał. Zasuwał deszczułkę, a jego nasienie wylało się na podłogę.

Czarne złoto

Otworzywszy wahadłowe drzwi, Marti usłyszał ogłuszający zgiełk. Budynek z wypalanej cegły służył kiedyś jako stocznia i jego wysokie sufity, wsparte na niezliczonych kolumnach, zwielokrotniały hałas, odbijając wszystkie dźwięki. W Złotym Małżu wrzało jak w ulu. Słysząc było przekleństwa, głosy biesiadników krzyczących do siebie między stołami i zamówienia składane do kuchni przez kelnerów. Jazgot potęgowali jeszcze czterej grajkowie, którzy, siedząc na podium ustawionego w głębi sali, próbowali umilać czas gościom, grając na strunowych i dętych instrumentach.

Oswoiwszy się z hałasem, Marti przeszedł przez środek lokalu, aby znaleźć jakiegoś kelnera, który wskaże mu miejsce. Po chwili zjawił się przy nim człowiek w koszuli, zawiązanym na biodrach zielonym fartuchu i czerwonym fezie, z którego zwisał fioletowy chwost.

— Niech miłosierny Allach ma was w opiece. Czego sobie życzyście, panie?

Z jego pozdrowienia i stroju Marti wywnioskował, że ma do czynienia z muzułmaninem. Nie zdziwiło go to, gdyż przypominał sobie, jak Basilis, kapitan „Stella Maris”, mówił mu, że Cyprius to wieża Babel różnych kultur. Pozostawili tam swoje ślady

Egipcjanie, Grecy i Rzymianie. Pamiętał również, jak Baruch, którego wiedza tak bardzo mu się przydała, zapewniał go, że prawie we wszystkich portach Morza Śródziemnego będzie mógł porozumiewać się po łacinie.

— Potrzebuję stolika na uboczu, gdzie zmęczony podróżny może zaznać trochę spokoju, jeśli to możliwe, i spróbować waszych słynnych owoców morza.

Muzułmanin klasnął trzy razy i natychmiast pojawił się służący odziany w obszerne tureckie szarawary, niebieską bluzę przewiazaną w pasie czarną szarfą i fez, który w odróżnieniu od nakrycia głowy jego zwierzchnika, miał zielony, a nie fioletowy chwost.

— Zaprowadź *Frantiego* na piętro. Tam będzie mógł delektować się kolacją. Obejrzy z góry, jeśli zechce, naszą główną salę, i nie zabraknie mu prywatności, której szuka.

W tym momencie Marti zauważył, że w głębi budynku znajduje się dodatkowa kondygnacja, na którą wchodzi się po usytuowanej z boku pochylni. Był tam szereg okien z zaciągniętymi zasłonami, które, jak sądził, miały chronić przed niedyskretnymi spojrzeciami użytkowników prywatnych pomieszczeń.

Mahometanin, tak jak przypuszczał, poprowadził go na piętro i otworzył drzwi jednej z izb zarezerwowanych dla specjalnych gości. Zanotowawszy, czego Marti życzy sobie na kolację, zniknął. W pomieszczeniu o ścianach obitych grubą tkaniną stał niewielki stół z dwoma ławami, na środku płonęła oliwna lampa, a z boku leżał duży widelec, którego sługa musiał używać do serwowania skorupiaków.

Wykorzystując czas oczekiwania, Marti odsunął firankę, która zasłaniała mu widok, i zaczął obserwować klientelę na niższym piętrze.

Byli tam ludzie różnych ras świata: bladzi kupcy z północy, śniadzi mieszkańcy wybrzeży Marę Nostrum, ciemnoskórzy Murzyni, Arabowie... Wszystkich łączyło morze i handel.

Uwagę Martiego przyciągnął pewien incydent w głębi sali. Obok podium, gdzie grajkwie starali się zagłuszyć swoją muzyką

panującą wrzawę, jakiś wąły człowieczek, któremu ogromny turban zasłaniał niemal całą twarz, dyskutował zawzięcie z dwoma potężnymi Arabami, żądającymi najwyraźniej, by odstąpił im swój stół, bo chcieli być blisko orkiestry, aby lepiej słyszeć monotonne melodie. Człowieczek w turbanie odmawiał, mówiąc, że nie skończył jeszcze kolacji. Gdy jeden z osobników próbował odwrócić jego uwagę, drugi położył rękę na jego torbie. Ten odzyskał ją jednym szarpnięciem i przytwierdził sobie do pasa. Potem, mamrocząc przekleństwa, znów zabrał się do jedzenia. Marti obserwował sałę, aż służący przyniósł mu homara polanego sosem marynarskim oraz karafkę cypryjskiego wina. Wówczas zaciągnął zasłonkę i zajął się z rozkoszą pałaszowaniem soczystego skorupaika i dwóch kieliszków trunku, zapominając o incydencie, którego był świadkiem.

Skończywszy wystawną ucztę i zapłaciwszy za nią, opuścił lokal i przed powrotem do gospody postanowił przejść się po porcie, aby dzięki rześkiemu nocnemu powietrzu pozbyć się szybciej oparów alkoholu, które mąciły mu nieco umysł. Wędrował myślami do Lai. Liczył dni, jakie pozostały do ich spotkania, i zastanawiał się, co mogło się wydarzyć pod jego nieobecność, gdy nagle usłyszał rytmiczne pluskanie wody i dochodzące z zatoki przytłumione krzyki. Wychylił się za mur nabrzeża i zobaczył w świetle księżyca, że jakiś człowiek, zaplątany w tunikę, wymachuje rozpaczliwie rękami, próbując utrzymać się na powierzchni. Nie namyślając się długo, rzucił worek pod łódź stojącą na kłodach i skoczywszy do wody, popłynął w kierunku postaci, która wyglądała, jakby tonęła. Wystarczyły cztery potężne ruchy rąk, by znalazł się obok człowieka, który zaczynał już pogrążyć się w toni. Na szczęście morze było spokojne, a woda niezbyt zimna. Odwrócił go na plecy, chwycił za podbródek i w ten sposób dociągnął powoli do muru z kamieni. Wtedy pojawił się problem. Muru nie można się było uchwycić, a nie mógł dosięgnąć do żadnego występu ani żelaznego pręta na nabrzeżu. Człowiek, który tonął, był szczupły, ale jego obszerne szaty namokły i stanowiły w tych okolicznościach spore

obciążenie, w dodatku kłopotliwe. Marti rozejrzał się, bardzo zaniepokojony. Nie chciał nawet myśleć, że jego przygoda i wszystkie plany skończą się w tych mrocznych wodach portu Famagusty. Wspominając Laię, zobaczył w pobliżu unoszącą się na powierzchni drewnianą platformę, z której zwisały liny obwieszone małżami. Zaczął płynąć powoli w jej kierunku, ciągnąc za sobą tonącego. Ten nagle się ocknął, i cały drżący, przylgnął do niego jak pijawka, utrudniając mu ruchy. Marti nie miał innego wyjścia, jak uderzyć go mocno w szczękę. Tonący osunął się w jego ramionach i przestał mu przeszkadzać. Wyciągnąwszy z wysiłkiem wolną rękę, Marti złapał mocno jedną z lin. Omal jej nie puścił, gdy ostre krawędzie skorup mięczaków zraniły mu dłoń. Jeszcze trochę wysiłku i znaleźli się na drewnianej platformie. Prawa ręka Martiego silnie krwawiła. Podłożył topielcowi pod głowę prowizoryczną poduszkę z przemokniętej tuniki i poklepał go po policzkach, by odzyskał przytomność.

Ten wracał powoli do siebie. Jego wątłym ciałem wstrząsały drgawki, gdy zaczął wykrztuszać wodę. Marti złapał go za ramiona i unióś, by nie zadusił się własnymi wymiocinami. Potem, gdy mężczyzna już się uspokoił, skupił szkliste spojrzenie na swym wybawcy i na jego wargach pojawił się uśmiech wdzięczności. Marti zajął się swą zranioną dłonią i rozerwawszy zębami kawałek koszuli, zrobił sobie prowizoryczny opatrunek. W nikłym blasku księżyca rozpoznał w nieznanym człowieka, którego dwaj osobnicy nagabywali podczas kolacji w Złotym Małżu.

— Co wam się stało?

— Zostałem napadnięty przez dwóch łotrów, którzy zaczepiali mnie już przy kolacji — odparł człowieczek niedosłyszalnym niemal głosem. — Ukradli mi torbę i wrzucili mnie do morza. Gdyby nie wy, stałbym już przed obliczem Stwórcy.

— Zaczekajcie tu na mnie, zaraz wrócę.

Gdy nieznanomy wspomniał o torbie, Marti przypomniał sobie o swojej. Musiał natychmiast ją odnaleźć. Po kładce z powiązanych sznurem szczebelków, łączącej platformę z molo, dotarł

na ląd i pobiegł do miejsca, gdzie znajdowała się łódź, pod którą wrzucił sakwę, modląc się w duchu, by nikt jej tam nie spostrzegł, bo gdyby został bez swoich kontaktów i dokumentów, byłby zgubiony. Na szczęście leżała tam, gdzie ją zostawił. Gdy wrócił do nieznanego, ten już się podniósł i trzymając się liny otaczającej platformę, próbował zejść na ląd.

— Chcecie znowu wpaść do wody?

— Bynajmniej. Wybaczcie, że sprawiłem wam tyle kłopotu. Sądziłem, że już nie wrócicie.

— A więc byliście w błędzie.

— Cieszę się, bo odpowiadacie teraz za moje życie.

— Dlaczego chcecie obarczyć mnie takim obowiązkiem?

— W moim kraju jest powiedzenie, że kto ratuje życie bliź niemu, staje się jego poręczycielem.

— Skąd pochodzicie?

— Z wioski na północy Kerbali.

— Dzisiejszej nocy podejmę się tej roli. Odprowadzę was do domu, by znów nie przytrafiło się wam coś złego.

— Będę wam dożgonnie wdzięczny.

Ruszyli przed siebie. Nieznajomy wspierał się na Martim, który był przemoczony do suchej nitki. Mijając ulice i zaułki, dotarli do mrocznego pasażu. Obaj drżeli z zimna. Człowieczek, który nazywał się Hasan al-Malik, wskazywał drogę. Napotkane osoby brały ich za pijaków, którzy wzajemnie się podtrzymują, co w tej dzielnicy nie było zresztą niczym niezwykłym, gdyż zamieszkiwali ją ludzie morza, skłonni do nadużywania alkoholu. W końcu dotarli do uboższego budynku o dwóch kondygnacjach, w którego suterenie znajdowało się mieszkanie Hasana. Podtrzymując go pod pachami, Marti zszedł po kilku schodkach prowadzących do jedynych drzwi, obok których było okienko zabezpieczone żelazną kratą. Hasan wskazał mu doniczkę przy lufciku, w której leżał klucz. Marti włożył go do zamka i otworzył drzwi. Blask księżyca i żar ognia, który płonął w kominku, pozwoliły mu rozejrzeć się po mieszkaniu. Miało kwadratowy kształt i wszystko było na widoku. Z boku znajdowały się

narzędzia do rozpalania ognia i ruszt. Dostrzegł również zawieszony na haku sagan, który dawało się opuszczać lub podnosić za pomocą niewielkiego bloczka. Na środku izby stał stół, a na nim naczynie z knotem zanurzonym w gęstej czarnej cieczy o intensywnym zapachu. Obok stały trzy chybotałe krzesła, jedno bez oparcia. W kącie zauważył pryczę przykrytą kocem z sierści jakiegoś nieznanego mu zwierzęcia. Nad wezłowiem była nisza z płaskorzeźbą przedstawiającą dziwny rysunek z wpisanymi w okrąg literami X i P. Marti odniósł wrażenie, że to jakiś symbol religijny. Dwie spośród ścian przesłaniały regały z figurkami, mosiężnymi pucharami i mapami. Stał też tam dzban z wielkim uchem z jednej strony i długim dziobem z drugiej, który służył niewątpliwie do wylewania jego zawartości.

Marti uwolnił się od Hasana, kładąc go na sienniku, i zaczął ściągać z niego przemoczone ubranie. Wytarłszy go i okrywszy włochatym kocem, dorzucił do kominka drew, które znalazł w koszu. Kiedy Hasan zaczął oddychać spokojniej, Marti rozebrał się i rozwiesił swoje rzeczy obok kominka na oparciu jednego z krzeseł, zarzuciwszy tymczasem na ramiona szlafrok, który wziął z półki i który sięgał mu zaledwie do kolan. W pobliskim minarecie muezin zaintonował modlitwę Ischa odmawianą przed północą. Izba, w miarę przesuwania się po niebie księżyc, pograżała się w mroku. Marti postanowił, że gdy tylko przeschną jego ubrania, wróci do Minotaura, gdyż wkrótce ma przyjechać tam po niego dwukółka, aby zabrać go do Pelendri, a czuł już zmęczenie po tej przygodzie z wodą i burzliwym dniem. Z zamyślenia wyrwał go głos Hasana.

- Prawie was nie widzę. Lepiej zapalcie knot.
- O czym mówicie? Nie ma tu żadnego kaganka.
- Pozwólcie, że ja to zrobię.

Hasan ściągnął kapę ze swego wątłego ciała, wstał i skierował się do kominka. Chwycił szczypcami rozżarzony węgielek i dmuchając na niego, podszedł do stołu. Kiedy płomień ożył, zbliżył go do knota pływającego w naczyniu w gęstej czarnej cieczy. Izbę rozświetlił natychmiast płomień, tym razem niebieski i jasny.

— Jestem zbyt biedny, by pozwolić sobie na zbędne luksusy. Dziś świętowałem w Złotym Małżu, bo brat przysłał mi z Kerbali pieniądze, które dostałem w spadku. Tak więc jutro kupię sobie kaganek.

Marti nie mógł wyjść z podziwu.

— Co to za ciecz, która daje wam światło?

— Od czasu do czasu przysyła mi ją brat. To jedna z niewielu rzeczy, które wytwarza nasza ziemia. Szkoda, że niemal do niczego się nie przydaje.

— Skąd się bierze?

— Prosto z gruntu. Tuż obok domu moich rodziców mieliśmy jezioro i w dzieciństwie bawiłem się z rodzeństwem, a było nas dziesięcioro, podpalając pęcherzyki powietrza, które powstawały na powierzchni wody.

W głowie Martiego kiełkowała pewna myśl.

— Powiedzieliście, że jesteście z Kerbali. Gdzie leży to miasto i kto je zamieszkuje?

— W Mezopotamii, nad brzegami Eufratu. Nie ma tam niczego prócz upału i nędzy. Słynie jako miejsce, gdzie został pokonany syn Alego, zięcia Proroka, i są ludzie, którzy pielgrzymują do jego grobu. Mieszkańcy żyją z polowania na zwierzęta, z których ściągają skóry, by je potem sprzedać, a także z łowienia ryb w rzece.

— A co robią z czarną mazią, którą, jak mówicie, tam się wydobywa?

— Praktycznie nic, trudno byłoby ją sprzedać. Kogo interesowałby zakup towaru, który niełatwo przetranszportować? Brat przysyła mi go od czasu do czasu w bukłaku, dzięki czemu nie muszę kupować oliwy do kaganka i świec z wosku, które są drogie.

Umysł Martiego pracował intensywnie jak miech w kuźni.

— Hasanie, pochodzę z Katalonii i zajmuję się handlem. Przybyłem aż tutaj, by kupić miedź i załadować ją potem na statek, którego jestem współwłaścicielem. Byłbym wam dożgonnie wdzięczny, gdybyście skontaktowali mnie z waszym bratem. Chciałbym kupić tę czarną maź, której tak nie docenicie. Myślę,

że na Zachodzie okaże się bardzo przydatna i wszyscy na tym zyskamy: wy, wasz brat i ja.

— Jeśli mogę wam się w ten sposób odwdziżyć za to, co dziś dla mnie zrobiliście, uważajcie sprawę za załatwioną. Gdzie i kiedy możemy się spotkać?

— Wyruszę jutro do Pelendri, ale pojutrze będę z powrotem. Wynajmuję pokój w Minotaurze. Zmienię trasę rejsu specjalnie po to, by pomówić z waszym bratem.

— Będę miał ogromną satysfakcję, jeśli zdołam wam pomóc w waszym przedsięwzięciu.

— A zatem, Hasanie, jeżeli wyszło już moje odzienie, a wy odzyskaliście siły, wróć do gospody. Jutro czeka mnie ciężki dzień i chciałbym trochę się przespać.

— Idźcie w pokoju i niech Bóg, w którego wierzycie, ma was w opiece. Po powrocie dostaniecie list polecający do mojego brata.

Hasan zaczął, aż jego wybawca zbierze swoje rzeczy. Gdy był ubrany i gotowy do wyjścia, uściskał go mocno i ucałował trzy razy w policzki, a potem odprowadził na ulicę, przestrzegając, by o tej porze zachowywał ostrożność. Marti dotknął ręką sztyletu, zapewniając go, że będzie o tym pamiętał. Kiedy kroki Katalończyka oddalały się w mroku, Hasan odwrócił się i schronił w swojej izdebce. Tymczasem biały księżyc, zawsze wścibski, choć niemy świadek ludzkich poczynań, obserwował drwiąco z wysokości firmamentu niespokojną wędrowną posępnego młodzieńca, który walczył z przeznaczeniem, aby zasłużyć na rękę ukochanej.

48

Yilopriu

Była wiosna 1054 roku. Stara hrabina Ermesenda przesiewała wspomnienia przez gęste sito swej pamięci. Niczym zjawy z przeszłości pojawiali się przed jej oczami ci wszyscy, którzy odpłynęli już łodzią Charona, poprzedzając ją w ostatniej podróży. Jej rodzice, Roger I, władca Carcassonne, i Adelaida de Gavaldà, jej ukochany mąż, Ramón Borrell, który w 1018 roku uczynił ją wdową, jej syn Berenguer Ramón, zwany Garbatym, którego fizyczna ułomność kosztowała ją tyle łez. I pozostałe dzieci, Borrell i Estefania, bracia — Bernat, Ramón, a przede wszystkim ukochany Pere, który stojąc na czele biskupstwa Gerony, wraz z opatem Olibą tak lojalnie jej służył. Śmierć dwóch spośród tych osób wpłynęła znacząco na jej losy. Gdy jej mąż zginął wskutek ran odniesionych podczas drugiej wyprawy do Kordoby, została regentką swego małoletniego syna, a gdy ten z kolei zmarł, musiała bronić praw wnuka, ponownie sprawując regencję, która przysporzyła jej tylu kłopotów. Wszyscy oddalali się jak białe duchy wąskim korytarzem wspomnień, zabierając ze sobą resztki jej życia. Bóg nie chciał jakoś wysłuchać jej modlitw, choć każdego ranka podczas mszy świętej błagała go, by ją do siebie wezwał, gdyż jej doczesna wędrówka dobiegła końca. Zrobiła już dostatecznie dużo. Podczas swego długiego życia,

które przyprószyło siwizną jej skronie, ufundowała ponad sto trzydzieści klasztorów i odbyła podróż do Rzymu, by omówić z papieżem sprawę ekskomuniki swego wnuka i jego konkubiny. Naprawdę wierzyła, że należy jej się od Boga zasłużony odpoczynek.

W tym momencie jej myśli, błędzące po bezdrożach wspomnień, wróciły nagle do terażniejszości, gdyż ważyły się właśnie losy hrabstw, które otrzymała w spadku po mężu.

Po trudnych negocjacjach wybrano na rozmowy zamek w Vilopriu. Przedstawicielom drugiej strony nie odpowiadały niemal żadne proponowane im miejsca i warunki. Almodis z Marchii, konkubina Ramóna Berenguera, chciała zademonstrować swą władzę i wpływ, jaki miała na hrabiego, i ośmielała się stwarzać trudności wszelkim inicjatywom potężnej hrabiny Gerony i Osony. Ostatecznie zgodzono się na miasteczko Vilopriu, na granicy wpływów Gerony i Ampurias.

Warunki spotkania uzgodnili ze strony Ermesendy Roger de Toeny, a ze strony Almodis — Gilbert d'Estruc. W rozmowie miał pośredniczyć, za obopólną zgodą, biskup Guillem de Balsareny. Obie kobiety grały o wysoką stawkę, dlatego też zapomniały o dumie i zdecydowały się na spotkanie, co wskazywało, jak bardzo potrzebują porozumienia. Almodis musiała przybyć do skromnego zamku, położonego dużo bliżej Gerony niż Barcelony, ale rekompensował to fakt, że oba trony miały stać na tej samej wysokości, a poza tym wchodziła do sali jako druga, co oznaczało, że Ermesenda będzie na nią czekała.

Powodem zbudowania zamku, jak wielu innych, była konieczność ufortyfikowania przygranicznych terytoriów. Wokół pierwotnej wieży wzniesiono mur, a pod jego osłoną kaplicę. Wieśniacy, których w obrębie *sagrery* chroniło prawo, budowali swe skromne domostwa na terenie twierdzy, gdzie szlachta, pod groźbą ekskomuniki, nie mogła pozbawić ich wolności. Miasto rozrastało się wewnątrz murów i to właśnie miejsce hrabina Gerony i jej sąsiad, hrabia Ampurias, uznawali za neutralny

zakątek, idealny do rozstrzygania sporów. Ermesenda korzystała z niego nie po raz pierwszy.

Przybyła na zamek ze swym wojskiem poprzedniej nocy. Następnego dnia, o uzgodnionej porze, pojawił się przy okrątowanej bramie fortecy liczniejszy oddział Almodis. Po protokolarnym odpoczynku, w porze seksty, jak ustalili Roger de Toeny i Gilbert d'Estruc, miejsce spotkania było już przygotowane. W głębi sali stały dwa trony, na których miały zasiąść obie hrabiny, a niżej ustawiono fotele dla ich kapitanów. Pośrodku, naprzeciwko obu kobiet, umieszczono tyłem do widowni pulpit, przy którym biskup miał sprawować trudną funkcję arbitra i pośrednika. Z dwóch stron stały małe biurka z przyborami do pisania, aby skrybowie, wybrani przez każdą ze zwaśnionych stron, mogli skrupulatnie notować przebieg obrad. Wzdłuż całej sali wisiały na jednej ze ścian sztandary Gerony i Osony, a na drugiej — Barcelony i Marchii. Zgodnie z ustaleniami, przed pojawieniem się hrabiny Gerony żołnierzy obu oddziałów rozbrojono, przekazując ich miecze i sztylety w depozyt panu zamku. Kapitanowie i biskup zajęli swoje miejsca, dwaj skrybowie przygotowali narzędzia i zasiedli przy biurkach, i wszyscy czekali w milczeniu na przybycie obu dam.

Ermesenda wkroczyła na salę poważnie i majestatycznie, ubrana w czarne szaty i z hrabiowskim diademem na głowie, jak przystało osobie jej rangi. Gdy zajmowała miejsce na tronie po prawej, jedna z dam zabrała jej szal, a ona, dumnie wyprostowana, nie dotykając plecami oparcia, położyła ozdobioną klejnotami dłoń na poręczy fotela. Almodis kazała chwilę na siebie czekać, aby pokazać wszystkim, że to ona decyduje o czasie spotkania. Przeszła przez salę jak królowa Saby, ubrana w czerwoną suknię ze srebmoszarą spódnicą, z ozdobioną perłami siatką na włosach. Była pewna, że stara hrabina wstanie z tronu, by ją powitać, jednak Ermesenda spojrzała, jak Almodis wchodzi po schodkach na tron, jakby to była jej dama dworu, po czym odwróciła głowę i poprosiła pazia o wachlarz, nie patrząc w ogóle na swą rywalkę.

Zapadła pełna napięcia cisza. Nikt nie ośmielił się nawet kaszlnąć. Biskup rozpoczął ceremonię słowami:

— Niech wszyscy powstaną.

Jego przemowie towarzyszył szmer ściszonych głosów, pomieszany z szuraniem krzeseł o drewnianą podłogę i szelstewem szat.

— Poprośmy na początek Ducha Świętego, aby oświecił nasze umysły i pozwolił nam doprowadzić szczęśliwie do końca zabiegów, które teraz podejmujemy. Oby szlachetne cele zwyciężyły próżny egoizm, dla dobra chrześcijaństwa i hrabstw, które są tu dziś reprezentowane.

Następnie wznosił wzrok do nieba i odmówił mocnym dźwięcznym głosem modlitwę *Anioł Pański*, w czym towarzyszyli mu wszyscy obecni.

Potem obie hrabiny zasiadły równocześnie na tronach i zebrani również natychmiast zajęli miejsca, lecz wiele osób po obu stronach sali musiało stać, gdyż zabrakło dla nich krzeseł.

Praelat zainaugurował posiedzenie, podkreślając znaczenie ugodę, którą chciano osiągnąć, i oddał głos hrabinie Barcelony. Ta przedstawiła swoje argumenty powściągliwym i opanowanym tonem, jakby była na sali sama ze swoją Nemezis, robiąc krótki wstęp, zanim poruszyła temat, który tak ją interesował.

— Hrabino, przybywam tu w imieniu waszego wnuka, hrabiego Ramóna Berenguera Pierwszego, aby dojść do porozumienia w różnych sprawach dotyczących przyszłości Barcelony. Ermesenda siedziała niewzruszona jak posąg z marmuru. Na jej twarzy nie drgnął żaden mięsień. Almodis ciągnęła:

— Jesteście hrabiną Gerony i Osony z nadania i dobrze wiecie, że po waszej śmierci, oby Bóg sprawił, że nastąpi ona za wiele lat, oba hrabstwa przejdą we władanie naturalnego spadkobiercy, mojego męża. Wasz wnuk zwraca się z prośbą, którą ja jedynie przekazuję, byście dla dobra rodu Berenguerów zrzekli się za życia swoich praw i zażądali w zamian sprawiedliwej rekompensaty, którą z pewnością wam przyzna. Możecie zamieszkać

r

w jednym z ufundowanych przez was klasztorów i wieść tam przyjemne uduchowione życie, które tak wam odpowiada i które należy wam się z racji zasług i wieku.

W wielkiej sali zapadła przejmująca cisza. Almodis czekała w napięciu na odpowiedź Ermesendy. Ta nie zwlekała długo.

— Moja pani — Ermesenda unikała tytułowania jej — przede wszystkim jestem pełnoprawną hrabiną Gerony i Osony. Mój mąż, hrabia Ramón Borrell, oddał mi te hrabstwa tytułem *sponsalici* jako prezent ślubny, kiedy poprosił mnie o rękę. A zatem przekazcie memu wnukowi, że nie rządę nimi z nadania i zapiszę je w testamencie, komu zechcę. Nie zasługują na to, by przejął je przekupny hrabia, który nie jest godzien tego miana. Tytuły, także odziedziczone, a nie zdobyte, należy szanować, a mój wnuk gardzi najwyraźniej tym, który posiada. Jeśli chce, by Barceloną źle rządził ekskomunikowany hrabia, to jego problem, ale moje hrabstwa są bez skazy i tak pozostanie.

Almodis odetchnęła głęboko, by zachować spokój. Gra szła o dużą stawkę.

— O tym właśnie miałam mówić, pani. Hrabstwo Barcelony należało do waszego męża i wyobrażam sobie, że życycie jak najlepiej jego mieszkańcom. Poparta przez was ekskomunika może skłonić do nieposłuszeństwa poddanych i wasz wnuk, który bardzo was kocha, prosi pokornie, byście ubłagali Wiktora Dru giego o jej cofnięcie. W zamian za tę ogromną przysługę Ramón będzie gotowy uznać wasze *auctoritas*, choć nie *potestas*, w od niesieniu do Barcelony do końca waszych dni i przekazać siedem dziesiąt tysięcy *mancusos* na wasze pobożne dzieła.

Suma ta wywołała na sali głuchy pomruk. Ermesenda milczała dłuższą chwilę, aby skupić uwagę zebranych.

— Pani, propozycja mojego wnuka obraża mnie i Kościół. Jeśli dobrze zrozumiałam, ten szaleniec chce wykupić swą ekskomunikę za siedemdziesiąt tysięcy *mancusos*. Powiedźcie mu, że jego babka, która broniła jak lwica jego praw, gdy był nie pełnoletni, nigdy nie będzie pośredniczyła w symonii, bo tak

właśnie nazywa się kupczenie świętościami. Co do przywileju *auctoritas*, który mi oferuje, muszę mu powiedzieć, że nie jest mi potrzebny, bo w moralnym sensie już go posiadam. Jeśli spyta swoich poddanych, dowie się, że szanują dużo bardziej mnie niż jego. Nie będąc księciem, przekonałby się, jak wysoką cenę płaci się za ekskomunikę. Byłby skazany na ostracyzm, nie odzywaliby się do niego nawet sąsiedzi.

— Czy mam rozumieć, że wasza odpowiedź jest ostateczna i nie ma szans na kompromis? — spytała Almodis, starając się ze wszystkich sił zapanować nad sobą.

— Być może jest on w waszych rękach — odparła Ermesenda z pogardliwym uśmiechem.

— Słucham was.

— Powiedźcie Ramónowi, że jego babka przekaże mu wszystkie posiadłości i przeniesie się do klasztoru, by modlić się o zbawienie jego grzesznej duszy, jeśli porzucicie jego łóżko, odejdziecie od niego i wróćcie do swojego domu, którego nigdy nie powinniście opuszczać.

Almodis skoczyła jak tygrysica.

— Mój dom jest w Barcelonie, u boku mego męża, i nie obchodzi mnie, co o tym sądzicie!

Ermesenda odparła z nutą drwiny:

— Myślę, że sami nie wiecie, gdzie jest wasz dom. W Arles, w Lusignan, a może w Tuluzie. Zdaje się, że z dwóch pierwszych was wyrzucono, a z ostatniego uciekliście.

— Nieszczęsne hrabstwa Gerony i Osony! Mają za hrabinę żmiję! Plujecie jadem, pani.

— Lepiej będzie przełożyć tę rozmowę na jutro — wtrącił się prałat, widząc, że emocje biorą górę. — Poduszka jest dobrym doradcą i pomaga łagodzić obyczaje.

— Biskupie! Zakończymy tę sprawę teraz — zażądała Ermesenda. — Rozumiem, że powinniście interweniować w kwestiach, które dotyczą waszego Kościoła, a pozostajecie najwyraźniej obojętni i tolerancyjni, gdy chodzi o symonię.

— A zatem, panie, będzie lepiej opróżnić salę, jeśli pozwolicie.

Almodis, przeknąwszy zniewagę, ponownie zabrała głos:

— Róbcie, co uważacie za stosowne, biskupie, ale mój kapitan i skryba pozostaną przy mnie. Chcę, by ktoś zaświadczył o bezprawiu, które ma tu miejsce.

— A więc, za pozwoleniem...

Obie hrabiny skłoniły głowę i prałat dał sygnał, by opróżniono salę.

Ludzie wychodzili powoli. Słysząc było szepty i komentarze. Gdy wyszła ostatnia osoba, odźwierny zamknął od zewnątrz drzwi.

Balsareny zwrócił się do Almodis:

— Hrabino, wasza kolej.

Almodis przemówiła spokojnym, lecz dumnym tonem:

— Wierzcie lub nie, kocham waszego wnuka i nie pozwolę, byście mnie osądzali. Wcześniej czy później Kościół ustąpi, jak czyni to zawsze, gdy chodzi o rację stanu, i gdy nie będzie już potrzebne wasze pośrednictwo, by wyjść z tej trudnej sytuacji, w której się znaleźliśmy, pożałujecie, że nie skorzystaliście ze złożonej wam hojnej oferty. Pewnego dnia musicie umrzeć i wasze hrabstwa odziedziczy Ramón, czy tego chcecie, czy nie. Poddani potrafią wyczuć, co jest dla nich korzystne, a wasz wnuk zaoszczędzi fortunę, którą moglibyście przeznaczyć na msze w intencji ulżenia waszej duszy w czyśćcu, bo, sądząc z palącej was nienawiści, długo będzie tam przebywała.

— Rozumiem, pani, że nie zamierzacie porzucić łoża mojego wnuka. Wnioskuje, że nie macie dokąd pójść. Nie martwcie się. Powiedzcie Ramonowi, by dał wam *mancusos*, które przeznaczył dla mnie. Moglibyście założyć dom publiczny gdzieś w Sep-tymanii. Byłoby wam tam najlepiej. Jak mówi przysłowie: „Każdy ptak ma swoje gniazdko”.

— Jesteście zgorzkniałą i odpychającą kobietą! — wybuchnęła Almodis. — Przybyłam tu w pokoju, a wy mnie dręczycie. Uważacie mnie za utrzymankę i kto wie za kogo jeszcze. Dobrze, poznacie prawdę. Wkrótce wasz wnuk i ja będziemy mieli syna. Narodzi się potomek Berenguerów, według was owoc grzechu.

Kiedy dorośnie, matka wyjaśni mu, co o nim mówiła jego prababka, zanim przyszedł na świat. Uważacie, że wasz prawnuk będzie dzieckiem nałożnicy. Ale ten syn ładacznicy, mający w żyłach krew Berenguerów i władców Carcassonne, odziedziczy wszystko: Barcelonę, Geronę i Osonę. *Sic transit gloria mundi**. Pani, ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

Biskup zbladł, a Roger de Toeny wstał nagle i sięgnął prawą ręką do pustej pochwy u pasa, jakby chciał wydobyć miecz. W tym momencie jeden ze skrybów zemdlął i upadł na podłogę, wywracając pulpit i plamiąc atramentem leżący przed nim dokument.

* *Sic transit...* (łac.) — Tak przemija chwała tego świata.

49

Przewrotne plany

Dusza Bernata Montcusiego nie zaznawała spokoju ani ukonjenia. Wisiała nad nim dzień i noc czerwona chmura gniewu i pożądania. Świt zastawał go siedzącego na łożu z baldachimem, wspartego na dwóch poduszkach i całkowicie rozbudzonego. Nie pomagały wywary z opium i maku, które przepisywał mu medyk Halevi. Bał się położyć do łóżka, by śmierć nie przyszła po niego bez ostrzeżenia, gdyż jego dusza byłaby wtedy skazana na wieczne potępienie. Grzech Onana stał się jego nieodłącznym nawykiem i choć starał się powściągać, nie mógł oprzeć się pokusie, by iść co wieczór do swego gabinetu, odsuwać deszczułkę w podłodze i rozkoszować się widokiem nagiego ciała swej pasierbicy.

Dzień po odkryciu sekretu Lai wysłał ją wraz z niewolnicą, by załatwiła jakąś sprawę z dala od domu, i skorzystał z okazji, aby poszperać w jej rzeczach. Bez trudu znalazł szkatułkę. Czując przyspieszony puls, otworzył ją za pomocą niewielkiego wytrycha i zaczął czytać listy. Ich lektura omal nie przyprawiła go o atak nerwowy. Przeczytał je kilka razy i włożył z powrotem do szkatułki, którą zamknął i odstawił na miejsce. Wróciwszy do gabinetu, zaczął rozmyślać, co zrobić. Skąpstwo walczyło w nim z zazdrością i bał się, że gniew skłoni go do pochopnych decyzji.

Ten Marti Barbany przynosił mu krociowe zyski. Już gdy go poznał, wyczuwał intuicyjnie, że to czarny koń, i z czasem okazało się, że miał rację. Teraz, dwa lata po ich pierwszym spotkaniu, umowa, którą zawarł z tym młodzieńcem, zapewniała mu niebagatelne dochody. Co najdziwniejsze, w przyszłości mogły być tysiąc razy większe, jeśli tylko wykaże się sprytem. Nie, stanowczo nie. To nie on powinien rozwiać nadzieje chłopaka. Układał w myślach podstępny plan, by zachować wszystkie korzyści, z których absolutnie nie zamierzał rezygnować. Po pierwsze, Laia musi należeć przez całe życie do niego. To ona powinna odsunąć od siebie Martiego, by chłopak nie żywił urazy do jej ojczyma. Ten uparty młodzieniec musi uwierzyć, że wybranka jego serca darzyła go, być może, przelotnym uczuciem, wygasło ono jednak z powodu upływu czasu i rozłąki. Problem polegał na tym, jak dziewczyna ma przekazać mu tę wiadomość osobiście. Musi koniecznie znaleźć stanowcze argumenty, by pasierbica spełniła jego żądania, dobrowolnie lub pod przymusem.

Uznał, że najlepiej będzie wykorzystać nieobecność amanta, by zrealizować swój plan, gdy dziewczyna nie będzie mogła poprosić nikogo o pomoc ani radę, i postanowił rozwiązać problem jeszcze tego popołudnia.

Laia przybyła w towarzystwie Aixy na modlitwę *Anioł Pański* do kościoła Sant Miquel w nowej lektyce, którą podarował jej ojczym. Potem miały dostarczyć przesyłkę od Bernata do domu za murami Castellnou. Aixa, za pozwoleniem dowódcy eskorty, któremu Bernat Montcusi wydał wyraźne rozkazy, poszła na targ, by spotkać się z Omarem. Gdyby przekazał jej list od Martiego, miała przemycić go do domu pod ubraniem i wręczyć po południu swej pani i przyjaciółce.

Skończywszy modlitwy, Laia, która prosiła nieustannie Najświętszą Pannę o opiekę dla swego ukochanego, wsiadła do lektyki, niesionej przez czterech ciemnoskórych niewolników, i ruszyła wraz z eskortą do pałacu Montcusiego. Wstrząsana ruchami lektyki, ukryta w jej wnętrzu przed wzrokiem ludzi za nieprzezroczystymi zasłonkami, rozmyślała, że ani luksusowa

tapicerka kabiny, ani różowe drewniane zdobienia czy flakoniki z perfumami, ani żadne skarby świata nic nie znaczą, gdy nie ma u swego boku ukochanego, którego jej dziewicze serce już wybrało.

Kiedy dotarli do domu, majordom zakomunikował jej, że pan został wezwany do pałacu i musi jeść sama. Nie mogła usłyszeć lepszej nowiny. Oznajmiła służącemu, że zje w altance, i prosi o skromny posiłek.

Aixa wróciła bez listu, ale z wiadomością, że Marti wyrusza do Sydonu, a stamtąd do innych królestw, by potem w tym samym porcie wsiąść znowu na statek. Omar poinformował ją, że jeśli w ciągu trzech dni wręczy mu list, zadba o to, by czekał on na chłopaka, zanim wypłynie w nowy rejs. Wiadomość dotarła za pośrednictwem kapitana statku, który miał kontakt ze „Stella Maris” w Famaguście.

Laię napełniał szczęściem fakt, że otrzymuje wieści na temat ukochanego, choćby od osób trzecich, gdyż każda z nich zbliżała ją do dnia, gdy znów go zobaczy. Nieoczekiwane wezwanie do gabinetu ojczyma zastało ją w łóżku, gdy błędziła myślami gdzieś daleko.

Doprowadziła się do porządku i wyszła z komnaty, rozmyślając o tym, jak płochę jest szczęście i jak w życiu przeplatają się chwile radosne i przykre.

Służący, który zawsze czuwał obok gabinetu swego protektora, natychmiast ją przepuścił. Laia zastukała do drzwi i usłyszała znajomy oschły głos ojczyma.

— Wejdz.

Dziewczyna uchyliła lewe skrzydło drzwi i wysunąwszy głowę przez szparę, zapytała:

— Wzywaliście mnie?

Doradca, usadowiony za biurkiem, podniósł się uprzejmie i przytaknął.

— Tak, moja córko. Wejdz i rozgość się.

Laia miała złe przeczucia i podejrzewała, że coś wisi w powietrzu. Przeszła powoli przez gabinet i usiadła naprzeciwko ojczyma.

Tymczasem Bernat, jak miał w zwyczaju, bawił się nożem leżącym na srebrnej tacy. Zapadła martwa cisza. Wreszcie starzec zaczął poważnym głosem:

— Zawiodłaś mnie, Laio.

Dziewczyna uniosła brwi i utkwiała w nim pytające spojrzenie dużych szarych oczu.

— Nadużyłaś zaufania, którym darzyłem cię jako ojciec.

— Rozmawialiśmy już o tym tysiąc razy — odparła Laia napiętym, ale stanowczym głosem. — Nie jesteście moim ojcem.

Bernat rzucił nóż na stół.

— I cieszę się z tego! Może nawet jest mi to bardziej na rękę. Tak czy inaczej, odpowiadam za ciebie. Mieszkasz pod moim dachem, żyjesz dostatnio na mój koszt i w tym domu nic nie ujdzie mojej uwagi. Oszukałaś mnie, Laio. Ktoś zawrócił ci w tej główce, którą tak kocham, i ośmieliłaś się podejmować decyzje leżące tylko w mojej kompetencji.

— Nie podnoście głosu, dobrze was słyszę. Żyję ze spadku, który mój prawdziwy ojciec zostawił matce, i niczego od was nie chcę ani nie potrzebuję — odparła Laia, zdumiona swą śmiałością.

— W porządku, dopóki nie osiągniesz pełnoletności, jestem twoim opiekunem, co daje mi prawo inwestowania twojego spadku, jak uznam za stosowne. Mogę sprawić, że zostanie roztrwoniony i odziedziczysz tylko ruiny. Albo dostaniesz pokazny majątek. Wszystko zależy od ciebie.

Laia zastanawiała się przez chwilę, nie wiedząc wciąż, o co chodzi.

— Od czego to ma zależeć? Czym zasłużyłam sobie na takie groźby?

— Skoro uważasz się za kobietę, potraktuję cię jak dorosłą. Przechowujesz w szkatułce w swoim pokoju pewne listy, które podważają zaufanie, jakim do dziś cię darzyłem.

Twarz dziewczyny śmiertelnie pobladła, a jej ciało oblał zimny pot. Przełknąwszy ślinę, czekała.

— Mówią o miłości i, jak wnioskuję, stanowią odpowiedź na

inne, które niewątpliwie ty napisałaś. Miej dość przyzwoitości, by mi to wyjaśnić.

— Dobrze — odparła Laia, powstrzymując westchnienie. — Kocham Martiego i zamierzam za niego wyjść, gdy będę pełnoletnia, nawet jeśli mnie wydziedziczą albo roztrwonczą mój majątek. Dobra tego świata nie mają dla mnie znaczenia. Poza tym — dodała stanowczo — o ile wiem, nikczemnością jest grzebać w cudzych sekretach.

Bernat uśmiechnął się perfidnie.

— To mój obowiązek. Zawiódłbym zaufanie, jakie pokładała we mnie twoja matka, gdybym nad tobą nie czuwał, dopóki jeszcze nic nie wiesz o życiu.

— Nie wspominajcie o mojej matce, która umarła na pół obłąkana z waszej winy! Wolę, byście się o mnie tak bardzo nie troszczyli, jeśli to oznacza, że nie mogę pisać, do kogo chcę.

— Szalona dziewczyno! Mogę zrobić z tobą, co mi się spodobą, odesłać cię do klasztoru albo wydać za kogokolwiek, i będziesz musiała być mi posłuszna.

— Róbcie ze mną, co chcecie, ale nikt nie będzie rządził moimi myślami.

Starzec zmienił ton.

— To wszystko dla twego dobra, Laio. W ciągu całego życia nie spotkałem nikogo, kto byłby cię godzien. Jeśli będziesz dla mnie dobra i spełnisz moje życzenia, zostaniesz po mojej śmierci najbogatszą kobietą w Barcelonie.

— A jakie są wasze życzenia? — spytała Laia drżącym głosem.

— Znam cię od dziecka. Przełałem na ciebie całą miłość, jaką darzyłem twoją matkę. Nadszedł czas, byś wyszła za mąż. Jesteś już kobietą. Różnica wieku, która nas dzieli, to żadna przeszkoda, gdyż w naszych hrabstwach jest wiele takich par. Niedobrze, by mężczyźni w pełni sił nikt nie grzał łóżka. Jestem wiernym synem Kościoła i nigdy nie oddawałem się płatnym rozkoszom z kobietami lekkich obyczajów. Sam hrabia by nam pobłogosławił i byłby naszym świadkiem. A ja zadbałbym o to, by fakt, że jestem twoim ojczymem, nie stanowił przeszkody.

— Bez wątpienia postradaliście zmysły. Nigdy, rozumiecie, nigdy się na to nie zgodzę! — krzyknęła Laia ze łzami bezsilności w oczach.

— Dobrze. Niech tak będzie. Sama tego chciałaś. Zaszczy cięm cię propozycją małżeństwa, a ty ją odrzuciłaś. Zważaj na konsekwencje — powiedział Bernat, którego obojętny głos z trudem maskował wściekłość.

— Zapewniam was, że przy pierwszej okazji ucieknę, choć bym nie miała dokąd pójść.

Głos doradcy brzmiał teraz jak syk węża.

— Niczego takiego nie zrobisz. Wyjaśnię ci, jak od tej chwili wszystko będzie wyglądało. Listy nie przyfrunęły do tego domu same i dobrze wiem, kto je dostarczał. Od ciebie zależy, co spotka tę dziewczynę. Każę zamknąć Aixę w odosobnieniu. Jeśli okażesz mi posłuszeństwo, pozwolę ci zanosić jej codziennie wodę i jedzenie. Będiesz dzięki temu wiedziała, że wciąż żyje. Napiszesz list do swego ukochanego, że przeszedł ci już kaprys. Użyj słów, jakich zechcesz. Miej na względzie, że chcę, by ten młodzieniec przypisał swoje rozczarowanie kobiecym fanaberiom. Nie życzę sobie, by myślał, że mam z tą sprawą coś wspólnego. Powiedziałem mu kiedyś, co prawda, że nie jest godzien twojej ręki, ale niech lepiej sądzi, że z mojej strony nie byłoby problemu, gdyż od tamtej pory jego sytuacja bardzo się zmieniła i przeczuwam, że zdobędzie władzę i bogactwo. Podkreślisz więc, że to wyłącznie twoja decyzja. Aha, i postaraj się wyrażać o mnie z szacunkiem. Nie pozwolę, by w moim własnym domu podważano mój autorytet. Teraz możesz odejść.

50

Pelendri

Kiedy Marti dotarł do gospody Pod Minotaurem w wymiętym ubraniu, Nikodemos, który stał za kontuarem, przeraził się na jego widok.

— Mówiłem wam przecież, że to niebezpieczne miejsce. Spotkało was coś złego?

— Nie to, co myślicie. Musiałem wskoczyć do morza, by pomóc nieszczęśnikowi, który się topił.

Nikodemos pokręcił głową.

— We wszystkich portach jest niebezpiecznie, ale w naszym o pewnych porach trzeba szczególnie uważać.

— Nic mi nie jest i mam czyste sumienie. Spełniłem dobry uczynek. Gdybym nie poszedł na kolację do Złotego Małża, być może teraz jedna dusza więcej byłaby już na tamtym świecie.

— Cieszę się przez wzgląd na was, ale gdyby to ode mnie zależało, posłałbym do piekła wszystkich pijanych marynarzy z Famagusty.

Marti nie podjął tematu i poinformował gospodarza o zmianie planów.

— Chciałbym, byście zawiadomili waszego szwagra, żeby przyjechał po mnie później. Muszę wrócić na statek, którym

wczoraj tu przyplłynalem, zanim wyruszę do Pelendri. Zostawilem na pokładzie coś ważnego.

— Nie obawiajcie się, wiem, gdzie go znaleźć. Gdy tylko wszędzie słońce, spotkam się z Elefteriosesem. Kiedy ma po was przyjechać?

— Dajcie mi znać po południu i niech przyjedzie wieczorem. Następnego dnia Marti wstał wcześnie, gdyż przed wyruszeniem do Pelendri musiał załatwić wiele spraw w Famaguście.

Jego plan był prosty: zamierzał wsiąść na pokład „Stella Maris”, gdyż jej kurs mu odpowiadał, i popłynąć do Sydonu, aby tam dołączyć do jakiejś karawany udającej się do Kerbali. Musiał w tym celu skontaktować się z Basilisem Manipoulosem i poprosić, by na niego zaczekał.

Wszystko szło po jego myśli. Elefterios odebrał go punktualnie i zawiózł swą starą dwukólką do redy, gdzie kotwiczyła „Stella Maris”. Marti polecił mu, by czekał na szczycie skarpy, i zszedł po rampie na plażę. W oddali dostrzegł smukłą sylwetkę statku Greka. Na brzegu dwaj starzy rybacy gawędzili w oczekiwaniu, aż ktoś wynajmie jedną z ich wypłowiałych szalup, by dotrzeć do któregoś ze stojących na redzie statków. Marti, uzgodniwszy cenę, wsiadł do wysłużonej łupiny z postacią dumnego smoka na dziobie. Jeden z rybaków zajął miejsce przy wiosłach, a drugi, w podciągniętych do połowy łydek połatanych spodniach, zaczął spychać łódkę do wody. Umieszczając jedno z wiosel w dulce, stary rybak zauważył, że jego pasażer przygląda się ciekawie galionowi, przerwał więc na chwilę i powiedział:

— To smok. Dokąd płyniemy?

— Do tego statku z czarnym kadłubem i ostrym dziobem, który kotwicz przy trierze*. Gdy się zbliżymy, zobaczycie na jego rufie napis „Stella Maris”.

Stary rybak zaczął wiosłować i mówił dalej.

— Za młodu pływałem z piratem z Maghrebu, który był prawdziwym diabłem. Nazywał się Draco. Wszystkiego, co wiem

* Trieria — okręt z trzema rzędami wiosel po każdej stronie kadłuba.

O morzu, nauczyłem się od niego. Na jego cześć wyrzeźbiłem ten galion w kształcie smoka*.

— Jest bardzo piękny.

— Cieszę się, że wam się podoba. Wasza miłość jest na pewno wilkiem morskim.

— W pewnym sensie. Jestem współwłaścicielem statku. Kimś w rodzaju armatora.

— Od razu wiedziałem, gdy tylko weszliście do łodzi. My, ludzie morza, chodzimy inaczej niż wszyscy.

— To pewnie dlatego, że spędzam dużo czasu na pokładzie.

— Wasza miłość jest wciąż w podróży?

— Owszem. Zobaczę, czy uda mi się zaokrętować na „Stelli”.

— Jakże wam zazdroszczę! Kiedy żyło się na morzu, a na starość trzeba osiąść na plugawej ziemi, tęsknota staje się przekleństwem. Każdy marynarz wolałby, by jego szkielet został wyrzucony na plażę jak wręgi kadłuba statku, zamiast umierać powoli i skończyć w ciemnym grobie.

Marti postanowił nie ciągnąć rozmowy, by rybak, który ciężko dyszał, skupił się na wiosłowaniu, dopóki więc nie dotarli na miejsce, nie powiedział już ani słowa.

Jeden z marynarzy, którzy pełnili wachtę, rozpoznał Martiego i rzucił mu przez burtę sznurową drabinkę. Zanim po niej wszedł,

odwrócił się do starca w łodzi i powiedział:

— Zaczekajcie, aż wrócę. Nie martwcie się, że tracie czas. Hojnie was wynagrodzę.

— Zostanę tu, aż raczycie wrócić, kapitanie.

Marti uśmiechnął się w duchu, słysząc, jak tytułuje go rybak.

Gdy stanął na znajomym pokładzie i poczuł ulubione zapachy, odetchnął z rozkoszą.

— Czy kapitan jest na statku?

— Znajdziecie go w kabinie.

Marti zostawił marynarza na wachtce i skierował się do kajuty Basilisa.

* Smok to po hiszpańsku *dragon*.

W chwili gdy zamierzał prosić o pozwolenie na wejście, otworzyły się drzwi i w progu pojawiła się pokraczna postać kapitana. Jego zdziwienie ustąpiło szybko miejsca radości, gdyż podczas rejsu zdążyli bardzo się zaprzyjaźnić.

— Jaka miła niespodzianka! Sądziłem, że jesteście już w Pelendri.

— Taki miałem zamiar, ale przeznaczenie wytycza nam ścieżki i coś, co wydarzyło się minionej nocy, zmieniło moje plany, tak więc sprawa miedzi, którą zajmę się jeszcze dzisiaj, zesłała na drugi plan.

— Zatem co jest teraz najważniejsze?

— Rozmowa z wami.

Greki zmrużył oczy.

— Słucham was.

— Otóż, Basilisie, gdyby to było możliwe, bardzo bym chciał popłynąć waszym statkiem do Sydonu, jeśli nadal się tam wybieracie.

— Oczywiście. Powtarzam zarazem, że na moim statku za wsze będzie wisiała koja, którą możecie zająć. Widzę tylko jedną niedogodność.

— Jaką?

— Jak wam wspomniałem, ludzie, z którymi muszę zobaczyć się w Nikozji, są naprawdę trudni i wciąż nie wiem, kiedy stąd wyruszę.

— Nieważne. Mieszkam w gospodzie Pod Minotaurem. Będę czekał na wiadomość i wsiądę na statek, gdy tylko zjawi się u mnie posłaniec. Z wyjątkiem tej nocy i być może następnej, którą spędzę w Pelendri, próbując załatwić sprawę miedzi, będę codziennie w Famaguście.

— Nie trzeba nic więcej ustalać. Teraz wybaczone mi, muszę zejść na ląd, żeby zaopatrzyć statek w solone ryby, suchary i inną żywność. Chcę osobiście nadzorować załadunek. Cypryjczycy to znakomici kupcy, ale są bardzo przebiegli. Musieli przetrwać rządy różnych najeźdźców. Gdy tylko mogą, oszukają cię. Ich spryt jest legendarny.

— Czekaj na mnie szalupa, a na plaży dwukółką. Jeśli chcecie, możemy pojechać razem do Famagusty, a potem wyruszę do Pelendri.

— Wyświadczacie mi przysługę. Pozwólcie, że wydam rozkaz bosmanowi i zaraz do was dołączę.

Obaj mężczyźni wsiedli do szalupy. Marti, dotarłszy do plaży, rozliczył się ze starym marynarzem i zostawiwszy mu sowity napiwek, wspinał się z Basilisem po rampie. Elefterios dowiózł ich dwukółką do Famagusty. Tam Grek wysiadł, a Marti pojechał z Elefteriosem do Pelendri.

51

Cela

Laia wciąż nie mogła uwierzyć w groźby ojczyma. Wiedziała, że jest skąpy, popędliwy i niegodny względów hrabiego, ale nigdy nie wyobrażała sobie, by człowiek, którego kochała jej matka, był zdolny do takiej nikczemności. Aixa zniknęła z jej życia. Podejrzewała, że została wysłana do jednej z wielu posiadłości jej opiekuna, by nie miała z nią styczności. Przydzielono jej nową służącą, tym razem całkowicie oddaną ojczymowi. Jej rozmyślania przerwało ciche stukanie do drzwi.

— Proszę!

Zobaczyła w progu surową i skwaszoną twarz guwernantki, która zastąpiła jej wierną i ubóstwianą Aixę.

Kobieta weszła do komnaty i postawiła na stole tacę z miską zupy, talerzem wybornego gulaszu z zająca i ciastem czereśniowym, które Laia uwielbiała.

— Zjecie w waszym pokoju. To rozkaz pana. Kiedy skończycie, macie być gotowa, bo ojciec życzy sobie widzieć was w swoim gabinecie.

Nie czekając na odpowiedź, oschła guwernantka wyszła, uznawszy, że polecenie jej pana się nie kwestionuje ani nie wymagają one żadnych komentarzy.

Laia, niemal nie tknąwszy jedzenia, czekała. Po pewnym czasie Edelmunda, bo tak miała na imię jej strażniczka, wróciła po nią.

— Jesteście gotowa? Wiecie, że don Bernat nie lubi, gdy każe mu się czekać.

Laia wstała i skinęła głową.

— A więc chodźcie za mną. Muszę zaprowadzić was osobiście do gabinetu.

— Czy mam uważać, że jestem więźniarką w moim własnym domu?

— Wypełniam tylko polecenia. Tak czy inaczej, gdybyście nie nadużyli zaufania waszego ojca, nie doszłoby do tego.

Obie kobiety, przechodząc przez kolejne komnaty i długie korytarze, dotarły wreszcie do gabinetu Bernata Montcusiego.

Guwernantka zastukała w jedno ze skrzydeł drzwi i oznajmiła swemu panu:

— Don Bernacie, przyprowadziłam waszą córkę, tak jak kazaliście.

Z wnętrza dobiegł ochryply głos doradcy:

— Niech wejdzie i zaczekaj na korytarzu, żeby odprowadzić ją do jej komnat, kiedy skończymy.

Guwernantka nacisnęła klamkę i dała dziewczynie znak, by weszła. Laia spełniła jej polecenie i czekała przestraszona, aż ojczym powie jej, co ma robić. Ten, ignorując jej obecność, pisał coś zabarwionym na czerwono gęsim piórem, które od czasu do czasu maczał w stojącym przed nim kałamarzu. Po dłuższej chwili, posypawszy pergamin proszkiem, by osuszyć atrament, podniósł wzrok i jakby dopiero teraz ją zobaczył, powiedział nieoczekiwanie miłym głosem:

— Ach, więc jesteś! Podejdź i usiądź, maleńka. Nie stój w drzwiach.

Laia podeszła do stołu i usiadła w fotelu, który zawsze zajmowała.

— Powiedz mi, co u ciebie. Jak się mają sprawy?

Ani ton jego głosu, ani treść pytania nie potwierdziły podejrzeń

Lai, nie chcąc więc drażnić starca i próbując zyskać przewagę, odparła spokojnie:

— Nie mam o czym opowiadać. Wiecie wszystko o moim życiu. Jest dość monotonne. Poza tym pozbawiliście mnie osoby, która dodawała mu barw i darzyła mnie uczuciem.

Monteusi zachował spokój.

— Muszę nad tobą czuwać, Laio. Ta osoba, którą nawet trudno tak nazwać, bo jest niewolnicą, oszukała mnie i nadużyła mego zaufania. Nie obarczam cię odpowiedzialnością za to, co zaszło, bo jesteś jeszcze zbyt młoda. To ona zawróciła ci swymi sztuczkami w tej cudownej głowce, którą tak uwielbiam i która dotąd dostarczała mi wyłącznie radości.

— Przykro mi, ale nie macie racji. Ona była moją radością, moją towarzyszką i podporą, moim schronieniem, którego od śmierci matki tak mi brakowało, a wy mi ją odebraliście.

— Ale nie zaprzeczysz, choć nie ułatwiasz mi sprawy, nie chcąc wyjawić, gdzie spotykałaś się z tym chłopcem, że pomagała ci w tym twoja niewolnica, którą jedynie po to podstępnie tu podesłano, a nie dla jej pięknego głosu i słodkich pieśni.

Laia dostrzegła w tej odpowiedzi lekką zmianę nastawienia ojczyrna i chociaż broniła przyjaciółki, starała się go nie prowokować.

— Poznałam Martiego na targu niewolników i Aixa nie miała z tym nic wspólnego, gdyż właśnie tego dnia ją sprzedawano. Po prostu nie chcecie zauważyć, że dorosłam i nie jestem już małą dziewczynką.

W głosie doradcy brzmiała teraz ironia.

— Właśnie to mówię. Bez wątpienia dorosłaś. Jesteś już kobietą. Ale przejdźmy do kwestii korespondencji. Mam uwierzyć, że listy, które ukrywałaś w szkatułce, przyfrunęły do tego domu? Ubolewam, że sam zgodziłem się na to, by Aixa wkroczyła w nasze życie. Zamiast być mi wdzięczną, okazała się podstępna jak skorpion, służąc u mnie, lecz wypełniając rozkazy swego dawnego pana. Powiedz mi, kto przynosił ci pocztę?

— Nie powiem, jak docierały do mnie listy — odparła Laia drżącym głosem. — Ale zapewniam was, że ona nie miała z tym nic wspólnego.

— Posłuchaj, Laio, nie cierpię, gdy ktoś traktuje mnie jak głupca i lekceważy mój intelekt. Ta głupia dziewczyna była twoim posłańcem, a ty wpadłaś w sidła jak pierwsza naiwna. Ale chcę o tym wszystkim zapomnieć. Moja miłość do ciebie i moja hojność sprawią, że ta niemiła sprawa pójdzie w niepa mięt. — Bernat Montcusi przemawiał łagodnie i patrzył czule na swą pasierbicę. — Proponuję ci ponownie, byś została moją żoną.

— Odmawiam! To nonsens!

Ton jego głosu nagle się zmienił:

— Mogę cię do tego zmusić!

Laia wstała. Drżała z gniewu i ze strachu.

— Prędszej rzucę się z wieży! — krzyknęła.

— Już ja potrafię cię przekonać.

— Nie traćcie czasu. Szybciej słońce zgaśnie na niebie, niż mnie posiadziecie.

— Nie jestem magiem, moja moc ogranicza się do tego świata.

— Zatem powiedzcie mi, co zamierzacie.

Doradca hrabiego milczał celowo przez dłuższą chwilę, podczas gdy Laia, na jego niemy rozkaz, ponownie usiadła. Kiedy to uczyniła, Bernat Montcusi powiedział powoli głosem pozbawionym emocji:

— Wyjaśnię ci, co zrobię. Każę obedrzeć Aixę ze skóry w twojej obecności. Znasz mnie dobrze i wiesz, że dotrzymuję słowa.

Laia zaniemówiła.

— Potrzebuję twojej zgody, abyś została moją żoną, ale nie nałożnicą. Jak słusznie zauważyłaś, jesteś już kobietą, więc wiesz, co to oznacza. Każdej nocy, gdy tylko będę miał ochotę, przyjdź miesz mnie w swoim łóżku.

Laia pokręciła głową, patrząc błędnym wzrokiem.

Prohom wstał.

— Chodź ze mną!

Z trudem wygramolił się zza stołu i ruszył wielkimi krokami do drzwi.

Laia, niemal bezwiednie, poszła za nim.

Gdy otworzył drzwi, siedząca na ławie guwernantka podniosła się zaniepokojona. Bernat, wyglądając jak bazyliszek i sapiąc jak miech, przeprowadził dziewczynę przez komnaty do spiralnych schodów prowadzących do podziemi budynku, strzeżonych przez uzbrojonego strażnika. Doradca odsunął gwałtownym gestem jego włócznię. Dziewczyna, która nigdy nie schodziła po tych schodach, podążała za nim, ledwo dotrzymując mu kroku. Dotarłszy do drugiej piwnicy, Bernat wziął jedną z pochodni, które oświetlały wilgotne ściany, i podszedł do strażnika drzemącego na taborecie przy wąskim stoliku z głową wspartą na ramionach. Doradca obudził go kopniakiem.

— Tak pilnujesz, głupku? Każę złoic ci grzbiet jesionową różgą, aż wyplujesz trzewia. Otwieraj natychmiast ostatnią celę!

Strażnik zbladł jak trup i zaskakująco zwinnie, zważywszy na jego tuszę, zerwał się z taboretu. Ściągnąwszy z haka na ścianie pęk kluczy, skierował się do drzwi w głębi piwnicy. Gdy je otwierał, zawiasy głośno zaskrzypiały. Potem odsunął się na bok. Pochodnia oświetliła wnętrze celi.

W głębi leżała na kamiennej ławie nieruchoma postać.

Głos Bernata rozbrzmiał echem między ścianami.

— Oto ona! Zobaczmy, czy ją rozpoznasz.

Laia podeszła do ławy i odsunęła koc zakrywający skuloną postać. Zmierzwiłone włosy przesłaniały twarz osoby, która tam leżała. Laia odgarnęła je ręką. Między zakrwawionymi kosmykami zobaczyła opuchniętą twarz swojej niewolnicy.

— Co oni ci zrobili, moja przyjaciółko? — wykrztusiła z trudem.

Aixa patrzyła na nią nieprzytomnym wzrokiem. Za jej plecami rozległ się głos Bernata.

— To jeszcze nic w porównaniu z tym, co mogę zrobić.

Laia skoczyła jak pantera.

— Jesteście odrażającą bestią! Budzicie we mnie wstręt!

— Na razie żyje i jeśli okażesz się rozsądna, nie umrze. Jeżeli mnie nie posłuchasz, obedrę ją żywcem ze skóry na twoich oczach. Masz jeden dzień na podjęcie decyzji. Bądź grzeczna i rozważna, a ocalisz jej życie, choć nie jest nic warte. Wszystko zatem w twoich rękach. Teraz wróć do swoich komnat i zastanów się. Wiem, że przyjmiesz moją hojną propozycję. Od tej chwili bądź przygotowana. Ja zdecyduję, kiedy będzie ten pierwszy raz. To jest coś, co każda kobieta zapamiętuje na całe życie.

Dobry samarytanin

Nadszedł dzień zaokrętowania. Głowa Martiego była pełna pomysłów, a jego serce pulsowało nadzieją. Instynkt podpowiadał mu, że jest na właściwej drodze, by osiągnąć tak upragniony cel, i że opatrność mu sprzyja. Jeśli wszystko uda się, tak jak przeczuwał, wkrótce może ogromnie się wzbogacić. Pomyślał, że los bywa czasem kapryśny. Niektórzy, jak Jazon i Argonauci, gonią przez całe życie za złotym runem, a jemu wystarczy jedno udane przedsięwzięcie, które —jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem — miało przynieść krociowe zyski.

Wyprawa do Pelendri okazała się udana, a spotkanie z Theopanosem Avidisem owocne. Człowiek ten, przyjaciel Basilisa Manipoulosa, zajmował się handlem miedzią. Był nie tylko pośrednikiem, ale eksploatował także własną kopalnię, zaoferował więc Martiemu dobrą cenę w zamian za przysługi, które wyświadczał mu Grek. Przesłał Basilisowi za jego pośrednictwem dzban czerwonej pachnącej żywicy, którą nazywał mirrą, i która, jak mu wyjaśnił, miała ogromną wartość i była bardzo ceniona jako składnik perfum. Marti dobrze to zapamiętał i zamówił u niego na kolejny rejs znaczną ilość tej substancji, płacąc z góry połowę należnej sumy pod warunkiem, że w stosownym momencie kupiec dostarczy ją na statek do portu w Famaguście.

Załatwiwszy sprawy, Marti wrócił do Famagusty dwukółką Elefteriosa, któremu zapłacił, by towarzyszył mu przez cały czas jego pobytu w Pelendri.

Dotarli do Minotaura pod wieczór. Pożegnawszy się z woźnicą, który wszedł przywitać się ze swoim szwagrem i oznajmić mu, że teraz on jest jego dłużnikiem, gdyż dobrze zarobił na długiej podróży, Marti spytał Nikodemos, czy są dla niego jakieś nowiny. Przyszła wiadomość od Manipoulosa: „Stella Maris” wypływa nocą w następną sobotę i Marti powinien być na plaży po południu, gdyż Grek chce wyruszyć, korzystając z przypływu. Marti ma zatem trzy dni do wyjazdu.

Kiedy, pozdrowiwszy Elefteriosa i podniósłszy z podłogi swą torbę, ruszył w kierunku schodów, usłyszał głos Nikodemos.

— Aha, dziś rano pytał o was pewien człowiek. Chciał wie dzieć, kiedy wrócicie, bo miał dla was jakiś list, który pragnął wam osobiście wręczyć. Zważywszy na to, co mi mówiliście, odpowiedziałem, że wkrótce będziecie. Obiecał przychodzić tu co rano, ale prosił, byście nie wyjeżdżali, nie zobaczywszy się z nim.

Marti, mimo ogromnego zmęczenia, nie mógł zasnąć. Miał w głowie chaos. Wyobrażał sobie spotkanie z Hasanem al-Malikiem w Kerbali, to znów wracał myślami do Barcelony i rozmawiał z Bernatem Montcusim, oddając mu w zamian za Laię *sponsalici*, których skąpy zarządca się domagał. Nic nie miało znaczenia, gotów był zapłacić każdą cenę, aby uzyskać zgodę na ślub z wybranką, choćby nawet musiał zaczynać wszystko od nowa. Słyszał tej nocy co godzinę bicie dzwonów pomieszane z modłami muezinów w minaretach. Ich dźwięczne brzmienie przypominało mu ukochaną Barcelonę.

Kiedy zaczęły bić zgodnie, Nikodemos zapukał do jego drzwi.

— Kto tam?

— Wasz człowiek czeka na dole.

Marti wyskoczył z łóżka. Nawet się nie ogolił, włożył tylko spodnie, zawiązał na węzeł kaftan, zasznurował buty i zbiegł spiesznie po schodach na spotkanie z Hasanem, który czekał

w jadalni. Gdy pocałował go zwyczajowo trzy razy w policzki i spytał, jak się czuje po tym, co mu się przydarzyło, Hasan wyjął z sakwy dwa pergaminy i wręczył je Martiemu. Widząc jego pytające spojrzenie, wyjaśnił:

— Jak wam wspominałem, nie umiem pisać. Kiedy dostaję wiadomość albo muszę wysłać jakieś pismo, proszę o pomoc przyjaciela, koptyjskiego mnicha, który czyta mi listy i pisze pod moje dyktando to, co chcę przekazać. Mój brat zna wasz język. Wiadomość jest napisana po łacinie, abyście ją zrozumieli.

Marti wziął papiery, które wręczył mu Hasan, i zbliżywszy się do okna, przeczytał:

Drogi Rashidzie,

Ten list stanowi dowód, że jestem jeszcze wśród żywych. Zawdzięczam ten cud człowiekowi, który Ci go wręczy. Zostałem napadnięty i wrzucony do morza w porcie w Famaguście przez dwóch zbirów i gdyby nie odwaga Martiego Barbany, tego, który wręczy Ci ten list, zostałbym pożarty przez stwory zamieszkujące morskie otchłanie.

Podczas owej długiej nocy, gdy odprowadził mnie do domu w opłakanym stanie, mieliśmy czas porozmawiać o wielu sprawach. Mój dobroczyńca jest kupcem z jednego z hrabstw katalońskich i interesuje go handel gęstą ciecżą, którą od czasu do czasu mi przysyłasz i którą bawiliśmy się w dzieciństwie z naszymi braćmi i kuzynami, podpalając pochodnią bańki na powierzchni jeziora w sąsiedztwie domu. Wyjaśniłem już Martiemu, jak trudno tę substancję przewozić i że prawie do niczego się nie nadaje, ale on uważa, że może przynieść zyski i jemu, i Tobie. Wiele mu zawdzięczam i poznając go z Tobą, spłcę przynajmniej drobną część ogromnego długu, który u niego zaciągnąłem.

Wysłuchaj jego próśb i pokaż, że my, potomkowie

Sasanidów, potrafimy okazywać wdzięczność. Chciałbym, abyś teraz, gdy pochowałeś już naszą matkę staruszkę i nic Cię nie zatrzymuje na naszej ziemi, sprzedał posiadłość, o ile znajdziesz kupca, i przyjechał do mnie do Famagusty. Wiesz, dlaczego ja nie mogę wrócić. Cieszyłbym się, gdybyś nie wiązał już swego życia ze wspomnieniem z młodości, które czas i odległość wyidealizowały w Twojej pamięci. Tutaj mieszkalibyśmy nad morzem. Spędzalibyśmy dni i noce, wspominając dobre czasy i przy wtórze Twojej bałajki śpiewalibyśmy stare piosenki z dzieciństwa. Nic by mnie bardziej nie uszczęśliwiło niż ponowne spotkanie z Tobą.

Przyjmij, mój drogi, mocny uścisk od Twego brata

Hasan

Przeczytawszy list, Marti odwrócił się do swego nowego przyjaciela.

— Hasanie, powiedziałem wam już, że nie macie wobec mnie żadnego długu.

— Ja tak nie uważam.

— Przesadnie mnie chwalicie.

— Powiedziałem tylko prawdę. Czyż nie?

— Sto razy postąpiłbym tak samo, zwłaszcza wiedząc, jak dobrym jesteście człowiekiem. — Marti uśmiechnął się do niego i odważył się zapytać: — Wybaczcie moją ciekawość, ale z jakiego powodu nie możecie pojechać do brata?

Oczy Hasana napęłniły się smutkiem.

— Nie mówmy o tym. To nasze sprawy. A teraz posłuchajcie uważnie. Autentyczność pisma potwierdza znak na marginesie pergaminu. To symbol kabalistyczny, który podczas dziecięcych zabaw wycinaliśmy w korze drzew. Dzięki temu mamy pewność, kto jest nadawcą listu. Dajcie mi go.

Marti wręczył mu pergamin i Hasan, wydobywszy z torby

kałamarz i pióro, położył go na stole i nakreślił na marginesie litery X i P wpisane w dziwny okrąg. Był to ten sam znak, który widniał na ścianie jego mieszkania. Kiedy skończył, nagryzmolił coś pod spodem.

— Niech teraz wyschnie.

— Posłuchajcie, Hasanie, chcę, byście wiedzieli, że jeśli to, co zamierzam, się powiedzie, uczynię was najbogatszym czołwiekiem w Famaguście.

— Moim szczęściem jest to, że was poznałem. Poza tym, człowiek jest tym bogatszy, im mniej potrzebuje. Już jestem najzamożniejszy na tej wyspie. Idźcie z waszym Bogiem i niech ma was w opiece.

Marti, wzruszony, uściśnął Hasana, a ten zabrał swoje rzeczy i pomaszzerował bez słowa w kierunku portu.

W potrzasku

Wydarzenia nabierały tempa. Laia zachodziła w głowę, co robić, starając się zyskać na czasie i czekając na cud. Łudziła się nadzieją, że otrzyma wiadomość, iż Marti wrócił albo jest już w drodze. Tymczasem błąkała się po domu niczym potępiona dusza, rozmyślając, jak spotkać się z Omarem, którego kiedyś poznała i wiedziała, gdzie go szukać. Gdy tylko mogła, przechodziła obok wejścia do piwnicy, którego zawsze strzegł wartownik.

W porze posiłku usłyszała ciche stukanie do drzwi i do jej komnaty wszedł, nie czekając na pozwolenie, Bernat Montcusi. Na jego widok natychmiast zerwała się z łóżka. Ojczym usiadł na krześle i wskazał jej gestem, by zrobiła to samo. Jednakże Laia woląa stać.

— Przykro mi, że nie jadasz ze mną. Jesteś nieuprzejma, ale tym się nie przejmuję. Martwi mnie jednak to, co słyszę od twojej opiekunki: że nie chcesz tknąć jedzenia, które przynoszą ci z kuchni.

— Nie mam apetytu — mruknęła Laia, nie mogąc patrzeć ojczymowi w oczy.

— Szkoda, bo wydałem rozkazy, by podawali twojej niewolnicy, która była ostatnio bardzo wycieńczona, tyle jedzenia, ile

ty zjesz. Nie tej samej jakości, oczywiście. No dobrze, skoro ty nie chcesz jeść, ona też będzie musiała pościć. Laia poczuła, że ogarnia ją wściekłość.

— Nigdy was nie lubiłam i nie mogłam zrozumieć, dlaczego moja matka was poślubiła. Nie sądziłam jednak, że będziecie zdolni do takiej podłości.

— Muszę się o ciebie troszczyć, moja droga. Twoja matka gorąco mnie o to prosiła. Skoro nie chcesz jeść, muszę znaleźć sposób, by cię do tego zmusić. Kwiat twego oblicza nie może zwiędnąć. Ogrodnik musi dbać o powierzone mu róże i ja właśnie to robię.

— Co mam uczynić, żebyście okazali miłosierdzie Aiksie?

— Jeśli napiszesz posłusznie list, który ci podyktuję, i powiesz mi, w jaki sposób przekazać go twemu amantowi, może będę wspaniałomyślny.

Nic nie mówiąc, Laia usiadła przy biurku, gotowa napisać wszystko, co podyktuje jej ten nikczemnik. Potem będzie miała czas na wyjaśnienia. Musi za wszelką cenę ocalić Aixę. Naszykowała przybory do pisania i spytała poważnie:

— Pergamin czy skóra?

Bernat, mile zaskoczony postawą dziewczyny, starał się być uprzejmy.

— Pisz tak, jak zazwyczaj. Twojego ukochanego nic nie powinno zdziwić.

Te słowa sprawiły, że Lai zaświtała w głowie pewna myśl. Miała zwyczaj używać do pisania zielonego atramentu, stawiać obok daty mały krzyżyk i skrapiać listy, które wysyłała do Martiego, kroplami wody różanej. Tym razem zrezygnowała z tego wszystkiego, mając nadzieję, że jej ukochany to zauważy i wyciągnie stosowne wnioski. Wyjęła z teczki pergamin, otworzyła kałamarz z czarnym atramentem i umoczywszy w nim koniec gęsiego pióra, podniosła wzrok, oczekując instrukcji starca.

— Pisz jak najstaranniej. Powiedz, gdybym dyktował za szybko.

Barcelona, wrzesień 1054 roku

Drogi przyjacielu,

Przekazuję ten list za pośrednictwem mojej guwernantki Edelmundy, gdyż Aixa zachorowała na płuca i mój opiekun musiał odesłać ją na wieś, aby wyzdrowiała. Czas i odległość pomagają wyjaśnić wiele spraw i w wielu przypadkach pozwalają zauważać wyraźniej nasze pomyłki. Myślę, że bliskość znikształca nasze postrzeganie.

Jestem jeszcze bardzo młoda i niedoświadczona, ale moja kobieca intuicja mówi, że byłam o krok od popełnienia poważnego błędu. Najgorsze, że Cię w to wciągnęłam i naraziłam na cierpienia przez swą lekkomyślność, chociaż bardzo Was szanuję.

Marti, moje serce darzy Cię afektem, ale tylko jako przyjaciela. Mój ojczym, który wyjątkowo starannie dobiera gości zapraszanych do naszego domu, ogromnie Was ceni i nie wiedząc, że się z Tobą spotykałam, wspomniął mi kiedyś, iż zbyt pośpiesznie odmówił Ci zgody na ubieganie się o moje względy, gdyż bez wątpienia zdobędziesz w Barcelonie wysoką pozycję. Widzę jednak wyraźnie, Marti, że nie jesteś człowiekiem, który dałby mi szczęście, i z pewnością również ja bym Ci nie odpowiadała. Dlatego zwalnim Cię z wszelkich zobowiązań i sama też czuję się z nich zwolniona. Wybacz mi, jeśli Cię krzywdzę, i weź pod uwagę mój brak doświadczenia.

Bądź szczęśliwy i nie próbuj spotykać się ze mną po powrocie. Moja decyzja jest ostateczna.

Z wyrazami szacunku, Twoja przyjaciółka,

Laia

Skończywszy dyktować list, doradca wziął go do rąk, nie czekając, aż zostanie posypany osuszającym proszkiem, i przeczytał jego treść z uwagą i wyraźną satysfakcją.

— No proszę, Laio, okazałaś się rozsądną i posłuszną dziewczyną. Moja osoba pozostaje poza wszelkim podejrzeniem. Daj mi pieczęć.

Laia wyjęła z biurka niewielki stempel i podała mu go.

Doradca wziął laskę czerwonego laku, którą rozgrzał wcześniej nad płonącym knotem świecy, i gdy duża kropla roztopionej masy kapnęła na złożony pergamin, przycisnął do niej stempel, uwierzytelniając list.

— A teraz powiedz mi, w jaki sposób ta żmija, którą trzymam pod kluczem, dostarczała twoje wiadomości?

Laia wahała się przez chwilę, ale nadzieja, że poprawi sytuację swej niewolnicy, przeważyła.

— Muszę przekazać list zarządcy Martiego. Nazywa się Omar.

— Znakomicie — stwierdził z uśmiechem Bernat. — Za czynasz naprawiać swoje błędy. Zobaczysz, że warto okazywać mi posłuszeństwo. Jeśli będziesz nadal tak postępowała, warunki twego życia, a zatem i twojej niewolnicy, mogą znacznie się polepszyć. I żebyś uwierzyła, że nie kłamię, pozwolę ci ją odwiedzić. Oczywiście w towarzystwie Edelmundy.

Wypowiedziawszy te słowa i pogładziwszy Laię po szyi, Bernat Montcusi wyszedł z jej komnaty.

54

Poród

Akuszerki krzętały się po komnacie i wypełniały swe obowiązki, nie zważając na liczbę i rangę obecnych tam osób. Na łożu z baldachimem rodziła trzydziestotrzyletnia kobieta, którą ze względu na wiek wszyscy uważali za bezpłodną. Z małżeństwa z Hugonem Pobożnym miała syna, a ze związku z Ponce'em z Tuluzy czworo dzieci, trzech chłopców i dziewczynkę, ale wydawało się, że okres płodności minął, gdyż chwilami zanikała jej miesiączka, tak więc dworscy uczeni i niektórzy żydowski lekarze sugerowali, iż hrabina weszła już w okres klimakterium. Leżała teraz spocona, z zaciśniętymi ustami i spojrzeniem pełnym determinacji. Akuszerka była świadoma, jak wielka ciąży na niej odpowiedzialność, i liczyła się z surową karą, gdyby popełniła błąd. Wiedziała z bogatego doświadczenia, że w łańcuchu pęka zawsze najsłabsze ogniwo i że lekarze, specjaliści od porodów, nigdy nie poczuwają się do winy, jeśli coś nie wyjdzie, choć tym razem żydowski lekarz, który asystował hrabinie, budził jej zaufanie. Halevi cieszył się w hrabstwie doskonałą reputacją i służył zawsze cennymi radami, ale tak czy inaczej przyjęcie porodu spoczywało całkowicie w jej rękach.

Przy łóżku stał Ramón Berenguer I, blady i niespokojny. Za nim siedział w misternie rzeźbionym fotelu biskup katedralny,

Odó de Montcada, ubrany w uroczyste szaty i zaopatrzony w pastorał i pierścień. Miał posępne spojrzenie i skwaszone oblicze, gdyż z racji stanowiska musiał być obecny podczas porodu, ale ponieważ cudzołożny związek hrabiowskiej pary budził jego sprzeciw, występował bardziej w roli urzędnika wypełniającego protokolarny obowiązek niż w charakterze biskupa. Po prawej stał główny notariusz, Guillem de Valderribes, który miał poświadczyć, że noworodek jest rzeczywiście synem hrabiny Barcelony. Był tam również pałacowy sędzia, Ponę Bonfill i March, a z boku stali spowiednik Almodis, ojciec Llobet, oraz lekarz Halevi. W pobliżu pozostała wolna przestrzeń, aby akuszerka i jej pomocnice mogły swobodnie się poruszać. Na stole o toczonych nogach, przykrytym jedwabnym obrusem, leżał cały sprzęt potrzebny do porodu: skręcone powrozy, żelazne narzędzia i kleszcze z obwiązanymi płótnem końcówkami, za pomocą których wydobywano wyłaniające się niemowlę, nie czyniąc mu najmniejszej krzywdy, oraz skórzany walek, którym uciskano od góry do dołu brzuch położnicy, by w ten sposób umieścić płód w kanale rodnym. Komnata, zgodnie ze zwyczajem, pogrążona była w półmroku. Wielkie łoże oświetlały cztery grube świece stojące w jego narożnikach. Po prawej stronie był ogromny kominek, który dostarczał ciepła. Nad płonącymi drwami stał na ruszcie, ozdobionym głowami lwów, pękaty miedziany kocioł, z którego kobiety czerpały wodę, gdy potrzebowała jej akuszerka albo lekarz. Nad paleniskiem wisiała imponująca kolekcja broni, między innymi sześć mieczy przodków obecnego hrabiego Ramóna Berenguera I, a na framugach ostrołukowych okien pałacu, zasłoniętych gęsto tkanym płótnem, lśniły herby władców hrabstwa Barcelony.

Akuszerka wsunęła palce do rozszerzonego sromu hrabiny, przykrytego cienką lnianą płachtą, i delikatnie go obmacała. Gdy tylko Almodis lekko zamrugła, akuszerka odwróciła się do lekarza i szepnęła:

— Już chce wyjść.

Lekarz odsunął ją ostrożnie i stanął tak, by sprawdzić, czy ma rację. Kiedy cofnął rękę, rozkazał:

— Posadźcie hrabinę na fotelu dla położnic.

Fotel stał z boku i został natychmiast przeniesiony w pobliże łóżka. Był duży i szeroki, wykonany z bukowego drewna i wyściełany skórą. Z przodu miał wycięcie, pod którym znajdowała się wyjmowana miednica. Do podstawy oparć, zaopatrzonych w skórzane obejmy ze sprzączkami do przypinania położnicy, umocowano dwa zakrzywione pręty w kształcie litery V, o których wygięte końce rodząca kobieta opierała łydki, co ułatwiało przyjście na świat noworodka, gdy tymczasem łożysko spadało do miednicy.

Krzepkie kobiety, które towarzyszyły akuszerce, chwyciły hrabinę pod pachy i kolana i posadziły bardzo ostrożnie na fotelu, dostosowując jej pozycję do jego rozmiarów. Kiedy zamierzały przywiązać ręce Almodis rzemieniami, oznajmiła szorstko i stanowczo:

— Nie ma potrzeby mnie krępować. Hrabina Barcelony potrafi znieść każdy ból.

Odwróciwszy się do lekarza i chwyciwszy go za szeroki rękaw togi, rozkazała:

— Gdybyście musieli ciąć, róbcie to bez wahania. Nie chcę, żeby mój syn cierpiał przy porodzie, tak jak ostatnio, i by w końcu urodził się martwy albo kaleki z powodu błędów, których można było uniknąć. Jego życie jest dla Barcelony o wiele ważniejsze niż moje i zważcie, że czynię was odpowiedzialnym, byście, gdy tylko przyjdzie na świat, wszystko mi o nim powiedzieli. Nie chodzi wyłącznie o jego płeć, ale także wszelkie znaki szczególne, cechy charakterystyczne czy wyjątkowe właściwości.

— Nie rozumiem was, pani.

— To bez znaczenia. Ważne, że ja siebie rozumiem.

Następnie, zwracając się do biskupa, głównego notariusza i sędziego pałacowego, rozkazała:

— A wy, panowie, jeśli wam to nie przeszkadza, zechciejcie w tak doniosłym momencie odwrócić wzrok. Moje krocze to nie

cyrk. Wasze miłości będą jeszcze mieli czas wypełnić swoje obowiązki bez konieczności narażania mnie na zniewagę, że jestem oglądana jak krowa na targu.

Almodis, spocona i zdenerwowana, z kosmykami włosów przyklejonymi do czoła, odwróciła twarz w kierunku lekarza i wypła posłusznie wywar z opium i maku, który podsunął jej w złotym kielichu. Wzrok jej się zamglił, a w głowie rozbrzmiewały echem ostatnie słowa, które kilka nocy wcześniej wypowiedział zacny Delfin, jej wierny błazen, ratujący ją tak często od nudy, odkąd przybyła do Tuluzy.

Zaledwie Almodis wprowadziła się do swego nowego domu, zadbała o to, by znaleźć miejsce, gdzie czułaby się całkowicie wolna od plotek, niepożądanych spojrzeń i pałacowych intryg. Zażądała od męża, by zapewnił jej samodzielną komnatę, i dostała pomieszczenie w baszcie obok jego sypialni, w którym dawniej mieściła się mała sala koncertowa, ale ze względu na okoliczności i barbarzyńskie zwyczaje mieszkańców pałacu, bardziej zainteresowanych wojnami niż pielęgnowaniem sztuk pięknych, nie była używana. Ona natomiast gromadziła pieczołowicie meble i przedmioty przypominające jej ukochany kraj. W komnacie, jak prawie we wszystkich pomieszczeniach, był niewielki kominek, przed którym postawiła stylową ławę w stylu *mudejar*. Obok stał mały taboret, na którym siadywał zwykle Delfin, by ulżyć jej tęsknocie swymi pogawędkami albo grą na cytrze. Miała też w komnacie drewnianą ramę do tkania, której wielkość można było regulować zależnie od rozmiaru kanwy, na której się pracowało, klęcznik, dużą poduszkę, na której kładła stopy w mroźne zimowe wieczory, pulpit na partytury i psalterz, półki z ulubionymi przedmiotami, gobeliny i kolekcje broni, zdobiące puste ściany, kandelabry, lampy w kształcie korony, świece... Tam się chroniła, aby rozmyślać, przyjmować gości oraz osoby, które potrzebowały jej pośrednictwa albo rady.

Takie to wspomnienia snuł jej umysł, odurzony wywarem z opium po to, by łatwiej mogła znieść bolesne skurcze porodu.

Owej zimnej nocy, którą przypominała sobie jak przez mgłę,

na niebie wisiał ogromny księżyc otoczony opalizującą aureolą zwiastującą śnieg. Delfin, jak zwykle, siedział skulony na taborecie, zamyślony i, o dziwo, pogrążony w milczeniu. Almodis tknęła gobelin, który chciała skończyć przed porodem jako prezent urodzinowy dla męża. Pamiętała, że gdy karzeł zamilkł, upomniała go łagodnie:

— Delfinie, mój przyjacielu, jesteś bezduszną istotą. W dniu, gdy najbardziej potrzebuję twojej paplaniny, by oderwać się od trosk, milczysz jak zaklęty, dając mi więcej powodów do zmartwienia niż rozrywki.

Delfin ocknął się z zamyślenia i rzucił jej dziwne spojrzenie.

— Co się dzieje? Czyżbym niechcący czymś cię uraziła?

Karzeł powrócił do rzeczywistości.

— Jak możecie tak myśleć? Jesteście moją panią i wszystko wam zawdzięczam.

— Zatem co cię tak dręczy i zaprzęta twoje myśli, że zamiast być miłym towarzyszem, który mnie zabawia, jesteś bardziej przygnębiony niż ja?

— Nie wiem, czy powinienem, pani...

Almodis odłożyła ramię do tkania. Jej twarz była poważna.

— Co się dzieje? Nigdy niczego przede mną nie ukrywałeś.

— Nie chcę zamartwiać was błahostkami.

— Błahostkami, powiadasz? Interesuje mnie wszystko, co ciebie dotyczy.

— To dotyczy was.

— A więc tym bardziej. Powiedz mi natychmiast, o co chodzi... Nie chciałabym uciekać się do metod, które budzą we mnie odrazę, gdy stosują je inni.

— Pani, od dawna mi się to nie zdarzyło, ale dwie noce temu miałem proroczą wizję.

Nie wiedząc dlaczego, hrabina zwlekała długą chwilę, zanim spytała:

— Czego dotyczyła?

— Pani, nie zmuszajcie mnie, bym wam opowiadał. Z pewnością to tylko moje majaczenia... Starzeję się.

Almodis ściągnęła brwi, co było oznaką gniewu, i zacisnęła usta. Delfin dobrze znał ten grymas, choć rzadko go widywał.

— Przykro mi, że muszę ci grozić, ale skłaniasz mnie do tego swoim zachowaniem. Pamiętasz bicz, którym smagam Hermosę, kiedy nie chce skakać? Nie zmuszaj mnie, Delfinie, proszę cię.

Karzeł poruszył się niespokojnie na taborecie.

— Nie boję się kary, pani. Myślę, że jestem wam winien prawdę.

— Mów natychmiast, na Boga! Co to za ważna sprawa?

— Pani... — Karzeł przełknął ślinę. — Mam przecucie, że wraz z waszym synem narodzi się jego nemezis, która ucieleśni jego zgubne przeznaczenie.

Almodis przypomniała sobie w tym momencie, że ta wiadomość spadła na nią jak grom z jasnego nieba. Dlatego powiedziała lekarzowi, że chce wiedzieć wszystko na temat swego syna, a ponieważ Delfin nie potrafił sprecyzować, na czym miała polegać przepowiedana tragedia, błagała Boga, by chodziło o ciało dziecka, a nie jego intelekt, gdyż rozum stanowi główny atrybut dobrego księcia.

Bóle porodowe osiągnęły apogeum, ale położnica zdawała się tego nie zauważać: miała lekko uniesione biodra, blade zaciśnięte wargi, nabrzmiałe żyły na szyi i ścięgną napiętą jak struny lutni. W uszach brzmiały jej słowa akuszerki:

— Przyjcie, pani, przyjcie...

Wreszcie, dokonawszy ostatniego wysiłku, poczuła, jak wychodzi z niej płód, choć coś w jej wnętrzu mówiło, że bóle jeszcze się nie skończyły. Gdy usłyszała ciche kwilenie niemowlęcia, oładnęła nią dziwna niemoc.

Docierały do niej wypowiedane szeptem słowa, tak jak do konającego to, co mówią w jego obecności krewni, sądząc, że odszedł już z tego świata. Najpierw akuszerka i lekarz zamienili parę zdań, potem ten ostatni zwrócił się do jej męża. Ona tylko słuchała.

— Panie, jeden książę już się urodził. Radzę, byśmy nie narażali życia hrabiny. Drugi płód jest w położeniu pośladkowym

i trudno go będzie wydobyć. Najprawdopodobniej urodzi się martwy, ale wasza żona przeżyje.

Po chwili usłyszała z oddali głos swego ukochanego.

— Róbcie, co uważacie za stosowne. Mam już spadkobiercę.

Halevi zauważył, że hrabina przyzywa go do siebie. Podeszedł do fotela i zbliżył ucho do jej warg.

— Jestem, pani.

— Co się dzieje?

Uczony Żyd się zawahał.

— Domagam się, byście powiedzieli mi natychmiast, o co chodzi! — powiedziała szorstko Almodis.

Usłyszała wówczas drżący głos lekarza, dochodzący jakby z wnętrza dzwonu.

— Pani, urodził się wam zdrowy i inteligentny chłopiec. Muszę przyznać, że zgodnie z waszymi wskazówkami, dokonałem lekkiego nacięcia, aby uniknąć jakichkolwiek komplikacji, ale dziecko przyszło na świat samodzielnie i bez użycia kleszczy. Jednakże, ponieważ prosiliście, bym natychmiast was powiadomił, gdybym dostrzegł jakieś anomalie, muszę powiedzieć wam to, co przekazałem już hrabiemu: jest drugi płód, w położeniu pośladkowym, i zagraża waszemu życiu. Nie mogę odpowiadać za to, co się stanie, jeśli będę próbował ocalić was oboje. Wszystko jest w rękach boskiej opatrności. Zrobiłem, co mogłem. Te sprawy przekraczają granice ludzkich możliwości. Pomyślałem, że powinienem ratować przede wszystkim wasze życie, gdyż macie już spadkobiercę.

Lekarz poczuł, że palce Almodis wpijają się niczym szpony w jego toczę, zmuszając go, by zbliżył się do niej jeszcze bardziej.

— Źle pomyśleliście! Drugi syn jest w moim łonie i ma się narodzić. Po to was sprowadziłam. Nie jesteście chyba zwykłą akuszerką? Rozetnijcie mnie, jeśli trzeba, żeby wydobyć niemowlę! To dwaj książęta i nie wiem, który z nich wpłynie na losy drugiego. Nie mam pojęcia, co mówią ich gwiazdy. Potrzebuję czasu, aby się tego dowiedzieć, by memu spadkobiercy nie przydarzyły się nigdy idy marcowe. Nie chcę ryzykować.

— Pani, to majaczenia. Nie rozumiem, co mówicie. Księżę rozkazał, by...

Almodis powiedziała nieznoszącym sprzeciwu szeptem, który docierał tylko do uszu Halewiego.

— Nie musicie niczego rozumieć. W tej chwili zdanie hrabiego jest bez znaczenia. Był mi potrzebny, gdy pojechałam do jego obozu, by mnie zapłodnił. Teraz wyłącznie ja decyduję i chodzi o losy całego narodu. Działajcie!

Nieco później biskup Odó de Montcada i notariusz Guillem de Yalderribes poświadczili, że hrabina Almodis z Marchii urodziła bliźniaki. Gdy leżała wyczerpana w wielkim łożu z baldachimem, Ramón Berenguer I przyglądał się zachwycony dzielącym ogromną kołyskę noworodkom, skulonym i zawiniętym w pieluchy. Jeden był jasnowłosy, rumiany i śliczny. Drugi — śniady, drobny i wątły — zanosił się płaczem i próbował drapać szyję brata.

Marti dotarł do wybrzeży Lewantu na statku Greka. Gdy tylko „Stella Maris” zacumowała w Sydonie, chłopak pożegnał się z Manipoulosem, podziękowawszy staremu kapitanowi za uprzejmość, a ten zaczął przeproszać go za opóźnienie, mówiąc: „Człowiek planuje, morze decyduje”. Marti życzył mu szczęśliwych rejsów i lepszych perspektyw i zapewniwszy go, że w Barcelonie ma zawsze przyjaciela, rozpoczął przygodę, która, jak przeczuwał, miała zmienić jego życie. Najpierw musiał zdobyć dokumenty, aby zrealizować zaplanowaną podróż jak najszybciej i najbezpieczniej. Tym razem działał po omacku, jako że jego postój w Sydonie był spowodowany kaprysem fortuny, gdyż pierwotnie zamierzał płynąć na Malte.

Kupcy żydowscy gromadzili się w sklepie w pobliżu portu. Został tam przyjęty równie serdecznie, jak za każdym razem, gdy przedstawiał dokument, który Baruch wręczył mu w Barcelonie i który zdawał się otwierać wszystkie drzwi. Natychmiast skontaktowali Martiego ze swoim naczelnikiem, JeszuaHazanem. Gdyby nie miał pewności, że jest we właściwym miejscu, sądziłby, iż znalazł się w sklepie jakiegoś szacownego arabskiego kupca. Podłogę pokrywały dywany i gigantyczne poduszki, między którymi stały niskie stoliki z półmiskami pełnymi wszelkiego

rodzaju przysmaków, a wszyscy, od służącego, który go wprowadził, po dziecko, które podeszło, by zaproponować mu miseczkę z różaną wodą do umycia rąk, nosili krótkie żakiety, szerokie szarawary i kapcie ze zdobionej skóry. Marti oczekiwał, stojąc, przybycia naczelnika. Wkrótce wyszedł mu na spotkanie człowiek ubrany jak Arab. Miał bardzo duży nos, przenikliwe spojrzenie i miłą twarz. Gdy wszedł do komnaty, Marti zauważył, że w prawej ręce trzyma list od Barucha Benvenista.

— Drogi młodzieńcze, nic nie sprawia mi większej przyjemności niż służenie komuś, kto ma takie rekomendacje. Baruch stanowi wzór uczciwości w każdym zakątku świata, gdzie mieszka choćby jeden Żyd. Jego imię budzi szacunek we wszystkich żydowskich wspólnotach w basenie Morza Śródziemnego. Zeście usiąść.

Mężczyzna zebrał nogawki szarawarów i skrzyżowawszy nogi, usiadł na poduszkach, dając znak Martiemu, by zajął miejsce naprzeciwko niego.

Zrobiwszy to, Marti odrzekł:

— Nie sądziłem, że ten dom tak będzie się różnił od tych, które widziałem w Barcelonie.

— Widzicie, nasz naród nie ma ojczyzny, dostosowujemy się więc do wzorców i zwyczajów obowiązujących w królestwach, które nas przyjmują. W ten sposób mniej zwracamy na siebie uwagę i to sprzyja naszemu bezpieczeństwu. Dla wielu jesteśmy narodem, który żyje na cudzej ziemi i to prawda, gdyż od opuszczenia Izraela nie mamy własnego terytorium. Musimy być przydatni, a przede wszystkim dyskretni, zatem, choć wywodzimy się ze wspólnego pnia, ci z nas, którzy mieszkają w królestwach chrześcijańskich, różnią się od tych zamieszkujących, na przykład, kraje muzułmańskie. Ale powiedzcie mi, co was tu sprowadza?

— Postaram się mówić krótko. Nie chciałbym przeszkadzać wam w codziennych obowiązkach.

Marti przedstawił dokładnie swój plan podróży do Babilonii, słynnej stolicy, która leżała kilka mil od Kerbali, i spytał, jak najszybciej i najbezpieczniej można tam dotrzeć.



— To niełatwe przedsięwzięcie. Stąd do Mezopotamii jest długa droga. Musicie przemierzyć Syrię i nie radziłbym wam pokonywać tej trasy samotnie.

— Co mi radzicie?

— Będziecie musieli przebyć pustynię, a to jest więcej niż niebezpieczne. Powiedziałbym, że to samobójstwo.

— A zatem?

— Musicie dołączyć do jakiejś karawany zmierzającej z Damaszku do Sabaabar i stamtąd, w towarzystwie doświadczonego przewodnika, który zna oazy, wyruszyć na pustynię.

— Trudno będzie znaleźć towarzyszy podróży?

— Wasz przypadek jest typowy. W Sydonie przebywa teraz wielu szlachciców, rycerzy, kupców i ludzi różnego pokroju, którzy chcą pokonać tę trasę i wiedząc, że to ryzykowne, łączą się w grupy i czekają, aż utworzy się karawana pod eskortą najemników, z doświadczonym dowódcą na czele, dzięki czemu podróż będzie bezpieczniejsza. Syryjscy bandyci, znający wartość przewożonych towarów, bez wahania atakują karawany. Jeśli nie znajdują niczego cennego, zawsze mogą wziąć jeńców, za których dostaną duży okup albo sprzedadzą ich na targu niewolników kalifa z Bagdadu. Jeśli wam to odpowiada, zatrzymajcie się u mnie. Oczekiwanie może długo potrwać. Proponuję zakwaterowanie, na jakie zasługuje przyjaciel Barucha.

— Nie chcę sprawiać wam nadmiernego kłopotu.

— Przyjaciele Barucha Benvenista są moimi. Ostatni raz, gdy odwiedzałem wasze piękne miasto, byłem jego gościem. Jeśli nie przyjmiecie mojej propozycji, poczuję się urażony. Poza tym postaram się zaprosić na kolację dowódcę eskorty, będziecie więc mieli okazję go poznać.

Marti Barbany zamieszkał w domu uprzejmego kupca i traktowano go tam z szacunkiem, na jaki zasługiwał wspólnik wpływowego Barucha z Barcelony. Zasiadał do stołu z rodziną i podczas specjalnie zaplanowanej wieczery zawarł znajomość z mistrzem Huguesem de Rogentem, frankońskim rycerzem, w którego żyłach płynęła również arabska krew i którego umiejętności

i wiedza zdumiały Martiego. Obejmował on tym razem przywództwo karawany, która miała wyruszyć, jeśli Bóg pozwoli, za dwa tygodnie, i rekrutował właśnie członków eskorty spośród wytrawnych najemników, którzy zaciągali się pod jego rozkazy ze swymi mieczami, łukami i kołczanami. Zanosilo się na długie oczekiwanie. Tego wieczoru rozmawiali o wielu ciekawych sprawach związanych z podróżą: o postojach, o tym, jacy ludzie przyłączają się do karawany, dyskutowali też, jakie zwierzęta najbardziej przydają się w drodze oraz jakie wyposażenie jest niezbędne, by odbyć z powodzeniem ryzykowną wyprawę.

Na możliwość przeprowienia się przez pustynię ogromny wielobarwny tłum oczekiwał cierpliwie. Każdy znajdował zakwaterowanie zależnie od swego statusu lub ilości pieniędzy, które mógł na to przeznaczyć. Gospody, oberże i karczmy Sydonu były przepelnione. Na przedmieściach powstawało obozowisko utworzone z namiotów, szałasów, szop, a nawet stajni, które okoliczne rodziny wynajmowały, pozostawiając konie pod gołym niebem, aby wykorzystać koniunkturę i dobrze zarobić.

Marti, nie tracąc czasu, korzystał z rad, których udzielili mu Jeszua Hazan i Hugues de Rogent. Rankiem trzeciego dnia udał się na targ zwierzęcy i po drugich negocjacjach, bez których nie było mowy o kupieniu czegokolwiek, nabył przede wszystkim dobrego konia, którego wybrał bardziej ze względu na jego wytrzymałość i charakter niż szybkość i którego wyposażył w odpowiedni ekwipunek, a potem wielbłąda, nazywanego powszechnie okrętem pustyni. Miał mu on zapewnić bezpieczną podróż, gdyż przeżuwacze te słynęły zarówno z odporności na wędrówkę przez gorące piaski, jak i powściągliwości w jedzeniu i picciu. Zatrudnił również chłopca, poganiacza wielbłądów, aby prowadził to nieposkromione zwierzę. Miał na imię Marwan i już nieraz przemierzał pustynię. Doradził Martiemu, jaką kupić uprzęż, uzdy i cały osprzęt dla garbusa. Na koniec Marti nabył plecione sakwy, które zamierzał wypełnić najbardziej niezbędnymi przedmiotami. Gdy to wszystko załatwił, zaczął włączyć się po okolicy w towarzystwie swego nowego służącego. Udawał

kupca, a nawet przebierał się za Araba, by wmieszać się w tłum i nie zwracając na siebie uwagi, poznawać miejscowe zwyczaje.

Nocami, gdy zaszywał się w komnacie, którą raczył mu udostępnić Hazan, miał dość czasu na rozmyślania i postanowił, że po zakończeniu tej podróży wróci do domu. Przed wyruszeniem w drogę wręczył Hazanowi dwa długie listy, by ten przesłał je na pokładzie któregoś ze statków stowarzyszenia do Barcelony. Jeden był adresowany do Lai, a drugi do Omara, któremu wyjaśniał, że po wyprawie na pustynię wsiądzie w Sydonie na pierwszy statek płynący we właściwym kierunku, aby skrócić czas męczącej podróży. Oczekiwanie na bezpośredni rejs do Barcelony trwałoby zbyt długo. Zważywszy na to, że zaczynał się okres sztormów, okręty, szebeki i galery, które ośmielały się wyruszać w morze, pływały wzdłuż brzegu. Brak wiadomości od ukochanej był cierniem, który tkwił w sercu Martiego i co noc pozbawiał go snu. Pocieszał się myślą, że może listy Lai gdzieś zaginęły, ale przeczyła temu jego intuicja.

Wreszcie nadszedł wielki dzień.

Barwna karawana pod wodzą Huguesa de Rogenta rozpoczęła powolny marsz w kierunku Damaszku. Wśród posuwającej się zygakiem cizby szedł Marti, przekonany o nieomyślności swego przecucia, że zdobędzie obywatelstwo Barcelony i spełniwszy ten upragniony warunek, będzie mógł ubiegać się bez wstydu o rękę Lai.

56

Kwiat Lai

Kiedy Laia mogła zobaczyć Aixę, oczywiście w towarzystwie swej guwernantki i strażniczki, pomyślała, że na tym podłym świecie istnieje jeszcze miłosierdzie. Aixa, już bez sińców i z zabliznionymi nieco ranami, wyglądała jak ludzka istota. Guwernantka odeszła na bok, i wbrew rozkazom swego pana, została na korytarzu, spoglądając z wyrzutem na dozorcę, gdyż odrażający zapach, który dochodził z cel, raził jej czuły węch. Laia skorzystała z okazji, by porozmawiać z przyjaciółką.

Obie kobiety trwały przez dłuższą chwilę w uścisku, po czym Laia przyjrzała się uważnie niewolnicy.

— Jak się czujesz, moja droga?

Na opuchniętych wargach Aixy pojawił się cień uśmiechu.

— Żyję, a to już dużo. A co u was?

Laia opowiedziała jej szczegółowo o swych udrękach, przypisując je listom i spotkaniom z Martim i przemilczając lubieżne propozycje swego opiekuna, by nie przerażać przyjaciółki, której los od niej zależał. Wspomniała jedynie o planowanym poście i powodach przerwania go.

— Teraz rozumiem — szepnęła Aixa, tłumiąc westchnienie. — Niedawno, nie mogę określić kiedy, bo czas wlecze się tu w podziemiach niemiłosiernie, zszedł do mnie lekarz, by

posmarować maścią moje rany, i wtedy zaczęłam dostawać dwa posiłki dziennie.

— Sądziłam, że zakatowali cię na śmierć — powiedziała Laia z oczami pełnymi łez.

— Szkoda, że tego nie zrobili. Chcieli, bym wyjawiała, gdzie i kiedy spotykaliście się z Martim, ale nie zdołali niczego ze mnie wydusić. Potem zemdlałam i już niczego nie czułam. Myślałam, że dostaję obłądu, bo zdawało mi się, iż widzę was we śnie.

Laia pogładziła włosy niewolnicy.

— Zaciągnął mnie tutaj, by pokonać mój opór, i przyjął jego warunki, bo inaczej by cię zabił.

— Jakie warunki, Laio?

Dziewczyna opowiedziała o liście, który musiała napisać, i o wybiegu, którego użyła, aby jej ukochany mógł się domyślić, że jego treść nie wyraża tego, co naprawdę mówi serce.

— Postąpiliście bardzo sprytnie... Mój pan potrafi czytać między wierszami.

Zapadło milczenie. Kobiety przyglądały się sobie bez słowa.

— Aixo, będę się starała odwiedzać cię jak najczęściej i zrobię co w mojej mocy, żebyś miała tu jak najlepsze warunki.

— Nie martwcie się o mnie. Nie boję się śmierci. Wiele razy widziałam ją z bliska. Bardziej przeraża mnie cierpienie. Jeśli mnie kochacie, przynieście mi wywar, który będę mogła wypić, gdy stwierdzę, że nie zniosę dłużej bólu.

Laia starała się rozwiać obawy przyjaciółki.

— To już minęło. Potrafię zapanować nad sytuacją i będę udawała, że spełnię wszystkie żądania ojczyma. Jeśli wyrzeknę się małżeństwa i przekonam go, że zostanę u jego boku, by opiekować się nim na starość, przestanie wpadać w szal i zapomni o tobie. Postaram się w odpowiedniej chwili, byś odzyskała wolność, choćby nawet mieli cię sprzedać i nas rozdzielić. Każdy pan będzie lepszy niż on.

— Tak czy inaczej, jeśli możecie zdobyć wywar, który trzyma w nocnej szafce i który pomaga mu zasypiać, będę spokojniejsza.

— Chyba nie dam rady. Edelmunda przez cały czas mnie pilnuje. Ale nie obawiaj się, nie zostawię cię samej. Od śmierci mojej matki nikogo nie kochałam tak jak ciebie.

— Odkąd jestem niewolnicą, nigdy nie miałam takiej przyjaciółki jak wy. Nie traćcie nadziei, Laio, wszystko się ułoży.

— Jeśli nie uda mi się sprawić, by cię sprzedali, nic się nie zmieni. Aixo, wiem, jaki zawzięty jest mój ojczym. Jesteśmy skazane na pozostanie w tych murach, dopóki Bóg w swym miłosierdziu, wszystko jedno, mój czy twój, zechce nas stąd zabrać.

Ich rozmowę przerwał szorstki głos Edelmundy:

— Pani, pora już wracać. Przekroczyłam czas, a nie mam ochoty dostać reprimendy. Poza tym ten fetor jest nie do zniesienia.

Laia raz jeszcze uścisnęła Aixę, wstała i rzekła:

— Więc powiedz to temu, kto cię zatrudnił, że są ludzie, którzy nie tylko tu przychodzą, ale muszą przebywać w tej kloace.

— To nie moja sprawa. Wasz ojciec wie, co robi. Każdy ma to, na co zasługuje. Zechciejcie, pani, iść przede mną.

Nastała noc. Dom pogrążony był w ciszy i mroku. Nikłe płomyki świec umieszczonych w korytarzach rzucały blade światło na kontury mebli. Bernat Montcusi zamknął powoli drzwi gabinetu. Przed chwilą skończył podglądać nagą dziewczynę. Tej nocy pohamował swe żądze i zachował nasienie. W mgnieniu oka dotarł do drzwi sypialni swojej podopiecznej. Nie pukając, wszedł do środka. Laia właśnie się położyła.

— Co robicie w mojej komnacie? — spytała, zakrywając się kołdrą.

— O ile wiem, to mój dom. Nie muszę pukać do żadnych drzwi.

— Zechciejcie wyjść. Jestem zmęczona. Jeśli chcecie ze mną mówić, zaczekajcie do jutra.

Bernat Montcusi wydał zduszony pomruk i odezwał się ochrypłym głosem, nie spuszczając wzroku z pasierbicy.

— Nie przyszedłem rozmawiać. Chcę dostać to, co mi się należy. Będzie lepiej dla wszystkich, jeśli zgodzisz się dobrowolnie.

Laia zamknęła oczy i okryła się szczelniej.

— Już wam mówiłam, że prędej zgaśnie słońce.

Bernat zrobił krok w kierunku łóżka.

— Zrób mi miejsce obok siebie i skończmy z tym wreszcie!

— Wolę umrzeć.

— Uważaj, co mówisz! Jestem człowiekiem honoru i zawsze dotrzymuję obietnic. Moje słowo jest w tym mieście prawem... a tym bardziej w tym domu!

— Jeśli natychmiast nie wyjdziecie, zacznę krzyczeć.

Bernat zaśmiał się ironicznie.

— A kto przyjdzie ci z pomocą?

— Okaze się, że jesteście starym lubieżnikiem.

— Przekonasz się, kim jestem, i dowiesz się, kto tu rządzi! — krzyknął Bernat, wpadając we wściekłość.

Podszedł do łóżka i złapawszy Laię za przegub, pociągnął ją za sobą.

Dziewczyna była przerażona. Koszula zaplątała się między jej nogami i z trudem nadązała za starcem. Wlokąc Laię za sobą, dotarł do schodów prowadzących do piwnicy. Dochodziły stamtąd żalosne jęki jakiegoś nieszczęśnika zamkniętego w którymś z lochów. Gniewny głos Montcusiego zmusił nocnego strażnika, by wstał.

— Otwórz ostatnią celę. Przykuj niewolnicę do łańcucha pod sufitem. Daj mi bicz i czekaj na górze, aż cię wezwę.

Strażnik pobiegł wykonać rozkaz swego pana.

Aixa, która leżała na pryczy, zerwała się, słysząc dziwny hałas. Drzwi jej celi otworzyły się gwałtownie jak od podmuchu wiatru. Rosły strażnik pochwycił ją i zmusiwszy, by podniosła rękę, przykuł do pierścienia zwisającego z sufitu.

Znów rozległ się głos Bernata. Aixa, odwróciwszy głowę, zobaczyła, jak wchodzi do celi, ciągnąc za sobą Laię. Wtedy zrozumiała, że jest zgubiona.

— Daj mi bicz i wynoś się. Odpowiadasz głową, żeby nikt, absolutnie nikt, się tu nie zjawił. Jasne?

Strażnik sięgnął po leżący w kącie bicz i podał go swemu panu. Potem wyszedł z celi.

Aixa stała odwrócona tyłem. Jej szczupłe ciało drżało jak liść. Przeżrana, usłyszała głos Montcusiego i uderzenie bicia o podłogę.

— I cóż, moja droga? Co postanawiasz?

Laia milczała. Aixa poczuła nagle, jak ktoś rozdziera jej tunikę na wysokości karku, obnażając plecy.

— Kiedy będziesz gotowa wywiązać się ze swojej części umowy, daj mi znać, to przestanę. Tymczasem, jeśli chcesz się rozerwać, licząc baty, możesz to robić.

Niewolnica czuła, jak bicz rozdziera jej ciało. Raz... dwa... trzy... smagnięcia następowały jedno po drugim.

Laia zakryła rękami twarz. Każde smagnięcie było jak blizna otwierająca się w jej duszy. W końcu powiedziała, zagłuszając trzask bicia:

— Obyście smażyli się w piekle. Posiądziecie mnie, ale skończcie z tym okrucieństwem.

I zamknąwszy oczy, opadła na pryczę.

Doradca dyszał z wysiłku i napięcia. Grube krople potu perlily mu się na czole i spływały po tłustej szyi. Aixa, zemdlona, zwisała bezwładnie na łańcuchach, przywiązana za przeguby do żelaznego pierścienia.

Na widok bezbronnej ofiary Bernat zareagował jak dzika bestia i zaczął zdejmować jedną ręką spodnie, podczas gdy drugą podkasywał koszulę Lai. Dziewczyna, czując dotyk tłustych łap starca na swym dziewiczym ciele, wybuchnęła płaczem.

Pałacowe intrygi

Na początku 1055 roku, trzy miesiące po porodzie, hrabina Almodis odzyskała dawną figurę i była znów piękną kobietą, za którą mąż szalał. Jej synami opiekowała się stara niania, dona Hilda, a ona wróciła do swych zajęć w pałacu i wizyt w klasztorach. Zakłócały jednak jej radość dwie sprawy dotyczące dwóch różnych osób.

Drzwi hrabiowskiej alkowy otworzyły się i Ramón Berenguer, rozgrzany pojedynkiem, który stoczył właśnie w sali broni, i ogarnięty euforią, wpadł do komnaty, nadal ubrany w kolczugę z drobnymi oczkami, ale z odkrytą głową.

Almodis, wiedząc doskonale, kiedy może poruszać z mężem pewne tematy, postanowiła skorzystać z okazji.

— Jak ci poszedł pojedynek, mój mężu?

Ramón wziął z kredensu hrabiny karafkę i napił się lemoniady, po czym starł grzbietem dłoni strużki płynu ciekące po jego gęstej brodzie i odparł:

— Przyznaję, że Marcal de Sant Jaume po mistrzowsku trafia włócznią w manekina, gdy siedzi na koniu, ale nie może znieść, że posługuję się lepiej niż on krótkim mieczem i tarczą, dlatego wyzwiał mnie na pojedynek.

— Bez wątpienia zwyciężyłeś — powiedziała z dumą Almodis.

— Wygrałem zakład i tym razem kazałem mu zapłacić. W ten sposób nauczy się szanować swego pana. Zobacz, co dla ciebie mam.

Berenguer rzucił żonie na kolana sakiewkę *mancusos* ozdobioną herbem Besory z trzema srebrnymi pasami na niebieskim tle.

Almodis obejrzała prezent i powiedziała przymilnie, wskazując niewielką ranę na łydce hrabiego:

— Ramonie, znowu cię zranili. Dlaczego nie zakładasz ochraniaczy, kiedy walczysz, nawet jeśli to tylko walka pozorowana?

Hrabia najwyraźniej dopiero teraz zdał sobie sprawę, że został draśnięty, i wzięwszy do ręki lnianą serwetkę, którą przewiązana była szyjka butelki z rżniętego szkła, nalał na nią trochę wina i oczyścił ranę, mówiąc równocześnie:

— Wolę takie draśnięcie niż pocenie się w ochraniaczach, kiedy walczę w sali.

— Ja mam inne zdanie. Pamiętasz, co ci się przydarzyło ostatnim razem, gdy nie posłuchałeś lekarza i niezagojona rana zaropiała i spowodowała gorączkę. Nie była większa niż ta.

— Tym razem to się nie zdarzy. Widzisz, że ją oczyściłem. Z pewnością szkoda na to wina. Nalać ci trochę?

— A za co chcesz wznieść toast?

Ramón napełnił dwa kielichy i podszedł do żony, by wręczyć jej jeden.

— Za nas, za nasze szczęście.

Almodis skorzystała skwapliwie z nadarzającej się okazji.

— Nie jest ono pełne.

Hrabia odstawił kielich na stół i ująwszy jej dłoń, spytał:

— Czego ci brakuje? Czyż nie spełniłem wszystkich złożonych w Tuluzie obietnic?

— Czegoś mi brak, a czegoś mam za dużo.

— Zechciej mi to wyjaśnić...

— Widzisz, mój kochany, nikt nie ośmiela się tego powiedzieć, szczególnie w twojej obecności, ale dopóki nie postarasz się, by twa babka przekonała papieża do anulowania nałożonej na nas

ekskomuniki, ludzie będą uważali mnie za twoją konkubinę. Bo w istocie nią jestem...

— Czasami myślę, że jesteś wiedźmą i masz jakieś konszachty z duchami.

— Dlaczego tak mówisz?

— Bo odgadujesz moje zamiary.

Almodis ucałowała dłoń swego kochanka.

— Powiedz, co odgadłam?

— Mnie również nie odpowiada ta sytuacja i postanowiłem coś z tym zrobić.

— Co takiego?

— Rozmawiałem z notariuszem Valderribesem i z sędzią Fortuny, aby sporządzili dekret, który wypełni lukę prawną, w jakiej się znajdujemy do czasu anulowania ekskomuniki, i który uczyni was moją żoną wobec całego dworu. Zaopatrzyłem go w odpowiednie *sponsalici*, jakby chodziło o ślub. Przekazuję ci przyszlą władzę nad hrabstwem Gerony i dominiami, które ma w użytkowaniu moja babka w hrabstwach Vic i Osona, pięć granicznych zamków i daniny mauretańskiego króla Leridy*.

— Jak możesz przekazywać mi coś, co należy jeszcze do Ermesendy?

— Moja babka jest, jaka jest, ale jeśli podczas jej długiej regencji szlachta nie zdołała pogwałcić moich praw, to tylko dzięki jej miłości do tych ziem. Nie miała, jak sądzę, innego wyjścia niż przyznać, że moja miłość do ciebie jest nieugięta i w głębi serca wie, że dwa razy zmusiła mnie do małżeństwa. Teraz jej dni dobiegają kresu, jej zwolennicy stopniowo wymierają. Nie chcąc doprowadzić do rozłamu między hrabstwami Gerony i Barcelony, wysyła poselstwa, by dojsć ze mną do porozumienia. Myślę, że potrafię zaspokoić jej ambicje, jeśli chodzi o pieniądze, by pokryła wszystkie wydatki swoich klasz-

* Ten swego rodzaju ślub cywilny Ramón Berenguer zorganizował w listopadzie 1056 roku, a pismo zaczyna się od słów: *W trzecim roku po zawarciu naszego związku.*

torów. Niedługo uzyskam jej wstawiennictwo u Ojca Świętego, by zdjął nałożoną na nas ekskomunikę. Almodis pocałowała go w usta.

— Jesteś najlepszym mężem i najszlachetniejszym rycerzem na świecie.

— Już cię zadowoliłem?

— Gdyby zależało mi na pieniądzach, byłabym może usatysfakcjonowana. Ale wiesz, że dla ciebie porzuciłam Tuluzę, gdzie byłam hrabiną, i przybyłam do Barcelony, aby zostać twą utrzymanką, że nie użyję słowa, którym pospólstwo określa kobiety w mojej sytuacji. I nie mam żadnego zabezpieczenia.

— Zatem co cię dręczy?

— Chodzi o dwie osoby.

— A więc po kolei, zacznij od pierwszej.

— Nawet gdy papież zdejmie ekskomunikę, ty zapewnisz mi na dworze miejsce, na które zasługuję, i cały lud złoży mi hołd, twój syn, Pedro Ramón, będzie mnie traktował jak uzurpatorkę, a nigdy nie chciałam pozbawiać go praw.

Ramón pogładził z namysłem gęstą brodę.

— Znasz jego charakter, jest opryskliwy i porywczy, ale nigdy nie podniesie na ciebie ręki.

— Tego by tylko brakowało! Niech będzie nieokrzesany, nieufny i zazdrosny, to jego sprawa. Takie już ma usposobienie. Ludzie tacy jak on są odpychający, wszędzie widzą wrogów i dożywają swoich dni w samotności. Ale ode mnie niech trzyma się z daleka, bo napyta sobie biedy.

— Na Boga, Almodis! Nie róbmy z igły wideł! Zlituj się nade mną. W końcu jestem jego ojcem i znalazłem się między młotem a kowadłem. Skarcę go niewątpliwie, jeśli to się powtórzy, ale przestańcie się kłócić.

— Niech on przestanie. Mam dość jego impertynencji.

— Jakie prawa, według niego, sobie uzurpujesz?

— Myślę, że każda matka powinna dbać o przyszłość swoich dzieci. Gdy tylko poruszam temat zabezpieczenia przyszłości Ramóna i oczywiście również Berenguera, usłyszawszy to przy-

padkiem, Pedro Ramón wpada do moich komnat i z kimkolwiek rozmawiam, obrzuca mnie oskarżeniami, jakbym chciała ukraść coś, co należy do niego. Wiem, że jest twoim pierworodnym, ale moi synowie także, trzeba więc będzie podzielić spadek tak, by każdy coś dostał.

Berenguer spróbował zmienić temat:

— Powiedz mi, kim jest ta druga osoba, która przysparza ci kłopotów.

Almodis zaczęła oględnie, gdyż ta sprawa była bardziej delikatna niż poprzednia.

— Toleruję wszelkie wady bliźnich. Sama mam ich wiele, ale oburza mnie, gdy dworzanin służalczo schlebia swemu panu. Myślę, że to obelga dla twojej inteligencji. Jeśli sądzi, że nie zdajesz sobie z tego sprawy, uważa cię za głupca, a jeżeli, wprost przeciwnie, wie, iż jesteś tego świadom, wykazuje twoją próżność. W obu przypadkach cię obraża.

— Domyślam się, o kim mówisz, ale mylisz się.

— Zaczekaj, bo to nie wszystko. Jest przekupny i podstępny, nadużywa twego zaufania i wykorzystuje je, by prosperować w cieniu twojej potęgi. Gdyby postępował uczciwie, byłoby w porządku: świat należy do ludzi obrotnych. Ale jestem pewna, że powiększa co dnia swój majątek pieniędzmi, które mu się nie należą i które powinny trafiać do waszego skarbcza albo pozostać w posiadaniu osób, którym zostały nieuczciwie odebrane.

Hrabia zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

— Co do wspomnianych pochlebstw, którymi obdarza mnie mój zarządca, bo o nim mowa, są tylko wyrazem przywiązania człowieka niemającego szlacheckiego pochodzenia i pragnącego wyrazić uniżenie, co myśli o swoim panu. Różni się tym od wielu szlachciców, którzy są blisko tronu i nie chcą uznać wyższości rodu Berenguerów, próbują traktować hrabiego Barcelony jak równego sobie. Jest sporo takich przypadków i nieraz już o tym rozmawialiśmy. Poza tym znam zawiłości kobiecej intuicji. Jeśli ktoś mnie chwali, schlebia mojej próżności, kiedy zaś szczerzy mi pochwał, to znaczy, że zżera go zawiść i muszę

na niego uważać. Zawsze odpowiednio to zinterpretujesz. Muszę ci powiedzieć, że Montcusi wywiązuje się ze swych obowiązków zarządcy i doradcy finansowego z godną podziwu gorliwością i dawno już nikt nie dbał o podatki tak jak on. Lepiej, kiedy pęcznieje skarbiec i trochę grosza trafia do jego kiesy, niż gdyby nieskazitelnie uczciwy urzędnik, nie trwoniąc ani jednego *man-cuso*, zasilał budżet hrabstwa dochodami z niewielu źródeł. Jednym słowem: zakładając, że mnie okrada, niewiele tracę, a zdecydowanie wolę mądrego spryciarza niż uczciwego głupca.

— Mój mężu, staram się zrozumieć twoje argumenty, ale zważ na moje słowa: kontroluj sytuację, bo nadejdzie dzień, gdy jego wpływy i pieniądze dadzą mu taką władzę, że będzie mógł ci zaszkodzić. Tchórze mają bezgraniczne ambicje.

— Nie martw się o mnie. Gdyby do czegoś doszło, zobaczysz, że hrabia Barcelony doskonale sobie radzi. Dobry zarządca nie ma przyjaciół. W razie najmniejszego podejrzenia, że jego zasługi są mniejsze niż korzyści, jakie przynosi hrabstwu, szybciej straci mój szacunek niż imbirowe słodycze rozpuszczają się w ustach twoich bliźniaków.

— Naszych synów, chciałeś powiedzieć.

— Oczywiście, moja żono.

Kerbala

Barwna karawana wyruszyła w końcu z Sydonu. Hugues de Rogent uformował ją w inteligentny sposób. Na czele ustawił forpocztę weteranów towarzyszących jednemu z dwóch przewodników znających trasę. Potem jechały wozy, do których tempa wszyscy musieli się dostosować, gdyż były najwolniejsze. Za nimi podążali inni uczestnicy karawany dosiadający różnych zwierząt. Hugues jechał wśród nich na wspaniałym kastracie, tak że jego rozkazy, przekazywane za pomocą rogu, docierały do obu końców konwoju. Obok niego jechał drugi przewodnik. Tylną straż stanowił zastęp najemników gotowych przyjść z pomocą tym, którym zagrażałoby niebezpieczeństwo. Zapobiegliwy dowódca wysłał pół mili naprzód zwiadowców, którzy mieli go zawiadomić, gdyby dostrzegli coś podejrzanego. Marti pożegnał się z Hazanem i ten dał mu wiele rad, życząc, by dotarł do kresu niebezpiecznej podróży, znosząc tylko niewygody typowe dla tak drugiej i ryzykownej wyprawy. Nie wszyscy uczestnicy karawany jechali do końca trasy, dlatego na ostatnich etapach wzrastało ryzyko napadów, gdyż grupa była już mniej liczna. Marti, który zaprzyjaźnił się z dzielnym Frankiem, jechał konno u jego boku.

— Kiedy, waszym zdaniem, dotrzemy do Persji?

— Trudno powiedzieć. Zawsze może się zdarzyć coś nie przewidzianego: niefortunne spotkania, choroby... Wiedziecie, że jak dotąd podczas swoich podróży nigdy nie zostawiłem na pustyni nikogo z gorączką albo ranami, a jeśli ktoś umarł, grzebałem go. Tak zdobywa się reputację dobrego przywódcy karawany.

Wkrótce potem Marti mógł się przekonać na własnej skórze, że Francuz mówił prawdę. Karawana minęła już Damaszek i zdążyła do oazy w Sabaabar. Okoliczni bandyci, zwani „szczurami pustyni”, pojawili się parę razy na horyzoncie, jednak ochraniający karawanę duży oddział najemników zniechęcał ich do ataku. Dni były upalne, a noce mroźne. Uczestnicy karawany źle to znosili. Dawały im się też we znaki burze piaskowe. Ludzie okrywali się, czym mogli, ale piasek wdzierał się wszędzie. Unikały tego jedynie wielbłądy potrafiące zamykać oczy i nozdrza. Pochowali w oazie trzy osoby, które nie przetrwały próby, i od tej pory podążało za karawaną złowrózbnie stado sępów. Tam właśnie Marti miał okazję stwierdzić, że dobrze zrobił, zabierając ze sobą Marwana. Rozbił namiot w gaju palmowym, który wskazał Hugues de Rogent, wybierając zawsze najlepsze i najbezpieczniejsze miejsca na obozowisko. Owej nocy, kiedy mieli ostatnią okazję, by napełnić wodą bukłaki, Frank zaprosił go na wspólny lekki posiłek.

W ciemnościach migotały pustynne świetliki. Po kolacji, gdy Marti zamierzał położyć się na posłaniu przygotowanym przez Marwana, poczuł na prawej stopie bardzo bolesne ukąszenie. W świetle płomienia świecy zobaczył, że stwór, który go ukąsił, ukrył się pod kamieniem. Przywołał służącego i opowiedział mu, co się stało. Gdy Marwan odsunął kamień, wybiegł spod niego skorpion. Rozgniótłszy go, służący zwrócił się do Martiego:

— Nie mieliście szczęścia, panie. To skorpion z wydm. Muszę pobiec po swoje rzeczy, bo inaczej nie dotrzecie do Kerbali.

Kiedy Marwan wrócił z torbą, Marti czuł nieznośne pieczenie w okolicach pachwiny.

Służący pomógł mu położyć się na pryczy. Płomień świecy

zaczął wirować Martiemu przed oczami i mimo nocnego zimna, poczuł falę gorąca. Zanim stracił przytomność, Marwan podał mu wywar, wziął jego nóż i naciął miejsce ukąszenia, po czym przytknął wargi do brzegów rany i wysawszy jad, wypluł go. Potem natarł mu nogę jakąś maścią. Nim Marti zemdleł, usłyszał jeszcze jego słowa:

— Zawiadomię kapitana. Będziecie chorowali przez wiele dni.

Przepowiednia się sprawdziła. Potem Marti dowiedział się, że troska jego służącego ocaliła mu życie. Hugues de Rogent sporządził nosze, które Marwan przytwierdził do zadu wielbłąda. W ten sposób, przywiązany rzemieniami, Marti podróżował. Mając w gorączce, widział Laię, która wpatrywała się w niego intensywnie swymi szarymi oczami i chciała powiedzieć mu coś ważnego, czego nie rozumiał. Gdy zniknęła, rozbrzmiewał mu w głowie sardoniczny śmiech jej ojczyma, który drwił z jego starań o zdobycie obywatelstwa Barcelony.

Atak „szczerów pustyni” zaskoczył ich we wtorkowy wieczór, w trzecim tygodniu podróży. Tylko dzięki doświadczeniu kapitana i odwadze najemników napastnicy nie osiągnęli celu. Walka pochłonęła pięć ofiar: zginęło trzech dorosłych i dwoje dzieci. Surowy klimat, choroby, gorączka i wspomniany już atak bandytów zdziesiątkowały karawanę. W pobliżu Persji z trzystu sześćdziesięciu osób, które wyruszyły w drogę, pozostały jedynie dwieście dziewięćdziesiąt trzy. Marti, słaby jak trzcina, odzyskiwał siły i pod koniec wyprawy miał pewność, że Bóg, opatrność lub przeznaczenie predestynują go do wielkich rzeczy.

Gdy dotarli wreszcie do ar-Ramadi, Hugues de Rogent pożegnał się z człowiekiem, który rozpoczął podróż jako jego podwładny, a zakończył jako przyjaciel.

— Jesteśmy na miejscu. Ja zmierzam dalej do Kirkuku, a wy musicie skręcić do Kerbali. Widzę, że już odzyskaliście siły. Uważajcie na siebie. Pierwsza mila podróży jest równie niebezpieczna jak ostatnia i niczym się nie różni. Zauważcie, ilu ludzi zostało po drodze. Piekło jest pełne śmiazków. Kto nie kocha życia, zwykle je traci.

— Nigdy nie zdołam odwdziżyć wam się za wszystko, co dla mnie zrobiliście.

— Wywiązałem się tylko z warunków umowy. Prestiż dowódcy karawan i jego dobre imię zależy od tego, co mówią ci, którzy przeżyli.

— Na mnie możecie liczyć. A teraz powiedzcie mi, jaką mam wybrać drogę?

— Trzymajcie się koryta Eufratu. Doprowadzi was do Bahr al-Milh. Stamtąd do Kerbali już niedaleko.

— Kiedy wrócicie? Pytam, by dopasować mój powrót do waszej karawany.

— Jeszcze nie wiem. Powinniście poczekać na jakąś dużą karawanę albo pokonywać trasę etapami.

— Posłucham waszej rady.

Takich to mądrych wskazówek udzielił mu kapitan. Marti, uściskawszy go na pożegnanie i podziękowawszy swemu przewodnikowi za jego nieocenione usługi, wyruszył wraz ze swym poganiaczem wielbłądów na spotkanie z Rashidem al-Malikiem, który mieszkał w wiosce w pobliżu miejsca, gdzie odłączyli się od karawany, uszczuplonej już znacznie z powodu zgonów, trudów podróży, chorób, różnic temperatur i ataku bandytów. Wcześniej, za radą Marwana, Marti zamienił wielbłąda na dobrego konia, którego odstąpił mu pewien kupiec zamierzający wracać tą samą drogą, gdyż w tych warunkach wierzchowiec mógł mu się bardziej przydać.

Ścieżka była dość wąska, a podłoże śliskie. Korzystając z rad kapitana, postanowił iść ostrożnie, aby pokonawszy tyle przeciwności, nie potknąć się, gdy był już niemal u celu. Kiedy zapadał zmierzch, nikłe światło wskazało mu, że dotarł na miejsce. W oddali szczełał pies i za jego głosem trafił do wioski, jeśli owych kilka chałup można było tak nazwać.

Rozpusta i skąpstwo

Laia nie promieniała już jak dawniej młodzieńczą energią. Miesiące wyrzeczeń przepelniły ją smutkiem, o którym świadczył przygaszony blask szarych oczu. Jej życie mijало w oczekiwaniu na atak, który następował niemal co noc. W ciągu dnia, zawsze w towarzystwie swej harpii, oddawała się rutynowym zajęciom. Tak zarządził jej opiekun, by nikt nie sądził, że dziewczyna źle wygląda, gdyż jest maltretowana przez ojczyma lub z innych przez niego zawinionych powodów. Chodziła do kościoła, rozmawiała z żonami *prohomes*, którzy odwiedzali jego dom, i towarzyszyła ojczymowi podczas nudnych zebrań. Czasem, gdy ktoś zwracał Bernatowi uwagę, że jest mizerna, odpowiadał:

— Wiecie, że w okresie dojrzewania dziewczęta bywają bardzo anemiczne. — Dodawał, iż żydowski lekarz, który ją badał, przepisał syrop z żelazem i inne środki na wzmocnienie.

Jedyną osobą, która nie dawała się oszukać, była Adelaida, stara piastunka. Laia często ją odwiedzała. Adelaida powiedziała kiedyś do Edelmundy: „Ta dziewczyna jest chora z miłości”. Guwernantka, która zawsze towarzyszyła jej wizytom, odparła: „To typowe kaprysy dziewcząt. Codziennie walczę, by zjadła tyle, ile powinna w swoim wieku. Ojciec, który ją uwielbia, jest zrozpaczony”.

Tak miały się sprawy do owego dnia.

Edelmunda, guwernantka, której Montcusi zlecił pilnowanie Lai, stała drżąca przed swoim panem, gdyż wiadomość, którą przyniosła, nie była łatwa do przekazania ani miła dla odbiorcy. Dobrze wiedziała, jak łatwo wybucha gniewem doradca, któremu nikt nie ośmiela się sprzeciwić. Od pięciu miesięcy, stosując się ściśle do jego poleceń, towarzyszyła dziewczynie w jej codziennych wizytach w celi niewolnicy. Aixa, na wyraźny rozkaz Bernata, została wyleczona z ran i była pod dobrą opieką, gdyż jej powrót do zdrowia stanowił warunek, by Laia zaspokajała jego żądze. Dziewczyna przechodziła drogę krzyżową, bo zdając sobie sprawę, że zależy od niej nie tylko życie Aixy, lecz także ocalenie jej od straszliwej śmierci, nie umiała przewidzieć, jak długo jest w stanie znieść swoją hańbę. Niewolnica nic o tym nie wiedziała, gdyż kiedy Laia została po raz pierwszy brutalnie zgwałcona, właśnie w jej celi, była nieprzytomna. Widziała codziennie wycieńczoną twarz i ogromne sińce pod szarymi oczami swej młodej pani, lecz przypisywała to jej cierpieniu z powodu nieobecności Martiego i odkryciu spisku z listami.

Życie Lai było piekłem. Za każdym razem, gdy ojczym zjawiał się w jej sypialni, drżała, a kiedy ją wykorzystywał, starała się błędzić gdzieś myślami, wyobrażając sobie przyszłość z daleka od tego satyra, tak że nawet nie słyszała jego urywanych jęków. Gdy jej nieruchomym ciałem wstrząsały paroksyzmy starca, zdawała sobie sprawę, że straciła miłość Martiego i że pozostało jej tylko wstąpić do klasztoru i przywdziać habit, aby ukryć przed światem swój wstyd. Pocieszała ją jedynie świadomość, że dopóki to wszystko znosi, życiu Aixy nic nie zagraża.

Bernat Montcusi podniósł głowę znad pergaminów i lakując dokument, spytał:

— Cóż takiego się stało, że przeszkadzasz mi w pracy?

Guwernantka stała nadal, mnąc w dłoniach chusteczkę.

— Mów, kobieto!

— Widzicie, panie, zdarzył się incydent, który może mieć nieprzyjemne następstwa.

— O co chodzi? I kto zawinił?

Kobieta cała się trzęsła.

— Nikt nie jest winien. To był wypadek.

— Co się dzieje, głupia? Mów natychmiast!

— Chodzi o to, panie... — Kobieta wciągnęła głęboko powietrze i przymknąwszy oczy, wydusiła: — Myślę, że Laia jest przy nadziei. Urodzi jesienią tego roku.

Zarządca zaczerwienił się. Jego ściągnięte brwi zwiastowały prawdziwy kataklizm.

— Chcesz powiedzieć, że spodziewa się dziecka?

Edelmunda wbiła wzrok w podłogę.

— Najwyraźniej. Chyba że cierpi na chorobę, której nie znam.

— I mówisz, że nie ma winnego!

— Panie, robiłam, co mogłam, ale nie zawsze wszystko wychodzi tak, jak chcemy.

— A co z tymi receptami, którymi się przechwalałaś, by zdobyć moje względy?! — krzyknął Montcusi.

— Panie, zapewniam was, że zdarzyło mi się po raz pierwszy, by szmatka nasączona octem i umieszczona w kroczu kobiety nie przyniosła efektu.

Doradca hrabiego i guwernantka milczeli przez dłuższą chwilę. On miał świadomość, jakie grozi mu niebezpieczeństwo, jeśli sprawa wyjdzie na jaw, ona zaś pragnęła za wszelką cenę znaleźć jakieś rozwiązanie, by nie stracić pracy.

— Panie, znam sposoby, by przerwać ciążę.

— Głupia! Jeśli wszystkie twoje metody są równie dobre jak ta, którą wcześniej mi proponowałaś, od razu z nich rezygnuję. Zejdź mi z oczu. Kiedy coś postanowię, każę cię wezwać. Zabraniam ci rozmawiać z kimkolwiek o tej sprawie. Jeśli okażesz się nieposłuszna, nie doczekasz poranka. Zrozumiałaś?

Kobieta, przekonana, że na razie wyszła z opresji, skinęła głową, zaklinając się, iż nie puści pary z ust.

— Od tej chwili — dodał Bernat — niewolnica ma pozostać w odosobnieniu. Nikomu, absolutnie nikomu, nie wolno jej odwiedzać.

Doradca przetrwał swą rozpacz przez kilka dni, powoli porządkując myśli i wyciągając wnioski.

Po wielu miesiącach wykorzystywania Lai, kiedy tylko miał na to ochotę, jego namiętność wyraźnie osłabła. Po pierwsze, zaspokoiwszy swe żądze, nie czuł już tak silnego popędu. Po drugie, całkowita bierność dziewczyny wyprowadzała go z równowagi. Początkowo sądził, że z powodu braku doświadczenia nie potrafiła rozkoszować się współżyciem, i wierzył, że oswoiwszy się z sytuacją, zacznie odczuwać pożądanie i reagować jak kobieta. Tak się jednak nie stało. Za każdym razem miał wrażenie, że spółkuje ze zwłokami. Poza tym jej uroda wędła z dnia na dzień. Tak więc wiadomość, którą przekazała mu Edelmunda, sprawiła, że postanowił pozbyć się swej zabawki. Z drugiej strony tydzień wcześniej otrzymał za pośrednictwem majordoma okrągłą sumę odsetek z kontraktów, które zawarł z Martim Barbanym. Z czasem mogły one przynieść o wiele większe dochody, gdyż skończył się okres zaliczek. Marti był w podróży już prawie dwa lata.

Montcusi rozważał cały wachlarz możliwości. Jeśli zdoła uczynić Martiego obywatelem Barcelony i odda mu rękę Lai, dziewczyna będzie miała ojca dla swego dziecka. Nie chciał myśleć o spędzeniu płodu, bo był to grzech bardzo niemily Bogu, który łatwiej mu wybaczy ludzkie słabości. Miałby pod kontrolą ambitnego młodzieńca, a ukrywający niewolnicę w którymś ze swych majątków, na przykład w ufortyfikowanej *masii* w Sallent, zapewni sobie milczenie pasierbicy i jej obecność, gdy tylko tego zapragnie. Była jeszcze jedna pilna sprawa: nikt z domowników nie powinien dowiedzieć się o stanie Lai. Dlatego zamierzał wysłać ją z Edelmunda do Sallent. Gdy odzyska figurę, pozwoli jej wrócić i spotykać się z Aixą, zawsze w czyjejś obecności, aby wiedziała, że wszystko zależy od niej i że jej milczenie gwarantuje życie niewolnicy. Takie myśli kłębiły mu się w głowie, tworząc stopniowo uporządkowany plan.

Po tygodniu wahań i wątpliwości, rozpatrzywszy sprawę ze wszystkich stron, podjął w końcu decyzję. Kazał zaprząć konie

do powozu i ruszył w kierunku Pia Almoina, gdzie mieszkał jego spowiednik, spowiadający również hrabinę Almodis, ojciec Eudald Llobet.

Zobaczywszy herb na powozie, który nadjeżdżał, ksiądz siedzący na furcie kazał powiadomić ojca Llobeta. Bernat Montcusi wysiadł, zanim foryś zdążył otworzyć mu drzwiczki, i ciągnąc za sobą pelerynę, wszedł do budynku. Akolita wrócił natychmiast, mówiąc, że duchowny oczekuje gościa w swym gabinecie. Przemierzywszy komnaty ogromnego budynku, doradca stanął przed obliczem mnicha.

Eudald Llobet troszczył się o każdego parafianina, który potrzebował jego rady, ale jako człowiek miał swoje sympatie i antypatie, a obłudnego doradcę, choć czasami korzystał z jego wpływów, nieszczególnie lubił. Uważał, że jest oślizgły i zimny jak wąż.

— Witajcie w moim domu, Bernacie. Gdybyście mnie zawia domili, sam bym was odwiedził.

— Mam pilną sprawę i postanowiłem przyjechać, by zyskać na czasie.

— Zatem rozgośćcie się i wyjaśnijcie powód waszej wizyty. Doradca zajął miejsce naprzeciw duchownego.

— A więc?

— Eudaldzie, sprawa, z którą do was przychodzę, jest nie zwykle delikatna i wymaga dużej ostrożności, gdyż może za szkodzić mojemu dobremu imieniu, zniszczyć życie Lai, mojej podopiecznej, którą tak bardzo kocham, i sprawić, że mój dom okryje się hańbą.

— Brzmi to niepokojąco. Mówcie.

— Dobrze. Opowiem wam najpierw, o co chodzi, a potem oczekuję waszej rady, by wybrnąć z tej niefortunnej sytuacji zgodnie z zaleceniami Kościoła, naszej Świętej Matki.

Ksiądz poruszył się niespokojnie i czekał na wyjaśnienia gościa.

— Otóż znacie niestałość kobiet: są zmienne jak latawce na wietrze. Wiecie z doświadczenia, jak kruche są ich uczucia i jakie

zmiany przechodzi ich organizm, gdy dojrzewają. Moja podopieczna zadurzyła się lekkomyślnie w Martim Barbany, młodzieńcu, którego przysłałiście do mnie, abym dał mu zezwolenie na handel luksusowymi towarami. Później zjednał mnie sobie siłą charakteru i zaradnością i przez wzgląd na was zaakceptowałem również inne projekty, które mi przedstawił. Tak się złożyło, że na targu niewolników poznał Laię. Spotykali się potajemnie kilka razy dzięki pomocy niełojalnej służby i moja pasierbica na próżno dawała mu nadzieję. Nie zapominajmy, że na to nie zasługuje, gdyż nie jest nawet jeszcze obywatelem Barcelony. Chłopak przyszedł prosić mnie o zgodę, by mógł ubiegać się o jej rękę, ale wbrew sobie i swoim uczuciom musiałem mu odmówić. Wierzyłem jednak, że jego miłość do Lai stanie się bodźcem, by zdobył z czasem wysoką pozycję i swoimi sukcesami utorował drogę do związku z nią. Ale wasz podopieczny wyruszył w podróż i półtora roku później Laia przysłała do mnie zapłakana pewnej nocy, by opowiedzieć o ich potajemnych schadzках i umowie, którą zawarli. Błagała mnie wtedy, bym pośredniczył w przekazaniu mu listu z wiadomością, że ich związek się skończył i że już go nie kocha. Oczywiście zganiałem ją za lekkomyślność, potępiłem jej zachowanie i przestrzegłem, że nie powinna igrać z niczymi uczuciami, ale podejrzewałem, że ktoś znów zawrócił jej w głowie i że wpadła w sieci jakiegoś młodego dworzanina. W istocie, przeczucie mnie nie zawiodło. Wyznała mi, że znów się zakochała i tym razem, co gorsza, w żonatym mężczyźnie, jednym z tych szlachciców, którzy kręcą się blisko tronu. Nie wiem, kim jest, a ona nie chce mi powiedzieć. Domyślam się, że to syn jakiegoś dostojnika, którego rodowód jej zaimponował. Nie wiedząc, że jest żonaty i że i tak by jej nie poślubił, skoro pochodzi z plebsu, oddała mu się jak głupia i zaszła w ciążę. Gdy amant się o tym dowiedział, wziął nogi za pas i odmówił uznania dziecka. Wyraz twarzy Llobeta był nieprzenikniony.

— Mówcie dalej.

— Mam obowiązek czuwać nad nią. Obiecałem to mojej

żonie, gdy umierała. Waham się, co zrobić. Skoro dziewczyna odmawia kategorycznie wskazania, kto pozbawił ją dziewictwa, muszę się postarać, by przerwała ciążę, albo znaleźć kogoś, kto będzie godny pojąć ją za żonę. Dobrze mnie znacie. Jako syn Kościoła nigdy nie popełniłbym zbrodni, jaką jest usunięcie ciąży. Pozostaje więc jedyne rozwiązanie, które chcę wam przedstawić, i w tej sprawie do was przybyłem. Nikt szlachetnie urodzony jej nie poślubi, a ja nie oddam dziewczyny nikomu, kto goni za moimi pieniędzmi, bo pewnego dnia będzie po mnie dziedziczyła. Widzę tylko jedno wyjście. Wasz podopieczny, którego zawiodła, będzie bardzo bogatym człowiekiem. Już zaczyna nim być. Nie jest, co prawda, szlachcicem, ale zostanie obywatelem tego miasta... Zwłaszcza jeśli ja się o to postaram. Jeżeli chłopak nadal ją kocha, ciąża przestanie być problemem. Jestem pewien, że wasze wpływy usunęłyby wszelkie przeszkody. On pojąłby za żonę dziewczynę, którą do niedawna kochał, zostałby obywatelem Barcelony i byłby ojcem dla dziecka, które Laia wyda na świat. Moja podopieczna ocali honor, a czas uleczy rany, przypisując jej zachowanie grzechom młodości.

Ojciec Llobet rozmyślał przez chwilę. Był nie tylko wytrawnym znawcą ludzkich nieszczęść, ale także doświadczonym człowiekiem, który wiele przeszedł, zanim został duchownym. Dobrze znał doradcę i zauważył, że za tą dziwną historią kryje się jakaś tajemnica, której na razie nie potrafił zgłębić.

— Dawno nie widziałem was przy konfesjonale, Bernacie. Doradca zmieszał się nieco, słysząc tę nieoczekiwaną od powiedź.

— W istocie, macie rację. Absorbuję mnie praca i aby spełnić chrześcijański obowiązek, muszę chodzić do kościoła Sant Miquel, który jest bliżej mego domu. Poza tym nie rozumiem, co to ma wspólnego ze sprawą, która mnie do was sprowadza.

— Myślałem, że póki się zastanawiam, mógłbym was wy spowiadać tu, w gabinecie, abyśmy obaj, w stanie łaski, prosili Boga, by nas oświecił przy podejmowaniu tak ważnej decyzji.

— Spowiadałem się w piątek. Jestem w stanie łaski, nie muszę prosić o rozgrzeszenie.

Eudald Llobet, który wiedział, jak sumiennie doradca traktuje sprawę sakramentu, wyczuł, że kryje w duszy tajemnice i zamiary, których nie chce ujawnić podczas spowiedzi.

— Dobrze, pozwólcie mi pomyśleć, jak poradzić sobie z tą sytuacją. Rozumiem, że Marti wraca dopiero za jakiś czas.

— To bez znaczenia. Wyślę moją córkę w towarzystwie guwernantki i zaufanej akuszerki do jednej z moich posiadłości. Tam zostanie, dopóki nie urodzi dziecka. Będzie dorastało poza miastem i wróci tu w stosownym momencie... Jako jej własne, adoptowane, czy jak mi się tam spodoba. Wtedy będzie już po wszystkim i nie wzbudzi to żadnych podejrzeń.

Znalazłszy schronienie dla zwierząt i nocleg w jednym z domów w wiosce, Marti, przed udaniem się na spoczynek, poszedł coś zjeść w towarzystwie swego wiernego poganiacza wielbłądów. Wioska miała dziesięć lub dwanaście chałup, ale jej mieszkańcy, mimo widocznego ubóstwa, byli życzliwi i gościnni. Zajął się nimi staruszka o śnieżnobiałych włosach, ubrana na czarno i mająca na nogach buty ze skóry jakiegoś włochatego zwierzęcia. Nie pytała, co chcą na kolację, bo była tylko pieczeń z koźlęcia z miodem i przyprawami, półsłodka i podana z marchewkami, czarny żytni chleb, który wypiekała sama w stojącym na zewnątrz kamiennym piecu, oraz pełna misa gęstego kwaśnego mleka. Było przenikliwie zimno, zaspokajali więc apetyt przy ogniu wielkiego kominka, zajmującego główne miejsce w jedynej izbie, ale bardziej niż rozżarzone węgle rozgrzewał ich bezbarwny trunek, który kobieta podawała w kieliszkach wielkości naparstka. Tuż po wypiciu palił trzewia, ale potem był błogosławieństwem. Staruszka krzątała się w milczeniu, podając im kolację. Kiedy już się najedli, Marti zadał jej pytanie, posługując się łaciną z Barcelony, i ku jego zaskoczeniu kobieta zrozumiała go i odpowiedziała w podobnym języku, choć brzmiącym nieco inaczej.

— Powiedz mi, dobra kobieto, czy wiesz, gdzie mieszka Rashid al-Malik?

— Ten szalony starzec? Żyje samotnie i pojawia się w wiosce tylko po to, by zaopatrzyć się w produkty, których mu nie dostarcza uprawa ziemi i hodowla zwierząt.

— Możecie mi wskazać, gdzie go znaleźć?

— Łatwo do niego trafić. To jeden dzień jazdy na koniu. Ma dom tuż nad jeziorem Bahr al-Milh. Ale nie pokazujcie się tam po zachodzie słońca, bo poszczuje was psami. Jak już mówiłam, to szalenie.

Podziękowawszy jej, Marti udał się na spoczynek na skromną mansardę, gdzie było bardzo ciepło, gdyż przechodził tamtędy przewód z palonej cegły odprowadzający dym z kominka. Wcześniej zaproponował Marwanowi, by dzielił z nim pokój, ale poganicz wolał spać w stajni, jak miał w zwyczaju, w naturalnym cieple, które zapewniały mu jego konie i jagnięta staruszki.

Wyczerpany po wielu ciężkich dniach Marti zasypiał z przekonaniem, że jego podróż dobiega końca. Powędrował myślami do Barcelony, układając plany. Jofre może wyruszać do portów, które Marti odwiedzał przez półtora roku, i przewozić zakupione przez niego towary. Jego statek powinien już być gotowy. Zamierzał kupić następny, gdy tylko będzie mógł, a potem kolejne... Pamiętał słowa Barucha Benvenista: „Zyski przyniesie morze”. Rozmyślał o wielu sprawach. Musi znaleźć kapitanów dla swoich statków. Jego drugi towarzysz dziecięcych zabaw, Felet, również jest marynarzem. Powinien z nim porozmawiać. Gdyby zdołał przekonać do współpracy Greka Manipoulosa, jego flota zaczęłaby nabierać znaczenia. Zamierzał pokazać Bernatowi Montcusiemu, że jest godny ręki Lai... Takie właśnie myśli krążyły mu po głowie, gdy w końcu zmorzył go sen.

Miał wrażenie, że spał bardzo krótko, gdy poczuł, jak potrząsa nim służący.

— Panie, jest już popołudnie. Musimy ruszać, jeśli chcecie dotrzeć do Bahr al-Milh przez zmrokiem.

Gdy tylko otworzył oczy, usłyszał, że staruszka krząta się przy



garnkach. Pianie kogutów, rzenie koni i beczenie owiec pomogły mu się ocknąć. Wstał w okamgnieniu i umywszy się w miednicy, którą przyniósł mu Marwan, szybko się ubrał. Służący zebrał tymczasem jego rzeczy i włożył do torby, którą umieścił potem w jednym z juków. Zjadłszy obfity posiłek i zapłaciwszy hojnie staruszce, ruszyli w drogę. Marti skorzystał z okazji, by zawrzeć umowę z Marwanem. Podczas długiej podróży przez pustynię miał czas, by dostrzec jego zalety: był godny zaufania, odważny, bardzo pracowity i mówił różnymi językami.

— Co będziesz robił, kiedy ja wrócę do Barcelony?

— Panie, potrafię tylko jedno: wyruszę z kolejną karawaną na pustynię i poszukam nowego pana, który nie będzie już tak dobry jak wy, ale dzięki któremu zarobię następne pieniądze. Kiedy będę starszy, chciałbym osiedlić się w Sydonie i handlować wielbładami. Mój ojciec mawiał, że choć czasy się zmieniają, dopóki istnieje pustynia, piasek jest piaskiem, a pogoda i wiatr pozostają takie same, wielbłąd zawsze będzie potrzebny.

— A gdybym ci zaproponował, żebyś pracował dla mnie i dostawał rocznie dużo więcej, niż zarabiasz, pokonując trzy razy pustynię, to co byś powiedział?

— A co mógłbym dla was robić?

— Byłbyś tutaj moimi oczami i uszami i wysyłał karawany na Wschód z ładunkiem, który ci wskażę.

— Mógłbym pojechać raz w roku do Sydonu?

— O ile praca na to pozwoli, kiedy tylko zechcesz.

— Chodzi, panie, o pewną kobietę... — przyznał poganiacz ze szczerym uśmiechem.

— Nie musisz nic mówić, wiem coś o tym.

I w ten prosty sposób Marti znalazł człowieka, który miał być jego *alter ego* na odległej ziemi, bowiem mimo młodego wieku, dawno doszedł do wniosku, że najlepszych współpracowników zdobywa się dzięki przyjaźniom, a nie pieniądзом.

O zmierzchu dotarli do Bahr al-Milh. Uderzył go w nozdrza przesycający powietrze szczególny zapach, tym intensywniejszy, im bardziej zbliżali się do jeziora. Marwan, używając dialektu

brzmiącego jak farsi, spytał o Rashida al-Malika pasterza pilnującego kóz, które próbowały skubać rosnące wśród kamieni nędzne roślinki. Nieznajomy wskazał kierunek pasterskim kijem.

— Panie, jesteśmy już blisko — powiedział Marwan. — Za tym wzgórzem jest gospodarstwo człowieka, którego szukacie. Zostało pół mili.

Znów ruszyli w drogę. Pragnąc dotrzeć jak najszybciej na miejsce, Marti spinał konia i Marwan musiał robić to samo. Kiedy wjechali na szczyt wzgórza, zobaczyli w dole niemal czarne jezioro, a nad jego brzegiem budynki — jeden duży i kilka mniejszych — okolone kamiennym murem. Psy uczyły ich przybycie głośnym szczekaniem, co sprawiło, że z jednej z szop wyszedł brodac w średnim wieku, w karakułowej czapce, szarobrązowej tunice, kurtce z jagnięcej skóry i solidnych butach, aby zobaczyć, kim są niezwykli goście, którzy przybyli na jego ziemię. Stał na środku podwórza z ogromnym toporem w rękach.

Marti zsiadł z konia i spytał, czy stoi przed obliczem Rashida al-Malika. Gdy ten skinął głową, wręczył mu bez słowa list, który miał w sakwie. Rashid oparł nieufnie rękę na topora o koło wozu i złamał pieczęć. Rozłożywszy pergamin i ujrawszy na marginesie dziwny znak, podniósł na chwilę wzrok i przyjrzał się uważnie twarzy Martiego. Potem powoli zaczął czytać list. Marti zauważył, że nie ma jednego ucha. Kiedy skończył, podszedł do Martiego, nie wypowiadając ani słowa, i ucałował go zwyczajowo trzy razy w policzki, podobnie jak uczynił to jego brat.

Od razu zdołali się porozumieć, używając łamanej łaciny i dialektu, który tłumaczył Marwan. Gdy zasiedli już w domu, przy skromnie zastawionym stole, Marti opowiedział mu raz i drugi, co zaszło w Famaguście, a potem zaczął wyjaśniać cel swojej podróży.

Wizyta trwała kilka dni. Za dnia Rashid zajmował się swoimi sprawami, a wieczorami rozmawiali o tym, co tak interesowało Martiego. Pewnej nocy, gdy Marwan poszedł spać do stajni, Rashid al-Malik opowiedział Martiemu przedziwną historię.

— Powtarzam wam więc, że gdy w północnej części jeziora wbije się w dno żerdź, natychmiast wypływa czarne błoto, którego jedyną zaletą jest to, że nasączony nim knot dobrze się pali. Nie nadaje się jednak do użytku wewnątrz domu, bo ma intensywny i nieprzyjemny zapach.

— Zamierzam je stosować na zewnątrz, więc to mi nie przeszkadza. Problem polega na tym, jak przewieźć je morzem do dalekich krajów.

— Ja chcę tylko kupować bydło i robić to, co potrafię. Ta czarna gęsta ciecz mnie nie interesuje.

— Jeśli dostarczycie mi tego, co wypływa z waszej ziemi, w ciągu kilku lat uczynię was bogaczem.

— To brzmi obiecująco, ale pragnę powiedzieć wam o czymś, co jest dla mnie o wiele ważniejsze niż pieniądze. Przez tych parę dni zdążyłem dobrze was poznać. Myślę, że ucziwy z was człowiek. Jesteście młodzi, a to, co zrobiliście dla mojego brata, świadczy o waszej szlachetności. Nie chciałbym, by tajemnica, której moja rodzina strzegła przez pokolenia, poszła ze mną do grobu, skoro się nie ożenię i nie będę miał potomka.

Marti był zaintrygowany.

— Dlaczego macie się nie ożenić? Jesteście jeszcze w pełni sił.

— To długa historia. Kiedyś wam ją opowiem. Ale, korzystając z tego, że wasz służący zostawił nas samych, przejdźmy do sedna sprawy.

— Nie domyślam się nawet, co to za sekret.

— Tajemnicę, której strzegę, chcieliby poznać wszyscy władcy tego świata, ale zgodnie z tradycją obowiązującą mężczyzn w mojej rodzinie, przekazujemy ją z ojca na syna i możemy wyjawić komuś tylko wtedy, gdy ulegnie przerwaniu łańcuch dziedziczenia. Zważywszy na to, że nie będę miał potomków, jestem upoważniony zdradzić ją osobie, która zobowiąże się pod przysięgą korzystać z niej wyłącznie w słusznej sprawie i by czynić dobro.

— Pali mnie ciekawość.

— Wiecie, co to jest grecki ogień?

— Nie mam pojęcia.

— Powiem wam. To coś tak cennego, że niemal wszyscy władcy tego świata zabiliby, by go zdobyć.

Marti chłonał jego słowa.

— Otóż przed laty, około sześćset osiemdziesiątego trzeciego roku, pewien Syryjczyk, niejaki Calinico, odziedziczył po alchemikach z Aleksandrii magiczną formułę, która, właściwie spożytkowana, przyniosłaby ludzkości wiele korzyści, ale gdy by wpadła w ręce złoczyńcy, mogłaby posłużyć do ujarznienia wszystkich narodów Ziemi. Formuła ta, zaginiona w mrokach dziejów, dotarła do mnie za pośrednictwem męskich potomków mojego rodu, gdyż jeden z mych przodków był pomocnikiem owego Syryjczyka i dostarczał mu czarnej substancji spoczywającej w ziemi, która wtedy należała do niego.

Oczy Martiego błyszcząły w ciemnościach.

— Co chcecie przez to powiedzieć?

— Słuchajcie. Calinico wynalazł lepka mieszanekę złożoną z wielu substancji, która w zetknięciu z wodą nadal się paliła. W jej skład wchodziła owa czarna maź, po którą tu przybyliście i dzięki której preparat unosił się na wodzie; siarka, która wydzielała trujące opary, niegaszone wapno, które w zetknięciu z wodą emitowało tyle ciepła, że wzniecało ogień, żywica podsycająca proces spalania oraz saletra płonąca pod wodą, gdyż nie potrzebuje tlenu. Z tych składników można sporządzić mieszanekę, która spowoduje niechybnie pożar statku, gdyż nasączone nią szmaty, przywiązane do grotów strzał, będą się palić bez przerwy i ognia nie da się ugasić nawet wodą z morza. Zdajecie sobie sprawę, jaką władzę dysponuje posiadacz tej formuły?

Umysł Martiego pracował jak miech kowalski.

— Nasuwa mi się wiele pytań. Po pierwsze, dlaczego chcecie ofiarować tak cenny dar właśnie mnie?

— Już od dzieciństwa mój brat Hasan był moim przewodnikiem. Skoro wyraża się o was w liście tak pochlebnie, musicie być dobrym człowiekiem. Na tym odludziu nikt się nie pojawia,

mogę więc umrzeć, nie przekazując nikomu powierzonej mi tajemnicy.

— Dlaczego nie wyjawicie jej Hasanowi?

— On nie jest odpowiednią osobą. Również się nie ożeni, choć z innego powodu niż ja.

— Skoro chcecie mnie obarczyć tak wielką odpowiedzialnością, muszę znać powody.

— Rozumiem, że jeśli was przekonam, będę mógł powierzyć wam mój sekret?

— Z pewnością.

Rashid zamilkł na chwilę, po czym kontynuował swoją opowieść.

— Moja historia jest bardzo smutna, choć banalna. Wiele lat temu, pojechawszy z ojcem na jarmark do Kerbali, poznałem ormiańską dziewczynę, która od chwili, gdy ją ujrzałem, stała się światłem moich oczu. Ośmieliłem się posłać jej bilecik, na którym napisałem piękny wiersz. Następnego dnia ona podarowała mi tekst zredagowany przez skrybę. Korespondowaliśmy tak przez kilka kolejnych dni, aż w końcu umówiliśmy się na spotkanie. Nie rozumiałem z jakiego powodu, ale darzyła mnie uczuciem. Chciałem prosić o jej rękę, jednak nasze rodziny się temu sprzeciwiły. Dzielila nas nie tylko odległość, lecz i wiara. Ja byłem chrześcijaninem wyznania nestoriańskiego, a ona muzułmanką. W ostatnim dniu jarmarku przysięgliśmy sobie dożgonną miłość i rozstaliśmy się. Po kilku miesiącach pewien Czerkies podążający do Babilonii przekazał mi od niej wiadomość. Pisała, że zamierza uciec z domu i mam na nią czekać, byśmy uciekli razem. Jednak nigdy do mnie nie dotarła. Próbowałem się z nią spotkać, lecz na próżno. Nikt nie wiedział, gdzie jest, jakby pochłonęła ją ziemia. — Rashid zamilkł i Marti zobaczył, że po jego ogorzałej twarzy spływa łza. Otarłszy ją rękawem, ciągnął: — Ale coś mi mówi, że ona żyje i pewnego dnia wróci. Rozumiecie teraz, dlaczego nie chcę stąd odejść? Gdybym to uczynił, straciłbym ostatnią szansę na spotkanie z nią.

— Doskonale was rozumiem. Wiem, jak to jest. Miłość to

obsesja. Nie istnieje nic poza ukochaną osobą... A teraz powiedzcie mi, dlaczego opuścił was brat.

— Wyda wam się to niewiarygodne, ale również z powodu miłości. Niepojętego uczucia, przez które omal nie stracił życia. Mój brat Hasan musiał ratować się ucieczką.

— Ze względu na rodzinę dziewczyny?

— Nie, chłopca. Chcieli go ukamienować. Mój brat Hasan jest pederastą i zakochał się w młodzieńcu, którego poznał w Kirkuku. Rozumiecie zatem, że nigdy nie będzie mógł tu wrócić, bo klany i plemiona w tej części świata nie wybaczą obrazy honoru. Dlatego straciłem ucho i dlatego chce, bym do niego przyjechał. Z tego również powodu nie mogę przekazać mu tajemnicy greckiego ognia. On nigdy nie spłodzi potomka i będzie żył wolny jak ptak, gdyż od tamtej pory ucieka przed ludźmi i nie ma dla niego powrotu. Umrze samotnie na obcej ziemi.

Marti zobowiązał się strzec powierzonej mu tajemnicy i wyjechał w ciągu tygodnia, poznawszy sekretną formułę i dokładne proporcje substancji, niezbędnych do wyprodukowania niebezpiecznej mieszanki. Marwana zostawił w Mezopotamii, zlecając mu załatwienie różnych spraw. Jego wierny sługa miał znaleźć garncarza, który wykona rzymskie wazy ze spiczastą podstawą, aby można je było wbić w piasek w ładowni statku. Po wysłaniu jednej partii towaru następne dostawy powinny odbywać się już regularnie. Marti zapłacił z góry za pierwszy ładunek i rok pracy Marwana.

61

Większe zło

Lato 1055 roku

Ermesenda z Carcassonne, leżąca na poduszkach w powozie i pogrążona w niespokojnym półśnie, rozmyślała nad swą decyzją przy akompaniamencie rytmicznego stukotu końskich kopyt, skrzypienia osi kół i przenikliwych pogwizdywań woźnicy. Dręczyły ją wątpliwości i choć w głębi serca wiedziała, że dla dobra hrabstwa Barcelony byłoby lepiej, gdyby Ojciec Święty cofnął ekskomunikę, która ciążyła nad hrabiowską parą, zapiekła nienawiść do nałożnicy, uzurpującej sobie jej prawa, pozbawiała ją opanowania i utrudniała powzięcie trafnej decyzji. W tych okolicznościach postanowiła udać się do Sant Miquel de Cuixa, aby pomówić ze swym wiernym przyjacielem, biskupem Guillemem de Balsareny, którego trzeźwy osąd i lojalność nigdy jej nie zawiodły.

Konie zwolniły, a koła powozu wydawały już inny odgłos, wjechawszy na brukowany dziedziniec opactwa, co oznaczało, że podróż dobiegała końca. Ermesenda odsunęła zasłonkę i wystawiwszy głowę przez okienko, zachwycała się pięknem wspinających murów i majestatyczną surowością tej budowli.

Lokaj zeskoczył z tylnej części powozu i pospieszył otworzyć jej drzwiczki, podczas gdy foryś ściągał cugle dwóm koniom

z przodu, które dreptały nerwowo w miejscu, tocząc pianę z pysków i rżąc głośno.

Furtian, który zorientował się od razu w randze gościa, pociągał energicznie za sznur dzwonu, który rozbrzmiewał w oddali wewnątrz klasztoru, wzywając wspólnotę na dziedzińiec. Mnisi, porzuciwszy swe codzienne zajęcia, stawiali się skwapliwie na wezwanie, odziani w różne stroje, gdyż przybywali z ogrodu, refektarza, kaplicy lub biblioteki. Kiedy Ermesenda, wsparta na lasce, dotarła na środek wyłożonego płytami dziedzińca, prałat pospieszył jej na spotkanie, torując sobie drogę wśród mnichów zgromadzonych pod główną kolumnadą portyku.

Ermesenda pochylała już głowę, by ucałować dłoń biskupa, lecz ten ją powstrzymał.

— Pani, nie powinniście się trudzić. Gdybyście mnie powiadomili, przyjechałbym do was.

— Panie, nie każcie mi się czuć starszą, niż jestem. Potrafię jeszcze przebyć parę mil, gdy potrzebuję lojalnej rady, i gdyby nie to przeklęte kolano, przyjechałabym na grzbiecie mojej białej mulicy.

— Nigdy w to nie wątpiłem, ale po co narażać się na niewygody, skoro wystarczyło wezwać mnie przez posłańca, a natychmiast bym się u was zjawił?

— Może dzięki temu oszukuję moje biedne kości i każę im wierzyć, że są jeszcze młode.

Tak rozmawiając, dotarli do zgromadzonych na dziedzińcu mnichów, którzy na znak swego przeora pozdrowili z szacunkiem hrabinę i wrócili do swoich zajęć.

— Zaprowadźcie mnie, opacie, do refektarza, i niech wasz kucharz uraczy mnie miodownikiem, konfiturą z malin i świeżo wydojonym mlekiem, bo być może to jest prawdziwy powód mojej wizyty. Czy brat Joan nadal jest waszym cukiernikiem?

— Nadal, hrabino, i jeśli mam być szczery, to on rządzi klasztorem. Zaledwie miesiąc temu musiał zostać w łóżku z po-

wodu silnego kataru i mnisi jedli tak źle, że aby się nie buntowali, zaliczyłem im to jako pokutę i zwolniłem ich z nakazanego regułą postu.

— A więc nie zwlekajmy i złóżmy mu wizytę. Powiadomcie go, że hrabina chce oddać mu hołd i że pokonała długą drogę, by rozkoszować się jego przysmakami.

Po dobrym obiedzie i wizycie w kaplicy opat wprowadził Ermesendę do skryptorium, gotów wysłuchać, z czym przybywa. Jej nieoczekiwana wizyta wróżyła, że chodzi o coś poważnego.

— Zatem powiedzcie mi, pani, co skłoniło was do odbycia tak uciążliwej podróży.

Ermesenda, odzyskawszy już siły, oznajmiła:

— Mój zacny Guillemie, odkąd zmarł Oliba*, nikomu nie ufałam tak jak wam i wyjaśnię dlaczego. Jesteście Sługą Boga i nie ulegacie ziemskim żądzom. Próżności tego świata krępują was i wiem, że najbardziej chcielibyście zaszyć się w Montserracie i zostać pustelnikiem. Dlatego wierzę, że wasze rady są lojalne, nie kryją się za nimi żadne ambicje i kieruje wami wyłącznie rozsądek i chęć przyjscia mi z pomocą.

— Schlebiacie mi, hrabino, ale nie miejcie wątpliwości, że pragnę nade wszystko służyć wam i hrabstwu.

— A zatem, mój przyjacielu, przejdę do sedna sprawy. Pominę całą historię, bo aż za dobrze ją znacie. Jak wiecie, nasza rozmowa z papieżem była owocna i ekskomunika, którą nałożył na mojego wnuka i jego konkubinę, została cofnięta. Byliśmy jak grzmot, który poprzedza burzę. Chodziło o autorytet hrabiego i problemy z sukcesją, które miał i może jeszcze mieć. Starzeję się i po tylu latach walki nie chciałabym odejść z tego świata, pozostawiając bez rozwiązania konflikt, który zaszkodzi Barcelonie. To jedna strona medalu... Z drugiej jest nienawiść, jaką budzi we mnie ta harpia, która wessała się w mózg mego wnuka.

* Oliba (971—1046) był opatem Ripoll, biskupem Vic i założycielem klasztoru w Montserracie.

— Jeśli pytacie mnie o zdanie, powiem wam...

— Pozwólcie mi skończyć, biskupie, zanim mi doradzicie. Już niejedną raz przysyłali do mnie poselstwo. Oferta jest kusząca, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że jeśli nie zrezygnuję z ziem, które pozostawię po śmierci, dojdzie do wojny i tak czy inaczej Gerona i Osona znajdą się pod rządami mego wnuka. Jeśli zrzeknę się za życia swoich praw, otrzymam w zamian tak duże pieniądze, że będę mogła opłacić na długie lata dzierżawę w moich klasztorach.

— Zatem, pani, moja rada jest zbędna. To oczywiste, że powinniście zawrzeć układ, i niech Bóg zachowa was przy życiu jeszcze przez wiele lat.

— Tak podpowiada zdrowy rozsądek, ale serce każe mi opierać się do końca i niech po mojej śmierci dzieje się, co chce.

— To byłoby nierozważne... I jeśli pozwolicie, dodam coś jeszcze.

— Po to tu przybyłam, mój zacny Guillemie.

— A więc dobrze, pani. Nie wiem, jacy będą synowie Almodis, bo są jeszcze dziećmi, ale ile by nie byli warci, muszę wam powiedzieć, że gdyby w jakiś sposób udało się nie dopuścić, by hrabstwo Barcelony wpadło w ręce pierworodnego syna waszego wnuka, przyszłość lepiej by wyglądała.

— Nie mówicie mi nic nowego, biskupie. Pedro Ramón, najstarszy syn Ramóna i Elisabet, cieszy się zasłużoną sławą człowieka nierozważnego, porywczego i okrutnego. Nie są to cechy dobrego władcy.

— A więc mam rację, pani. Życie jest długie i jeśli któreś z hrabiątek posiada przymioty, które powinny zdobić księcia, znajdzie się sposób, by dla dobra hrabstwa i szczęścia jego mieszkańców zmienić zasady sukcesji. Nie zdarzyłoby się to po raz pierwszy.

— Potrafię być obiektywna. Wiecie, że jego matka jest dla mnie jak szatan w przebraniu kobiety, ale doszły mnie słuchy, iż jeden z książąt rzeczywiście ma wiele zalet.

— A zatem, pani, dlaczego się wahacie?

— Nie potraficie tego zrozumieć, mój zacny Guillemie. Podobnie, jak mężczyźni nie nadają się do rodzenia, mechanizm, w który Bóg wyposażył kobiety, nigdy nie przestaje działać i jajniki mają zawsze ogromny wpływ na podejmowane przez nie decyzje bez względu na to, czy chodzi o staruszkę, dziewczynę, księżniczkę, plebejuszkę czy zakonnicę. — Prałat się zaczerwienił. — Nie martwcie się, Guillemie, być może macie rację i nadeszła pora, by myśleć głową, a nie sercem.

Nareszcie Barcelona

Marti wpatrywał się w jesienny horyzont, wszedłszy niemal na galion na dziobie statku „Sant Benet”, gdyż było to miejsce najmniej odległe od Barcelony. Próbował przeniknąć wzrokiem poranną mgiełkę przesłaniającą zarys brzegu. Wydawało mu się, że minął wiek, odkąd opuścił miasto. Tyle się wydarzyło, że zaczął notować w dzienniku swoje przeżycia, osiągnięcia i cele, które sobie stawiał, poczynając od najważniejszych. Przybywszy do Sydonu, skorzystał z okazji, by odwiedzić Jeszuc Hazana, podziękować mu raz jeszcze za mądre rady i opowiedzieć o wszystkich swoich poczynaniach. Nie wspomniał, oczywiście, o sprawie greckiego ognia, którą trzymał w ścisłej tajemnicy. Hazan pogratulował Martiemu szczęśliwej gwiazdy i zapewniwszy, że może liczyć na jego pomoc, gdyby potrzebował pieniędzy albo kontaktów, wręczył mu trzy listy, dostarczone przez kapitana statku, który prowadził interesy z wpływową żydowską wspólnotą w Sydonie. Pierwszy był od Lai, z datą sprzed roku, drugi przysłał mu jego służący Omar, a trzeci Baruch Benvenist. Gdy tylko Marti zaszył się w komnacie, którą zajmował w domu Żyda, pogrążył się w lekturze. Zaczął, rzecz jasna, od listu ukochanej. Skończywszy go czytać, był przybity i rozczarowany. Nie potrafił pojąć, co się wydarzyło. Zaczął snuć domysły i szukać wyjaśnień.

Może jego długa nieobecność, bo spędził w podróży już prawie dwa lata, wpłynęła na uczucia dziewczyny. Laia jest bardzo młoda, a w wielkiej Barcelonie nie brakuje pokus. Później jednak, przeczytawszy list Omara, zaczął dostrzegać wyraźne oznaki, że pergamin od dziewczyny zawiera jakąś ukrytą wiadomość. List od jego zaufanego sługi brzmiał następująco:

Barcelona, 10 października 1054 roku

Mój zacny Panie,

Senor Benvenist zechciał napisać ten list, abym mógł opowiedzieć Warn, jak się tu mają sprawy.

Na początek chcę Warn powiedzieć, że interesy idą znakomicie i z każdym dniem potrzebuję więcej wsparcia, aby ze wszystkim sobie poradzić, ośmieliłem się więc poprosić pokornie o pomoc pana Andreu Codinę, gdyż nie jestem już w stanie zajmować się skutecznie tyloma sprawami. Trzeba zawierać z wieśniakami umowy na dostawy płodów rolnych, zajmować się młynami i winnicami w Magórii, rozstrzygać spory między naszymi dzierżawcami dotyczące wody i kierować ich, tak jak poleciliście, do don Barucha Benvenista, odwiedzać stocznię, aby być w kontakcie z kapitanem Jofrem w kwestii wykończenia Waszego statku, który jest już na wodzie, niemal gotowy do wypłynięcia... Czas szybko mija i choć kładę się o północy i wstaję o szóstej, z trudem zdążam ze wszystkim.

Zgodnie z instrukcjami otrzymanymi od senora Barucha, wręczyłem człowiekowi, który się do mnie zgłosił, podaną przez was sumę odsetek z zysków. Pytał oczywiście o termin Waszego powrotu. Jeszcze jedno zwróciło moją uwagę: listu, który dołączam, nie przekazała mi Aixa, ani nie dotarł do mnie zwykłą drogą. Dostałem go w naszym sklepie od obcej kobiety, która, prawdę mówiąc, zrobiła na mnie bardzo złe wrażenie,

a odchodząc, zapytała, czy mam dla niej jakąś przesyłkę. Odparłem, rzecz jasna, zgodnie z Waszym poleceniem, że nie zajmuję się takimi sprawami, gdyż mam zbyt dużo pracy, że moim zadaniem jest ekspediowanie przekazywanych mi listów do mojego pana, bo tylko ja wiem, gdzie aktualnie przebywa, on natomiast wysła swe wiadomości bezpośrednio na adres pewnego kupca, u którego czekają na odbiorcę. W ten sposób zakończyłem rozmowę.

Widuję prawie codziennie don Barucha Benvenista i za każdym razem, gdy mam szczęście go słuchać, czerpię wiedzę z jego erudycji i mądrości. Przychodzi teraz regularnie do stoczni z ludźmi z Cali. Rozmawia długo z kapitanem Jofrem i sprawdza dokładnie pojemność ładowni statku, zwracając bez końca uwagę na detale, które mnie wydają się błahe, ale najwyraźniej odgrywają ważną rolę. Jak słyszałem, kapitan ma już załogę. Dobierał ją cierpliwie i starannie. Nie rozglądał się, jak czynią to niemal wszyscy kapitanowie, po gospodach, tawernach i oberżach, aby zwerbować bandę pijaków, lecz wyszukał doświadczonych wilków morskich, z którymi swego czasu dzielił trudy rejsów i sztormy. Przyznam, że ci, których widziałem na pokładzie, budzili niepokój swym wyglądem: blizny na twarzach, chusty na głowach, kolczyki w uszach, amputowane kończyny. Ale Jofre twierdzi, że tacy są ludzie morza, a ci, których wybrał, nie zawiodą i będą wierni do śmierci.

Życzę Wam, Panie, by ten list zastał Was w jak najlepszym zdrowiu, i czekam niecierpliwie na Wasz powrót.

Przesyłam wyrazy szacunku od wszystkich domowników.

Omar

Przez dłuższą chwilę Marti trzymał list w rękach. Potem, przeczytawszy ponownie list od Lai, zaczął zdawać sobie sprawę, że coś jest nie w porządku. Brak krzyżyka w nagłówku, kolor atramentu, który nie był, jak zazwyczaj, zielony, nie było też zapachu wody różanej, odurzającego zawsze jego nozdrza, co dało mu do myślenia. Pamiętał, że gdy wyjeżdżał, inny list Lai nappełnił go nadzieją, a teraz to dziwne pismo, które odczytywał wielokrotnie, siedząc na dziobie statku „Sant Benet”, czwartego już w jego drodze powrotnej do Barcelony, powodowało taką udrękę duszy, że nic nie mogło jej ukoić. Gdy dotrze na miejsce, musi wyjaśnić wiele spraw.

Trzeci list był od Barucha. Jego ogląda, pragmatyzm i precyzja wypowiedzi znów wzbudziły podziw Martiego.

Styczeń 1055 roku

Szacowny Bracie,

Piszę w nadziei, że ten list dotrze do Twych rąk, gdyż wiem od Hazana, iż wracasz niemal na pewno przez Sydon, bez wątpienia więc się u niego zatrzymasz.

Życzę Ci szczęśliwej podróży, przechodzę do spraw, które dotyczą nas obu. Przede wszystkim chcę Cię powiadomić, że Twój statek jest już gotowy, ma skompletowaną załogę i pierwszy ładunek prawie na pokładzie. Podziwiam gorliwość, jaką okazałeś, przesyłając z kolejnych portów listy towarów, które mają być przewożone, ich ilość i miejsce załadunku. Wyczuwam w Tobie instynkt rasowego kupca i jestem pewien, że z pomocą opatrności wiele razem osiągniemy. Tak jak mi poleciłeś, przekazałem kapitanowi Jofremu twoje życzenie, by statek nosił nazwę „Eulalia”. Wydała mu się idealna, gdyż jest to imię patronki miasta. Rozbiliśmy o burtę butelkę najlepszego moszczu, a nasz wspólny przyjaciel, Eudald Llobet, pobłogosławił statek.

Czasy mamy niespokojne. Spory naszego hrabiego i hrabiny Almodis z hrabiną Ermesendą z Gerony wciąż trwają i nie widać ich końca. Wszystko to dzieje się ze szkodą dla handlu i pokoju, gdyż obie strony mają swoich zwolenników. Życie toczy się jednak dalej, wbrew wszelkim przeciwnościom, bo ludzie muszą jakoś przetrwać, każdy więc ciągnie swój wóz. Hrabstwo samo się rozwija, mimo poczynań swoich władców, nie dzięki nim, jak zresztą zawsze było.

Zgodnie z Twoimi wskazówkami przekazałem za pośrednictwem mego majordoma, gdyż jego ekscelencja — wiecie, kogo mam na myśli — nie lubi ludzi mojej nacji, sumę *mancusos*, którą wymieniłeś, pisząc do mnie ostatnio. Muszę przyznać, że uważam ją za wygórowaną, ale to Ty zarządzasz pieniędzmi.

Pragnę jak najszybciej gorąco Cię uściskać, a na koniec przekazuję serdeczności od mojej córki Ruth, która dowiedziawszy się, że do Ciebie piszę, nalega, bym Cię pozdrowił.

Baruch Benvenist

63

Ambicje

Ramón Berenguer I, zwany Starym, był jedynym spośród katalońskich hrabiów, którego tytuł, *Comes Civitatis Barcinonensis*, pochodził jeszcze z czasów królów wizygockich. Sprawował władzę w hrabstwach Barcelony, Gerony i Osony. Tym pierwszym rządził naprawdę, jako autentyczny suweren, pozostałymi dwoma — tylko teoretycznie. Jego problem polegał na tym, że czekał całe lata na abdykację lub śmierć swej babki, srogiej Ermesendy z Carcassonne, gdyż inaczej nie mógł przejąć absolutnej władzy nad hrabstwem w Pirenejach. Stara dama zadbała o to, by zapewnić sobie obronę, oddając rękę swej córki Estefanii, ciotki Ramóna Berenguera I, Normanowi Rogerowi de Toeny w zamian za opiekę ze strony jego dzikich wojowników. Ceną za to było niezadowolenie jej poddanych, szlachetnych mieszkańców Gerony, z powodu nadużyć, jakich dopuszczali się żołnierze. Tak więc Ramón Berenguer I, choć był nominalnie hrabią Barcelony i Gerony, nie rządził w istocie hrabstwem z północy. Był pokłócony ze swą babką, hrabiną Ermesendą, z wielu powodów, i właściwie nie pamiętał już, od czego zaczął się konflikt, który pogłębił później trudny charakter starej damy.

Jego sercem zawładnęła bez reszty hrabina Almodis z Marchii, rządząca żelazną ręką mieszkańcami Barcelony. Jej ambicje były

nieograniczone i starała się wszelkimi środkami zapewnić przyszłość sobie i swoim synom bliźniakom, zrodzonym z grzesznego związku z Ramónem Berenguerem, na wypadek, gdyby los znów przestał jej sprzyjać i gdyby została porzucona, jak się to już kiedyś zdarzyło.

Od pierwszej chwili było oczywiste, że pierworodny syn Ramóna i jego macocha nie potrafią się porozumieć. Pedro Ramón uważał, że Almodis spycha go w cień i każe mu odgrywać na dworze poślednią rolę, i sądził, iż tak samo potraktuje go w testamencie ojciec, który niewątpliwie, jak wszystko na to wskazywało, faworyzował jednego z jego przyrodnych braci. Ciągłe dochodziło do spięć i w ciągu trzech lat trwania związku hrabiowskiej pary sytuacja tylko się pogarszała. Trzaskanie drzwiami, krzyki i inwektywy nikogo już w pałacu nie dziwiły, a spotkania Almodis z Pedrem Ramónem były coraz bardziej nieprzyjemne.

Dzień wstał pogodny, a jednak coś wisiało w powietrzu. Służba pałacowa krzątała się przy swoich zajęciach w dziwnym milczeniu. Wszyscy wyczuwali, że zanoszą się na burzę. Donę Lionor, pierwszą damę hrabiny Almodis, która w towarzystwie Delfina pielęgnowała właśnie róże w ogrodzie, zaniepokoiły krzyki i złorzeczenia dochodzące z otwartego okna. Słyszała wyraźnie głos swojej pani:

— Mam was po dziurki w nosie! Jeden Bóg wie, ile potrzebuję cierpliwości, by znosić codziennie waszą agresję i brak szacunku. Mój spowiednik, ojciec Llobet, z którym dzielę się zawsze swymi skrupułami i wątpliwościami, może to poświadczyć.

— To ja, pani, muszę się hamować w obliczu niesprawiedliwości, która spotyka mnie, legalnego spadkobiercę praw mojego ojca, należnych jego pierworodnemu synowi!

— Nikt nie przeczy, że nim jesteście, ale wasz ojciec zrobił z dobrami i posiadłościami, które uzyskał dzięki swoim zasługom, co uzna za stosowne. Wy macie prawo do majątków i zamków, które odziedziczył po przodkach, o ile nie postanowi inaczej, ale nie do tych, które zdobył zbrojnie, kupił lub otrzymał dzięki

inteligentnym paktom, nie bez mojego zresztą udziału. Mój spowiednik radzi...

— Pani, zechciejcie nie uwiarygodniać swoich podstępnych argumentów autorytetem waszego spowiednika. Osoba ekskomunikowana nie ma prawa do sakramentów, a jeśli ojciec Llobet nie bierze tego pod uwagę, to znaczy, że jest przekupny. Dlatego proszę, byście nie starali się usprawiedliwiać swoich planów jego kłamliwymi opiniami, które dowodzą jedynie, że próbuje prosperować w waszym cieniu, stanowiącym zresztą przedłużenie cienia mojego ojca.

Lionor wiedziała, znając dobrze swoją panią, że w tym momencie zapadła pełna napięcia cisza, a na szyi Almodis nabrzmiała lekko fioletowa żyłka. Potem znów rozległ się jej głos, opanowany, ale gniewny i ostry.

— Pedro, przebieracie miarękę. Wasz ojciec kupił, za moją namową, hrabstwo Carcassonne i Raze i sądzę, że zważywszy na wasze dotychczasowe zasługi, jest to godne dziedzictwo dla najbardziej nawet ambitnego szlachcica. Nie nadużywajcie hojności waszego ojca. W łańcuchu pęka zawsze najslabsze ogniwo.

— Zdajecie sobie sprawę, co robicie? Chcecie pozbawić mnie majątku i jeszcze mi grozicie! Powiedzcie zatem, kto odziedziczy Barcelonę i Geronę? Wasze bliźniaki... Albo, mówiąc ściślej, wasz ulubieniec, czyli, rzecz jasna, Ramón. Próbujecie pogwałcić w najbardziej nikczemny sposób moje prawa, faworyzując bękarta.

— Zabraniam wam mówić tak o bracie!

— Czego mi zabraniacie, pani? Używania słowa adekwatnego do sytuacji, którą spowodowało wasze grzeszne życie? O ile wiem, dzieci poczęte z konkubina poza małżeństwem nazywa się „bękartami”. Nie ja wymyśliłem to określenie i weźcie pod uwagę, że z szacunku dla błękitnej krwi mojego ojca nie powie działem, że pochodzą z nieprawego łoża.

— Zejdźcie mi z oczu albo każę strażnikom was wychłostać!

Sprzeczeki, wynikające z charakteru pierworodnego syna jej męża, nie ustawały. Ekskomunika, ciężąca nad hrabiowską parą,

uniemożliwiła zawarcie ślubu, o którym marzyła Almodis. Przyczynił się do tego otwarty sprzeciw babki Ramóna Berenguera, srogiej Ermesendy z Carcassonne. Ludzie z pałacu, gdy tylko wyczuwali burzę, starali się udawać, że niczego nie widzą, i nie popierali żadnej ze stron, gdyż nie wiedząc, co przyniesie przyszłość, nikt nie chciał się angażować. Hrabina Almodis miała tylko trzech wiernych sojuszników: karła Delfina, damę dworu Lionor i swego spowiednika, ojca Llobeta, który uważał, że jeśli pierworodny syn hrabiego dojdzie kiedyś do władzy, hrabstwo Barcelony czekają ciężkie czasy.

— Codziennie ogarnia mnie strach, że nad naszą panią wisi jakieś nieszczęście.

Powiedziała to Lionor. Delfin słuchał jej, siedząc na schodach i rzeźbiąc nożem w kawałku drewna konika, którego chciał podarować książątkom.

— Nie wiem kiedy, ale któregoś dnia w tych ścianach rozegra się dramat.

— To przepowiednia czy tylko zwykłe stwierdzenie? — chciała wiedzieć Lionor.

— Kiedyś miałem przecucie, teraz mam pewność.

— Nasza pani o tym wie?

— Wiedziała, zanim urodzili się bliźniacy.

— To straszne.

— Co gorsza, w pałacu wydarzy się wielkie nieszczęście, ale jeszcze większe spotka hrabstwo, nadejdą dni pożogi i łez.

— Jak możecie być pewni takich rzeczy?

— Mam dar. Nasza pani przekonała się o tym już wiele razy.

— I nie robicie nic, by zapobiec nieszczęściu?

— Nikt temu nie zaradzi. Stanie się to, co musi się stać.

— Trudno mi wierzyć we wróżby.

— Dlaczego wierzycie zatem prorokom ze Starego Testamentu?

— Bo nakazuje mi to Kościół, nasza Święta Matka.

Delfin strzepał z nóg wióry i zeskoczył z zaimprovizowanego siedziska.

— Każdy wierzy, w co chce, ale weźcie pod uwagę, że mówię o czymś równie prawdziwym jak to, że tu ze mną rozmawiacie. Powtarzam: nadejdą straszne czasy, a wy i ja pozostaniemy razem. Będziemy tylko mieli innego pana.

— Czy pani o tym wie?

— Gdybym ośmielił się to jej powiedzieć, już by mnie tu z wami nie było.

64

Wyjaśnienia

Ojciec Llobet spędzał ów październikowy poranek w skryptorium katedry, przeglądając stare księgi i rozmawiając z braćmi, którzy wzbogacali zbiory biblioteki Pia Almoina. Wszystkie prace wykonywała grupa znających się na rzeczy duchownych. Po jednej stronie dwaj bracia *percamenarius* wyprawiali skóry owiec, baranów i kóz, aby nadawały się do celu, któremu miały służyć. Pierwszy zanurzał je w roztworze wapna, aby usunąć zanieczyszczenia i resztki zwierzęcego włosa. Gdy namokły, drugi naciągał je na ramę z bardzo twardego drewna i tarł pumeksem, by zmiękły. Potem następował zawiły i skomplikowany proces przetwarzania skóry w pergamin. Z niego robiło się arkusze, na których później skryba wykreślał poziome linie, aby pismo było równe, zaznaczając na marginesie kropki za pomocą takich narzędzi, jak *cincinius* i *punctorum*. Potem, przy stojących naprzeciwko siebie wielkich biurkach z nachylonymi pulpitemi, na których kładziono księgę lub dokument, przystępowali do pracy najpierw kopiści przepisujący tekst, a następnie korektorzy, którzy poprawiali błędy, wydrapując je z pergaminu lub stosując roztwór kwasu rozpuszczający atrament. Kolejne zadanie wykonywał rubrykant — czerwieńią i ochrą szkicował duże litery i tytuły, a dzieła dopełniał iluminator, umieszczając rysunki na margine-

sach i zdobiąc duże litery wymyślnymi arabeskami. Używał do tego czerwonej minii i innych barwników, na przykład niebieskiego i zielonego, które uzyskiwano z roślin lub minerałów. Przy szczególnych okazjach dodawano cieniutką warstwę złotego proszku, który wzbogacał i uszlachetniał księgę. Potem była ona oprawiana.

Eudald Llobet rozprawiał z ojcem Vicencem, bibliotekarzem, o potrzebie przetłumaczenia na nowo Arystotelesa, gdy służący powiadomił go dyskretnie, że ktoś czeka na niego przy furcie. Ojciec Llobet pożegnał się ze swym bratem w Chrystusie i idąc do poczekalni dla gości, zastanawiał się, kto bez uprzedzenia chce się z nim tak pilnie widzieć. Krocząc długim korytarzem, zobaczył z daleka młodego człowieka, który przyglądał się uważnie dwóm polichromiom na ścianach. Jego sylwetka wydała mu się znajoma. Był ubrany w sięgającą do połowy uda tunikę z granatowego aksamitu, pończochy w kolorze starego złota i sznurowane buty ze źrebięcej skóry, na głowie miał mediolańską czapkę. Podchodząc bliżej, ojciec Llobet skupił wzrok na jego twarzy i poczuł przyspieszone bicie serca. Ten nos i kwadratowy podbródek z przyszywaną brodą przywodziły na pamięć wspomnienia innych czasów, bardzo odległych, a jednak tak mu bliskich. Ojciec Llobet, co było niezwykle w tym świątobliwym miejscu, gdzie zawsze panował spokój i cisza, przyspieszył kroku i głosem ochrypłym z emocji wykrzyknął:

— Marti! To ty!

Młodzieniec, usłyszawszy swe imię, odwrócił się, rzucił czapkę na oparcie jednej z sof przeznaczonych dla gości i ruszył korytarzem, by paść w objęcia rosnącego zakonnika. Mężczyźni uścisnęli się bez słowa. Potem ojciec Llobet odsunął od siebie Martiego, trzymając go za ramiona, by lepiej mu się przyjrzeć. To, co zobaczył, zdumiało go. Zamiast młodzieńca, który prawie dwa lata temu wyruszył z Barcelony, miał przed sobą mężczyznę, żywy obraz żołnierza będącego kiedyś jego towarzyszem. Twarz, którą widział, wyrażała zdecydowanie, a w głębi oczu kryło się coś tajemniczego.

— Kiedy wróciłeś?

— Mój statek zacumował na plaży Montjuic wczoraj po południu. Od powrotu mam do załatwienia tysiąc spraw, ale oprócz spotkania z Laią nic nie było ważniejsze niż rozmowa z wami.

Wziąwszy Martiego pod ramię, zakonnik poprowadził go w kąt oddalony od wejścia, gdzie mogli rozmawiać bez przeszkód.

Usadowieni w fotelach pod ostrołukowym oknem zaczęli wypytywać się o to, co ich interesowało.

— Opowiedz mi najpierw o twojej podróży.

— To temat na wiele dni — stwierdził Marti spokojniejszym tonem niż ten, który pamiętał kanonik. — I choćbym nie wiem jak się starał, zawsze coś pominę.

— Kiedyś musisz zacząć. Najlepiej od razu.

Marti opowiadał długo o przebiegu swojej wyprawy. Llobet przerywał mu wiele razy, prosząc o dodatkowe wyjaśnienia, i pod koniec relacji miał już ogólne pojęcie, jakie przygody spotkały syna jego najlepszego przyjaciela.

— W stosownym czasie wyjaśnisz mi szczegółowo sprawę greckiego ognia. Żołnierska ciekawość sprawiła, że nadużywając mojej pozycji archidiakona, poszukiwałem wiele razy składu tej magicznej mieszanki w pergaminach i księgach biblioteki, ale sądziłem, że formuła zaginęła w mrokach dziejów. Masz świa domość, co taka wiedza może oznaczać dla króla albo suwerena?

— Prawdę mówiąc, myślałem tylko o korzyściach, jakie mieli by z tego na co dzień zwykli ludzie.

— Wierz mi, jeśli zamierzasz importować ten produkt, przekonaj kogo trzeba, że czarna gęsta ciecz służy jedynie jako paliwo dostarczające światła i ciepła. Nie wspominaj o odkryciu formuły. Są tajemnice, których ludzkość nie powinna poznawać do osiągnięcia dojrzałości, a moje doświadczenie mówi, że księżęta nabierają rozumu później niż reszta ludzi. A teraz powiedz, odwiedziłeś już Barucha?

— Jeszcze nie. Wy jesteście mi bliżsi. Za pośrednictwem Omara umówiłem się z nim na jutro. Nie mogę już tego zmienić.

Kierując się informacjami, które mu przesyłałem, zdążył odprawić mój statek w pierwszy rejs, z pełną ładownią i instrukcjami, jakie towary ma zabierać w poszczególnych portach. Jofre jest znakomitym kapitanem i powiedziano mi, że starannie dobrał załogę, aby dotrzymać wszystkich zobowiązań i terminów. Przewidywania są jak najlepsze, do tego stopnia, że zamierzam sprzedać jeden z młynów w Magórii i dzięki uzyskanym pieniądzom zacząć budowę jeszcze dwóch statków. Przy okazji muszę wam podziękować za chrzest tego pierwszego. Przeczuję, że imię „Eulalia” przyniesie mu szczęście.

— Nie masz mi za co dziękować. Oby tak było.

Po długiej rozmowie mężczyźni zamilkli i dusza Martiego otworzyła się na drażliwą sprawę, która stanowiła prawdziwy powód jego wizyty.

— A teraz opowiedzcie mi, proszę, co się dzieje z Laią.

Księżda zdziwił fakt, że Marti porusza ten bolesny temat w taki sposób.

— Za chwilę, ale wyjaśnij mi najpierw, dlaczego pytasz o to mnie, a nie jej ojczyma.

— Przez całą podróż wciąż myślałem o Lai. Nie jestem już chłopcem. Zapewniam was, że nie chcę odnieść sukcesu w tym mieście po to, żeby się wzbogacić. Wiecie, dlaczego pragnę zostać obywatelem Barcelony. Gdy tylko postawiłem stopy na plaży, poszedłem do domu się przebrać, i natychmiast udałem się do Montcusiego.

— I co ci powiedział?

— Nie mogłem się z nim zobaczyć. Majordom przekazał mi w jego imieniu, że nie będzie go jakiś czas w mieście. Zostawił jednak wiadomość, że gdybym się pojawił, mam zgłosić się do was. A więc jestem.

Ojciec Llobet, którego Bernat zapoznał ze sprawą listu, starannie dobierał słowa, zanim przedstawił Martiemu okrutne fakty.

— Rzeczywiście — westchnął ciężko zacny staruszek — w pewnym sensie zostałem zobowiązany, by z tobą pomówić, Marti, ale najpierw muszę cię prosić, byś zaznajomił mnie

z treścią listu, który do ciebie wysłano. Muszę wiedzieć, czy go otrzymałeś, bo w dzisiejszych czasach przesyłki często nie docierają.

Marti włożył rękę do sakwy i wydobywszy zmięty list, wręczył go księdzu.

— Dostałem go, jak widzicie. Przeczytajcie, to powiem wam, co sędzę.

Duchowny przeczytał uważnie wygnieciony pergamin i zanim wyraził swoje zdanie, spytał Martiego:

— Co z tego wnioskujeś?

Marti miał gotową odpowiedź: w drodze powrotnej zdążył wszystko dokładnie przemyśleć.

— Długo się nad tym zastanawiałem... Wyczuwam, że ten list zawiera jakieś ukryte przesłanie.

— Powiedz, z czego to wnosisz.

— Po pierwsze, Laia używała zawsze zielonego atramentu, a ten jest czarny. Po drugie, nie skropiła papieru wodą różaną, jak to miała w zwyczaju. Zapach nie wywietrzył, gdyż poprzednie listy nadal go zachowują, z czego wynika, że tym razem nie chciała lub nie mogła tego zrobić. Na koniec zauważcie, że będąc niezłomną i pobożną chrześcijanką, nie zaczyna tekstu, jak zwykle, krzyżykiem. Wiercie mi, Eudaldzie, Laia chciała przekazać mi coś między wierszami.

Kanonik wysłuchał uważnie słów Martiego, po czym powiedział:

— Nie będę przed tobą ukrywał, że rozmawiałem z Montcusim. Jednakże moje bogate doświadczenie mola książkowego, obeznanego z dokumentami i starymi księgami, wskazuje na wyjaśnienie, które — gdy poznasz przekazane mi informacje — być może otworzy ci oczy na inną rzeczywistość.

— Powiedzcie mi, co wiecie i czego się domyślacie.

— Zmieniając kolor atramentu, Laia chciała ci wskazać, że jej list, zależnie od tego, jak się go odczytuje, ma podwójny sens: jeden dosłowny, drugi ukryty między wierszami. Myślę, że chodzi o to, jak widzi ona przyszłość: przedtem była zielona,

czyli miała kolor nadziei, a teraz jest czarna. Z tym wiąże się również brak krzyżyka w nagłówku. Chce przez to dać do zrozumienia, że wskutek zaistniałych okoliczności znalazła się poza Kościołem. — Powstrzymał gestem ręki Martiego, który zamierzał zaprotestować. — I wreszcie brak zapachu oznacza, że czas wszystko zaciera i że powinienes o niej zapomnieć, bo nie może odwzajemnić twych uczuć.

— Nie rozumiem was — powiedział Marti, z trudem hamując gniew. — Jak możecie sugerować, że istota, która jest uosobie niem niewinności i dobroci, może znaleźć się poza Kościołem?

Llobet wiedział, że musi postępować bardzo ostrożnie, albowiem ma do wypełnienia trudną misję. Od wielu dni rozmyślał, jak poradzić sobie z tym problemem. W tym momencie postanowił nie wspominać w ogóle o dziecku. Przyjdzie na to pora, jeśli doradca postanowi je w końcu adoptować.

— Odkąd wyjechałeś, minęły prawie dwa lata. W tym czasie pola dwa razy wydały plony, a róże straciły płatki i znów się rozwinęły. Zostawiłeś tu dziewczynę, a zastajesz dojrzałą kobietę.

— Błagam, przejdźcie do sedna sprawy.

— Do tego zmierzam, ale powiedz mi najpierw: czy ożenisz się z Laią bez względu na wszystko?

— Choćby jutro, jeśli tylko ona się zgodzi — odparł Marti z policzkami czerwonymi z emocji.

— A zatem posłuchaj. Zdarzyło się coś nieprzewidzianego i zarazem deprymującego, co źle świadczy o ludzkiej naturze.

Marti, siedząc na krawędzi fotela, chłonął słowa kanonika.

— Pewien żonaty mężczyzna — don Bernat przypuszcza, że wpływowy, być może syn szlachcica — pozbawił Laię dziewictwa. Jej ojczym mówi, że dziewczyna nie chce wyjawić, kto to jest. W liście pisze albo przynajmniej daje do zrozumienia, że nadal cię kocha, ale ma świadomość, iż zblądziła, pozwalając, by to się zdarzyło, nie jest więc godna twojej miłości. Stąd inny kolor atramentu. Prosi cię, byś od niej odszedł, gdyż uważa się za nikczemną grzesznicę. Dlatego nie zaczęła listu od znaku krzyża. Don Bernat proponuje ci rękę córki, wierząc, że masz

przed sobą przyszłość. Nie w głowie mu szukać kandydata wśród szlachty. Zbyt długo musiałyby wyjaśniać, w jaki sposób straciła dziewictwo.

Marti był trupio blady. Zimny pot spływał mu po plecach i nie mógł wydusić ani słowa przez ściśnięte gardło. W końcu oznajmił powoli ochrypłym głosem, który dochodził z głębi trzewi:

— Kocham Laię. To najśłodsza i najczystsza istota, jaką znałem. Miłość przechodzi próbę w ciężkich chwilach. Jeśli mnie kocha, choćby zbłądziła, jasne, że ją poślubię.

— Tego właśnie się spodziewałem po synu twego ojca. Podjąłeś honorową decyzję. Nie powiedziałem tego wcześniej, abyś nie sądził, że próbuję cię przekupić, ale Montcusi zamierza wstawić się u hrabiów Barcelony, by nadali ci obywatelstwo miasta.

— W tej chwili najmniej dla mnie znaczą tytuły, które chcą mi przyznać ludzie. Jeśli nie tutaj, to gdziekolwiek na świecie znajdę dom dla Lai i dla siebie. Powiedzcie doradcy, że przyjmuję jego ofertę.

65

Sallent

Laia wyglądała jak cień. Wciąż była pogrążona w zadumie, nie potrafiąc zrozumieć, dlaczego spotkało ją takie nieszczęście. Uparte myśli powracały ruchem wahadła. Miała świadomość, że zamyka się w sobie i jest czasem tak nieobecna, że nie słyszy, co się do niej mówi. Mimo młodego wieku, bo nie skończyła jeszcze siedemnastu lat, miała luki w pamięci. Wśród domowników krążyły pogłoski, że dopadła ją ta sama choroba, która wpędziła do grobu jej matkę.

Przybyła do Sallent z Barcelony w karecie Montcusiego, w towarzystwie niewielkiej eskorty, lekarza, akuszerki i guwernantki. Edelmunda oznajmiła, że dostała polecenie, by trzymać ją w zamknięciu, dopóki ma w łonie płód, gdyż nikt nie powinien wiedzieć o jej ciąży. Ulokowano ją w komnacie z wyjściem na dziedziniec z wysokimi murami, okolony roślinami, kwiatami i krzewami, by tam spędzała czas. Mogąc widywać tylko lekarza, miała wrażenie, że oszaleje. Wreszcie nastąpił moment, gdy odeszły wody i zaczęła rodzić. Trwało to prawie dwa dni. Odu-rzona bólem, widziała jak przez mgłę, że doradca stoi w nogach łóżka i rozmawia z lekarzem, wskazując na zawiniątko w kołysce. Potem trzasnęły drzwi i zapadła martwa cisza. Kiedy Laia się ocknęła, doradcy już nie było. Lekarz podał jej natychmiast

przecedzony przez sito wywar z roślin, który zapobiegał nadmiernemu wydzielaniu mleka, a po trzech dniach akuszerka opasała ją mocno, by odzyskała jak najszybciej szczupłą figurę. Dwie kobiety ze wsi, które niedawno rodziły, karmiły niemowlę piersią. Początkowo Laia nie chciała go nawet widzieć ani nie interesowało jej, jakiej jest płci. Wyrósł wokół niej mur milczenia i nikt nie wspominał o noworodku. W końcu ciekawość zwyciężyła i kiedy udała się do komnaty, gdzie spała w kołysce jej latorośl, zobaczyła z przerażeniem, że dziecko — a był to chłopczyk — nie ma rączek. Poczuli się w pewnym sensie winna: doszła do wniosku, że to kara, na którą zasłużył jako owoc strasznego grzechu, i że będzie go miała przed oczami przez całe życie. Ten potworek wyszedł z jej łona i niczym nie zawinił, by urodzić się kaleką. Jednak sama jego obecność przypominała jej straszne cierpienia i odrażające sytuacje. Poczuli do niego palącą nienawiść i naszły ją zbrodnicze myśli, których nie musiała jednak wprowadzać w czyn, gdyż w ciągu dwóch tygodni dziecko przestało oddychać. Nie czuła nic, ani żalu, ani przygnębienia, ale w jej okaleczonym umyśle pękła kolejna struna i zaczęło ją dręczyć przekonanie, że już nigdy nie spłodzi dziecka.

W chwilach gdy odzyskiwała jasność myślenia, czuła się tak, jakby wbito jej w serce sztylet. Wstawała nocami i biegała po dziedzińcu w białej nocnej koszuli, z rozwianymi na wietrze włosami, wzbudzając strach wartowników zaprawionych w bojach, a jednak bojących się panicznie tej upiornej zjawy. Maurowie z pogranicza nie budzili w nich takiego lęku jak zabobony. Legendy o duchu, który włóczy się nocami aż do świtu po *masii*, nieustannie krążyły wśród strażników.

Mogąc już wychodzić z komnat, Laia wymykała się o zmierzchu Edelmundzie, swojej nadzorczyńi, która w ciągu dnia ani na chwilę nie zostawiała jej samej. Siadała na murach od wschodniej strony i puszczała wodze wyobraźni. Myślała o swym ukochanym i cierpiała, wiedząc, że zmuszono ją do rezygnacji z miłości i że być może już nigdy go nie zobaczy.

Jej relacje z Edelmundą uległy zmianie. Zaczęła podejrzewać,

że Aixa nie żyje i dlatego nic nie mogło pogorszyć sytuacji. Nie dbała już o swój los, traktowała więc harpię z pogardą.

— Pani, zechciejcie się przygotować. Wasz ojciec zapowiedział przez posłańca, że zjawi się dziś po południu.

Laia zbladła. Od urodzenia dziecka nie widziała Bernata.

— Nie mam zamiaru się stroić dla twojego pana ani dla nikogo innego. Zostaw mnie w spokoju.

Guwernantka odeszła, mamrocząc coś pod nosem i mrużąc jakieś uwagi na temat jej szaleństwa.

Laia zamysliła się. Czego chce ten nędznik? Jakich użyje teraz wybiegów, by ją ujarzmić? Nie doszła jeszcze do siebie, mały potworek, którego ani nie pragnęła, ani się nie wyrzekła, nie żyje i byłoby straszną rzeczą, gdyby ojczym znów chciał ją osiąść. W chwilach jasności umysłu sądziła, że nawet miłość do niewolnicy, za którą zapłaciła tak wysoką cenę, nie zniechęci jej do odebrania sobie życia. Nie wierzyła, by potrafiła znieść długo tę hańbę.

Po południu obwieszczono przybycie pana domu. Po jakimś czasie wezwano Laię. Dziewczyna zjawiła się przed Bernatem Montcusim bez różu na policzkach, potargana, w przewiązanym w pasie szlafroku i w arabskich kapciach na nogach. Doradca wydawał się poważny i zatroskany. Wygląd podopiecznej utwierdził go w powziętej decyzji. Skąpstwo i bezgraniczna chciwość zwyciężyły żądzę, którą kiedyś budziła w nim ta rozczochrana istota. Przerazał go jednak ból szaleństwa, który dostrzegał w jej szarych oczach.

Laia podeszła do ojczyma po drewnianej podłodze, wpatrując się w niego wyzywająco, i stanęła przed nim, nie czując już nabożnego lęku, który kiedyś ten niegodziwiec w niej wzbudzał.

— Siadaj. Przynoszę nowiny, które dotyczą ciebie.

Dziewczyna zajęła bez słowa miejsce naprzeciwko niego.

— Powiedziano mi, że nie okazałaś żadnego bólu z powodu śmierci naszego syna.

Laia zastanawiała się przez chwilę nad odpowiedzią.

— Chcecie powiedzieć: waszego syna. Ja go tylko urodziłam.

— O ile się nie mylę, każda kobieta, która rodzi, staje się matką, a zatem, jeśli jest przy zdrowych zmysłach, oplakuje śmierć noworodka. Nawet samice zwierząt wyją i obchodzą wkoło swoje martwe potomstwo. — W słowach doradcy brzmiała ukryta ironia.

— Dziecko powinno być owocem miłości dwojga ludzi, a wy budzicie we mnie bezgraniczną odrazę. Widzicie, jakie są tego konsekwencje.

W tym momencie Laia pomyślała, że popełniła błąd, prowokując gniew ojczyma. W sumie było to jednak bez znaczenia. Nie czuła strachu, bo nie mógł jej zrobić nic gorszego. Zdziwiła się, gdy ton jego głosu ani trochę się nie zmienił.

— Możesz to przypisać sobie. Ja zrobiłem, co należy do mężczyzny, a ty nie wykazałaś się nigdy jako kobieta, ale zapomnijmy o dawnych krzywdach i urazach w imię wspólnych interesów. Myślę, że to, co się stało, wyjdzie nam wszystkim na dobre. Opatrzność wskazuje nam czasem drogę. Może w to nie uwierzysz, ale pragnę twego szczęścia i jestem gotów być hojny, jeśli ty okażesz posłuszeństwo i zastosujesz się do moich poleceń.

Laia czekała.

— Chcę przekazać ci dobrą nowinę: twój ukochany wrócił i jest w Barcelonie.

Lai zakręciło się w głowie i tylko dzięki wewnętrznej sile, zrodzonej z tylu cierpień, nie zemdląła. Czując, jak zasycha jej w ustach, spytała:

— Dlaczego miałoby mnie to interesować?

— Widzisz, sytuacja ulega zmianie zależnie od okoliczności i to, co wczoraj było czarne, dziś może być białe. Moim zdaniem lepiej mieć sojusznika niż wroga.

Serce Lai biło jak oszalałe. Doradca ciągnął:

— Powiem wprost. Chodzi o to, że jeśli wyjdiesz za niego, będziesz miała męża, a ja zięcia, który przyniesie mi duże zyski. Tak czy inaczej, i niech to zostanie między nami, mężczyzna, który zmusił dziewczynę do uległości, ma jedynie obowiązek ją

poślubić, na co ty się nie zgadzasz, albo znaleźć jej męża. I to właśnie zrobiłem.

Laia nie wierzyła własnym uszom. Odpowiedziała, podejrzewając, że kryje się za tym jakiś podstęp:

— Nie rozumiem, do czego zmierzacie, ale muszę wam przytomnieć, że kazaliście mi się go wyrzec. Moje życie nie ma już sensu i mogę tylko pójść do klasztoru. Ani Marti, ani żaden inny przyzwoity mężczyzna nie weźmie za żonę zhańbionej kobiety.

— Co do tej pierwszej sprawy, powiem ci, że aktualna umowa anuluje poprzednią, a co do drugiej: zhańbiona kobieta uczyni z parweniusza, jakim jest Marti Barbany, obywatela Barcelony. Poza tym otrzymasz szczodry posag, co też ma niemałe znaczenie.

— Marti nie należy do ludzi, których kupujecie i sprzedajecie, jak wam się podoba.

— Pozwól mi działać. Każdy ma swoją cenę, inaczej nie jest nic wart. Muszę z nim pomówić.

— A ile będzie kosztowała ta nowa zdrada? Bo oszukiwanie uczciwego człowieka tak trzeba nazwać.

— Nie ma tu żadnego oszustwa. Marti pogodzi się z sytuacją i nie będzie zadawał pytań. Wie już, że człowiek, który dopuścił się występku, zajmuje tak wysoką pozycję na dworze, iż nigdy nie wyjawisz, kim jest, gdyż jego zemsta osiągnęłaby wszystkich. Powiedz mu, że poroniłaś, co w pewnym sensie jest prawdą. Jak widzisz, nikogo nie oszukuję.

W głowie Lai wirowały myśli. Nie mogła uwierzyć, że ten człowiek wystąpił z podobną propozycją. Jakże ma nikczemne zamiary?

— Co jeszcze będę musiała zrobić? Jakie stawiacie warunki?

— Jesteś mi coś winna. Przez ciebie, gdyż to, co się stało, wynikało z twojej oziębłości, straciłem spadkobiercę, zarazem syna i wnuka. Kiedy garncarz dostaje dobrą glinę, a nie stara się należycie jej obrobić, nic dziwnego, że amfora ma skazy. Dlatego to ty odpowiadasz za zniszczenie naszego związku. Zabiłaś moje uczucia, moja namiętność wygasła. Poza tym jakiemu mężczyźnie podobałaby się kobieta, która tak wygląda?

Widziałaś się w lustrze? Zawsze czułem się z tobą w łóżku tak, jakbym leżał na posągu z marmuru. Nic mi z siebie nie dawałaś, choć wiedziałaś, że cię kocham. Przechodzą mnie ciarki na myśl, że proponowałem ci małżeństwo.

Cynizm tego człowieka przyprawiał Laię o mdłości, ale oparowała się i nic nie powiedziała. Głos jej ojczyma rozbrzmiał na nowo.

— Wiesz chyba, że gwarantem naszej umowy będzie ta przeklęta niewolnica. Trzymam ją pod kluczem w jednej z moich posiadłości. Będziesz miała o niej wiadomości, ale jeśli sprawisz mi najmniejszy kłopot, domyślasz się, co się z nią stanie. Oczywiście, jeśli nie postarasz się odzyskać sił i będziesz upierała się przy swoim poście, twoja przyjaciółka także nie dostanie jedzenia. Musisz być piękna na wesele: jeśli zaprowadzę na targ źle odżywioną klacz, nikt jej nie kupi.

Laia udała, że nie słyszy tej zniewagi. Coś jej mówiło, że za całą sprawą kryje się bezgraniczne skąpstwo tego człowieka.

— Skąd mogę wiedzieć, że Aixa żyje?

— Masz moje słowo.

— To mi nie wystarcza, chcę ją zobaczyć.

Montcusi zastanawiał się przez chwilę.

— Dobrze, za parę tygodni, kiedy nabierzesz sił, zawiozą cię do pięknej *masii* w pobliżu Terrassy. To hojny dar, którym nagrodzili moje starania i wierność hrabia Ramón Berenguer i hrabina Almodis. Tam kazałem uwięzić twoją niewolnicę. Będziesz mogła się z nią zobaczyć, ale nie waż się jej powiedzieć, że urodziłaś syna. Jeśli w przewidzianym czasie przestaniesz przypominać czarownicę, przybierzesz na wadze i będziesz wyglądała jak należy, każę cię zawieźć do Barcelony, gdzie wyprawię ci wesele.

Zamroczony umysł dziewczyny z trudem to wszystko ogarniał. Pocieszała się jedynie tym, że jej droga Aixa żyje, choć jest uwięziona w lochach Terrassy. Jediną zaletą sytuacji, w jakiej się znalazła, było to, że teraz ojczym zostawi ją wreszcie w spokoju. Co do Martiego, czuła się go niegodna i chociaż płomień

jego miłości nie wygasł, postanowiła dać mu jasno do zrozumienia, że ich wspólne życie nie jest możliwe. Nie potrafiła nawet myśleć o tym, że ktoś miałby jej dotykać.

Minął miesiąc od jej rozmowy z ojczymem. Pewnej nocy, zanim położyła się spać, Edelmunda oznajmiła, że w najbliższy poniedziałek o świcie wyruszają do Terrassy.

Znowu była w podróży. Eskorta, złożona tym razem z kapita i sześciu żołnierzy, poprzedzała dwie karety. W pierwszej jechała guwernantka, a na koźle obok woźnicy ochraniający ją łucznik. W drugiej siedziały dwie damy do towarzystwa, przybyłe z Barcelony, aby pomagać Edelmundzie i na zmianę pilnować Lai. Pochód zamykali dwaj kolejni członkowie eskorty. Spędziwszy noc w usytuowanym w połowie drogi domu jednego z krewnych Montcusiego, dotarli rano do ufortyfikowanej *masii* w pobliżu Terrassy. Laię zakwaterowano w wieży, którą zajmował do tej pory Kastylijczyk don Fabia de Claramunt z rodziną. Musiał on, niestety, przenieść się w inne miejsce. Prawdę mówiąc, czuła się tam bardziej swobodnie niż w poprzednim więzieniu, chociaż na razie nie pozwolono jej odwiedzić Aixy. Nocą jednak przeżywała katusze. Chora wyobrażenia zaczynała podsuwać jej straszne wizje. Napastował ją znów lubieżny satyr, a z jej łona wychodziły monstrualne istoty o wyglądzie ropuch. Aby uciec przed demonami, musiała natychmiast wyskakiwać z łóżka i biec na blanki murów, tak jak robiła to w Sallent.

Codziennie, w porze obiadu i kolacji, Edelmunda przypominała jej, że życie Aixy zależy od tego, co zrobi. W końcu zebrała siły i gdy postawiono przed nią na stole potrawy, które zalecił jej lekarz, oświadczyła guwernantce:

— Nie wierzę, że Aixa żyje. Jeśli jutro jej nie zobaczę, nie wezmę do ust ani kęsa.

Nie wiedziała, czy jej zachowanie nie spowoduje przykrych konsekwencji, ale już prawie nic nie miało znaczenia. Kiedy wspominała Martiego, jej myśli były mgliste i niemal metafizyczne. Czasem z trudem przypominała sobie jego twarz. Chwilami

majaczyły jej w głowie na przemian niezmierzone przestrzenie i wyraźne obrazy.

Wieczorem zjawił się w wieży Fabia de Claramunt, zarządca ufortyfikowanego domu. Pozdrowił ją z oziębłą kurtuazją, oznajmił oficjalnie:

— Powiedziano mi, że nie mogę sprawdzić, w jakim stanie jest więziarka, odmawiacie jedzenia, co pogorszy tylko sytuację, zważywszy na rozkazy, które otrzymałem.

Ton jego głosu był dość szczególny, bo choć zamierzał, nawet wbrew swej woli, słuchać otrzymanych poleceń, coś mu mówiło, że ta dziewczyna o szarych oczach i zagubionym spojrzeniu nie jest zwyczajnym gościem.

— W istocie, aby zmienić swoje postępowanie, muszę przekonać się osobiście, że Aixa żyje.

— Myślę, że będę mógł spełnić wasze życzenie. Muszę jednak uważać, by nie uchybić swoim obowiązkom. Zechciejcie pójść za mną.

Laia wstała, podekscytowana możliwością ujżenia swej przyjaciółki. Guwernantka również się podniosła.

— Dono Edelmundo — rzekł Fabia — zwalniam was z waszych powinności. Odpowiadam za wszystko od tego momentu aż do chwili, gdy wasza podopieczna wróci do swoich komnat.

Guwernantka nie protestowała. Decyzja zarządcy sprawiła jej wręcz ulgę.

Fabia de Claramunt zaprowadził Laię na parter budynku, a gdy tam dotarli, skierował się do niewielkiej przybudówki obok miejsca, gdzie straż odpoczywała po zmianie warty. Dziewczynę to zdziwiło, gdyż wyobrażała sobie, że lochy będą, jak zwykle, w podziemiach. Don Fabia porozmawiał z dowódcą straży i ten wręczył mu natychmiast pęk kluczy.

Zarządca zdjął z pierścienia jeden, nieszczęśliwie duży, i otworzywszy wzmocnione sztabami drzwiczki, zaprosił dziewczynę do środka.

Niewielkie pomieszczenie było puste. W głębi, pod ścianą, stała jedynie drewniana ława. Na znak dany przez zarządcę Laia usiadła.

Fabia de Claramunt oznajmił obojętnie:

— Pani, ja nie mam z tym nic wspólnego. Kazano mi was przekonać, że prawdą jest to, w co najwyraźniej wątpicie, ale nie pozwolę wam rozmawiać z więźniarką. Mam żonę i dzieci i nie chcę żadnych kłopotów. Proszę więc, byście mi ich oszczędzili. Jeśli się o to postaracie, będziemy przyjaciółmi i wasz pobyt wśród nas będzie znośniej szy. W przeciwnym razie zmusicie mnie do wypełniania moich obowiązków w inny sposób.

Początkowo Laia nie rozumiała, co zarządca ma na myśli, ale potem uznała, że lepiej mieć w nim sprzymierzeńca.

Fabia de Claramunt przykucnął i zdjął ze ściany żelazną płytkę. Potem, zajrzawszy przez odsłonięty w ten sposób otwór w kącie sufitu podziemnej celi, dał znak Lai, by zrobiła to samo.

Na kamiennej ławie leżała okryta kocem kobieta. Laia z trudem rozpoznała w niej Aixę. Miała nieobecne, nieruchome spojrzenie. Obok niej stała taca z talerzem gotowanej kaszy, jedną marchewką, owczym serem i dzbankiem wody.

Zarządca przemówił ponownie:

— Będzie dostawała do jedzenia, jeśli wy nie będziecie pościć, to samo, co żołnierze. Otrzymałem rozkazy, że możecie sprządać codziennie, czy żyje i czy ma się dobrze. Ale nie wolno wam się do niej odzywać.

66

Ruth

Marti zauważył w Barcelonie mnóstwo zmian. Za murami miasta wyrosły *vilanoves* Santa Maria de les Arenes, Sant Cugat del Rec i Sant Pere. Rozbudowano niektóre kościoły, a na ulicach i placach słyhać było ludzi mówiących z różnymi akcentami i w wielu językach. Omar, Naima, ich syn Mohamed, mała Amina, dona Caterina, Andreu Codina i Mariona, zarządzająca kuchnią, przywitali go radośnie. Od jego wyjazdu minęły dwa długie lata. Porządkował teraz wszystkie swoje sprawy, planował nowe inwestycje, kupował statki i odwiedzał, kogo trzeba, ale dręczyła go nieustannie jedna myśl. Nie wiedział, co dokładnie przydarzyło się Lai i musiał z nią pomówić, by to wyjaśnić. Tak czy inaczej, powziął już decyzję: o ile będzie to możliwe, poślubi ją. Dziewczyna zdrowieje podobno po ciężkiej chorobie gdzieś poza miastem i lekarze zabronili jej na razie widywania kogokolwiek. Takie nowiny przekazał mu Eudald od Montcusiego, który rzekomo nadal był w podróży na polecenie hrabiego i nie spodziewano się jego powrotu do początku nowego roku.

Po przyjeździe Marti zastał smutną wiadomość. Donoszono mu w liście z domu, z datą sprzed trzech miesięcy, że zmarł jego pierwszy nauczyciel, don Sever, proboszcz Vilabertran,

a ponieważ i tak zamierzał odwiedzić matkę, postanowił pójść na cmentarz we wsi i pomodlić się za wieczny spokój jego duszy.

Pod koniec tygodnia zadzwonił do drzwi Barucha, którego powiadomił już o swoim przybyciu i który oczekiwał go w szabas w swoim domu. Chyba zawodziła go pamięć, bo czy to z powodu upływu czasu, czy też dlatego, że przywykł do widoku rozległych przestrzeni, brama domu Żyda wydała mu się dużo mniejsza niż kiedyś.

Natychmiast rozległy się pospieszne kroki, jakby ktoś czekał na dźwięk dzwonka. Nie słyszał żadnego głosu ani nie widział, by ktoś patrzył przez wizjer. Drzwi się otworzyły i zobaczył ze zdumieniem promienne i uśmiechnięte spojrzenie dziewczynki, której początkowo nie poznał. Chwilę później pojął, że to mała Ruth, która przygląda mu się zza długich rzęs, zdobiących jej czarne wesołe oczy.

— Jahwe strzegł was na niebezpiecznych ścieżkach tego świata, niech będzie chwała jego imieniu.

— Niech i ciebie... was strzeże, Ruth. Tak urosliście, że wzięłam was niemal za jedną z waszych sióstr.

— Minęły ponad dwa lata, Marti. To także was dotyczy.

— Aleja wyjeżdżałam dorosły i taki wróciłem. A wy z małej dziewczynki staliście się kobietą.

— Już wtedy nią byłam. Ale wejdźcie. Ojciec zaraz wróci i polecił mi was przyjąć. Dlatego czekałam przy drzwiach.

Z piętra jakiś głos zapytał:

— Ruth, kto przyszedł?

— Już otworzyłam, matko. To pan Barbany. Ojciec kazał mi się nim zająć, dopóki nie przyjdzie.

I puściwszy do Martiego oko, dodała:

— Wejdźcie, proszę, bo pomyślicie, że jestem złą gospodynią.

— Nie zapomniałam waszej lemoniady. Na całym świecie nie ma lepszej. Jak mógłbym was uważać za złą gospodynię?

— Miło, że o mnie pamiętaliście, choćby z tak prozaicznego powodu jak lemoniada.

Dziewczyna zaprowadziła go do ogrodu. Tam czas jakby się zatrzymał: wszystko wyglądało tak, jak zapamiętał, tylko kwiaty były uschnięte z powodu zimy. Zobaczył ogromny kasztan, cembrowinę studni, ławę, proste krzesła i sosnowy stół. Brakowało jedynie huśtawki, która zwisała kiedyś z gałęzi rozłożystego drzewa.

Usiedli w bladych promieniach zimowego słońca i Marti spytał, by przełamać lody:

— Popsuła wam się huśtawka?

— Zdjęłam ją dawno temu. W tym domu nie ma już małych dzieci i nikt się nie huśta. Powiedzcie mi, jaki jest świat?

— Mój Boże, co za pytanie! — odparł Marti z szerokim uśmiechem. — Wielki, bardzo wielki i pełen różnych ludzi.

— Nie wyobrażacie sobie, jak wam zazdrościłam i ile razy, właśnie tutaj, myślałam o was!

— Rozumiem to. Ja w waszym wieku byłem taki sam. Myślałem, że mam ograniczone horyzonty i że nigdy nie opuszczę mojego folwarku... A, jak widzicie, podróżowałem po całym niemal Morzu Śródziemnym. Ale przekonacie się, że na wszystko przychodzi czas. Ojciec znajdzie wam dobrego męża i za parę lat zobaczycie, że wasze życie zupełnie się zmieniło.

— Możliwe, ale myślę, że nigdy nie wyjdę za mąż.

— Dlaczego tak mówicie?

— Przeczucia kobiety.

— Nie podoba wam się żaden chłopak?

— Może, ale on nawet nie wie, że istnieję.

W tym momencie otworzyły się drzwi i ukazał się w nich Baruch, spiesząc do Martiego z otwartymi ramionami. Cała jego postać wyrażała radość ze spotkania. Marti wstał i mężczyźni padli sobie w objęcia. Dziewczyna patrzyła na to z lekkim wyrzutem, bo nie przypadło jej do gustu, że została pozbawiona możliwości kontynuowania rozmowy z przyjacielem ojca, który zawsze traktował ją jak dorosłą.

— Jakże się cieszę, chłopcze! Zważywszy na mój wiek podejrzewałem czasami, że już nigdy cię nie zobaczę.

— Jahwe miał was w opiece. Wyglądacie lepiej niż przed moim wyjazdem.

— Czas mija nieubłaganie jednakowo dla wszystkich. Za młodu człowiek dojrzewa, a potem się starzeje. Ale wejdźmy do środka, bo słońce wkrótce zajdzie i zrobi się zimno. Tyle jest do opowiadania! A tobie, moja córko, dziękuję za starania, ale teraz odejdz i zostaw nas samych.

Dziewczyna udała, że nie słyszy ojca, i weszła z nimi do salonu, gdzie zajęła się układaniem poduszek.

— Ruth, pożegnaj się z panem Barbany i odejdz. Muszę pomówić z nim o wielu sprawach.

Żyd podkreślił słowo „pan”, aby pokazać córce, że nie powinna traktować Martiego zbyt poufale.

— Ojczy, byłabym zachwycona, gdybyście pozwolili mi zo stać. Nie będę się wtrącała ani przeszkadzała. Opowieści Martiego o podróżach po świecie wzbogacą moją wiedzę bardziej niż cokolwiek innego.

— Ruth, masz talent do nietaktownego zachowania. To, o czym muszę pomówić z naszym gościem, w żaden sposób ciebie nie dotyczy. Jeśli chcesz wzbogacić swoją wiedzę, poproszę rabina, który uczy religii ciebie i Batszewę, by poświęcił ci trochę czasu, żebyś miała okazję zapytać go o wszystko, co cię interesuje.

— Nigdy mnie nie rozumiecie! — wybuchnęła Ruth. — Chcicie, żebym siedziała w domu jak głupia, studiowała nudne religijne teksty, uczyła się robić koszerne potrawy, piekła ciasta i zajmowała się pracami dobrymi dla służących.

— Natychmiast zejdz mi z oczu! Potem porozmawiamy, dziecino.

Dziewczyna wyszła bez pożegnania, odprowadzana drwiącym uśmiechem Martiego.

— Wybacz jej, młodość to trudny okres, a dla mojej córki chyba szczególnie — stwierdził sędziwy Baruch, tłumiąc wes tchnienie.

— Nie przepraszajcie, Baruchu. Ma silny charakter, który

mnie zachwyca. W przyszłości, jaka nas czeka, bardzo jej się to przyda.

Po tym wstępie mężczyźni zasiedli w salonie, wdając się w rozmowę, która najwyraźniej miała długo potrwać.

Mijało popołudnie, a Marti opowiadał o wszystkim, poczynając od przygód, które spotkały go w podróży, a kończąc na niewiarogodnych kontaktach, jakie nawiązał dzięki Baruchowi. Żyd zaopatrzył się w pióro, kałamarz i arkusz papieru i wsparty o stół robił notatki na temat spraw, które go ciekawiły albo wymagały jego rady lub interwencji.

Omówili wiele kwestii. Uzgodnili umowy dotyczące przyszłości statków. Marti był zdecydowany zainwestować większość kapitału, a także zysków ze sprzedaży ziemi i młynów, w działalność na morzu. Poruszył też sprawę kupna nowego domu w pobliżu kościoła Sant Miqael i prosił Barucha o radę. Żyd wskazał mu idealną, jego zdaniem, lokalizację. Potem zajęli się handlem, który, nadzorowany przez Omara, przynosił duże zyski. Sprawa greckiego ognia zasłużyła na osobne omówienie.

— Już o nim słyszałem. Wspomina o jego istnieniu jedna z naszych starych ksiąg, ale nigdzie nie ma mowy o formule. Wiem, że niejednen ksiązę próbował ją zdobyć, ale do dzisiaj nikomu się to nie udało.

— Ja wyobrażam sobie raczej ogromne korzyści, które mogłyby przynieść ta czarna maź, paląca się dużo wolniej niż łożowa pochodnia. Zobaczcie, że miasto tonie w ciemnościach i stróże porządku boją się nawet wchodzić w niektóre uliczki. Gdyby umieścić na pewnej wysokości żelazne klatki z nasączonymi tą mazią szmatami albo knotami z wełny, jeden człowiek mógłby je zapalać za pomocą tyczki z płomykiem na końcu. Światło paliłoby się przez całą noc i dzięki temu ulice byłyby mniej niebezpieczne.

— Uważam, że to doskonały pomysł. Jeśli przygotowałeś załadunek tego towaru na wybrzeżu Lewantu, problem jest rozwiązany. Powinieneś zmagazynować gdzieś za murami zapasy w zamkniętych beczkach, aby w razie katastrofy statku albo

opóźnienia dostaw miasto nie zostało bez zaopatrzenia. Załatwię wszystkie zezwolenia na import tego produktu. Jednak przyznanie koncesji na zainstalowanie latarni jest w gestii *veguera* oraz, jak możesz się domyślać, twojego przyjaciela, do którego nie mam dojścia, gdyż ludzie mojej wiary nie budzącego sympatii. Jestem pewien, że don Bernat Montcusi, zarządca do spraw aprowizacji, nie zrezygnuje z części zysków z tak intratnego przedsięwzięcia.

— Tym ja się zajmę. Zdradzę wam coś, co wie na razie tylko nasz wspólny przyjaciel, Eudald Llobet.

— Co takiego?

— Zamierzam ożenić się z pasierbicą Montcusiego.

W chwili gdy na twarzy Żyda pojawił się pełen niedowierzania uśmiech, na pierwszym piętrze zamknęło się jedno z wychodzących na ogród okien nad salonem.

67

W łonie Kościoła

Był styczeń 1056 roku. Drzwi jasno oświetlonej komnaty hrabiny Almodis stały otworem. Sędziwa Ermesenda, która nie mogła już liczyć na niczyją pomoc po śmierci swoich głównych protektorów, w zamian za jedenaście tysięcy uncji złota uzyskała u papieża zniesienie ekskomuniki, która niczym miecz Damoklesa wisiała przez ponad trzy lata nad hrabiowską parą.

W porze gdy zwykle zajmowano się innymi sprawami, ludzie z pałacu spieszyli przy wtórze radosnego bicia dzwonów, by uczcić wyrazami szacunku i gratulacjami tak wspaniałą nowinę. Niektórzy czynili to z autentycznym radością, większość jednak chciała przypodobać się hrabinie, gdyż było powszechnie wiadomo, że to Almodis z Marchii rządzi hrabią, a zatem i hrabstwem Barcelony. Miasto świętowało. Wielka nowina rozeszła się wśród zacnego ludu jak plotki kumoszek, uspokajając wielu ludzi, których przez te wszystkie lata codziennie trawiły wątpliwości i niepokoje. Przedstawiciele rodów hrabiowskich niższej rangi przynosili dary mające upamiętnić na zawsze ten szczęśliwy dzień i każdy starał się mniej lub bardziej zadbać o własne interesy, zbliżywszy się do świętego ognia Pałacu Hrabiowskiego. Odó de Montcada, biskup Barcelony, Guillem de Valderribes, główny notariusz, sędzia pałacowy Ponę Bonfill, sekretarz Eusebi

Vidiella i hrabia Ramón Berenguer, z kielichem dobrego moszczu w ręce, komentowali radosne wydarzenie w jednym z kątów salonu.

Gilbert d'Estruc, zaufany dworzanin Ramóna Berenguera I, główny majordom, Gualbert Amat, przedstawiciele rodów Montcada, Cabrera, Alemany, Muntanyola, Ferrera, Oló i wielu, wielu innych podchodzili z szacunkiem do niewielkiego tronu, gdzie Almodis rozdawała uśmiechy. Szlachcice katalońscy przyklękali na niewielkim taborecie u jej stóp, podczas gdy ich żony, unosząc nieco suknie, pochylały lekko głowy. Wszyscy prześcigali się w życzeniach, powinszowaniach i uprzejmościach. Wielka sala pełna była gości. Spełniwszy swą powinność, każdy korzystał z okazji, by zawierać transakcje, odnawiać dawne przyjaźnie i łączyć interesy w blasku nowego światła, które jaśniało nad Barceloną. Eudald Llobet, specjalny gość hrabiny, usłyszał przy całowaniu jej dłoni delikatną, ironiczną uwagę:

— Czy nie powiedziałam wam swego czasu, że jak zwykle Kościół ugnie się przed wymogami dyplomacji?

Eudald nie dał się zbić tropu.

— To prawda, pani. Ale skoro macie tak dobrą pamięć, nie zapomnieliście zapewne, co wam odpowiedziałem.

— W tym szczęśliwym momencie nie przypominam sobie tego, Eudaldzie.

— Chyba powiedziałem coś w rodzaju: „To, co udało wam się osiągnąć dwukrotnie, może się udać i po raz trzeci”. Tak czy inaczej wiedzcie, że oprócz was i hrabiego z cofnięcia ekskomuniki najbardziej cieszy się stojący przed wami skromny ksiądz, który pragnie jak najszybciej dać wam rozgrzeszenie. Wiedzcie również, że jako Katalończyk jestem ogromnie rad, że hrabstwo zyskało hrabinę o waszym temperamentie i charakterze.

Po tych słowach, ustąpiwszy miejsca dworzaninowi, który stał za nim w kolejce, Eudald podniósł wzrok i rozejrzał się po sali. W głębi, obok jednego z okien wychodzących na plac, pod gobelinem przedstawiającym polującą Dianę ze sforą psów, z łukiem w ręce i pełnym strzał kołczanem na plecach, stał

wpływowy Bernat Montcusi, zarządca do spraw rynków i aprowizacji, przebywający rzekomo poza Barceloną. Zmarszczywszy lekko brwi, wzniosł kielich, zapraszając go, by się zbliżył. Kanonik, posuwając się wolnym krokiem, torował sobie drogę wśród zgromadzonych, aż doszedł do miejsca, gdzie czekał na niego doradca.

— Pozdrawiam was, Eudaldzie, w tak radosnym dniu.

— Odwzajemniam pozdrowienia i raduję się z waszego przybycia. Nie wiedziałem, że wróciliście do miasta.

— Nikt nie wiedział. Ale gdy dotarła do mnie ta wspaniała wiadomość, zostawiłem inne obowiązki, w porównaniu z tą sprawą mniej pilne, i szybko przyjechałem. Kto nie zjawi się tu dzisiejszego wieczoru, by pogratulować hrabinie i złożyć jej hołd, jest przegrany.

— Otrzymałście zapewne mój list, w którym zawiadamałem, że Marti przyjął waszą propozycję.

— Oczywiście. Nappełnił mnie radością. Opowiedzcie mi, proszę, o szczegółach.

— Następnego dnia po przyjeździe Marti zjawił się w katedrze i tam starałem się wykonać powierzone mi przez was zadanie, niewątpliwie trudne. Uznałem, że zrobię to lepiej po swojemu, zataiłem więc niektóre fakty. Pomyślałem, że przyjdzie pora, by powiedzieć mu o dziecku, i wspomniałem jedynie, iż wasza pasierbica została pozbawiona dziewictwa, nie mówiąc, w jakich okolicznościach. Właściwie jeszcze mi nie wyjawiliście, czy urodziła chłopca, czy dziewczynkę.

Zarządca rozejrzał się na boki, aby sprawdzić, czy nikt ich nie podsłuchuje. Potem wziął swego rozmówcę pod ramię i poprowadził spod gobelinu pod jedno z okien.

— Wykazaliście się, jak zawsze, rozważą i sumiennieścią. Z pewnością natchnął was Duch Święty. Dziecko urodziło się martwe. Laia jest bardzo młoda, a wiecie, że pierworódkom często się to zdarza. Poza tym dostała gorączki. Po co więc wszystko komplikować? Lepiej pozostajmy przy tym, co mu powiedzieliście.

Eudald Llobet spojrział doradcy w oczy. Choć nadal wątpił w prawdziwość jego słów, zrozumiał, że najlepiej będzie zamknąć ten temat i nie drażyć sprawy. Marti dał mu słowo, że poślubi Laię. Spodziewał się, że czas pozwoli młodym wymazać z pamięci tę smutną historię i zostaną szczęśliwą parą, ratując w ten sposób honor dziewczyny.

— Może macie rację. Kiedy wróci wasza córka? Chyba już najwyższa pora, by młodzi się spotkali.

— To prawda, ale najpierw chcę pomówić z Barbanym o jego podróży i dowiedzieć się z pierwszej ręki, jakie ma plany. W zaistniałych okolicznościach powinniśmy zmienić naszą umowę. Muszę wziąć pod uwagę, że zostanie moim zięciem.

— Tak czy inaczej, ich spotkanie to kluczowa sprawa.

— W przyszłym tygodniu każę sprowadzić moją córkę. Myślę, że byłoby dobrze, gdybyście przybyli z waszym podopiecznym do mnie na kolację. Laia dołączy do nas w porze deseru i w ten sposób będą mogli ze sobą porozmawiać, oczywiście w naszej obecności. Znacie przysłowie: „Mężczyzna jest ogniem, a kobieta słomą, przychodzi diabeł i dmucha”.

68

Nieszpory

Marti przybył przed czasem do katedry, by zabrać Eudalda i udać się razem z nim na wieczerzę do Bernata, ale ksiądz, wiedząc, że młodzieniec widział się już z doradcą, chciał, by zrelacjonował mu przebieg ich rozmowy.

Jeden z zakonników polecił mu, by czekał na Eudalda w zakrystii. Ksiądz pojawił się skromnie ubrany, jednak Marti zauważył, że jego szata z prążkowanej tkaniny jest nowa i że zakrystian, który zajmuje się stryżeniem księży, przyciął mu brodę i wygładził okrągłą tonsurę.

— Widzę, Eudaldzie, że odświętnie wyglądacie.

— Nie mam zwyczaju jadać kolacji poza refektarzem i dawno już wyrzekłem się próżności tego świata, tym razem jednak, z twojego powodu, starałem się poprawić nieco mój wygląd, co nie jest takie łatwe. Ale usiądźmy na chwilę, bo mamy mnóstwo czasu, i opowiedz mi o swojej rozmowie z Montcusim.

Kanonik zaprowadził młodzieńca w głąb wielkiej sali i obaj usiedli na taboretach obitych skórą z Ubriąque. Był to prezent od najemnika, który walczył u boku Llobeta w okolicach Kordoby około 1017 roku podczas drugiej wyprawy hrabiego Ramóna Borrella, dziadka obecnego hrabiego. Odniósł wtedy tak ciężkie rany, że zmarł.

— Powiedz, Marti, jak przebiegła ta rozmowa?
— Muszę przyznać, że nie rozumiem postępowania pewnych osób.

— Co masz na myśli?

— Nie dziwi was chyba, że szedłem do domu Montcusiego z niepokojem. Człowiek wie, kiedy toczy się gra o jego przyszłość, ale głównie chciałem dowiedzieć się wszystkiego, co dotyczy Lai.

— I co?

— Doradca, zachowując się dwuznacznie, poprosił, byśmy unikali tego tematu, bo przychodzi mu do głowy myśl bardzo gorzkie chwile. Gdy nie dałem za wygraną, oznajmił, że choć ma powody podejrzewać, kto dopuścił się niegodziwości, nie może być tego pewien ani nie uważa za właściwe drążyć sprawę. Jego zdaniem Laia, lekkomyślnie i z braku doświadczenia, chciała zabawić się z tym mężczyzną, a ten, sądząc, że zabawa oznacza przyzwolenie, pozbawił ją dziewictwa. Montcusi przyznał, że mimo posiadania obywatelstwa miasta nie ośmielił się interweniować, gdyż przy puszczał, że winowajca jest skoligacony z rodem hrabiów Barcelony i może to być ktoś z otoczenia hrabiego Ermengola d'Urgell, kuzyna hrabiego Ramóna Berenguera.

— I co jeszcze?

— Potem nie chciał powiedzieć niczego więcej, radząc mi, bym nie próbował poruszać tego tematu z Laią, bo zauważył, że jego pasierbica, która dochodzi do siebie po długiej chorobie, staje się wtedy spięta i przepelniona bólem, zaczyna majaczyć. Na koniec dodał, że czas zaciera wspomnienia i że z pewnością będziemy ze sobą bardzo szczęśliwi.

Po chwili milczenia Marti spytał:

— I co o tym wszystkim sądzicie?

Ojciec Llobet zamyślił się na moment, po czym odparł:

— Czasem trudne sytuacje ranią ludzki umysł. Uważam, że na razie musisz troszczyć się bardzo o waszą miłość i pozwolić, by czas zabliznił rany. Coś mi mówi, że Laia jest niewinna, bo dobrze ją znam. Zostaw ją w spokoju. Kiedy nadejdzie pora

i pogodzi się z nieszczęściem, sama się przed tobą otworzy jak kwiat, który czuje rosę. Tak czy inaczej, moim zdaniem kryje się za tym wszystkim coś, czego nie dostrzegam... Ale bądź cierpliwy, woda zawsze znajduje ujście. Kochasz ją?

— Nad życie.

— I nadal chcesz ją poślubić?

— Choćby jutro.

— A zatem miej cierpliwość i czekaj. Nadejdzie dzień, gdy sama zechce zrzucić z siebie ten ogromny ciężar, który na pewno ją przygniata. Nie trać wiary.

Mężczyźni zamilkli, a potem Marti zaczął relacjonować swemu staremu przyjacielowi dalszą część rozmowy z doradcą.

— Kiedy wyjaśniłem mu, jak zamierzam wykorzystać czarny olej, zrobił oczy jak filiżanki. Obiecał, że przekona *veguera* o zaletach zainstalowania na każdym rogu ulicy w mieście, na odpowiedniej wysokości, klatek z małym zbiornikiem na palną ciecz i knot. W umowie jest chyba zapisane, że będę wytwarzał te klatki w mojej kuźni, ale to bez znaczenia, prawdziwe zyski przyniosą dostawy surowca. W istocie, gdy wspomniałem, że warto by mieć w mieście zapasy oleju, na wypadek gdyby któryś rejs się przedłużył, Montcusi zażądał, by magazynować je w podziemiach jego domu. Myślę, że chce w ten sposób zagwarantować sobie dochody.

— Powiedziałeś mi o greckim ogniu?

— Nie. Tę formułę zabiorę ze sobą do grobu.

Ksiądz skupił wzrok na długiej świecy, na której zaznaczono czerwonymi liniami przybliżone godziny dnia i nocy i którą zapalał co rano zarządca sali kapituły.

— Marti, czas na nas.



69

Czarna jest noc

Wieczereę przygotowano w zadaszanej altance w domu Montcusiego. Po przybyciu, na polecenie doradcy, goście zostali wprowadzeni do ogrodu, gdzie miało się odbyć spotkanie. Stół, ozdobiony girlandami kwiatów, ugiął się od wykwintnych potraw. Talerze z weneckiej porcelany miały złoczone brzegi, a kieliszki i karafki zrobione były z cienkiego szkła. Oświetlenia ogrodu dopełniały stojące na stole dwa wielkie srebrne kandelabry ze świecami z perfumowanego wosku. Bernat Montcusi, ubrany w tunikę haftowaną brokatem, pojawił się na kamiennej ścieżce, która wiła się między grządkami.

— Wzięliście w posiadanie ten skromny dom. Czujcie się jak u siebie.

Goście wyszli doradcy na spotkanie, a ten rozłożył ręce w geście powitania.

— Odłóżmy na bok pokorę. Wasza rezydencja to prawdziwe чудо — stwierdził archidiakon.

Bernat Montcusi zwrócił się do Martiego:

— A co powie nasz młody i dzielny kupiec? Zwróćcie uwagę, Eudaldzie, że w tym wieku przebył już pół świata.

— Po naszej ostatniej rozmowie nie mam już nic do dodania. Z wyjątkiem tego, że chciałbym ujrzeć waszą pasierbicę — odparł

Marti, na którego ogorzałej twarzy widać było z trudem ukrywane emocje.

— Powiedzcie raczej: córkę, bo tak ją traktuję, i uważajcie mnie od tej chwili po części za swojego ojca. Wybaczcie mój brak gościnności. Chodźmy na kolację. Inaczej patrzy się na wszystko z pełnym brzuchem i po kieliszku dobrego wina.

Zrobiwszy przejście, doradca wskazał im drogę do altanki, gdzie służący czekali za oparciami krzeseł, by usadowić ich na wyznaczonych miejscach.

Gdy już siedzieli, po krótkiej pogawędce i smacznej zupie z dyni, Bernat przeszedł do rzeczy:

— Cóż, drogi Marti, myślę, że w tym przypadku musimy pozostawić na boku kwestię posagu, bo o ile w normalnych okolicznościach cena ręki Lai byłaby całkowicie poza zasięgiem waszych możliwości, zważywszy na sytuację, ani wy, ani ja nie mamy wobec siebie żadnych zobowiązań. Uznajmy, że jesteśmy kwita.

— Wiercie mi, panie, że uważam się za szczęściarza i będę się czuł waszym wiecznym dłużnikiem. Możliwość dostąpienia hono ru, by starać się o rękę waszej córki, była dla mnie do niedawna niedościgłym marzeniem. Myślę, że sytuacja, przeznaczenie czy też opatrność mi sprzyja. Wierzę w dobroć i prawość Lai. Nie chcę nikogo osądzać, a szczególnie kobiety, którą kocham. Wszyscy popełniamy błędy, zwłaszcza w młodym wieku. Wina jest po mojej stronie, bo zostawiłem ją samą. Ale wiem, że nadejdzie dzień, gdy wszystko się wyjaśni, choć nigdy nie będę się tego od niej domagał.

— Wspomniałeś o przeznaczeniu, ale to nie jest tak — przerwiał mu ojciec Llobet. — Wszyscy stanowimy część planu Stwórcy, który prowadzi nas czasem krętymi ścieżkami.

Na twarzy doradcy pojawił się dziwny grymas, co nie uszło uwagi archidiakona.

— Bez względu na wszystko radzę, byście zachowali dla siebie przykre wydarzenia, o których wam opowiadałem, i nie sprawiali jej bólu przywoływaniem bolesnych wspomnień. Za uważałem, że wywołują u niej reakcje, o których wolę nie mówić.

Na samą wzmiankę o tym, co się stało, kuli się i zaczyna bredzić. Nie wiem, jak długo może trwać taki stan, ale lekarze, którzy ją badali, zalecają jej całkowity spokój. Wszystko ma swój kres i nadejdzie dzień, gdy to, co zaszło, wyda się tylko złym snem. Kontynuujmy kolację, potem każę ją wezwać. Nie bądźcie zaskoczeni, że jest bardzo wychudzona i zmieniona... Czasem trudno jej nawet prowadzić rozmowę.

Marti rzucił Eudaldowi zatroskane spojrzenie.

Noc mijała. Po przekąskach i pasztecikach podano rybę na zimno z białym sosem. Przy deserze, po wysmienitym torcie z cytrynami i malinami, doradca oznajmił:

— Nadeszła ta chwila — i zwracając się do majordoma, rozkazał: — Sprowadź moją córkę.

W tym momencie Marti myślał, że pulsująca krew rozsadzi mu tętnice.

Laia, skulona w kącie balkonu komnaty wychodzącej na ogród, słuchała uważnie całej rozmowy. Początkowo, gdy spostrzegła Martiego, poczuła ogień w piersiach. Wizerunek, który miała w pamięci, stanowił blade odbicie jego obecnego wyglądu. Był znacznie przystojniejszy i wytworniejszy, niż zapamiętała. Zamiast jednak z tego powodu cieszyć się, wpadła w jeszcze większe przygnębienie i uznała, że — jeśli to w ogóle możliwe — jest go o wiele bardziej niegodna niż przedtem.

Odkąd Bernat przywiózł ją przed dwoma dniami z Terrassy, czuła w duszy przejmujący smutek. Radość, że zobaczy Martiego, mieszała się ze wstydem, który sprawiał, iż czuła się zbrukana i godna pogardy. Myślała, że pięknie jej głowa. Chwilami wyobrażała sobie przyjemne i szczęśliwe życie u boku ukochanego, innym razem, że nie zasługuje na tę miłość, efekt oszustwa i hipokryzji. Potem w mrokach jej sumienia pojawiał się odległy i nierealny wizerunek Aixy. Czy istniała naprawdę, czy była wytworem jej udręczonej duszy? Gdy usłyszała wyraźnie rozkaz ojczyrna, coś w niej pękło. Wyobraziła sobie, że Edelmunda

zmierza właśnie do jej komnat, by pomóc jej się ubrać. Nie miała czasu do stracenia.

Wstała i pozostawała przez chwilę w bezruchu. Powzięła już decyzję. Do baszty, znajdującej się przed bramą Castellvell, prowadziły kamienne schody. Tam właśnie się skierowała. Stopnie były wysokie i nierówne. Prawie nikt tamtędy nie chodził. Jedyne straż rozpoczynała w tym miejscu nocny obchód, strzegąc raczej bramy w murach niż samego domu. Dysząc ciężko, dokończyła wspinaczkę. Zimny wiatr owionął jej twarz i rozwiały długie włosy. Księżyc był w nowiu i jego mdły blask oświetlał ludzi, którzy szli pod murami miasta, powracając po codziennych zajęciach do swoich trosk. Słyszała śmiechy i głosy stróżów, obwieszczających godzinę i chwalcących Boga. Odetchnęła głęboko. Udawała się do miejsca, gdzie nikt już nie zdoła jej skrzywdzić i gdzie będzie czekała na swego ukochanego z duszą oczyszczoną z wszelkich win. Wolnym krokiem przeszła wzdłuż murów. Jej duszę ogarnął dziwny spokój. Przystanęła i wychyliła głowę nad dziedziniec. Z wysiłkiem wspięła się na mur między blankami. Stamtąd, z rozwianymi włosami, spojrzała w dół i zobaczyła mgliste cienie. Grupa uzbrojonych strażników pod dowództwem sierżanta szykowała się do zmiany warty. Laia spojrzała w niebo i zamknęła oczy. A potem skoczyła w przepaść.

Szmer głosów i stłumione okrzyki ludzi zaalarmowały właściciela domu i jego gości. Na kamiennej ścieżce w ogrodzie zadudniły pospieszne kroki majordoma. Stanął w altance przed biesiadnikami zdenerwowany i zmieszany. Wyraz jego twarzy sprawił, że trzech mężczyzn wstali.

- Co się stało? — spytał Montcusi.
- Wielkie nieszczęście, panie — wyjąkał majordom.
- Marti poczuł ukłucie w piersi.
- Laia... — szepnął.

Służący potwierdził złe wieści.

— Młoda pani miała straszny wypadek.

— Gadajcie, do diaska — syknął Eudald.

W trudnych sytuacjach, mimo upływu czasu, przypominał sobie ciętą żołnierską mowę.

Majordom wziął się w garść i oznajmił:

— Panie, wasza córka spadła z murów na dziedziniec.

Mężczyźni pospieszyli we wskazanym kierunku. Bernat szedł przodem, za nim Marti, a na końcu archidiakon.

Gdy dotarli na miejsce, panowało straszliwe zamieszanie. Szereg uzbrojonych ludzi zasłaniał widok. Strażnicy otaczali postać leżącą na kamiennych płytach dziedzińca. Doradca utorował sobie drogę łokciami. To, co zobaczył, było wstrząsające.

Laia wyglądała jak połamana lalka. Ktoś podłożył jej pod głowę płótno, które nasiąkało krwią sączącą się z lewego ucha. Dziewczyna jakby szukała kogoś wzrokiem. Doradca, wykręcając sobie palce, zaczął krzyczeć jak opętany:

— Niech ktoś wezwie medyka Halewiego!

Eudald uklęknął z jednej strony Lai, a Marti z drugiej, chwytając jej zimną rękę. Archidiakon zbliżył wargi do ucha dziewczyny.

— Laio, jestem ojciec Llobet. Twojemu życiu zagraża niebezpieczeństwo. Oby Bóg cię ocalił, ale najważniejsze jest zdrowie duszy. Przygotuj ją na wielkie spotkanie na wypadek, gdyby taka była wola Boga.

Wargi Lai drżały bezgłośnie. Archidiakon przysunął lewe ucho do jej ust. Docierały do niego urywane słowa. Słuchając szeptu dziewczyny, obserwował kątem oka doradcę, który w rogu dziedzińca, z głową zasłoniętą peleryną, którą ktoś mu podał, pojękiwał jak płaczka.

— Ojcze, umieram...

— Nie trać wiary, Laio. Pan przyjmie cię do siebie. Żałuj swoich grzechów.

— Nie ma dla mnie przebaczenia, ojcze...

Jej oddech był coraz bardziej świszczący i urywany.

— Zawsze jest, dziewczyno.
— Zgrzeszyłam... jestem nieczysta...
— Zrobiłaś to dobrowolnie, Laio?
— Zostałam zgwałcona, a potem byłam zmuszana i zastraszana... nie uległam rozpuście, ale nienawidziłam owocu mego łona i pragnęłam go usunąć.
— Ale tego nie uczyniłaś?
— Nie, ojcze... urodziłam potworka... który wkrótce umarł. Eudald chciał poznać w całości tę straszną historię.
— Udzielał ci rozgrzeszenia, Laio. Powiedźcie mi, kto cię zniewolił.
— Nie mogę, ojcze... Zrujnowałabym życie memu ukochanemu.
— To, co mi powiesz, zabiorę do grobu. Obowiązuje mnie tajemnica spowiedzi.
Laia napełniła płuca nocnym powietrzem i odezwała się z ogromnym wysiłkiem:
— Za bardzo kocham Martiego... nie chcę, by ktokolwiek go skrzywdził.
Eudaldowi, z jego doświadczeniem i niezawodną intuicją, to wystarczyło. Z miejsca gdzie się znajdował, spojrzął na doradcę i coś mu powiedziało, że jego podejrzenia były słuszne. Powiązał fakty i zrozumiał, co naprawdę skłoniło Bernata do zmiany zachowania.
Wkrótce Laia zamilkła i gdy ksiądz udzielał jej rozgrzeszenia, z wysiłkiem otworzyła oczy, które nabrały szczególnego blasku, i skierowała spokojnie na swego ukochanego. Na znak Llobeta młodzieniec zbliżył twarz do głowy dziewczyny i czując w duszy straszliwą udrękę, usłyszał wypowiedziane szeptem słowa, o których tak długo marzył.
— Mój skarbie... idę przygotować dla nas dom... musiałam wybierać między doczesnym światem i tym drugim... Wołałam odejść tam, gdzie będę mogła być ciebie godna... gdzie nikt nie może zaszkodzić naszej miłości... Żegnaj, mój skarbie... będę na ciebie czekała całą wieczność.

Zamknęła oczy, a z jej ust popłynęła struga krwi. Marti zawył jak zranione zwierze. Migoczące światło pochodni oznajmiło przybycie Halewiego. Uczony medyk, otworzywszy torbę, przykucnął pospiesznie obok dziewczyny w miejscu, które przed chwilą zajmował Eudald, i przytknął opuszek serdecznego palca do tętnicy na szyi dziewczyny. Potem uniósł jej powieki i obejrzał uważnie źrenice, zbliżając do nich lichtarz. Następnie obmacał delikatnie czaszkę i dotknął ostrożnie kręgowi szyi.

Pokręciwszy głową, dał do zrozumienia, że pozostaje już tylko się za nią modlić.

— Po co tu jesteście? Zróbcie coś, na Boga! — Głos Bernata brzmiał opryskliwie.

— Jestem tylko skromnym żydowskim lekarzem — odparł Halevi.

Montcusi zamierzał powiedzieć coś jeszcze, ale powstrzymał go surowy ton głosu Llobeta. Archidiakon wbił wzrok w twarz zarządcy.

— Nie ważcie się mówić o Bogu. Czasem wzywa nas nie oczekiwanie i wtedy zaczyna się wieczność. Ogień piekielny nie rozróżnia bogatych i biednych. Pamiętajcie, że gdy kończy się gra, kmieć i król trafiają do takiej samej skrzyni.

Doradca wytrzymał przez chwilę piorunujące spojrzenie księdza, po czym odwrócił głowę.

Marti przez cały czas był przy Lai, widząc tylko jej wycieńczoną twarz, która odzyskała wreszcie spokój. Nagle dziewczyna otworzyła oczy i szepnęła:

— Zanim odejdę, chcę prosić cię o wybaczenie... tej ogromnej krzywdy, którą ci wyrządziłam... tobie... i Aiksie... Jeśli mi wybaczasz, pocałuj mnie... Chcę zabrać na drogę tylko taki bagaż.

Marti, z oczami pełnymi łez, pochylił się i dotknął ustami warg dziewczyny. Uśmiechnęła się radośnie i jej życie zgasło jak płomień świecy.

CZEŚĆ CZWARTA
Światła i cienie

Złe wróżby

Barcelona, początek 1057 roku

Delfin nigdy sobie nie wyobrażał, że życie w pałacu jest tak trudne. Istniał tam wyraźny podział na frakcje. Po stronie hrabiny Almodis byli Lionor i Delfin, którzy towarzyszyli jej od Tuluzy, dona Brigida, doña Barbara i piastunka Hilda, przydzielone jej od samego początku przez męża, grupa wiernych rycerzy, którzy wydostali ją z zamku w Tuluzie, jej spowiednik Eudald Llobet i przypadkowi dworzanie, zawsze gotowi być blisko osób sprawujących władzę, by czerpać korzyści w zamian za obietnicę swej wierności najlepszemu oferentowi. Drugą frakcję tworzyli przedstawiciele rodów Barcelony oddanych zmarłej hrabinie Elisabet, stronnicy porzuconej Blanki z Ampurias oraz ci, którzy stawiali, w nadziei, że kiedyś na tym zyskają, na przyszłego spadkobiercę, pierworodnego syna hrabiego, Pedra Ramóna, osobnika nie zrównoważonego i porywczego, który nie starał się ukrywać antypatii do towarzyszki życia swego ojca. Nieustannie sprzeczali się o błahę sprawę, na przykład o to, do kogo należy koń, o powód wręczenia prezentu stronnikowi ze szlacheckiego rodu albo rozporządzenie zapisane na zwykłym pergaminie... Zmuszało to hrabiego do mediacji między synem a hrabiną, co umniejszało jego autorytet, bo musiał balansować jak akrobata na linie, by zachować chwiejną równowagę.

Wspomniane okoliczności sprawiły, że karzeł nabrał umiejętności stawania się niewidzialnym i gdy nie był sam ze swoją panią, starał się nie rzucać w oczy. Dlatego bardziej wyczuwszy, niż usłyszawszy kroki hrabiego na korytarzu, oznajmił natychmiast:

— Pani, jeśli mnie nie potrzebujecie, pójdę nakarmić gołębie.

— Co cię ugryzło, Delfinie? Dobrze cię znam i nie zdołasz mnie oszukać. Dlaczego nie przeczytasz mi do końca historii, którą zacząłeś wczoraj?

— Pani, hrabia nadchodzi.

Chociaż Almodis przywykła już do zdolności swego błazna, zawsze je podziwiała.

— Nie rozumiem, skąd to wiesz. Ja niczego nie słyszę.

— Pewnie dlatego, że ma uszy bliżej ziemi, pani.

Żartobliwa uwaga pochodziła od Lionor, która, siedząc obok Barbary, przędła nieczesaną wełnę.

W tym momencie słychać już było głosy na korytarzu.

Bez żadnej zapowiedzi drzwi się otworzyły i w prywatnych komnatach hrabiny pojawiła się potężna postać Ramóna Berenguera I. Almodis, odsuwając kanwę, na której haftowała, rozkazała swojej świcie:

— Zostawcie nas samych.

Lionor, Barbara i Delfin wstali, zabrali swoje rzeczy i bez słowa wyszli z komnaty.

Ramón wciąż szalał za żoną. Mimo upływu czasu jego namiętność nie wygasła. W ciągu pięciu lat ich związku urodziła mu synów bliźniaków i dwie córki, które ochrzcili imionami Ines i Sancha. Nauczył się dzięki nim miłości doskonałej.

Pocałowawszy żonę w czoło, hrabia usiadł na taborecie obok jej fotela.

— Almodis, muszę z tobą pomówić.

— Ja też chciałam to zrobić, w cztery oczy. Zamierzałam zaczekać do wieczora, ale mnie uprzedziłeś, więc skorzystam z okazji teraz.

— A zatem mów, słucham cię.

— Nie, nie, najpierw ty. Twoja sprawa jest z pewnością ważniejsza.

— Pragnę twego spokoju — zapewnił Ramón. — Kiedy coś cię dręczy, nie czuję się dobrze. Mów.

Almodis stłumiła westchnienie i zaczęła.

— Otóż, Ramónie, nie chciałabym cię denerwować, wiesz przecież, że zawsze staram się unikać sprawiania ci kłopotów. Dźwigasz na ramionach wszystkie problemy hrabstwa, których jest niemało, a do tego jeszcze przysparza ci trosk, gdy tylko może, twoja babka Ermesenda. Jesteś prawie zawsze poza Barceloną, albo walcząc, albo porządkując jakieś sprawy na po graniczu, zawierając sojusze lub przywracając pokój między krewnymi, którzy zawsze próbują wykorzystać twoją szlachetność. Kiedy wracasz, nic nie sprawia mi większej przyjemności niż dbanie o to, by zapewnić ci odpoczynek i usunąć wszelkie przeszkody z twojej drogi. Ale na pewne rzeczy nie mogę pozwolić, bo byłaby to plama na honorze żony hrabiego Barcelony, a zatem i jego samego.

— Almodis, dobrze cię znam. Przejdź do sedna sprawy i powiedz, co ci leży na sercu.

— Bóg mi świadkiem, że nie chodzi o mnie. Przywykłam już do jego impertynencji i muszę przyznać, że mnie nie wzruszają. Co więcej, gdy pozwala sobie na zuchwałe uwagi na osobności, jestem już tak odporna, że nawet ich nie słyszę, ale gdy wykazuje brak szacunku należnego hrabinie Barcelony w obecności jakiegoś szlachcica, wtedy burzy mi się krew i obawiam się, że pewnego dnia stanie się coś nieodwracalnego.

— Co zrobił tym razem Pedro Ramón? Bo o niego chodzi, jeśli się nie mylę — westchnął Ramón z posępnym obliczem.

— Oczywiście. Był przy tym obecny don Eudald Llobet, który, jak wiesz, jest człowiekiem niezdolnym do kłamstwa. Ramón obraził mnie przed komisją obywateli Barcelony, której przewodniczyłam w twoim imieniu.

— Zechciej mówić jaśniej.

— Otóż w zeszłą sobotę, po mszy w mojej kaplicy, otworzyłam, nie po raz pierwszy, sesję rady, przewodnicząc w twoim imieniu trybunałowi. Cywilne procesy są otwarte dla publiczności, dzięki temu obywatele dowiadują się, w jaki sposób ich hrabina wymierza sprawiedliwość, korzystając zawsze z rad ekspertów od *Usatges** i głównego notariusza, Guillem de Valderribes. W tym przypadku, ponieważ chodziło o spór o granice posiadłości między proboszczem i jednym z obywateli, obecny był również biskup Odó de Montcada. Jak dobrze wiesz, podium, na którym zasiada trybunał, znajduje się w głębi sali, a publiczność zajmuje miejsca w dwóch drugich rzędach wzdłuż ścian.

— No i?

— Spór został już niemal rozstrzygnięty na korzyść obywatela, gdy proboszcz wystąpił z niegodnym zarzutem, niemającym nic wspólnego z przedmiotem rozprawy i dotyczącym honoru pewnej osoby, a nie kwestii, którą się zajmowaliśmy. Publiczność czekała, co z tego wyniknie, a biskup próbował naturalnie bronić interesów Kościoła, przyjmując postawę tendencyjną i stronnictwą. Wówczas, wobec jego dziwnego zachowania, nie pozostało mi nic innego, jak oznajmić, że to wszystko wydaje mi się farsą, i powiedziałam dosłownie: „Włożyłabym rękę w ogień za tego człowieka”.

— Nie powinnaś stawać po niczyjej stronie, Almodis. Ty tylko przewodniczyłaś radzie.

— Zrobiłam to, by przeciwstawić się argumentom biskupa, który wyraźnie faworyzował duchownego.

— No dobrze, powiedzmy, że wątpliwości przemawiają na twoją korzyść. Nie widzę jednak, czym cię obrażono — stwierdził Ramón pojednawczo.

— Pozwól mi skończyć. Kiedy wspomniałam o „ręce w ogniu”, zapadła cisza i wówczas zabrzmiał głośno i wyraźnie głos

* *Usatges de Barcelona* — zbiór średniowiecznych praw z XI—XII wieku, stanowiących pierwowzór katalońskiej konstytucji.

z sali: „Niech ktoś przyniesie żółtą maść!”. To miało znaczyć, że na pewno się sparzę i że skłamałam, wstawiając się za tym człowiekiem. Sesję zakończyły tłumione śmiechy. Jak widzicie, godząc się z atakami na moją osobę, muszę pozwalać, by szkodzono z najbardziej szacownych instytucji tylko dlatego, że ten, kto dopuszcza się takich niegodziwości, jest najstarszym synem mojego męża. Przeczuwam, że ucierpi na tym prestiż hrabstwa. Nie muszę ci chyba wyjaśniać, że tym, który się odezwał, był Pedro Ramón. Kto inny by się ośmielił?

Między małżonkami zapadła pełna napięcia cisza.

— Porozmawiam z nim.

— Rozmawiasz z nim, odkąd tu przybyłam, i ponieważ tylko rozmawiasz, poczyna sobie coraz odważniej — stwierdziła zniecierpliwiona Almodis.

— Czego oczekujesz? Mam go uwięzić? — spytał Ramón, podnosząc głos.

— Bynajmniej, ale nie ograniczaj się do słów. Wyobrażam sobie, że hrabia Barcelony dysponuje innymi środkami, aby zapobiec niesubordynacji w pałacu.

Hrabia westchnął ciężko.

— Miej cierpliwość, to kwestia charakteru. Już w dzieciństwie był buntownikiem.

— Ty mu na to pozwalałeś i nie zapominaj, że zbuntowane dziecko może wyrosnąć na spiskowca. Pedro Ramón jest już młodzieńcem i jeśli go nie utemperujesz, nadejdzie dzień, gdy odbierze ci tron Barcelony.

— Wezmę to pod uwagę, Almodis. Dostanie reprimendę, daj mi czas.

— Zgoda, ale wiedz, że po raz ostatni spierałam się z twoim pierworodnym w obronie twego dobrego imienia. Jeśli pozwalasz, by cię zniesławiał, proszę bardzo, ale niech uważa, żeby mnie nie obraził. Nie jest moim synem i nie zamierzam tego tolerować... I nie chciałabym, by nadszedł dzień, kiedy będziesz musiał wybierać między nim i mną — dodała hrabina tonem groźby.

— Zapamiętam to. I wierz mi, kiedy mówię, że podejmę stosowne kroki.

— Mam nadzieję, że tak będzie — ustąpiła Almodis, niezbyt przekonana.

Małżonkowie zamilkli. Hrabia uwielbiał swoją żonę. Przy niej czuł się prawdziwym mężczyzną. Jej zapał i rady okazały się ogromnie ważne dla Barcelony. Almodis z kolei, po swych nieudanych związkach, po raz pierwszy zajmowała wysoką pozycję, o jakiej zawsze marzyła.

— Powiedz mi zatem, Ramónie, co tym razem cię do mnie sprowadziło.

— Potrzebuję twojej rady i współpracy.

— Zawsze możesz na nią liczyć.

— Posłuchaj uważnie. Wiesz już, że hrabstwo, dzięki swoim kupcom, ma oczy i uszy we wszystkich królestwach Hiszpanii. Cieszą się oni szacunkiem nawet podczas wojen, gdyż handel to tętnice, którymi płynie krew organizmu społeczeństwa — inaczej natychmiast by obumarł.

— Nie rozumiem twoich słów.

— To bardzo proste. Możemy walczyć na pograniczu z Maurami, a przepływ towarów wciąż trwa.

— I co z tego?

— Dotarły do mnie wieści z Sewilli, że król al-Mutamid oczekuje ode mnie pomocy w pewnym przedsięwzięciu.

— O jaką pomoc chodzi, przeciw komu i u czyjego boku?

— Na razie nie znam szczegółów. Chcę ci tylko powiedzieć, że za nieco ponad miesiąc masz przyjąć w pałacu jego ambasadora. To Abu Bakr ibn Ammar, którego Kastylijczycy nazywają Abenamarem. Choć przybywa z najbardziej okazałego dworu w Sewilli, chciałbym, by olśnił go przepych domu hrabiów Barcelony i bogactwo miasta i aby zrozumiał, że ma do czynienia z równymi sobie.

— Zajmę się tym, Ramónie. Rody zamieszkujące w sąsiedztwie Pirenejów przewyższały hrabstwa katalońskie, jeśli chodzi o festyny, kunszt trubadurów i turnieje. Twój zawsze wytworny

ambasador wróci do Sewilli i opowie swemu królowi, jak go podejmowano w Barcelonie. Nawet w czasach największego splendoru na dworze Karola Wielkiego nie widziano podobnej uczty. Potem, gdy już go sobie zjednasz, domagaj się od niego, przez wzgląd na waszą przyjaźń i sojusz, czego tylko chcesz: z pewnością niczego ci nie odmówi.

J

71

Prawdy i kłamstwa

Od śmierci Lai, przed rokiem, Eudald Llobet nie mógł odzyskać spokoju. Krążył po kruzgankach Pia Almoina, nie znajdując odpowiedzi na wiele dręczących go pytań. Chrześcijańska zasada pogodzenia z losem i pokora, której wymagała jego wiara, doradzały mu zachować rozwagę, ale wątpliwości, jakie zrodziły się w jego sumieniu owej tragicznej nocy, przekształciły się w straszne podejrzenia, którymi nie mógł się z nikim podzielić. Oczy Montcusiego, urywane słowa Lai, historia o rzekomym szlachcicu, który pozbawił dziewczynę dziewictwa... Pytań było wiele i kanonik pragnął poznać prawdę.

Jako dobry znawca ludzkiej psychiki Eudald skorzystał z okazji, że mija właśnie rok od śmierci dziewczyny, by stawić czoło temu problemowi i odwiedzić okazałą rezydencję Montcusiego. Był pewien, że doradca również przeżywa tę rocznicę, i pomyślał, że być może zechce wyznać mu prawdę.

Zacny ksiądz mógł swobodnie opuszczać miejsce zamieszkania, gdyż było powszechnie wiadomo, że znaczną część czasu pochłaniają mu obowiązki wobec hrabiny. Postanowił iść pieszo, aby mieć czas na zebranie myśli. Trudność polegała na tym, że był osobą znaną w mieście i często podchodziły do niego kobiety, by całować go w rękę.

Przeszedł przed szpitalem En Guitart i dotarł szybko do Castellvell. Przybywszy do rezydencji Montcusiego, musiał ustąpić miejsca powozowi, który — zaprzężony w cztery muły, z opuszczonymi zasłonkami i pod strażą sześciu ludzi — wyjeżdżał właśnie, w wyraźnym pośpiechu, z dziedzińca. Pędził tak szybko, że mimo krzyków woźnicy i ściągnięcia cugli panewka prawego koła uderzyła w kamienną podstawę łuku bramy. Gdy powóz przejechał, Eudald wszedł na dziedziniec.

Odźwierny wyszedł mu na spotkanie, nie dając czasu wartownikowi, by obwieścił jego przybycie. Ksiądz był w tym domu dobrze znany.

— Witajcie, archidiakonie. Jesteście umówieni z moim panem?

— Prawdę mówiąc, nie. Przyszedłem, ryzykując, że go nie zastanę albo nie będę miał możliwości się z nim zobaczyć.

— Jest w domu, ale wybaczcie, że pošlę umyślnego, aby was zapowiedział. Nie mogę decydować, czy don Bernat znajdzie dla was teraz czas.

— Doskonale to rozumiem. To ja popełniłem nietakt, nie umawiając się wcześniej na spotkanie.

— Dobrze wiecie, że mój pan was przyjmie, jeśli tylko będzie mógł. Zawsze jesteście mile widziani w tym domu.

Na rozkaz odźwiernego jeden ze służących wszedł do rezydencji i po chwili wrócił w towarzystwie majordoma.

Ten pozdrowił z szacunkiem księdza i pochylił się, by ucałować go w rękę.

— Don Eudaldzie, zobaczyłem was z okna na piętrze i na tychmiast zszedłem na dół. Nie powinniście czekać na dziedzińcu. Umyślny już mi powiedział, że chcecie się widzieć z don Bernatem. Jest w swoim gabinecie. Dziś rano źle się czuł. Teraz kończy załatwiać sprawy ze swym sekretarzem, Conradem Brufauem. Zaraz was zaanonsuję. Nie sądzę, by był jakiś problem.

— Jesteście bardzo uprzejmi.

— Zechciejcie pójść za mną.

Weszli obaj do środka i majordom, wskazawszy ojcu Llobetowi, by zaczekał w przedsiionku biura doradcy, udał się do gabinetu swego pana.

Obserwując z okna salonu zadbane ogród, Eudald Llobet pomyślał, że wolałby brać udział w bitwie, jak za swoich żołnierskich czasów, niż prowadzić tę niezręczną rozmowę z potężnym *prohomem* z Barcelony.

Znów rozległy się pospieszne kroki służącego, który oznajmił, że zarządca go przyjmie.

— Don Bernat was oczekuje. Zaledwie oznajmiłem waszą wizytę, natychmiast wyraził zgodę. Odprawił sekretarza, a mogę was zapewnić, że nie ma zwyczaju przyjmować nikogo, kto nie był wcześniej umówiony.

Przeszli przez korytarz i po protokolarnej zapowiedzi Eudald znalazł się przed obliczem człowieka, który od fatalnej nocy śmierci Lai był obiektem jego najgorszych podejrzeń. Siedząc naprzeciwko siebie, obaj wiedzieli, że będzie to prawdziwy pojedynek dwóch wpływowych ludzi. Ksiądz pamiętał jedynie Oтым, by starać się nie zaszkodzić Martiemu.

— Witajcie w moim domu, archidiakonie — powiedział Montcusi, który w istocie wyglądał na chorego.

— Wybaczcie mój brak taktu. Jestem wdzięczny, że mnie przyjęliście, ale jeśli sprawiam wam kłopot, mogę wrócić w bardziej stosownej chwili. Wiem, że musicie przeżywać trudne dni...

Bernat przytaknął.

— Rzeczywiście, ale wiedzcie, że zawsze byliście i będziecie tu mile widziani. Napijcie się czegoś?

— Dziękuję, wolę zachować jasność umysłu.

— Zatem, jeśli pozwolicie, ja każę sobie coś podać.

Montcusi uniósł swe masywne ciało, i skierował się do drzwi i wezwał służącego, który przyniósł dzban. Doradca wziął kielich i nalawszy sobie hojną porcję bursztynowego płynu, wrócił na swoje miejsce.

— A więc, Eudaldzie, słucham was.

— Chcę przede wszystkim wyjaśnić, że skoro nie odwołaliście mnie z tej funkcji, uważam się nadal za waszego spowiednika i dlatego tu przybyłem.

Doradca poruszył się niespokojnie.

— Oczywiście, chociaż nazwałbym was raczej moim duchowym doradcą, gdyż ostatnio nie przychodziłem do waszego konfesjonału.

— Nie przystępowaliście też do stołu Pańskiego. Przynajmniej w katedrze. I nie braliście nawet udziału w mszy na Boże Narodzenie, która odprawiana jest co roku w obecności całego dworu. Ani w pasterce.

Bernat Montcusi zbladł.

— Mam wrażliwe sumienie i nie zaprzeczę, że przeżywam trudny okres.

— Więc lepiej zrzucić ciężar win, udając się do wysłannika Chrystusa, do mnie lub kogo innego, i w ten sposób pozbyć się cierpień, które muszą dręczyć co noc waszą duszę. Powiedziałem wam już, gdy wydarzyło się to nieszczęście, że śmierć nie ostrzega i może was zaskoczyć w każdej chwili.

Montcusi przewidywał zagrożenie, ale w swej przebiegłości próbował jeszcze wyjść z twarzą z całej sytuacji. Spuścił wzrok i wyszeptał z pokorą:

— Chcę pomówić z wami, ojcze. Teraz mam po temu warunki. Wcześniej nie mogłem.

— Cieszę się, Bernacie. W pewnym sensie po to tu przyszedłem. Jeśli wyznając swoje winy, ulżycie waszej duszy, moja wizyta nie będzie bezcelowa.

Doradca wstał zza stołu, podszedł do drzwi, po czym je zarygłował. Potem wrócił na swoje miejsce. Jego przewrotny umysł pracował jak skrzydła wiatraka na wietrze.

— Słucham was, synu. Oczyszćcie swoje sumienie.

— Ojcze, moje grzechy są tak straszne, że nie uzyskam przebaczenia.

— Miłosierdzie Pana jest nieskończone. Wszyscy chrześcijanie mogą zmyć swe winy we krwi Baranka. Mówcie.

— Cierpię od dawna. Moja dusza jest zatwardziała i tylko ze względu na śmierć Lai mogę się przed wami otworzyć.

Llobet nakazał mu gestem, by kontynuował.

— Pamiętacie, jak was odwiedziłem i prosiłem, byście pomogli mi w trudnej sytuacji, którą spowodowała lekkomyślność mojej podopiecznej?

— Pamiętam doskonale.

— Okłamałem was — stwierdził Bernat, odwracając wzrok.

— Nie uważam się za szczególnie bystrego, ale było oczywiście te, że wiele elementów łamigłówki do siebie nie pasowało.

Doradca pocił się obficie.

— Proszę, byście od tej chwili traktowali to, co powiem, jak spowiedź.

Llobet wyciągnął z tuniki stułę i ucałowałszy krzyż na jej końcu, zawiesił ją sobie na szyi.

— Jestem gotowy.

— Otóż, ojcze, to byłem ja.

Nastąpiła pełna napięcia cisza.

— Co zrobiliście, Bernacie?

— To ja dopuściłem się gwałtu. Kiedy Laia stała się kobietą, ojcowska miłość, którą zawsze do niej czułem, zmieniła się w pożądanie.

— Chcecie powiedzieć, że zgwałciliście waszą pasierbicę? — spytał ksiądz, z trudem kryjąc odrazę.

— To nie takie proste, ojcze.

— Mówcie dalej.

— Zapalałem do niej nieposkromioną namiętnością. Przeniosłem na Laię uczucia, które żywiłem do jej matki, i mimo różnicy wieku zaproponowałem jej małżeństwo. Walczyłem z tą słabością i nie mogąc udać się do was, spowiadałem się wiele razy w kościele Santa Maria del Pi, nie otrzymywałem jednak rozgrzeszenia.

— Z jakiego powodu?

— Wiedziałem, że dziewczyna jest zakochana w waszym podopiecznym i paliła mnie zazdrość. Zmusiłem ją, by napisała

list i pozbawiła złudzeń swego amanta, którego, mimo wszystko, darzę szczerą sympatią, i wyznaję, że ją zniewoliłem. Ojciec Llobet wbił sobie do krwi paznokcie w dłoni.

— To wielki grzech, zwłaszcza wzięwszy pod uwagę wasze powinności ojczyma.

— Wiem i bardzo tego żałuję, ale sądzę, że zrobiłem, co należało, aby naprawić szkodę.

— Tak?

— Kiedy zaszła w ciążę, nie dopuściłem do spędzenia płodu, którego chciała dokonać. Zobowiązałem się zaopiekować dzieckiem, które zmarło wkrótce po urodzeniu, a ponieważ Laia nie zgodziła się za mnie wyjść, zrobiłem to, co nakazuje prawo: znalazłem — czego jesteście świadkiem — człowieka, który miał ją poślubić.

Llobet zaczął, aż jego puls powróci do normalnego rytmu.

— Teraz łamigłówka zaczyna się wreszcie układać. Mówcie dalej.

— Jak wiecie, wszystko było załatwione, ale dziewczynie pomieszało się w głowie, podobnie jak jej matce w ostatnich dniach życia. Takie przypadłości są dziedziczne... Nie wiem, co jej się ubzdurało. Finał już znacie.

— Opowiedzcie mi o niewolnicy.

— To też przyczyniło się do szaleństwa Lai. Obwinałem Aixę o zatrucie umysłu mojej podopiecznej, ale nie przeze mnie zaraziła się dżumą. Byłem zmuszony je rozdzielić. Potem Aixa zmarła i moją małą bardzo to zasmuciło.

Znów przez chwilę milczeli.

— Powiedzcie mi, jakie jeszcze winy was dręczą.

— Właściwie to wszystko. Niemal każdą chwilę poświęcam służbie hrabiemu.

— Uklękajcie, udzielę wam rozgrzeszenia.

— I odzyskam tym samym życie.

Montcusi uklęknął u stóp księdza, a ten wygłosił słowa:

— *Ego te absofoo peccatis tuis...*

Potem wstali, uważając rozmowę za skończoną.

Gdy byli już przy drzwiach, doradca odezwał się ponownie i w jego głosie brzmiała nuta triumfu:

— Pamiętajcie, że to była spowiedź. Nikt, pod żadnym pozorem, nie może się dowiedzieć, o czym rozmawialiśmy.

— Zajmijcie się spełnianiem waszych obowiązków chrześcijanina, a ja będę już wiedział, jak mam postępować jako sługa Pana.

— Idźcie z Bogiem, ojcze Llobet.

— Niech i was ma w opiece, Bernacie.

Archidiakon odchodził zażenowany, z poczuciem, że przebiegły doradca wykorzystał go, ten zaś uspokoił swoje sumienie i nabrał pewności, iż jego nikczemność nie wyjdzie na jaw.



Jestem już kobietą

Ruth, która ukończyła już szesnaście lat, poprosiła ojca o zgodę, by mogła pomówić z nim w jego gabinecie. Starca zdziwiła ta prośba, gdyż widywał obie córki, które nadal mieszkały w ich domu, Batszewę i Ruth, codziennie i o każdej porze, a małżonkowie niczego przed sobą nie ukrywali. Rok wcześniej ich najstarsza córka, Estera, wyszła za Benjamina Haima, syna zaprzyjaźnionego rabina, i wyjechała do Besalu, skąd pochodziła rodzina jej męża. Znając upór Ruth i wiedząc, że nie zrezygnuje ze swego zamiaru, umówił się z nią na następny szabas. Jego żona miała iść do synagogi z drugą córką, a Ruth znajdzie na pewno jakąś wymówkę, by nie pójść na ceremonię poświęcenia nowej Tory.

Benvenist, otoczony jak zwykle księgami i starymi dokumentami, przeglądał przy stole manuskrypt, który przysłał mu stary przyjaciel z Toledo i który chciał pokazać Eudaldowi Llobetowi, gdyż uważał archidiakona za jedyny wybitny autorytet w tych sprawach, ze względu na jego stanowisko w katedrze, bystry umysł i szerokie horyzonty, nieograniczone religijną dyskryminacją. Zajmował się on równie chętnie przekładami arabskich wierszy Hasana bin Zabita, komedii Greka Arystofanesa, pomimo ich wulgarnej tematyki, czy pism świętego Augustyna. Benvenist

był pochłonięty lekturą, gdy ciche stukanie do drzwi przypomniało mu, że umówił się na spotkanie z najmłodszą córką.

Dźwięczny głos dziewczyny natychmiast przywołał go do rzeczywistości.

— Mogę wejść, ojcze?

— Oczywiście, Ruth.

Dziewczyna otworzyła drzwi i weszła do przestronnego gabinetu. Barucha nieodmiennie zdumiewał wygląd tej istoty: jej gibka talia, idealny owal twarzy, migdałowe oczy i determinacja, nieczęsto spotykana u kobiet w jej otoczeniu. Tym bardziej że odziedziczyła to wszystko po nim i jego żonie, która nie była ani obecnie, ani w młodości, zbyt urodziwa.

— Mogę usiąść, ojcze?

Coś w tonie dziewczyny zaniepokoiło go. Przytaknął, zwijając pergamin.

— Oczywiście, Ruth. Nie będziesz przecież relacjonowała mi na stojąco tej poważnej sprawy, z powodu której prosiłaś mnie o rozmowę.

Baruch sądził, że córka zrozumie żart i stosownie zareaguje. Tymczasem dziewczyna zaskoczyła go swoją odpowiedzią:

— Dobrze, że się domyślacie, iż to, co chcę wam powiedzieć, jest bardzo ważne.

Powaga na twarzy Ruth pogłębiła obawy starca.

— Niepokoisz mnie... Co się dzieje, moja córko?

— Widzicie, ojcze, nie wiem, jak zacząć...

— Proszę, mów bez wahania. Jesteśmy sami i mamy dużo czasu.

Ruth odetchnęła głęboko i patrząc w niespokojne oczy ojca, zaczęła swoją przemowę:

— Dobrze. Zawsze traktowaliście mnie jak małą dziewczynkę. Może dlatego, że jestem najmłodsza z sióstr, a może z innego dziwnego powodu, ale zawsze sprawialiście, że czułam się dzieckiem.

— Pewnie masz rację — przyznał Baruch z uśmiechem. — Pewnie za długo nie dopuszczałem do świadomości, że dorastasz,

ale już od dawna traktuję cię równie poważnie jak twoje siostry. Być może przyczynił się do takiego postępowania nadmiar ojcowskiej miłości i pragnienie, byś była zawsze moim małym kwiatuszkiem, ale wiedz, że jeśli dostrzegasz w tym problem, natychmiast mu zaradzimy.

— Nie o to chodzi. — Ruth oparła obie dłonie na poręczach fotela, jakby potrzebowała bodźca, by kontynuować. — Szkopuł w tym, że nigdy nie traktowaliście mnie jak kobietę. A teraz... mam problemy kobiety, a nie dziewczynki, którą pociesza się słodyczami z imbiru i każe słuchać poleceń dotyczących jej przyszłości.

— Ruth, już ci powiedziałem, że jestem gotów się poprawić i mój ojcowski autorytet na tym nie ucierpi. Powiedz, proszę, jaki masz problem, i jeśli tylko będzie to ode mnie zależało, możesz uznać go za rozwiązany.

Ruth odwróciła wzrok. Trwało to tylko chwilę. Potem znów spojrzała głęboko w oczy ojcu.

— Ojcze, matka rozmawiała ze mną o ewentualnych kandydatach na męża. — Wciągnęła powietrze, zanim dodała: — Chcę wam oznajmić, że nie zamierzam wyjść za żadnego z nich.

Barach oniemiał.

W pełnej napięcia ciszy, która zapadła na krótką chwilę, słychać było nawet skrzypienie podłogi. Potem starzec się odezwał:

— Czy ty wiesz, co mówisz?

— Nigdy nie byłam tak pewna swoich słów jak w tym momencie.

— Można wiedzieć, skąd te fanaberie? Może w tej chwili żaden ci się nie podoba, ale z pewnością nadejdzie dzień, gdy...

— To nieodwołalna decyzja, ojcze. Nie wyjdę za żadnego z tych mężczyzn.

— Oszalałaś! Przychodzisz do mnie ze skargą, że traktuję cię jak dziecko, a potem zaczynasz pleść bzdury... I to bez jakiegokolwiek wyjaśnienia.

Na ustach Ruth pojawił się uśmiech niepozdebawiony dumy.

— Ojczy, jako kobieta, którą jestem, proszę, byście uszanowali moją decyzję, nie zadając pytań. W stosownym czasie poznacie prawdę.

— Co ty wygadujesz?

Policzki Ruth zaróżowiły się, a jej spojrzenie powędrowało w głąb komnaty.

— Nie mogę poślubić żadnego z nich, ojczy, bo moje serce już do kogoś należy.

Benvenist wstał z fotela i zaczął przechadzać się po gabinecie z założonymi do tyłu rękami.

— A można wiedzieć, kto to taki?

— Na razie nie, ojczy. Ale chcę być z wami szczerą i prze strzec was, że człowiek, którego kocham, nie jest Żydem.

Baruch spojrzał na córkę z niepokojem.

— Wiesz, że to niemożliwy związek?

— Nic nie jest niemożliwe. — Ruth wstała i spojrzała ojcu prosto w oczy. — Jeśli będzie trzeba, wyrzeknę się swojej wiary.

Baruch, zdumiony i rozgniewany, podszedł do swej najmłodszej córki, a na jego obliczu malowała się dezaprobata. Ruth ciągnęła, nie odwracając wzroku.

— Myślę, że uczciwiej jest zmienić wiarę z miłości niż dla pieniędzy, jak zrobiło to tylu waszych współwyznawców z chci wości albo po to, by błyszczeć na dworze Ramóna Berenguera i hrabiny Almodis, którzy z pewnością również nie traktowali zbyt poważnie swej religii i żyli przez wiele lat, ku zgorszeniu poddanych, w bezecnym konkubinacie.

Baruch podszedł do okna i przerażony zamknął okiennice.

— Proszę cię, Ruth! Uważaj, co mówisz. My, Żydzi, mamy już dość problemów. Nie wyrażaj przy otwartym oknie opinii, które mogą dotrzeć do niepowołanych uszu. Nalegasz, by trak tować cię jak kobietę, a zachowujesz się lekkomyślnie jak dziewczynka... — Wyczuwając, że naganą wiele nie zdziała, podszedł do niej i oznajmił poważnie: — Muszę ci powiedzieć, że ani matka, ani ja nie zgodzimy się nigdy na taki związek.

— Mam szesnaście lat, ojczy. Nie przyszłam prosić o waszą

T

zgode, tylko powiadomić was o mojej decyzji. Zamierzam być szczęśliwa na tym świecie, a nie czekać, aż trafię do innego, którego nigdy nie widziałam.

— Ruth, nie chciałem tego robić, ale nie pozostawiasz mi wyboru. Zabraniam ci wdawania się w ten romans...

— Niczego nie możecie mi zabronić, ojczy — przerwała mu Ruth. — I powiem wam coś jeszcze: on na razie nie wie, że go kocham, ale jeśli pewnego dnia będzie mój, zdobędę tu, na ziemi, to niebo, które obiecują chrześcijanie, żydzi i muzułmanie. I zapewniam was, że nie będę czekała z założonymi rękami: zrobię wszystko, co mogę, aby osiągnąć swój cel.

— Chcesz, żebym umarł ze zgryzoty?

— Wiedźcie, że wasza zgryzota może okazać się moim błogosławieństwem. Jeśli mówicie, że mnie kochacie, musicie wybierać.

Po tych słowach dziewczyna wstała i dygnawszy, wyszła z gabinetu, pozostawiając Benvenista oniemiałego z wrażenia.

Wspomnienia

Marti rzucił się w wir pracy i Eudald Llobet cieszył się z tego, wiedząc, iż to łagodzi jego cierpienia. Rozmyślał długo nad spowiedzią Montcusiego i zdawał sobie sprawę, że jako ksiądz musi zachować w tajemnicy jej treść. Jednakże, świadomy ogromnego smutku, jaki dźwiga Marti, postanowił zmyślić historię złożoną z prawd i paru niewinnych kłamstewek, która, jak sądził, uwolni udręczoną duszę młodzieńca od wielu wątpliwości.

Ich rozmowa odbyła się na plaży, gdzie Marti udawał się co wieczór, aby dopilnować załadunku i wyładunku towaru, gdy kotwiczył tam jeden z jego statków, których było już dziewięć. Ojciec Llobet podszedł do Martiego. Przywykł już do smutku, który gościł w jego oczach. Na twarzy podopiecznego i przyjaciela księdza wciąż widać było ból, który nie opuszczał go od śmierci Lai.

— Jak się masz, Marti? — spytał zacny kanonik, wkładając ręce pod tunikę, aby ochronić je od zimowego wiatru.

— Dzięki Bogu, jestem ciągle pochłonięty pracą, co pozwala mi nie myśleć.

— Zatem interesy dobrze idą?

— Równie dobrze, jak źle poszła cała reszta mojego życia.

Ksiądz rozważał jego słowa.

— Życie to długa droga, pełna zarówno cierni, jak i kwiatów. Wszystkim nam przytrafia się dobro i zło. Nie powinniśmy rezygnować, kiedy się potykamy. Upadki nie mogą nas zniechęcać. Ważne, żeby umieć się podnieść i ruszyć dalej. W końcu Pan zawsze strzeże stworzonych przez siebie istot.

— Ale najwyraźniej chwilami o nich zapomina. Prawdę mówiąc, moja wiara się chwieje.

— Nie obrażaj Boga. My, ludzie, widzimy tylko krótki odcinek naszej drogi. On, ze szczytu swej potęgi, dostrzega wszystko. Choć przyznaję, że spotkało cię straszne nieszczęście, bądź pewny, iż kiedyś podejdziesz do tego z dystansem i w ostatecznym rozrachunku twoje życie, jeśli zachowasz wiarę, okaże się piękne.

Marti milczał przez chwilę.

— Eudaldzie, mam w głębi duszy ranę, która się nie goi.

— Potrzeba czasu...

— Laia powiedziała mi najpiękniejsze słowa, jakie może usłyszeć ludzkie ucho, ale dręczy mnie pytanie, co jej się przydarzyło, że powzięła tak straszną decyzję.

— To, co ją spotkało, było tak potworne, że okaleczyło jej psychikę. Nikt na świecie nie może osądzać samobójcy, ponieważ nie potrafi zgłębić jego duszy, ale powiem ci coś, co przyniesie ci ulgę.

— Co takiego?

Ksiądz wahał się przez chwilę, gdyż po raz pierwszy miał zamiar ujawnić fakt zasłyszany podczas spowiedzi.

Marti przystanął i wziął Eudalda pod ramię, zmuszając go, by też się zatrzymał.

— Mówcie, na Boga!

— Laia kochała cię od chwili, gdyście się poznali.

— Jak więc wyjaśnić jej postępowanie i treść listu, który mi przysłała?

— W istocie chciała ci przekazać, że cię kocha, lecz nie może się z tobą związać.

— Ale... jeśli tak było, co mogło ją zmusić do napisania tego listu?

- Okoliczności, Marti, i prawa, które rządzą naszym światem.
 - Jeśli nie będziecie mówić jaśniej...
- Llobet postanowił nie mówić mu całej prawdy.
- Laia została zniewolona przez kogoś tak potężnego, że nikt przy zdrowych zmysłach nie ośmieliłby się mu przeciwstawić.
 - Prawo jest takie samo dla wszystkich.
 - Dobrze wiesz, że nie. Bernat to wiedział i miał świadomość, z jak trudną sytuacją ma do czynienia. Początkowo zamierzał umieścić dziewczynę w klasztorze, ale potem, widząc, w jak złym jest stanie, postanowił wydać ją za ciebie, wierząc, że dzięki temu wydobrzeje, a może nawet zapomni o swojej hańbie. Ale jej krucha psychika nie wytrzymała. Uznała, że jest ciebie niegodna. Wpłynęła na to istotnie jeszcze jedna sprawa, o której dotąd ci nie wspominałem, bo o niej nie wiedziałem.
 - Mówcie, Eudaldzie. Gorzej już być nie może.
 - Laia wydała na świat syna, który umarł wkrótce po urodzeniu.

Marti i Almodis

Interesy Martiego szły znakomicie. Uznał, że to rekompensata od losu za wielką stratę, jaką poniósł. Dom w pobliżu San Miquel został rozbudowany i znów los mu sprzyja. Pewien kupiec potrzebujący pieniędzy chciał zastawić swoją rezydencję, aby uzyskać pożyczkę. Znajac słabość ludzkiej natury, Marti był pewien, że w przewidywanym terminie dług nie zostanie spłacony i dom przejdzie na jego własność. Tak też się stało. Potem, dzięki odpowiednim zabiegom i talentowi do interesów, kupił ogród z basztą, położony przy starych murach dwie działki dalej. Wkrótce właściciel domu znajdującego się między jego posiadłościami zrozumiał, że lepiej się przeprowadzić niż mieć z obu stron sąsiada, który uniemożliwia mu odpoczynek, gdyż zaczyna pracę o świcie, a kończy późną nocą. Nie mogąc spać, postanowił sprzedać swą nieruchomość i nie stracił na tym, gdyż uciążliwy sąsiad nie okazał się sknerą.

Żegluga morska i handel pochłaniały Martiego bez reszty. Miał coraz więcej statków: trzon jego floty stanowiły teraz trzy galery z łańskim ożaglowaniem i dwoma rzędami wioseł, dwa statki towarowe i trzy szkuty zdatne do żeglugi przybrzeżnej. Natomiast trzon ekipy kapitanów tworzyli Jofre, Felet (J^{co} drugi przyjaciel z dzieciństwa, którego Marti zlokalizował w Sant Feliu,

gdzie przybijał statek zawożący korek na Sycylię i Sycylię i przywożący stamtąd przyprawę) oraz Grek Manipoulos, który wniósł do spółki swoją „Stellę Maris”. Wiele rzadkich towarów, które ładowali w odległych portach, sprzedawano potem na jarmarkach w miasteczkach, dokąd, o określonych porach, Marti przewoził je wozami zaprzężonymi w osiem koni. Godło ze splecionymi literami M i B, umieszczane na masztach statków, cieszyło się takim prestiżem, że w portach tłoczyli się ludzie, którzy chcieli pływać pod jego banderą. Marti wprowadził nowe zwyczaje, ułatwiające życie na pokładzie. Na każdym statku zatrudniał lekarza, który dbał o zdrowie załogi, a nawet galer-ników.

Gdy tylko miał wolny czas, starał się odwiedzać matkę. Kładł się późno i wstawał o świcie, gdyż bardzo dokuczała mu samotność i nocne koszmary, w których zawsze nawiedzał go duch Lai.

Drugą sprawą, którą zajmował się w tym czasie, był czarny olej. Manipoulos odbierał go w dalekich portach, dokąd był dostarczany przez Rashida al-Malika, z pomocą Marwana, dawnego poganiacza wielbłądów, który stał się mężem zaufania Martiego. W ładowniach statków układano na warstwie piasku amfory ze spiczastym dnem, wciskając między nie zielsko i ga-łęzie, aby nie stłukły się w razie sztormu, i transportowano je do miejsca, gdzie czekały łodzie, które przewoziły czarny olej do Barcelony. W ten sposób tracono mniej czasu, gdyż na przyplływający statek zawsze czekała łódź gotowa do przeładunku. Podczas tych długich miesięcy Marti włożył wiele wysiłku w udoskonalenie zastosowań niezwykłego produktu i teraz był gotowy zaprezentować jego cudowne właściwości mieszkańcom Barcelony.

Z doradcą utrzymywał tylko niezbędne kontakty. Bernat Mont-cusi urządził w rozległych piwnicach swej rezydencji ogromny podziemny magazyn, w którym umieścił cenne beczki. Jedyne system wentylacyjny stanowiły rury wyprowadzające opary na powierzchnię między murami a ogrodami.

Marti wykonał już model klatki i palnika w kuźni znakomitego kowala, poleconego przez Barucha Benvenista, aby sprawdzić działanie swego wynalazku, i czekał, aż Montcusi zorganizuje spotkanie z *veguerem*.

Szybko nadarzyła się okazja. Hrabina wezwała do pałacu doradcę do spraw aprowizacji i festynów i gdy przekazała mu swe życzenia na temat przyjęcia na cześć Abenamara, ambasadora króla al-Mutamida z Sewilli, Montcusi wyczuł, że to idealny moment. Zawiadomił Martiego, że obaj zostaną przyjęci przez hrabinę, która pragnie sama nadzorować przygotowania do uroczystości i nie chce, by umknął jej najdrobniejszy szczegół.

Marti czerpał siły ze swego przygnębienia. Minęło pięć lat, odkąd przybył do wielkiego miasta jako jeden z tysięcy tych, którzy chcieli zacząć tam nowe życie, i wkrótce miał być przyjęty przez hrabinę Almodis. To, co kiedyś byłoby wielką nowiną, bladło teraz w obliczu smutku, który go przepelniał i którego nie potrafił pokonać. Czekał z *veguerem* i doradcą w przedsiönku prywatnego gabinetu hrabiny, podczas gdy Omar i Andreu Codina, majordom, pozostali na dziedzińcu z dużym i najwyraźniej ciężkim przedmiotem z żelaza.

Nagle otworzyły się drzwi prywatnych komnat hrabiny i odzwierny, zastukawszy trzy razy laską w podłogę, zapowiedział gości.

— Olderich de Pellicer, *veguer* Barcelony, Bernat Montcusi, doradca pałacowy i nadzorca do spraw aprowizacji, oraz kupiec Marti Barbany proszą o posłuchanie!

Almodis pozdrowiła ich lekkim skinieniem głowy i po chwili Marti Barbany niemal bezwiednie uklęknął na prawe kolano przed wszechmocną hrabiną. Olderich i Montcusi, bardziej obeznani z pałacową etykietą, stali z czapkami w rękach, czekając cierpliwie, aż hrabina się odezwie.

Gdy wymienili konwencjonalne pozdrowienia, dostojna dama przemówiła jak królowa:

— A zatem, drodzy przyjaciele, cóż to za wynalazek, który ma uczynić z Barcelony najjaśniejsze oświetlone miasto nad Morzem Śródziemnym?

Głos zabrał Olderich de Pellicer:

— Otóż, pani, wspomnieliście nam niedawno, że życzyście sobie powitać waszego znakomitego gościa eksplozją świateł i barw, by po powrocie do Sewilli poinformował swego monarchę o godnym podziwu bogactwie i przepychu hrabstwa Barcelony.

— Tak powiedziałam i tego pragnę.

— Pozwólcie zatem, że oddam głos waszemu czcigodnemu doradcy do spraw aprowizacji, bo to on podsunął mi pomysł, o którym mowa.

Almodis skierowała wzrok na Montcusiego, unosząc pytającą brwi.

— Pani, ja jestem tylko pośrednikiem. Wymyślił to mój młody podopieczny, Marti Barbany, który nie ma jeszcze obywatelstwa Barcelony, ale którego, mimo wszystko, ośmielam się wam przedstawić.

Zauważywszy uważne spojrzenie zielonych oczu Almodis, Marti poczuł siłę, która emanowała z tej damy.

— Mówcie.

— A więc, pani, jestem synem Guillema Barbany de Gorb, który służył wiernie aż do śmierci w oddziałach księcia, a wcześniej pod rozkazami jego ojca. Przybyłem do Barcelony pięć lat temu i...

— Młodzieńcze, nie interesują mnie wasze przeżycia i nie mam czasu o nich słuchać. Mówcie o tym, co dotyczy przyjęcia ambasadora, którego organizację zleciłam *veguerowi* i doradcy, skoro oddali wam głos.

Montcusi, broniąc swych interesów i widząc, że sytuacja się komplikuje, wtrącił:

— Pani, on chciał jedynie się przedstawić, ale rozumiem, że nie ma teraz czasu na rozwlekłe dywagacje. Gdy znajdziecie wolną chwilę i zechcecie poznać zalety pana Barbany, wiedzcie, że przedstawił mi go Eudald Llobet, którego dobrze znacie.

Usłyszawszy nazwisko swego spowiednika, Almodis spytała nieco łagodniej:

— Znacie don Eudalda?

— Był towarzyszem mego ojca, zanim został księdzem i wykonawcą jego testamentu.

— Opowiecie mi przy innej okazji o waszych powiązaniach — powiedziała Almodis. — Proszę, byście dziś ograniczyli się do tematu, którym się zajmujemy.

Marti zrozumiał słowa hrabiny i zastosował się do jej życzenia.

— Otóż podczas jednej z moich podróży miałem okazję nawiązać kontakty handlowe poza portami Lewantu i zetknąłem się z produktem, który, właściwie zastosowany, może być nie zwykle cenny, a jeśli zezwolicie, Barcelona będzie pierwszym miastem nad Morzem Śródziemnym, które skorzysta z jego zalet.

— A jakie to zalety?

— Gdy nasączy się nim wełniany knot, pali się on dużo dłużej i daje o wiele jaśniejsze światło niż zwykła świeca czy pochodnia, a przy tym jest znacznie tańszy.

— Jeśli zainstaluje się latarnie na rogach ulic i na przedmieściach, znalazłszy na to środki, strażę będą pełniły swe obowiązki w lepszych warunkach, zatrudniając mniej ludzi, których tak brakuje do innych zadań — wtrącił się Montcusi, broniąc swoich interesów.

— Wszystko to byłoby z korzyścią dla budżetu miasta — dodał Olderich.

— Kiedy będę mogła zobaczyć to чудо?

— Natychmiast, pani, jeśli sobie życzy — odparł Marti.

— Zajmijmy się tym.

— Zademonstruję wam działanie tego urządzenia. Lepiej to pokazać, niż tylko opisywać — stwierdził Montcusi.

— Dobrze. Gdzie odbędzie się pokaz?

— Jeśli nie macie nic przeciwko temu, na dziedzińcu stajni.

— Niech tak będzie.

— Zatem, za pozwoleniem, pójdę wszystko przygotować. Przy

bramie stoi dwóch moich ludzi ze sprzętem. Kiedy zejdziecie, wszystko będzie przyszykowane i nie stracie ani chwili.

— Zgoda, Marti. Będzie wam towarzyszył jeden z major-domów.

Marti Barbany, zgodnie z zasadami protokołu, wyszedł tyłem z sali, by przygotować pokaz.

75

Edelmunda

Nienawiść, która przepelniała serce Edelmundy, utrzymywała ją przy życiu. Wspominała nieustannie ów dzień sprzed roku, gdy zaczął się jej upadek w otchłań.

Wieziono ją wtedy okratowanym wozem. Wyglądała niechlujnie, miała potargane włosy i przerażenie w oczach, zmieszane z głębokim żalem. Dręczyły ją dwie rzeczy: strach przed nieznanym, gdyż nie wiedziała, dokąd ją wiozą i jak długo będzie poza Barceloną, oraz poczucie krzywdy, jaka ją spotkała, ponieważ zawiniła tylko tym, że wypełniała skrupulatnie i w najlepszej wierze rozkazy swego pana. Wydawało jej się rażąca niesprawiedliwością, że musi płacić za jego brak powściągliwości i porywczy charakter. Żadna godna szacunku i wykształcona kobieta nie powinna być skazywana na banicję. Światło dochodzące przez szczeliny w zabitych listwami oknach pojazdu pozwalało jej się domyślać, że zbliża się już wieczór i że siedzi tak zamknięta od południa. Sytuację pogarszał fakt, że musiała pilnie iść za potrzebą. Nie zanosilo się na to, że wóz stanie, powzięła więc decyzję. Podciągnawszy spódnice i halkę, opróżniła pęcherz przez drewnianą podłogę. Usłyszała na zewnątrz drwiny i śmiechy eskorty, komentującej jej postępki żartami i wulgarnymi docinkami. Nie zwracała na to uwagi. Pewnego dnia żarty zamienia

się we włócznie i ona, która zawsze miała dobrą pamięć i zapisywała w niej każdą doznaną zniewagę, pomści wszystkie szyderstwa.

Czując kołysanie kibitki, wywnioskowała, że zjechali na boczną drogę. Osie i resory głośno skrzypiały i jazda przypominała raczej rejs galery na wzburzonym morzu. Woźnica częściej pogwizdywał i strzelał z bata, zmuszając muły do większego wysiłku, gdyż kręta droga coraz stromiej pięła się pod górę. Edelmunda skuliła się z tyłu wozu, rozpamiętując swoją niedolę.

Od śmierci Lai tyle się wydarzyło, że mieszały jej się wspomnienia. Po tragicznym zajściu przez wiele godzin nikt nie ośmielał się przeszkadzać jej panu. Bernat Montcusi zaszył się w swoich komnatach i drzwi pozostawały zamknięte na glucho dzień i noc. Nawet Conrad Brufau nie ważył się tam wejść, a majordom nie proponował mu jedzenia. Życie w całym domu zamarło. Ludzie chodzili zdezorientowani. Każdy zajmował się swoimi sprawami, by nie rzucić się w oczy, gdyż burza, która wisiała w powietrzu, zmiotłaby wszystko, co spotkałaby na swej drodze. Po dwóch dniach hrabia Barcelony zjawił się w końcu w towarzystwie Almodis i całej świty, by złożyć doradcy najszersze kondolencje. Montcusi, wyszedłszy z komnat, stanął przed swym panem w czarnej todze, z wychudzoną twarzą i popiołem na czole, aby w ten sposób dobitniej okazać swój ból, i upadłszy mu do nóg, podziękował skruszony hrabiowskiej parze za łaskę, którą wyświadczyli pokornemu słudze, przybывая do jego domu, by towarzyszyć mu w cierpieniu i ofiarować pomoc w tak trudnej chwili. Jako że ciało samobójczyni grzebano zwykle w niepoświęconej ziemi, a czasem pozbawiano głowy, po długich debatach, pod wpływem nalegań hrabiny i zapewnień jej spowiednika, Eudalda Llobeta, że dziewczyna przed śmiercią wypowiedziała się i wyraziła skuchę, biskup zgodził się pochować ją na małym cmentarzu w Sarria.

Następnego dnia, jakby wraz z wizytą hrabiowskiej pary skończył się czas żałoby, życie wróciło do normalnego rytmu

i Edelmunda została wezwana przed oblicze doradcy. Skulona w głębi pojazdu, przypominała sobie teraz te chwile w najdrobniejszych szczegółach.

Stała przed nim ze związanymi rękami, drżąc jak liść. Słowa sędziego wciąż brzmiały jej w uszach jak najokrutniejszy i najbardziej niesprawiedliwy wyrok, jaki kiedykolwiek wydano.

— Twoje niedbalstwo sprawiło mi ból, jakiego nigdy dotąd nie zaznałem. Śmierć byłaby zbyt lekką karą, bo położyłaby kres twym cierpieniom. Chcę, byś pokutowała za swoje winy przez długie lata. Skazuję cię na życie, ale w takich warunkach, że tysiąc razy będziesz pragnęła umrzeć. Nie chcę cię więcej widzieć. Będziesz spotykała się tylko z podobnymi do siebie skazańcami. Odpowiadasz za nieszczęście, które spadło na mój dom. Nawet śmierć ukochanej żony nie pogrążyła mnie w takiej rozpacz i dlatego będziesz pokutowała tak długo, póki Pan pozwoli ci żyć.

Wypowiedziawszy te słowa, rozkazał, by wykonano jego polecenie.

Dzięki dawnej przyjaźni z dowódcą straży, który pełnił tego dnia służbę, Edelmunda pod pretekstem zabrania swoich rzeczy poszła do komnaty i wyjęła z dużej torby gromadzony na starość dobytek oraz lakową pieczęć odziedziczoną po ojcu. Zakasawszy pospiesznie spódnicę, ukryła wszystko za pasem.

Czas płynął, a w jej głowie kłębiły się myśli. Konna eskorta jechała w milczeniu. Mijające godziny dawały im się we znaki i zgryźliwe uwagi wygłaszane co jakiś czas wskazywały, że podróż wkrótce się skończy. Teraz droga biegła wyraźnie w dół i skrzywienie szczepek hamulca świadczyło o tym, że woźnica musiał mocniej go zaciągać, aby pojazd nie staczał się na idące przed nim muły. Zimno, które sączyło się przez szczeliny w deskach, przenikało ją do szpiku kości. Nagle stała się czujna. Wóz zatrzymał się, a na zewnątrz słychać było głosy, jakby ktoś pełniący wartę na wieży zamku rozmawiał z dowódcą eskorty. Ten stał obok klapy z dwoma grubymi zawiasami zamykającej tył pojazdu. Kiedy powoli opadła, Edelmunda ujrzała brodatą

i zmęczoną twarz dowódcy oświetloną pochodnią, którą trzymał jego podwładny.

— Włóż to.

Wydawszy rozkaz, wrzucił do wnętrza wozu tobolek z odzieżą.

Edelmunda nie miała czasu odpowiedzieć. Tylne drzwi pojazdu zamknęły się ponownie i pozostała w całkowitej ciemności.

Po omacku rozdzielała rzeczy, które jej rzucono. Położyła je na ławce i zaczęła się przebierać, tak jak mogła, uważając, by nie stracić swych ukrytych skarbów. Miała wrażenie, że odzież, którą dostała, jest szorstka w dotyku i ordynarna, jakby zrobiona była z parcianego płótna, podobnie jak buty.

— Już jestem gotowa.

Jej własny głos, po tylu godzinach milczenia, zabrzmiał obco.

Drzwi znów się otworzyły. Rozkaz był oschły i stanowczy:

— Wychodzić!

Niezdarnie, z powodu pozostawiania zbyt długo w bezruchu, rozprostowała zdrętwiałe kończyny i postawiła nogi na ziemi. Głos dowódcy rozbrzmiał ponownie:

— To przeznaczone wam miejsce. Tu będziecie od teraz żyli i jeśli Bóg się nad wami nie zlituje, tutaj umrzecie.

— Gdzie jestem?

Wkładając stopę w strzemię, mężczyzna odparł:

— Z czasem się tego dowiecie. My, oczywiście, nie zamierzamy za żadne skarby tu zostawać.

Wyrzekłszy te słowa i pożegnawszy się ze strażnikiem, zawrócił konia, a za nim podążyli jego ludzie.

Kiedy wóz i żołnierze z pochodniami zniknęli, zapanowała absolutna cisza i półmrok. Noc była ciemna jak paszcza wilka, a na wyglądającym złowrogo firmamencie nie świeciła ani jedna gwiazda. Edelmunda szczękała zębami z zimna i był to jedyny odgłos, jaki dał się słyszeć. Wartownik, który rozmawiał z dowódcą jej eskorty, schronił się w drewnianej budce, stojącej obok wąskiej ścieżki. W głębi widać było dwa stożkowate namioty zajmowane zapewne przez ludzi strzegących tego miejsca. Nie

wiedziała, gdzie się znajduje i co miały znaczyć złowróżbne słowa wypowiedziane przez odjazdem przez dowódcę eskorty. Uznała jednak za bezcelowe pytanie o cokolwiek wartownika, zaczęła więc iść przed siebie. Jej oczy powoli przywykały do ciemności. W głębi widać było zarysy górskiego masywu, który otaczał okolicę ze wszystkich stron. Nagle jej serce zaczęło bić niespokojnie. Dostrzegła w oddali światło, potem drugie, a nawet trzecie! Nie zastanawiając się długo i uważając tylko, by nie wpaść do jakiegoś dołu ani nie potknąć się o gałąź, podążała chwiejnym krokiem ku nadziei.

W miarę jak zbliżała się do pierwszego ogniska, widziała coraz wyraźniej otaczające je postacie. Jedna osoba podsycala ogień, nad którym stał sagan, druga mieszała gulasz wielką drewnianą chochlą. Zapachy sprawiły, że Edelmundzie pociekła ślina. Od wielu godzin nic nie jadła.

Trzask gałęzi zaniepokoił ludzi przy ognisku. Dwie postacie uniosły głowy i spojrzały na nią. Dostrzegła w blasku ognia, że obie są zakapturzone. Pospiesznie zebrały manatki i chwyciwszy garnek za ucha skryły się w jednej ze skalnych jaskiń u podnóża góry, znikając jej z oczu. Edelmunda podeszła do żaru opuszczonego ogniska. Przeszedł ją dreszcz, gdy poczuła, że z otworów jaskiń obserwuje ją wiele par oczu. Ogarnęła ją szalona radość. Nie jest sama! W tym miejscu mieszkają inni ludzie. Bez wahania ruszyła w kierunku światła.

— Podejdźcie do mnie! Na litość boską, pomóżcie chrześcijance w potrzebie!

Straszliwy dźwięk, który tak doskonale znała, wstrzymał jej kroki. Ludzie z jaskiń, usłyszawszy ją, zaczęli potrząsać kołatkami z kości i uderzać kijami w czaszki, aby oznajmić, że znajduje się w kolonii trędowatych.

W tym momencie przypomniła sobie słowa dowódcy eskorty, których początkowo nie zrozumiała, a które teraz rozbrzmiewały jej echem w uszach: „My, oczywiście, nie zamierzamy za żadne skarby tu zostawać”. Pojęła też, dlaczego dano jej taką odzież. W zgrzebne płótno ubierali się trędowaci. Wszystko stało się

jasne. Poczula, że uginają się pod nią kolana i straciła przytomność.

Ocknąwszy się po nie wiadomo jak długim czasie, poczuła na twarzy wilgotne muśnięcie. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła postać w szarobrązowej szacie, która zmoczoną gąbką przymocowaną do końca kija zwilżała jej delikatnie czoło. Edelmunda podniosła się.

— Kim jesteś?

Skryta w cieniu postać odparła słabym i szorstkim głosem:

— To bez znaczenia.

— Zatem co to za miejsce?

— Kolonia trędowatych na stoku góry Montseny.

Krew zastygła Edelmundzie w żyłach. Potwierdziły się zatem jej podejrzenia. Zrozumiała straszliwą prawdę, zawartą w słowach Montcusiego.

Tajemnicza postać dodała:

— Musiałś popełnić potworną zbrodnię, skoro skazali cię na karę gorszą niż śmierć.

Edelmunda szlochła.

— Zgrzeszyłam tym, że słuchałam jak pies rozkazów pana, który tak oto mnie ukarał.

— Zły to pan.

Kobieta podsyciła żar w ognisku i zakapturzone postacie powoli zaczęły podchodzić bliżej, nie wchodząc w krąg światła, które rzucały trzaskające płomienie.

— Jeśli jesteś głodna, możemy cię nakarmić. Ten, kto tu mieszka, wcześniej czy później zapada na chorobę, na którą wszyscy cierpimy. Stąd nie ma ucieczki. Jedyna droga wiedzie przez góry i strzegą jej dzień i noc ludzie hrabiego, którzy w jakimś sensie też są skazańcami. Po części ukarano ich za dezercję, ale w większości za zabicie kogoś w bójce. Jeśli zamieszkaś pod gołym niebem, zamarzniesz na śmierć. Jeśli wejdiesz do jaskini, umrzesz na trąd, ale później. Sama zdecydujesz, co wolisz.

Edelmunda szlochła. Po chwili przerwała i rzekła z wyrzutem:

— W mieście też są trędowaci. Wychodzą w nocy, hałasując kołatkami.

— Oni nie odbywają kary. My jesteśmy skazańcami. Kiedy trafiliśmy do tego więzienia, nie wszyscy byliśmy trędowaci. Tu się zaraziliśmy.

— Ale to gorsze od śmierci.

— Nie patrz na to w ten sposób. Jakoś się żyje, albo raczej wegetuje, bo to nie jest życie, ale tu przynajmniej nikt nikomu nie zazdrości. W mieście są ludzie bardziej trędowaci duchem. Kiedy się przyzwyczaisz, zobaczysz, że nie istnieje między nami zawiść. Nie ma panów ani wasali, wszystko należy do wszystkich. Ale musisz się zdecydować. Nocny chłód, jeśli nie znajduje ciała, wchodzi w kości i w końcu zapewnia im wieczny spoczynek.

Edelmunda szybko podjęła decyzję.

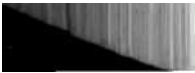
— Pójdę z tobą. Będę żyła nadzieją, że zemszczę się za to, co mi uczyniono.

— Nienawiść pomaga pozostać przy życiu. Ale porzuć nadzieję, że stąd wyjdiesz. Nikomu się to nie udało.

— Ja to zrobię i ktoś zapłaci za moją krzywdę.

Barcelona

Tej wiosny w mieście panowała odświętna atmosfera. Przekazywano sobie z ust do ust różne wieści, coraz bardziej nieprawdopodobne. Jeśli na jednej ulicy mówiono, że zastęp towarzyszący ambasadorowi al-Mutamida z Sewilli składa się z trzystu lansjerów w srebrnych zbrojach, na innej liczebność oddziału i przepych rynsztunku prezentowały się już dużo okazaiej: było pięciuset ludzi, mieli napierśniki ze złota, a czapraki koni wykonano z jedwabiu i szlachetnych kamieni. *Veguer* rozkazał wywiesić ogłoszenia z wszelkimi informacjami w sprawie oczekiwanej wizyty. Heroldowie, wyposażeni w róg i bębenek, chodzili po mieście w otoczeniu gromady dzieciaków, przystając na każdym skrzyżowaniu, by obwieszczać rozporządzenia dotyczące wszystkich mieszkańców. Czasem musiał interweniować przywódca miejskiego *host*, gdyż pewne nakazy dla niektórych rzemieślników były zbyt uciążliwe. Kiedy polecono, by amfory z moczem używanym do bielenia odzieży były trzymane wewnątrz domów dla uniknięcia silnego odoru amoniaku, doszło niemal do rozruchów, ponieważ zapach, który wydzielają w zamkniętych pomieszczeniach, był nie do zniesienia i musiano nieraz wzywać lekarza, gdyż kobiety traciły przytomność.



Kuźnie pracowały dzień i noc, aby wyprodukować na czas niezbędną liczbę latarni. Barcelona tętniła w tych dniach życiem i ludzie nie mogli się nadziwić aktywności władz miasta. Na rogach ulic i placów umieszczano na wysokości odpowiadającej dwuipółkrotnemu wzrostowi człowieka coś w rodzaju klatek z żelaza, otwartych u góry i zawierających wewnątrz pojemnik z knotem, którego długość regulowało się przy użyciu odpowiednich szczypiec. Wszyscy głowili się, do czego te urządzenia mają służyć. Kiedy jednak w ciągu paru tygodni zaczęły one funkcjonować, w całym mieście rozległy się okrzyki podziwu. O zmierzchu rozchodzili się po ulicach ludzie uzbrojeni w tyczki, mające na końcu szczypce, którymi operowało się za pomocą sznurka, oraz płomyk, którym zapalano knot, zanurzony w czarnym oleju. Miasto wyglądało teraz nocą zupełnie inaczej. Hrabina, w towarzystwie nielicznej świty, którą stanowili Delfin i jej pierwsza dama Lionor, udała się na rekonesans w zamkniętej lektyce, aby sprawdzić, czy Barcelona prezentuje się tak okazale, jak jej obiecywano. Opuściwszy pałac, przemierzyła dzielnicę Cali i przez bramę Bisbe skierowała się do Palau Menor, skąd wróciła do pałacu usatysfakcjonowana tym, co zobaczyła. Obok niej, dostosowując krok koni do tempa marszu tragarzy lektyki, jechali *veguer*, Olderich de Pellicer i zarozumiały Bernat Montcusi, który puchł z dumy.

Gdy tylko tragarze postawili lektykę na kamiennych płytach dziedzińca, hrabina wyszła z niej, a za nią Delfin i Lionor.

— *Yeguer*, muszę wam pogratulować. Barcelona zmieniła się nie do poznania.

— Pani, pochlebiacie mi, ale ta cudowna przemiana nie jest moją zasługą, lecz waszego doradcy do spraw aprowizacji. To jego pomysł i on go zrealizował.

Almodis, odwracając się do doradcy, odrzekła:

— Doskonale, Bernacie, mam tylko jedną wątpliwość. Co się stanie, jeśli przywykniemy do wygod, a z powodu okoliczności, na jakie zawsze naraża nas los, pozostaniemy bez rezerw tego cudownego produktu?

Montcusiego tak rozsadzała duma, że z trudem mieścił się w swej tunice.

— Byłbym złym sługą, gdybym nie przewidział takiej sytuacji. Mamy już zgromadzone zapasy na cztery lub pięć miesięcy, i tak będzie zawsze.

— Przekażcie moje gratulacje waszemu młodemu przyjacielowi. Jeśli wszystko pójdzie tak, jak oczekuję, po zakończeniu uroczystej wizyty ambasadora króla Sewilli otrzymacie wszyscy stosowne dowody wdzięczności waszej hrabiny.

Po tych słowach Almodis z Marchii weszła do Pałacu Hrabioskiego, a za nią podążył pospiesznie jej błazen. Pociągnąwszy hrabinę za połę peleryny, zatrzymał ją.

— Czego teraz chcesz, Delfinie?

— Pani, nie ufajcie mu. Temu człowiekowi źle z oczu patrzy.

— Wiem, Delfinie... Ale nie można zaprzeczyć, że jego usługi nam się przydają.

Po tej uwadze Almodis udała się do swych komnat.

Ruth była kłębkim nerwów. Marti coraz częściej odwiedzał jej ojca. Mieli do omówienia mnóstwo tematów: sprawę zbiornika w piwnicy domu, zakupu nowej posiadłości, załadunku statków i wiele, wiele innych. Zauważyła, że młodzieniec lubi przychodzić na spotkanie nieco wcześniej, aby porozmawiać chwilę z córką swego przyjaciela. A ona z każdym dniem uświadamiała sobie coraz wyraźniej, że celem jej życia jest kochać tego człowieka i że wszystko inne niewiele dla niej znaczy. Nie zadowalały jej okruchy ze stołu. Postanowiła opowiedzieć Martiemu historię, która — czego nie podejrzewał — dotyczy jego samego, i poprosić go o radę, by jak najbardziej się do niego zbliżyć.

Tego popołudnia, jak niemal zawsze, zjawił się przed czasem. Ruth dostrzegła go z okna pokoju, który dzieliła z Batszewą. Ta również go zobaczyła i widząc, że siostra podbiega do mosiężnego zwierciadła, by poprawić warkocz, stwierdziła:

— Widać, że lubisz gawędzić ze starszymi od siebie męż-

czyznami. Nie pasuje ci wiekiem ani nie jest Żydem. Nie mam pojęcia, do czego to zmierza.

— Zajmij się lepiej szpiegowaniem z galerii dla kobiet w sy nagodze tego nudnego Ishaia Melameda, żeby spotkać go niby przypadkiem przy wyjściu. Może uda ci się być jeszcze jedną beznadziejną żydowską żoną, robić koszerne jedzenie i *haroset** na szabas, wychować gromadę bachorów i śpiewać słodkie pieśni w Święto Świąteł. Ja wolę zostać panną i rozmawiać, z kim chcę.

To powiedziawszy, zbiegła po schodach i po chwili była już pod kasztanem, chłonąc słowa Martiego.

— A zatem wyznaliście mi, że podoba wam się jakiś chłopak — zagałł Marti.

— Tak, ale nie zwraca na mnie uwagi, a poza tym nasz związek jest niemożliwy.

Beztroska rozmowa i zuchwałość dziewczyny bawiły Martiego i łagodziły jego ból.

— Nie rezygnujcie, bo nie ma zamku, który by się nie poddał w obliczu ataku kupidyna.

— Radzicie mi więc, bym nie dawała za wygraną?

— Nie do mnie należy udzielanie rad młodej dziewczynie, ale na wojnie i w życiu triumfuje zwykle ten, kto jest uparty.

— Zyskałam już w waszych oczach — kiedyś byłam tylko małą dziewczynką, teraz jestem młodą dziewczyną.

Odpowiedzi Ruth zawsze wprawiały Martiego w zakłopotanie.

— Chcę powiedzieć, że z przeciwnościami należy walczyć. To ogólna rada. Przyda wam się w każdej sytuacji.

— A kiedy istnieje wiele przeszkód?

— Musicie się bardziej starać.

Dziewczyna wahała się przez chwilę.

— A jeśli, oprócz istnienia innych trudności, dzieli nas, na przykład, wiara, co byście wtedy doradzili?

— Bardzo trudno jest udzielać komuś rad. Mogę mówić tylko o sobie. Kochałem rozpaczliwie pewną zachwycającą dziew-

* *Haroset* — mieszanka rozdrobnionych owoców, orzechów i przypraw.

czynę, której nie byłem godzien ze względu na mój stan i pochodzenie, a jednak nie wyrzekłem się jej.

— Już jej nie kochacie?

— Nadal kocham wspomnienie, które mi po niej zostało. Ruth, która wiedziała o tragedii, jaką przeżył Marti, powie działa ostrożnie:

— Szczęśliwa kobieta, która przeżyła tak namiętą miłość. Zazdroszczę jej.

Oczy Martiego przesłonił cień.

— Mój Bóg też się w niej zakochał, a jest potężniejszy ode mnie, dlatego mi ją zabrał. Nie macie jej czego zazdrościć. Wszystko przed wami, a ona już nic nie może uczynić.

— Zazdroszczę jej miłości, którą wzbudza w was nawet po swojej śmierci.

Marti dostrzegł w tym momencie jakby w innym świetle okolony białą chustą idealny owal twarzy dziewczyny i jej ciemne migdałowe oczy i pomyślał, że mężczyzna, który ją poślubi, będzie szczęściarzem.

W tym momencie drzwi ganku się otworzyły i pojawiła się szlachetna postać Barucha Benvenista.

Marti wyczuł jakąś dziwną nutę w tonie głosu bankiera, gdy ten zwrócił się do córki:

— Jak mam ci mówić, Ruth, że kiedy do tego domu przychodzi gość, masz go wprowadzić i przywitać, a potem oddalić się i zostawić go samego? To świadczy o złym wychowaniu, gdy zmusza się kogoś do prowadzenia rozmowy na błahe tematy.

Marti stanął w obronie dziewczyny:

— Wcale mnie nie męczy. Wprost przeciwnie, uprzyjemnia mi czas.

— Jesteś bardzo uprzejmy — odparł Baruch z surową miną. — Ale ona wie, o czym mówię.

Dziewczyna, co zdziwiło Martiego, odeszła bez słowa.

— Kiedy stają się kobietami, drogi przyjacielu, żaden mężczyzna nie może liczyć, że zerwie różę, nie kalecząc się cierniem.

Abenamar

Był piątek. Na ulice wyległy tłumy. Lud chciał wiedzieć, czy cuda, które opowiadano o mającym przybyć orszaku, były prawdą czy czystą fantazją. Okna domów bogaczy zostały ozdobione czerwonym adamaszkiem, a ubogich mieszkańców — zwykłej - szymi, kolorowymi tkaninami. Pełen przepychu wystrój miasta, który zaplanowano w pałacu, powinien wyrzucić niezapomniane wrażenie na dostojnym ambasadorze, a ten miał podzielić się swym zachwytem ze swym monarchą, czcigodnym al-Mutamidem z Sewilli. Tłum, odziany w najlepsze szaty, wypełniał trasę przejazdu orszaku. Na wyraźne życzenie hrabiny ustalono, że przybędzie on o zmierzchu, aby można było zademonstrować w całej okazałości oświetlenie zainstalowane na ulicach, placach i bramach murów. Mieszkańcy miasta zaprosili swych krewnych ze wsi, by mieli okazję zobaczyć wydarzenie, które otwierało nowy rozdział w historii Barcelony. Orszak miał wjechać przez bramę Castellnou i okrążając Cali, skierować się do kościoła Sant Jaume, a potem, jadąc w kierunku bramy Bisbe, dotrzeć do Pałacu Hrabiego, który znajdował się po prawej stronie. Stróża porządku nie radził sobie z utrzymaniem w ryzach kolorowego tłumu, który napierał, starając się zająć jak najlepsze miejsca, na ustawione wzdłuż trasy przejazdu drewniane barierki.

W pobliżu pałacu z trudem torowali sobie drogę przybywający tam zaproszeni goście, którzy w powozach, lektykach, palaninach i na niesionych przez tragarzy krzesłach ścigali na ucztą. Paziowie biegali tam i z powrotem, pomagając woźnicom, którzy uspokajali wystrojone wierzchowce o lśniących grzywach i splecionych ogonach, zdenerwowane z powodu nadmiaru światła i hałasu. Obecni byli wszyscy krewni Berenguerów, którzy chcieli coś znaczyć na dworze: przedstawiciele rodów Besora, Gurb, Cabrera; Perelló, Alemany, Muntanyola; Oló, Montcada, Tost, Cardona, Queralt, Castellvell, Tous; Bernat de Tamarit, Ramón Mir... Każdy starał się błyszczeć i wyróżniać strojem.

Przy głównej bramie *veguer* Olderich de Pellicer, otoczony dworzanami odzianymi w kratkowane tuniki w barwach Berenguerów i aksamitne berety, witał gości, którzy wchodzili po wyłożonych dywanem schodach, między dwoma rzędami trzaskających pochodni, i byli anonsowani przed wejściem do wielkiej sali.

Marti pojawił się wcześniej, by sprawdzić, czy latarnie działają jak należy. Glejt od hrabiny pozwalał mu poruszać się swobodnie, gdyż odpowiadał za całe oświetlenie. Dostrzegł z daleka ubranego uroczyście Eudalda Llobeta czekającego obok pustego tronu wraz z biskupem Barcelony, dziekanem katedry i innymi duchownymi z różnych parafii, aż zaproszeni goście zajmą przewidziane dla nich sztywnym protokołem miejsca.

Okrzyki pospólstwa obwieściły, zanim zrobiły to trąbki i fujarki, że orszak się zbliża.

Ruth i Batszewa, owinięte pelerynami, czekały w tłumie na przejście wspaniałego orszaku. Ojciec nie mógł im towarzyszyć, gdyż musiał pozostać z matką, lecz zważywszy na wyjątkowość okazji, pozwolił córkom, by obejrzały przemarsz dworskiej świty pod warunkiem, że w określonym czasie wrócą do domu, bo zaczyna się szabas. Towarzyszył im Ishai Melamed, syn jego przyjaciela z synagogi. Wszyscy troje schronili się pod kolum-

nada, czekając, aż orszak pojawi się na końcu ulicy. Okrzyki tłumu obwieściły, że świta lada chwila wyłoni się zza rogu. Pospólstwo jak jeden mąż wyciągnęło szyje. Hałas był ogłuszający. Na czele orszaku szli muzycy grający na rozmaitych instrumentach. Wiele z nich nie było znanych rozgorączkowanemu tłumowi. Liry, flety i inne instrumenty rozbrzmiewały wesoło, ale najbardziej przyciągali uwagę dwaj jeźdźcy dosiadający wspaniałych arabskich rumaków ozdobionych zielono-złotymi czaprakami, którzy uderzali w wielkie kotły przytwierdzone do boków koni. Używając pałeczek zakończonych kulkami z koziej skóry, wybijali rytm marszu całego orszaku. Dalej szła eskorta trzydziestu ludzi pod wodzą rosnącego Maura, otaczająca lektykę z chińskiej laki i złota, ze spiczastym daszkiem w kształcie minaretu, niesiona przez dziesięciu atletycznych Numidów o lśniącej skórze. Zza odciągniętych zasłonek pozdrawiał tłum ambasador Abenamar*.

Batszewa była zdenerwowana.

— Ruth, już zaszło słońce. Spóźnimy się i ojciec nas skarci.

— Teraz nie można przejść, Batszewo. Poza tym miałyśmy zobaczyć nowe latarnie, a dopóki nie zapadnie noc, nie zapalą ich.

— Zaraz zaczniesz się szabas, musimy wracać.

Ishai przyszedł Ruth w sukurs:

— Batszewo, wasz ojciec zrozumie. Nie da się przejść na drugą stronę. Jesteśmy świadkami tak niezwykłego wydarzenia, że będziemy o nim opowiadali naszym dzieciom. Biorę na siebie odpowiedzialność.

Batszewa nalegała:

— Po zmierzchu Żydom nie wolno przebywać poza Cali. Mamy mało czasu...

— Dzisiaj opóźnili bicie dzwonów. Zobaczycie, że opóźnią też porę nocnej ciszy.

* Autor pozwala tu sobie na pewną dowolność, przenosząc wydarzenia z udziałem Abenamara, które miały miejsce za rządów Ramóna Berenguera II Cap d'Estopa, w czasy jego ojca, Ramóna Berenguera I Starego.

Orszak znalazł się na ich wysokości i trudno było przekrzyczeć hałas, chyba że mówiło się komuś wprost do ucha.

Dworska świta przechodziła w tym momencie przed trójką młodych ludzi. Ruth, widząc szlachetne oblicze ambasadora z Sewilli, jego żółty turban z wielkim lśniącym szmaragdem, ciemne oczy, śnieżnobiałe zęby i okalającą podbródek krótko przyciętą brodę, miała świadomość, że jest świadkiem doniosłej historycznej chwili, i była dumna, iż wspaniała iluminacja miasta to dzieło jej ukochanego.

Marti zobaczył już wszystko, co chciał, i jego obecność w pałacu była zbędna. Orszak ambasadora wszedł do sali przyjęć i jej wielkie drzwi zamknięto. Marti zamierzał pójść następnego dnia do katedry, aby Eudaïd opowiedział mu szczegółowo, co się tam działo, jednak nagle poczuł nieodparte pragnienie, by zobaczyć miasto w blasku nowych świateł. Wziął pelerynę i pożegnawszy się ze strażnikiem, który strzegł bramy, owinał się nią, wmieszał w tłum i zniknął w radosnej wrzawie, którą czynili mieszkańcy Barcelony. Trudno było iść wytyczoną trasą. Wszedł w rwący nurt ludzi i nie miał innej możliwości, jak tylko dać mu się ponieść. W świetle latarń wszystko wydawało się nowe. Stare kamienie nabierały nieznanych tonów i odcieni, każdy znajomy zaułek stawał się odkryciem. Przedzierając się przez tłum, nagle zdał sobie sprawę, że jego życie jest prawdziwym cudem. Zaczął snuć wspomnienia i doszedł do wniosku, że zawdzięcza wszystko temu, iż kiedyś w dalekim porcie Famagusta, pod wpływem odruchu serca uratował tonącego człowieka. Potem ogarnął go bezbrzeżny smutek na myśl o tej, której nie mógł ocalić... Jest bogatym człowiekiem, jego statki kursują między portami Morza Śródziemnego, jego dom w pobliżu Sant Miquel zmienia się w prawdziwą rezydencję, Marti rozwija działalność handlową i wysyła wozy na jarmarki, by kupować hurtowo nowe towary.

Stróże porządku z trudem panowali nad tłumem. Wydawało się, że tej nocy wszystko jest dozwolone. Wino rozochociło

pospólstwo i gdzie indziej na rogach ulic wyciągano z byle powodu sztylety i noże. Gdy w końcu Marti zdołał dotrzeć w okolice swego domu, serce zabiło mu mocniej. Na podtrzymującej łuk kamiennej ławie siedziała skulona postać, która wydała mu się dziwnie znajoma. Przecisnąwszy się przez rzekę ludzi i odepchnąwszy na bok grupę chłopaków, którzy stali przy bramie, kazał im uciekać. Czy to z powodu jego groźnej miny, czy zdecydowanej postawy, a może dlatego, że wino zmaćliło im rozum, uznali, że lepiej będzie iść zabawić się gdzie indziej. Słyszając jego głos, przestraszona dziewczyna podniosła głowę i Marti zobaczył błagalne spojrzenie ciemnych oczu Ruth, najmłodszej córki Barucha.

Chwycił ją za ramiona i podniósł do góry. Napierający tłum przycisnął go do niej. Dziewczyna patrzyła na niego jak na zjawę.

— Co tu robicie?

Ruth, nie mogąc powstrzymać łez, wyjaśniła mu urywanym głosem, co się stało.

— Próbowaliśmy wrócić. Ishai szedł pierwszy, trzymając za rękę moją siostrę, a ja za nią. Gdy dotarliśmy do rogu, rozdzieliła nas grupa ludzi. Widziałam, jak ich głowy znikają w tłumie, tak jak tonący znika w nurtach rzeki. Batszewa krzyczała i chciała wracać, lecz Ishai jej nie puścił. Po długim czasie dotarłam do bram Cali*, ale były już zamknięte. Czekałam, myśląc, że moja siostra i jej towarzysz jeszcze tam nie doszli, ale myliłam się. Najwyraźniej zdążyli wejść na czas do środka. Wtedy, nie wiedząc, co robić ani dokąd pójść, zaczęłam iść przez miasto w kierunku waszego domu... Nie znam tu nikogo innego... Spodziewałam się, że lada chwila wrócicie.

* Autor przyjął tu popularne założenie, najbardziej rozpowszechnione, że dzielnica Cali była otoczona murami, choć warto przypomnieć, że wciąż trwają na ten temat spory między historykami i archeologami. Nie znaleziono żadnych wykopalisk ani dokumentów potwierdzających prawdziwość takiej wersji. Wiadomo o istnieniu w mieście wspólnoty żydowskiej od 850 roku, ale w żadnym przypadku nie ma mowy o murach, aczkolwiek pojawiają się często wzmianki o bramach i zamkniętej dzielnicy.



— Okazaliście się bardzo nierozważni. Wiecie, jak jest. Pod czas takiej nocy jak dziś, jeśli ludzie znajdą Żyda poza murami Cali, wszystko może się zdarzyć.

— W naszej dzielnicy mam przyjaciół, ale poza nią czuję się zagubiona i nie wiedziałam, dokąd się udać — szlochała Ruth.

— Trzymajcie mnie za rękę i chodźmy.

Ruth chwyciła wyciągniętą rękę Martiego i zrobiwszy to, mimo strachu, gotowa była dziękować losowi za ten zbieg okoliczności. Podążyli przez tłum w kierunku placu, gdzie stał kościół Sant Miquel.

Gdy Marti zauważył w bramie swego domu Omara, majordoma Andreu Codinę i Mohameda, który dorósł już na tyle, że wyglądał na młodzika, oraz grupę służących strzegących wejścia z pochodniami i grubymi pałkami w rękach, jego serce przepełniała radość. Ścisnął mocniej rękę dziewczyny i przestrzegł ją:

— Teraz przejdziemy na drugą stronę. Nie puście mojej ręki, na miłość boską.

Oczy dziewczyny odpowiedziały za nią. Omar spostrzegł ich i wraz z dwoma służącymi rzucił się w tłum, torując im drogę.

W końcu wszyscy znaleźli się za zamkniętymi bramami domu. Byli bezpieczni.

— Panie, nigdy nie widziałem czegoś podobnego — mówił przestraszony Omar. — Ludzie poszaleli. Przez te światła jakby postradali zmysły. Próbowali nawet wedrzeć się na nasz dziedziniec i musieliśmy przegnać ich kijami. Podobno w niektórych dzielnicach były zamieszki. Bałem się o was.

— Dzięki Bogu, nic się nie stało. — Po chwili, widząc jego pytające spojrzenie, dodał: — Znasz już Ruth, najmłodszą córkę mojego przyjaciela Barucha. Na wszelki wypadek zamknęli przed czasem bramy Cali i rozdzieliwszy się z siostrą, została na zewnątrz. Gdybym nie przyszedł jej z pomocą, nie wiem, co by się stało. Spędzi tutaj noc. Wezwij Caterinę, niech razem z Naimą i Marioną przygotowują jej pokój obok tarasu na pierwszym piętrze i powiedz gospodyni, żeby dała jej do dyspozycji dwie służące. Zapowiada się długa noc. Idź z nią, Omarze.

Maur spojrział na dziewczynę, a potem na swego pana, po czym dał jej znak, by poszła za nim.

— Pozwólcie...

Ruth wbiła w Martiego spojrzenie migdałowych oczu i mimo świadomości, że narobiła mu kłopotu, błogosławiła swoje szczęście.

78

Sojusz z Sewillą

Hrabia Barcelony, Ramón Berenguer I Stary, i jego małżonka Almodis przyjmowali właśnie w sali audiencyjnej Pałacu Hrabiego ambasadora z Sewilli. Przy długim stole zasiadły naprzeciwko siebie obie delegacje. Hrabów reprezentowała ich prywatna rada, w której skład wchodził: *veguer* Barcelony, Olderich de Pellicer, majordom Gualbert Amat, doradca do spraw finansów i aprowizacji Bernat Montcusi, główny notariusz Guillem de Valderribes, biskup Barcelony Odó do Montcada, pełniący obowiązki sekretarza Guerau de Cabrera oraz nieustraszony Marçal de Sant Jaume, wybitna postać w hrabstwie, znawca spraw arabskich i sprytny dworzanin. Delegacja króla Sewilli składała się z ambasadora, słynnego poety Ibn Ammara lub inaczej Abenamara, ar-Rashida, najstarszego syna al-Mutamida, kapitana jego oddziału, Abena Zaidena, i pięciu towarzyszących mu ludzi, z których każdy był ekspertem w swojej dziedzinie. Na końcu stołu dwaj tłumacze przekładali na bieżąco wszystko, co mówiono, choć ambasador znał łacinę i rozumiał mowę mieszkańców hrabstwa.

Wysłannik al-Mutamida wyglądał imponująco, ale bardziej niż ubiór przyciągała uwagę jego powierzchowność, łagodny głos i czar, którym urzekał swoich i obcych. Przed rozpoczęciem

spotkania wręczył hrabinie teczkę ze skóry inkrustowanej masą perłową, zawierającą zbiór pergaminów z jego najlepszymi wierszami. Ostatni, przetłumaczony na język prowansalski, dedykowany był Almodis i stanowił panegiryk na cześć jej zielonych oczu i rudych włosów. Potem ar-Rashid obdarował ją, w imieniu swego ojca, opakowanym w piękne etui z afrykańskiego mahoni i stanowiącym ilustrację metafor z pochwalnego wiersza naszyjnikiem z zielonych szmaragdów nawleczonych na łańcuszek z czerwonego złota, wytwarzanego przez sewilskich złotników. Hrabiemu podarował kolczugę z najlepszej stali, lekką jak aksamit, a jednak twardszą niż żelazo.

Po rozwlekłych formułkach, typowych dla delegacji przybywających z al-Andalus, goście wydawali się gotowi przejść do sedna sprawy.

— Potężny hrabio z czcigodnego rodu Berenguerów, ludziom z mego miasta znane jest wasze szlachetne pochodzenie. Mój król i pan zaszczyca was, przysyłając z poselstwem własnego syna, abyście mogli docenić szczerą jego propozycję oraz powagę i znaczenie misji. W dalekiej przeszłości byliśmy wrogami, ale czasy Almanzora już minęły, pozostawiając jednak w waszej pięknej Barcelonie wiele śladów, które teraz nas łączą. Dlatego przybywamy w przyjaźni, oczekując szczerzej współpracy w sprawie, która ma dla mego suwerena polityczne znaczenie, a wam przyniesie chwałę i niemałe zyski.

Po tym kwiecistym wstępie hrabia odparł:

— Mój drogi wezryse, przyjęliśmy was jako przyjaciół, bo nimi jesteście. Wczoraj byliście świadkami, jak serdeczne przyjęcie zgotowała wam Barcelona. Moja żona, moi doradcy i ja czekamy z niecierpliwością na wasze propozycje, aby jeśli tylko są korzystne dla moich poddanych, natychmiast je przyjąć.

Obie przemowy były tłumaczone bezbarwnym tonem na odpowiednie języki.

— Przedsięwzięcie, które planuje król, jest ambitne i wymaga udziału dzielnej frankońskiej piechoty, bo bez niej mój pan zbyt wiele by ryzykował.

Katalońska delegacja wiedziała, w jaki sposób przedstawiają swoje projekty wyznawcy islamu, wyczekiwała więc z uwagą.

— Mój pan pragnie upomnieć się o swoje prawa do taify Murcji, którą rządzi uzurpator, Muhammad ibn Ahmad Thair. Chcemy, żeby al-Andalus został zjednoczony pod jednym sztandarem, co mój pan ma nadzieję osiągnąć, zdobywając później Kordobę. Będziecie wtedy mieli na południu jednego i pewnego sojusznika, wiernego wam i bardzo przydatnego w ewentualnych przyszłych wojnach, jeśli po śmierci roztropnego Sulaimana ben Huda al-Mustaina z Saragossy jego wojowniczy synowie nie zechcą kontynuować pokojowej polityki ojca.

Berenguer wysłuchał uważnie do końca słów Maura.

— Dobrze wiem, że to, co mi proponujecie, jest korzystne dla mego ludu. Nie ma nic lepszego niż wojna, by ściągnąć daniny i zapewnić sobie posłuszeństwo. Ale zrozumcie, że jeśli włączę się w tak zaskakujące przedsięwzięcie, będzie to bardziej w waszym interesie niż w moim, gdyż bliższe mi są i bardziej godne uwagi taify Leridy i Hueski niż Murcji. Znacnie się na rzeczy. Udział moich żołnierzy musi zostać wynagrodzony.

— Mój pan przedstawia następującą propozycję: wespręcie oblężenie Murcji waszą piechotą i wiedzą niezbędną do budowy wież oblężniczych, a król dostarczy konnicę, specjalistów od konstruowania katapult oraz innych machin i oczywiście personel, który zapewni wojsku dostawę żywności.

— Największe korzyści odniesie bez wątpienia wasz pan, al-Mutamid. Ogłosi się królem Murcji. Mnie posiadanie wpływów tak daleko nie interesuje. Rekompensata musi mieć charakter finansowy i nie ograniczać się do tej konkretnej akcji.

Dyskusja była długa, a spór zawzięty. Rozmowy trwały wiele dni. Almodis słuchała uważnie i potem, w intymności alkowy, doradzała hrabiemu.

— Musisz mieć oczy szeroko otwarte. Ambasador jest bardzo sprytny. Powinieneś zażądać dziesięciu tysięcy *maravedies*, płatnych w dwóch ratach: pierwsza przed rozpoczęciem kampanii, druga po jej zakończeniu. Domagaj się prawa do pierwszeństwa

łupów po zdobyciu miasta. Poza tym któryś z wielmożów, na przykład czcigodny Marcal de Sant Jaume, powinien zostać zakładnikiem króla, a do twego orszaku dołączy na tej samej zasadzie przed rozpoczęciem oblężenia syn monarchy, ar-Rashid. Będziesz wtedy lepiej zabezpieczony. Syn to nie to samo, co arystokrata, choćby najbardziej dostojny. Szczególnie jeśli ten ostatni, zważywszy na jego zuchwałość, ma zwyczaj stwarzać problemy.

Wreszcie, po podpisaniu przymierza, wspaniałe mauretańskie poselstwo opuściło Barcelonę, żegnane owacyjnie przez lud, który przeczuwał, że zawarcie sojuszu w walce z odległym wrogiem nie stanowi żadnego zagrożenia dla hrabstwa, zapewni za to miastu rzekę pieniędzy, które, zasiliwszy jego skarbiec, trafią potem do odpowiednich sektorów, a za ich pośrednictwem powrócą do obywateli.

Nieobecność córki

Marti czekał zdenerwowany i przygnębiony w przedsionku gabinetu swego przyjaciela i opiekuna, Barucha Benvenista. Wiedział, znając mentalność mieszkańców Cali, że ma przed sobą niełatwe zadanie. Wydarzenia z piątku wydawały się już odległe. Ludzie powrócili do swych codziennych zajęć, a w pałacu nadal przyjmowano gości i organizowano spotkania. Wszyscy wychwalali latarnie, które wieczorem oświetlały miasto, i imię Martiego przekazywano sobie z ust do ust.

Ruth przebywała w jego domu dłużej niż jeden dzień i w niedzielę rano nadeszła pora, by rozwiązać ten problem. Marti nie próbował tego zrobić w sobotę, gdyż przypadało wtedy żydowskie święto i wiedział, że nic nie zdziała.

Poprzedniego wieczoru rozmawiał o tym, co zaszło, z dziewczyną. Rano pozwolił jej się wyspać, ponieważ sądził, że potrzebuje wypoczynku. Kiedy po obiedzie zobaczył ją na tarasie, spokojną, choć wystraszoną, uznał, że to odpowiedni moment.

— Ruth, wypoczęliście już?

— Dziękuję za wszystko, Marti. Gdyby nie wasza pomoc, nie wiem, co by się ze mną stało. Tak, odpoczęłam. Spałam przez trzy dni.

— Usiądźcie. Musimy pomówić o wielu sprawach.

Dziewczyna, na znak Martiego, przysiadła na skraju ławki.

— Popęłniście wielką nieostrożność. Wasz ojciec na pewno bardzo się martwi. Próbowałem dostać się dziś rano do Cali, ale jak zawsze w szabas bramy są zamknięte na głucho. Jutro o świcie pójdę uspokoić waszego ojca i postaram się wyjaśnić mu, co się wydarzyło.

— Marti, wiem, że narobiłam zamieszania, ale uwierzcie mi, że to nie była moja wina. Już wam wczoraj wszystko opowie działam. Uwielbiam moich rodziców i wyobrażam sobie, co przeżywają. Batszewa na pewno opowiedziała im, co się działo, dopóki się nie rozdzieliliśmy, ale nie wiedziała, co było potem. Jest szabas, do jutra nic nie można zrobić.

Marti przypominał sobie tę rozmowę, gdy Baruch, ubrany w czarną togę i czapkę tego samego koloru, czyli strój żałobny, wreszcie się pojawił. Sprawiał wrażenie, jakby w krótkim czasie postarzał się o kilka lat.

— Szalom, Marti, drogi przyjacielu i dzięki za wszystko, co uczyniłeś dla tej rodziny.

— Zatem już wiecie?

— Mam swoje sposoby, by zdobywać informacje o wszystkim, co dzieje się za murami Cali, chociaż jest szabas i siedzę tu zamknięty. Ale wejdź. Porozmawiamy w moim gabinecie.

Gospodarz poszedł przodem, otwierając drzwi, a Marti podążył za nim do gabinetu, który tak dobrze znał, i stanął, czekając, aż Baruch otworzy okiennice od strony ogrodu.

Potem, siedząc naprzeciwko siebie, zaczęli wyjaśniać okoliczności, które doprowadziły do wydarzeń piątkowej nocy.

— Zatem, jak widzisz, o wszystkim, co miało miejsce do chwili zamknięcia bram po powrocie mojej córki Baszewy i jej towarzysza do Cali, usłyszałem od nich samych. Potem, dzięki dobrym stosunkom z chrześcijanami mieszkającymi w pobliżu murów, dowiedziałem się, że moja córka trafiła bezpiecznie do twego domu i nie starczy mi życia, by ci się za to odwdzięczyć — powiedział Baruch.

— A więc znacie już fakty. Ruth jest cała i zdrowa, odpoczęła i jutro znów będziecie ją mieli przy sobie.

— Niestety, to nie takie proste.

— Nie rozumiem.

Bankier rozparł się w fotelu i poprawiwszy rękawy tuniki, wyjaśnił:

— Widzisz, Marti, jesteśmy bardzo starym narodem, który przetrwał liczne ataki i przeciwności losu dzięki temu, że za chowywał niezłomnie swe zwyczaje i tradycje. Nie mamy ojczyzny i jeśli to, o czym mówię, by nas nie jednoczyło, już dawno rozproszylibyśmy się między poganami i byłibyśmy niczym.

— Nie rozumiem, co to ma wspólnego z...

— Pozwól mi skończyć. Ja, ze względu na moje stanowisko i pozycję, wywołałbym skandal, nie przestrzegając naszych tradycji. Mamy surowe prawa. Żydowska dziewczyna, dopóki ojciec nie wyda jej za mąż, nie może spędzić nawet jednej nocy poza domem, a tym bardziej poza Cali. Moja córka Ruth splamiła honor rodziny i nie mogę udawać, że nic się nie stało. Jeśli wróci do domu, będzie to hańbą dla mnie i mojego rodu, przez co moja druga córka, Batszewa, nic nie zawiniwszy, nie znajdzie kandydata na męża w żadnej żydowskiej rodzinie.

— Co chcecie przez to powiedzieć?

— Muszę się zastanowić. Z jednej strony moje ojcowskie serce krwawi, albowiem tracę ukochaną córkę, ale z drugiej moje stanowisko *dajana*, a poza tym naczelnika bankierów, zmusza mnie do powzięcia stosownej decyzji.

— Nikt nie musi się dowiedzieć, co zaszło — zauważył Marti.

— Już się dowiedzieli. To mała wspólnota i plotki szybko się rozchodzą. Moja żona, która cierpi, gdy coś nie jest zapisane w naszych księgach, powiedziała mi wczoraj, wróciwszy po nocnych szabasowych modłach, że na galerii dla kobiet podeszło do niej parę zatroskanych dusz, aby zapytać o zdrowie Ruth, bo uznano, że musi być chora, skoro nie pojawiła się w synagodze w nakazane święto.

- Co zatem zamierzacie zrobić?
- Mam krewnych w innych wspólnotach, może znajdę kogoś, kto ją przyjmie, choćby jako służącą.
- Baruchu, wybaczcie, że to powiem, ale nie rozumiem religii, która tak rygorystycznie osądza przypadkowe w końcu wydarzenie.
- Nie pora teraz na dyskusje na temat naszej wiary, ale przypomnę, że twoja wciąż nakazuje kamienować cudzołożnice. Nie mogę łamać prawa nawet po to, by ocalić córkę.
- Marti zastanawiał się przez chwilę.
- Darujcie, powiedziałem to bez namysłu, ale z sympatii dla waszej pociechy.
- Nie musisz mnie za nic przepraszać. Po tym, co zdarzyło się w piątkową noc, zawsze będę twoim dłużnikiem. Usłyszałeś słowa *dajana*. Moje ojcowskie serce zawsze będzie krwawiło i problem polega na tym, co mam zrobić, zanim znajdę wyjście z tej niezręcznej sytuacji.
- O czym myśleliście?
- Na razie chcę pomówić z naszym wspólnym przyjacielem, Eudaldem Llobetem. Ufam jego rozsądkowi i wpływom, które ma poza murami Cali. W naszej dzielnicy nie widzę żadnego rozwiązania.
- Jeśli chodzi o to, gdzie Ruth ma zamieszkać, dopóki wszystkiego nie załatwicie, wiedzcie, że w moim domu zawsze dostanie schronienie i pomoc.
- Bankier zamyślił się na moment i Marti wyczuł, że się waha.
- Jesteś bardzo uprzejmy, ale nie sądzę, aby to był dobry pomysł.
- Doprawdy, Baruchu, teraz was nie rozumiem.
- Odpowiedzi Benvenista towarzyszyło głębokie westchnienie.
- Marti, jesteś moim przyjacielem i współnikiem, i dług, który u ciebie zaciągnąłem, jest tak wielki, że nie spłacę go przez całe życie. Eudald znajdzie dla Ruth jakieś mieszkanie. Gdybyś otworzył drzwi swego domu przed żydowską dziewczyną, miał byś kłopoty.

— Baruchu, mówicie od rzeczy. Chcecie rozdzielić waszą żonę z najmłodszą córką? W moim domu Ryfka będzie mogła przynajmniej ją widywać.

— To cena, jaką będzie musiała zapłacić... — szepnął Baruch, choć jego serce drżało na samą myśl o tym.

— Powtarzam wam, że w moim domu będzie jej dobrze i bezpiecznie. Będziecie mogli ją odwiedzać, kiedy tylko ze chcecie, i zobaczymy, kto okaże się na tyle nierozsądny, by próbować ją skrzywdzić. Nie chcę grzeszyć brakiem skromności, ale choć nie zdobyłem jeszcze obywatelstwa Barcelony, nie jestem byle kim, zwłaszcza odkąd zyskałem aprobatę hrabiny Almodis. Wiercie mi, nie będzie żadnego zagrożenia.

Widząc, że Baruch się waha, Marti, nie wiedząc właściwie dlaczego, nalegał:

— Ręczę honorem, przyjacielu. Przysięgam na zbawienie mojej duszy, że będę o nią dbał jak o rodzoną siostrę. Powierzcie mi ją, a nie będziecie musieli szukać dla niej innego mieszkania. Jeśli zechcecie, możecie codziennie ją widywać. Daję słowo, że nie będzie wychodziła z domu poza dozwolonymi godzinami i oczywiście może praktykować w swoich komnatach waszą wiarę.

— Istnieje jeszcze jedna przeszkoda: jesteś kawalerem i będą plotki. Moja córka, jeśli ma zachować resztki honoru, powinna być pod opieką guwernantki.

— To też nie problem. Caterina, moja gospodyni, będzie się nią zajmowała i nie opuści jej ani na jedną noc. Jeśli ktoś zechce to sprawdzić, wyślijcie go do mojego domu, żeby mógł się przekonać, iż wasza Ruth ma guwernantkę, która ciągle jest przy niej. Poza tym — dodał Marti smutno — wiecie, że upływ czasu niczego nie zmienił. Myślę wciąż o Lai tak jak pierwszego dnia.

W kuźni duszy Barucha wytopiła się łza i spłynęła z jego zmęczonego oka po pomarszczonym policzku. Starzec wstał i obszedłszy stół, wziął Martiego w ramiona.

Przekupstwo

Wstawał świt i Oleguer miał członki zeszywniałe z zimna. Wartownik, który umożliwił Almodis opuszczenie pałacu, za swą uporczywą niesubordynację skazany został na służbę w tym smutnym miejscu u podnóża góry Montseny. Z powodu porannej mgły praktycznie nic nie widział. Do zmiany warty pozostało jeszcze sporo czasu. Oczy zamykały mu się ze zmęczenia i rozmyślał tylko, jak skrócić swoją udrękę, snując plany powrotu do Barcelony. Nagle krzaki się poruszyły. Oleguer widział, że nie ma wiatru i że nawet źdźbła traw trwają w bezruchu. Próbował przeniknąć wzrokiem gęstwinę i wtedy zauważył, że wystaje z niej długi kij z zawieszonym na końcu woreczkiem, który prawie dotykał jego spodni. Szybko odskoczył na bok, wydobył z kołczana strzałę, włożył ją w łuk i przysunąwszy go do twarzy, wycelował w zarośla.

Jego głos zabrzmiał ostro w porannej ciszy:

— Jeśli natychmiast stamtąd nie wyjdiesz, żebym zobaczył twoją twarz, możesz pożegnać się z życiem.

Krzaki rozchyliły się i w tym samym momencie usłyszał kobiecy głos, stłumiony i niepewny:

— Wyświadczylibyście mi ogromną przysługę. O wiele lepiej jest umrzeć, niż żyć tutaj.

Na drogę wyszła brunatna postać odziana w łachmany ze zgrzebnego płótna. Twarz Oleguera, okolona kolczugą i hełmem, zrobiła się trupio blada. Osoba, która ośmieliła się do niego zbliżyć, była jedną z trędowatych z kolonii.

— Wracaj do jaskini, bo pošlę ci strzałę między zebra!

— Kiedy ktoś zaraził się tą chorobą, co gorszego może go spotkać — stwierdziła Edelmunda. — Zechciejcie mnie wy słuchać, bo bez wątpienia nam obojgu przyniesie to korzyść.

Wartownik wahał się przez chwilę.

— Nie zbliżaj się. Czego chcesz?

— Otwórz woreczek, który wisi na końcu kija.

— Nie waz się ruszyć.

Oleguer rozluźnił cięciwę i oparłszy łuk o pień drzewa, wyjął z pochwy sztylet, który miał u pasa, i przeciął nim sznurek skórzanego sakiewki zawieszanej na końcu kija. W pierwszych promieniach słońca zalśniło oślepiającym blaskiem pół uncji złota.

Głos Edelmundy zabrzmiał ponownie:

— Mieszkam tu już prawie dwa lata. Mam dużo pieniędzy, które tam, gdzie żyją ludzie, są wiele warte, ale tu nic nie znaczą.

— A zatem?

— Jeśli wyświadczycie mi przysługę, uczynię was bogatym.

— O jaką przysługę chodzi?

— Widzicie, dopóki się nie zaraziłam, miałam nadzieję, że człowiek, który niesprawiedliwie mnie skazał, pożałuje tego i mnie stąd zabierze. Dlatego zachowałam pieniądze. Ale odkąd wiem, że mój los jest przesądzony, podtrzymuje mnie przy życiu tylko pragnienie zemsty. Chodzi o prostą sprawę. Wy mi pomożecie, a ja, powtarzam, uczynię was bogatym.

— Jak bogatym i co miałbym zrobić?

— Nic nie ryzykujecie. Dałam wam na razie pół uncji złota. Jak wiecie, trzy uncje to pensja kasztelana zamku na pograniczu. Macie za zadanie dostarczyć mi pergamin, pióro, atrament i lak, abym mogła napisać i opieczetować wiadomość, którą później doręczycie wskazanej przeze mnie osobie.

— To wszystko?
— Wszystko.
— Mogę zabrać wasze *mancusos* i uciec z nimi.
— Jestem chora, ale nie głupia. Pieniądze, które wam dałam, wystarczą na kupno pergaminu i potrzebnych mi przyrządów. Potem, w wybranym przez was dniu, dostarczycie komu trzeba list. Otrzymacie w zamian opieczątowane potwierdzenie. Kiedy mi je wręczycie, dam wam półtora uncji złota, czyli w sumie dostaniecie dwie. Odpowiada wam to?

Oczy wartownika błysnęły z chciwości. Dwie uncje złota to była prawdziwa fortuna. Mógł dzięki niej przekupić dowódcę, aby pozwolił mu pojechać ze sobą któregoś dnia do Barcelony i zapłacić grzywnę, która uwolniłaby go od tej służby, kupić solidny wóz, dwa dobre konie, działkę ziemi i wieść dostatnie życie.

— Tak — odparł.

— Za trzy dni będę na was czekała tutaj o tej samej porze.

Edelmunda odetchnęła. Nadeszła pora zemsty. Kolonię zamieszkiwało obecnie czternaścioro nieszczęśników, lecz gdy tam przybyła, liczyła ona dziewiętnaście osób. Sporadycznie docierał ktoś nowy, za karę za jakieś przestępstwo albo dlatego, że zaraził się na zewnątrz tą przeklętą chorobą. Dużo częściej któryś z mieszkańców kolonii wyruszał w drogę bez powrotu. Tego dnia wszyscy pozostali mu zazdrościli i w pewnym sensie świętowali. Wykopawszy dół, grzebali go w ziemi i umieszczali na kopcu prosty drewniany krzyż. Potem dzielili między siebie jego dobytek i jeśli jakiś krewny o dobrym sercu zostawił na terenie obozowiska prowiant albo ktoś upolował zwierzaka, nadziewali go na pogrzebacz i piekli nad ogniem, urządzając stypę.

Początkowo Edelmunda chciała żyć na uboczu, ale szybko zorientowała się, że to niemożliwe. Po przybyciu do kolonii zamierzała chronić się przed zimnem u wejścia do jaskini, ale surowa zima zmusiła ją wkrótce do przysunięcia się bliżej ogniska, a potrzeba rozmowy z ludźmi sprawiła, że zintegrowała się z tą schorowaną i wygłodniałą wspólnotą.

Była już rok na tym strasznym odludziu, gdy pewnej nocy odkryła, że na jej ciele pojawiły się ropiejące krosty. Zamiast buntu, poczuła ulgę. Tego dnia zaczęło kiełkować w jej duszy przeświadczenie, że zanim umrze, musi zemścić się na człowieku, który sprowadził na nią nieszczęście. Jeden z trędowatych, który kiedyś był rozbójnikiem, trafił do kolonii zdrowy na ciele i tam zaraził się tą straszną chorobą, wspierał ją i dał jej radę, którą w tym momencie się kierowała: „Dopóki rozpala cię nienawiść, będziesz miała motywację, żeby przeżyć. Potem będzie ci już wszystko jedno”. Co noc opowiadała Cugatowi, za co spotkała ją kara, i dzięki jego radom doskonalila swój plan.

Pewnej nocy, gdy nadeszła wiosna, siedzieli razem przy ognisku, pijąc wywar z ziół, które zbierał Cugat i które ułatwiały zasypianie. Pozostali poszli już spać. Jakaś para nieszczęśników spółko wała pod kocem.

— Szczęśliwi ci, którzy jeszcze mogą — westchnął Cugat. — Mnie już zgniło prącie, a to, co pozostało, nie sztywnieje.

— Mnie sprawia rozkosz tylko nienawiść. Muszę znaleźć sposób, by dać jej ujście. Chciałabym wydostać się stąd na jeden dzień, żeby zabić tę kanalię. Potem już wszystko będzie bez znaczenia — wyznała Edelmunda ochryłym głosem.

— Nie musisz się stąd ruszać. Bezpośrednio nie możesz się zemścić. Dlatego trzeba znaleźć sposób, by ktoś zrobił to za ciebie.

— Nie rozumiem, Cugacie.

— To bardzo proste. Musisz zlecić komuś to zadanie. Skoro, jak twierdzisz, masz pieniądze, nie będzie to trudne.

— Co mogę zrobić, będąc tutaj? — spytała Edelmunda, kręcąc bezradnie głową.

— Dostarczyć argumentów człowiekowi, któremu twój nie przyjaciel skradł ukochaną i który z pewnością nienawidzi go bardziej niż ty.

— A jak do niego dotrę?

— Na pewno któregoś ze strażników da się przekupić. W dniu, gdy ma wartę niejaki Oleguer, pozwala memu kompanowi podchodzić do granicy kolonii i dał mi nawet z nim porozmawiać.

— Ale mój wróg jest potężny i mieszka w Barcelonie otoczony strażą.

— Ten drugi jest równie potężny. Musisz go tylko zmotywować.

— Jak mam to zrobić z tego odludzia?

— Wyślij mu list i opisz, co się wydarzyło. On zdecyduje, co robić.

— A kto może być posłańcem?

— Dowiem się, kiedy Oleguer ma wartę, żebyś miała do niego dostęp. Jestem pewien, że jeśli dobrze mu zapłacisz, będzie twoim posłańcem.

— A skąd mam wiedzieć, czy dostarczy list, kiedy już dostanie pieniądze?

— Każ mu przynieść potwierdzenie z podpisem odbiorcy.

— Niestety, nie znam pisma osoby, która ma otrzymać wiadomość.

— Ale on tego nie wie — zauważył Cugat i zgorzkniałe serce Edelmundy nappełniło się nadzieją.

Gorzka nowina

Ostatnie miesiące 1057 roku były dla Ruth jednym z najszcześniejszych okresów w jej życiu. Mijały kolejne dni, cudownie do siebie podobne, a jej wystarczało, że jest blisko ukochanego. Żałowała tylko, że tak rzadko widuje matkę i siostrę. Obrażony na nią ojciec karał ją swą nieobecnością, ale życie u boku Martiego jej to rekompensowało. Rano Marti pozwalał, by mu towarzyszyła, zawsze ubrana stosownie do tego, gdzie i z kim miał się spotkać. Szczególną przyjemność sprawiały jej dwie rzeczy: przechadzki do bramy Regomira, w kierunku stoczni, gdzie rzucały kotwice statki z powiewającą dumnie banderą ze splecionymi literami M i B, wieczorami zaś rozmowy prowadzone z tym człowiekiem, który skradł jej serce, gdy była jeszcze dziewczynką.

— Zdajecie sobie sprawę, jak zmienny i kapryśny jest los?

— Dlaczego tak mówicie, Ruth?

— Po waszym powrocie zawsze brakowało mi czasu na wysłuchiwanie opowieści na temat waszych podróży, a teraz jestem ich jedyną słuchaczką. Tak bardzo podoba mi się w waszym świecie! Nie chcę żyć ograniczona zwyczajami mojego ludu za murami Cali!

— To tylko przejściowa sytuacja, wasz ojciec znajdzie sposób, by z czasem wszystko wróciło do normy.

— Jakże mało znacie Żydów! Tradycja to ciężka płyta na grobna, która nas przygniata, a szczególnie kobiety.

— W waszej religii są pożyteczne zwyczaje. Wszystkim nigdy się nie dogodzi.

— Dajcie mi jakiś przykład. Spójrzcie na moje siostry, uzależnione od tego, czy ojciec zaaprobuje ich małżeństwa z mężczyznami, których może nawet nie kochają...

— Wiem, że wasz ojciec kieruje się rozsądkiem i doświadczeniem. Porywy namiętności, która wszystko trawi i rządzi nami za młodu, są przelotne. Wśród mojego ludu też obowiązują w tym względzie pewne zwyczaje, tyle że nie mają rangi prawa. Ale zwyczaj z biegiem czasu staje się prawem.

— Zatem sugerujecie, że gdyby wasza piękna miłość znalazła spełnienie, okazałaby się porażką?

Umiejętność polemizowania, którą Ruth niewątpliwie odziedziczyła po ojcu, peszyła Martiego, czekał jednak z radością przez cały dzień nadejścia wieczoru, by prowadzić te pouczające pogawędki ze swą podopieczną.

Zadała mu właśnie owo kłopotliwe pytanie, gdy w progu pojawiła się znajoma postać Omara.

— Czy mogę, panie?

— Jak zawsze, Omarze.

Maur podszedł bliżej i zwyczajowo zatrzymał się kilka kroków przed swoim panem.

— Powiedz mi, co cię do mnie sprowadza o tej porze? Dla czego nie odpoczywasz z rodziną? Doczekasz się, że Naima, Mohamed i mała Amina cię znienawidzą.

— Dobrze wiecie, panie, że moja rodzina modli się codziennie przed snem do Allacha, by jeszcze przez wiele lat zachował was przy życiu.

— Przez długi czas nie miało ono dla mnie znaczenia, ale zacny Eudald, jak niemal zawsze, miał rację: najpiękniejsze sny przemijają i rodzą się nowe. Życie nas zaskakuje. — Gdyby Marti przyjrzał się oczom Ruth, dostrzegłby w jej źrenicach szczególny blask. — A więc, Omarze, słucham cię.

— Otóż, panie, kiedy dziś rano byłem w sklepie, Mohamed powiadomił mnie, że jakiś człowiek chce rozmawiać ze mną w ważnej sprawie. Pomyślałem, że to ktoś, kto szuka pracy albo chce się poskarżyć na złe traktowanie. Kazałem go wprowadzić. Po chwili wszedł na górę po schodach osobnik, który wyglądał na żołnierza, choć był ubrany jak kupiec.

— „Jesteście Omar, pełnomocnik Martiego Barbany?” — spytał.

— „Tak — odparłem. — A kim wy jesteście?”.

— „To bez znaczenia. Mam ważną wiadomość dla Martiego Barbany i kazano mi ją wręczyć niejakiemu Omarowi. Nie obchodzi mnie jej treść i nie chcę, by ktokolwiek wiedział, że ją dostarczyłem, bo powinienem być teraz gdzie indziej. Jeśli jej nie przyjmiecie, czort z wami, byleście potwierdzili na piśmie, że tu byłem i chciałem wam ją oddać. Od tego momentu nic mnie już nie interesuje”.

— Wysłuchawszy jego słów, wyczułem, że chodzi o coś ważnego i że osoba, która go przysłała, was zna. Podpisałem więc papier i przyjąłem list.

— Czego dotyczy?

Omar poszperał w skórzanej sakiewce i wyjął opieczętowany zwój pergaminu, który podał Martiemu.

Ten podniósł się z krzesła i odebrawszy z rąk służącego pergamin, podszedł do kaganka. Przyjrzał się uważnie łąkowej pieczęci, ale jej nie rozpoznał. Złamawszy ją, rozłożył pergamin.

W miarę jak przebiegał wzrokiem zwarty tekst listu, jego twarz posępniała.

15 grudnia 1057 roku

Panie,

Nie znacie mnie, ale ja znam Was dobrze. Znajdziecie w tym liście dowody, że moje słowa są szczerą prawdą jak to, że codziennie wschodzi słońce. Możecie sobie wyobrazić, że osoba, która to pisze, kieruje się zemstą,

ale ocenialibyście mnie niesprawiedliwie, gdyż będąc bliska śmierci, pragnę jedynie pojednać się z Bogiem.

Wasza ukochana Laia, jak dobrze wiecie, zginęła, rzucając się z murów rezydencji doradcy hrabiego, Bernata Montcusiego. Wy owej fatalnej nocy jedliście tam wieczerzę. Nie znacie motywów, które skłoniły ją do tak rozpaczliwego kroku, ale ja znam. Byłam dzień po dniu świadkiem jej cierpień. Wiem dokładnie, co nią kierowało. Zniewolił ją człowiek, który powinien jej strzec, Bernat Montcusi. I nie dopuścił się gwałtu tylko jeden raz. Trwało to przez długi czas. Miał nad nią władzę jako mąż jej biednej matki, ale nie to decydowało. Radością jej życia i nieodłączną towarzyszką była Aixa, niewolnica, którą jej podarowaliście. Widzicie chyba, że obca osoba nie mogłaby o tym wszystkim wiedzieć, gdyby nie znała prawdy i nie obserwowała wszystkiego z bliska? A więc niewolnica została uwięziona, poddana torturom i niekończącym się szykanom, między innymi głodówce, by zmusić Laię do ulegania żądom jej ojczyma. Dziewczyna utraciła kwiat swego dziewictwa na ołtarzu lubieżności satyra, który chciał ją mieć tylko dla siebie. Ale sprawy czasem się komplikują i nie zawsze dzieje się tak, jak zaplanujemy. Laia urodziła kalekiego syna, którego straciła wkrótce po porodzie, lecz podczas jej ciąży Montcusi, który zaspokoił już swe żądze, postanowił, że ją poślubicie i adoptujecie dziecko. Nie wiem z jakiego powodu.

Moje słowa mogą się Wwam wydać bredniami staruchy, ale to, co piszę dalej, przekona Was, że mówię prawdę, bo jedno bez drugiego nie miałyby sensu.

Powiedziano Wam i wszyscy w to uwierzyli, że Wasza niewolnica Aixa zmarła na dżumę. To nieprawda: Aixa była więziona — nie wiem, czy nadal jest — w ufortyfikowanym domu w Terrassie, posiadłości Bernata Montcusiego. Jeśli się tam udacie i nie za-

staniecie jej przy życiu, może Warn wyjaśni, co się z nią stało. Zażądajcie, by kasztelan Fabia de Claramunt powiedział Warn, gdzie jest niewolnica, którą więziono w lochach fortyfikacji. Jeśli to, co mówię Warn o niewolnicy, nie okaże się prawdą, możecie sądzić, że wszystko, o czym wcześniej pisałam, również zmyśliłam i że mam złe zamiary wobec doradcy hrabiego, ale jeśli nie kłamię na jej temat, zrozumiecie, iż reszta tej historii jest też prawdziwa.

Wykorzystajcie te informacje, jak chcecie. Ja mogę już umrzeć w spokoju.

Edelmunda,
dawna służąca don Bernata Montcusiego

Z twarzy Martiego odpłynęła krew. Ruth zerwała się z miejsca i podeszła do niego, podczas gdy Omar, krzycząc, by ktoś przyniósł kieliszek wina, chwycił go pod rękę i posadził na krześle.

Rozmowa w katedrze

Następnego dnia blady jak ściana Marti, ubrany na czarno, czekał w sali kapitulnej katedry, aż Eudald Llobet skończy czytać przy świetle świecy list, który mu wręczył. Ta noc była jedną z najdłuższych w jego życiu. Gdy tylko przeczytał list, zostawił zaniepokojoną Ruth i oddalił się do swych komnat. Obraz jego ukochanej Lai, gwałconej przez nikczemnego ojczyma, podczas gdy on podróżował po świecie, wzbudził w nim straszliwe wyrzuty sumienia. Jak bestia zamknięta w klatce dawał upust swej wściekłości, waląc pięściami w drzwi i meble, aż brakło mu sił. Z upływem czasu jego gniew przemienił się w głuchy żal, a zaczerwienione oczy pały płomieniem zemsty i bólu.

Kanonik oderwał wzrok od pergaminu i spojrzał na swego przyjaciela.

— I co mi powiecie, Eudaldzie?

Ksiądz się zawahał.

— To skomplikowana sprawa, którą długo by trzeba wyjaśnić.

— Rozumiem zatem, że coś o tym wiedzieliście?

— Cóż, to, co ksiądz słyszy na spowiedzi, pozostaje całkowitą tajemnicą.

- Ale jesteście moim przyjacielem! — Marti podniósł głos.
- To mnie nie zwalnia z przestrzegania ślubów. Chrystus jest moim najlepszym przyjacielem i jedynym, któremu muszę dochować wierności.
- Zawiedliście mnie, Eudaldzie.
- Miałem trudny wybór: między wami i moimi powinnościami jako księdza. Wierz mi, Marti, bardzo to przeżywałem i wypełnienie obowiązku kosztowało mnie wiele bezsennych godzin.
- A zatem... Mam wierzyć, że przyzwalacie na takie potworności, by nie być stronniczym?
- Jestem stronnikiem habitu, który noszę. Nie muszę niczego przyznawać ani odrzucać. Moją misją jest nienawidzić grzechu, współczuć grzesznikowi i w miarę możliwości zapewnić spokój jego sumieniu. Nie mogę zawieść zaufania, jakie pokłada we mnie, jako duchownym, święty Piotr za pośrednictwem Kościoła, dając mi moc wybaczenia grzechów tym, którzy przychodzą skruszeni, a już na pewno nie wolno mi opowiadać komukolwiek, co usłyszałem na spowiedzi.
- Zatem potwierdzacie, że wiedzieliście o haniebnej zdradzie?
- Marti, nie zmuszaj mnie, bym sprzeniewierzył się swoim ślubom. Powtarzam, że nie mam prawa nikogo osądzać: moją misją jest przebaczenie. Na podstawie tego listu mogę jedynie uznać, że zostałem poinformowany o tej sprawie.
- Martiemu drżały ręce i wydawał się gotowy na wszystko.
- Rozważ decyzję, którą teraz poweźmiesz — ostrzegł ksiądz. — Doradca jest jednym z *prohoms* Barcelony, hrabia bardzo go ceni i jego macki sięgają wszędzie.
- Jeśli nie postąpię zgodnie z sumieniem, tak jak wy, nie będę mógł spojrzeć na siebie w lustrze.
- Co zamierzasz uczynić?
- Chciałbym zabić go własnymi rękami — syknął Marti z twarzą ściągniętą gniewem.
- Ojciec Llobet spojrział na niego surowo.

— Wiem, wiem — mruknął młodzieniec. — Cóż innego możecie mi powiedzieć niż to, bym działał roztropnie?

— Mogę jeszcze dodać, że doradcy nie ma w mieście. Wyruszył z orszakiem hrabiego do Murcji — wyjaśnił duchowny, dziękując za to Bogu. — I, o ile mi wiadomo, wyprawa potrwa długo...

Marti opuścił głowę, starając się stłumić trawiący go żal.

— Dobrze, zaczekam. Ale coś wam obiecuję: na razie ani jedno *mancuso* z moich dochodów nie trafi do jego skarbcza. Sama myśl o tym budzi we mnie wstręt.

— We mnie nawet większy, ale weź pod uwagę, że konsekwencje mogą być poważne, nie tylko dla ciebie, ale również dla twoich dóbr i osób z tobą związanych.

Marti wstał.

— Nadeszła pora, by się zadeklarować, ojczu. Mogę na was liczyć, czy nie?

— We wszystkim, co nie koliduje z moimi ślubami. Jako człowiek i jako twój opiekun, którym się czuję, oczywiście ci pomogę.

Choć oczy Martiego wypełniły się łzami, ton jego głosu pozostał niewzruszony.

— Zatem proponuję, byśmy sprawdzili, czy Aixa żyje, czy też zmarła na dżumę. Macie jakiś pomysł, jak to zrobić?

— Zdaje się, że mój miecz i *\2SZT,?L* od dawna wiszą bezużytecznie i chyba czas, bym je odkurzył.

Zakapturzone postacie docierały pojedynczo do drzwi jednego z magazynów na plaży Montjuic, rozglądając się uważnie na boki. Słyszając stukanie rękojeścią noża lub sztyletu, Omar otwierał im i bez słowa wskazywał gestem, by wchodzili do środka. Spiskowcy zbliżali się jeden po drugim do oświetlonego dwoma kagankami stołu, na którym leżał wielki pergamin z naszkicowanym planem. W miarę jak odsłaniali twarze Marti, pełniący rolę gospodarza, rozpoznał Eudalda Llobeta, odzianego w strój

wieśniaka, Greka Manipoulosa, kapitana, który wniósł do jego spółki statek „Stella Maris”, oraz Feleta i Jofrego, przyjaciół z dzieciństwa, a obecnie współników. Omar, zamknąwszy drzwi magazynu, w którym trzymano typowe narzędzia cieśli, uszczelniaczy, kowali i kotlarzy, również podszedł do stołu.

— Panie, wszędzie panuje spokój. Możecie zaczynać, kiedy chcecie. Ja zostanę na zewnątrz na straży. Gwizdnę, gdyby ktoś się zbliżał.

— Dobrze. Podejdźcie tu, przyjaciele — rzekł pobladły Marti.

Zebrani zostawili swoje rzeczy na taboretach stojących obok przepierzenia i podeszli do niego.

— Zechciejcie, Eudaldzie, wyjaśnić, w jakiej sprawie we zwałem moich kapitanów. Wolę, by nie mieli wrażenia, że wy wieram na nich presję.

— Przede wszystkim chciałbym wam podziękować, że tak szybko zjawiliście się na wezwanie Martiego — zaczął korpulentny kanonik. — Tym bardziej że chodzi o sprawę, która nie ma nic wspólnego z morzem ani waszymi obowiązkami. Marti pragnie, bym wszystko wam dokładnie wyjaśnił, gdyż konsekwencje mogą być nieprzyjemne.

Jofre przemówił w imieniu całej trójki:

— Mogę potwierdzić, że kieruje nami jedynie przyjaźń i odda nie naszemu druhowi. Poza tym jesteśmy mężczyznami. Nie sądzimy, by na ziemi groziło nam większe niebezpieczeństwo od tych, które nas spotykały i niewątpliwie jeszcze czekają na morzu.

— Są różne niebezpieczeństwa: jedne oczywiste, inne ukryte. Skorpion czyhający pod skałą może być groźniejszy niż wilk, który atakuje wprost.

— Skończmy z dygresjami i przejdźmy do sedna sprawy, bo czasu nie mamy zbyt wiele — wtrącił Manipoulos.

— Dobrze, panowie. Chodzi o naprawienie krzywdy i wymierzenie sprawiedliwości. Ale bez wątpienia oznacza to starcie z kimś bardzo wpływowym.

Grupa złożona z siedemnastu osób podążała bocznymi drogami w kierunku Terrassy. Czterech ludzi jechało na koniach, a reszta w dwóch powozach. Unikali przejeżdżania przez wioski, gdyż ich wygląd zdecydowanie nie budził zaufania. Każdy z trzech kapitanów wybrał do tego przedsięwzięcia czterech najlepszych ludzi ze swoich zbójceckich załóg. Byli to marynarze i choć nie różnili się zbyt od większości podejrzanych osobników, mieszkających w portach Morza Śródziemnego, podróżując za dnia przez Katalonię, za bardzo zwracaliby na siebie uwagę. Wzięto by ich w najlepszym razie za bandę rozbójników, na których czele galopował potężny kapitan. Wyprawą dowodził Eudald Llobet, który usprawiedliwił swój wyjazd rzekomym zleceniem hrabiny Almodis. Dosiadał wspaniałego rumaka, przypominając sobie czasy, gdy był żołnierzem. Marti, Jofre i Felet jechali konno u jego boku, natomiast Omar i Manipoulos, czujący się na grzbiecie konia o wiele bardziej niepewnie niż na pokładzie statku podczas sztormu, prowadzili powozy, w których przewożono szczególny oddział, wyposażony w sprzęt niezbędny do przeprowadzenia ryzykownej akcji.

O zmroku dotarli do celu: ufortyfikowanej *masii* w pobliżu Terrassy. W brzozowym lasku, z którego widzieli to miejsce, pięciu jeźdźców zsiadło z koni, by wymienić uwagi. Eudald, który miał najwięcej do powiedzenia, gdyż znał się na atakowaniu fortec, wyraził swoje zdanie:

— Jeśli zachowamy ciszę i ostrożność, nie powinno być żadnego problemu.

— Wyjaśnijcie to — poprosił szeptem Marti.

— To nie jest twierdza nie do zdobycia, raczej ufortyfikowana *masia*, gdzie bez wątplenia rezyduje kasztelan pobierający podatki na danym obszarze. Zauważcie, że wieża, którą widać po północnej stronie, nie ma nawet blank.

— A zatem?

— Moja rada jest następująca. Na szczycie murów widać stanowiska, gdzie z pewnością drzemią wartownicy. Trzeba się tam wspiąć i dyskretnie ich unieszkodliwić. Pozostali strażnicy

są na dole w wartowni, śpią albo grają w kości. Gdy dwóch lub trzech ludzi się nimi zajmie, czwarty otworzy bramę, by inni mogli wejść. Reszta to już drobiazg. W tym momencie wtrącił się Jofre:

— Marti, jeśli pozwolisz, ja to załatwię.

Marti odwrócił się do przyjaciela.

— Co zamierzasz?

— To proste. Robiłem to nieraz na wzburzonym morzu. W po wozach mam haki do abordażu. Dobiorę tylko odpowiednich ludzi. Niektórzy potrafią wspinać się po linach jak małpy. Błyskawicznie wejdziemy na górę. Z wartownikami poradzimy sobie jak z zaskoczoną załogą statku. Czekać przy bramie i nim kur zapieje, wszyscy będziecie w środku.

— Rzućcie haki, kiedy zaczną bić dzwony na jutrznię, wtedy brzęk metalu o kamienie nikogo nie zaalarmuje — poradził Eudald. — Teraz będą dzwonić po raz ostatni. Potem dopiero o świcie.

— No to wybieraj ludzi — powiedział Marti, zwracając się do Jofrego.

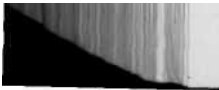
— Znajdź tylko trzech, ja też idę.

— Dobrze, Felecie. My zaczekamy tutaj, wśród drzew, aż otworzy się brama. Potem szybko wbiegniemy do środka. I jeschce jedno: pamiętajcie, żeby nie używać imion. Tylko ja odpowiadam za tę akcję.

Wszyscy skinęli głowami.

Jofre zbliżył się do grupy ludzi, którzy stali z boku, czekając na rozkazy. Pomówił z nimi krótko i zaraz znaleźli się trzej ochotnicy: Beppo z Pizy, Jonat zwany Małpą z powodu łatwości, z jaką wspinał się po linie, i Sisquet z Menorki, który był z Jofrem od czasów, gdy zajmował się piractwem. Pozostali ukryli się za pierwszą linią drzew.

Gdy rozległo się bicie dzwonów na jutrznię, trzy haki do abordażu wbiły się w blanki murów i po linach, które z nich zwisały, ludzie Martiego wspięli się jak małpy. Czas jakby stanął w miejscu. Nie słyhać było żadnych krzyków ani hałasów.



W końcu solidna brama zaczęła się otwierać i reszta spiskowców, na których czele, mimo swego wieku, biegł Eudald, dotarła w absolutnej ciszy na niewielki dziedziniec. Jofre, przykładając palec do ust, zwrócił się do Martiego:

— Żadnych komplikacji. Na jednym ze stanowisk nie było nikogo, a na drugim drzemał wartownik, który jest zakneblowany. Sisauet go pilnuje.

Przez okno wartowni widzieli blade światło pochodni. Drzwi były zamknięte. Pięciu mężczyzn odpoczywało na siennikach, a jeden próbował odgrzać kawałek mięsa nad żarem małego kominka.

Licząc na element zaskoczenia, Eudald wyważył kopniakiem drzwi i wpadł do środka. Nieszczęśni żołnierze zaledwie się obudzili, gdy temu, który próbował podgrzać mięso, spadł na podłogę cynowy talerz, a z klitki w głębi wartowni wyskoczył oficer straży w samej koszuli i zapinając spodnie, krzyczał głośno, co się dzieje.

— Nic się nie stało ani się nie stanie, jeśli będziecie rozsądni i posłuchacie moich poleceń.

Jeśli ktoś nie wiedział, że Llobet jest księdzem, jego wygląd mógł naprawdę budzić grozę. Był potężny, a w prawej ręce dzierżył ogromną maczugę zakończoną żelaznymi szpicami.

— Kim jesteście i czego chcecie?

— To ja wydaję rozkazy i zadaję pytania.

Oficer rozejrzał się i na widok napastników dał za wygraną.

— Ilu macie żołnierzy i gdzie są?

— Dwudziestu pięciu. Śpią w podziemiach domu.

— Są tam jakieś drzwi, które można zamknąć od zewnątrz?

— Drzwi mają dwa skrzydła i dają się zaryglować poprzeczną belką.

— Poślijcie jednego z waszych ludzi, z którym pójdą dwaj moi. Jeśli okaże się na tyle nierozsądny, by próbować ostrzec swoich towarzyszy, i on, i wy będziecie martwi.

— Ja o to zadbam — zapewnił Manipoulos.

Oficer posłał jednego z przerażonych żołnierzy, by wypełnił polecenie.

— Teraz niezwłocznie pójdziecie z nami do komnat kasztelana.

— W tym domu nie ma kasztelana, tylko zarządca. Garnizonem dowodzę ja, a dobrami pana zarządza człowiek, który śpi w wieży.

— Więc zaprowadźcie nas do niego.

Dowódca straży poprosił o pozwolenie, by mógł się ubrać, co uczynił w obecności pozostałych dwóch napastników. Potem, wyglądając już jak należy, wyszedł w towarzystwie Llobeta, Martiego i Jofrego, podczas gdy resztą żołnierzy zajął się Felet i jego ludzie.

Miejsce to było małym przygranicznym zamkiem z ciasnymi pomieszczeniami i skromną drewnianą wieżą, wzniesioną na kamiennych fundamentach. Weszli po schodach i znaleźli się przed drzwiami sypialni zarządcy.

Marti wyszeptał oficerowi rozkazy na ucho.

Ten zastukał w grube drzwi i po chwili ze środka odpowiedział zaspany głos:

— Czego chcecie o tej porze?

— Don Fabia, mamy mały pożar w kuchni, powinniście tam pójść.

Usłyszeli szelest odzieży, głosy dwóch osób, kobiety i mężczyzny, i szuranie. Drzwi się otworzyły i w progu pojawił się człowiek z kagankiem w ręce, skąpo ubrany, z rozczochranymi włosami. Zdziwiony ich widokiem, próbował cofnąć się do sypialni, co uniemożliwili mu Jofre i Marti.

Zarządca dał za wygraną. Nie tracąc jednak rezonu, powiedział:

— Panowie, tu jest moja żona. Proszę, byście zachowywali się jak cywilizowani ludzie. Zrobię, co chcecie.

— Nie mamy złych zamiarów. Postępujcie rozważnie, tak jak mówicie, a wszystko wyda wam się tylko przykrym snem.

Ze środka dał się słyszeć kobiecy głos:

— Co się dzieje, Fabia?

— Nic, kobieto, odpoczywaj. Mały pożar w wojskowej kuchni.

— Zabierzcie nas w jakieś miejsce, gdzie możemy pomówić tak, by nikt nam nie przeszkadzał — rozkazał Marti spokojnie.

Zarządca poprowadził nieoczekiwanych nocnych gości do głównego salonu, gdzie kazał jednemu ze swoich ludzi rozpalic ogień w kominku. Potem zwrócił się do nich:

— A zatem, panowie?

Głos zabrał Marti.

— Nazywam się Marti Barbany. Nie ma potrzeby, bym przed stawiał wam pozostałych. Wybaczcie to dziwne najście. Jesteśmy porządnymi ludźmi, niczego nie musicie się obawiać, jeśli nie będziecie próbowali nam przeszkadzać.

Zarządca odpowiedział z ironią:

— Porządni ludzie, którzy napadają na cudzą posiadłość pod osłoną nocy? Ciekawa historia... Weźcie pod uwagę, że właściciel tego miejsca ma długie ręce.

— Dobrze znamy don Bernata Montcusiego — oznajmił Eudald.

Zarządca, zorientowawszy się, że choć znają nazwisko jego pana, ośmielili się napaść na *masie*, którą dostał on w dodatku w prezencie od hrabiego Barcelony, wyczuł, że sprawa jest poważna i że napastnicy nie są byle kim.

— Porządni ludzie przybywają za dnia i pukają do drzwi — odparł. — Tak czy inaczej, niech wasze miłości powiedzą, czego sobie życzą.

Znów odezwał się Marti:

— Powiedzcie, ilu macie więźniów w lochach tego zamku?

Zarządca ściągnął brwi. Wyczuwał, że dzieje się coś dziwnego.

— W tym zamku, który właściwie nim nie jest, są dwa lochy: w jednym trzymamy paszę na zimę, a w drugim siedzi więźniów.

— Powiedzcie raczej: więźniarka.

— W istocie.

— Od jak dawna jest tam zamknięta?

— Nie wiem dokładnie. Ze trzy lata.

— Zaprowadźcie nas do niej.

Don Fabia nic nie odpowiedział. W głębi duszy sprawa więźniarki budziła w nim odrazę i gdyby wydarzyło się coś, co położyłoby kres temu bezprawiu, jego serce by się uradowało.

— Chodźcie za mną.

Ruszyli. Zszedłszy z niewielkiej wieży, przemierzali dziedzi-
niec, zostawiając za sobą wartownię, i dotarli do niewielkich
drzwi. Zarządca kazał oficerowi poświecić woskową pochodnią
i otworzył je. Znaleźli się w korytarzu przesyconym zapachem
paszy. W pierwszej celi, jak mówił zarządca, złożono powiązane
porządnie bele słomy i lucerny. Na końcu korytarza widać było
drzwi, zza których docierała mdła poświata. Tam się skierowali.
Człowiek z pochodnią przystanął i oświetlił wnętrze celi. Marti
i Eudald pochyliłi się przy kracie. Na ławie leżała postać, która
próbowała się podnieść. Miała na sobie worek ze zgrzebnego
płótna założony przez głowę i przewiązany w pasie sznurkiem.
Była to kobieta. Wstała i odgarnęła z twarzy kosmyki splecionych
włosów. Marti, zobaczywszy, jak strasznie wygląda jego dawna
niewolnica, którą z trudem rozpoznał, zachwiał się i musiał się
oprzeć o wilgotną ścianę.

— Otworzyć drzwi!

Rozkaz, który wydał Llobet, zabrzmiał kategorycznie.

Oficer zdjął z haka na ścianie gruby klucz, włożył go do zamka
i przekręcił. Zawiasy zaskrzypiały, gdy Eudald otworzył drzwi
jednym pchnięciem. Marti wszedł spieszenie do środka i gdy tylko
chwycił Aixę, ta omdlała w jego ramionach. Położyli dziewczynę
na pryczy i chochlą, którą przyniósł jeden z ludzi, napoili ją wodą.

— Co oni ci zrobili, moja przyjaciółko? — pytał Marti.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Wyczuwając czyjaś obecność,
zwróciła ku niemu puste oczodoły, w których były kiedyś jej
czarne oczy. Potem dotknęła palcami jego twarzy, jakby był
zjawą, i próbowała się uśmiechnąć. Martiego przeszły ciarki.

— Mów, na Boga!

Dziewczyna rozchyliła usta i wydobył się z nich ochryply
dźwięk.

Mimo wszystkich potworności, jakie Eudald Llobet widział
w swym długim życiu żołnierza, nie mógł powstrzymać okrzyku
grozy i oburzenia. Dziewczynę nie tylko oślepieno, ale w dodatku
obcięto jej język.

CZEŚĆ PIĄTA

Pieniądze i honor

Kampania w Murcji

Był rok 1058. Kataloński *host* rozbił obóz w okolicach Murcji, czekając na przybycie kawalerii al-Mutamida. Dotarli aż do tego miejsca, znosząc niedostatki i przeciwności losu, zawierając pakt i strasząc groźbami, przemierzając wiele mauretańskich *taif*, które albo do nich dołączyły, albo nie śmiały przeciwstawić się tak zaprawionej w bojach i licznej armii. Hrabina nie poddała się i towarzyszyła małżonkowi wraz ze świtą, Lionor i Delfinem. Dona Brigida i dona Barbara zostały w Barcelonie, by opiekować się bliźniakami oraz małą Ines i Sanchą. Almodis była bardzo niezadowolona, że podejrzana grypa pozbawiła ją tym razem towarzystwa jej spowiednika, Eudalda Llobeta.

Ramón Berenguer miał zmienne nastroje i co u niego nietypowe, wyładowywał się na innych. Przyczyniała się do tego fatalna pogoda. Odkąd rozbili obóz, deszcz lał bez przerwy. Namioty, pasza dla zwierząt i odzież *hostu* z Barcelony były przesiąknięte wodą. Zbroje rdzewiały i wszystko przenikał smród pleśni. Trudno było rozpalać ogniska, więc strawę podawano na zimno i wśród żołnierzy szalała dyzenteria, zmuszając inżynierów do budowy nowych kloak. Jakby tego było mało, bezczynność i ciągle przebywanie w namiotach prowokowały kłótnie i bójki, czy to podczas gry w kości, czy z innych błahych powodów. Na

domiar złego armia pariasów, podążająca zwykle za wojskiem, również cierpiała. Doskwierał im głód i co rano znajdowano przy palisadzie zwłoki tych, którzy próbowali ukraść kielbasę, jagnięcy udziec albo choćby kęs jedzenia.

Rozmowa odbyła się w namiocie Almodis, stojącym obok namiotu hrabiego, ale tym razem w pewnej odległości, gdyż codziennie odbywał on u siebie narady z majordomem i kapitanami, co uniemożliwiało hrabinie odpoczynek.

Przez otwór w stożkowatym namiocie wpadało blade światło, gdyż zasłonki z impregnowanej skóry musiały być zaciągnięte, by woda nie zalewała wnętrza. Mimo wszystko ustawiono na podłodze w odpowiednich miejscach gliniane pojemniki, by nie tworzyły się kałuże, które mogły zniszczyć dywan. Dwa pięcioramienne kandelabry zapewniały dość światła, aby się widzieć i rozmawiać, ale nie wystarczało go do pracy ani lektury. Delfin siedział u stóp dwóch dam na małym taborecie, małomówny i skwaszony, gdyż z powodu wilgoci bolały go kości.

— Co o tym wszystkim sądzisz, Lionor? — spytała hrabina.

— Myślę, że wpadliśmy w tarapaty, pani. Wojna sama w sobie jest strasznie uciążliwa. Jeśli dodać do tego fatalną pogodę i niekończące się czekanie, rozumiecie, że nie wygląda to obiecująco.

— A ty, Delfinie, mój przyjacielu, do jakich doszedłeś wniosków?

Karzeł, rozgarniając szufelką żar w ogromnym koksowniku, odparł:

— Pani, prędzej ja urosnę, niż nadejdą posiłki od Maura.

— Co sugerujesz?

— Nie sugeruję, stwierdzam. I nie odkrywam niczego nowego. Już przed wyruszeniem z Barcelony wiedziałem, że to musi się źle skończyć.

— A dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

— Kim ja jestem, biedaczysko, by próbować powstrzymać wyprawę, która budziła tyle nadziei? Myślicie może, że ktoś liczyłby się ze zdaniem garbatego błazna? Gdybym zabrał głos,

aby zapobiec tej wyprawie, dostałbym baty albo spotkałoby mnie coś gorszego.

— Zawsze słucham twoich przestroóg.

— Tak, kiedy dotyczą waszej osoby, ale rezygnowanie z kampanii wojennej tylko dlatego, że błazen hrabiny ma przecucia, to wbrew zdrowemu rozsądkowi. Były do zdobycia daniny i za szczyty, lud wiwatował, żołnierze spodziewali się łupów i dużego żołdu. Cóż pozostawało innego, niż pójść za nimi na śmierć?

— Co przepowiadasz?

— Maurowie się nie zjawiają, a byłoby szaleństwem atakować samotnie i bez pomocy. Armia katalońska by się skompromitowała. Murcja jest otoczona murami i dobrze broniona, a może jeszcze otrzymać pomoc z innych *taif*.

Ledwo wypowiedział te słowa, dźwięk rogu obwieścił, że do namiotu hrabiego zbliżają się żołnierze.

Lionor wyjrzała na zewnątrz, żeby zobaczyć, co się dzieje, i wróciła zaniepokojona.

— Pani, majordom i wszyscy kapitanowie schodzą się na naradę. Przybyło poselstwo mauretańskie. Zostawili przy bramie swoje konie, osiodłane na sposób muzułmański.

Wieczorem, przy wtórce nieustannego bębnienia deszczu o grube płótno, Almodis i Ramón rozmawiali w namiocie, który hrabia przemierzał tam i z powrotem wielkimi krokami.

— Posel mówi, że przybór wód Gwadiany zatrzymał konnicę ze wszystkimi wozami, które wiozły sprzęt do oblężenia, i nie mogą przeprawić się na drugi brzeg. Co ci podpowiada twoja przenikliwość?

— Wybraliśmy niewłaściwych współników, mój mężu. My wypełniliśmy nasze zobowiązania, a słowo daję, że nie było łatwo dotrzeć tutaj z Barcelony. Nigdy nie można ufać niewiernym: są chytry i nieprzewidywalni, dziś są twoimi sprzymierzeńcami, a jutro sprzedadzą się temu, kto da więcej albo najbardziej im odpowiada.

— Musisz wziąć pod uwagę, że wyruszyliśmy z ponad sześć cioma tysiącami ludzi i będziemy zrujnowani, jeśli zawrócimy, nie mając z tego żadnych korzyści. Konnica miała się przydać, gdyby obrońcy miasta wyszli na otwarte pole. Po to jednak, by przygotować długie oblężenie, wystarczą mi siły, które sprowadziłem.

— Nie sędzę, by była to rozsądna decyzja. Murcja to dla ciebie tylko kłopot. To odległa *taifa*, trudna do obrony w razie gdyby, po zakończeniu oblężenia, odmówili składania daniny. W ciągu roku mogą otrzymać pomoc, choćby nawet opłacając Almorawidów z Afryki, a w tym przypadku byłoby ryzykowne z nimi walczyć.

— Nie mogę wracać do Barcelony, nie odnosząc korzyści z tej wyprawy. Zrujnowałoby to hrabstwo i oznaczałoby kompromitację.

— Kto mówi, że ta ekspedycja przyniesie ci straty?

— Jeśli nie zdobędę miasta, niczego nie zyskam.

— Masz zakładnika. Wykorzystaj to.

— To syn króla Sewilli, którego wojsko jest w drodze.

— Umowa jest umową i zawiera wiele warunków. Są w drodze, ale nie przybyli. Mieli termin dwudziestu dni, który znacznie przekroczyli. A tym, że zakładnikiem jest syn al-Mutamida, należy się cieszyć, a nie martwić. Król Sewilli skwapliwie zapłaci okup, który wyznaczysz, aby go uwolnić.

— W jego rękach jest z kolei Marcal de Sant Jaume.

— Biorę to pod uwagę. Czy Abenamar jest zapalonym szlachcą?

— I co z tego?

— Zamień mu pionek na wieżę, a wygrasz.

Kości zostały rzucone. Po długiej naradzie ze swymi dowódcami, na których czele stał majordom Gualbert Amat, a potem z doradcami do spraw prawa i finansów — Poncem Bonfillem i Marchem oraz Bernatem Montcusim — hrabia postanowił pójść za radą żony. Ocali honor tej nieudanej wyprawy i przynajmniej nie straci pieniędzy.

Rozmowa z Abenamarem odbyła się wieczorem następnego dnia.

Maur zjawił się przed Ramónem nienagannie ubrany, jakby korzystał z wszelkich wygód sewilskiego alkazaru. Przy nieokrzesanych dowódcach katalońskiego *host* wyglądał jak postać z malowidła w retabulum.

Sytuacja nie sprzyjała kwiecistym przemowom. Wprost przeciwnie, Ramón musiał zaprezentować wobec dostojnego gościa twardą postawę, jak urażony monarcha, którego próbowali oszukać wspólnicy i który, jako silniejszy, nie zamierzał ustąpić.

— Cóż, mój przyjacielu, rozumiem, że wasz król, podobnie jak ja, nie ma władzy nad siłami natury. Jednakże ja okazałem się władcą roztropnym i godnym zaufania, podczas gdy on improwizował, zapewne wierząc w swą dobrą gwiazdę.

Maur odpowiedział poważnym i spokojnym tonem, mając świadomość, jako dobry dyplomata, że jest w niekorzystnym położeniu.

— Jak słusznie mówicie, człowiek poddany jest niezmiennym prawom przeznaczenia. Od ponad dwudziestu lat nie było takiego przyboru wód Gwadiany. Nasze wojsko utknęło na drugim brzegu. Jeśli nie wierzycie, możecie wysłać zwiadowców, by to potwierdzili.

— Nie wątpię w wasze słowa, ale nie tam powinni teraz być. Moja armia przybyła z Barcelony, pokonując tysiące przeszkód. Żołnierze, choć zmęczeni i przemoknięci, nie stracili woli walki i są gotowi do szturmów. Wystarczy wysunąć głowę z namiotu, by się o tym przekonać. Chcecie, żebym wrócił do domu z pustymi rękami, wyjaśniając hrabiom, którzy tam czekają, i wszystkim moim poddanym, że wody Gwadiany przybrały? Jak spełnię obietnice złożone sojusznikom?

— Nie powiedziałem, że wróćcie z niczym. Mam rozkazy od mego króla, żeby przekazać wam uzgodnioną sumę dziesięciu tysięcy *maravedies*, abyśmy mogli rozstać się jako przyjaciele i sprzymierzeńcy.

— Uważacie mnie za tępaka, pośle? A daniny z Murcji i łupy?

— Mój król również poniesie znaczne straty, ale gotów jest pokryć wasze. Sądzę, panie, że proponują wam sprawiedliwą sumę. Okoliczności sprawiły, że wszyscy ucierpieliśmy.

— Nie przez moją nieudolność ani opieszałość.

— Zatem czego się domagacie?

— Trzydziestu tysięcy *maravedies*, wtedy nic nie zyskam, ale i nie stracę. Sprawiedliwość wymaga, by zapłacił ten, kto zawinił.

Posel lekko zbladł.

— Nie jestem upoważniony, by zaakceptować tak wygórowane żądania.

— Ufam słowu waszego króla. Będę na was czekał w Barcelonie, wierząc, że dostarczycie mi sumę, której sprawiedliwie się domagam.

— Żadna ze stron sporu nie powinna być sędzią we własnej sprawie. Żądana suma wydaje mi się zdecydowanie za wysoka.

— Rozumiem was. To nie wy ani wasz król musicie płacić zółd sześciu tysiącom żołnierzy.

— Nie mnie decydować w tak delikatnej sprawie, ale znając mego monarchę, wątpię, by zgodził się na taką rekompensatę.

— A zatem pogodzimy się z tym, że Marcal de Sant Jaume spędzi trochę czasu jako zakładnik al-Mutamida w Sewilli.

Abenamar pojął aluzję i najwyraźniej zrobiło to na nim wrażenie.

— Sugerujecie zatem, że księżę ar-Rashid pozostanie w Barcelonie?

— Nie sugeruję, pośle. Oznajmiam. Będzie traktowany tak samo jak mój zięć.

— Ale ar-Rashid jest następcą tronu.

— A Marcal jest dla mnie jak brat. Zatem już wiecie: w ciągu niecałego tygodnia zwinę obóz i będę czekał na was w Barcelonie. Chciałbym móc powitać was równie uroczyście jak ostatnim razem, gdy przybyliście prosić o przysługę.



Złe nowiny

Bernat Montcusi wrócił z nieudanej wyprawy do Murcji w podłym nastroju. Nie był żołnierzem. Nie znosił niewygód, będąc poza domem nie mógł zajmować się swoimi interesami, a w dodatku jego skarbiec nic na tym nie zyskał. Jediną korzyścią było to, że brał udział w negocjacjach, umacniając swą pozycję jako prawa ręka hrabiego do spraw finansów.

W domu podczas jego nieobecności wszystko układało się jednak jak najgorzej. Złe nowiny dotarły do niego jeszcze przed przybyciem posłańca. Wiedział już o napadzie na posiadłość w Terrassie, ale nie znał jeszcze szczegółów i konsekwencji tego wydarzenia. Miał dowiedzieć się wszystkiego z pierwszej ręki tego popołudnia, gdyż dawny kasztelan, a obecnie tylko zarządca *masii*, don Fabia de Claramunt, prosił go o audiencję.

Conrad Brufau, jego sekretarz, który przekazał mu wcześniej złe wiadomości, oznajmił właśnie przybycie gościa. Claramunt był sprawnym zarządcą, który miał jednak talent do wyprowadzania Bernata z równowagi, gdyż nie przyjmował służalczej postawy, jak wielu innych, lecz okazując mu należyty szacunek, wyrażał swoje opinie, które w istocie nie zawsze były właściwe.

- Don Fabia de Claramunt czeka w przedsionku.
- Niech wejdzie, Conradzie.

Sekretarz wyszedł i po chwili zjawił się w gabinecie drażliwy zarządca.

— Witaj, Claramuncie.

— Witajcie, panie.

— Wejdźcie i usiądźcie. Zaraz was wysłucham.

Gdy zarządca zajmował miejsce, Bernat zebrał rozrzucone na biurku przybory do pisania, skrzyżował ręce na brzuchu i skierował na niego wzrok.

— Dotarły do moich uszu złe nowiny, Fabia. Chcę, byście mi opowiedzieli, co się stało, i wyrazili swoje zdanie.

— Czekając w przedsiönku, rozmawiałem z senorem Brufau-nem, który powiedział mi, że zaznajomił was już ze sprawą, więc żeby się nie powtarzać, co byłoby nużące i naraziło was na stratę czasu, postaram się mówić zwięźle. Otóż zdarzyło się to w nocy w ostatni piątek minionego miesiąca.

W ciągu godziny Claramunt zapoznawał swego pana z wy-darzeniami owej nocy, gdy porwano niewolnicę.

— Rozumiem, że strażnicy nie wykazali należytej czujności.

— Przyznaję, panie, że tak było, ale weźcie pod uwagę, iż Terrassa nie jest już ufortyfikowaną *masią*, choć otaczają ją mury, a ja czuję się tylko poborcą podatkowym. Żyjemy w pokoju z sąsiadami i przez te wszystkie lata nie wydarzyło się tam nigdy nic nadzwyczajnego.

— To nie usprawiedliwia waszego niedbalstwa.

— Chcieliście powiedzieć: niedbalstwa oficera, któremu powierzyliście dowództwo garnizonu. Strzeżenie posiadłości nie należy do moich kompetencji. Wiecie, że przestałem być kasztelanem już wiele lat temu. Tak czy inaczej, uprze-dzając wasze życzenie, ukarałem dowódcę straży za jego opieszalność.

Bernat zostawił chwilowo na boku kwestię poważnego zanie-dbania i zajął się innymi sprawami, które o wiele bardziej go interesowały.

— Nikogo nie rozpoznaliście?

— Była ciemna noc. Zaskoczyli mnie, gdy tylko zasnąłem,

nie było szkód ani rozlewu krwi. Poza tym nie musiałem pytać, kim są. Ten, który przewodził grupie, nie starał się ukrywać swej tożsamości.

— I jak się przedstawił?

— Jako Marti Barbany z Montgri. Powiedział, że dobrze was zna.

Fabia de Claramunt zauważył krople potu, które zaczęły spływać po czerwonej twarzy doradcy. Ten opanował się jednak i rozkazał:

— Mówcie dalej.

— Grupa liczyła piętnastu albo dwudziestu ludzi, którymi dowodził korpulentny jegomość. Człowiek, który się przedstawił, oświadczył, że ponosi całkowitą odpowiedzialność za akcję.

— Co było potem?

— Potem, panie, kazali mi otworzyć celę, w której była zamknięta niewolnica, i zanim ją zabrali, udowodnili mi, że jest to poszukiwana przez nich kobieta, gdyż w notarialnym dokumencie poświadczającym jej wyzwolenie, który mi pokazali i który miał datę sprzed wielu lat, wspomniano o znamieniu pod jej prawą pachą. Była to doskonale widoczna mała czterolistna koniczynka.

— Mówicie, że została wyzwolona?

— To właśnie powiedziałem.

— Co nastąpiło później?

— Zażądali dla niej odzieży, którą osobiście im wręczyłem, i wyszli, ostrzegając, by nikt ich nie ścigał, gdyż w przeciwnym razie będą zmuszeni się bronić.

— I to wszystko?

— Wszystko.

Bernat Montcusi milczał przez chwilę. Potem podniósł się z fotela i zaczął przemierzać wielki gabinet. Nagle zwrócił się do swego gościa.

— Rozumiecie chyba, że nie ujdzie wam to bezkarnie. Chociaż z powodu waszej niezrozumiałej rezygnacji ze stanowiska nie odpowiadaliście za bezpieczeństwo Terrassy, macie większy



autorytet niż oficer, którego mianowałem na wasze miejsce. Najlepszy dowód, że, bardzo zresztą słusznie, ukaraliście go. Claramunt odparł spokojnie:

— Nie do mnie należało strzeżenie *masii*. A jeśli uważacie, że sprzeciw wobec czynów, które urażają najgłębsze chrześcijańskie uczucia, nie jest wystarczającym powodem do rezygnacji ze stanowiska, kierujecie się najwyraźniej innymi zasadami niż te, które mi wpojono.

— Według prawa, które jest ponad wszystkim, zarządca powinien słuchać rozkazów swego pana.

— Wybaczcie, że się nie zgodzę. Ponad prawem jest sumienie każdego człowieka, a moje sprzeciwia się wylupywaniu oczu bliźniemu i obcinaniu mu języka. Co do naszej umowy, pamiętajcie, że nie była zawierana między sługą i panem. Jestem wolnym człowiekiem i przyjąłem proponowane mi stanowisko.

— A zatem zwalniam was i poniesiecie tego konsekwencje!

— Nie musicie. Już przed przybyciem tutaj zamierzałem oddać wam klucze od posiadłości.

I zostawiwszy obręcz z pękiem kluczy od pomieszczeń *masii*, Fabia de Claramunt wyszedł z gabinetu.

Milczący głos

W miarę upływu miesięcy Aixa wracała powoli do zdrowia po latach spędzonych w piekle. Medyk Halevi przychodził co rano odwiedzać wycieńczoną istotę, podziwiając wytrzymałość jej organizmu i siłę ducha. Nikt inny nie przeżyłby w tak nieludzkich warunkach, znosząc samotność i cierpienia, jakich musiało jej przysporzyć oślepienie i obcięcie języka. Widywała jedynie strażnika, który codziennie przynosił jej zupę z rozdrobnionymi kawałkami jedzenia. Bernat Montcusi najwidoczniej chciał, by żyła w tej udreńce długie lata. Gdy Marti powiedział Aiksie, jak zginęła Laia, z jej pustego oczodołu spłynęła drżąca łza, a z gardła wyrwał się rozpaczliwy jęk.

Ruth cierpiała w milczeniu i kierując się czułym sercem, opiekowała się tą bezradną istotą, odgadywała jej życzenia i spełniała je. Dzięki temu, co opowiedział jej Marti i językowi gestów, którym zaczęła stopniowo porozumiewać się z Aixą, polegającym na delikatnym dotykaniu grzbietu dłoni i skinieniach głowy, dowiedziała się o dramacie dziewczyny i pojęła, jak ogromną ofiarę poniosła Laia z miłości do swej przyjaciółki. Ruth doszła w ten sposób do wniosku, że czeka ją niewykonalne zadanie. Wolałaby walczyć o miłość Martiego z kobietą z krwi i kości, zamiast ze zjawą otoczoną aurą tęsknoty i poświęcenia.

Po wieczerzy Marti i Ruth poszli jak zwykle na taras z kolumnadą, z którego widać było plażę, gdzie tym razem kotwiczyły dwa spośród statków floty Martiego, składającej się już z dwunastu jednostek. W ciągu minionych lat stracił dwa okręty: jeden z powodu sztormu w zatoce Leon, drugi wskutek ataku piratów.

— Nie mogę się nadziwić, Marti, ile zła jest w człowieku. Dzikie bestie zabijają, żeby jeść, ale nie napawają się nienawiścią, robiąc tak potworne rzeczy, jakie zrobiono tej kobiecie.

— Jesteście jeszcze dzieckiem, Ruth. Ludzie są brutalniejsi od wilków. Niewolnictwo budzi moją odrazę. Nie mogę sprzeciwić się panującym zwyczajom i też mam niewolników, ale staram się, jak mogę, ulżyć ich losowi. Dobrze wiecie, jak są traktowani w tym domu.

— Mój ojciec mówił to samo. W dodatku w obecnych czasach człowiek, który dziś jest wolny, jutro może wstać się niewolnikiem z powodu katastrofy na morzu, najazdu piratów na wybrzeże albo wojny na pograniczu. Nawiasem mówiąc, wróciła już podobno wyprawa z Murcji. Mieliście wiadomości o doradcy?

— Jeszcze nie, ale niecierpliwie na nie czekam — mruknął Marti z gniewem w oczach.

— Uważajcie, Marti. Ten człowiek pokazał, kim jest, torturując Aixę. Ma władzę i może wyrządzić wam krzywdę.

— Mówicie jak ojciec Llobet. Nie bójcie się. Nie jestem już tym chłopcem, który przybył sześć lat temu do Barcelony. Przemierzyłem pół świata, morza i pustynie. Potrafię na siebie uważać. On nie chce, by się dowiedziano, co zaszło, bo okryłby się hańbą.

— Winę trzeba udowodnić, nie wystarczy, że wy wiecie. Boję się.

Marti pogładził jej podbródek.

— Pomówmy o waszych sprawach. Andreu wspomniał mi, że odwiedziła was matka.

— Gdy tylko wyszłście, zaraz po obiedzie. Była, oczywiście, trochę zmartwiona i powiedziała, że mój ojciec chce się z wami widzieć.

— Mówiła, o co chodzi?

— Nie, tylko tyle, że to nie pilnego. Bardzo się cieszy, że mogę praktykować pod waszym dachem moją religię. Radziła mi jednak, bym robiła to bardzo dyskretnie.

— Kiedy ją zobaczę, powiem jej sam, ale gdybym nie miał okazji, wy jej powiedzcie, że może się nie obawiać: nikt z mojego domu na was nie doniesie.

Majordom Andreu Codina zastukał dyskretnie do drzwi tarasu.

— Mów, Andreu.

— Panie, w sieni czeka posłaniec z *officium* do spraw aprowizacji.

— O tej porze? — zdziwiła się Ruth.

— Tak, panie. Chcecie, bym go odprawił?

— Wprost przeciwnie. Czekałem na niego. Nie wyobrażacie sobie nawet, jak niecierpliwie.

— A nie mówiłam, Marti? Bądźcie bardzo ostrożni! — wykrzyknęła Ruth.

Marti wstał i wyszedł do westybulu. Posłaniec z urzędu do spraw aprowizacji i targów czekał z listem w ręce.

— Don Marti Barbany de Montgri?

— We własnej osobie.

— Przynoszę wiadomość, którą muszę wam wręczyć osobiście.

— Więc nie zwlekaj.

— Musicie poświadczyć odbiór.

Mówiąc to, posłaniec podał mu dokument, który Marti uważnie przeczytał i który potem, poprosiwszy Andreu o pióro i kałamarz, podpisał i zwrócił umyślnemu. Ten, otrzymawszy potwierdzenie, wręczył mu urzędowe pismo.

Zaledwie wyszedł, Marti rozerwał lakową pieczęć i zaczął czytać. W odróżnieniu od korespondencji, którą prowadził dotychczas z Bernatem, było to zawiadomienie nakazujące mu stawić się bezwarunkowo w *officium* w czwartek rano.

Otwarta gra

Marti ubrał się jak należy i doprowadził do porządku. Od dawna nie widział doradcy, a teraz, po tym wszystkim, czego się dowiedział, perspektywa ich spotkania budziła w nim silne emocje.

Od śmierci Lai zawsze ubierał się na czarno. Tym razem szczególnie zadbał, by nie mieć na sobie nic kolorowego. Nawet spodnie i ciżemki ze skóry daniela odzwierciedlały żalobę wypełniającą jego duszę.

Gdy wyglądał już odpowiednio i wysłuchał po raz setny przestróg Ruth, wyruszył na spotkanie z sercem ściśniętym nienawiścią.

Gdy tylko wyszedł z domu, przypomniał sobie, jak zjawił się pierwszy raz w urzędzie do spraw targów i aprowizacji. W jakże innym był wtedy położeniu! Dzięki spadkowi po ojcu, wykorzystanemu z rozwagą i wytrwałością, dzięki swej dobrej gwiazdzie i odwadze Marti stał się bardzo bogatym człowiekiem i pomyślał, że oprócz innych korzyści pieniądze i majątek zapewniły mu nieznane wcześniej poczucie bezpieczeństwa i pewność siebie.

Idąc do urzędu do spraw rynków i aprowizacji, powtarzał sobie w myślach, jakie przedsięwziął środki, by zabezpieczyć

się przed konsekwencjami działań, które zamierza podjąć. Doradca mógł się zmienić w straszliwego wroga i ostrożności nigdy za wiele. Im mniej argumentów Montcusi zdoła przeciw niemu wytoczyć, tym lepiej sobie z nim poradzi. Już przed miesiącem przekazał wszystkie swoje interesy związane z drobnym handlem i jarmarkami człowiekowi o nazwisku Tomas Cardeny, który był właścicielem największej liczby niewolników w Barcelonie. Jeśli chodzi o winnice i młyny w Magórii, sprzedał je i kupił nowe statki. Zainwestował też w rozbudowę stoczni, zaopatrując ją w odlewnię i kuźnię oraz dwie szopy, które mogły pomieścić dwa statki, zanim wyposaży się je w niezbędny sprzęt. Tak więc teraz Marti prowadził całą działalność poza murami miasta, nie podlegając jego władzom. Na wybrzeżu, obok cmentarza żydowskiego usytuowanego na zboczu wzgórza Montjuic w pobliżu ujścia rzeki Llobregat, zagospodarował groty, w których przechowywał z dala od centrum amfory z czarnym olejem, wiedząc, jak ostrożnie trzeba się z nimi obchodzić podczas przelewania i magazynowania. Przy wejściu postawił budkę dla strażników pilnujących tego niebezpiecznego produktu.

Gdy dotarł do celu, spięty, ale zdecydowany, wszedł po marmurowych schodach z żelaznymi balustradami prowadzącymi do galerii z podcieniami na piętrze.

W korytarzu i obok gabinetów ujrzał jak zwykle tłum ludzi. Każdy załatwiał swoje sprawy. W ostatnich latach petentów było coraz więcej. Załedwie dotarł do drzwi gabinetu doradcy, spostrzegł go jego sekretarz, Conrad Brufau. Błady i zdenerwowany oznajmił Martiemu, że zarządca wydał polecenie, by został wprowadzony przed jego oblicze, gdy tylko się zjawi. Z zachowania sekretarza Marti wywnioskował, że rozmowa będzie rozstrzygająca. Brufau wprowadził go do gabinetu i wycofał się, zamykając za sobą drzwi.

W gabinecie nic się nie zmieniło. Marti zobaczył ten sam kominek, ogromny piaskowy zegar i wielki stół. Krew zaczęła burzyć mu się w żyłach, kiedy zauważył, że na skórzanym blacie wielkiego stołu nadal stoją miniaturowe sztalugi z niezapom-

nianym wizerunkiem dziewczyny o szarych oczach, które jakby chciały mu coś powiedzieć.

Małe drzwi widoczne za stołem otworzyły się i pojawiła się w nich znieawidzona pękata postać Bernata Montcusi.

Mężczyźni zmierzili się wzrokiem.

Potem doradca podszedł bliżej i usiadł w swym wytwornym fotelu, wskazując Martiemu gestem, by również spoczął.

Zapadła cisza równie głęboka jak nienawiść, która przepelniała duszę Martiego.

— Wiele wody przepłynęło pod mostami, odkąd po raz ostatni miałem przyjemność was gościć — zaczął Montcusi.

— I wiele się w tym czasie wydarzyło — odparł Marti, starając się opanować drżenie głosu.

— Nie tylko dobrego.

— Właśnie.

Znów zamilkli. Doradca, który nadal miał zwyczaj trzymać w dłoniach zabarwione na zielono gęsie pióro, gdy zadawał kłopotliwe pytania, wziął je z tacy po swej prawej stronie i zaczął się nim bawić.

— Zacznijmy od początku. Nie wiedziałem, że zajmujecie się napadaniem pod osłoną nocy na cudze majątki, przewodząc bandzie rzezimieszków.

— Nie powinno was dziwić, że ktoś próbuje odzyskać swoją własność i dobrze wiecie, że nie było na to innego sposobu.

— Nie sądzicie, że właściwiej postępuje ten, kto zwraca się do posiadacza danej rzeczy, by się o nią upomnieć, jeśli uważa, że ma do niej prawa?

— Nie, skoro jej użytkownik twierdzi, że ta rzecz już nie istnieje z powodu epidemii dżumy.

— Źle dobieracie słowa. Powiedzcie raczej: właściciel. O ile dobrze pamiętam, podarowaliście mi tę niewolnicę.

-¹- Macie kiepską pamięć: podarowałem głos i talenty Aixy waszej pasierbicy. Was prosiłem tylko o zgodę. Montcusi cisnął na stół gęsie pióro.

— Skończcie z subtelnościami i wiedzcie, że nikt w całym hrabstwie nie może bezkarnie ze mnie drwić!

Głos Martiego brzmiał spokojnie, ale złowieszczo.

— Czasy, gdy uważałem was za wspaniałego człowieka, należą do przeszłości. Wiem, jak postąpiliście z Laią i wolę nie mówić, co o was myślę. Chłopak, którym kiedyś byłem, dawno umarł. Wiem, jaką macie władzę, ale nie próbujcie mnie zastraszać. Jeśli zechcecie mi zaszkodzić, otrzymacie stosowną odpowiedź.

— Co niby zrobiłem Lai poza tym, że zaproponowałem wam, byście ją poślubili, i opiekowałem się nią, odkąd straciła matkę?

— Nie każcie mi odpowiadać. Nie bądźcie cyniczni. Dość, że jesteście perfidni.

— Jeśli twierdzicie, że coś wiecie, powiedzcie to! — krzyknął doradca.

Teraz głos podniósł Marti.

— Chcieliście, bym się z nią ożenił, bo zaszła przez was w ciążę! Oto, co naprawdę się wydarzyło. Zanim wsiadłem na statek, nie byłem jej godzien i dlatego zmusiliście ją, by napisała list, w którym cofała dane mi słowo, ale po moim powrocie niemal mnie z nią swataliście, by ukryć swoją nikczemność — wyrzucił z siebie Marti.

Montcusi zastanawiał się tymczasem, jak Marti odkrył miejsce pobytu Aixy. Czy niewolnica, choć niema, zdołała opowiedzieć mu, co się przydarzyło jej i Lai? A może to ojciec Llobet nie dotrzymał tajemnicy spowiedzi? Tak czy inaczej nie miał dowodów...

— Skąd te nedorzeczości?

— W Barcelonie nie tylko wy jesteście dobrze poinformowani.

— To kłamstwa i kalumnie. Kiedy ktoś zajmuje takie stanowisko jak ja, ma niewątpliwie wielu wrogów.

— Kłamstwa? Kto tu skłamał, mówiąc, że Aixa nie żyje? Dlaczego rozkazaliście, by obcięto jej język i ją oślepieno?! — krzyczał Marti.

— Skończmy z domysłami! Nigdy nie zdołacie udowodnić tych wszystkich bzdur przed sądem!

— Nie mam zamiaru. Ale potrafię udowodnić, jeśli będzie trzeba, że kazaliście obciąć język służącej, która była wolną kobietą, i wylupić jej oczy.

— Dla mnie była niewolnicą, w dodatku podstępna i niełojalna. Poza tym po co jej język, skoro miała śpiewać swoje pieśni, jak sami twierdzicie, tylko dla mojej córki, która już nie żyje? Co do oczu, powiem wam, że nie ja wymyśliłem taką karę dla zdrajców. Już podczas wojen punickich obcinano język i wylupywano oczy każdemu Kartagińczykowi, który próbował szpiegować... A mnie szpiegowano we własnym domu!

— Jesteście cyniczni!

— Uważajcie, co mówicie! Staralem się jedynie zapobiec, by osoba, która swymi słowami wyrządziła mi tyle szkód, nie robiła tego nigdy więcej. Poza tym dalsza dyskusja na temat niewolnicy, którą już odzyskaliście, do niczego nie prowadzi. Proponuję, byśmy uznali sprawę za zakończoną. Mamy zbyt wiele wspólnych interesów, by nie umieć ich oddzielić od przyjaźni.

— Mieliśmy. Teraz nic już nas nie łączy oprócz odrazy, którą do was czuję. Oznajmiam wam, że możecie pożegnać się z profitami, które dotychczas ode mnie otrzymywaliście. Skończyły się łatwe zarobki i korzyści czerpane z czarnego oleju. Sprzedałem sklep i już do mnie nie należy. Oczywiście nie powiedziałem nowemu właścicielowi, by obciążył towary dodatkowym podatkiem, gdyż zarządca do spraw aprowizacji domaga się swojego udziału. A co do oleju, będziecie musieli udać się do *veguera*, z którym zawarłem już umowę na najbliższych pięć lat.

— Zatem tracicie możliwość handlowania w mieście.

— Nie potrzebuję waszego zezwolenia. Nie zapominajcie, że towary docierają na statkach.

— Czy mam rozumieć, że rzucacie mi wyzwanie?

— Uważajcie, co chcecie.

— Jeśli sądzicie, że ujdzie wam bezkarnie napaść na moją posiadłość, uprowadzenie niewolnicy, która — co potrafię udowodnić — służyła w moim domu, i działanie na moją szkodę, jesteście szaleńcem.

— Do szaleństwa doprowadziliście Laię i jej matkę. Ze mną wam się nie uda.

— Ośmielacie się wypowiadać mi wojnę?

— Traktujcie to, jak chcecie. Na razie ponieśliście tylko straty materialne, ale wiedźcie, że nie spocznę, dopóki wasze imię nie będzie wzbudzało we wszystkich takiej odrazy jak ścieki Cagalell.

Odwróciwszy się na pięcie, Marti Barbany wyszedł z gabinetu doradcy, świadomy tego, że rozpoczął nierówną walkę. Czuł za plecami nieme spojrzenie szarych oczu, które wpatrywały się w niego z portretu z miłością i wdzięcznością.

Wymiana zakładników

Wszystkie dzwony w mieście, wtórując dzwonowi katedry Świętej Eulalii, zaczęły bić jak szalone, wzywając mieszkańców do stawienia się z bronią w pobliżu synagogi. Ulice wypełniły się ludźmi wyposażonymi we wszelkiego rodzaju narzędzia do walki: widły, motyki, łuki, włócznie, noże, maczugi... Członkowie bractw ustawiali się w wyznaczonych miejscach. Na placach roiło się od ludzi, którzy przybyli na wezwanie, nie wiedząc w jakim celu. Oczywiście było jedynie to, że dzwony były na alarm i wszyscy mieszkańcy mieli obowiązek podporządkować się rozkazom wydawanym straży obywatelskiej. Ich szeregi rosły z każdą chwilą.

Marti, który był zwierzchnikiem pracowników stoczni (uszczelniaczy, kowali, skręcaczy lin, cieśli, powroźników, nitowników eta), zaczął zbierać się do wyjścia, gdy tylko usłyszał bicie dzwonów. Omar, Andreu i Mohamed, będący już młodzieńcem, podążyli za swoim pryncypałem.

Zaniepokojona Ruth zjawiała się w jego komnatach niemal bez pukania.

— Co się dzieje, Marti?

— Wiem tyle co wy. Muszę jak najszybciej stawić się z moimi ludźmi pod bronią w pobliżu synagogi.

— A potem?

— Odpowiadamy za obronę bramy Regomira. Jeśli nie na dejdą inne rozkazy, tam będziemy.

— Ale dlaczego wy!? Czy to nie zadanie dla feudalnej szlachty? Od czego oni właściwie są? W czasach pokoju gardzą pracą, a gdy trzeba walczyć, wzywają na pomoc wszystkich mieszkańców. Za co więc dostają tyle przywilejów?

— Długo by wyjaśniać, Ruth. Wymagacie, bym streścił wam w jednej chwili chwalebny historię tego miasta, akurat teraz, gdy muszę iść i nie mam czasu.

Dziewczyna nie dawała jednak za wygraną i chciała wiedzieć więcej.

— Ludzie mojej nacji mają niewiele praw jako obywatele, ale w takich sytuacjach jak ta muszą pozostać w Cali, jakby ich to nie dotyczyło.

— Właśnie dlatego, że nie są uważani za obywatele Barcelony. To wyjątkowa zasada, nieznana w żadnym innym miejscu na półwyspie. Nawet odwiedzając Wenecję, Genuę czy Neapol nie zetkniecie się z podobnymi przywilejami.

— Pierwszy raz słyszę, by żydowskie pochodzenie przynosiło jakieś korzyści.

— Podajcie mi miecz, który należał do mojego ojca — polecił Marti, wskazując ręką broń.

Dziewczyna wzięła w dłonie pochwę i przypięła ją Martiemu do pasa, wykorzystując okazję, by na chwilę objąć go ramionami. Próbował odsunąć ją od siebie, lecz ona nieoczekiwanie stanęła na palcach, uniosła głowę i złożyła na jego wargach nieśmiały pocałunek, delikatny jak muśnięcie skrzydeł motyla.

— Co to ma znaczyć, Ruth? — spytał Marti, czując, jak rozpala mu trzewia nieznany dotąd wewnętrzny ogień.

Ruth spojrzała mu w oczy i powiedziała głośno i wyraźnie:

— Idziecie na wojnę, więc się z wami żegnam. Kocham was od dziecka i drzę na myśl, że mogłoby się wam przydarzyć coś złego.

Marti zdał sobie nagle sprawę, że Ruth nie jest już małą dziewczynką i że stoi przed nim niepokojąco piękna istota.

Uświadomił sobie równocześnie, jakie ma wobec niej obowiązki i co przyrzekł jej ojcu.

Będąc jednym kłębkim nerwów, oznajmił:

— Ruth, ja też darzę was wielką sympatią, ale to nie może się powtórzyć. Ojciec powierzył was mojej opiece. Proszę, byście nie sprawiali mi kłopotu.

Po tych słowach zabrał z łoża szyszak i wyszedł z zamętym w głowie.

Wraz ze swymi służącymi, uzbrojonymi po zęby, dotarł na wyznaczone miejsce dokładnie na czas. Jofre już tam był, w przeciwieństwie do pozostałych kapitanów, którzy wypłynęli w rejs. Marti stanął na czele swoich ludzi, choć myślał o czym innym.

Wreszcie bicie dzwonów ustało i *veguer* przemówił z pałacu do niespokojnego tłumu. Olderich de Pellicer, wzięwszy tubę z mosiądzu, którą podał mu jeden z doradców, i przytknąwszy ją do ust, powiedział:

— *Sou atents?*

Tłum odpowiedział jednym głosem:

— *Som atents!*

— Mieszkańcy Barcelony! Otrzymaliśmy sygnały za pomocą ognisk i rogów, a także od posłańców z innych miast, że do murów miasta zbliżają się znaczne siły Saracenów. Nie wiemy, jakie mają zamiary, ale musimy być przygotowani na wszystko. Niech każdy uda się do wyznaczonej mu miejskiej bramy i odda pod rozkazy wojskowego dowódcy. Kobiety mają przynosić wodę i podtrzymywać zapalone ogniska, a dzieci dostarczać kamieni do katapult. Chwała Barcelonie! Chwała świętej Eulalii!

Tłum rozszedł się spokojnie. Pod kierunkiem swych zwierzchników wszyscy przyjmowali oddziały, które miały ich bronić. Marti zaprowadził swoich ludzi do bramy Regomira i tam czekał, aż dowódca wojskowy wyda mu rozkazy. Instynktownie uniósł do ust prawą dłoń, jakby próbował zetrzeć ślad pocałunku, który pozostawiła dziewczyna i który wciąż go palił.

W Pałacu Hrabiowskim panowała gorączkowa krzątanina. Wysłuchawszy posłańców, hrabia spotkał się z majordomem, *veguerem* i dworskimi doradcami, wśród których był Bernat Montcusi.

Ramón Berenguer zajmował honorowe miejsce przy długim stole i właśnie zamierzał wydać rozkazy swoim dowódcom.

— Sytuacja, panowie, jest taka: doborowy oddział, aczkolwiek niezbyt liczny, przekroczył rzekę Llobregat i zbliża się do miasta od południa. Byłoby to bez znaczenia, gdybyśmy wiedzieli, że nie stanowi on forpocztę większej armii. Musimy zatem być przygotowani. Gualbercie — zwrócił się do głównego majordoma — przejmiesz dowodzenie obroną miasta, podczas gdy ja na czele dwustu jeźdźców wyruszę na spotkanie wroga.

Wszyscy milczeli, gdyż dobrze wiedzieli, jakie czekają ich zadania, gdyby nieprzyjaciel zamierzał zaatakować Barcelonę. Nie było tylko wiadomo, kto będzie towarzyszył hrabiemu. Gilbert d'Estruc, Bernat de Gurb, Guerau de Cabrera, Perelló Alemany i Guillem de Muntanyola czekali niecierpliwie, czy spotka ich zaszczyt jechania z chorągwią u jego boku.

Nagle w głębi sali rozległ się głos:

— Ojczy, myślę, że nadarza się okazja, byście powierzyli mi dowództwo wyprawy i pozostali bezpiecznie za murami miasta. W waszym wieku byłoby wskazane nie wychodzić na otwarte pole.

Powiedział to Pedro Ramón, pierworodny syn Ramóna Berenguera, będący owocem jego pierwszego małżeństwa z Elisabet z Barcelony.

Wszyscy zwrócili oczy na starego hrabiego, spodziewając się jego kategorycznej odmowy.

Hrabia odparł spokojnie.

— Będziesz rządził, mój synu, gdy przyjdzie pora. Twój ojciec nie zrzekł się na razie swoich obowiązków i nie zapominaj, że legalną władzę sprawuje ten, komu w danym momencie ona przypada. Jeszcze nie czas, byś ją przejął, i ja zdecyduję, kiedy i w jaki sposób to nastąpi.

Odpowiedź syna zabrzmiała szorstko i nieprzyjemnie.

— Stanie się to, kiedy odejdziecie, bez żadnych zastrzeżeń. Jestem waszym niekwestionowanym następcą, nikt nie powinien być przede mną. Proszę, byście o tym nie zapominali i przypomnieli to waszej żonie, która próbuje różnych sztuczek, by umieścić wasze bliźniaki, a raczej jednego z nich, na tronie hrabstwa Barcelony, z pominięciem moich praw. Po tych słowach porywczy młodzieniec opuścił salę. Ciszę pełną napięcia przerwał Bernat Montcusi, doradca hrabiego do spraw finansowych.

— Nie zwracajcie na to uwagi, panie. Pozwólcie kogucikowi ostrzyć ostrogi i nie bierzcie sobie do serca jego słów.

Przebiegły Montcusi chciał pokazać, że trzyma stronę spadkobiercy, gdyż bez wątpienia to, co powiedział, dotrze do jego uszu i pewnego dnia skorzysta na tym, że go bronił.

Wybrawszy dowódców, mających towarzyszyć mu w rekonesansie, hrabia Ramón Berenguer stanął na czele oddziału, by wyruszyć na spotkanie Abenamara, który zamierzał uwolnić ar-Rashida, pierwotnego syna al-Mutamida z Sewilli, płacąc za to jak najniższą cenę.

Blanki były gęsto obsadzone ludźmi. Wystawały spomiędzy nich budzące grozę łuki dalekiego zasięgu, których używali obrońcy. Na platformach wież widać było złowrogie katapulty z napinaczami ze skrzyconych końskich jelit, zamoczonych w rozgrzanym oleju palmowym, oraz onagry* z czerpakami napełnionymi mnóstwem kamieni o regularnych kształtach, które, miotane ze znaczną siłą, rozsypywały się na dużej przestrzeni, powodując wielkie spustoszenie wśród napastników. Oddział nieprzyjaciela znajdował się w odległości niecałej mili. Składał się z około pięciuset jeźdźców, dosiadających wspaniałych arabskich rumaków.

Gdy brama Bisbe otworzyła się, Ramón Berenguer wyjechał konno na czele żołnierzy, którzy sformowali szyk pod murami

* Onagra — rodzaj niewielkiej katapulty, używanej od starożytności.



miasta, wznosząc chorągiew z czterema czerwonymi pasami na żółtym tle i wizerunkiem świętej Eulalii.

Spostrzegłszy oddział Katalończyków, Saraceni wysłali poselstwo złożone z sześciu jeźdźców, którzy nieśli zielony sztandar Sewilli ze złotym napisem *Allach jest wielki* oraz biały, oznaczający, że przybywają w pokojowych zamiarach. Maurowie zatrzymali się w odległości pół mili i czekali, aż Katalończycy przyślą swoich przedstawicieli.

Ramón Berenguer zwrócił się do swych dowódców:

— Obawialiśmy się najgorszego, a przeczuwam, że dostanie my pieniądze, które jest nam winien Maur za fiasko kampanii w Murcji. Wyjdźmy mu więc na spotkanie.

Hrabia wybrał sześciu ludzi, którzy mieli mu towarzyszyć. Był wśród nich znający się na finansach Bernat Montcusi, którego koń uginał się pod jego ciężarem, oraz syn hrabiego, Pedro Ramón, któremu ojciec chciał schlebić w ramach zadośćuczynienia za niedawną scysję.

Dwie forpoczty spotkały się w pół drogi. Tym razem nie używano tak kwiecistego i wytwornego języka jak poprzednio. Rozmowę rozpoczął Abenamar, który przewodził poselstwu sewilskiemu.

— Hrabio Barcelony, przybywam w imieniu mego króla i przyjaciela al-Mutamida z Sewilli, aby uwolnić jego pierworodnego syna, którego zatrzymaliście siłą, co zmusza nas do zapłacenia żadanego przez was bezprawnie okupu.

Hrabia, doświadczony dyplomata, nawykły do pertraktowania w sytuacjach, gdy trzeba było utrzymać delikatną równowagę sił między różnymi hrabstwami Katalonii, nie próbował podstępów i mówił spokojnie, by nie prowokować Maura, mając świadomość, że w interesie hrabstwa leży uzyskanie okupu, bez wdawania się w słowne utarczki, które do niczego nie prowadzą. Kiedy miał zamiar odpowiedzieć, usłyszał za plecami wzbudzony i rozgorączkowany głos swego syna:

— Nie rozumiem, mój ojczu, jak możecie pozwolić, by ten Maur okazywał wam na waszej ziemi taki brak szacunku. Gdyby to od mnie zależało poszczułbym g psami i kazał wychłó-

tać! — krzyknął Pedro Ramón, który z wiekiem zmężniał, ale ani trochę nie znał się na dyplomacji.

Abenamar, przyjąwszy obelgę bez mrugnięcia okiem, czekał na reakcję jego ojca. Ta nastąpiła błyskawicznie.

— Pedro Ramónie! Dużo ci brakuje, by zrozumieć, jak powinien postępować dobry władca. Kiedy dwa poselstwa rozmawiają pod białą flagą, świętym symbolem pokoju, wszyscy są sobie równi i winni się wzajemnie szanować.

— O jakim szacunku mówicie? Przecież ten niewierny oskarża was o działanie wbrew prawu!

— Dość tego! Żądam, byś natychmiast się oddalił. Nie jesteś godny brać udziału w tym poselstwie.

Pedro Ramón, wykrzywiwszy twarz i splunąwszy, zawrócił konia i pogalopował, smagając go bezlitośnie.

Hrabia zwrócił się ponownie do swego rozmówcy.

— Wybaczcie. Zechciejcie mu darować tę zapalczywość.

— Wszyscy przechodziliśmy tę cudowną chorobę, którą jest młodość i którą leczy jedynie upływ czasu. Ale wróćmy do naszej sprawy. Jak ma wyglądać wymiana zakładników?

Znów odezwał się ktoś za plecami hrabiego. Był to Bernat Montcusi.

— Jeśli pozwolicie, panie...

— Mówcie, Bernacie.

— Zanim to uczynimy, musimy przeliczyć znaczną sumę *maravedies*. To żmudne zadanie, którego nie da się wykonać w jednej chwili.

— Co proponujecie?

— Jutro o świcie, przed wschodem słońca, spotkamy się tu ponownie. Nasi dłużnicy zjawią się z kuframi pieniędzy, a my dostarczymy wprawnych rachmistrzów i dwa wozy do przewozu tak cennego ładunku.

— I co dalej?

— Jeśli wszystko będzie się zgadzało, wozy przejmie nasza tylna straż, złożona z pięćdziesięciu ludzi. Wtedy i dopiero wtedy dokonamy wymiany zakładników.

— Zgadza się? — spytał hrabia.

— Tak. Proponowałbym jedynie wykorzystać fakt, że dziś jest pełnia księżyca, i przeprowadzić operację jeszcze tej nocy. Wykonawszy zadanie, muszę wrócić do Sewilli, a jak wiecie, to daleka droga.

Berenguer wymienił przelotne spojrzenie ze swym doradcą i majordomem. Widząc ich aprobatę, oznajmił:

— Niech będzie, jak sobie życzycie. W sumie im szybciej zakończymy tę drażliwą sprawę, tym lepiej dla wszystkich.

Po tych słowach oba poselstwa powróciły do swych obozów.

Księżyc wzeszedł piękny, okrągły i biały i hrabiemu wydało się to pomyślną wróżbą przed transakcją, której miał dokonać. Mieszkańcy miasta, za radą Montcusiego, opuścili mury, gdy okazało się, że oddziały wroga nie są liczne. Na blankach fortyfikacji pozostali tylko zawodowi żołnierze.

O uzgodnionej porze otwarto ponownie bramy i wyszli przez nie ludzie, którzy mieli przeprowadzić delikatną operację.

Znalazłszy się za murami, rycerze strzegący ar-Rashida zatrzymali się w oczekiwaniu na rozkazy.

Większość poselstwa szła dalej w świetle pochodni. Równocześnie z naprzeciwka zaczęły zbliżać się w ich kierunku migotliwe ogniki.

Obie grupy spotkały się w pół drogi. Rozmowa była krótka. Wszyscy mieli ochotę zakończyć szybko i pomyślnie tę transakcję.

Tragarze, których czoła lśniły od potu w bladej poświacie księżyca, położyli na ziemi nosze z dwoma wielkimi dębowymi kuframi. Potem odsunęli się na bok i usłyszawszy krótki rozkaz, wrócili do obozu. Wówczas Abenamar, z poważną twarzą, zsiadł z konia i wyjąwszy spod szat złoty klucz, włożył go po kolei w zamki obu kufców, po czym klasnął, nakazując dwóm służącym, by otworzyli wypukłe wieka.

Oczom zdumionych żołnierzy ukazała się w mlecznym świetle księżyca oślepiająca blaskiem ogromna ilość złotych *maravedies*, jakiej nigdy dotąd nie widzieli.

- Oto uzgodniony okup — oznajmił Maur.
- Bernacie, do dzieła. Ufam waszym zdolnościom.

Na rozkaz hrabiego Montcusi, siedzący tym razem na jednym z wozów, wezwał czterech swoich ludzi, którzy natychmiast rozłożyli stoły. Z pomocą dwóch służących, obsługujących liczydła, zaczęli liczyć *maravedies* i notować trzcinowymi piórami na arkuszach z cielecej skóry długie szeregi liczb.

Było to żmudne zajęcie. Po dłuższym czasie, gdy księżyc był już w zenicie, przeszli do wymiany zakładników. Z tyłów obu oddziałów wyłoniły się grupy żołnierzy. Marcal de Sant Jaume i ar-Rashid wrócili do swoich. Wozy przewożące złoto odjechały pod eskortą ludzi towarzyszących hrabiemu. Oba poselstwa już miały się rozstać, gdy ciszę nocy rozdarł gniewny krzyk syna al-Mutamida, skierowany do Ramóna Berenguera:

— Niech klątwa Allacha, jedyne, największe i sprawiedliwe, spadnie na waszą głowę! Niech wasza krew zostanie przelana w bratobójczej walce, niech wasi synowie zginą z rąk braci, niech wasz ród wygaśnie, nie wydając owoców jak uschnięte drzewo.

Katalońscy rycerze z eskorty już sięgali po miecze, gdy głos Abenamara ostudził ich wzburzenie.

— Wybaczcie, hrabio. Czyż niedawno sami nie mówiliście, że młodość jest nieroztropna? Oto kolejny dowód.

Po tych słowach poselstwo mauretańskie zniknęło w mroku.

Rodzinne rozmowy

W sobotnią noc na piętrze Pałacu Hrabiego palily się światła. Przez ostrołukowe okna widać było krzątającą się służbę z tacami pełnymi wybornych potraw i kielichami napełnionymi znakomitym winem. Hrabia Ramón Berenguer zwołał zgromadzenie *Curia Comitum* * i na zakończenie świętował, w otoczeniu najbliższych współpracowników, sukces, jakim był dla jego pustego skarbca przyływ złotych *maravedies*. Przy tej szczególnej okazji trony obojga małżonków były rozdzielone i każde z nich przyjmowało swych krewnych w dwóch przeciwległych końcach sali. Hrabiego otaczali jego ludzie: *veguer* Olderich de Pellicer, majordom Gualbert Amat, biskup Barcelony Odó de Montcada, główny notariusz Guillem de Valderribes, sędziowie Frederic Fortuny i Carratala, czcigodny Ponę Bonfill i March oraz jaśnie oświecony Eusebi Vidiella i Montclus, którzy byli mediatorami w *litis honoris*, czyli sporach dotyczących honoru i praw wybitnych obywateli. Był tam także, oczywiście, doradca Bernat Montcusi oraz przedstawiciele rodów Cabrera, Perelló, Muntanyola i wielu innych szlacheckich rodzin hrabstwa.

Obok wielkiego balkonu siedziała Almodis ze swym małym

* *Curia Comitum* — zgromadzenie wielkich wasali.

dworem. Towarzyszyli jej spowiednik Eudald Llobet, dowódca osobistej straży, Gilbert d'Estruc, pierwsza dama dona Lionor, dona Brigida, dona Barbara, Delfin i ubrani po męsku dwaj młodzi książęta, Ramón i Berenguer. U stóp Almodis, pod opieką jej dawnej piastunki, dorli Hildy, raczkowały małe księżniczki. Wrzawa narastała, lecz hrabia potrząsnął dzwonkiem, sprawiając, że wszyscy zamilkli. Cisza rozeszła się jak fala i głos Ramóna Berenguera I, hrabiego Barcelony, dotarł do najdalszych zakątków wielkiej sali.

— Winszuję wam, moi przyjaciele! Dziękujemy Bogu. Grożąca nam sroga porażka zmieniła się w wielkie zwycięstwo, a jak to się zwykle mówi, wszystko dobre, co się dobrze kończy. Nawet gdybyśmy zdobyli w Murcji bogate łupy, nie dorównałyby one sumie okupu otrzymanego za królewskiego zakładnika, który przez rok był naszym gościem. Dziękuję wam wszystkim za zaufanie i cierpliwość. Teraz, gdy otrzymaliśmy pieniądze, nadej dzie pora spłacania długów i oddania każdemu, co mu się należy. Kościół, który wspierał nas modlitwami w chwilach lęku i niepewności, otrzyma hojny datek. — Słyszac to, biskup skłonił lekko głowę. — Miasto, a w jego imieniu *veguer*, również odczuje naszą hojność. — Teraz wznosił kielich Olderich de Pellicer. — Oczywiście także przyjaźni nam hrabiowie, których wojska walczyły pod moimi sztandarami, zostaną odpowiednio wynagrodzeni.

Z głębi sali dobiegł głos Ermengola d'Urgell.

— Niech nam długo żyje hrabia Barcelony!

— Niech żyje! ■— zawtórowali wszyscy zgodnym chórem.

— Proszę was tylko o trochę cierpliwości. Przeliczenie okupu nie jest łatwe, a dopóki moi rachmistrze nie określą dokładnie, jaką kwotą dysponuję, nie mogę zacząć spłacania długów. Ale bądźcie pewni, że wszyscy na tym zyskają. — Wznosząc kielich, oznajmił: — Za przyszłe podboje i wielkie przymierza, które przyniosą bogactwo hrabstwu. Wasze zdrowie, mój drogi doradco, Bernacie Montcusi, który z taką roztropnością i dalekowzrocznością czuwał nad osiągnięciem kompromisu.

Doradca, nadęty jak ropucha, przyjmował gratulacje obecnych, którzy wtórowali toastowi swego pana, jeśli nie z przekonania, to przynajmniej z grzeczności. Jedyne dwie osoby nie wzniosły kielichów. Pierwszą był Eudald Llobet, spowiednik hrabiny, który zachował poważny wyraz twarzy, drugą—Marcal de Sant Jaume. Wycierpiał wiele jako zakładnik i czuł się wykorzystany, niedoceniony i upokorzony.

Zakończywszy ucztę z nadmiarem trunku w żołądkach, goście powoli opuszczali pałac.

Hrabiowska para rozmawiała spokojnie w zaciszu alkowy. Hrabina, siedząc przed lustrem i czesząc rude włosy grzebieniem z koralu i kości słoniowej, zwróciła się do męża, który czekał już na nią w łóżu, by uczcić finał idealnego dnia.

— Ramónie, mój mężu, gratuluję ci postawy i cieszę się, że całe to pasmo niepowodzeń, które nas spotykały, skończyło się dla hrabstwa tak chwalebnie i korzystnie.

— Jestem ci wdzięczny. Wiedz, że przypada nam w udziale jedna trzecia okupu: dziesięć tysięcy *maravedies*. Zapłacę nimi resztę należności za Carcassonne i Raze i wyrównam rachunki z wojskiem i naszymi sojusznikami, którzy zobaczą, że hrabia Barcelony zawsze spłaca swoje długi. — Oparł się na łokciu, podziwiając w lustrze odbicie ukochanej żony. — Almodis, wiem, że zawsze mogę liczyć na twą pomoc. Zachowałeś się jak prawdziwy żołnierz. Jesteś czymś więcej niż tylko spokojną przystanią dla wojownika.

— Skoro tak uważasz i chcesz spłacić długi wobec wszystkich, dlaczego nie pomyślałeś o rekompensacie dla mnie?

— Co mogę ci ofiarować? Wszystko, co mam, należy do ciebie.

— Wiem — odparła z uśmiechem Almodis. — Ale ja też mam zobowiązania.

— Jakież to?

— Długi zaciągnięte wobec moich poddanych, którymi muszę

się opiekować. Zupa dla ubogich, rozdawana codziennie w katedrze, stanowi spory wydatek dla mojego skromnego budżetu. Pomoc dla mniszek w klasztorach, których jestem protektorką, także kosztuje. No i wreszcie, choć tego nie zauważasz, mam zachcianki jak każda kobieta.

— Na ile szacujesz mój dług?

— Będę usatysfakcjonowana dwudziestą częścią waszego dochodu.

— To duża suma, moja żono.

Almodis wstała i zdjawszy zielony szlafrok z brokatu, okryta tylko rudym płaszczem rozpuszczonych włosów, podeszła do wielkiego łoża.

— Obejmuje rozkosze, którymi obdarzę cię tej nocy.

— Jak zwykle przekonałaś mnie, najdroższa, zwłaszcza że dziś nie miałbym ochoty spać w przedsionku naszej alkowy.

Monety Judasza

Bemat Montcusi był zaniepokojony. Wiedział, że przyplnęły dwa statki z cenną cieczą, która służy do oświetlania nocami miasta, i Marti Barbany, niewątpliwie za zgodą *veguera*, ośmielał się chępcić swymi wpływami. To, co uważał kiedyś za przechwałki ambitnego młodzieńca, stało się rzeczywistością. Z drugiej strony nowy właściciel sklepu prowadził działalność, nie płacąc mu uzgodnionej z Martim prowizji. Jeśli ten zuchwalec myślał, że będzie z niego drwił, grubo się mylił. Nikt w całym hrabstwie nie odważył się dotąd naigrawać z Bernata Montcusiego, a szczególnie w obecnej sytuacji, kiedy los mu sprzyjał, a gwiazdy wróżyły, że umocni jeszcze swoją pozycję, odkąd hrabia osobiście wzniosł za niego toast w obecności przedstawicieli najbardziej wpływowych rodów hrabstwa.

Groźby tego zuchwalca były bezpodstawne i gdyby nawet ośmielił się wnieść oskarżenie, żaden sędzia nie skazałby Montcusiego. Poza tym nikt, kto nie był w randze doradcy hrabiego albo nie posiadał herbu szlacheckiego, nie mógł wytoczyć mu procesu. Bez wątpienia będzie musiał zademonstrować temu szaleńcowi swoją władzę, by zmusić go do powrotu na właściwą drogę. Nie zamierzał bynajmniej rezygnować z korzyści z czarnego oleju, które już były znaczne, a instynkt mówił mu, że w przyszłości mogą być jeszcze większe.

Bernat znał słabe strony hrabiego i tego wieczoru zamierzał wykorzystać spotkanie z nim, by schlebić jego próżności i zdobyć atuty do ryzykownej gry, którą chciał podjąć.

Przybył do pałacu w wytwornym stroju i gdy tylko został wprowadzony do przedsionka sali audiencyjnej, zaczął przechadzać się pod kasetonowym sufitem, świadom komentarzy, które wymieniają na jego temat różne grupy ludzi oczekujących na audiencję. Celowo stanął w najbardziej odległym zakątku komnaty, by w chwili, gdy wezwie go szambelan, zebrani mieli czas zauważyć, że hrabia nie kazał mu czekać w kolejce i pominął nawet protokolarny porządek.

Gdy drzwi się otworzyły, przeszedł dostojnym krokiem przez ogromną salę i stanął z szacunkiem, udając wielką skromność, w stosownej odległości od najważniejszej osoby w hrabstwie. Pochyliwszy się, czekał, aż Ramón Berenguer kaze mu się wyprostować.

— Podnieście głowę, mój zacny doradco. Wasz pan jest dumny z tak czcigodnych poddanych, którzy dbają o interesy hrabstwa z takim samym oddaniem i gorliwością jak o swoje własne.

Bernat, wyprostowawszy się, odparł:

— Nawet bardziej, panie. Zaniedbałem swoje sprawy, aby wam towarzyszyć, i sądzę, że mogę wyświadczyć wam jeszcze większą przysługę, jeśli skorzystacie z pomysłu, który przyszedł mi do głowy dziś rano, gdy rozmyślałem, jak lepiej wam służyć.

Hrabia zmierzył doradcę chytrym spojrzeniem.

— Usiądźcie, przyjacielu, i wiedcie, że potrafię wynagrodzić wasze starania.

To powiedziawszy, wskazał ławę po swojej prawej stronie.

Montcusi miał świadomość, że spotyka go zaszczyt i że wieść o tym szybko się rozejdzie, gdyż Ramón Berenguer rzadko pozwalał siadać w swojej obecności komuś, kto nie należał do szlacheckiego rodu.

— Mówcie, mój zacny Bernacie.

— Otrzymaliście, panie, znaczną sumę pieniędzy, które powinniście dobrze zabezpieczyć, zanim przeznaczycie je na spłatę długów.

— Nie mówicie mi niczego nowego. Tu, w pałacu, z pewnością cią będą bezpieczne.

— To oczywiście, panie, ale gdy wywiążecie się z waszych zobowiązań, te pieniądze nie przyniosą wam żadnego zysku.

— Co więc proponujecie? — spytał zaciekawiony hrabia.

— Otóż, panie, jeśli postaracie się maksymalnie odroczyć wasze płatności i złożycie *maravedies* w ręce żydowskich bankierów, otrzymacie od nich odsetki, jakich nie ma prawa dać wam żaden dobry chrześcijanin.

Berenguer przyglądał mu się z zainteresowaniem.

— Czy to bezpieczne?

— Piwnica domu ich naczelnika, Barucha Benvenista, jest powszechnie znana. Wasz ród zawsze z niej korzystał. Mogę was zapewnić, że pieniądze będą tam bardziej bezpieczne niż w pałacu.

— Co chcecie przez to powiedzieć?

— Gdyby zdarzyło się jakieś nieszczęście, na przykład pożar, on i jego rodacy odpowiadają za zdeponowany kapitał.

— Podoba mi się wasz pomysł.

— To jeszcze nie wszystko.

— Mówcie.

— Jeśli zdołacie odroczyć spłatę długów o rok, wasz kapitał powiększy się tak znacznie, że pozostanie wam spora nadwyżka.

W oczach hrabiego pojawił się błysk chciwości.

— Znakomicie, mój zacny doradco.

— Jeszcze nie skończyłem.

— Cóż jeszcze przychodzi wam do głowy?

— Zaraz się dowiecie, panie. Jeśli będziecie znani w miastach nad Morzem Śródziemnym, przyniesie to korzyści waszemu rodowi, gdyż im więcej ludzi doceni znaczenie Berenguerów, tym większy będzie prestiż władców Barcelony.

Ku zadowoleniu doradcy hrabia wprost chłonał jego słowa.

— Jak to osiągnąć?

— Czy to nie wasz ojciec przyznał Żydom prawo bicia monet?

— Owszem.

— Rozkażcie zatem, by stopili mauretańskie *maravedies* i wybili monetę z waszym profilem z jednej strony i herbem miasta z drugiej. Choć nie będziecie osobiście podróżowali po świecie, wasz wizerunek będzie obecny wszędzie tam, dokąd wiodą szlaki handlowe, tworząc dobrobyt i przynosząc zyski. Będziecie wychwalani i wspominani, jak na to zasługujecie, a wasz prestiż będzie ogromny.

— Bernacie, zawsze cenilem waszą dalekowzroczność i przenikliwość, a także umiejętność liczenia, ale jeśli ten pomysł się sprawdzi, zasługujecie na tytuł szlachecki. Pora już, by nadawać go za inteligencję, a nie za udział w wojnie.

— Schlebiacie mi, panie.

— Weźcie się gorliwie do pracy, nie tracąc czasu. Ja postaram się tymczasem odroczyć płatności pod pretekstem, że biję monetę dla uczczenia naszego sukcesu.

— Niech tak będzie. I bądźcie pewni, że wycisnę z Żyda solidny procent. Te *maravedies* przyniosą wam obfity zysk.

Kłopoty Barucha

Spotkanie odbyło się w domu Benvenista, który w tamtym roku został mianowany naczelnikiem bankierów i musiał pogodzić to stanowisko z godnością *dajana* w Cali. Wezwał Martiego i Eudalda, aby zakomunikować im ważną nowinę.

Czekając w gabinecie na przybycie gospodarza, rozmawiali o sprawach, które budziły powszechne zainteresowanie i które w pewien sposób ich dotyczyły.

— I jak już wspominałem, hrabina Almodis pytała mnie po drodze o ciebie i kazała ci powiedzieć, że w piątek w południe chce cię widzieć w pałacu — oznajmił Eudald tonem, który wskazywał, że nie potrafi ukryć dumy ze swego podopiecznego.

— Zdumiewa mnie ten zaszczyt. Nie sądzę, bym na niego zasługiwał. Poza tym nie zajmuję się teraz niczym, co by ją interesowało.

— Sądząc z tonu, jakim to powiedziała, chodzi o coś korzystnego dla ciebie. Tak czy inaczej, kiedy hrabina wzywa kogoś w taki sposób, zawsze powinien się cieszyć. Ilu tego pragnie!

— Będziesz mi towarzyszył?

— Niewątpliwie będę tam z tobą.

Marti zastanawiał się przez moment nad zaletami posiadania tak potężnej sojuszniczki, po czym zmienił temat.

— W mieście panuje podniecenie, Eudaldzie. Ludzie wyczuwają, że lada chwila zdarzy się coś, co przysporzy Barcelonie bogactwa. Wiele osób było na murach i nie uszło niczyjej uwagi, że Maurowie podeszli z białą flagą i wycofali się następnego dnia. Ludzie twierdzą, że przyszli uwolnić naszego dostojnego gościa i że wymiana, która nastąpiła nocą, musiała przynieść zyski.

— Masz rację. Nie znam sumy, ale nie da się zaprzeczyć, że w sobotę nasz hrabia świętował to wydarzenie, oznajmiając, iż wyprawa do Murcji bardzo się opłaciła.

— Z czego wynika, że...

— Dla ciebie nic dobrego, bo Bernat zwiększył swoje wpływy. Tamtej nocy hrabia wznosił toast na jego cześć. Jedyną osobą, która mu nie wtórowała, byłem ja.

— Znacie powód tego toastu? — spytał Marti.

— Zdaje się, a przynajmniej takie krążą pogłoski, że to Montcusi prowadził negocjacje z Abenamarem i dlatego zyskał uznanie.

Marti błędził gdzieś przez chwilę myślami, aż doszedł do wniosku, że każdemu, kto mu sprzyja, grozi zemsta doradcy, i zaczął obawiać się o swego przyjaciela.

— Mówiliście, że nikt nie zauważył waszej nieobecności, gdy pomagaliście mi uwolnić Aixę.

— W domach kanoników, a Pia Almoina w końcu do nich należy, także uprawia się politykę i szanuje weteranów.

— Co macie na myśli?

— Wszyscy wiedzą, jaką funkcję sprawuję u boku hrabiny. Może mnie wezwać w każdej chwili. Biskup zwalnia mnie nawet z nocnych modlitw i nie pyta, czy mam brać udział w jakimś przyjęciu albo czy Almodis prosiła o spowiedź późną nocą, co zresztą czasem się zdarzało. Po naszym powrocie, zmieniawszy w twoim domu strój wojownika na habit zakonny, wróciłem do moich komnat i zdążyłem jeszcze nawet na *laudes*.

— Cieszę się, że tak było. Nie chciałbym, by kojarzono uwolnienie Aixy z waszą osobą. Przyjaźń, którą mnie zaszczycacie, i tak wzbudza wystarczająco dużo podejrzeń.

— Teraz jednak bardziej niż kiedykolwiek boję się o siebie. Hrabia wychwalał publicznie Montcusiego i o ile Bernat już przedtem miał mocną pozycję na dworze, teraz zyskał jeszcze w oczach starego. Bądź ostrożny, Marti, jego ambicje nie znają granic. Pokazał już, że jest złym człowiekiem, a teraz cieszy się specjalnymi względami i może ci zaszkodzić. W dodatku jako ekspert od finansów zdobył popularność wśród pospólstwa, które sądzi, że deszcz *maravedies*, który spadnie na miasto, to po części jego zasługa. Wszyscy remontują domy, przeczuwając, że coś z tego bogactwa trafi do ich kufrów. Nie zapominaj, że podczas sobotniej uczty gości obsługiwali służący z pałacu. Wielu z nich ma żony, a kobieta, która kładzie głowę na poduszce mężczyzny, ma wielkie wpływy. Możesz być pewny, że wieść rozniesie się lotem błyskawicy wśród kumoszek i natychmiast zostanie wyolbrzymiona. Wczoraj mówiono sto, dziś tysiąc, a jutro dziesięć tysięcy. Powtarzam, bądź ostrożny.

— Lepiej niech on się martwi. Ja nie potrzebuję więcej pieniędzy i w tej chwili nie zależy mi nawet na przyjaźni hrabiego, zwłaszcza że zdobyłem życzliwość hrabiny.

— Młodość jest śmiała, ale nie powinienes zapominać, że starcie z ludźmi władzy zawsze jest ryzykowne i że jakiś dekret albo nowe prawo może ograniczyć twoją działalność i zniweczyć wszystko. Staraj się ściśle przestrzegać przepisów. Jeśli będzie mógł na czymś cię złapać, skorzysta z okazji. Posłuchaj mojej rady i nie zapominaj, że kto planuje zemstę, powinien wykopać dwa groby.

— Bądźcie spokojni, Eudaldzie, nie bójcie się o mnie. Nie jestem już taki młody i potrafię się bronić.

— Jesteś jak twój ojciec — westchnął Llobet. — Na polu bitwy mówił to samo.

W tym momencie otworzyły się drzwi gabinetu i Baruch Benvenist, zamknawszy je bardzo starannie, podszedł do przyjaciół. Eudald i Marti wstali z miejsc i przywitawszy się jak należy, usadowili się wygodnie, bo czekała ich długa rozmowa.

Od odejścia Ruth stary bankier postarzał się o dziesięć lat.

- Jak się miewa moja córka, Marti?
- Mówiłem wam to już tysiąc razy: nie musicie niczego się obawiać.
- Nie chodzi o mnie, Marti. Podtrzymuje mnie na duchu wiara... Ale moja żona, choć to prawdziwa *EshetJail**, codziennie cierpi w milczeniu, bo tęskni za swą córeczką.
- Rozumiem smutek was obojga, że nie możecie cieszyć się jej obecnością, ale bądźcie pewni, iż jest szczęśliwa i przy mnie zawsze będzie bezpieczna. Nadejdzie dzień, gdy zasady nie będą tak surowe. Dziś rano siostra zabrała ją do mykwy w Sant Adria, ponieważ do Cali nie może pójść, a w chrześcijańskiej Barcelonie nie ma takich miejsc.
- To nasze zwyczaje. Kobieta musi się oczyścić po swoich dniach. Ale pomówmy lepiej o tym, co nas dotyczy. Muszę skonsultować z wami pewną sprawę, która mnie niepokoi.
- Zamieniamy się w słuch — zapewnił Eudald.
- Bankier zdjął jarmułkę i wyjąwszy z kieszeni tuniki chusteczkę, otarł nią spoconą łysinę.
- Widzicie, moi bracia, muszę być roztropny, gdyż decyzje, które podejmuję jako naczelnik bankierów — a pełnię tę funkcję w tym roku — mogą być istotne dla całej wspólnoty.
- Obaj mężczyźni słuchali uważnie Barucha.
- Wczoraj wieczorem zjawił się w moim domu zarządca do spraw aprowizacji w towarzystwie dwóch sekretarzy. Przyszedł w imieniu hrabiego. Powiedział coś, co było bardziej rozkazem niż prośbą. Chodzi o to, że musimy oddać moją piwnicę do dyspozycji rodu Berenguerów. W tym tygodniu złożą nam w depozyt ogromną sumę *maravedies*, które pochodzą niewątpliwie z okupu wypłaconego przez Maurów.
- Nie mówiłem, że wieści bardzo szybko się rozchodzą? — mruknął kanonik.
- A na ile ta sprawa dotyczy ojca Llobeta i mnie?

* *Eshet Jail* — „Dzielna niewiasta”, sławiona w Księdze Przysłów jako cnotliwa pani domu.

— Ojca Llobeta w żaden sposób. Ciebie tak, bo musisz zabrać swój kufer z pieniędzmi, gdyż hrabia domaga się całej piwnicy wyłącznie dla siebie.

— A inni, którzy mają tam depozyty, też muszą je zabrać?

— Oczywiście. Oprócz tego zwołałem na dzisiejszą noc zebranie *muccademin*, aby ustalić, jaki procent powinniśmy za proponować hrabiemu za dysponowanie przez rok jego kapitałem.

— O mnie się nie martwcie. Przyjdę jutro z moimi ludźmi i zabiorę kufer.

— To nie wszystko — ciągnął Baruch. — Wiecie, że tylko Żydzi są uprawnieni do bicia monet. Otóż hrabia chce upamiętnić wydarzenie, które miało miejsce, i rozkazuje nam stopić *maravedies* i wyprodukować *mancusos* z profilem jego twarzy z jednej strony i hrabiowskim herbem z drugiej.

— Trzeba przyznać, że to dobry sposób, by podnieść prestiż jego rodu i rozślawić Barcelonę — stwierdził Eudald.

— Owszem, macie rację, ale przysporzy nam to mnóstwo pracy. Oprócz stopienia monet w sztaby trzeba będzie wykonać nowe formy i matryce, a to wymaga czasu.

— Co jest na rękę hrabiemu, bo usprawiedliwia odroczenie spłaty długów — zaznaczył kanonik. — Nikt nie zakwestionuje działań, które przyniosą chwałę miastu, a ponieważ my musimy poręczyć jego płatności wobec wierzycieli, wszystko obróci się na jego korzyść.

— Coś mi się tu jednak nie zgadza. Wiecie, jaką niechęcią darzy doradca ludzi mojej nacji. To był niewątpliwie jego pomysł, a nie spodziewam się po nim niczego dobrego.

— Jeśli po to, by zdobyć względy Berenguerów, musi wam sprzyjać, zrobi to, choćby wbrew sobie. Jak wiecie, sam nie może bić monet. Potrzebuje was.

Wieczór mijał powoli. Żyd zaprosił swych przyjaciół do stołu. Ryfka przyłączyła się do nich. Baruch zasiadł na honorowym miejscu i odmówiwszy *Ha Motz*, rozkazał, by podano kolację. Marti i Eudald jedli koszerne potrawy z prawdziwą rozkoszą i bez skrupułów.

91

Siostry

W niewielkim sąsiednim miasteczku Sant Adria, na prawym brzegu rzeki Besós, istniały od czasów rzymskich małe, rzadko uczęszczane łaźnie, zasilane bieżącą wodą, dzięki czemu spełniały normy dotyczące ablucji kobiet, zapisane w świętych hebrajskich księgach. Żydzi przystosowali je więc do swoich celów, płacąc hrabiemu uzgodniony podatek, gdyż chrześcijanie z niższych sfer nie dbali szczególnie o higienę.

Ruth i Batszewa, która towarzyszyła tym razem siostrze, tam właśnie się kierowały, gdyż pierwszej z nich skończył się właśnie okres i nie mogąc wejść do Cali w Barcelonie, musiała dokonać gdzie indziej nakazanego przez Torę oczyszczenia. Jechały należącym do Martiego dwukołowym wozem z budą, zaprzężonym w dwa kasztanowe muły i powożonym przez Mohameda, syna Omara, który skończył już trzynaście lat. Siostry gawędziły swobodnie, nie obawiając się, że ich słowa dotrą do jego uszu, gdyż koła głośno stukały, a siedzący na koźle chłopak był całkowicie pochłonięty powożeniem.

— Batszewo, nigdy nie zrozumieć niektórych praw naszego ludu.

— Jakie prawa masz na myśli, Ruth?

— Na przykład to, które zobowiązuje mnie, żebym poszła do łaźni i oczyściła się, kiedy skończy mi się płamienie.

Batszewa się skrzywiła. Znała skłonność siostry do kwestionowania wszystkiego.

— Czego właściwie nie rozumiesz?

— Czy kobietę stworzył Jahwe?

— Tak mówi nasza wiara.

— Sądzisz więc, że mógł stworzyć coś niedoskonałego?

— Nie.

— A zatem jaką plamę muszę dziś z siebie zmywać, skoro my, kobiety, nie mamy wpływu na to, co dzieje się z nami co miesiąc?

— Za dużo myślisz, siostrze. Pozostaw to starcom, którzy objaśniają Torę. Zajmij się sprawami, które należą do nas.

— Nie godzę się z tym, siostrze. Nie chcę być jak muł, który nie kwestionuje otrzymywanych rozkazów.

— Zostaw te rozważania mędrcom. Oni prowadzą codziennie dysputy aż do upadłego.

— W tym tkwi całe zło: żydowskie kobiety nie myślą, a mężczyźni spędzają życie na jałowych dyskusjach, które do niczego nie prowadzą.

— Jesteś niepoprawna... Mówisz głupstwa, Ruth. Nigdy już się nie zmienisz?

— Bardzo cię kocham, Batszewo, ale nie zamierzam być pokorną żydowską żoną. Przedtem domyślałam się, a teraz wiem już na pewno, że poza Cali istnieje inne życie, o wiele bardziej pasjonujące. Zdążyłam je poznać i nie dam się znów zamknąć jak mniszka.

— Wiem, że zawsze byłaś trochę szalona, ale temu szaleństwu zawdzięczam moje szczęście. Niech więc będzie błogosławione.

— Co masz na myśli? — zdziwiła się Ruth.

— Muszę ci coś powiedzieć. W tym tygodniu przyjdzie do naszego domu swat od Melamedów, by uzgodnić z naszym ojcem warunki ślubu.

Ruth wytrzeszczyła oczy.

— Jakże się cieszę, Batszewo! A więc ten gamoń Ishai Melamed wreszcie się zdecydował.

— Mianowali go kantorem. To zapewni mu nowe dochody i będzie mógł się usamodzielić.

— Niczego mi nie zawdzięczasz, wprost przeciwnie, to ja mam wobec ciebie dług.

— Nie rozumiem.

— Gdybyś tamtej nocy, kiedy przybył Abenamar, w całym tym zamieszaniu nie puściła mojej ręki, nie zgubiłabym się i nigdy nie zaznałabym szczęścia.

— O czym ty mówisz?

— Siostrze, kocham całym sercem Martiego Barbany i na razie wystarcza mi, że będę mogła oddychać tym samym powietrzem, co on, do końca moich dni.

— Ależ Ruth, zawsze sądziłam, że to tylko obsesja małej dziewczynki. On jest chrześcijaninem i nasze prawa nie pozwalają ci nawet o nim marzyć.

— Gdyby zaszła potrzeba i gdybym miała to szczęście, że zwróci na mnie uwagę, przyjąłabym jego wiarę i wyrzekła się naszych praw.

— Ojciec by tego nie przeżył.

— Nie martw się. Zwierzyłam ci się z czegoś, co się nie zdarzy, ku mojej rozpacz. Ale bądź pewna, będę należała do niego albo do nikogo.

— Oby Jahwe zlitował się nad tobą i cię oświecił.

Pogwizdywanie Mohameda zatrzymującego muły obwieściło, że dotarli do celu. Dziewczyny wysiadły z wozu i nakazawszy chłopcu, by na nie zaczekał, weszły do środka. Kamienna budowla składała się z czterech pomieszczeń. Trzy miały fundamenty w ziemi, a czwarte było praktycznie do połowy zanurzone w wodach rzeki Besós. Zarządzała tym miejscem kobieta w średnim wieku. Siostry podeszły do kontuaru.

— Chwała Jahwe, Panu wszechświata.

— Chwała Jedynemu i Doskonałemu. Czego sobie życzycie?

— Przychodzimy dokonać ablucji.

— Obie?

— Nie, tylko ja — odparła Ruth.

— Przynieśliście, co trzeba?

— Tak.

To powiedziawszy, Ruth pokazała płócienną torbę, w której miała flakoniki z olejkami niezbędnymi do nakazanego przez religię rytuału.

— Jeśli chcecie, możecie poczekać w sali obok — powiedziała kobieta, zwracając się do Batszewy. — A wy chodźcie ze mną.

— Nie każę ci czekać długo, siostró, szybko skończę.

Ruth podążyła za kobietą i dotarła do pomieszczenia, gdzie w jednym z kątów stała miednica na żelaznych nogach. Przy ścianie ustawiono kamienne ławy, a nad nimi wisiały rzędem odwrócone jelenie rogi, służące jako wieszaki.

— Kiedy skończycie, wezwijcie mnie dzwoneczkiem, to po was przyjdę, żebyście nie natknęli się w drzwiach na inną kobietę, która przyszła tu w tym samym celu i byłaby zawstydzona, że ktoś widzi ją w takim miejscu. Wiecie, że prawo wymaga, by odbywać ten rytuał w samotności.

Po tej tyradzie kobieta wycofała się w milczeniu, zamykając za sobą masywne drzwi.

Ruth została sama, pogrążona w myślach. Usiadłszy na jednej z ław, zdjęła *sankas**. Potem, już bosa, wstała i ściągnęła tunikę, *almeję***², a na koniec koszulę i pantalon. Powiesiwszy całą odzież na wieszakach, wzięła olejki niezbędne do ablucji, i postawiła je na krawędzi wyżłobionej w skale ogromnej kamiennej wanny. W końcu zanurzyła się w wodzie, która wpływała przez jeden otwór, w wypływała przez drugi. Choć był czerwiec, jej smukłe jak trzcina ciało przeniknął dreszcz i sutki jej piersi stały się jędrne jak czerwone czereśnie. Nie wiadomo dlaczego przypomniała sobie nagle dłonie Martiego i dotyk strumienia wody wydał jej się pieszczotą.

* *Sankas* — sandały na drewnianym koturnie, chroniące przed wilgocią.

** *Almejia* — pelerynka rozcięta po bokach, nakładana na koszulę, pod tunikę; zamożne kobiety zastępowały ją etolą.

Marcal de Sant Jaume i Pedro Ramón

W majestatycznej sali trofeów i zbroi Pałacu Hrabiego odbyło się potajemne spotkanie. W szczególnych okolicznościach wilk może paktować z lisem, kiedy chodzi o zabijanie owiec. Spiskowcami byli dwaj osobnicy szlacheckiej krwi, choć niewiele mieli w sobie prawdziwej szlachetności. Obaj przybyli na spotkanie z podobnych pobudek.

Pierwszym z nich był Pedro Ramón, najstarszy syn hrabiego Barcelony, drugim Marcal de Sant Jaume, wpływowy arystokrata, przez wiele miesięcy zakładnik mauretańskiego króla Sewilli, al-Mutamida. Obaj, ukryci w głębi sali obok jednego z okien, przez które wpadały ostatnie promienie czerwcowego słońca, rozmawiali i pocieszali się wzajemnie w swej niedoli.

— Mam już dość znoszenia impertynencji i wiercie mi, że pewnego dnia nie zdzierzę i wtedy wszystko może się zdarzyć — mówił Pedro Ramón.

— I mówicie to wy, którzy mogliście zrobić przez miniony rok, co tylko zapragnęliście. A wyobraźcie sobie, że bez swojej winy zostajecie zakładnikiem niewiernego, który ogranicza waszą wolność. Użyli mnie jako monety przetargowej, a gdy wróciłem, nie okazano mi nawet wdzięczności przed całym dworem.

— Cierpliwości. Na tym dworze rządzi kurtyzana, która odebrała rozum mojemu ojcu.

— Cierpliwości, powiadacie? Moje poświęcenie nic mi nie dało, w hrabiowskim skarbcu przybyło za to mnóstwo *maravedies*. Tamtej nocy nawet o mnie nie wspomnieli.

— Nie uskarżajcie się. Mnie w ogóle nie zaprosili. Pewnie popadłem w niełaskę, gdy wymieniano zakładników. Mój ojciec jest stary i pozwolił, by Maur okazał mu brak szacunku w obecności całego poselstwa, a gdy powiedziałem głośno, jak powinien traktować niewiernego, publicznie mnie skarcił i wyszydził. Tylko tyle zyskałem.

— Słyszeliście, jakie krążą pogłoski? — spytał Marcal de Sant Jaume po chwili milczenia.

— Jest ich tyle... Na jaki temat?

— Podziału zysków.

— Sadzę, że zostaną przeznaczone na żołąd dla wojska i spłatę długów zaciągniętych wobec hrabiów, którzy towarzyszyli memu ojcu w wyprawie.

— Oraz na gratyfikacje dla hrabiny, która otrzymała ogromną sumę na zaspokajanie swych kaprysów.

Pedro Ramón spochmurniał.

— Kto wam to powiedział?

— Takie chodzą słuchy. Ten wścibski karzeł, który jest za razem jej błaznem i wróżbitą, rozgłasza w pałacu dobrą nowinę i chwali się nowymi portkami i tuniką, które dostał dzięki wyprawie.

— A ja, pierworodny syn, ciułam pieniądze, by wywiązać się ze zobowiązań wynikających z moich praw.

— Jakie zobowiązania macie na myśli?

— Zdobywanie zwolenników dla mojej sprawy. Uważacie, że poparcie przyszłych dworzan nic nie kosztuje? Niedawno, na przykład, wstawił się za mną doradca do spraw aprowizacji, Bernat Montcusi. Takie gesty nagradza się synekurami i przywilejami, a to wymaga dużych pieniędzy. Nie okazuję wdzięczności, rozchylając nogi tak jak hrabina, gdy chce zdobyć względy

dla swego ukochanego bliźniaka, którego bez wątpienia zamierza wywyżżyć moim kosztem.

— Macie dużo czasu. On jest jeszcze dzieckiem.

— Trzeba zająć się nim już teraz. Kiedy dorośnie, może stać się niebezpieczny.

— Zatem gdy nadejdzie pora, możecie liczyć na moje poparcie. Nie proszę o nic w zamian. Myślę, że wiedza, jaką zdobyłem przez tyle czasu na temat zwyczajów niewiernych, może wam się bardzo przydać.

— Bądźcie pewni, że potrafię wynagrodzić waszą wierność, ale najpierw muszę upomnieć się o swoje prawa. Wiecie, jaką sumę dostała nałożnica mojego ojca?

— Podobno pięćset *maravedies*.

Po południu rozsierdzony Pedro Ramón wtargnął do prywatnych komnat hrabiny, zanim zdążono go zaanonsować.

Almodis była w towarzystwie trzech swoich dam. Pierwsza z nich, Lionor, bawiła się z Ines i Sanchą, a Delfin, odziany w nową tunikę, siedział na małym taborecie nadęty jak paw, i ku uciesze wszystkich czytał na głos bizantyjską powieść. Gdy drzwi gwałtownie się otworzyły, zadrżały płomienie oświetlających komnatę lampek oliwnych i kandelabrow.

Egzaltowany młodzieniec zbliżył się na odległość niecałych trzech kroków do niewielkiego tronu i rzucił szorstkim tonem:

— Jaką cenę kazałaś tym razem zapłacić mojemu ojcu?

— Dobry wieczór, Pedro. Czemu zawdzięczam waszą wizytę? — odparła hrabina, zamierzając udzielić pierworodnemu swego męża lekcji dobrych manier w obecności służby.

— Darujcie sobie próżną kurtuazję. Wiemy oboje, o co chodzi.

Almodis nie dała się sprowokować i rozkazała damom, by wyszły, zabierając dziewczynki. Kiedy Lionor i Delfin również zamierzali się oddalić, hrabina oznajmiła głośno:

— Wy zostańcie, potrzebuję świadków tego, co się tu wydarzy. Nie chcę, by ten awanturnik poszedł potem do swojego ojca,

przypisując mi słowa, których nie wypowiedziałam. Już się tak zdarzało.

— Stawiacie mnie na równi z waszymi sługami, ale to nieważne. Przywykłem już do waszego lekceważenia i arogancji. Moich skarg jest tyle, co gwiazd na niebie, podobnie jak waszych zniewag. O tym, co chcę wam powiedzieć, mówi się w całym pałacu, nie ma zatem znaczenia, że wasi słudzy będą obecni przy naszej rozmowie. Sądzę, że rajfurka, którą sprawa dziliście z Francji, i ta pokraka, która was zabawia, dobrze znają kuchenne plotki.

Lionor i Delfin siedzieli, nie odrywając wzroku od swojej pani, i słuchali z otwartymi ustami rzucanych pod ich adresem jadawitych inwektyw.

— Wszyscy wiedzą, jaki macie charakter, i wasz sarkazm nikogo nie porusza — odparła Almodis. — Nie obraża ten, kto chce, tylko ten, kto może. Skończmy to jak najszybciej. Co tym razem tak was rozdrażniło, że wpadacie do moich komnat bez pukania i bez zaproszenia?

Gdy Pedro Ramón nie panował nad nerwami, zaczynał zezować.

— Znów zostałem zlekceważony i upokorzony przed całym dworem.

— Nie rozumiem, o co wam chodzi. Ode mnie nic nie zależało. Tak czy inaczej, powinniście poskarżyć się ojcu, który, jak mi powiedziano, czuje się urażony waszym zachowaniem w dniu wymiany zakładników.

— Źle wam powiedziano. Nie zrobiłem niczego dla swojej korzyści. Mylicie godną obronę interesów hrabstwa, w imię której chciałem zapobiec poniżeniu naszego sztandaru, z małostkowymi osobistymi interesami.

— Zakładając, że kierowaliście się takimi motywami, za stosowaliście niewłaściwą taktykę.

— Pani, łatwo wam mnie osądzać, siedząc w zaciszu komnaty. Sytuacja była napięta i właśnie wtedy musiałem ratować reputację hrabstwa. Zresztą nie wiem, dlaczego próbuję wyjaśniać wam

sprawy dotyczące wojny. Nie po to tu przyszedłem. Jesteście kobietą, z czego wynikają pewne ograniczenia.

Almodis zaczynała mieć tego dość i nie zamierzała znosić dłużej tych impertynencji.

— Ta kobieta, którą traktujecie z taką pogardą, przyniosła już Barcelonie więcej korzyści, niż wy zdołacie przynieść w ciągu całego życia.

— Zwłaszcza jeśli zepchnie mnie całkowicie na margines i będzie się starała uszczuplić moje prawa.

— Jeszcze nie nadeszła pora, byście z nich korzystali, o ile wasze postępowanie zupełnie ich was nie pozbawi.

— Do tego właśnie dążycie, odkąd pojawiliście się w naszej rodzinie.

— Dobrze, skończmy już z tym błazeństwem. Czego chcecie tym razem?

— O ile mi wiadomo, mój ojciec, hrabia, raczył wam zapłacić za jakieś usługi, których charakteru się domyślam. No cóż, uważam, że może robić, co mu się podoba, ze swoimi pieniędzmi, ale nie z moimi. Dlatego domagam się od was zwrotu należnej mi sumy.

Hrabina długo zastanawiała się nad odpowiedzią.

— To, co wasz ojciec robi z pieniędzmi, jak słusznie mówicie, nie jest moją sprawą, a jeśli uznał za stosowne nagrodzić mnie za wszystko, co zrobiłam i robię dla hrabstwa, miejcie pretensje do niego. Ja mogę jedynie wydać polecenie, by wpisano was na listę potrzebujących, którzy dostają codziennie w południe porcję zupy przy drzwiach katedry, ponieważ jesteście ubodzy duchem. Jeśli nie macie nic więcej do powiedzenia, zechciejcie zostawić mnie w towarzystwie ludzi, którzy nieodmiennie wprawiają mnie w lepszy nastrój niż wy, ilekroć się przede mną zjawiacie.

Delfin miał nieszczęście znaleźć się na drodze Pedra Ramóna, gdy ten, czerwony z wściekłości, wychodził z komnaty. Błazen upadł wraz ze swym taboretem na podłogę, gdy rozgniewany ksiązę uraczył go brutalnym kopniakiem.

Piątek w południe

W piątek, gdy bicie dzwonów zwiastowało Anioł Pański, zdenerwowany Marti Barbany mijał w towarzystwie spowiednika hrabiny bramy Pałacu Hrabiego, przybywając na zaproszenie Almodis. Eudald Llobet, który znał powód audjencji, uśmiechał się w duchu, wyobrażając sobie wielką radość, jaką sprawią jego podopiecznemu czekające go nowiny. Gdy wchodzili po schodach do pałacu, zacny ksiądz rozmyślał, jak bardzo młodzieniec, który odwiedził go przed sześciu laty, różnił się od idącego teraz obok niego dojrzałego mężczyzny. Pracowitość, niestrudzony wysiłek, wytrwałość i, trzeba przyznać, także szczęśliwy los pozwoliły Martiemu osiągnąć imponujące sukcesy w handlu. W sprawach osobistych życie obeszło się z nim jednak doprawdy okrutnie. Od śmierci Lai wciąż ubierał się na czarno i w bezsenne noce często nawiedzały go straszne wspomnienia.

— Wiecie, dlaczego zostałem wezwany? — dopytywał się Marti, gdy szli korytarzami za majordomem.

— Nie mam pojęcia, ale przeczuwam, znając pałacowe zwyczaje, że chodzi o jakieś pomyślne wiadomości.

— Oby Bóg tak chciał. Ale boję się tych ludzi. Są jak słońce: zawsze trzeba zachować bezpieczną odległość. Kiedy jesteście za

daleko, marzniesz, a kiedy zbyt blisko, możesz spłonąć. Na dworze lepiej nie rzucać się w oczy.

— Nie całkiem się z tobą zgadzam. Często odwiedzam komnaty hrabiny i zobacz, jestem spokojny i odprężony.

— Bez wątpienia jesteście wyjątkiem, który potwierdza regułę.

Tak gawędząc, dotarli do drzwi prywatnych komnat Almodis.

Odźwierny, zobaczywszy księdza, który miał o każdej porze swobodny wstęp do pałacu, otworzył drzwi, nie obwieszczając ich przybycia i okazując swą postawą szacunek wszystkim ludzi pełniących służbę na rzecz hrabiny, na jaki zasługiwał duchowny.

Eudald Llobet poszedł przodem, a za nim Marti. Podczas prywatnych audiencji Almodis nie przestrzegala sztywnego dworskiego protokołu. Świadcami rozmowy mieli być dona Lionor, dona Brigida, dona Barbara, Delfin oraz pudel, którego hrabina dostała niedawno w prezencie od męża.

Eudald zwrócił się do niej już od progu:

— Za waszym pozwoleniem, pani.

Almodis, odkładając na bok pracę, którą wykonywała, uśmiechnęła się serdecznie.

— Wejdźcie, mój zacny przyjacielu. Wasza obecność zawsze zwiastuje miłe chwile. Widzę, że przybywacie w towarzystwie jednej z niewielu osób w tym mieście, których jestem dłużniczką.

Obaj mężczyźni przyklęknęli, dotarłszy do schodka u podnóża tronu.

Marti, choć zdenerwowany, zareagował spontanicznie na pochlebstwo hrabiny.

— Pani, dłużnikiem zawsze pozostanę ja.

Almodis zaskoczyła zuchwałość jej wasala.

— W tym przypadku jest inaczej. Władca powinien pamiętać o obietnicach, które składa swym poddanym, i rzecz jasna ich dotrzymywać.

Marti zajął wyczekującą postawę.

— Przypominacie sobie, co wam obiecałam przy okazji wizyty ambasadora króla Sewilli?

— Oczywiście, pani. Ale to nie było zobowiązanie. Potraktowałem wasze słowa jako wyraz radości wynikającej z nadziei, że miasto będzie wyglądało uroczyście i odświętnie.

— Otóż była to obietnica, której zakres po otrzymaniu raportów postanowiłam poszerzyć i ubolewam, że musieliście czekać tak długo. Obowiązki hrabiego, mojego męża, i kampania w Murcji opóźniły tę doniosłą chwilę.

W tym miejscu Almodis, jako doświadczona dyplomatka, zamilkła na moment dla wzmocnienia efektu swoich słów, i skupiwszy uwagę obu słuchaczy, ciągnęła:

— Zgromadziłam o was szczegółowe informacje i muszę przyznać, że nigdy nie słyszałam na temat kogokolwiek tylu pochwał. Ogłaszam was zatem pełnoprawnym obywatelem Barcelony, ze wszystkimi przywilejami wynikającymi z tej godności.

— Pani, ja...

— Czy wasz mentor, obyty z dworskimi manierami, nie pouczył was, że nie należy przerywać hrabinie? No cóż, zważywszy na wasz brak doświadczenia w tych sprawach, nie wezmę tego pod uwagę. Kontynuuję więc. Nakłoniwszy hrabiego, by okazał hojność dla uczczenia tej okazji, wręczam wam niniejszym medal, który potwierdza wasz nowy status, a także, choć wiem, że tego akurat wam nie brakuje, sakiewkę monet, abyście rozdzielili je między swoich służących, by także cieszyli się waszym sukcesem. Ojciec Llobet poinformuje was o przywilejach, które z tą chwilą nabyliście.

Hrabina klasnęła krótko i natychmiast zjawił się paź, niosąc na szkarłatnej poduszce emaliowany złoty medal zawieszony na jedwabnej tasiemce z czterema czerwonymi pasami na żółtym tle. Obok leżała sakiewka ze szkarłatnego aksamitu z wyhaftowanym hrabiowskim herbem.

— Zbliźcie się.

Książę pchnął łokciem Martiego, który podszedł zdumiony do podium, skłaniając głowę.

Almodis założyła mu uroczyście medal na szyję i wręczyła sakiewkę.

Marti cofnął się z dumą i stanąwszy obok księdza, ledwo ośmielił się powiedzieć:

— Pani, nie zasługuję na to wszystko.

— Wiec postarajcie się zasłużyć, bo oczekuję od was wielkich rzeczy.

Pulchny Llobet i oniemiały Barbany wyszli powoli, nie odwracając się plecami do hrabiny. Już na korytarzu Marti spytał przyjaciela:

— Wiedzieliście, co się święci?

Ksiądz odparł chytrze:

— Kościół musi być zawsze dobrze poinformowany. Zdejmij medal i zobacz jego rewers.

Marti poszedł za radą przyjaciela i odwróciwszy medal, przeczytał:

Martiemu Barbany, który dał miastu nowe światło, budząc radość jego mieszkańców i podziw przyjezdnych.

Almodis z Marchii, która oczekuje od niego jeszcze większych dokonań

Przeczytawszy to, Marti pomyślał, jak bardzo pragnąłby przeżyć tę chwilę wiele lat wcześniej, i poczuł przenikliwy dreszcz, który zamglił mu wzrok.

Baruch i Montcusi

W przedsiönku gabinetu doradcy do spraw aprowizacji wśród różnorodnej klienteli rzucały się w oczy trzy postacie, czekające cierpliwie na audiencję. Wszyscy obecni wiedzieli, z jaką niechęcią Bernat Montcusi traktuje mieszkańców Cali i jak nie lubi przyjmować Żydów w czasie, który przeznaczał dla obywateli Barcelony. Ściągnięte w pasie tuniki, spiczaste czapki i zdobne sznurowane buty bardzo zwracały uwagę. Na jednej z ław w głębi poczekalni siedzieli Baruch Benvenist, *dajan* z Cali, Eleazar Bensahadon, który aż do poprzedniego roku pełnił funkcję cechmistrza bankierów, i Aszer, skarbnik tychże. Szeptali między sobą, oczekując nerwowo, aż przyjmie ich wpływowa osobistość.

Eleazar Bensahadon pytał skarbnika:

— Kiedy powiadomiono was o tym problemie?

— Wczorajszej nocy przysłali mi wiadomość z odlewni i nie tracąc czasu, poszedłem szukać Barucha. W Cali zamykano już bramy i posłaniec musiał spać w moim domu.

Głos odźwiernego zabrzmiał donośnie, wzywając żydowskich petentów.

Trzej mężczyźni wstali i wśród pomruków zgromadzonych w przedsiönku osób weszli do korytarza z kasetonowym sufitem, prowadzącego do gabinetu doradcy do spraw aprowizacji.

Conrad Brufau, który jako dobry sekretarz znał niechęć swego zwierzchnika do ludzi tej nacji, traktował ich oschle, jakby nie miał obowiązku się nimi zajmować.

— Wasze miłości przybywają z jakąś nagłą sprawą nie w porę i bez zapowiedzi. Miejmy nadzieję, że chodzi o coś naprawdę ważnego. W przeciwnym razie obawiam się, że wynikną z tego przykre konsekwencje. Rozbierzcie się i zaczekajcie. Sprawdzę, czy możecie już wejść.

Trzej Żydzi zostawili swe spiczaste nakrycia głowy na ławie i czekali zdenerwowani i strapieni, aż zostaną przyjęci przez doradcę.

Wkrótce sekretarz wrócił, oznajmiając, że jego pan, Bernat Montcusi, ich wysłucha.

Baruch, Eleazar i Aszer, w tej właśnie kolejności, zostali wprowadzeni do wspaniałego gabinetu dostojnika i stanęli przy drzwiach w pełnym szacunku wyczekiwaniu. Montcusi siedział za biurkiem, udając, że czyta jakiś niekończący się dokument. Nagle podniósł wzrok, jakby właśnie zdał sobie sprawę, że ktoś na niego czeka, i oznajmił z fałszywą uprzejmością:

— Ależ wejdźcie, panowie... Nie stójcie jak śludzy.

Trzej mężczyźni weszli i na znak doradcy powiesili peleryny na poręczach foteli i usiedli.

— No dobrze, panowie, jakaż to pilna sprawa wymaga, bym przyjmował was poza wyznaczonym czasem i miejscem?

Głos zabrał Baruch Benvenist, spokojny i powściągliwy.

— Ekscelencjo, jesteśmy zmuszeni niepokoić was w tak nie stosownym momencie z powodu pewnego niefortunnego incydentu. Chodzi o wyjątkowo delikatną sprawę, inaczej nie marnowalibyśmy waszego cennego czasu.

— Zatem przejdźcie do rzeczy, żebyśmy nie tracił go na głupstwa.

— Dobrze, ekscelencjo. Otóż, zgodnie z waszym zleceniem, zaczęliśmy przetapiać *maravedies* z królestwa Sewilli, aby za mienić je na katalońskie *mancusos* z podobizną naszego hrabiego z jednej strony i herbem Barcelony z drugiej.

— I co?

— W tym celu zabraliśmy z piwnicy don Barucha wszystkie worki ze złotem i pod eskortą naszych najlepszych ludzi przewieźliśmy je na wozie do odlewni — podjął Bensahadon.

Twarz doradcy zaczęła blednąć.

— Mówcie dalej.

Znów odezwał się Baruch:

— Jak wiecie, aby wybić nowe monety, trzeba najpierw wyprodukować niezbędny do tego surowiec. Musieliśmy w tym celu stopić *maravedies* w piecu, oddzielić czyste złoto i mieszać je ze srebrem, aby uzyskać granulowany metal, bo w przeciwnym razie monety byłyby zbyt ciągliwe i nie nadawałyby się do użytku.

— I jaki napotkaliście problem?

— Otóż, ekscelencjo, wrzuciwszy do pieca zawartość worków, stwierdziliśmy, że *maravedies* zawierają tak mało złota i tyle innego metalu, iż nie nadają się do wykonania zlecenia, które nam przekazaliście.

— To mieszanina ołowiu i miedzi — dodał Aszer.

W komnacie zapadło złowrogie milczenie.

— Chcecie mi powiedzieć, że *maravedies* nie mają wartości?

— Są fałszywe, ekscelencjo.

Bernat Montcusi wyszedł zza masywnego biurka i zaczął przemierzać wielkimi krokami gabinet. Nagle zatrzymał się obok wielkiego piaskowego zegara, świdrując wzrokiem Barucha.

— Sądziłem, że wasza piwnica jest najbezpieczniejszym miejscem w hrabstwie.

— To prawda, ekscelencjo.

— I mówicie, że ludziom, którzy przewozili *maravedies*, można ufać?

— Tak, ekscelencjo. Towarzyszył im skarbnik i nie było żadnych zastrzeżeń.

— A ludzie, którzy obsługują piec?

— Ręczę za nich.

— Zatem gdzie, waszym zdaniem, dokonano zamiany?

Żydzi poruszyli się niespokojnie na swoich miejscach.

— O jakiej zamianie mówicie, ekscelencjo?
— To oczywiste, że gdzieś podmieniono monety.
— Ekscelencjo, nie sugerujecie chyba, że my za to odpowiadamy?

— Czyżbyście insynuowali, że monety, które wam przekazałem i które przyjęliście, były fałszywe?

— Ekscelencjo, powiedzieliście nam, że okup wypłacono nocą, kiedy księżyc był już bardzo wysoko. Czy to nie dziwne, że niewierni chcieli przekazać go wam od razu, a nie dopiero następnego dnia, jak to jest w zwyczaju? Nie podejrzewacie, że skorzystali z ciemności, by nadużyć waszego zaufania i oszukać was na znaczną sumę?

— Czyż nie jest faktem, że uczeni naczelnicy bankierów przyjęli monety jako prawdziwe i podpisali stosowne kwity? Czyżbyście sugerowali, że dałem się oszukać Maurom i naraziłem przez to na straty mojego pana? — odparował Bernat.

— My, ekscelencjo, niczego nie sugerujemy ani nie próbujemy ukryć, ale *maravedies* bez wątpienia są fałszywe.

— Ktoś będzie musiał za to odpowiedzieć.

Głos doradcy zabrzmiał w uszach trzech Żydów jak syk żmii.

Kozioł ofiarny

Stopione *maravedies* stanowiły dowód, że podstępni Maurowie oszukali hrabiego. Tylko cud mógł ocalić go przed bankructwem, gdyż musiał opłacić sojuszników z własnych pieniędzy. Jego prestiż i dobre imię były ważniejsze niż bogactwo czy bieda.

Montcusi zjawił się niezwłocznie w Pałacu Hrabimskim, gotowy stawić czoło tej nader niefortunnej sytuacji. Jego reputacja była zagrożona i powinien zręcznie wszystko rozegrać, jeśli nie chciał stracić pozycji.

Idąc za jednym z odźwiernych, przemierzał korytarze, które tak dobrze znał.

Kiedy dotarł do wielkich drzwi, dowódca straży, poprosiwszy, by chwilę zaczekał, wszedł do środka, aby uzyskać od majordoma zezwolenie na audiencję dla doradcy do spraw aprowizacji. Zaraz potem pojawił się ponownie, oznajmiając, że może wejść.

Bernat Montcusi, ze skruszoną miną i odkrytą głową, podążył po drugim dywanie do stóp podium, na którym stał osłonięty baldachimem tron.

Ramón Berenguer, naradzający się właśnie z dwoma spośród swych zaufanych *prohomes* i majordomem Gualbertem Amatem, pozdrowił go uprzejmie, pamiętając niewątpliwie korzyści, jakie przyniósł mu spryt doradcy.

— Jaka dobra nowina sprowadza was tu o tej porze i bez zapowiedzi?

— Obawiam się, panie, że tym razem przynoszę złe wieści. Hrabia spoważniał.

— Mówcie, mój zacny przyjacielu. Tylko śmierci nie da się zapobiec, a jej każemy na razie poczekać.

— Panie, czasem okoliczności sprawiają, że dochodzi do czegoś, co nie zagraża co prawda naszemu życiu, ale je paraliżuje.

— Mówcie, Bernacie, na wszystko jest sposób.

— Jak sobie życzyacie, panie, ale ta sprawa wymaga ogromnej dyskrecji, nie z mojego powodu, lecz dla dobra hrabstwa.

— Sugerujecie, że powinienem oddalić ludzi, których darzę bezwzględny zaufaniem?

— Myślę, że im mniej osób usłyszy to, co mam wam do powiedzenia, tym większa jest szansa na utrzymanie wszystkiego w tajemnicy.

— Jeśli wasze wyjaśnienia nie przekonają mnie, że macie rację, potraktuję to jako zniewagę. — Po chwili dodał: — Major-domie, panowie, zechciejcie poczekać w przedsionku. Gdy tylko skończę z tą poważną sprawą, poproszę was.

Dwaj członkowie *Curia Comitum* opuścili salę w ślad za major-domem, a gdy zamknęły się za nimi drzwi, Ramón Berenguer odezwał się poważnym i oschłym tonem:

— No dobrze. Siadajcie i powiedzcie mi teraz, z jakiego to powodu musiałem odprawić moich zaufanych współpracowników?

Montcusi usiadł na ławie po prawicy hrabiego i zaczął snuć swą opowieść. Władca słuchał go uważnie. Wyjaśnienia zajęły sporo czasu.

— Tak więc, panie, wykorzystując pośpiech i ciemność, podstępni Maurowie przekazali nam *maravedies* wyglądające jak prawdziwe, ale zawierające tak mało złota, że nie wystarczy go na bicie nowych monet.

— Dlaczego nikt tego nie zauważył?

— Powtarzam, panie, tak bardzo spieszyliśmy się, by zakoń-

czyć sprawę, a monety tak doskonale podrobiono, że nie wzbudziły żadnych podejrzeń. Zważcie na to, że ich kuźnie cieszą się wielką sławą, a bite przez nich *mancusos jafaries* i *sargentianos* są bardzo cenione i powszechnie używane. Hrabia potarł podbródek.

— Jeśli nie znajdziemy sposobu, by zmniejszyć straty, skarbiec może straszliwie opustoszeć.

Bernat oczekiwał reakcji swego pana, aby podsunąć mu jakiś pomysł, dzięki czemu mógłby odzyskać częściowo jego zaufanie i znów wystąpić w roli wybawcy.

— Przychodzi mi do głowy pewne rozwiązanie i dlatego zaproponowałem, byśmy rozmawiali bez świadków.

— Słucham was, Bernacie.

— Rozważmy wszelkie okoliczności. Powiedźcie mi, panie, gdyby coś w mojej propozycji wam nie odpowiadało.

Hrabia zgodził się i przebiegły Montcusi wyłożył swój plan.

— To oczywiste, że poza odzyskaniem pieniędzy musimy ocalić także honor hrabstwa i prestiż władców Barcelony...

— Nie przerywajcie, proszę.

Bernat spostrzegł, że znów zaczyna panować nad sytuacją.

— Maurowie przechytrzyli nas i sprzedali nam kota w worku. Ale dopiero się okaże, kto jest stratny. Żydzi są ekspertami, jeśli chodzi o bicie monet, gdyż wasz dziadek nadał im ten przywilej.

— Do czego zmierzacie?

— Żydowscy bankierzy przyjęli *maravedies* jako prawdziwe i dali wam pokwitowanie, negocjując w dodatku określony procent.

— A zatem?

— Tylko oni mieli dostęp do tych monet, przetopili je, a teraz twierdzą, będąc już od ponad dwóch tygodni w ich posiadaniu, że są fałszywe.

Ramónowi zaczęły błyszczeć źrenice.

— Wiecie, o czym mówię? — mruknął przewrotny doradca.

— Chyba zaczynam rozumieć.

— To proste — stwierdził Bernat pewniejszym tonem. — Nie

przyjmujcie ich usprawiedliwień. *Maravedies*, które im przekazaliście, były prawdziwe, macie na to pokwitowanie, i jeśli ktoś dokonał zamiany, to ich problem, nie wasz.

— Bernacie, zawsze wiedziałem, że znacie się doskonale na interesach, i teraz to potwierdzam.

— To nie wszystko, panie.

— Jest coś jeszcze?

— Rozpuścimy wśród ludu pogłoskę, że Żydzi próbowali zdradzić hrabstwo, szkodząc interesom mieszkańców. Im bardziej wasi poddani będą interesować się Żydami, co zresztą zawsze stanowiło ich ulubione zajęcie, tym mniej będą mieli czasu na protesty w innych sprawach.

— I co wtedy?

— Zażądacie wypłaty pieniędzy i odsetek. Poczują się zobowiązani odpowiedzieć za ten występki i rzekome oszustwo i będą płacili przez lata za chciwość swoich przywódców. W obliczu wyboru, czy stanąć po stronie swego hrabiego, czy zniechęconych Żydów, lud wybierze was i żadnej kary nie uzna za zbyt surową.

— Jeśli wyjdziemy z tego obronną ręką, Barcelona będzie miała wobec was dług, mój przyjacielu. Nasuwa mi się jednak pewna wątpliwość. Nie chciałbym, by mieszkańcy Cali czuli urazę do swego hrabiego. Przynoszą mi spore zyski.

— Nie ma obawy. Znanadto lubią handlować i chcą żyć w pokoju, a Barcelona im to zapewnia. Wdadzą się w nieskończone dysputy, jak to mają w zwyczaju, i w końcu obarczą kogoś odpowiedzialnością za swoje bankructwo. Zważcie poza tym, że nigdy w żadnej z żydowskich wspólnot w Kastylii nie było buntów. Żydzi są potulni jak baranki i od czasów Tytusa przywykli do uciekania.

— Jak sądzicie, kogo obwinia?

— Tego samego człowieka, którego oskarżymy my: Barucha Benvenista, *dajana* Cali. To Żyd cieszący się największym prestiżem. Kiedy odetniecie głowę wężowi, problem zniknie.

— Jakich użyjecie argumentów?

— Panie, w *Liber judiciorum*, a teraz w waszych *Usalges*, zapisano wyraźnie, że „bankier, który nie może wypełnić swoich zobowiązań, zostanie powieszony przed swoim kantorem”. Czyż zatem nie zasługuje na szubienicę ten, kto chciał podstępnie oszukać swego władcę?

Ramón Berenguer nie zastanawiał się długo.

— Zrealizujcie swój plan.

— Panie, radzę, byśmy działali z rozwagą. Nie należy grzeszyć pośpiechem ani sprawiać wrażenia, że lekceważy się prawo. Dajcie im czas. Niech poczują się pewniej i sądzą, że pogodziliś się ze stratą.

— Zachowajcie dyskrecję, Bernacie — poprosił hrabia.

— Panie, pamiętajcie, że to ja zaproponowałem, byśmy odbyli tę rozmowę bez niewygodnych świadków.

— Wracajcie do swoich spraw i wiedźcie, że jeśli wasz hrabia wyjdzie z tej opresji bez szwanku, będzie waszym dłużnikiem.

Montcusi spróbował pochylić w ukłonie swe tłuste cielsko, po czym opuścił gabinet, pewien, że odzyskał dobre imię, i czując się tak, jakby stał się bardzo ważny.

Kości zostały rzucone. Barach Benvenist miał stać się kozłem ofiarnym, a winą za wszystko zamierzano obarczyć, jak zawsze, Żydów.

Ślub Batszewy

*Juppa** znajdowała się obok studni, a wielki weselny stół ustawiono pod ogromnym kasztanem, gdzie niegdyś Baruch prowadził w letnie noce niekończące się dysputy z Eudaldem Llobetem na temat filozofii i religii i radził Martiemu, jak najlepiej prowadzić interesy.

Przybywali zaproszeni goście. Przyjmowała ich najstarsza córka Barucha, Estera, będąca od pięciu miesięcy w błogosławionym stanie, i jej mąż, Benjamin Haim, którzy przyjechali specjalnie z Besalii. Ryfka, matka Batszewy, zajmowała się razem ze służącymi ubieraniem i czesaniem panny młodej. Bankier i ksiądz spotkali się w gabinecie na prośbę tego pierwszego, który wyczekiwał owego dnia z dziwnie mieszanymi uczuciami szczęścia i smutku. Przepęłniała go satysfakcja, że wydaje Batszewę za dobrego chłopca, którego znał od jego *bar micwy*, ale równocześnie odczuwał wielki niepokój z powodu nieobecności małej Ruth, pogłębiany dodatkowo milczeniem hrabiego na temat *maravedies*. Musiał przyznać, że z upływem dni coraz bardziej się uspokajał, gdyż było oczywiste, że jego ludzie nie mieli nic

* *Juppa* — niewielkie podwyższenie osłonięte baldachimem i odkryte z czterech stron, które symbolizowało gościnność żydowskiego domu.

wspólnego z tym niefortunnym wydarzeniem, a prawo dotyczyło w jednakowym stopniu wszystkich obywateli Barcelony, bez względu na ich pozycję. Tak czy inaczej, o tym właśnie rozmawiał z Eudaldem Llobetem, którego darzył wielkim szacunkiem, czekając na potwierdzenie, że wszystko jest gotowe do ceremonii.

— Jak więc widzicie, drogi przyjacielu, szczęście nigdy nie jest pełne. Towarzyszę Batszewie w najpiękniejszym dniu jej życia, a równocześnie moja mała córeczka przebywa na wygnaniu, daleko ode mnie.

— Dodajcie: „z powodu głupiego incydentu”.

— Takie są nasze prawa. Gdybym przyjął ją z powrotem do domu, ten ślub nie mógłby się dziś odbyć.

— Rozumiem wasze stanowisko i tu, w czterech ścianach waszego gabinetu, przyznaję, że my, chrześcijanie, także mamy prawa, których mój ograniczony umysł nie potrafi pojąć. Ale wybaczenie, jeśli powiem, że słowo „wygnanie” nie określa właściwie sytuacji Ruth.

— Czyż nie jest prawdą, że okoliczności zmusiły ją do opuszczenia domu rodzinnego?

— Rzeczywiście, ale pozwólcie sobie powiedzieć, z całym szacunkiem, że gdybyście kazali jej wybierać, wolałaby zapewne pozostać tam, gdzie jest.

— Dziękuję Bogu, że zesłał mi takiego przyjaciela jak Marti Barbany.

— Nie znaleźlibyście lepszego schronienia dla waszej córki.

— Nie wątpię w niego, drogi przyjacielu. Znam jego szlachetność i prawość, ale ona jest młoda i zakochana. Postanowiłem, że gdy wydam za mąż Batszewę, bez względu na wszystko sprowadzę Ruth do domu. Potem uzasadnię komu trzeba moją decyzję.

Po chwili milczenia Benvenist zmienił temat.

— Co sądzicie, Eudaldzie, o nieszczęsnej sprawie *maravedies*?

Llobet odpowiedział pytaniem:

— Mielście jakieś wiadomości?

— Minął już tydzień i pałac milczy.

— Z jednej strony dobrze to wróży. Jak mówi przysłowie: „Brak nowin to dobra nowina”. Znając jednak Montcusiego, nie wierzę, by nie zechciał wykorzystać sytuacji.

— Jaką korzyść może odnieść z całego tego zamieszania? — spytał zdumiony Baruch.

— Nie mam pojęcia... Może będzie próbował nałożyć na was karę za niewykrycie w porę, że *maravedies* są fałszywe.

— To byłoby odwracanie kota ogonem. Poselstwo, które przyjmowało okup, powinno sprawdzić autentyczność monet. Ja przyjąłem tylko w depozyt trzy kufry. Dopiero gdy zlecono nam bicie nowych monet, mogliśmy wykryć oszustwo. Tak czy inaczej, przestępstwo popełnia ten, kto fałszuje pieniądze. My tylko je odebraliśmy.

W tym momencie ciche pukanie do drzwi oznajmiło bankierowi, że przybyli członkowie *minjanu*.

— Drogi przyjacielu, podpiszę *ketuwę** mojej córki, abyśmy mogli zacząć uroczystość.

Dzięki opiece Ruth, właściwemu żywieniu i odporności Aixa odzyskiwała powoli siły po tym, co przeszła. Rany duszy goiły się dużo wolniej i pomagał jej w tym niewątpliwie powrót do gry na *oud*. Grała niemal codziennie w saloniku na piętrze, gdzie Marti postanowił urządzić salkę koncertową, gdyż kamienne mury i sklepienie zapewniały doskonałą akustykę. Po kolacji młodzieniec miał zwyczaj spotykać się tam z Ruth i słuchać melodii, które płynęły spod zręcznych palców jego dawnej niewolnicy i przywoływały odległe wspomnienia śródziemnomorskich podróży. Dla Ruth była to magiczna pora. Czasem przy akompaniamencie Aixy intonowała słodkie pieśni, których nauczyła się od starszych i które zachowały się dzięki tradycji przekazy-

* *Ketwa* — kontrakt niezbędny do zawarcia żydowskiego małżeństwa, w którym określa się wysokość posagu i warunki wdowieństwa. W przypadku jego zaginięcia, dopóki nie został odnowiony, małżonkowie musieli spać osobno.

wanej z pokolenia na pokolenie przez ludzi jej nacji. Martiego szczególnie bawiła stara żydowska piosenka opowiadająca o siedmiu sposobach gotowania potrawy z bakłażanów i zawsze prosił, by ją zaśpiewała. Jednakże owej nocy tego nie zrobił, ponieważ zauważył, że dziewczyna nie jest w odpowiednim nastroju. Rozmawiali przy spokojnej muzyce, siedząc na taboretach z mauretańskiej skóry, które Marti niedawno nabył.

— Co cię gnębi, Ruth?

— Nic takiego, to moje sprawy.

— Dobrze cię znam i od dawna jesteśmy przyjaciółmi. Nie chcesz mi powiedzieć, co się dzieje?

Ruth milczała przez kilka chwil.

— Po tym wszystkim, co dla mnie zrobiłeś, nie mam prawa męczyć cię moimi błahymi problemami.

— Czasem, gdy opowiemy komuś o naszym problemie, okaże się on dużo mniejszy. A nawet przestaje istnieć, roztopia się jak śnieżna kula.

— Nie przejmuj się mną, czasem zanadto ulegam emocjom.

— Widzę — stwierdził Marti z uśmiechem. — Ale powiedz, co cię trapi, a przekonasz się, że za chwilę będziesz miała ochotę zaśpiewać mi piosenkę o bakłażanach i razem będziemy się śmiali.

Ruth westchnęła ciężko.

— Chociaż przez całe życie sprzeczałam się z Batszewą, jest mi przykro, że nie mogę być na jej ślubie. Kiedy Estera wychodziła za mąż, według mojej matki byłam jeszcze małą dziewczynką, więc posłali mnie do kuchni, żebym jadła tam razem z dziećmi naszych krewnych, a teraz, gdy jestem już kobietą i mogłabym pełnić funkcję, jaka przypada siostrze panny młodej, okoliczności mnie tego pozbawiają. Dlaczego nasze prawa są takie skomplikowane?

— Rozumiem twoją gorycz i żałuję, że nie mogę nic w tej sprawie zrobić, ale zapewniam, iż opowiem ci szczegółowo, jak przebiegła uroczystość, i obiecuję dołożyć wszelkich starań, abyś zobaczyła siostrę w ślubnej sukni.

Oczy dziewczyny zalśniły niezwykłym blaskiem.

— Zrobisz to dla mnie?

— Jeśli twój ojciec pozwoli, przed ślubem wsadzę parę młodą do zamkniętego powozu i przywiozę tutaj, abyś mogła się z nią pożegnać.

— Byłabym ci wdzięczna do końca życia.

To powiedziawszy, dziewczyna przysunęła się do Martiego, objęła go za szyję i zaczęła obsypywać pocałunkami.

Gdy szmer rozmowy nagle ucichł, Aixa, kierując się zapewne szóstym zmysłem, którym obdarzeni są niewidomi, i wspominając być może swą utraconą dawną miłość, zaczęła grać na harfie słodką melodię ze swego dalekiego kraju.

Martiemu krew zaczęła pulsować w żyłach. Dziewczyna tuliła się do niego. Dotknąwszy bezwiednie ramieniem jej pleców, poczuł, jaka jest smukła w talii. Miał w głowie zamęt. Nie trzymał w objęciach małej dziewczynki i w tej magicznej chwili zdał sobie nagle sprawę z niebezpieczeństwa, jakie dla niego stanowi, jeśli zamierza dotrzymać przysięgi złożonej jej ojcu.

— Ruth, na wszystko, co najbardziej kochasz... — zdołał wyszeptać.

Dziewczyna odsunęła się na moment, mówiąc:

— Najbardziej kocham ciebie.

— Ale ja przyrzekłem...

— A ja nie.

Czuł przyspieszone bicie serca i niemal bezwiednie odwzajemniał pieszczoty Ruth. Ciemna chmura, która spowijała jego duszę od śmierci Lai, nagle zaczęła się rozwiewać. Wszystkie zmysły dążyły do zabronionego celu, który wyznaczała wbrew zakazom młodość. Wziął w dłonie piękną kobiecą twarz.

— Ja też cię... — Nagle odzyskał rozsądek. — To niemożliwe, Ruth... Jestem związany przysięgą złożoną twemu ojcu. Nie stawiajcie mnie w trudnej sytuacji.

Wstał i opuścił komnatę, czując na policzkach palący dotyk ust dziewczyny, wciąż zdumiony słowami, których omal nie

wypowiedział, i zaskoczony swymi emocjami. Nigdy nie sądził, że znów kogoś pokocha.

Tymczasem melodia, którą niewidoma grała na harfie, brzmiała w uszach Ruth jak pieśń triumfu.

Wszyscy zaproszeni goście zgromadzili się *wokół juppy*. Chór przy akompaniamencie sześciu muzyków zaintonował pieśń *Hatdn Tora*. Rabin w pelerynie, z filakteriami na czole i lewym ramieniu, czekał cierpliwie na przybycie panny młodej, którą miał prowadzić pod rękę ojciec, podczas gdy narzeczony stał ze swą matką z boku. Eudald Llobet i Marti zajmowali dyskretne miejsce, wiedząc, że tylko wyjątkowo pozwolono dwóm chrześcijanom brać udział w ceremonii żydowskiego ślubu. Szmer dobiegający z głębi świątyni sprawił, że wyciągnęli szyje, aby lepiej widzieć. Llobet, który przewyższał wszystkich o głowę, oznajmił:

— Już idą.

Prześliczna Batszewa, trzymana pod ramię przez Barucha, szła w towarzystwie swych dam i dziecka niosącego monety, zbliżając się powoli, z zasłoniętą twarzą, do miejsca, gdzie oczekiwał pan młody.

Muzyka ucichła i zaczęła się uroczystość. Ścisłe przestrzegano tradycji. Pan młody zdjął przezroczystą woalkę, która zasłaniała piękne oblicze Batszewy, ona zaś wręczyła celebriansowi tałas, aby umieścić go na ramionach obojga narzeczonych. Potem okrążyli siedem razy *juppę*, a na koniec, po odczytaniu *ketuwy*, wymienili obrączki. Pan młody, przy wtórze okrzyków *mazel tow!**, rozbił prawą stopą kieliszek, by dopisywało im szczęście.

Goście rozeszli się, przechodząc do ogrodu lub któregoś z dwóch salonów w pięknym domu. Eudald i Marti byli między nimi. Wszyscy znali szczególne stosunki łączące Barucha z tymi dwoma ludźmi. Służący zjawili się natychmiast, by serwować

Mazel tow! — powodzenia!

potrawy i napoje gościom łączącym się w grupy według wieku i zainteresowań. Państwo młodzi zaszyli się na razie w specjalnie przygotowanym pokoju, co miało symbolizować skonsumowanie małżeństwa.

*

Marti wykorzystał moment, gdy stary bankier odszedł na chwilę na bok, by wydać polecenia jednemu z majordomów.

— Baruchu, poświęćcie mi chwilę.

— Oczywiście, drogi przyjacielu.

— Nie wiem, czy to możliwe, ale chciałbym, byście pozwolili na coś, co uszczęśliwi Ruth.

— O co chodzi, Marti?

— Otóż wczorajszej nocy zauważyłem, że jest przygnębiona i zwierzyła mi się w końcu, jak bardzo smuci ją fakt, iż nie może być na ślubie swej siostry. Zobowiązałem się więc, że jeśli wyrazicie zgodę, przywiozę narzeczonych do mojego domu, aby mogła się z nimi zobaczyć i pożegnać ich, zanim wyruszą w podróż.

Baruch zastanawiał się przez chwilę i wreszcie postanowił:

— Myślę, że dziś można zrobić wyjątek. Moja żona już po nich poszła, więc gdy tylko zejdą i zanim wrócą do gości, każę im wyjść kuchennymi drzwiami i jeśli zechcesz podjechać po wozem na dziedziniec, będziesz mógł ich zabrać do siostry i szwagierki.

— Dziękuję. Tysięczne dzięki w imieniu waszej córki. Będę czekał przy wyjściu.

— Przekaż Ruth, że jestem szczęśliwy, mogąc sprawić jej przyjemność, i że jutro przybędę wieczorem z jej matką do twego domu, aby się z nią zobaczyć. Pora już, by ptaszek powrócił do swego gniazda.

Uradowany Marti wezwał woźnicę, a ten ustawił powóz tuż przy furcie, aby uniknąć wścibskich spojrzeń. Wkrótce pojawili się Batszewa i Ishai, szczęśliwi i rozpromienieni.

— Co za wspaniały pomysł! — zawołał z dumą pan młody. — Dzięki, panie. Moja żona i ja byliśmy rozżaleni, że nie możemy pożegnać się z naszą siostrą.

Foryś otworzył drzwiczki powozu i gdy wszyscy troje usadowili się w środku, wskoczył zwinnie na kozioł. Piękne konie, w lśniących uprzężach i z herbem armatora na czaprakach, ruszyły lekkim klusem w kierunku domu Martiego, ponaglone gwizdami woźnicy i trzaskaniem bicia.

Bawiono się wesoło. Zapadał zmierzch. W ogrodzie pachniało cytryną i werbeną. Białe w trawnik pochodnie oświetlały młodych ludzi, którzy tańczyli na podium przy wtórce grającej coraz szybciej orkiestry, spleceni ramionami w wielkim kręgu.

Starsi zbierali się w grupy wewnątrz ogromnego domu. Eudald gawędził z ojcem pana młodego, rabinem Melamedem, przeglądając z zaciekawieniem dokumenty Barucha.

Nagle dostrzegł kątem oka, że jeden ze służących podszedł dyskretnie do Barucha i Ryfki i przekazał na ucho *dajanowi* Cali krótką wiadomość.

Benvenist rzucił żonie niespokojne spojrzenie i powiedziawszy do niej kilka słów, poszedł za służącym do przedpokoju.

Gdy znalazł się w drzwiach prowadzących z salonu na korytarz, Ryfka wstała pośpiesznie i ruszyła w kierunku Eudalda. Ten, przeprosiwszy swego towarzysza i wyczuwając, że musiało się coś wydarzyć, wyszedł jej na spotkanie.

— Co się dzieje, Ryfko?

— Nic nie wiem. Baruch polecił mi tylko, bym was od szukała i poprosiła, żebyście niezwłocznie zjawili się w wes tybulu.

Książdz odstawił kielich i ruszył na korytarz.

Głosy, które usłyszał, były stonowane, jakby z szacunku dla powagi uroczystości. Jeden, pełen niepokoju i lęku, należał do jego przyjaciela, drugi — silniejszy i władczy — do stojącego w przedsionku mężczyzny.

— Ale z jakiego powodu? — spytał Baruch.

— Nie wiem. Wypełniam jedynie rozkazy.

— Nie mogę przyjść jutro o wskazanej porze? — spytał

sędziwy Benvenist. — Dziś jest wesele mojej córki. Zaprosiłem przyjaciół, których nie powinienem zostawiać.

— Przykro mi. Jestem tylko zwykłym oficerem *hostu* Barcelony i otrzymałem rozkaz, że macie natychmiast pojechać ze mną.

— Ale dokąd?

— To ani moja, ani wasza sprawa. Dowiecie się wkrótce.

Z głębi korytarza zagrzmiął głos Llobeta:

— Ja mam prawo wiedzieć!

W jednej chwili pokonał odległość między salonem a przed-
sionkiem i jego potężna postać wypełniła westybul.

— A wy, panie, kim jesteście i kto was pyta o zdanie?

— Sam udzielam sobie głosu, a hrabina Almodis, którą spo-
wiadam, poinformuje was jutro, kim jestem.

Mężczyzna, który dopiero teraz zobaczył go w świetle kan-
delabrow, spuścił z tonu.

— Wybaczcie, nie rozpoznałem was w półmroku korytarza.
Dobrze wiem, kim jesteście.

— Więc wyjaśnijcie mi, z powodu jakiej to pilnej sprawy
ojciec musi opuścić dom w dniu ślubu swojej córki.

— Zapewniam was, że wiem tylko tyle, iż don Barach Ben-
venist, *dajan Cali*, ma udać się ze mną do Pałacu Hrabiego.
Na tym kończą się moje obowiązki.

— W porządku — stwierdził ojciec Llobet i dodał, zwracając
się do Barucha: — Pojadę z wami.

— To niemożliwe, panie — odrzekł oficer. — Wozem do
przewozu więźniów może jechać tylko zatrzymany i pilnujący
go strażnicy.

Twarz bankiera zrobiła się biała jak alabaster.

— Chcecie powiedzieć, że don Barach jest aresztowany? —
spytał Eudald.

— Takie mam rozkazy.

— Ależ to hańba...

— Powtarzam, że wykonuję jedynie rozkazy.

Spojrzenie starego Benvenista budziło litość.

— Eudaldzie, powiedzcie Ryfce, żeby się nie martwiła, i za wiadomości Avimeleja, mojego woźnicę, żeby przyjechał po mnie powozem do Pałacu Hrabiego.

— Coś mi mówi, że przez jakiś czas powóz nie będzie wam potrzebny — stwierdził oficer.

— A mnie coś mówi, że ktoś drogo zapłaci za ten absurdalny rozkaz — odparł Llobet.

Na ulicy czekał wóz z otwartymi tylnymi drzwiami. Dwaj ludzie, z włóczniami w rękach, czekali, aż więzień wejdzie po schodkach.

Ksiądz zawrzał gniewem i równocześnie ogarnęły go złe przecucia: ktoś chce, jak zwykle, obarczyć Żydów winą za oszustwo Maurów.

Aresztowanie Barucha

Na kimś, kto nie znał domu Martiego Barbany, wywierał on wielkie wrażenie. Tak ogromną przestrzeń, kasetonowe sufity, luksusowe komnaty i wszechobecny przepych można było zobaczyć jedynie w Pałacu Hrabiowskim albo w szlacheckich rezydencjach w obrębie murów miasta. Marti Barbany, armator i właściciel siedemnastu statków, a także magazynów i stoczni, mógł pozwolić sobie na każdy luksus, nawet za cenę wzbudzenia zawiści zubożałej szlachty, której wypłowiele herby były w rozwijającej się prężnie Barcelonie dużo mniej cenione niż majątek zgromadzony przez dzielnego obywatela. Ishai Melamed i Batszewa potrafili docenić jego osiągnięcia podczas wizyty, którą złożyli, by pożegnać się z Ruth. Dla Martiego największą nagrodą były rumieńce na twarzy dziewczyny i wdzięczność w jej oczach, gdy okazało się, że spełnił swoją obietnicę. Spotkanie odbyło się w salonie *mudejar* na piętrze, który Omar nazywał „salonem czarnego oleju”, gdyż meble do niego zakupiono dokładnie w dniu, gdy do Barcelony dotarł pierwszy statek z amforami wypełnionymi tym cennym towarem. Nie zważając na obecność innych, siostry uściskały się, chwyciły za ręce i zaczęły obracać się w kółko, jak w pięknych i nie tak znów odległych czasach swego dzieciństwa, śmiejąc się, jakby wciąż były małymi dziew-

czynkami. Gdy przestały, Ruth pocałowała w policzek swego szwagra.

— Dbajcie o nią, Ishaiu. W przeciwnym razie odnajdę was i zażądam wyjaśnień.

— Nie martwcie się — odparł przejęty młody małżonek. — Będę pielęgnował waszą siostrę jak kwiat. A skoro oboje tu jesteście, chcę wyrazić wdzięczność wam i don Martiemu za ogromną przysługę, jaką mi wyświadczyliście, przestrzegając wobec wspólnoty nakazanych form. Gdybyście wrócili do domu, nasz ślub, jak znam mego ojca, znacznie by się opóźnił.

— Może teraz nie byłoby już takiego problemu — wtrącił Marti. — Poza tym wielu ludzi w Cali zna sytuację.

— Wiem, don Marti. Ale formy muszą zostać zachowane i uczeni studiujący prawo nie doszli na razie do porozumienia w pewnych kwestiach. Fakt, że żydowska dziewczyna, która choćby przypadkiem spędziła noc poza domem, wraca do niego, nie jest jeszcze akceptowany, i taka sytuacja spowodowałaby poważne napięcia w synagodze.

— Dobrze, zapomnijmy o tym. Najwięcej korzyści radość Ruth przyniosła mnie. Przy okazji, Ruth, mam dla ciebie wiadomość od ojca... Ale teraz nie traćmy czasu, czekają na was goście i obiecałem Baruchowi, że nie zabawimy tu długo. Wracajmy.

Tak sobie gawędzili, gdy pojawił się zdyszany Omar. Z wyrazu jego twarzy Marti wyczytał, że stało się coś złego.

— Panie, ojciec Llobet czeka na was w gabinecie.

Marti, powiedziawszy młodemu, że zaraz po nich wróci, poszedł spotkać się z przyjacielem. Gdy tylko przekroczył próg gabinetu, Llobet oznajmił bez ogródek:

— Marti, gdy tylko wyszedłeś, przybyła straż i zabrała Barucha.

— Co takiego?

— To, co słyszysz.

— Jakże postawili mu zarzuty? — chciał wiedzieć młody dzieńec.

— Na razie żadnych, ale wyczuwam, że kryje się za tym sprawa *maravedies*... i długie ręce Montcusiego.

— Myślicie, że ta zmija ośmieliłaby się oskarżyć Barucha o oszustwo?

— Nawet cały Cali, jeśli zajdzie potrzeba.

— Trzeba coś zrobić! — wykrztusił Marti.

— Przede wszystkim pomówić z nim i w razie konieczności zwrócić się do hrabiny.

— Tym pierwszym ja się zajmę. Teraz najpilniejsze zadanie to wrócić do Ryfki i sprawdzić, co z tego wszystkiego wyniknie.

— Zatem nie trać czasu.

— Zabieram nowożeńców i jadę z wami. Na razie nic nie mówcie, nie powinniśmy niepokoić niepotrzebnie sióstr.

Po zwyczajowych pożegnaniach wrócili niezwłocznie do domu Barucha. Dotarłszy na dziedziniec, od razu spostrzegli niezwykle zamieszanie. Powozy odjeżdżały pospiesznie, jakby goście uciekali przed pożarem. Ishai i Batszewa chcieli wiedzieć, co się dzieje, trzeba więc było zapoznać ich z sytuacją. Wsiadłszy z powozu, natychmiast weszli do środka. Nie było tam już prawie nikogo. Wieść rozeszła się lotem błyskawicy. Żona rabina, Melameda, i Estera pocieszały Ryfkę, która na znak wielkiej rozpacz rozdarła suknię i zanosila się płaczem. Rabin, zobaczywszy syna i synową, wyszedł im na spotkanie.

— Dzieci, co za nieszczęście! I musiało się wydarzyć akurat w takim dniu! Przeklęty los, który zmusił naród Izraela do życia wśród chrześcijan! Zamiast radości przeżywamy tragedię.

Pytaniom nie było końca. Batszewa, towarzysząca matce, starała się zrozumieć starszą siostrę, która próbowała wyjaśnić, co się stało.

— Ale dlaczego? Z jakiego powodu dopuścili się takiego bezprawia?

Milczący Marti zbliżył się do nich i pomógł podnieść się pannie młodej, która klęczała u stóp matki.

Głęboki głos Eudalda przebił się przez szlochy i rozmowy.

— Na razie nie należy robić nic, tylko starać się odpocząć

przed tym, co będzie jutro i w kolejnych dniach. Niewątpliwie popełniono straszną pomyłkę, ale płaczem niczego nie osiągniemy. Musimy być silni, aby stawić czoło temu, co się zdarzy. Dlatego najlepszy jest wypoczynek. Zawiadomiłem lekarza Halewiego, aby przepisał komu trzeba coś na uspokojenie.

Mądre słowa księdza odniosły skutek i w końcu Ryfka, podtrzymywana przez obie córki, podniosła się i podziękowała wszystkim za pomoc, udała się do sypialni, by tam czekać na lekarza. Tymczasem mężczyźni zebrali się w gabinecie *dajana* Cali.

Byli to rabin Szemuel Melamed, jego syn Ishai, ojciec Llobet, Marti, Eleazar Bensahadon, który do tego roku pełnił funkcję naczelnika bankierów, i Aszer Barcala, skarbnik.

Gdy usiedli, głos zabrał Eudald Llobet.

— Panowie, musimy być rozważni. Popełniono wielką niegodziwość, ale wiemy, że wobec władzy trzeba zachować pokorę.

Szemuel Melamed, zupełnie niezorientowany w sprawie, dopytywał się, jaki mógł być powód zatrzymania teścia jego syna.

Aszer Ben Barcala, który nie zauważył znaków dawanych mu przez archidiakona, wyjaśnił ze szczegółami niefortunną historię z *maravedies*.

— I tak oto, nic nie zawiniwszy, my, żydowscy bankierzy, zostaliśmy uwikłani w brzydką sprawę i bez wątpienia poniesiemy tego konsekwencje.

— Niech Pan ma nas w opiece! Obawiam się, że ucierpi na tym cała wspólnota! — wykrzyknął Melamed.

— Miejmy nadzieję, że tak się nie stanie. Jutro rano, Eudaldzie, powinniście spotkać się z hrabiną Almodis. Najpóźniej w południe będziemy mieli dla was informacje.

— Audiencja u hrabiny będzie musiała poczekać. O ile mi wiadomo, dziś rano wyruszyła pośpiesznie do Santa Maria de Besora.

Santa Maria de Besora

Hrabiowski powóz, zaprzężony w szóstkę koni i eskortowany przez dwunastu jeźdźców, bardziej frunął, niż jechał wśród tumanów kurzu. Markiz Fontcuberta, który poprzedniej nocy przybył do Barcelony jako kurier, zaznaczył, że jeśli Ramón Berenguer nie wyruszy natychmiast w drogę, nie zostanie już swej babki żywej. Ermesenda z Carcassonne umierała w ufundowanym przez siebie*, zamku Besora.

Zaraz po otrzymaniu złej nowiny hrabia wysłał w drogę trzech rycerzy, by zorganizowali mu przejazd przez ziemie zaprzyżnionych hrabiów, uznających zasady *convenientia*, oraz zapewnili konie na wymianę, gdyż po każdym etapie podróży były one wycieńczone. Zrobili postoje na odpoczynek w La Garriga, w El Figaró, u podnóża Tagamament, w Vic i Sant Hipolit i dotarli na miejsce, przeprawiwszy się w bród przez wezbraną rzekę Ter, po południu drugiego dnia. Był pierwszy października roku Pańskiego 1058.

Podróż trwała długo i małżonkowie mieli dużo czasu na rozmowę, inaczej niż w pałacu, gdzie pochłonięci różnymi obowiązkami, nie nadążali nigdy z uporządkowaniem swoich spraw.

— Zatem, mój mężu, mamy poważny kłopot.

— Owszem, Almodis. Zauważ, że strata takiej ilości *maravedies* to nie błahostka.

— I mówisz, że winni są bankierzy i ich naczelnik?

Hrabia odwrócił wzrok i spojrzawszy na drogę, zniżył głos.

— Musi tak być, bo inaczej odpowiedzialność spadłaby na hrabstwo. Nie trzeba dodawać, że nade wszystko liczy się dobre imię Barcelony.

— Nie rozumiem.

— To jasne, moja żono — mruknął Ramón. — Maurowie nas oszukali. Dlatego nalegali, by zakończyć transakcję tej samej nocy. Fałszerstwo było doskonałe, do tego stopnia, że nawet sprytni Żydzi, znający się na pieniądzach, niczego nie zauważyli. Gdybyśmy wprowadzili te monety do obiegu, nikt by nie spostrzegł, że są fałszywe, a jeśli nawet, obarczono by winą tego, kto je wybił, gdyż miały na awersie podobiznę al-Mutamida z Sewilli. Ale Montcusi wpadł na pomysł, że prestiż hrabstwa wzrósłby, gdyby przetopić je na barcelońskie *mancusos*, w dodatku z moim wizerunkiem z jednej strony i godłem hrabstwa z drugiej. Właśnie wtedy, gdy je stopiono, by wybić nowe monety, okazało się, że złoto jest niskiej próby, a stop tak nieszlachetny, iż do niczego się nie nadaje.

— I co zamierzasz zrobić, by wyjść z tej opresji?

— Polityka, Almodis, zawsze wymaga ofiar. Rozumiesz, że hrabia Barcelony nie może zostać oszukany przez niewiernych.

— A więc?

— Trzeba znaleźć kozła ofiarnego, a najbardziej do tej roli pasują Żydzi. Tylko oprawcy Chrystusa mogą powetować nam stratę i pogodzić się ze wszystkim bez szemrania, byle móc nadal żyć w Barcelonie. Lud, jak zwykle, przyjmie to z radością. Lubi pogromy Żydów, a my ocalimy honor.

— Rozumiem, ale zauważ, że jeśli zarzucą się Żydom zanie dbanie przy przyjmowaniu pieniędzy, ten sam błąd popełnił wcześniej wasz doradca do spraw finansowych, o którym wiesz, co myślę.

— Nie o to są oskarżani. Twierdzimy, że *maravedies*, które

im przekazaliśmy, były prawdziwe, i że oni podstępnie je stopili, przywłaszczając sobie złoto, a teraz wmawiają nam, że dostali fałszywe monety, aby uzasadnić, dlaczego oddają nam kupę ołowiu.

— Nie narobisz sobie wrogów, obarczając winą cały Cali, skoro dobrze wiesz, że większość Żydów nie ma z tą sprawą nic wspólnego?

— Zawsze podziwiałem twoją przenikliwość. Rzeczywiście, nie mogę obwiniać ich wszystkich. Nawet nie wszystkich tych, którzy otrzymali pieniądze. To by oznaczało ekonomiczną de stabilizację Cali, a nie jest mi na rękę, by ludzie zajmujący się finansami w oczach współobywateli uchodzili za winnych. Mont-cusi obstaje przy tym, by obarczyć odpowiedzialnością ich przy wódcę, czyli obecnego naczelnika bankierów, i oskarżyć go w majestacie prawa. Muszę dostarczyć jego współobywatelom kozła ofiarnego. Wdadzą się wtedy w jałowe dyskusje, jedni go poprą, inni nie. Podzielimy ich i sprawimy, że będą się spierali. W tym będzie nasza siła. W końcu spłacą z odsetkami dług. Nie wiem, skąd wezmą pieniądze, ale Żydzi zawsze w końcu za wszystko płacą.

— I kto poniesie tym razem koszty?

— Nazywa się chyba Baruch Benvenist.

Musieli przerwać rozmowę, ponieważ zamieszanie na zewnątrz i powolna jazda powozu wskazywały, że ich podróż dobiega końca. Ramón odsunął zasłonkę w oknie i przed jego oczami pojawiła się kamienna bryła zamku.

Gdy orszak wjechał na zwodzony most, załoga z kasztelanem na czele wyszła im na spotkanie.

Powóz zatrzymał się przy akompaniamencie gwizdów woźnicy, zgrzytu hamulców i stukotu końskich kopyt, i para hrabiowska wysiadła. Kasztelan podszedł z częścią swoich ludzi i pozdrowił dostojnych gości z szacunkiem, ale i godnością.

— Ekscelencje, nasz kapelan modli się za hrabinę, a lekarz, który się nią zajmuje, jest przy niej przez cały czas, ale obawiam się, że możecie nie zdążyć na czas.

— Zatem, panie, nie zwlekajmy.

Powiedziawszy te słowa, Ramón Berenguer I, hrabia Barcelony, Gerony i Osony, wszedł pośpiesznie do środka za paziem, który potrzasał dzwonkiem, a za nim podążyła Almodis i dowódca jego eskorty.

Komnata, w której leżała Ermesenda, znajdowała się w przeciwnym do garnizonu skrzydle budynku.

Na widok gości strażnik stojący przy drzwiach usunął się szybko na bok. Wielka komnata pogrążona była w półmroku i wzrok hrabiego musiał przywyknąć do ciemności. Wreszcie dostrzegł leżącą na ogromnym łożu z baldachimem drobną postać. Twarz babki zdawała się wyrzeźbiona z alabastru. Z jednej strony stał człowiek, który — sądząc z jego togi i wielkiego ametystu zdobiącego serdeczny palec prawej ręki — musiał być lekarzem, i w tym momencie, trzymając przegub umierającej między kciukiem i palcem wskazującym, badał jej puls. Z drugiej strony stał ksiądz, który modlił się i trzymał w dłoni flakonik ze świętymi olejkami.

Lekarz delikatnie położył rękę konającej na kołdrze i odwróciwszy się do przybyłych, pokręcił głową.

Ermesenda umierała, ale w tej krótkiej chwili, jaka dzieliła ostatnie uderzenie jej serca i opuszczenie ciała przez duszę, przemknęło jej przed oczami całe życie.

Towarzyszyły jej w tych ciężkich chwilach twarze rodziców, Rogera I i Adelaidy de Gavalda, a także obraz ukochanego Carcassonne, kojarzonego z upojnymi zapachami dzieciństwa. Czula duchową obecność swego męża, Ramóna Borrella, któremu pomagała zarówno w cywilnych obowiązkach, przewodnicząc trybunałom i zgromadzeniom, jak i podczas kampanii wojskowych, które zawiodły ich aż do al-Andalus. Wspominała dwie swoje regencje: najpierw sprawowanie władzy za syna, Berenguera Ramóna Garbatego, a potem wnuka, Ramóna Berenguera I, co przyniosło jej tyle zmartwień. Wspominała też pozostałe dzieci, Borrella i Estefanię, której ślub pozwolił jej zawrzeć przymierze z Normandem Rogerem de Toeny. Przysporzył jej

wielu problemów, ale musiała przyznać, że to właśnie on rozprawił się z piratami na Morzu Śródziemnym, zwłaszcza tymi, których ochraniał i wspierał al-Muwafaq, marionetkowy władca Denii. Widziała twarz swego sąsiada, Hugona z Arapurias, z którym wiodła długie spory o ziemię Ullastret. Miała przed oczami tylu wiernych współpracowników: niektórzy już zmarli, inni służyli teraz jej wnukowi. Przypomniawszy jej się brat, Pere Roger, którego uczyniła biskupem Gerony, opat Oliba — biskup Vic i opat Ripoll, majordom Elderich d'Oris, jej śmiertelny wróg, Mir Geribert, ukochane klasztory — męski w Sant Feliu de Guixols i żeński, Sant Daniel w Geronie. Ale osobą, o której w tych ostatnich chwilach myślała z największą nienawiścią, była Almodis z Marchii. Dla dobra katalońskich hrabstw musiała bronić jej przed papieżem. Ileż pięknych marzeń przez nią straciła i jaki wysiłek poszedł na marne! W głębi serca wiedziała, że w chwili śmierci, gdy ma narodzić się do nowego życia, powinna jej wybaczyć. Bezsensowna duma, która niczemu już nie służy, nie przeszkodzi jej stanąć z czystym sumieniem przed obliczem Najwyższego. Z wielkim trudem nakreśliła w otchłani duszy znak przebaczenia. Nie mogła pozwolić, by ta nałożnica zwyciężyła i pozabawiła ją wiecznej chwały.

Ramón Berenguer odprawił wszystkich. Pozostała przy nim tylko Almodis. Nie chciał, by ktokolwiek był świadkiem tej chwili, widział ból na jego twarzy i dostrzegł choćby cień wyrzutów sumienia. Miał świadomość, że zawdzięcza swoje hrabstwa snom o potędze jego rodu, które pielęgnowała ta drobna ciałem, ale wielka duchem kobieta, i jej niestrudzonym wysiłkom podejmowanym z bezgraniczną pasją i oddaniem, gdy był jeszcze dzieckiem i za które tak źle jej się odpłacił. Ta skurczona postać, ledwo widoczna pod zdobną kapą, kryła w sobie tyle siły, wytrwałości i woli walki, że mogli jej pozazdrościć najwybitniejsi i najdzielniejsi z jego poddanych. Ramón Berenguer wziął krucyfiks i włożył go w jej dłonie. Potem, westchnąwszy ciężko, powiedział drżącym i ochrypłym głosem:

— Ermesendo z Carcassonne, droga babciu, spoczywajcie w pokoju.

Za jego plecami rozległ się głos Almodis:

— Spoczywajcie w pokoju i dajcie spokój nam, którzy tu zostajemy. Niech Pan w swym miłosierdziu przyjmie was na swe łono, ale niech się was strzeże, byście nie próbowali rządzić w niebie tak, jak chcieliście rządzić waszymi hrabstwami. — Potem, niemal bezgłośnie, szepnęła: — Teraz wszystko należy do mnie, pani.

99

Wyrok

Proces odbył się w trybie doraźnym. W ciągu dwóch tygodni od chwili aresztowania Barach został skazany. Wyrok poruszył cały Cali, a jego ogłoszenie podzieliło mieszkańców dzielnicy. Tylko nieliczni stanęli po stronie rodziny Benvenistów. Znakomita większość, świadoma tego, że dług i odsetki będą stanowiły przez lata finansowe obciążenie dla całej wspólnoty, opuściła *dajana* w nieszczęściu.

Marti był przerażony i fakt, że widział zdruzgotaną Ruth, która snuła się po domu jak potępiona dusza, sprawiał, że czuł się okropnie. Przygnębienie dziewczyny i jej nieustanny płacz wytrącały go z równowagi. Na domiar złego na ulicach i placach Barcelony obwieszczano na rozkaz *veguera* werdykt sądu. Wywołało to tak wielkie wzburzenie ludu, że trzeba było postawić przy bramach Cali uzbrojone straże, aby uniknąć zamieszek i napaści na Żydów.

Ta absurdalna sytuacja, w której z jednej strony oskarżano Żydów, a z drugiej uwalniano ich od odpowiedzialności, wynikała z polityki hrabiego, który chciał odzyskać pieniądze, przykładowie karząc winnych, a jednocześnie oczyścić z zarzutów żydowską wspólnotę, bo gdyby pozwolił na pogrom, nie mógłby odzyskać długu. Dlatego, dla dobra Barcelony, tacy ludzie jak Eleazar

Bensahadon i Aszer Ben Barcala, bogaci kupcy i szanowani członkowie wspólnoty, musieli być nietykalni. Edykt, który odczytywano, brzmiał następująco:

Barcelona, 4 października roku Pańskiego 1058

Ja, Ramón Berenguer I, z łaski bożej hrabia Barcelony, Gerony i Osony, oznajmiam:

Iż odbył się w trybie doraźnym proces przeciwko Baruchowi Benvenistowi, *dajanowi* dzielnicy Cali w Barcelonie, oskarżonemu o defraudację hrabiowskiego depozytu o wartości trzydziestu tysięcy *maravedies*, próbę oszustwa oraz nielegalne zawłaszczenie i zniszczenie monet.

Zobowiązany wyrokiem *Curia Comilis* pod przewodnictwem czcigodnego Ponca Bonfilla i prawami zawartymi w *Liber judiciorum*, muszę skazać i skazuję wspomnianego Barucha Benvenista na szubienicę, konfiskatę mienia i wygnanie z miasta całej jego rodziny w terminie do trzydziestu dni po egzekucji.

Zważywszy na wysokie stanowisko, które obwiniony piastuje we wspólnocie żydowskiej, ma ona spłacić solidarnie dług wraz z odsetkami. Zezwalam łaskawie, by uczyniono to w ciągu dziesięciu lat. Równocześnie zakazuję surowo wszelkich aktów agresji i ataków przeciw mieszkańcom Cali lub ich majątkom, a kto ośmieli się sprzeciwić moim rozkazom, zostanie publicznie ukarany pięćdziesięcioma batami.

Obywatel Barcelony, Baruch Benvenist, zostanie powieszony za szyję na konopnym powrozie. Szubienica stanie przy bramie Regomira, a egzekucja odbędzie się dziesiątego grudnia 1058 roku po południu.

Podpisano:

Ramón Berenguer, hrabia Barcelony

Usłyszawszy wyrok, Marti, zaczął gorączkowo działać. Miał wrażenie, że niebo wali mu się na głowę. Ruth zamknęła się w pokoju, płacząc bez przerwy, a Marti udał się do domu Benvenista, gdzie rozgrywały się dramatyczne wydarzenia. Starano się spakować do koszy tylko osobiste rzeczy, bo na wygnanie nie wolno było zabrać niczego innego. Ryfka leżała na łóżku, a Estera podawała jej karafkę z solami, podczas gdy służący krzątali się w milczeniu. Urzędnicy skarbowi pilnowali, by nie ruszano niczego w gabinecie bankiera. Batszewa podeszła do Martiego i spytała szeptem o siostrę.

— Spokojnie, zaufajcie mi. Jutro spróbuję zobaczyć się z waszym ojcem i zrobię to, co mi każe. Powiedzcie waszej matce, żeby teraz się tym nie martwiła.

Zajmował się wieloma sprawami, gdy rabin Melamed dał mu znak, że chce z nim pomówić. Poszli w kierunku rosnącego w ogrodzie kasztana, który był niemyym świadkiem tylu radosnych chwil.

— Otóż, mój przyjacielu — zaczął teść Batszewy — jak się zapewne domyślacie, sprawa, którą muszę poruszyć, nie należy do przyjemnych. Jednakże, jako ojciec Ishaia i rabin, czuję się w obowiązku jak najszybciej ją wyjaśnić.

— Słucham was.

— Nikt o tym nie mówi, ale ludzie wiedzą.

— Co takiego?

— Jesteśmy narodem dyskretnym i potrafimy milczeć. Po trzeba przetrwania uczy między innymi tego, żeby nie wtrącać się w cudze życie.

— Nie rozumiem was.

— Może w Barcelonie tego typu sytuacje pozostają niezauważone, ale nie w Cali.

— Zechciejcie mówić jaśniej, bo nie mam pojęcia, do czego zmierzacie.

— To proste. Wiemy, że Ruth, najmłodsza córka Barucha, mieszka u was. Dotychczas nikomu to nie przeszkadzało, gdyż odkąd Baruch odprawił ją z domu po znanym wam incydencie,

honor rodu Benvenistów został ocalony. Ale aresztowanie teścia mojego syna wiele komplikuje. Dziś rano odwiedził mnie Benjamin Haim, mąż Estery, któremu zawałił się świat. Jego rodzina jest bardzo znana w Besalu i gotów jest przyjąć pod dach Ryfkę, swoją teściową, ale nie godzi się na obecność szwagierki, Ruth. Wieści szybko się rozchodzą. Nie dość, że jest zięciem skazanego, choćby nawet wyrok był niesprawiedliwy, okryłby się jeszcze większą hańbą, udzielając schronienia kobiecie, która w jakimś sensie przyniosła wstyd krewnym. Jeśli chodzi o Batszewę, jako mężatka należy od chwili ślubu do rodziny męża, podobnie jak Estera do rodu Haima, ich wyrok nie dotyczy. Marti zbladł.

— Nie wiem, gdzie podziła się solidarność niektórych ludów ani nie chcę przypisywać całemu narodowi żydowskiemu mało duszności, ale przekażcie, komu trzeba, żeby się nie martwił, zajmę się tą kwestią.

— Nie bierzcie mi tego za złe. Ludzie są wzburzeni. Być może, gdy wszystko się uspokoi...

— Rozumiem, nie będę was obwiniał. Jesteście tylko emisariuszem.

Po tej rozmowie Marti wyszedł z domu, powiedziawszy Ryfce i Batszewie, że wkrótce wróci.

Miał do załatwienia tyle spraw, że trudno było zająć się wszystkimi od razu. Tak więc wyszedłszy z Cali, udał się niezwłocznie do katedry na spotkanie z Eudaldem.

Ksiądz, powiadomiony już o wielkim nieszczęściu, przyjął go w zaciszu swej komnaty.

— Nastają straszne czasy, drogi przyjacielu — powiedział z westchnieniem.

— Dzieje się wielka niesprawiedliwość. Ktoś zrobił z Barucha kozła ofiarnego.

— Podejrzewam kto, choć moje doświadczenia z możliwymi wskazują, że mógł to być każdy. Dobrze wiesz, że zwycięstwo ma tysiąc ojców, a porażka jest sierotą.

— Ten człowiek to najbardziej podstępne i nikczemne bydlę,

jakie znam. Sądzę, że wściekłość, którą we mnie wzbudza, jest większa od nienawiści, którą do mnie czuje. Nie potrafię zrozumieć, jak zdobył względy hrabiego.

— Powiem ci. Jego bronią jest pochlebstwo, jak zresztą każdego, kto chce odnieść sukces na dworze. Władca może przeżyć miesiąc bez jedzenia, tydzień bez picia, ale tylko dzień bez pochlebstw. Ale powtarzam ci: strzeż się go i nie trać z oczu. Pamiętaj o tobie, wie, że pałasz żąda zemsty i zechce ci odpłacić, gdy tylko nadarzy się sposobność. Ale przejdźmy do sedna. Co zamierzasz zrobić?

— Jest tyle pożarów do wygaszenia, że naprawdę nie wiem, od którego zacząć, zdaję się więc na wasze mądre rady.

Zacny duchowny zamilkł, by chwilę pomyśleć, po czym podjął ostrożnie:

— Zacznijmy od Ruth. Wiem, że ją lubisz i w bardziej sprzyjających okolicznościach szkoda byłoby zmarnować drugą szansę, jaką niesie ci życie, i pogardzić szczęściem. Jednakże jest jak jest i na razie trudności wydają się nie do pokonania.

Marti na chwilę oniemiał.

— Ależ ja nigdy nie wyznałem, że...

— Marti, zbyt dobrze znam ludzkie dusze, a poza tym musiałbym być nierozgarnięty, by nie zdawać sobie sprawy z choroby, która wcześniej czy później dopada każdego mężczyznę. Wiem, że kochałeś Laię, ale ona umarła, a życie toczy się dalej.

— Zgoda, przyznaję, Laia była snem mej młodości, tym piękniejszym, że dzieliła nas odległość i przeciwności losu, ale być może zanadto się do niego przywiązałem. Jej śmierć głęboko mną wstrząsnęła i wspomnienie tej chwili będę nosił w sercu do końca życia, ale Ruth nieoczekiwanie obudziła we mnie uczucia, których nie spodziewałem się już zaznać. Nigdy dotąd nie miałem przy sobie nikogo, kto posiadałby jej zalety: poczucie sprawiedliwości, zdecydowanie, radość życia i umiejętność dostrzegania we wszystkim pozytywnych stron. Dzięki jej charakterowi w moim domu panuje dziś radość, choć wczoraj był pustynią. Jej obecność wskrzesiła we mnie coś, co, jak sądziłem, od dawna

było martwe. — Marti przerwał. — To wszystko nie ma teraz jednak znaczenia, jakby nie istniało. Jest zbyt wiele problemów, których nie da się rozwiązać.

— O tym jednym wiem, o innych nie, więc lepiej wyznaj, co cię gnębi.

— Po pierwsze, jak wam wiadomo, przyrzekłem jej ojcu, że zawsze będę ją szanował i będzie przy mnie bezpieczna. Gdybym nadużył jego zaufania i nie dotrzymał przyrzeczenia, wykorzystując fakt, że dziewczyna mieszka w moim domu, okazałbym się łajdakiem, a w sytuacji, jaka zaistniała, poczucie winy i wyrzuty sumienia nie dałyby mi spokoju.

Duchowny przyznał mu rację skinieniem głowy.

— Rozumiem cię i pomimo że Baruch ma umrzeć, nie możesz bez ważnej przyczyny złamać przysięgi. Nie masz innego wyjścia, jak zrezygnować ze swego szczęścia. Poza tym ona jest Żydówką, a ty chrześcijaninem.

— Właśnie, aczkolwiek, gdyby to było jedyną przeszkodą, nie wiem, jaką podjąłbym decyzję.

— Ryzykowałbyś, że nie zaznasz życia wiecznego?

— Moja wieczność jest tu i teraz. Tą drugą zajmę się w przyszłości — jeśli nadejdzie. Niech Bóg broni, bym dla czegoś, co może nie istnieje, miał zrezygnować z realnego świata. Czy święty Augustyn z Hipony nie mówi: „Kochaj i bądź szczęśliwy?”.

— Nie każ mi odpowiadać. Nie pora na filozoficzne rozważania ani jałowe dyskusje o kwestiach, co do których nawet Ojcowie Kościoła nie doszli do zgody, a poza tym nie mogę być bezstronnym sędzią, bo za bardzo cię lubię. A teraz powiedz, jakie jeszcze pożary musisz gasić?

Marti zapoznał pokrótce swego przyjaciela z treścią rozmowy, którą przeprowadził z rabinem Melamedem.

— Jak widzicie, kiedy statek zaczyna przeciekać, łamię mu się też ster.

— Nie wiń ich. To dobrzy ludzie, ale są przerażeni. Kiedy sytuacja się uspokoi, z pewnością inaczej na wszystko spojrzą.

Zauważ, że nieszczęścia zawsze chodzą parami, ale nie zapomnij, że po burzy świeci słońce i że Bóg zaciska nam pętlę na szyi, lecz nie pozbawia powietrza. Powiedz mi, jak wyglądają twoje stosunki z Baruchem? Wierz, że jeśli znajdą na ciebie haczyk, wykorzystają to.

— Nie ma obawy. Mam umowy z bankierami, ale nie są moimi wspólnikami. Ubezpieczają tylko moje statki i towary. Możliwe, że od pieniędzy, które ode mnie dostają, muszą płacić hrabiemu jakiś podatek, ale mnie to w żaden sposób nie obciąża. Gdyby wszyscy, którzy handlują z Żydami, byli zmuszeni zrezygnować z ich usług i zerwać z nimi stosunki, handel w hrabstwie by upadł. Nie martwcie się teraz o mnie, pomyślcie lepiej, co możemy zrobić dla Barucha.

— Przychodzi mi do głowy tylko jedno: muszę poprosić hrabinę o list żelazny dla nas obu, byśmy mogli go odwiedzić. To mój przyjaciel, skazano go niesłusznie i jest w potrzebie. Myślę, że to wystarczające powody.

List żelazny

Hrabina zgodziła się wystawić list żelazny. Ksiądz, jako jej spowiednik, prosił o pozwolenie, by mógł dokonać ostatniej próby nawrócenia skazanego na prawdziwą wiarę i ocalić jego nieśmiertelną duszę, a obywatel Marti Barbany miał mu towarzyszyć w roli akolity.

Obaj zjawili się o świcie u bram Palau Menor, w którego lochach zamknięto Barucha.

Wartownik wziął do rąk dokument i zobaczywszy pieczęć hrabiny, kazał im zaczekać i poszedł do strażnicy powiadomić swego przełożonego. Był nim stary żołnierz, awansowany na oficera za zasługi, o których świadczyły dwie jasne blizny przecinające jego twarz. Wyszedł im na spotkanie z pergaminem w ręku.

— Znam was? — spytał, zwracając się do Eudalda.

— Być może. W tej Barcelonie, gdzie odpuszczam grzechy, znamy się wszyscy.

— Ale nie rozpoznaję w was księdza.

— Nie urodziłem się nim.

— Gdzie wasza miłość wcześniej bywał?

— W różnych miejscach i okolicznościach.

Oficer nie dawał za wygraną.

— Widziałem was w innej roli. Nie braliście udziału w wypadach Mira Geriberta?

— Może, ale nie jako ksiądz.

Twarz oficera nagle się rozjaśniła.

— Walczyliście pod Vallfermosa?

— Tam i w wielu innych miejscach, w towarzystwie ojca obecnego tu przyjaciela.

Oficer przyjrzał się uważnie Martiemu.

— Przypomnijcie mi jego nazwisko.

— Guillem Barbany de Gorb.

Oficer przyglądał mu się, jakby zobaczył zjawę.

— Na brodę świętego Piotra! Teraz sobie przypominam! Byliście nierozłączni jak bracia. W dniu gdy zostałem trafiony dzidą — wskazał bliznę na swej twarzy — wasz ojciec wybawił mnie z opresji. To były chwalebne czasy, nie takie jak teraz, gdy byle fagas robi karierę na dworze szybciej, niż my mogliśmy podczas wszystkich wojen na pograniczu.

— Cieszę się, że was spotkałem. Zawsze dobrze jest odnaleźć starych znajomych.

— Tutaj służę. Weteranów potrzebują tylko do pilnowania nieszkodliwych więźniów albo pełnienia warty. Macie rację, ja też zrobiłbym lepiej, zostając księdzem. Zapewniłbym sobie miskę zupy na starość, która zapowiada się niepewnie, a w dodatku mam na utrzymaniu starą wiedźmę i troje dzieci.

— Może nie mieliście powołania, by zostać duchownym?

— Mimo wszystko wolałbym to, niż stać na warcie tam, gdzie mi każą.

Eudald pomyślał, że dobrze jest mieć w tym miejscu sojusznika.

— Rad jestem z naszego spotkania, ale przychodzimy z pewną posługą i nie możemy zwlekać — przerwał przemowę starego żołnierza.

— Wejdźcie. Jeden z moich ludzi zaprowadzi was do celi i zawsze, gdy będzie na straży Jaume Fornolls, macie wolny wstęp.

- W jakie dni i o jakiej porze pełnicie wartę?
- Codziennie, między prymą a tercją.
- Weźmiemy to pod uwagę, by nie musieć prosić za każdym razem o zezwolenie. A teraz, jeśli pozwolicie...

Wartownik poprowadził ich korytarzami do celi, którą zajmował Baruch. Szli z niepokojem, nie wiedząc, co zobaczą. Ujrzeni bankiera przez okratowane drzwi. Pomieszczenie przypominało bardziej pokój w kiepskiej gospodzie niż więzienną celę. Umeblowanie stanowił stół i dwa koślawe krzesła oraz stojąca pod ścianą ława, która służyła zarazem jako prycza. Benvenist siedział na niej, pogrążony w myślach, wpatrując się w światło wschodzącego słońca wpadające przez okienko w ścianie i w którego białych promieniach tańczyły drobinki kurzu. Wydawał się, jeśli to w ogóle możliwe, jeszcze bardziej wychudzony i skurczony. Zauważywszy, że ktoś stoi przy drzwiach, obrócił się i w jego wilgotnych oczach pojawił się wyraz ulgi i wdzięczności. Podniósł się powoli i podszedł do nich z tym samym co zawsze dobrotliwym obliczem.

Wartownik otworzył kratę i trzech mężczyźni padli sobie w objęcia.

- Kazano mi zostawić was samych. Kiedy zechcecie wyjść, zastukajcie w kratę, to przyjdę otworzyć.

Po tych słowach wartownik oddalił się korytarzem. Marti i Eudald usiedli na krzesłach, a Baruch na pryczy. Ksiądz przerwał niezręczną ciszę, która nagle zapadła.

- Baruchu, mój przyjacielu, co za nieszczęście.
- I jak niesprawiedliwie was potraktowano — dodał Marti.
- Zamysły Jahwe są nieodgadnione i niepojęte dla ludzi. Kiedy się rodzimy, wiadomo już, ile uderzeń jest pisanych naszemu sercu.

— Ale każda śmierć, która nie wynika z naturalnych przyczyn i zostaje spowodowana przez ludzi, jest nikczemna i pozbawiona sensu.

- Wybaczcie, Eudaldzie, kiedy śmierć zapobiega większym stratom, niech będzie błogosławiona. Oby moja stłumiła gniew możnych i ocaliła naszą wspólnotę od gorszych nieszczęść.

— Wicie zapewne, kiedy i jak wykonają wyrok.

— Przestrzegają skrupulatnie protokołu. Sędzia pojawił się osobiście w tej celi w towarzystwie dwóch świadków i od czytał mi wyrok. Byli dla mnie bardzo uprzejmi i zarazem wielkoduszni. Podczas egzekucji nie będzie moich bliskich i cieszę się z tego. Nikt nie powinien profanować szabasu z powodu czegoś tak błahego jak śmierć, która jest przecież codziennym zjawiskiem.

Widząc zrezygnowanie i powściągliwość swego przyjaciela, Marti wybuchnął:

— Nie rozumiem, jak możecie godzić się spokojnie z taką niesprawiedliwością!

— A co bym osiągnął? Wszystko jest zapisane i nikt nie może tego zmienić: śmierć czeka nas wszystkich. Moja nadeszła po prostu trochę szybciej.

— Ten fatalizm prześladowuje od wieków waszą nację: podczas każdej Paschy życzyte sobie w wieczór sederowy* „do zobaczenia za rok w Jerozolimie”, ale skoro przyjmujecie taką postawę wobec wszelkich przeciwności, wróżę wam, że nigdy tam nie wrócicie.

— Marti, przyszliśmy pocieszyć naszego przyjaciela, a nie go pogłębiać — przypomniał Eudald.

— Wybaczcie, Baruchu, ale bezradność i gniew skłaniają mnie do wypowiedzania takich słów. W istocie przyszliśmy dodać wam otuchy i pomówić o różnych sprawach.

— Więc zostawcie na boku gniew i zajmijcie się najpierw mną. Muszę przekazać wam moją ostatnią wolę, a nie mamy zbyt wiele czasu.

Eudald i Marti słuchali z uwagą, co mówi Benvenist.

— Wkrótce nie będzie mnie już na tym świecie, ale pozostaną ci, których najbardziej kocham. Mój majątek skonfiskowano

* Podczas wieczerzy wypija się cztery puchary wina, które upamiętniają obietnicę odkupienia przez Boga narodu Izraela, i wypowiada się cztery czasowniki w pierwszej osobie: wyprowadzę was, wyzwolę, odkupię i przejmę.

i w ciągu trzydziestu dni moja rodzina nie będzie już miała w Barcelonie, którą tak kochałem, własnego domu ani nawet dachu nad głową. Najbardziej martwi mnie los mojej żony Ryfki i Ruth, mniej pozostałych dwóch córek, gdyż należą do rodzin swoich mężów. Teraz powiem o tym, co ciebie dotyczy, Marti. Wiem, że moja najmłodsza córka, bo dobrze ją znam, nie wyjedzie z matką, bo nie będzie chciała cię opuścić...

— Baruchu, zrobię to, co...

— Pozwól mi skończyć, Marti. Długo rozmyślałem, zupełnie jakbym przygotowywał się do jednej z tych dyskusji, które prowadziliśmy, Eudaldzie, w letnie wieczory. — Starzec zaczerpnął tchu. — Marti, wiem, że Ruth kocha cię, odkąd była małą dziewczynką. Ojciec potrafi czytać w sercu córki, choć nic mi nie mówiła. Początkowo myślałem, że to dziewczęcy kaprys, ale myliłem się. Ruth jest już kobietą. Zechciałeś przyjąć ją do twego domu, ratując mnie wówczas przed hańbą, która okryłaby moją rodzinę i utrudniła, a może uniemożliwiła wydanie za mąż Batszewy, ale sądzę, że nie powinienem był się na to zgodzić, mimo złożonego przez ciebie przyrzeczenia. Jestem świadomy, że moje pozwolenie tylko pogorszyło sprawę. W zaistniałych okolicznościach nie ma już miejsca na kompromis: musisz nałkonić Ruth, żeby bez żadnych wymówek i wykrętów dołączyła do matki, bym mógł spokojnie odejść z tego świata. Tylko ciebie być może posłucha.

Eudald i Marti wymienili porozumiewawcze spojrzenia, co nie uszło uwadze bystrego bankiera.

— O co chodzi? Czyżbym o czymś nie wiedział?

— Proście o rzecz niemożliwą — odrzekł Marti cichym i strapionym głosem.

— Dlaczego?

— Muszę wyjawić wam przykrą prawdę. Teść Estery ani jej mąż nie chcą zabrać Ruth do Besalu. Mówią, że naraziłoby to wszystkich na niebezpieczeństwo, także waszą żonę.

Baruch Benvenist owinął sobie głowę wygniecioną tuniką i trwał tak przez chwilę w milczeniu.

— Nie rozpaczajcie. Nie zostawię was w takim położeniu, przepełniwszy kielich goryczy tą wiadomością.

— Co proponujesz? — spytał ksiądz Martiego, gdy bankier zdjął wreszcie z głowy tunikę.

— Ruth będzie pod moją opieką równie bezpieczna, jak była w waszym domu w najszcześniejszych czasach.

— Wiąże się to z ryzykiem, którego nie mogę zaakceptować.

— Mój drogi przyjacielu, niestety w obecnej sytuacji nie do was należy decyzja — zauważył Marti.

— Grozi ci niebezpieczeństwo, Marti — przypomniał Llobet.

— Narażałem się już wcześniej z bardziej błahych powodów i dla osób, których prawie nie znałem.

Powiedział to bez namysłu, przypominając sobie Hasana al-Malika tonącego w wodach portu w Famaguście. Zaczynał nie dawać za wygraną:

— Zważ jednak, że dziewczyna naruszy nie prawo żydowskie, lecz rozkaz wysiedlenia podpisany przez hrabiego, a ty będziesz współwinny. Ktoś może ją zobaczyć i wtedy nic ani nikt ci nie pomoże.

— W moim domu będzie bezpieczna. Przygotuję najwyższe piętro tylko dla niej, podobnie jak ogród przy baszcie. Każę Omarowi, który, jak wiecie, jest ekspertem od sprowadzania wody, by urządził w ogrodzie łaźnię. Nie będzie musiała wychodzić na ulicę i nikt nie będzie miał wstępu do jej komnat, dopóki sytuacja się nie zmieni. Czyż nie mówicie, że to opatrzność rządzi światem, a nie ludzie? Myślę zatem, że wasz Jahwe albo nasz Jezus mi dopomogą.

— Nie ma więc innego wyjścia. Marti, błogosławię cię i polecam opiece twego Boga. Odejdę z tego świata ze spokojnym sercem.

— Jest jeszcze czas. Powiedzcie, ponieważ nie ma możliwości, by odwiedzili was wszyscy krewni, kogo mam przyprorowadzić.

— Moja żona, Eudaldzie, umarłaby, widząc mnie tutaj, moje dwie starsze córki mają już mężów. Jeśli możecie, sprowadźcie Ruth...

— Nie martwcie się, jeśli to będzie w mojej mocy, spełnię wasze życzenie.

Marti, wzruszony do głębi, powiedział głosem pełnym czułości i oddania:

— Baruchu, powierzyliście mi wasz największy skarb. Ręczę honorem, że was nie zawiodę.

Opuściwszy złowrogie miejsce, Marti poczuł, jak wzbiera w nim po raz kolejny fala nienawiści do człowieka, który krzywdził wszystkich wokół siebie. Nikczemność Montcusiego musi zostać ukarana... i wiedział, że wcześniej czy później znajdzie sposób, by zaspokoić dręczące go pragnienie zemsty.

101

Albinos

Wyglądający złowrogo osobnik czekał w przedsiönku gabinetu Bernata Montcusiego, obserwowany kątem oka przez nieufnego Conrada Brufaua, którego jego obecność dziwiła i niepokoiła. Zastanawiał się, w jakiej sprawie przybył. W poczekalni Montcusiego widywało się zwykle barcelońskich *prohomes* o zdecydowanie szlachetniejszym wyglądzie, a nie ludzi tego pokroju.

Obcy miał na sobie tunikę, spodnie i czarne sznurowane buty. Przyjrząwszy mu się uważnie, można było stwierdzić, że zbliża się do czterdziestki, choć łysiejące zakola wskazywały na więcej lat. Był raczej wysokim, wyjątkowo chudym człowiekiem o kościstych rękach, ale wyróżniały go białe włosy i niezwykle jasne zielone oczy, osadzone w ospowatej twarzy i okolone niewidocznymi niemal brwiami i rzęsami.

Był opanowany i pewny siebie, jak ktoś, kto przywykł stąpać po dywanach, a przy tym wie, że ma monopol na to, co sprzedaje i klient może to kupić tylko od niego.

W gabinecie rozległ się przenikliwy dźwięk dzwonka, a sekretarz wszedł pospiesznie do środka i natychmiast wrócił po dziwnego gościa, który wstał już, pewien, że to jego wzywają.

— Mój pan na was czeka.

Przechrzta Luciano Santangel wziął pelerynę i teczkę z dokumentami i podążył za Conradem Brufauem do gabinetu doradcy hrabiego, Bernata Montcusiego.

Ten wyszedł mu na spotkanie, przymilny i usłużny, i wzięwszy go pod ramię, poprowadził do stojącej pod oknem ławy.

— Drogi przyjacielu, przede wszystkim dziękuję, że zechcie liście przybyć tak szybko na moje wezwanie, ponieważ wiem, jak duży jest popyt na wasze usługi.

Obaj mężczyźni bardzo różnili się wyglądem: gość był długi jak tyczka, a doradca okrągły jak beczka.

Luciano Santangel, kładąc pelerynę na ławie obok teczki, odpowiedział:

— Wiecie, że zawsze, gdy mnie potrzebowaliście, przybiegałem chyżo jak chart.

Mężczyźni usiedli i gość czekał, aż zarządca do spraw aprowizacji wyjaśni mu, o co chodzi.

Montcusi, ulokowawszy na ławie swe obfite kształty, wygładziwszy fałdy tuniki i wydawszy głośnie westchnienie, zaczął rozmowę od dygresji, do których był tak skłonny.

— Zdradźcie mi, Luciano, zanim opowiem wam o swoich kłopotach, z jakiej to misji zrezygnowaliście, by stawić się na moje wezwanie?

— Nie zrezygnowałem. Powiedzmy raczej, że powierzyłem łowy ogarom z mojej sfory, które sam wyszkoliłem, znają więc dobrze moje metody działania.

— Wyjawcie mi coś więcej.

— Powiem wam jedynie, o co chodzi, ale nie o kogo. Klienci zawsze ufali mojej dyskrecji. Możecie być pewni, że ściany tego gabinetu będą jedynymi świadkami waszej opowieści. Ode mnie nikt niczego się nie dowie. Na tym opiera się moja reputacja. Ale żeby was zadowolić, wyjawię, że władca jednego z hrabstw sąsiadujących z Barceloną zamierza rozwieść się z żoną i nie wie, który ze szlachciców przyprawia mu rogi. Ona jest wielką damą, jej ojciec to ważna osobistość, ma wujów biskupów i kuzyna opata. Hrabia musi zatem bardzo uważać, by nie popełnić

błędu, który mógłby zaowocować incydem dyplomatycznym
Opoważnych konsekwencjach.

— Nie musicie mówić, o kogo chodzi. Domyślam się tego
I nigdy nie mogę się nadziwić ułomności ludzkiej natury, choć
zawsze głosiłem teorię, że rogi bolą, kiedy wychodzą, ale potem
pomagają żyć. Radziłbym jednak moźnym, którzy nie chcą płacić
daniny bezczelnym łotrom, by żyli cnotliwie jak mnisi, bo
w przeciwnym razie będą narażeni na szantaż, którego unika
tylko ktoś o tak nieposzlakowanej opinii jak ja.

— To najlepszy sposób, by uniknąć kłopotów w tym nie
spokojnym świecie, w którym żyjemy. Ale powiedzcie, co was
dreczy i w jakim celu mnie wezwaliście.

— Mój zacny Luciano, doskonale wiecie, z jakimi trudnoś
ciami wiąże się piastowanie mojego stanowiska. Z jednej strony
moja niezłomna lojalność wobec hrabiego budzi zawiść. Szlachta
atakuje mnie, gdyż, jak wam wiadomo, nie jestem szlachetnie
urodzony, ściągając podatki na rzecz miasta, wzbudzam niechęć,
bo odbieram ludziom pieniądze, a równi mi stanem obywatele
Barcelony, ciesząc się mniejszymi względami hrabiego, za
zdroszczą mi pozycji. Jestem zatem wiecznie pod presją.

— Doskonale was rozumiem, ale nie mówicie mi nic nowego.
Zawsze tak było. Zazdrość to jedna ze słabości ludzkiej natury.

— Macie rację i dlatego zwróciłem się do was. Zaufanie,
które wzbudza wasz dyskretny profesjonalizm, skłania mnie do
szukania u was pomocy.

— Zamieniam się w słuch.

— Przywykłem do pałacowych intryg, ale tym razem pojawił
się wróg na tyle silny, iż roztropność nakazuje go nie lekceważyć.
Chcę poznać jego słabe strony, aby nie dać się zaskoczyć żadnym
działaniem, które może przedsięwziąć, by doprowadzić mnie do
ruiny.

Albinos otworzył teczkę i wyjąwszy z niej pergamin, kałamarz
i pióro, zapytał:

— Jak silną pozycję ma wasz nieprzyjaciel?

— Na razie powiem wam tyle, że sama hrabina Almodis,

pominąwszy obowiązujące zasady, przyznała mu obywatelstwo Barcelony. Ma jeden z najokazalszych domów w mieście, jest importerem czarnego oleju, który służy do oświetlania naszych ulic, i posiada ponad dwadzieścia statków.

Albinos, otworzywszy kałamarz i umoczywszy w nim koniec pióra, zaczął pisać.

— Macie niewątpliwie na myśli Martiego Barbany.

— W istocie.

— Jego działalność jest powszechnie znana. Podziwiam waszą roztropność. Potężnych wrogów należy eliminować, zanim staną się jeszcze silniejsi. Ostrożności nigdy dosyć. Co chcielibyście wiedzieć?

— Wszystko, co da się przeciwko niemu wykorzystać, co dotyczy jego rodziny, przyjaciół, ludzi, z którymi się spotyka. Czy spłaca swoje długi, czy łamie przepisy regulujące import i eksport towarów, jakie umowy ma z Żydami i innymi szumowinami. Jednym słowem wszystko, co może zaszkodzić jego reputacji.

— Chociaż to mnie nie dotyczy, lubię znać powody, dla których klienci domagają się moich usług.

— To bardzo proste: nie znoszę niewdzięczności i nic nie wzbudza we mnie większej nienawiści niż ludzie gryzący rękę, która ich karmiła. Ten osobnik, gdy jeszcze nic nie znaczył, przyszedł do mnie, prosząc o przysługę, którą raczyłem mu wyświadczyć. Nie zadowolił się, trzeba przyznać, odniesionymi sukcesami, i miał czelność prosić o rękę mojej pasierbicy, która była światłem mego życia i marzeniem starości. Uznając jego zasługi, oznajmiłem, że dopóki nie będzie obywatelem Barcelony, nie będę mógł spełnić jego prośby. Wtedy podstępnie, z pomocą niewiernej niewolnicy, którą musiałem potem ukarać, omamił czułe serce mojej Lai, bo tak miała na imię, a gdy zmuszony okolicznościami zgodziłem się, by ją poślubił, zawiódł moje zaufanie, odrzucając ten związek, co wprawilo moją pasierbicę w takie przygnębienie, że skończyła ze sobą.

— Ponura historia.

— To jeszcze nie wszystko. Na moje nieszczęście przed
stawiłem go *veguerowi*, aby miasto kupowało od niego czarny
olej, który sprowadzał, i kiedy miał już swobodny wstęp do jego
domu, odwrócił się ode mnie i odmówił zapłaty za przysługę.

— I czego teraz chcecie się o nim dowiedzieć?

Doradca nie potrafił pohamować gniewu.

— Interesuje mnie nawet kolor jego odchodów! Muszę znać
przede wszystkim wszelkie związki, jakie łączą go z ludźmi
z Cali.

— Nie martwcie się, wszystkiego się dowiemy, a szczególnie
tego, co dotyczy jego powiązań z Żydami. Nie zapominajcie, że
jestem przechrztą. Najgorszy jest wilk w owczej skórze.

— A gdyby oprócz zdobywania informacji trzeba było rów
nież wykonać jakieś zadanie? Oczywiście w tajemnicy. Pewne
rzeczy lepiej robić dyskretnie. Oficjalne działania sam mogę
podjąć.

— Mam do tego odpowiednich ludzi, ale domyślacie się, że
potajemna akcja oznacza wyższą cenę.

— O to się nie martwcie. Wiecie, że dobrze płacę swoim
współpracownikom.

Pożegnanie

W tym samym czasie, gdy złowrogi gość rozmawiał z Bernatem Montcusim, Ruth dyskutowała z Martim o wizycie u ojca.

— Masz świadomość, ile ryzykujesz?

— Marti, obiecałeś mi, że się postarasz. Jeśli nie będę mogła go zobaczyć, umrę z żalu.

— Naruszysz prawo. Będziesz musiała wyjść na ulicę o zabronionej Żydom porze, w dodatku przebrana za mężczyznę, bo byłoby szaleństwem, gdybyś próbowała dostać się do więzienia w stroju kobiety.

— Jeśli tam nie pójdę, ojciec odejdzie z tego świata, nie zaznając pociechy zobaczenia mnie, a wiem, że tego najbardziej pragnie. Wszystko biorę na siebie. Gdyby coś mi się stało, nie ty będziesz za to odpowiedzialny.

— Dobrze, niech tak będzie. Obiecałem ci to i nie będzie moją winą, jeśli nam się nie uda.

Marti dopilnował, by Eudald odszukał Jaume Fornollsa i uzgodnił z nim, na podstawie niepisanego kodeksu starych towarzyszy broni, że następnego dnia, gdy rozpocznie wartę, pozwoli Marti emu i najstarszemu synowi zatrzymanego odwiedzić go w celi, pod warunkiem, iż nie wniosą do środka żadnego noża ani sztyletu. W porze jutrzni, gdy bicie dzwonów katedry

rozpraszało mroki nocy, w blasku światła latarni Martiego weszło na plac obok Palau Menor dwoje ludzi. Przy budce wartownika widać było w oddali sylwetkę człowieka przemierzającego wolno kamienne płyty przy bramie. Fornolls nie chciał mieć świadków swojej przysługi. Zatrzymał się nagle, widząc cienie postaci przemykających pod osłoną drzew. Rozejrzył się szybko, by mieć pewność, że nikt nie patrzy. Cienie wyłoniły się z mroku. Marti z odkrytą twarzą, a Ruth z zasłoniętą, dotarli do miejsca, gdzie czekał niespodziewany sojusznik.

Fornolls odezwał się, mówiąc cicho i wyraźnie:

— Wasze miłości przybywają bardzo punktualnie.

— Ojciec Llobet tak nam polecił. Wiemy, że musimy wejść, gdy pełnicie wartę, i opuścić to miejsce, zanim ktoś was zmieni. Nie chcemy przysporzyć wam kłopotów.

— Cieszę się, że mogę wyświadczyć przysługę synowi towarzysza broni, wobec którego miałem dług, ale wiele ryzykuję.

— Wiem o tym i chciałbym wam to jakoś wynagrodzić.

Powiedziawszy te słowa, Marti poszperał w torbie, którą miał na ramieniu, i wyjąwszy sakiewkę z niewyprawionej skóry, wręczył ją strażnikowi.

— Co mi dajecie? Niczego w zamian nie oczekuję.

Mówiąc to, próbował zwrócić sakiewkę Martiemu, ale ten przytrzymał jego rękę.

— Przysługę już mi wyświadczyliście. Powiedzieliście, że macie żonę i dzieci, więc przyjmijcie to jako wyraz mojej wdzięczności.

Jaume Fornolls rozplatał w półmroku skórzany rzemyk, którym zawiązana była sakiewka, i włożył rękę do środka.

— Postradaliście zmysły! Tu jest co najmniej półroczy żołąd.

— To nic w porównaniu z tym, co dla nas robicie.

Zwracając się do nich obu, Fornolls przyjrzał się uważnie skulonej postaci towarzyszącej Martiemu.

— To jego syn?

— Tak, a ponieważ skazany ma oprócz niego tylko dwie córki, chłopak, mimo młodego wieku, będzie musiał opiekować się nimi i matką. Dobrze wiecie, jacy są Żydzi.



— Przez wzgląd na was nie będę go rewidował, ale musicie mnie zapewnić, że nie zamierza dostarczyć więźniowi żadnej broni.

— Zrewidujcie go, jeśli to was uspokoi.

— Wystarczy mi wasze słowo. Proszę, byście się pośpieszyli.

— Chce tylko otrzymać błogosławieństwo ojca i kilka rad, zanim wyruszy na wygnanie.

Fornolls wskazał, by podążyli za nim. Przechodząc obok wartowni, gdzie spali jego ludzie, rozkazał jednemu z nich, by wyszedł do budki na zewnątrz.

— Nie obawiajcie się, to zaufany człowiek — wyjaśnił.

Ruth ze zdenerwowania brakowało tchu. Nie otulała się już płaszczem i zakrywała jedynie głowę kapturem peleryny.

Przeszli wąskim korytarzem i gdy dotarli do celi, Fornolls otworzył kratę i przypomniawszy Martiemu, by zbytnio się nie ociągali, zostawił ich samych.

Baruch, usłyszawszy kroki kilku osób, domyślił się, że to jego ukochana córka przyszła się z nim pożegnać, i wstał z pryczy. Ruth rzuciła mu się w ramiona, jak w dzieciństwie, obejmując go w pasie i szlochając.

Marti czekał z boku, aż oboje nacieszą się tym wymarzonym spotkaniem, zdając sobie sprawę, że to ich ostatni uścisk i że od tego dnia wizerunek Barucha pozostanie na zawsze w sercu jego córki mglistym wspomnieniem.

Wciąż trzymając się za ręce i patrząc sobie w oczy, usiedli na pryczy pod ścianą, niepomni obecności Martiego. Po chwili Baruch wrócił do rzeczywistości.

— Dziękuję ci raz jeszcze, przyjacielu. Gdybym posiadał cały odebrany mi majątek i oddał go tobie i tak bym się nie wypłacił za przysługę, którą mi wyświadczyłeś.

— Baruchu, pamiętajcie, że mój ojciec, któremu tak wiernie służyliście, uczył mnie przede wszystkim tego, bym zawsze dotrzymał słowa. Obiecałem wam, że sprowadzę Ruth, i uczyniłem to.

Nikt nie ośmielił się odezwać i w celi zapadło pełne bólu i udręki milczenie. Ruth zaczęła szlochać.

— Nie rozpaczaj, mój skarbie, jestem szczęściarzem. Śmierć może człowieka zaskoczyć w nieodpowiednim momencie, gdy jest w niezgodzie z Jahwe. Mnie spotkała ta łaska, że wiem, kiedy umrę. Alleluja!

Marti, zdumiony, że bankier nie traci ducha nawet w tak strasznym położeniu, nie mógł się powstrzymać i wykrzyknął:

— Podziwiam was bardziej niż dotychczas, jeśli to w ogóle możliwe! Niewielu ludzi potrafi zachować spokój w tak trudnej chwili.

— Zostało mało czasu i trzeba go dobrze wykorzystać. Zajmijmy się tymi, którzy tu zostają. Mnie już niewiele potrzeba. Zechciej zostawić nas samych... Są sprawy, o których muszę pomówić z Ruth w cztery oczy.

Marti wyszedł. Z miejsca, gdzie stał, słyszał szept Barucha i niepoohamowany szloch Ruth. Trwało to tylko parę chwil.

— Marti, podejdź — poprosił Baruch. — Mam do ciebie jeszcze jedną prośbę.

— Spełnię wszystkie wasze życzenia, mój przyjacielu. Co was trapi? — odrzekł Marti smutno i poważnie.

— Idźcie do mojego domu, gdyż Ruth nie może się tam zbliżyć, i wyjmijcie spod mezuzy klucz od bramy ogrodu. Za chowaj go, moja córko. Kiedyś wrócisz i tego chwalebego dnia odzyskam swój honor. Wtedy, Ruth, odnajdziesz swoją matkę i sprowadzisz ją do domu, którego nigdy nie powinna opuszczać. Nie chowaj w sercu nienawiści — to trujący bluszcz, który wyniszcza duszę. A teraz klękajcie, udzielę wam mego błogo sławieństwa.

Kiedy wstali z klęczek, na korytarzu rozległy się kroki Jaume Fornollsa.

Szubienica

Szubienicę wzniesiono przed bramą Regomira, gdyż było to jedno z miejsc najbardziej oddalonych od Cali, i choć należało oczekiwać, że przestrzegając szabasu, żaden Żyd nie wyjdzie z domu, lepiej było zapobiec ewentualnym komplikacjom, niż później ponosić ich konsekwencje. Wyrok wydany przez hrabiego za namowującego doradcy, Bernata Montcusiego, którego nagroził za tak błyskotliwe rozwiązanie niefortunnego problemu fałszywych *maravedies*, miał zostać nieodwołalnie wykonany. Doradca do spraw rynków i aprowizacji wykorzystał to wydarzenie, by czerpać zyski z towarzyszącego mu festynu. Od świtu szykowano miejsca, które wydzierżawił wcześniej kupcom mającym sprzedawać syropy z miodu i lalczki wiszące na małych szubieniczkach, kuglarzom przybyłym z dalekich ziem, sztukmistrzom, a nawet wędrownej trupie, która miała wystawiać sztukę o aresztowaniu Żyda złapanego przez strażników, kiedy rabował pieniądze hrabiego. Gdy narrator opowiadał o jego przestępstwie, ubrane w łachmany kobiety sprzedawały widzom zgniłe owoce i warzywa, by mogli nimi obrzucać aktora grającego w tragicomedii rolę Żyda. Wszystko to dla uciechy i rozrywki pospólstwa, czekającego na główną atrakcję festynu. Na środku podium wznosiła się ponura konstrukcja, z której zwisał konopny sznur

ze złowrogą pętlą na końcu. Cieśle kończyli montować schodki, po których musiał wejść skazaniec, a inni rzemieślnicy obijali czarnym suknem krawędź podestu, aby zasłonić przed wścibskimi spojrzzeniami rusztowanie. Przy ścianie domu, zwróconej w kierunku fasady bramy, wzniesiono pod baldachimem trybunę ozdobioną gobelinami i wyłożoną kobiercami, z której hrabiowie i ich goście mieli oglądać egzekucję. Naprzeciwko znajdowało się podium dla pięciu sędziów i biskupa Barcelony. Wrzawa była coraz większa. Członkowie *hostu*, uzbrojeni we włócznie i skórzane tarcze, odziani w kolczugi i kaftany w czerwono-żółtych barwach hrabstwa Barcelony, zajmowali całą otwartą przestrzeń, aby wspomóc strażników, którzy z pikami w rękach zaprowadzali porządek w tłumie stłoczonym za żołnierzami. Rzemieślnicy wycofywali się powoli i na podeście pozostał tylko człowiek w kapturze.

Krzyk, narastający jak fala przyływu w pełni księżyca, obwieścił przybycie wozu, drewnianej platformy na czterech kołach, na której stała klatka ze skazańcem. Baruch kulił się jak przeżony ptak, miał związane za plecami ręce, na nogach czarne espadryle, a na grzbiecie zgrzebny worek z wyciętymi trzema otworami, przez które wystawała jego mała głowa i suche jak szczapy ręce. Przed wozem zaprzężonym w cztery muły jechali strażnicy na koniach, a po bokach szli ludzie torujący mu drogę przez falujący tłum. Dotarłszy pod szafot, orszak zatrzymał się i oprawcy pomogli bankierowi zejść z wozu wśród salw śmiechu pospólstwa i zgielku podniesionych głosów.

Marti emu, który przyszedł na plac osłonięty peleryną, czując się w obowiązku tam być, wydało się nagle, że widzi w oddali, w pobliżu szafotu, potężną sylwetkę Eudalda Llobeta. Baruch natychmiast go dostrzegł. Na jego ustach pojawił się grymas, który miał być uśmiechem. Eudald po chwili znalazł się przy nim, wszedłszy między strażnikami po pięciu schodkach mających zaprowadzić Barucha na śmierć.

— Co tu robicie? Narażacie się i może was to drogo kosztować.

— Nieważne. Drwię z zasad. Sumienie nie dałoby mi spokoju do końca życia, gdybym nie towarzyszył przyjacielowi w tak ciężkich chwilach. Tego wymaga i wasza, i moja wiara.

— Wyświadczyć mi tę przysługę i odejdźcie. Strach o was przysporzy mi tylko cierpień.

— Nie nalegajcie.

Na trybunie zasiadła już para hrabiowska w otoczeniu dworu.

— Czy to nie wasz spowiednik? — spytał żonę Ramón Berenguer. — Co on tam robi?

— Przypuszczam, że próbuje ocalić przed piekłem kolejną duszę.

Dowódca eskorty, rozpoznawszy Llobeta, spytał szorstko:

— Czy to wasze miejsce?

— Idę tam, dokąd posyła mnie hrabina. Jeśli macie wątpliwości, jest tam, pytajcie ją.

Niebo zasnuło się chmurami i zaczęło mżyć. Bankier wzdrygnął się, gdy kat założył mu pętlę na szyję. Oficer rozkazał Eudaldowi opuścić podium. Ten zbliżył wargi do ucha skazańca.

— Niech Metatron* towarzyszy waszej *neshama***, by jeszcze dziś spotkała się z Elohim.

— Dzięki, Eudaldzie, że dodajecie mi otuchy w wierze moich przodków.

— Wszystkie religie prowadzą do tego samego Boga, jeśli dobrze czyniliśmy.

Oficer wziął Eudalda pod łokieć, każąc mu zejść.

— Żegnaj, mój przyjacielu. Do zobaczenia wkrótce.

Gdy posłaniec dostarczył oficerowi pergamin z sędziowskiego stołu, ten spojrział na głównego sędziego. Gdy ten skinął głową, wręczył dokument heroldowi, który z wysokości szafotu odczytał werdykt. Kiedy skończył, rozległ się głuchy łoskot werbli. Potem

* Metatron — żydowski anioł stróż, który odnotowuje dobre uczynki. ** *Neshama* — dusza.

zapadła cisza. Główny sędzia wstał i grzmiącym głosem, patrząc na kata, wydał straszny rozkaz:

— Wykonać wyrok!

Kat jednym kopnięciem usunął podnózek, na którym stał skazaniec. Baruch zawisł na sznurze jak zepsuta lalka. W tym momencie rozwarły się niebiosa i rozpętała się ulewa.

Umarł sprawiedliwy człowiek.



CZEŚĆ SZÓSTA

Prawda i zdrada

104

Żałoba

Ciało Benvenista wisiało na szubienicy przez cały dzień. W niedzielę, by uniknąć protestów jego wspólnoty, zostało zdjęte i oddane rodzinie, dzięki osobistemu wstawiennictwu Eudalda Llobeta u hrabiny. Od tej chwili zaczynał się okres trzydziestu dni, w ciągu których krewni i słudzy Żyda musieli, zgodnie z wyrokiem, udać się na wygnanie.

Eudald Llobet, Marti, Eleazar Bensahadon, dawny naczelnik bankierów, i Aszer Ben Barcala, skarbnik, starając się nie rzucać w oczy, przyjechali po ciało do więziennej kostnicy prostym wozem zaprzężonym w kasztanka i prowadzonym przez Avimeleja, wiernego woźnicę Barucha. Benjamin Haim, mąż Estery, a także Melamedowie, ojciec i syn, woleli stać na ulicy przed domem, aby się nie narażać.

Estera i Batszewa czekały w domu, w otoczeniu płaczek, i przygotowywały całun, podczas gdy ich matka, Ryfka, złamana bólem, z trudem potrafiła zająć się krewnymi, którzy przybywali na czuwanie.

Stukot kół wozu na bruku oznajmił obecnym, że nadeszła straszliwa chwila. Wszyscy pospieszyli do tylnych drzwi, by odebrać martwe ciało męża, ojca i przyjaciela. Córki podtrzymały matkę, by nie upadła zemdlona. Eudald, Marti, Eleazar

i Aszer chwycili nosze, na których spoczywała skromna sosnowa skrzynia, i zanieśli ją do sypialni Barucha. Tam na prośbę Ryfki Llobet i starsi zostali, by przygotować jego ciało tak, aby wszyscy mogli je zobaczyć w ciągu trzech dni, jakie pozostały do pogrzebu, który miał się odbyć na cmentarzu na górze Montjuic.

Gdy zakończono przygotowania, rodzina zdecydowała, za radą starszych, że pochowają Barucha w środę, w dzień roboczy, aby uniknąć ewentualnych incydentów. Tej nocy pozostali przy zwłokach tylko najbliżsi, którzy mieli rozpocząć trzydniową żałobę.

Marti postanowił wrócić do domu i zająć się swoimi sprawami, gdyż to smutne wydarzenie oderwało go od pracy i musiał pilnie podjąć decyzje w sprawie dostaw towarów.

Dzięki dwóm ogromnym latarniom oświetlającym bramę zobaczył Omara nadzorującego wjazd powozów z dwoma uzbrojonymi ludźmi. Nie zdziwiło go to, gdyż od niefortunnej transakcji z *maravedies* atmosfera w mieście stała się nie do zniesienia. Ludzie, którzy wcześniej uśmiechali się do siebie i wymieniali pozdrowienia, pospiesznie wracali do domów i oglądali się przez ramię, czy nikt za nimi nie idzie. Pomimo oświetlenia ulic zdarzały się często napady i nocna straż nie nadążała z posyłaniem za kratki amatorów cudzej własności. Mówiono, że lochy Palau Menor są przepelnione i wszystkich bandytów schwytych w mieście natychmiast kierowano do dwóch ukończonych niedawno więzień w pobliżu murów, a sędziom nie starczało czasu, by odczytywać im zarzuty.

Omar wyszedł pospiesznie na spotkanie Martiego.

— Panie, nie powinniście o tej porze chodzić samotnie po ulicach. Mam dość ludzi, by zapewnić wam eskortę. W najmniej spodziewanym momencie napędzicie nam strachu. Dobrze jest nie być bojaźliwym, ale trzeba postępować roztropnie. Macie niemało wrogów, a wasza uprzywilejowana pozycja budzi zawiść. Gdyby coś wam się stało, niejeden by się cieszył.

Marti zbył słowa swego wiernego sługi machnięciem ręki.

— Najmniej mi teraz potrzeba, Omarze, takiego zrządzenia. Powiedz, jakie przynosisz nowiny. Jak się miewa Ruth?

— W waszym gabinecie czeka kapitan Jofre, jeśli zaś chodzi o panią, nie opuszcza komnat i nie tknęła nawet tego, co przygotowała jej Mariona, a przyrządziła jej ulubione potrawy.

— Wychodziła do ogrodu?

— Na chwilę po południu, w towarzystwie Aixy, ale nawet dźwięki harfy nie potrafią jej pocieszyć. Z komnaty cały czas dobiega jej płacz.

Dotarli do bramy. Dwaj ludzie, którzy jej strzegli, pozdrowili swego pana i kontynuowali patrol. Wysoko na murach także widać było cienie strażników.

Przeszli przez dziedziniec i zaczęli wchodzić po marmurowych schodach.

— O której godzinie przybył kapitan Jofre?

— Jego statek rzucił kotwicę w południe. Dowiedział się o nieszczęściu, które nas spotkało, i gdy tylko zaczęli wyładunek towaru z „Eulalii”, przyplłynął niezwłocznie na jednej z szalup, by złożyć nam kondolencje i zdać relację z podróży.

— Powiedz mu, że zaraz do niego przyjdę. Najpierw od wiedzę Ruth.

Rozdzielili się w przestronnym holu na piętrze i Marti, zanim skierował się do swoich komnat, zatrzymał się przed drzwiami sypialni dziewczyny.

Zastukał delikatnie do drzwi i z szelestu sukni wywnioskował, że Ruth wstaje z łóżka, by mu otworzyć.

Jej głos był zduszony i ochryple od płaczu.

— Niczego nie potrzebuję, Omarze.

— To nie Omar, to ja. Zechciej otworzyć.

Zazgrzytał rygiel i drzwi lekko się uchyliły. Marti był wstrząśnięty widokiem Ruth. Potargane włosy okalały jej bladą i wychudzoną twarz, a oczy były czerwone od płaczu.

— Pozwolisz?

Dziewczyna odsunęła się na bok, aby mógł wejść.

Gdy tylko Marti znalazł się w sypialni, zdał sobie sprawę

z dramatu, jaki przeżywa ta bezbronna i krucha istota. Oddałby życie, by móc ująć w dłonie jej ukochaną twarz i obsypać pocałunkami, ale tego właśnie nie mógł zrobić. Na pościeli widać było ciepłe jeszcze wgłębienie w miejscu, gdzie leżała, a na stole stała taca z nietkniętymi najlepszymi potrawami Mariony, którą majordom Andreu Codina przyniósł z kuchni.

— Ruth, tak nie może być, od piątku nic nie jadłaś.

— Proszę, Marti, nie zmuszaj mnie. Mogę myśleć tylko o ojcu.

— Ale on by chciał, żebyś coś zjadła i nie umarła z głodu.

— Kiedy będzie pogrzeb?

— W środę po południu.

— Chcę iść na cmentarz.

— Wiesz, że to niebezpieczne, nie powinnaś...

— Wiem, że nie mogę wrócić do rodziny, do domu ojca, by ich nie zhańbić, ale nic nie stoi na przeszkodzie, żebym poszła na MontjuTc i go pożegnała.

— Nie radzę. Dasz wrogom Benvenistów jeszcze jeden po wód, by ich obmawiali.

— Moja matka i siostry będą na pogrzebie. Wiem, że ich mężowie mnie nie lubią, ale to bez znaczenia, chcę choćby z daleka posłać ojcu ostatni pocałunek i jeśli będę mogła, rzucić na jego trumnę płatki białych róż z ogrodu, który tak kochał.

Westchnąwszy ciężko, Marti w końcu uległ.

— Niech tak będzie. Nie mam siły odmawiać ci tego, o co prosisz, ale stawiam warunek: musisz coś zjeść i odpocząć.

— Zgoda, jeśli przyrzekniesz, że pozwolisz mi pójść na pogrzeb.

— No dobrze, przyrzekam. Ale zrobisz, co ci każę.

— W porządku. Bylebym mogła tam być.

— Zatem jedz i odpoczywaj. Teraz muszę zobaczyć się z kapitanem Jofrem, który niedawno zacumował „Eulalię” do jednego z mortów* spółki naprzeciwko plaży.

* Morty — ogromne skały tkwiące w dnie morskim, do których mocowano łańcuchem boję służącą do cumowania statków w wyznaczonych miejscach na wysokości plaży.

- Chciałabym się z nim spotkać.
- Dziś nie, jutro. Ustaliliśmy, że musisz odpocząć.
- Dzięki za wszystko, Marti. Zechciej powiedzieć Aiksie, by tu przysła. Jej obecność i muzyka przynoszą mi ulgę.
- Odpoczywaj zatem.
- Dobrej nocy.

Zostawiwszy Ruth pogrążoną w bólu, Marti zszedł na pierwsze piętro i skierował się do głównego salonu, gdzie czekał jego przyjaciel Jofre. Kapitan, ogorzały od morskich wiatrów, patrzył przez jedno z okien. Usłyszawszy za plecami czyjeś kroki, odwrócił się i jego śniadą twarz rozpromienił uśmiech, tworząc drobne zmarszczki wokół oczu. Mężczyźni uściskali się, stojąc na środku komnaty.

Po chwili, usiadłszy wygodnie, zaczęli opowiadać sobie o tym, co przydarzyło się każdemu z nich podczas rozłąki.

— Skazanie Barucha to największe bezprawie, jakiego mógł dopuścić się sędzia. Jego krew spadnie na wszystkich, którzy mieli cokolwiek wspólnego z tą zbrodnią.

— Zatem mój przyjaciel Bernat Montcusi trafi wprost do piekła — stwierdził ze smutkiem Marti.

— Maczał w tym palce?

— Był głównym podżegaczem i mam zaszczyt należeć do grona ludzi, których najbardziej nienawidzi, odkąd pozbawiłem go intratnych prowizji.

— Miej oczy szeroko otwarte, Marti. Snuje się za tobą cień śmierci.

— Nie obawiaj się, potrafię o siebie zadbać.

— A jak miewa się Ruth?

— Jest zrozpaczona. Nie może pogodzić się ze śmiercią ojca i trudno ją przekonać, że nie powinna pokazywać się w mieście. Na domiar złego nie jest akceptowana przez rodziny swoich szwagrów. Martwi mnie, że wciąż naraża się na niebezpieczeństwa.

— Życie to nieustanne ryzyko. Coś o tym wiesz.

— Z pewnością, ale oprócz codziennych zagrożeń czyhają

na nas zasadzki zastawione przez wrogów i jeśli na nie zasłużyliśmy, potrafię to zrozumieć, ale nie mieści mi się w głowie, że chcą cię zabić za przynależność do innej rasy albo wyznawanie innej wiary, choć nikogo nie skrzywdziłeś.

— To się zdarza wszędzie, mój przyjacielu, myślę, że wynika z ludzkiej natury. Na ziemiach Maurów tak samo traktują chrześcijan. Kiedy jest pogrzeb?

— W środę po południu na Montjuic, gdy Żydzi będą zajęci swymi sprawami.

Milczeli przez chwilę, a potem Marti poruszył kwestię, która bardzo go dręczyła.

— Ruth chce iść na cmentarz.

— To rzeczywiście może się źle skończyć.

— Będzie tłum ludzi. Obecność Ruth narazi na kłopoty jej rodzinę, a przede wszystkim szwagrów.

— Nie powinna więc rzucać się w oczy.

— Właśnie.

— Musisz ją przekonać, żeby zrezygnowała.

Marti pokręcił głową.

— Nie potrafię.

Znów zapadło milczenie.

— Mam pewien pomysł — powiedział Jofre, rzucając przy jacielowi porozumiewawcze spojrzenie.

— Jaki?

— Posłuchaj, Marti. Przez dwa dni będziemy przewozili z plaży do jaskiń amfory z czarnym olejem.

— I co?

— Wozy zaprzęgnięte w muły pojedą w jedną stronę z ładunkiem, a wracać będą puste.

— Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

— Na jednym z wozów ukryjemy pod brezentem Ruth. Do jechawszy do cmentarza, wysiądzie i gdzieś się schowa. Będzie widziała, co prawda z pewnej odległości, pogrzeb ojca, a kiedy krewni się oddalą, Ryfka, udając, że jest zmęczona, może odejść na bok i pożegnać się z córką.

— Doskonały pomysł. Pozwól mi to przemyśleć.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, po czym Jofre zaczął zbierać się do wyjścia. Już będąc w drzwiach, dodał:

— Aha, byłbym zapomniał. Rashid al-Malik przekazał mi, że przy wydobywaniu z jeziora czarnego oleju pracuje już dla ciebie ponad sto osób i że zanim umrze, musi przyjechać do Barcelony, aby podziękować, w imieniu swoim i brata, za wszystko, co ci zawdzięczają.

Pogrzeb

Posępny kondukt wyruszył z Cali przez bramę Castellnou i stamtąd, przecinając koryto rzeki Cagalell, skierował się na Montjuic. Kondukt nie był zbyt liczny, gdyż wiele żydowskich rodzin wolało trzymać się z daleka od Benvenistów. Dzwony obwieściły porę nony, a zatem dojazd na cmentarz i ceremonia nie mogły trwać dłużej niż cztery godziny, gdyż przed kompleką wszyscy Żydzi powinni być z powrotem w Cali. Dotarłszy do stóp wzgórza, zsiadli z wozów, by pokonać resztę drogi pieszo. Na przedzie szły wdowa i dwie zamężne córki zmarłego, obok nich rabin, który miał odprawiać modły, potem mężowie Estery i Batszewy, a następnie Eleazar Bensahadon i Aszer Ben Barcała, Eudald Llobet i Marti Barbany. W pewnej odległości za nimi kroczyli członkowie dalszej rodziny, a tuż za nimi dziesięć płaczek z potarganymi włosami, które rozrywały szaty i rozdrapywały sobie twarze, zanosząc się przejmującym monotonnym płaczem. Pochód zamykała grupa mężczyzn, którzy za życia byli prawdziwymi przyjaciółmi Barucha. Żałobnicy posuwali się powoli, gdyż była to bardzo uczęszczana droga. Napotykali wozy jadące do kamieniołomów, ludzi udających się pieszo lub konno do domów publicznych, grupy żebraków, którzy zagradzali drogę podróżnym, kupców wracających z resztkami towarów z tar-

gowiska w pobliżu murów... Całe to zamieszanie sprawiało, że musieli iść wolno. Pogarszała jeszcze sytuację kolumna odkrytych wozów zaprzężonych w ociężałe muły, wiozących ze stoczni amfory, wetknięte w bele słomy. Dołączyła ona do konduktu, zmierzając w kierunku jaskiń na wzgórzu, gdzie magazynowano czarny olej do oświetlania miasta. Dotarłszy w końcu do bram żydowskiego cmentarza, uczestnicy pogrzebu weszli na jego teren.

Uważny obserwator zauważyłby, że jadący w kolumnie zakryty wóz odłączył się od pozostałych i wjechał na cmentarz przez boczną bramę, zatrzymując się w pewnej odległości od grobowca, w którym miały spocząć szczątki bankiera. Ceremonia odbyła się pospiesznie, gdyż czas naglił, a ludzie wyczuwali, że nie jest to zwykły pogrzeb, lecz rozdzierające pożegnanie, które większość uczestników pragnęła mieć jak najszybciej za sobą. Oprócz żałobników na cmentarzu znajdował się mężczyzna, który, przywiązawszy konia do cyprysa, w naciśniętym na uszy kapeluszu czytał księgę psalmów przy sąsiednim grobie.

Po zakończeniu uroczystości Marti podszedł do ławki, na której odpoczywała wdowa po Baruchu w towarzystwie córek.

— Pani, jeśli zechcecie pójść ze mną, spotkacie kogoś, kto ulży waszemu cierpieniu.

Ryfka spojrzała na niego pytająco.

— Idźcie, matko — poradziła Batszewa.

Kobieta podążyła za Martim w kierunku stojącego nieopodal wozu. Gdy do niego dotarli, pomógł jej wspiąć się na górę.

Ujrzawszy córkę, Ryfka objęła ją bez słowa, zapominając o wszelkich urazach. Potem usiadły naprzeciwko siebie na bocznych ławkach wozu.

— Moja córko, w obliczu ogromnego nieszczęścia, które spadło na nasz dom, Jahwe w swym miłosierdziu obdarzył mnie przynajmniej łaską ujrzenia cię przed wyjazdem.

— Mnie też ona spotkała, a poza tym mogłam towarzyszyć ukochanemu ojcu w jego ostatniej podróży.

— Co się z tobą stanie, córko?

— Nie martwcie się, matko, muszę przyjmować to, co niesie życie.

— Jesteś jeszcze bardzo młoda i pragnęłabym mieć cię przy sobie, ale wiesz, że wdowa nic nie znaczy i zależę teraz od tych, którzy decydują o moim losie.

— Błagam was, matko, nie zdręczajcie się. Wiem, że pewnego dnia to wszystko minie i znów będziemy razem.

Lekkie drgnięcie plandeki oznajmiło, że Marti daje im znak.

Po chwili wsunął głowę przez szczelinę w płótnie.

— Ryfko, musicie wracać do waszych córek. Nie obawiajcie się o Ruth. Będę się nią opiekował tak dobrze jak wy. Wasz mąż mi ją powierzył i nie zawiodę jego zaufania. Od czasu do czasu powiadomię was, jak jej się wiedzie.

Kobiety znów się uściślały. Wysiadając z wozu, Ryfka zwróciła się do Martiego:

— Dziękuję w imieniu Barucha. Zawsze uważał was za najlepszego przyjaciela i muszę przyznać, że zasługujecie na dobrą opinię, którą o was miał.

Kiedy kobieta oddaliła się, z kozła rozległ się głos Jofrego.

— Mam już wracać, Marti?

— Tak, ale bądź ostrożny i nie jedź wprost do stajni. Niech Ruth wysiądzie na dziedzińcu, kiedy zamkną bramy. Potem niech służący zaprowadzi wóz do stoczni i zostawi w naszym doku.

— Nie martw się, tak się stanie.

Zanim ruszyli, zza brezentu dobiegł głos Ruth.

— Marti, kiedy odjadę, rozsyp to na grobie mego ojca, skoro mnie nie pozwalasz tego zrobić.

To powiedziawszy, wysunęła przez szczelinę w brezencie z tyłu wozu białą dłoń i podała Martiemu koszyk pełen płatków róż.



106

Zemsta

Mali hrabiowie mieli już niemal pięć lat. Nikt postronny nie wzięłby ich za braci. Byli jak awers i rewers tej samej monety. Ramón — wytworny, smukły i jasnowłosy — był łagodnym ekstrawertykiem. Natomiast Berenguer, krępy i posępny, miał trudny charakter, skłonność do lenistwa i nagłych ataków gniewu. Almodis starała się ich do siebie zbliżyć i chciała, żeby razem się bawili.

Tego ranka ataki złości Berenguera zakłócały jej spokój, gdyż bez przerwy bił się z bratem i wrywał mu zabawki. Głos Ramóna dźwięczał jej w uszach i nie mogła się skupić na lekturze brewiarza, który dostała w prezencie od swego spowiednika Eudalda Llobeta.

— Pani, Berenguer nie daje mi się spokojnie bawić!

Almodis, odłożywszy książkę na satynową poduszkę, próbowała po raz kolejny pogodzić braci. Berenguer, widząc reakcję matki, połamał jednym ruchem zabawkę, o którą się spierali.

— Tak się nie robi, Berenguerze... Szlachcic powinien umieć dzielić się tym, co ma, z równymi sobie.

— Zawsze przyznajecie mu rację! — zaprotestował chłopiec.

Almodis złagodniała.



— No dobrze, bawcie się w coś innego. Może w chowanego z Delfinem?

Bracia uwielbiali bawić się z karłem, bo dzięki jego sprytowi i pomysłowości nigdy się nie nudzili. Matka nie chciała, by się bili, próbowała więc zjednoczyć ich w rywalizacji przeciwko błaznowi.

Delfin, który mimo starań pałacowego lekarza, utykał z powodu kopniaka wymierzonego mu przez Pedra Ramóna, chciał wymigać się od zabawy. Nie miał ochoty biegać po pałacu, szukając nowej kryjówki, aby obaj bracia mogli go szukać.

— Pani, wybaczenie, ale moje biedne kości nie nadają się dziś do żadnego wysiłku, a grzbiet mam tak obolały, że nie potrafię się nigdzie ukryć. Poza tym te łobuzy znają wszystkie zakamarki w pałacu.

— Delfinie, potraktuj to jako rozkaz.

— Dobrze, skoro tak sobie życzyacie. Ale dajcie mi trochę czasu. Kiedy zadzwonią na Anioł Pański, a brakuje już niewiele, spuście charty. Nie wiem, gdzie podzięję moje nieszczęsne kości.

— Wyznaczę dla was wszystkich nagrodę. Jeśli chłopcy cię nie znajdą, Delfinie, otrzymasz jednego *mancuso*, a jeśli im się uda, oni go dostaną. Czas skończy się, gdy zasiądziemy do wieczerzy, muszą cię więc do tej pory odszukać.

Chłopcy byli rozemocjonowani.

— Przygotuj się, Delfinie! Już przegrałeś!

Bernat Montcusi umówił się ze swym informatorem w południe w Pałacu Hrabimskim, gdyż rankiem musiał wziąć udział w posiedzeniu *Curia Comitum*, zwołanym przez Ramóna Berenguera, w którym uczestniczyli wielcy wasale, a o tej właśnie porze planowano przerwę, by był czas na przemyślenia.

Przybywszy do pałacu, Luciano Santangel został wprowadzony na rozkaz doradcy do spraw finansowych do Sali Trofeów i Zbroi, usytuowanej w zachodnim skrzydle budynku, która zwykle była pusta, mogli więc spokojnie rozmawiać.

Odzwierny, który mu towarzyszył, przed zamknięciem drzwi oznajmił, że wielce czcigodny Bernat Montcusi przybędzie niebawem, gdyż niedawno zarządzono przerwę w posiedzeniu i teraz jego uczestnikom zostaną podane przekąski. Albinos, choć nawykły do odwiedzania zamków i pałaców w całej Septymanii, musiał przyznać, że hrabstwo Barcelony pod wieloma względami przewyższa rangą i klasą swych najbardziej nawet wyniosłych sąsiadów, zarówno na Półwyspie Iberyjskim, jak i na północy. Długi salon zdobiły zbroje, bojowe i turniejowe, które należały do przodków rodu Berenguerów. Na ścianach wisiały obrazy i broń, tarcze i skrzyżowane halabardy z różnych epok, a także kolczugi, rękawice, napierśniki i napleczniki. Światło wpadało do wnętrza przez sześć okien, między którymi znajdowało się tyleż rozmieszczonych symetrycznie zbroi: cztery kompletne i dwie złożone tylko z górnych elementów, stojące na podwyższeniach obitych drogim suknem, z hełmami w kształcie kaczego dziobu i opuszczonymi przyłbicami.

Albinos nie czekał długo. Drzwi nagle się otworzyły i do sali wpadł jak burza wyczerpany marszem królewski doradca, ocierając chusteczką z czoła krople potu i mówiąc przepraszającym tonem:

— Wybaczcie, drogi przyjacielu, przybywam spóźniony z powodu długiej przemowy hrabiego. Nie było dziś rano na posiedzeniu niczego, czym interesowałbym się bardziej niż waszymi wiadomościami, ale zatrzymały mnie obowiązki wynikające z mojej funkcji.

— Jestem waszym sługą i czas, który wam poświęcam, jest hojnie wynagradzany. Nie musicie nic wyjaśniać, ekscelencjo. Montcusi, nie tracąc czasu, poprowadził gościa do ławy w głębi sali, obok jednej z niekompletnych zbroi. Usiadłszy, Luciano zaczął rozmowę:

— Piękne miejsce. Szkoda, że prosty lud nie może podziwiać tych cudów.

— Te mury kryją historię naszego hrabstwa, ale nie ubolewaj-

cie, że nie ma tu wstępu pospólstwo, bo to go nie interesuje. Ludziom w głowie tylko jedzenie i spółkowanie. Ale skończmy z próżnymi dywagacjami i przejdźcie do rzeczy, bo nie mam zbyt wiele czasu.

Santangel wziął teczkę, która leżała przy nim, i wyjął z niej notatki.

— Zobaczmy, co tu mamy... Zachowajmy właściwą kolejność. Przede wszystkim chciałem sprawdzić osobiście, jakie znaczenie ma majątek, który nasz człowiek posiada w pobliżu Gerony i którym zarządza jego matka. Możemy powiedzieć, że są to zadbane grunty o powierzchni dwunastu lub trzynastu *feixas* i kilku *mundinas*, uprawiane przez dziesięciu do dwunastu dzierżawców i ich rodziny. Ziemia wygląda na starannie zagospodarowaną, a zebrane plony trafiają na jarmarki i targi do sąsiednich miejscowości. Mają tam stajnie, obory, chlewy i owczarnie z różnymi zwierzętami. Marti odwiedza często matkę, która podobno nie chce przyjeżdżać do Barcelony. Dobrze, przejdźmy teraz do jego interesów. Tu muszę wyznać, że mnie zaskoczył. Posiada ponad dwadzieścia statków, a pięć jest w budowie w stoczniach Barcelony, Iluro, Blanes i Sant Feliu. Wszystkim, co dotyczy floty, zajmuje się trzech kapitanów: jego dwaj przyjaciele z dzieciństwa, Jofre Ermengol i Rafael Munt, zwany Feletem, oraz Grek Basilis Manipoulos, który już nie wypływa w morze, tylko odpowiada za stocznie. Nasz człowiek ma powiązania, choć na razie nie wiem jakie, z Żydami z Cali, i importuje wiele produktów poza tym, który tak was interesuje, między innymi mirrę z Pelendri. Wysyła ją bezpośrednio do Kordoby i Granady, gdyż muzułmanie korzystają o wiele częściej niż chrześcijanie z kąpieli i perfum, których mirra jest głównym składnikiem. Żaden z tych produktów, z wyjątkiem czarnego oleju, nie dociera w obręb murów miasta. Uważa bardzo, by dokonywać transakcji tylko z *veguerem* i nie płacić podatków należnych waszemu *officium*.

Montcusi poruszył się niespokojnie na ławie.

— Mówcie dalej.

— Przejdźmy teraz do sprawy Żydów. Zapoznawszy się z wydarzeniami, które miały ostatnio miejsce w Barcelonie, i wiedząc o egzekucji dokonanej w minioną sobotę, zainteresowałem się pogrzebem *dajana*. Wynająłem konie dla siebie i trzech moich ludzi i zacząłem węszyć. Jak nakazuje logika, należało najpierw rozdzielić zadania tak, by móc obserwować całą ceremonię. Droga do Montjuic jest bardzo uczęszczana, bo korzystają z niej zarówno amatorzy rozrywek, jak i ludzie spieszący do pracy. Do tych pierwszych należą klienci domów publicznych znajdujących się po drugiej stronie koryta rzeki Cagalell, którzy o różnych porach wyładowują na dziwkach swe złe i dobre humory, do drugich — pracownicy kamieniołomów i odlewni, a także pracownicy chrześcijańskiego i żydowskiego cmentarza. Najbardziej zainteresowały mnie jednak wozy zaprzężone w muły przewożące czarny olej ze statków do jaskiń na górze, gdzie jest magazynowany, a potem do miasta, kiedy zamawia go *veguer*. Kondukt pogrzebowy, z krewnymi i przyjaciółmi zmarłego, wyruszył przez bramę Castellnou. Po chwili dołączyła do niego podążająca spod bramy Regomira karawana wozów załadowanych amforami o spiczastych spodach, które tak dobrze znacie. Zwróciło moją uwagę, że jeden z nich był przykryty plandeką, zasłaniającą jego wnętrze. Przybywszy na cmentarz, żałobnicy zaczęli niekończące się rytuały, którymi Żydzi żegnają swoich zmarłych. Uzbroiłem się w cierpliwość i czekałem w ukryciu, co się wydarzy. Nagle zauważyłem, że zakryty plandeką wóz oddzielił się od karawany i zatrzymał obok małego zagajnika. Wtedy zrozumiałem, że wjechał na cmentarz przez boczną bramę. Gdy pochowano skażenka i zakończono modły, nasz człowiek przywołał wdowę i zaprowadził ją do zakrytego wozu. Weszła pod plandekę i przebywała tam dłuższą chwilę. Zauważyłem, że w pogrzebie brały udział dwie córki powieszzonego z mężami, ale brakowało ich siostry. Jakież było moje zdziwienie, gdy po odejściu wdowy zobaczyłem, że spod brezentu wyłoniła się kobieca ręka i wręczyła Martiemu koszyk z płatkami róż, które ten rozsypał na świeżym grobie. Potem okazało się, że wóz zamiast wracać

zwykłą trasą, skierował się do miasta i wjechał na dziedziniec rezydencji Barbany'ego, po czym zamknięto za nim bramy. Następnego dnia przekupiłem jednego z sąsiadów, który ma gołąbnik, i siedząc wśród ptasich odchodów, między gruchającymi gołąbkami, mogłem obserwować ubraną w żydowski strój kobietę spacerującą między drzewami owocowymi w ogrodzie na tyłach domu w towarzystwie niemej i niewidomej dziewczyny. Zarządca zbladł.

— Jeśli to, co mówicie, jest prawdą, mam tego szaleńca w garści. Ośmielił się złamać rozkazy hrabiego.

— Nie spieszcie się zanadto, panie. Dopiero za dwie soboty mija termin wyznaczony wyrokiem i o ile ta Żydówka nie wyjdzie na ulicę o zabronionej porze, nie popełnia na razie żadnego wykroczenia, bo to, czy nocuje w Cali, czy nie, jest jedynie kwestią honoru jej krewnych i tylko oni mogą ją osądzać. Co innego, gdyby była mężczyzną, bo im nakazuje się przebywać w Cali po zapadnięciu zmroku. Ale jeśli po upływie wyznaczonego terminu Barbany nie każe dziewczynie opuścić miasta, będziecie mogli uważać, że macie go w garści jako współnika przestępstwa.

Bernat Montcusi uśmiechnął się perfidnie.

— Będę czekał na odpowiednią chwilę, jak orzeł na szczycie góry wyczekuje momentu, gdy jagnię oddali się od stada. Jeśli zdołam go schwytać, podwoję obiecane wam wynagrodzenie.

— Jestem waszym pokornym sługą.

— Teraz, aczkolwiek niechętnie, muszę przerwać tę interesującą rozmowę, ponieważ wzywają mnie obowiązki.

Wypowiedziawszy te słowa, doradca wstał razem ze swym gościem i skierował się do drzwi. Zanim je otworzył, dodał:

— Sądzę, że zajmiecie się teraz nawożeniem pól Barbany'ego w Emporda. Czyż nie mówią, że spalony las użyźnia ziemię?

— Podobno.

— A więc, bez wątpienia, następne zbiory będą znakomite. Odwiedźcie mnie jutro wieczorem w moim domu. Otrzymacie od majordoma materiały, które ułatwią wam zadanie. Dobrze,

drogi przyjacielu, tu się rozstaniemy. Nikt nie powinien widzieć nas razem. Zaczekajcie chwilę, zanim wyjdziecie.

Gdy tylko wyszli, zza przyłbicy jednej ze zdobiących salę niekompletnych zbroi wychylił się oniemiały Delfin. Zeskoczywszy z podwyższenia, czekał, aż krew znów zacznie płynąć w jego żyłach, gdyż niekontrolowane drżenie jego drobnych nóżek, tak długo zgiętych, uniemożliwiało mu chodzenie.

107

Podstęp

Eudald, który nigdy nie był uciążliwym gościem, zjawił się w domu Martiego bez uprzedzenia i o niestosownej porze, kiedy zwykle odmawiał już laudes. Majordom Andreu Codina, gdy tylko się o tym dowiedział, wyszedł mu niezwłocznie na spotkanie i zastał księdza przemierzającego wielkimi krokami ogromny westybul.

- Ojcie Llobecie, czy coś się stało?
- Wiele rzeczy i nic dobrego. Jest wasz pan?
- Don Marti jest w swoim gabinecie...
- Muszę natychmiast się z nim zobaczyć!
- Lepiej przejdźcie do głównej sali na piętrze, tam zaczekacie.

Duchowny podążył za majordomem korytarzami, które tak dobrze znał, i znalazłszy się w salonie, czekał na przyjaciela.

Ten zjawił się natychmiast, wyraźnie zaniepokojony nowinami, które przekazał mu majordom.

- Co się dzieje, Eudaldzie? Jakaż to poważna sprawa spowodowała was o tej porze do mego domu?

— Masz rację, to coś bardzo poważnego... Ale lepiej usiądźmy, bo wyjaśnienia mogą zająć dużo czasu, a z pewnością będziesz domagać się ode mnie szczegółów.

Mężczyźni usadowili się obok wygaszonego kominka. Marti, bardzo zdenerwowany, przysiadł na krawędzi mauretańskiego kufra.

— Słucham was, Eudaldzie. Mówcie, siedzę jak na rozżarzonych węglach.

— Poczujesz się tak dopiero, gdy ci wszystko opowiem.

— Tym bardziej nie zwlekaj.

— Dobrze, zacznę od początku.

Marti zamienił się w słuch.

— Jak dobrze wiesz, naszym życiem rządzi przypadek, w którym ja widzę zawsze rękę opatrności i dziś po południu miałem tego wyraźny dowód.

— Proszę, nie traćcie czasu na wstępy.

— Dziś po obiedzie zostałem wezwany do pałacu przez hrabinę. Znać ją, jest kapryśna i nieprzewidywalna, i kiedy wpadnie na jakiś pomysł, wszyscy musimy być na jej usługi.

Marti skinął głową.

— Gdy wyszedłem ze spotkania, którego treść cię nie dotyczy ani nie należy do sprawy, zatrzymał mnie Delfin, błazen hrabiny odgrywający jednak moim zdaniem dużo ważniejszą rolę. Hrabstwo będzie mu kiedyś wdzięczne za przysługi, które wyświadcza dyskretnie, by miastem lepiej rządzono. Nie wiem, czy to z powodu drobnej postury, czy też dzięki łatwości wtapiania się w otoczenie, jest z pewnością najlepiej poinformowaną osobą na dworze. Zaprowadził mnie do małej komnaty tuż obok gabinetu Almodis i opowiedział dziwną historię.

Marti słuchał uważnie swego przyjaciela i dobroczyńcy.

— Dziś rano, na rozkaz hrabiny, bawił się z hrabiątkami w chowanego i ukrył się za jedną ze zbroi, które zdobią pałacową salę. Musiał czekać, aż znajdą go przed obiadem, a gdyby im się nie udało, wygrałby monetę, za pomocą której hrabina zachęcała dzieci do rywalizacji. Tkwił tam w dość niewygodnej pozycji, kiedy do salonu wprowadzono osobnika o, jak mi zrelacjonował, niepokojącym wyglądem — albinosa o jasnozielono-

nych, niemal przezroczystych oczach, którego nigdy przedtem nie widział w pałacu. Wkrótce pojawił się doradca do spraw aprowizacji, okazując mu szczególne względy. Usiedli obaj obok zbroi i dzięki swemu dobremu słuchowi, nawykłemu do wychwytywania słów zza kotary, błazen usłyszał, o czym mówią.

Archidiakon zrelacjonował przyjacielowi szczegóły rozmowy.

— Niestety, Delfin nie słyszał wszystkiego, gdyż w pewnym momencie obaj mężczyźni wstali i podeszli do drzwi. Zdajesz sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie ci grozi?

Marti pojął w jednej chwili, jakie konsekwencje wynikają z faktu, że jego nieprzyjaciel wie o wszystkim.

— Tak, jestem tego świadomy.

— Jedyna korzyść w tym, że on nie wie, iż ty wiesz.

— Ja się go nie boję, choć przyznaję, że to podstępny wróg...

Ale martwię się o Ruth.

— Głównie o niej myślałem, przybywając do ciebie tak po spiesznie.

— Trzeba się zastanowić, jaka broń nam pozostała.

— Już to rozważyłem.

— I co powiecie?

— Rozpatrzmy wszystko po kolei. Jeszcze przez prawie dwa tygodnie Ruth nie grozi oskarżenie o łamanie prawa. Mamy zatem czternaście dni, aby znaleźć jakieś rozwiązanie. Kiedy wyrok nabierze mocy, pozostaną jej tylko dwa wyjścia. Nadążasz za mną?

— Jak najbardziej, mówcie.

— Po pierwsze, może udać się na wygnanie razem z matką.

— Zapomnijcie o tym. Rodziny mężów jej siostr nie życzą sobie, by z nimi mieszkała, ani ona nie chce wyjeżdżać.

— Druga opcja jest nieco trudna do wyjaśnienia.

— Im szybciej zaczniecie, tym szybciej skończymy.

— Gdyby Ruth przyjęła naszą wiarę, choćby fikcyjnie, i wyszła za chrześcijanina, byłaby chrześcijanką i należała do rodziny męża, a zatem wyrok by jej nie dotyczył.

Marti zrozumiał natychmiast, co Llobet sugeruje.

— Przysięga, którą złożyłem Baruchowi, uniemożliwia takie rozwiązanie.

— Chyba że cię z niej zwolnię, aby uniknąć większego zła. Mam przede wszystkim obowiązek ocalić Ruth. Twoją przysięgę można unieważnić. Jeśli tego nie uczynimy, dziewczyna będzie musiała udać się na wygnanie albo zostanie uwięziona...

— A co mówi wasze wrażliwe sumienie na temat łamania prawa i naruszania zasad, które wyznajecie?

— Robię to ze świadomością, że chodzi o fikcyjne nawrócenie. Zagram tę komedię i ochrzczę ją, by ocalić jej życie i móc zrealizować resztę planu. W zaistniałej sytuacji wszystkim wam grozi niebezpieczeństwo.

— O jakiej reszcie planu mówicie?

— To oczywiste, że powinieneś ją poślubić, zanim wyrok nabierze mocy. Gdy będzie twoją żoną, nie grozi jej wygnanie. Znasz prawo. Żydówka, która się nawróci i wyjdzie za chrześcijanina, jest uważana za chrześcijankę i nie podlega żadnym prawom, rozkazom ani wyrokom dotyczącym wspólnoty żydowskiej. Musicie spełnić tylko jeden warunek.

— Jaki?

— Prawo żydowskie nie uznaje małżeństwa, dopóki nie zostanie ono skonsumowane. Dlatego nie powinieneś z nią sypiać. W ten sposób nie popełnisz wykroczenia przeciw żadnej z dwóch religii i nie złamiesz przysięgi, którą złożyłeś Baruchowi. Kiedy burza ucichnie, będziesz mógł się z nią rozstać pod pretekstem, że odmówiła spania z tobą w jednym łóżku. W ten sposób oboje pozostaniecie wolni.

Marti zamyślił się na chwilę.

— Z mojej strony nie ma żadnych przeszkód, Eudaldzie, ale musimy mieć jej zgodę.

— Nie martw się, porozmawiam z Ruth. Ty się zgadzasz?

— Oczywiście.

— Zatem zwalniam was od tej chwili z przysięgi i proszę,

byście ją poślubili jako rzekomo nawróconą, pozwalając jej kontynuować w waszym domu żydowskie rytuały. Zajmijmy się teraz pilnie tą sprawą. Potem niech Bóg decyduje...

Tej samej nocy Llobet spotkał się z dziewczyną pod kolumnadą tarasu na drugim piętrze, na który wychodziły okna wszystkich głównych sypialni. Po śmierci ojca Ruth wyraźnie schudła. Odziana w białą suknię, wyglądała jak zjawą. Eudald czekał na nią, siedząc na jednym z lekkich krzeseł na tarasie widokowym, świadomy ciężkiej na nim odpowiedzialności, pewien jednak, że postępuje słusznie, gdyż jego pierwszą powinnością było kochać bliźniego, a to, co zamierzał, choć raniło jego sumienie, stanowiło jedyny sposób, by ocalić tę bezbroną istotę, z którą tak okrutnie igrało przeznaczenie. Księżyc, otoczony mglistą aureolą, miał być niemyym świadkiem rozmowy zmieniającej życie dwojga ludzi.

Dziewczyna podeszła do niego i głosem ochrypłym od płaczu spytała:

— Kazaliście mnie wezwać?

— Tak, Ruth. Usiądź przy mnie i posłuchaj uważnie.

Ksiądz, który znał ją od czasu, gdy raczkowała w ogrodzie między nogami ojca, nadal mówił jej po imieniu.

— Bardzo źle wyglądasz, Ruth. Ojciec nie chciałby widzieć cię w takim stanie.

— Mój ojciec, don Eudaldzie, nie może mnie już zobaczyć.

— Oczywiście, ale uznał za swój obowiązek przekazać ci swoją ostatnią wolę i jego życzeniem było, zanim wyzionął ducha, byś ty żyła.

— Nic na to nie poradzę. Wciąż przypominam sobie, ile razy przysparzałam mu trosk, i oddałabym pół życia, by móc z nim chwilę pomówić. Nie byłam dobrą córką, ojcze, i chociaż mi wybaczył, wiem, że nie odwzajemniałam miłości, którą mnie darzył.

— On, choć w to nie wierzysz, patrzy na ciebie z za tego

księżycyca i aby sprawić mu radość, powinnaś czynić to, co ci przykazał. Poza tym powinnaś brać pod uwagę coś jeszcze: bezpieczeństwo Martiego.

Na dźwięk tego imienia dziewczyna ożywiła się i w jej oczach pojawiło się zainteresowanie, którego przedtem nie okazywała.

— Słucham was.

— Po pierwsze, Marti poszedł po klucz od tego domu, jak prosił go twój ojciec. — Archidiakon odetchnął głęboko i ciągnął: — Widzisz, Ruth, wszystko jest bardzo skomplikowane. Z jednej strony niewątpliwie musimy chronić twoje życie, a z drugiej Marti pamięta o przysiędze, którą złożył przed śmiercią twemu ojcu.

— Nie rozumiem, o czym mówicie.


Po chwili Eudald opowiedział jej szczegółowo o spisku, który wykrył Delfin, o grożącym jej niebezpieczeństwie i o tym, co uknuli z Martim.

Ruth, z wyrazem twarzy, jakiego ksiądz nigdy przedtem u niej nie widział, odparła:

— Posłuchajcie, ojcze Llobet. Czy Marti wspomniał wam, że mój ojciec rozmawiał ze mną przed śmiercią w cztery oczy? Nigdy nie zapomnę jego słów. Powiedział, że przyjmuje z pokorą swój los, bo w głębi duszy wie, że postępował uczciwie, i prosił, żebym zawsze, cokolwiek się zdarzy, czyniła tak samo. — Ruth przerwała i jej oczy napęłniły się łzami. — A więc dobrze, powiem wam coś, o czym wasze serce z pewnością wie od dawna. Odkąd pierwszy raz ujrzałam Martiego, żyję tylko po to, by kochać, marzę o nim we śnie i na jawie, czy jest blisko, czy nie. Wiem, że takie rzeczy rzadko się zdarzają, zwłaszcza gdy jest się małą dziewczynką, ale mnie się przytrafiło i to się już nie zmieni. Marti jest całym moim życiem, moją gwiazdą przewodnią i celem istnienia. Teraz proponujecie, bym wobec ludzi była jego żoną. W innych okolicznościach stanowiłoby to spełnienie wszystkich moich marzeń...

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Twarz Ruth jaśniała urodą, a jej głos brzmiał stanowczo.



— Nie zamierzam ukrywać prawdy, ojciec Llobet. Jeśli Marti mnie kocha i chce pojąć mnie za żonę, będę najszczęśliwszą kobietą na świecie, ale nie zgodzę się na fikcyjne małżeństwo, choćbym z tego powodu musiała się z nim rozstać. Poza tym nie chcę, by zarzucono mi, że łamię prawo, ukrywając banitkę, a za kilka dni nią będę...

— Ruth, zastanów się dobrze...

— Nie ma nad czym, ojciec. Powzięłam już decyzję. Ale proszę was o ostatnią przysługę: rodzina się mnie wyrzekła, a nie chcę być ciężarem dla sióstr ani dla nikogo innego. Nie zamierzam wyznawać nadal wiary, w której zostałam od rzucona. Taka jest prawda i wiem, że mój ojciec by to za akceptował. Ochrcijcie mnie.

Ojciec Llobet zgodził się. Drżała mu ręka, a serce ścisnęło podziw dla odwagi dziewczyny.

Tego popołudnia, zanim Marti wrócił z pracy, szczupła Ruth, ubrana na czarno, opuszczała dom na placu w pobliżu Sant Miquel w towarzystwie zacnego księdza.

Marti dotarł do domu, spodziewając się zastać tam księdza i dowiedzieć się od niego, co uzgodnił z Ruth. Tymczasem przygnębiony Omar oznajmił mu, że Ruth wyszła, ksiądz zaś zostawił wiadomość, by się nie martwił, bo wieczorem wszystko mu wyjaśni. Nim otrząsnął się z zaskoczenia, jego rozmyślenia przerwał zmieniony głos Andreu Codiny.

— Panie, przybył posłaniec z Empuries. Zanim spadł ze mdlony z konia, zdążył przekazać nowiny.

— I co powiedział? Na Boga, Andreu!

— Panie, podobno spalono wasz dom w Geronie. Mateu nie żyje, a wasza matka jest w ciężkim stanie z powodu zaccadzenia.

Pożegnanie

Galopując dzień i noc i zmieniając po drodze konie, dotarli do *masii* Barbany'ego wieczorem następnego dnia. Marti jechał przodem, a za nim Llobet i Jofre. Poczuli zapach dymu i spalonej ziemi dużo wcześniej, niż ich oczy ujrzały ze wzgórza pogorzelsko. Spłonęły wszystkie zabudowania: stajnie, spichlerze, stolarnia, chlewy i, co najgorsze, dom. Okoliczne lasy jeszcze dymiły, a w oddali widniała jedyna ocalała budowla. Wbijając bezlitośnie ostrogi w boki konia, Marti popędził w jej kierunku. Powitało go szczekanie psa. Niemal nie zatrzymując konia, zeskoczył z siodła i pospieszył do drzwi. Gdy zastukał parę razy kołatką, przez wizjer spojrzwały na niego nieufnie przerażone oczy jednego z dzierżawców. Zgrzyt odsuwanych pospiesznie zasuw i rygli świadczył o tym, że został rozpoznany.

— Gdzie jest moja matka, Manelu?

— Na górze, panie, leży w naszej sypialni. Moja żona, dzieci i ja przenieśliśmy się na zewnątrz.

Marti pokonał kilkoma skokami pięć schodków prowadzących na pierwsze piętro i zajrzawszy do jedyne go pokoju, zobaczył leżącą na skromnej pryczy kobietę z rozrzuconymi na poduszce siwymi włosami. Była niemal nie do rozpoznania. Z trudem łapała powietrze.

Wszyscy tłoczyli się w drzwiach. Marti uklęknął przy niej i ująwszy jej rękę, która zwisała z pryczy, spytał cicho:

— Co wam zrobili, matko, co wam zrobili?

Kobieta uniosła powieki i odwróciła głowę w kierunku syna, próbując skupić wzrok na jego twarzy.

Na jej spierzchniętych wargach pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu.

— Wiedziałam, że przyjedziesz, Marti. Teraz już mogę umrzeć.

— Nikt tu nie umrze, matko.

Zamilkła, a kołdra poruszała się od jej ciężkiego oddechu.

Lekki uścisk ręki konającej matki oznajmił Martiemu, że chce mu coś powiedzieć.

— Zjawilo się tu sześciu lub siedmiu zakapturzonych mężczyzn... Przyjechali w środku nocy... Byli na koniach i trzymali w rękach zapalone pochodnie... Dwaj rozlewali płyn z amfor, a pozostali podkładali ogień... Jeden z nich wyglądał jak szatan... Rozpętało się istne piekło... Tym, którzy przybyli z pomocą, nie udało się ugasić pożaru ani wodą, ani gałęziami... To było straszne... Dach stajni runął na biednego Mateu, który wszedł do środka, by wypuścić zwierzęta...

Nagły atak kaszlu nie pozwolił jej mówić dalej.

— Matko, widziałaś twarz któregoś z nich, coś, co naprowadziłoby mnie na ślad sprawców?

— Oczy, Marti... Oczy człowieka, który nimi dowodził... Zsunął mu się kaptur... Były jasnozielone, niemal przezroczyste... Włosy miał jaśniejsze od lnu... I ospowatał twarz... Sprowadź szybko księdza, mój synu, czeka mnie spotkanie z Bogiem i nie chciałabym się spóźnić.

Usłyszawszy te słowa, ojciec Llobet, który czekał w progu, przecisnął się w kierunku łóżka i nakazał gestem wszystkim obecnym, by wyszli. Marti zrobił mu miejsce i stanął dyskretnie z boku. Ksiądz usiadł na krawędzi łóżka konającej i wziął ją za rękę. Pytające spojrzenie kobiety upewniło Eudalda, że mimo upływu czasu rozpoznała go.

— Widzicie, Emmo, za sprawą Pana nasze drogi znowu się zeszyły.

— Dzięki, że przez tyle lat opiekowaliście się moim dzieckiem.

— Wasz zmarły mąż opiekował się mną dużo lepiej. Staram się tylko spłacić dług.

— Spotkam się z nim, o ile nie jest w piekle.

— Tam nie ma nikogo. Piekło istnieje, ale jest puste. Pan, który darzy swe dzieci nieskończoną miłością, nie pozwala, by którakolwiek owca się zgubiła.

Kobieta oddychała z coraz większym trudem.

— Udzielę wam rozgrzeszenia.

— Nie wyznałam wam moich grzechów.

— Nie macie żadnych.

— Mam, ojcze. Bardzo nienawidziłam.

— A któż tego nie robił, moja córko?

Emma niemal traciła oddech.

Zamknęła oczy, gdy Eudald udzielał jej rozgrzeszenia. Marti podszedł do niej z drugiej strony i ujął jej prawą dłoń. Matka przez chwilę skupiła na nim wzrok.

— Bardzo chciałabym odchodzić z tego świata, widząc u two go boku kobietę, która dałaby mi wnuki.

Właśnie w tym momencie Marti nabrał całkowitej pewności, że jest na świecie tylko jedna kobieta, z którą chciałby mieć dzieci. Ale Ruth, jak wyjaśnił mu Llobet podczas postoju w drodze, nie przyjęła propozycji fikcyjnego małżeństwa i opuściła jego dom, by nie narażać go na niebezpieczeństwo.

Konająca szepnęła: „Niech Bóg cię błogosławi”, i zamknawszy oczy, nie powiedziała już ani słowa. Odetchnęła tylko głęboko, po czym na jej twarzy odmalował się bezgraniczny spokój.

Marti wstał i jego wzrok przeraził Eudalda.

— Przysięgam na Boga, że winien tej zbrodni zapłaci życiem!

Eudald wpatrywał się w niego zmieszany. Ksiądz walczył w nim z wojownikiem.

— Nie powinieneś, Marti, żyć nienawiścią. Zemsta nie jest miła Bogu.

— To nie zemsta, Eudaldzie, tylko sprawiedliwość. Poza tym Biblia mówi: „Oko za oko, ząb za ząb”.

— Ojciec Llobet ma rację — odezwał się Jofre stojący z tyłu. — Ludzie morza mawiają: „Są marynarze żywi i martwi, roztropni i zuchwali; nie ma jednak żywych i zuchwałych”. Pozwól, Marti, by martwi grzebali martwych. Twoja matka połączyła się już z twoim ojcem i niech odpoczywa w pokoju.

Następnego dnia, gdy pochowali Emmę i starego Mateu na cmentarzu obok kościoła w Castelló d'Empuries, Marti chciał obejrzeć pogorzelnisko. Wśród szczątków dawnej stajni znalazł fragment jednej z fajansowych amfor, w których przewoził przez ocean czarny olej. Była na niej data i jego godło.

— Eudaldzie, oto niezbity dowód, kto za tym stoi. Tylko dwie osoby mają tego typu amfory: on i ja. Gdy tylko dotrę do Barcelony, umówcie mnie, jeśli jesteście moim przyjacielem, na rozmowę z hrabiną. Chcę pokazać wszystkim dwulicowość doradcy hrabiego i postawić go pod pręgierzem.

— Spełnię twoje życzenie, ale powtarzam, że to groźny wróg.

— Jeśli nie zrobię tego dla matki, Lai, Barucha... nie będę mógł uważać się za mężczyznę. Powiedzieliście mi, że szanujecie decyzję Ruth, bo powzięła ją w zgodzie ze swoim sumieniem. Ja również.

— Niech będzie, jak chcecie.

Odwiedziwszy notariusza, by podzielić ziemię swojej matki między ludzi, wśród których żyła, Marti wrócił razem z dwoma przyjaciółmi do Barcelony. W jego sercu gościły dwa uczucia. Miłości do Ruth, której był już teraz pewien, i pragnieniu, by została jego żoną, towarzyszyła zapiekła nienawiść do człowieka, który w ciągu całego życia wyrządził mu najwięcej szkód: doradcy hrabiego, Bernata Montcusiego.

109

W pałacu

W przedsionku nikt nie czekał. Odźwierny wprowadził gościa zapowiedzianego przez spowiednika wszechwładnej Almodis. Martiemu przeszły ciarki po plecach. Działo się tak zawsze, gdy odwiedzał hrabinę.

Po krótkiej chwili otworzyły się boczne drzwi i stanęła w nich korpulentna postać księdza.

— Możecie wejść, hrabina wyraziła zgodę.

Marti wstał i zabrawszy z ławy pelerynę, podążył za swym protektorem. Podczas gdy przemierzali wąski korytarz, prowadzący do prywatnego gabinetu Almodis, Eudald przekazał mu instrukcje.

— Pamiętaj, musicie mówić krótko i zwięźle. Nie odzywaj się pierwszy, a kiedy hrabina o coś zapyta, odpowiadaj wprost. Powie „tak” albo „nie”, w żadnym wypadku nie powinieneś nalegać, a przede wszystkim nie próbuj jej schlebiać. Nie cierpi dworzan, którzy to robią.

— Nie bójcie się, to nie mój styl. Nie schlebiam hrabinie ani nikomu innemu.

— Jeszcze jedno, choćby to sugerowała, nie mów, że powie działał wam coś jej błazen. Delfin pokazał mi przy wejściu wymowny gest. Nie zdradz go. Stracilibyśmy sojusznika.

Tak rozmawiając, dotarli do niewielkich drzwi zamaskowanych w obitej tkaniną ścianie gabinetu.

Eudald wszedł pierwszy, Marti za nim.

Hrabina Almodis, w otoczeniu swego niewielkiego dworu, odpoczywała po obiedzie, słuchając, jak Lionor gra na cytrze, podczas gdy błazen bawił się z pudlem, a dofia Brigida i dona Barbara grały z zapalem w szachy.

Na dyskretny znak księdza Marti zatrzymał się w stosownej odległości od hrabiny i obaj czekali, aż ucichnie muzyka i Almodis raczy zwrócić na nich uwagę.

Cytra umilkła i hrabina, jakby nie zauważając, że ma gości, zwróciła się do karła, co zwykła robić, by wprawić w zakłopotanie ludzi, którzy przychodzili ją o coś prosić.

— Delfinie, czy naprawdę nie możesz zostawić tego psa w spokoju, kiedy słucham muzyki?

Garbus, drwiący i uszczypliwy jak zawsze, odparł:

— Powiedźcie to psu. To on mnie prowokuje. Spodobały mu się moje łydki i jeśli nie będę się bronił, mogę zginąć. Dla was to może salonowy piesek, ale przy mojej posturze jest jak wilk.

— W porządku, więc teraz moje damy, ty i wilk zostawicie mnie samą. Muszę pomówić z moim spowiednikiem i panem Barbany.

Wszyscy wyszli i gdy drzwi się zamknęły, zapadła głęboka cisza, celowo sprowokowana przez hrabinę, która chciała się przekonać, jak zachowują się jej goście.

Kilka chwil później zwróciła się do nich, jakby była zdziwiona obecnością obcych osób w swojej sypialni.

— Cóż za miłe spotkanie! Witajcie, Marti Barbany. Ojciec Llobet zawsze potrafi mnie zaskoczyć. Co was sprowadza przed moje oblicze?

— Ośmieliłem się wam przeszkodzić, aby domagać się sprawiedliwości, gdyż prędzej czy później przyniesie to korzyści hrabiemu — zaczął Marti.

— Nie mówcie zagadkami, bo ich nie lubię, i nie każcie mi snuć domysłów. Lepiej dla wszystkich, żebyście przeszli do rzeczy.

Marti zaklął w duchu, że zapomniał o jednej z podstawowych zasad, o których powiedział mu Llobet.

— Dobrze, pani. Są na dworze ludzie, którzy dbają bardziej o własne sprawy niż o dobro Barcelony.

— Nie mówicie mi nic nowego — odparła z uśmiechem hrabina. — Dobrze wiem, że róże w ogrodzie mają kolce, a w owocach są robaki.

— Bardzo stosowne porównanie. Problem polega na tym, że osoba, o której mówię, jest bardzo blisko hrabiego, a ośmielam się twierdzić, iż nie stanowi wzoru dobrego i lojalnego doradcy.

Almodis odpowiedziała powoli i z naciskiem:

— Na dworze, mój panie, są lojalni poddani i oszuści. Dobrze wiem, kto jest moim przyjacielem i zwolennikiem, a kogo muszę znosić, ponieważ sprawia przyjemność hrabiemu, schlebując mu. Nie wszystkich lubię, z jednymi przebywam chętnie, innych toleruję. Ale nawet ja muszę uważać z oskarżeniami. Nie będę na tyle nieostrożna, by pozbawiać mojego dostojnego męża ulubionej zabawki. Jeśli macie jakieś konkretne zarzuty, mówcie.

Eudald rzucił Martiemu krótkie i wymowne spojrzenie.

— Doradca do spraw aprowizacji służy hrabstwu na tyle, na ile ma z tego korzyści, i nie przebiera przy tym w środkach. Oskarżam go o podpalenie *masii* będącej moją własnością, spowodowanie śmierci mojej matki i wiernego sługi, a także do prowadzenie do samobójstwa jego pasierbicy.

Almodis utkwiała w twarzy Martiego zielone oczy.

— To poważne zarzuty i musicie mieć dowody, zanim ogłosicie je publicznie.

— To jeszcze nie wszystko, ale nie chcę obarczać was moimi problemami.

— Przyszliście rozmawiać, więc mówcie.

— Dobrze. Oślepił wyzwoloną niewolnicę i obciął jej język, nie mając do tego prawa. Czerpie zyski z wydawania zezwoleń na handel, kierując ogromne sumy do swojej kieszeni.

Po kolejnej długiej przerwie hrabina spytała:

— Czego ode mnie oczekujecie?

— Pozwólcie, bym mógł publicznie go oskarżyć, a przede wszystkim w obecności ludu.

— Tego nie wolno mi zrobić. Jako doradca hrabiego nie może zostać pozwany przez poddanego.

— Zatem złoczyńcy są chronieni, jeśli mają władzę?

— Niezupełnie, ale gdyby pospólstwo mogło procesować się z doradcami, robiłoby to z zawiści i zemsty. Podobnie jak plebejusz nie może oskarżyć szlachcica, doradcę może pozwać tylko inny doradca. Tego prawa nie da się ominąć.

— Bernat Montcusi jest obywatelem Barcelony, a wy przyznaliście mi taką samą godność.

— Co sugerujecie?

— Że zgodnie z prawem, o którym mi mówicie, obywatel powinien móc wnieść pozew przeciwko drugiemu obywatelowi.

— Nie, jeśli ten jest wyższy rangą.

— Zatem, pani — odrzekł Marti twardo — pozwólcie mi powiedzieć, że prawo, które nie broni słabszych, nie jest prawem.

— Słowo daję, że jesteście uparci, Marti Barbany.

— Kieruję się rozumem i Biblią.

— Być może istnieje rozwiązanie, ale jest dość ryzykowne...

— Nie boję się ryzyka.

Almodis nakazała mu spojrzeniem, by się opanował.

— Otóż obywatel może wytoczyć przeciwko innemu obywatelowi, nawet wyższemu rangą, *litu honoris*.

— Na czym to polega?

— To publiczna dysputa, podczas której pokrzywdzony stawia zarzuty pozwanemu, ale, jak sama nazwa wskazuje, chodzi wyłącznie o obronę honoru obu stron — wyjaśnił Eudald.

— Dlaczego obu?

— Ponieważ pozwany może nie tylko się bronić, ale ma również prawo oskarżać.

— A zatem obaj są w takiej samej sytuacji?

— Nie, Marti. Pozwany może wysuwać oskarżenia jedynie we własnej obronie i muszą one dotyczyć kwestii, z którymi wystąpił pokrzywdzony.

— Zastanówcie się dobrze, czy wam to odpowiada — dodała Almodis. — Gdyby nawet udało mi się przekonać męża, co jest mało prawdopodobne, możecie sromotnie przegrać. Bernat Montcusi ma sławę wytrawnego polemisty i jest dość dobrze poinformowany.

Marti zastanawiał się przez chwilę.

— A jaka kara mu grozi, jeśli dowiodę, że moje zarzuty są uzasadnione?

Eudald wyjaśnił:

— Tylko hrabia może stwierdzić, za radą sędziów, czy pozwany skłamał i splamił swój honor. Gdyby tak było, jedyną karą jest czasowe wygnanie i wyrównanie szkód wyrządzonych hrabiemu.

— To, co wam proponuję, ma duże znaczenie — zaznaczyła Almodis. — Plama na honorze doradcy oznacza hańbę, która zamyka mu drogę do zaszczytów i stanowisk.

— Organizuje się publiczną rozprawę — podjął Eudald. — Mogą w niej brać udział wszyscy dorównujący stanem stronom procesu. Szlachta zajmuje jedno podium, kler drugie, a obywatele Barcelony trzecie. Hrabia i trzech sędziowie przewodniczą posiedzeniom, które trwają wiele dni, aż wreszcie trybunał zamyka sprawę.

— Nadal chcecie, bym poprosiła męża o zgodę na proces?

— Nie tylko tego pragnę, ale nigdy wam nie zapomnę tej łaski.

— Zważcie, mój przyjacielu, że każdy kij ma dwa końce.

Doradca podczas *litis honoris* może okazać się strasznym przeciwnikiem, a sprawa wzbudzi ogromne zainteresowanie. W ciągu całego życia byłam świadkiem tylko jednej takiej dysputy. Zapewniam was, że proces sparaliżuje miasto.

— Pani, do tego dnia nie spocznę.

— Zatem niech będzie, jak chcecie. Ale muszę powiedzieć, że jeśli wasze życzenie się nie spełni, nie będę już mogła przyjąć was na audiencji.

— Jeśli nie sprawię, by doradca okrył się hańbą, opuszczę to błogosławione miasto i nie będzie miało dla mnie znaczenia, gdzie pochowają moje kości.

Przygotowania do publicznej rozprawy

Krzyki doradcy hrabiego do spraw rynków słychać było przez ściany. Przeżony Conrad Brufau siedział w napięciu przy stole w przedsiönku, bo gdyby został nagle wezwany i nie zjawił się natychmiast, oberwałby nie wiadomo za co.

Rozległ się natarczywy dźwięk dzwonka i sekretarz wszedł pospiesznie do gabinetu.

— Wzywaliście mnie, panie?

— Przecież dzwonię, głupcze! Nie słyszysz?

— Natychmiast przyszedłem, panie.

— Przynieś mi wszystkie zezwolenia, które wydałem Martiemu Barbany, aby mógł otworzyć swój przeklęty magazyn, wszystkie prolongaty, dokumenty transakcji wymagających mojej zgody, i rejestr jego wizyt. Muszę skończyć z tym parweniuszem.

Brufau dobrze znał swego zwierzchnika i wiedział, kiedy ma ochotę rozmawiać.

— Czy coś się stało?

— Pytasz, czy coś się stało? — Doradca przemierzał wielkimi krokami gabinet. — Ten prostak miał czelność zażądać od hrabiego *litis honoris* przeciwko mojej osobie, co jest haniebné. Ale, co najgorsze, hrabia się zgodził.

— Jak to możliwe?

— Jestem pewien, że stoi za tym hrabina, bo to ona naprawdę tu rządzi.

— Cóż za zdumiewająca niewdzięczność!

— Widzisz, Conradzie, karm kruki, a wydziobią ci oczy.

— W ciągu całego życia tylko słyszałem o tym prawie, gdy Mir Geribert wiódł spór z klasztorem w Sant Cugat, ale nigdy nie sądziłem, że w dzisiejszych czasach nadal obowiązuje.

— Owszem, i teraz ma być zastosowane wobec najwierniejszego i najbardziej oddanego sługi hrabiów. Ale przysięgam, że ten zuchwały i bezczelny głupiec przegra z kretelem i nie spocznie, dopóki nie wygnam go z Barcelony. I pomyśleć, że niemal się zgodziłem, by został moim zięciem! Poszukaj Luciana Santangela i powiedz mu, że muszę natychmiast się z nim widzieć.

Wieść rozeszła się po mieście lotem błyskawicy. Proces miał się zacząć trzeciego lutego, tuż po porze tereji, i trwać aż do skutku. Publiczne *litis honoris* było nie lada wydarzeniem. Mówiono o tym wszędzie, w salonach rezydencji, w komnatach pałacu i na targowisku. Ponieważ chodziło o dwie znane osobistości, natychmiast powstały dwa stronnictwa. Martiego kochano i szanowano, gdyż mieszkańcy miasta zawdzięczali mu dobrobyt i wiele niewątpliwych korzyści: młyny dostarczające wodę do Barcelony, magazyn ułatwiający życie kobietom, a przede wszystkim oświetlenie zapewniające nocą bezpieczeństwo, którego przedtem brakowało. Z drugiej strony ci, którzy cieszyli się względami doradcy, a szczególnie klienci składający mu codziennie wizyty w oczekiwaniu przysług, trzymali stronę Montcusiego.

Almodis, znająca zmienność nastrojów swego męża, wykorzystwała fakt, iż źle wyraził się o doradcy, aby zasiać w nim wątpliwość co do jego uczciwości. Ramón, który był bardzo impulsywny, uległ jej prośbie nurtowany przewrotną ciekawością, jak sprytny Montcusi wyjdzie z tej opresji. Gdyby mu się udało, zyskałby w jego oczach, w przeciwnym razie odsunąłby go od siebie na jakiś czas.

W skład trybunału wchodził sędziowie Ponę Bonfill March, Frederic Fortuny i Carratala oraz Eusebi Vidiella i Montcliis. Główny notariusz, Guillem de Valderribes, i *veguer* Olderich de Pellicer odpowiadali za organizację procesu, który miał trwać kilka dni. Chętnych do zajęcia miejsc na sali rozpraw było bardzo wielu. Rzemieślnicy, robotnicy, chłopcy i rybacy nie mieli wstępu, ale liczba obywateli Barcelony, którzy chcieli być tam obecni, zaintrygowani tak niezwykłym wydarzeniem, przekroczyła wszelkie oczekiwania..

Początkowo proces miał się odbywać w salonie Pałacu Hrabiego, ale ze względu na tłum ludzi, którzy pragnęli w nim uczestniczyć, przygotowano salę w ratuszu, która mogła pomieścić ponad trzysta osób. Spełniono wszystkie wymagane normy. Na podwyższeniu ustawiono trony pary hrabiowskiej, a poniżej stół, przy którym siedzieć mieli sędziowie. Po bokach znajdowały się dwa nieduże podwyższenia z pulpitemi przeznaczone dla oponentów, a przy nich stoliki na potrzebne im dokumenty. Naprzeciwko wzniesiono półkolem trzy trybuny: po prawej stronie dla szlachty, po lewej dla obywateli, a w środku dla kleru. W sali trwała nieustanna krzątanina cieśli, którzy wnosili podia, tapicerów objadających fotele i dekoratorów pokrywających podłogę dywanami, a ściany gobelinami. Pozostało niewiele czasu, więc pracowano dzień i noc.

Marti miał zwyczaj odwiedzać wieczorami Eudalda, by omawiać z nim zarzuty, które zamierzał postawić swemu wrogowi, i znaleźć jego słabe strony. Światło w oknie komnaty księdza na pierwszym piętrze paliło się do późnej nocy. Eudald udzielał Martiemu rad, przede wszystkim zwracając uwagę, jak powinien zachowywać się wobec sędziów, którzy z pewnością będą pod przemożnym wpływem doradcy.

— Pamiętaj, kiedy będziesz wzywał świadków, że ja, jako spowiednik Montcusiego, nie mogę niczego potwierdzić.

— Musi bronić się przed moimi zarzutami osobiście czy może mu towarzyszyć adwokat?

— Tylko on i wy możecie wejść na podium. Ale to nie stanowi

przeszkody, by przy stole towarzyszył mu jako doradca ten, kogo wybierze.

W głowie Martiego kłębiły się myśli, które próbował uporządkować, gdyż powinien wysuwać oskarżenia w odpowiedniej kolejności, biorąc pod uwagę, że przed zamknięciem sprawy będzie atakowany i zasypywany pytaniami przez swego oponenta, chcącego zbić go z tropu.

Marti późną nocą wychodził z Pia Almoina, wracał do domu i siadał w gabinecie, rozważając tysiąc komplikacji, które pojawiały się każdego dnia, i dochodząc do wniosku, że sprawa zamieniła się w potwora o siedmiu głowach, i gdy sądził, iż którąś już uciął, na jej miejscu odrastała następna. Kiedy o świcie szedł do swoich komnat, by na chwilę się położyć, mijając pustą sypialnię Ruth, myślał ze smutkiem, jak blisko niego była kiedyś kobieta, którą teraz wspominał w snach i obiecywał sobie, że gdy skończy się proces, musi ją odszukać.

Montcusi i jego złowrogi gość kończyli omawiać swoje plany w gabinecie doradcy.

— Macie dziewięć dni. Obywatelowi Barbany musi się coś przydarzyć, by nie mógł zjawić się na *litis* w pełni władz umysłowych.

— A gdyby tak już nigdy nigdzie nie mógł się pojawić?

— Tym lepiej. Ale pamiętajcie, że nie może to być nic nie zwykłego. Chodzi o zwyczajny wypadek, który mógłby spotkać każdego obywatela.

— Po zachodzie słońca wszystkie koty są bure i nie wiadomo, co czyha w ciemnym zaułku.

— Co sugerujecie?

— Czy nie poleciliście mi, bym go śledził? Tak czyniłem, przypuszczając, że moje obowiązki jeszcze się nie skończyły.

— Podziwiam waszą gorliwość.

— Wykonuję tę pracę od wielu lat i doświadczenie mówi mi, że misja nie jest zakończona, dopóki nie rozwiąże się problemu.

Fakt, że przekazałem wam już informacje, nie oznacza, iż waszego wroga pochłonęła ziemia.

— A zatem?

— Kiedy zleca mi się kontynuowanie zadania, co właśnie zrobiliście, wolę być przygotowany.

— Powiedźcie więc, co odkryliście.

— Wiem, że Barbany udaje się co wieczór do Pia Almoina i zostaje tam do północy.

Montcusi nie mógł pohamować uśmiechu.

— Róbcie, co wam się podoba. Nagroda, którą otrzymacie, pozwoli wam przenieść się na wieś, o czym podobno marzycie.

— W istocie, lubię wiejskie życie. Nienawidzę zgiełku Barcelony, który staje się nie do zniesienia. Jestem prostym czło-
wiekiem o surowych obyczajach. Tęsknię za szumem wiatru wśród liści i szmerem krystalicznej wody w strumieniu. Chcę dożyć w spokoju mych dni jako wieśniak, jeżdżąc na jarmarki, by sprzedawać płody ziemi.

— Zatem wyświadcźcie mi tę ostatnią przysługę, a ja spełnię wasze marzenie.

— Zostawcie to mnie i śpijcie spokojnie. Jeszcze się nie zdarzyło, bym wyszedłszy na polowanie, wrócił z pustymi rękami.

— Kiedy upolujecie zdobycz, zaczekajcie parę dni, zanim przyjdziecie do mnie po nagrodę. Nie chcę, by ktokolwiek kojarzył waszą obecność tutaj ze smutnymi wydarzeniami, które zapowiadacie.

Po tych słowach Bernat Montcusi odetchnął z ulgą, podczas gdy Luciano Santangel, płatny morderca, uśmiechnął się w duchu.

Drugiego lutego trzeba było płacić horrendalne sumy za prawo wstępu na *litis honoris*, mające się rozpocząć następnego dnia. Nie dość że trwały przetargi między obywatelami Barcelony, to niektórzy szlachcice próbowali po cichu odsprzedawać należne im miejsca i kupować tańsze, w gorszym sektorze, by zasilić pustą kieszę. Ciekawscy, którzy nie mogli oglądać procesu, krążyli w pobliżu ratusza, aby słuchać plotek powtarzanych przez ludzi stojących na schodach i wyrażających głośno swoje opinie, jakby byli sędziami, którzy mieli rozstrzygnąć spór. *Veguer* Olderich de Pellicer umieścił niemal wszystkich swoich ludzi, uzbrojonych we włócznie z żelaznymi grotami i owalne tarcze, w okolicach placu, nie dbając o inne zakątki miasta, gdzie, jak przypuszczano, nie powinno być tego dnia utarczek ani poważniejszych incydentów.

Gdy zapadł zmrok, zamaskowany mężczyzna dotarł uliczką Viladecols do podcieni pasażu de l'Infant graniczącego z południową fasadą Pia Almoina. Rozejrzawszy się uważnie i upewniwszy, że w pobliżu nie ma nikogo, stanął obok żelaznej latarni, w której płonął knot nasączony drogocennym olejem, wyjął spod peleryny drewniany pręt z miedzianym kapturkiem na końcu i sięgnąwszy nim do płomienia, zgasił go, pogrążając uliczkę

w całkowitych ciemnościach. Potem ukrył się w jednej z bram wychodzących na pasaż i zaczął cierpliwe oczekiwanie, które miało mu przynieść tak znaczne korzyści.

— Lepiej idź spać, Marti. Jutro, a raczej już wkrótce, czeka cię nader trudne zadanie. Musisz mieć jasny umysł i byłoby dobrze, gdybyś spróbował trochę odpocząć.

— Posłucham waszej rady, żeby was zadowolić. Będę prze wracał się z boku na bok aż do wschodu słońca.

Była jeszcze jedna sprawa, która spędzała Martiemu sen z powiek.

— Powiedzcie mi, Eudaldzie, jakie macie nowiny na temat Ruth? — Teraz tęsknił za nią bardziej niż kiedykolwiek.

— Bądź spokojny. Już ci mówiłem, że miewa się dobrze. Nie bój się o nią — odparł ksiądz. — Wypij wywar z lipy i spróbuj odpocząć, bo czuwanie do rana nic nie da. Musisz być w dobrej formie. Stawisz czoło podstępnemu wrogowi, który walczy o swe dobre imię, i aby nie popaść w niełaskę na dworze i u hrabiego, będzie się bronił, wystawiając pazury jak kocur, i bez wątpienia ucieknie się do wszelkich, nawet najbar dziej plugawych metod.

Marti zdjął z wieszaka pelerynę i włożył ją, zawiązując na szyi. Zanim wyszedł, powiedział:

— Ponad sto razy omówiłem z wami wszystkie zarzuty, zadawałem sobie w nieskończoność pytanie, jakich argumentów i forteli może użyć człowiek w jego sytuacji, i wciąż znajduję jakąś lukę, przez którą może się wymknąć i o której nie pomyś lałem. Nie chcę, by tak się stało. Jestem to winien matce, Lai i Ruth...

Ksiądz, który towarzyszył mu do drzwi gabinetu, odrzekł:

— Gdyby *litis* miało się odbyć za sto dni, rozmyślałbyś sto nocy dłużej. Idź w pokoju i odpoczywaj. Jutro, wkrótce po tercji, rozpocznie się najbardziej ryzykowne przedsięwzięcie twojego życia, od którego będzie zależeć twoja przyszłość. Pamiętaj radę,

której ojciec udzielił ci w godzinie śmierci: „Jedynym dobrem, którego człowiek musi bronić do upadłego, jest honor”.

— Również jemu jestem to winien. Żegnajcie, Eudaldzie.

— Dziś jest szczególna noc. Uściskaj mnie, mój synu.

Objęli się mocno, po czym Marti ruszył w kierunku wyjścia z Pia Almoina, gdzie senny zakonnik pozdrowił go zza stołu oświetlonego smętną świecą.

Noc była ciepła. Nad miastem wisały deszczowe chmury. Marti skręcił za róg i rozmyślając o trudnym zadaniu, które czeka go za parę godzin, wszedł w pasaż de l'Infant. Zauważył, że coś jest nie w porządku. Nawykły do kontrolowania swoich latarni, odnotował bezwiednie, że ta, która powinna oświetlać pasaż, nie pali się. Pomyślał, że jeśli trafi na strażników, powie im, by ją naprawili, i podążył dalej.

Luciano Santangel czekał cierpliwie, aż jego ofiara wyłoni się zza rogu. Ukryty w bramie i wsparty o framugę, wpatrywał się uważnie w uliczkę. Ujrzawszy z daleka sylwetkę Martiego, napiął wszystkie mięśnie. Prawą ręką dotknął zrobionej z rogu jelenia rękojeści sztyletu o podwójnym ostrzu. Była to jego ulubiona broń, która nigdy go nie zawiodła. Jako doświadczony myśliwy trzykrotnie wciągnął głęboko i wypuścił powietrze. Jego ofiara zbliżała się powoli, ale nieuchronnie. Luciano miał buty podbite płótnem, by móc zaatakować cicho i błyskawicznie. Stosował tę taktykę nieskończenie wiele razy i zawsze z powodzeniem. Czekał spokojnie w cieniu, aż ofiara minie miejsce, w którym się ukrywał, wtedy ruszał za nią, wyjmował spod peleryny sztylet z zatrutym ostrzem i zadawał cios między żebra, obok serca, zawsze od dołu do góry. Kiedy ofiara upadała, szybko podcinał jej gardło, by nie wzywała pomocy.

Nadeszła oczekiwana chwila. Gdy idący pasażem człowiek minął go, podążył za nim. Zrobiwszy dwa ciche kroki, znalazł się za jego plecami. Uśmiechnął się perfidnie na myśl o należnym mu wynagrodzeniu i w jego prawej ręce zalsniło srebrne ostrze.

Wielką salę ratusza wypełniał tłum obywateli. Od wczesnych godzin porannych ludzie stali w długiej kolejce, czekając na otwarcie drzwi, by zająć jak najlepsze miejsca. Szlachta i kler mieli do dyspozycji boczne wejście, ale na dwie godziny przed rozpoczęciem procesu trybuny były już zapelnione. Damy włożyły najlepsze stroje, rywalizując między sobą bogactwem i wytwornością, jakby uczestniczyły w bankiecie. Zwraçały uwagę obszywane futrem pelerynki, suknie z adamaszku, biżuteria z pereł i koralami, czepki i toczki zawiązane pod brodą za pomocą haftowanych koronkowych chust, diademy i inne ozdoby. Mężczyźni mieli wyszywane aksamitem tuniki ze złożonymi kwadratowymi wycięciami pod szyją, jedwabne spodnie i ciżemki oraz pasy z najlepszej kordobańskiej skóry, u których wisiały miecze i sztylety. Ich rękojeści z rogu jelenia lub kości słoniowej były prawdziwymi dziełami sztuki. Również na trybunie kleru widać było dbałość o to, by mieć ubiór odpowiedni do stanowiska, nie grzesząc pychą, lecz podkreślając swój status.

Światło wpadające przez osiem bocznych okien w kamiennych murach, wyglądających jak gigantyczne otwory strzelnicze, uzupełniało dwanaście ogromnych świec wetkniętych w zawieszzone na łańcuchach pod sufitem korony z kutego żelaza. W głębi sali

ustawiono wielkie podium, a na nim stół z toczonymi nogami, za którym zasiadał trybunał. Po bokach znajdowały się pulpity stron procesu, a za nimi ławki *Curia Comitiss*. Za sędziami, na podwyższonym ozdobionym adamaszkiem w czerwono-żółte pasy, stały trony z baldachimami, na których mieli zasiąść Ramón Berenguer i Almodis z Marchii.

Minęła pora tercji i strażnicy musieli zamknąć drzwi, przez które wchodzili obywatele Barcelony, gdyż na ich trybunie nikt by się już nie zmieścił, może dlatego, że wydano zbyt dużo przepustek, a może jakieś obywatelki o zbyt obszernych spódnicach zajmowały więcej miejsca, niż im się należało.

Gdy bicie dzwonów obwieściło, że do pełnej godziny pozostał kwadrans, sędziowie i członkowie *Curia Comitiss* weszli przez drzwi w głębi sali i skierowali się do swoich miejsc. Wkrótce, wśród narastającego szmeru widowni, pojawił się, napuszony i spokojny, doradca Bernat Montcusi. Pozdrowiwszy pompatycznie uniesioną ręką swoich zwolenników, zajął przydzielone mu miejsce.

Dwie osoby wpatrywały się szczególnie intensywnie w puste nadal podium, na którym miał stanąć Marti Barbany: z jednej strony korpulentny ksiądz, odziany w zakonny habit spowiednik hrabiny, który nie skorzystał ze swoich wpływów, by zająć lepsze miejsce na trybunie dla kleru; z drugiej stojąca obok bocznej balustrady kobieta w średnim wieku, skromnie ubrana, odziana w zieloną pelerynę, z włosami splecionymi w dwa grube warkocze i upiętymi w kok szylkretową klamrą.

Hrabia i hrabina mieli zasiąść na tronach dopiero wtedy, gdy wszyscy uczestnicy procesu znajdą się na swoich miejscach.

Bernat Montcusi stał odwrócony plecami do sali i rozmawiał swobodnie z jednym ze szlachciców wchodzących w skład *Curia Comitiss*, a nawet się uśmiechał.

Sekretarz Eusebi Vidiella i Montclis uderzył młotkiem w blat stołu. Natychmiast zapadła cisza. Oznajmił donośnym głosem, że upłynie niebawem czas przewidziany na stawienie się przed trybunałem obu oponentów, i odwrócił klepsydrę stojącą obok

niego na przykrytym suknem stole. Przez widownię przeszedł szmer, gdy obecni zorientowali się, że powód, niewątpliwie najbardziej zainteresowany sprawą, jeszcze nie przybył.

Sekretarz już dwa razy uderzał młotkiem, a Bernat Montcusi nadal spokojnie sobie gawędził, jakby go to nie dotyczyło. Gdy w klepsydrze brakowało zaledwie kilku ziaren piasku, by skończył się czas, boczne drzwi otworzyły się i woźny wprowadził na salę Martiego Barbany. Był spocony i blady, a na prawej ręce miał opatrunek. Okrzyk zdumienia, jaki wydał Montcusi nie uszedł uwagi ojca Llobeta.

Poprzedniej nocy, gdy Marti opuścił jego siedzibę, Eudald zamierzał odmówić stosowne modlitwy. Gdy wziął do ręki brewiarz i skierował się do klęcznika, zdał sobie sprawę, że Marti, pochłonięty niewątpliwie swymi problemami, zostawił na wieszaku genueńską czapkę, którą nosił wieczorami. Szybko rozważył sytuację. W tym momencie Marti powinien wychodzić z budynku, o ile nie skręcił już za róg. Llobet chwycił więc czapkę i chciał mu ją rzucić przez okno na piętrze, wychodzące dokładnie na połowę pasażu. Gdy otworzył okiennice i wyjrzał spomiędzy krzaków róż, jego żołnierskie oko natychmiast dostrzegło, co się dzieje. Zamaskowany złoczyńca, których nie brakowało w mieście, zamierzał napaść jego przyjaciela, który, pogrążony w zadumie, nie zdawał sobie sprawy z zagrożenia. Eudald nie zastanawiał się długo: gdy zbir wyciągał spod peleryny coś w rodzaju sztyletu, krzyknął głosem potężnym jak grzmot: „Marti!”, i chwyciwszy jedną z wielkich kamiennych donic stojących na parapecie okna, cisnął nią w napastnika. Marti, usłyszawszy krzyk przyjaciela, odwrócił się i bardziej wyczuwając, niż dostrzegając niebezpieczeństwo, zasłonił się prawym ramieniem przed ciosem noża. Zbir upadł pod ciężarem pełnej ziemi doniczki, która ważyła ładnych parę funtów.

Ksiądz i stróż ruszyli rannemu z pomocą. Napastnik leżał u ich stóp, nadal ze sztyletem w ręku. Eudald uklęknął przy nim

i odsłonił mu twarz. Trzej mężczyźni zdumieli się na widok jego martwych jasnozielonych oczu, białych włosów i głębokich blizn po ospie na policzkach. Nie miał przy sobie żadnych dokumentów.

Marti dotarł do domu przy placu w pobliżu Sant Miquel dobrze po północy i gdy tylko zastukał kołatką do drzwi, usłyszał zgiełk głosów. Szybko odsunięto rygle i trzask zamka oznajmił mu, że jego ludzie czekali na dziedzińcu, gdyż dawno już powinien udać się na spoczynek, zważywszy na to, że następnego dnia miało nastąpić najważniejsze wydarzenie w jego życiu. Otworzyła się furtka w jednym z wielkich skrzydeł bramy i Marti wszedł do środka. Na jego widok Caterina stanęła oniemiała, a potem wyłonili się zza kolumnady dziedzińca zaniepokojeni Omar, Andreu Codina, Naima i reszta służby. Aixa, stojąca nieco dalej, po omacku szła w kierunku głosów.

— Dobry Boże, Marti, co się stało? Jesteście ranni!

— To nic takiego, zostałem napadnięty.

— Pozwólcie mi obejrzeć ranę — powiedział Omar.

Wszyscy weszli po schodach i udali się do głównej sali na piętrze.

Marti położył się na jednej z sof i ogarnęła go dziwna słabość.

Omar przeciął nożycami opatrunek i zaczął oglądać ranę.

— Pchnięto was mocno nożem. Wiecie, kto to był?

— Nie znam jego nazwiska, ale sądząc z opisu, to ten sam człowiek, który napadł na *masie* mojej matki. Albinosów nie ma zbyt wielu, zwłaszcza takich z oczami przezroczystymi jak woda i ospowatą twarzą.

— Gdzie to się stało?

— W pasażu przy Pia Almoina, gdy wyszedłem od Eudalda.

— A gdzie jest napastnik? — chciał wiedzieć majordom.

— W miejskiej kostnicy. Llobet rzucił w niego z okna mieszkania donicą, która ważyła co najmniej cetnar. Zajął się nim nocna straż.

— Kto udzielił wam pierwszej pomocy?



— Medyk zakonników w klasztornej lazarecie przyrządził zioła, zdezynfekował ranę i opatrzył ją.

Omar rozkazał jednemu ze służących, by poszedł do gospody Pod Starym Trytonem i poszukał kapitana Jofrego, który miał zwyczaj wpadać tam przed podniesieniem kotwicy na kielicha w towarzystwie Manipoulosa. Obaj mężczyźni wkrótce przybyli.

Greki obejrzał uważnie ranę. Długoletnie doświadczenie wilka morskiego nakazywało mu zachować ostrożność.

— Napastnik znał się na rzeczy, sztylet miał niewątpliwie zatrute ostrze. Brzegi rany są białe. Jeśli nie zadziałamy szybko, mogą pojawić się komplikacje.

— Ale czy nie mówiłeś, że w klasztorze cię opatrzone? — spytał drżącym głosem Jofre.

— Założono mi bandaż na krwawiącą ranę, ale zakonnik nie wspominał o truciznie, o której mówi kapitan Manipoulos.

— Co zrobimy?

— Poszukamy lekarza Halewiego — odparł Omar.

— Do wieczora dzielnica Cali będzie zamknięta, a potem może już być za późno — stwierdził Jofre.

— Mam na „Stella Maris” słój z pijawkami i maść, którą podarował mi pewien syryjski marynarz za ocalenie mu życia i która zabija wszystko — zwrócił się Grek do Martiego. — Na morzu jest mnóstwo robactwa, które wydziela jad, by się bronić, przez odwłok, zęby albo czułki, a ten lek nigdy mnie nie zawiodł. Trzeba będzie otworzyć ranę, umieścić na jej krawędziach pijawki, aby przez całą noc ssły krew, i prosić Boga, każdy swojego, by atak gorączki, który niewątpliwie nastąpi, był jak najmniej gwałtowny.

— Więc róbcie, co trzeba — wyszeptał Marti. — Jutro rano muszę stawić się na najważniejsze w moim życiu spotkanie.

Manipoulos odjechał konno, pod eskortą trzech służących, aby wsiąść do szalupy, która czekała na niego co noc, i wrócić na statek. Służący zostali na plaży i pilnowali koni. Wkrótce szybka łódź wiosłowa przewiozła kapitana z powrotem na brzeg. Po dopłynięciu na miejsce wiosłarze nie mogli wyprostować się

z wysiłku. Grek i jego ludzie podążyli do bramy Regomira, gdzie strażnicy nie robili im żadnych trudności. Glejt floty Martiego Barbany był dokumentem, który wszędzie respektowano.

Wróciwszy do domu Martiego, ujrzeli niepokojący widok. Stan rannego wyraźnie się pogorszył. Omar ocierał mu pot z czoła chusteczką zamoczoną w wodzie. Manipoulos wziął się do pracy z pomocą Jofrego, Omara i Andreu Codiny. Zmusiwszy Martiego do wypicia sporej porcji wina, włożyli mu między zęby drewniany kołek i trzymali go we trzech. Marioną przynosiła z ognia na kominku lniane ścierki nasiąknięte gorącą wodą. Kiedy wszystko zostało przygotowane, jak tego chciał Manipoulos, Grek zaczął nacinać ostrożnie brzegi rany, aż ją otworzył. Marti jęczał cicho, przygryzając kołek, aż wreszcie zemdłał.

— Tak jest lepiej — stwierdził Manipoulos, umieszczając bardzo ostrożnie pijawki na krawędziach rany i obserwując, jak w miarę opijania się zatrutą krwią Martiego, pęcznieją jak baloniki. Potem posmarował maścią brzegi i wewnątrz rozcięcia i przykrył je czystą lnianą szmatką.

Skończywszy, obejrzał swoje dzieło i oznajmił:

— Będzie miał gorączkę codziennie, dopóki nie pokona infekcji. Najgorsze są pierwsze godziny, a potem, jeśli się nie myłę, co trzy lub cztery lata może mieć nawroty. W morzu podobne objawy wywołuje jad meduz, płaszczyk i muren.

— Jak sądzicie, skąd wzięli truciznę? — spytał Omar.

Tym razem odpowiedział Jofre:

— W wielu miejscach smaruje się sztylety lub groty strzał jadem pajaków albo skorpionów. To zwiększa skuteczność ataku. W Hispanii stosowano jad czarnej wdowy. To wyjątkowo niebezpieczny pająk. Eudald Llobet opowiadał mi pewnej nocy, że łapali go za jego żołnierskich czasów.

Głos Martiego był ledwo słyszalny:

— Muszę odpocząć, przyjaciele. Jeśli nie umrę tej nocy, jutro powinienem być w ratuszu. Moje sprawy nie mogą czekać...

Prolegomeny

Marti zajął swoje miejsce przy pulpicie i na wezwanie sekretarza oznajmił:

— Panowie sędziowie, najczcigodniejsi doradcy, wybaczenie spóźnienie, ale o świcie napadnięto mnie i zraniono w pobliżu Pia Almoína. Sprawca spoczywa w pokoju, w przeciwieństwie do jego mocodawcy, który najwyraźniej od pewnego czasu próbuje mnie zniszczyć.

Słowa obywatela Barbany wywołały szmer na sali. Wszystkie spojrzenia zwróciły się w stronę pulpitu doradcy do spraw finansowych. Był blady, a jego oczy wyrażały zdumienie, spowodowane obecnością Martiego i tym, co mówił. Zdołał jednak zapanować nad sobą i zachowywał się tak, jakby to wszystko w ogóle go nie dotyczyło.

Sędzia Frederic Fortuny podniósł się z miejsca i uderzając młotkiem w masywny stół, zarządził ciszę.

— Proszę wstać i powitać wielce szlachetnych hrabiów Barcelony, Gerony i Osony, Ramóna Berenguera i Almodis z Marchii!

Salę wypełnił odgłos stóp szurających o deski trybun.

Kiedy wszyscy obecni wstali i mężczyźni zdjęli czapki, do sali weszli majestatycznym krokiem hrabia z hrabiną i zajęli miejsca na tronach. Ramón był ubrany w szkarłatną tunikę obszytą

taśmą w kolorze starego złota, karmazynowe spodnie i pelerynę ozdobioną futrem gronostaja. Na głowie miał hrabiowską koronę z czerwonym aksamitem w środku. Almodis przywdziała szmaragdowozieloną suknię z rękawami w kolorze szaroperłowym i posrebrzany pas, który otaczał jej biodra i opadał z przodu, podkreślając jej doskonałą figurę. Koronę hrabiny zdobiły drobne perły. Hrabia, usadowiwszy się, skinął lekko głową, dając znak, by rozpoczęto *litis honoris*. Sędzia Fortuny podjął:

— Najczcigodniejsi i ukochani hrabiowie, dostojni członkowie *Curia Comitum*, szacowni przedstawiciele rodów szlacheckich, duchowni i obywatele Barcelony, rozpoczyna się proces wytoczony przez obywatela Martiego Barbany de Montgri czcigodnemu Bernatowi Montcusi i Palau. Proszę zająć miejsca i zachować ciszę.

Wszyscy usiedli wśród szelestu sukien i metalicznego brzęku ukrytych w pochwach sztyletów i krótkich mieczy i w sali zapadła martwa cisza.

Eusebi Vidiella, pełniący funkcję sekretarza, zasiadł za stołem na miejscu sędziego Frederica Fortuny i powiedział:

— Niech wstanie powód.

Marti podniósł się i podszedł do pulpitu.

— Proszę pamiętać o zasadach, które obowiązują podczas takich procesów, dotyczących wyłącznie honoru osób i nieodwołujących się do praw zawartych w naszych *Usatges*. Tylko w przypadku, gdyby któraś ze stron dopuściła się jawnego krzywdziństwa, hrabia, nasz pan, może wydać wyrok. My, sędziowie, jesteśmy tu po to, by służyć radą i wskazywać, co należy robić, lecz nie osądzać, a wezwani świadkowie mogą potwierdzać jedynie fakty, nie intencje.

Po tych słowach wezwał oponentów, by złożyli przysięgę przed biskupem.

Biskup Odó de Montcada pojawił się w drzwiach w towarzystwie głównego notariusza Guillem de Valderribes. Powolnym i uroczystym krokiem skierowali się do stołu sędziowskiego, na którym po prawej stronie stał krzyż, a po lewej leżała Biblia.

Sekretarz wezwał adwersarzy, którzy wyszli z za swoich pulpity.

Guillem de Valderribes przemówił, zwracając się do publiczności, gdyż wielu obecnych nie wiedziało, jaki charakter ma proces, którego są świadkami.

— Uczestniczymy w *litis honoris*. Z tego względu za chwilę przyjmę przysięgę od tych szacownych obywateli, których jedynym wykroczeniem może być mijanie się z prawdą. Tylko to osądzamy, gdyż obywatel Barcelony nie może, nie będąc szlachcicem, złożyć pozwu przeciw komuś, kto jest urzędnikiem hrabstwa. Ja, jako główny notariusz, uwierzytelnię przebieg procesu, i jeśli któryś z oponentów popelni krzywoprzysięstwo, nasz hrabia osobiście wyda wyrok.

Po tych słowach wezwał Bernata Montcusiego, który podszedł do stołu butny i napuszony.

— Połóżcie prawą dłoń na Biblii, panie, i powtarzajcie za mną: „Ja, Bernat Montcusi i Palau, doradca finansowy hrabstwa Barcelony i główny zarządca, przysięgam uroczyście na mój honor mówić prawdę i tylko prawdę w sprawach, o które zostaną zapytany. Jeśli dotrzymam słowa, niech Bóg, Nasz Pan, mnie wynagrodzi, a jeśli nie, niechaj ukarze mnie On lub mój ziemski władca, Ramón Berenguer, hrabia Barcelony”.

Doradca, powtórzywszy tę formułkę i złożywszy podpis w księdze, którą podsunął mu notariusz, wrócił na swoje miejsce. Potem złożył przysięgę Marti Barbany. Rozprawa mogła się zacząć.

Rozprawa

Gdy tylko oponenci wrócili na miejsca, sędzia Frederic Fortuny rozpoczął proces.

— Niech zabierze głos powód i przedstawi swoje zarzuty. Marti wstał z wyraźnym wysiłkiem, więc główny sędzia odezwał się ponownie:

— Zważywszy na wasz stan, jeśli wolicie mówić na siedząco, macie na to zgodę.

— Wolę stać, Wysoki Sądzie.

— A zatem zaczynajcie.

— Ja, Marti Barbany de Montgri, wolny obywatel Barcelony, oskarżam doradcę do spraw finansowych, Bernata Montcusiego, o następujące przewinienia: po pierwsze, oślepienie i obcięcie języka wyzwolonej niewolnicy z mojego domu, do której nie miał żadnych praw, po drugie, spalenie majątku, będącego moją własnością, wskutek czego zginęli moja matka, Emma de Montgri, oraz jej służący, Mateu Cafarell, po trzecie, spowodowanie śmierci swej pasierbicy, Lai Betancourt, która, jak wiadomo, popełniła samobójstwo, ale uczyniła ten straszny krok z winy ojczyma.

Zapadła straszna cisza. Odgłos upadającego na podłogę pergaminu odbił się echem w całej sali.

— Mówcie po kolei. Zaczynjcie od pierwszego zarzutu — polecił sędzia przewodniczący Ponę Bonfill.

— Poznałem Laię Betancourt na targu niewolników, wkrótce po przybyciu do Barcelony. Na placu Boqueria sprzedawano niewolnicę o imieniu Aixa, a Laia i ja podbijaliśmy sumę. Pasierbica doradcy wydała mi się tak piękną istotą, że starałem się zawrzeć z nią znajomość i pokochałem ją bezgranicznie. Wkrótce musiałem wyruszyć w długą podróż, a ponieważ moja niewolnica Aixa pięknie śpiewała i grała na różnych instrumentach, wyzwoliłem ją i poprosiłem, by pod moją nieobecność sprawiała swą sztuką przyjemność mej ukochanej Lai. Zwróciłem się o stosowną zgodę do jej ojczyma, pytając go również, czy będę mógł ubiegać się o rękę dziewczyny. Odparł, że tylko wtedy, jeśli zostanę obywatelem Barcelony, co nader trudno osiągnąć, ale zgodził się, bym przekazał jej swój dar. Gdy wróciłem, powiedziano mi, że Aixa zmarła na dżumę. Po śmierci Lai, o której opowiem zaraz szczegółowo, dowiedziałem się w zaufaniu, że Aixa żyje i jest więziona w Terrassie. Udałem się tam z dokumentem potwierdzającym jej wyzwolenie i znalazłem ją w oplakanym stanie, zamkniętą w odrażającym lochu. Została oślepiona i obcięto jej język.

Napięcie na widowni rosło i każdy spoglądał niespokojnie na sąsiadów, by zobaczyć, czy wierzą w te zarzuty, czy nie. Ciszę przeciął głos głównego sędziego:

— Czcigodny doradco, co macie do powiedzenia wobec tych oskarżeń?

Marti wrócił na miejsce, podczas gdy Bernat Montcusi, z charakterystyczną dla niego nonszalancją, podźwignął swe potężne cielsko i przeszedł wolno do pulpitu. Dotarłszy tam, skłonił głowę przed hrabiostwem i patrząc na publiczność, przemówił uroczystym tonem:

— Najdostojniejsi hrabiowie Barcelony, koledzy z *Comes*, szlachetni panowie, całe duchowieństwo, a przede wszystkim drodzy współobywatele. Jak długą drogę trzeba przebyć, aby zyskać nienaganną reputację i jakże łatwo ją zniszczyć! Ten oto

parweniusz sądził, że dzięki swym pieniądзом może gardzić prawdą i zniszczyć honor poddanego, który poświęcił życie, by służyć wspólnocie. Ośmiela się siać zwątpienie wśród ludu mającego niewątpliwie dobre intencje, ale łatwo ulegającego wpływom. Nie ma nic gorszego niż półprawdy, gdyż wywołują poczucie niepewności. Zobaczycie, jak w jednej chwili potrafię obalić jego kłamstwa i pokazać wam drugą stronę medalu. Pan Barbany przyszedł do mnie, prosząc o liczne przysługi, aby mógł realizować swe interesy w Barcelonie. Widząc, że przyniosą one korzyści mieszkańcom i nie naruszają obowiązującego prawa, zgodziłem się bez zastrzeżeń. Nie muszę mówić, o jakie przedsięwzięcia chodziło, gdyż Wysoki Sąd dobrze to wie. Prawdą jest również, że w swej łatwowierności zaofiarowałem mu moją bezwarunkową przyjaźń, sądząc, że potrafi to docenić. Otworzyłem przed nim nawet drzwi mego domu i okazałem mu gościnność. To fakt, że poznał moją ukochaną córkę na targu niewolników i ośmielił się prosić o pozwolenie, by zabiegać o jej względy. Mogłem od razu mu odmówić, ale ponieważ Bóg mi świadkiem, że zawsze podziwiałem odwagę młodych i ich zapał, uzależniłem swoją odpowiedź od tego, czy uzyska obywatelstwo Barcelony. On wyruszał wtedy w długą podróż i przyznaję, że nie zdawał sobie sprawy, jak śmiałe było jego żądanie. Poprosił o zgodę na podarowanie mojej Lai niewolnicy obdarzonej pięknym głosem, by umiała jej wieczory. Przypuszczam, że Wysoki Sąd doskonale wie, jakie miał podstępne zamiary. Pan Barbany chciał podrzucić do mego domu jajo skorpiona, aby zdobyć względy mojej ukochanej córki. Minęło dużo czasu i teraz zdaję sobie sprawę, że — zajęty wciąż pracą dla dobra miasta — zaniedbywałem, być może, obowiązki ojca. Nie zauważyłem, że żmija, która pełzała w pobliżu Lai, sączyła jej do głowy jad zatrutej miłości. Niejaka Aixa, zręczna stręczycielka, pomagała mojej córce spotykać się potajemnie z Martim Barbany w domu jej dawnej piastunki, która im sprzyjała, choć długo nie miałem o tym pojęcia. Po kilku miesiącach chłopak wyruszył w długą podróż. Dopiero wtedy, zupełnie przypadkowo, dowiedziałem się o wszystkim.

Skarciłem córkę i kazałem jej skończyć z tym szaleństwem, zmuszając ją do napisania listu, w którym przyznawała się do błędu i zrywała z Martim. Rzecz jasna, oddaliłem od niej tę zmię, którą uważałem za niewolnicę, bo jako taka została Lai podarowana, i kazałem ją uwięzić, a potem oślepić i pozbawić języka, gdyż taką karę przewiduje prawo wobec niewiernego niewolnika. Po śmierci Lai, która w swej dobroci zawsze się za nią wstawiała, nie było sensu, by wracała do domu, pozostawiłem ją więc w zamknięciu, by nadal odbywała karę.

Jakież było moje zdziwienie, gdy pewnego dnia dowiedziałem się, że na dom, w którym ją więziłem, najechała nocą grupa ludzi pod dowództwem Barbany'ego i ośmielili się ją uwolnić! Zarządca, don Fabia de Claramunt, pod groźbą przemocy musiał spełnić ich żądania. Pozwólcie, że zadam wam pytanie: jeśli ktoś uważa, że racja jest po jego stronie, dlaczego zakrada się nocą jak złodziej i napada zdradziecko na prywatny majątek, zamiast dochodzić swoich praw w świetle dnia, jak należy? Przedstawiam to Wysokiemu Sądowi pod rozwagę.

Tak brzmi moja odpowiedź. Pomijam na razie finał tej historii, który zrelacjonuję zależnie od zarzutów, jakie zostaną mi postawione.

Zapadła pełna napięcia cisza.

Przerwał ją Fortuny:

— Niech powód odniesie się do odpowiedzi pozwanego i ograniczy do tego tematu, zanim przejdziemy do następnej sprawy.

Marti obserwował twarze zebranych i wyczuł, że zręczna riposta Montcusiego zrobiła na nich wrażenie. Czuł, że gorączka wraca i miał złe przeczucia. Podźwignął się z miejsca i podszedł powoli do pulpitu, niosąc dokument, poświadczający wyzwolenie Aixy.

— Postaram się mówić zwięźle i wyjaśnić pewną kwestię, o której napomknął mój oponent. Nigdy nie było mowy o podarowaniu niewolnicy. Czyż w takim przypadku, zgodnie z panującymi zwyczajami, nie powinienem wręczyć jej nowemu właścicielowi stosownego dokumentu zakupu, na wypadek, gdyby

zechciał ją odsprzedać? Czy nie jest również prawdą, że gdybym upomniał się o tę kobietę w zwykły sposób, narażałem się na ryzyko, że nagle zniknie albo, co gorsza, dla uniknięcia kompromitującej sytuacji zostanie pozbawiona życia? Z tego właśnie powodu zjawiłem się nocą w miejscu, gdzie była uwięziona, i nie powodując uszczerbku niczyjego majątku ani zdrowia oraz dysponując odpowiednim dokumentem, który tu przedstawiam, zażądałem, by don Fabia de Claramunt mi ją wydał.

Po chwili milczenia znów odezwał się Fortuny:

— Woźny, przynieście do stołu dokument, który ma powód, i dopilnujcie, by don Fabia de Claramunt stawiał się jutro przed rozpoczęciem sesji w moim gabinecie. Zawieszam rozprawę do jutra.

Wszyscy wstali, czekając, aż hrabiowie i ich doradcy opuszczą salę. Ludzie wychodzili, komentując pasjonującą debatę. Ukryta w bramie Ruth, która nie zdołała dostać się do środka, przysłuchiwała się ich rozmowom. Poczula skurcz serca na wieść, że Marti jest ranny i obiecała sobie, że następnego dnia wejdzie na salę, aby go zobaczyć.

Doradca wyszedł w otoczeniu swych klientów, rozdając na prawo i lewo uśmiechy i uściski dłoni, podczas gdy rozgorączkowany Marti wmieszał się w potok ludzi zmierzających w kierunku westybulu, gdzie czekał ojciec Llobet, zaniepokojony jego wyglądem. Jakaś kobieta przyglądała im się uważnie, stojąc w drzwiach pałacu, i gdy znaleźli się na ulicy, podążyła za nimi w bezpiecznej odległości, dopóki nie zniknęli na dziedzińcu rezydencji Martiego. Upewniwszy się, dokąd poszli, odwróciła się na pięcie i zniknęła w tłumie.

115

Dzień drugi

Wydawało się, że publiczności jeszcze przybyło, o ile w ogóle było to możliwe. Na trybunie obywateli nie zmieściłaby się już nawet szpilka, a zważywszy na zainteresowanie rozprawą, pieniądze najwyraźniej krążyły z rąk do rąk, gdyż z zasłyszanych komentarzy można było wnioskować, że na widowni są nowe osoby.

Hrabiostwo zajęli miejsca na tronach, a twarz Almodis wyrażała pełną rozbawienia ciekawość. Oblicze Martiego było trupio blade, doradca zaś wydawał się zadowolony i spokojny. Sekretarz wezwał obywatela Fabia de Claramunt i odebrawszy od niego przysięgę, wskazał mu miejsce na ławie dla świadków, którą ustawiono między dwoma pulpitemi.

Sędzia Frederic Fortuny, który od początku sprzyjał doradcy, rozpoczął przesłuchanie.

— Czy stoi przed nami w istocie don Fabia de Claramunt, obywatel Barcelony?

— We własnej osobie.

— Czy doradca Bernat Montcusi mianował was kasztelanem ufortyfikowanej rezydencji w pobliżu Terrassy?

— Nie zostałem mianowany. Objąłem to stanowisko na podstawie kontraktu i zajmowałem je, dopóki nasze interesy nie stały się rozbieżne.

— Byliście we wspomnianej rezydencji w dniu dwudziestego trzeciego grudnia?

— Byłem, ale już jako zarządca.

— Pozostawmy na boku funkcję, jaką pełniliście owej nocy, to bez znaczenia. Czy prawdą jest, że na fortecę napadł oddział, którym dowodził obywatel Barbany, aby uwolnić przetrzymwaną tam niewolnicę?

— Niezupełnie.

— Wyjaśnijcie to.

— Grupa ludzi wkradła się za mury fortecy. Zrobili to ukradkiem, ale muszę przyznać, że nikomu nie wyrządzili krzywdy, a gdy okazali mi przywiezione dokumenty, zrozumiałem, iż więziono tę kobietę bezprawnie.

— Nie wy o tym decydujecie. Waszym obowiązkiem było strzec powierzonych wam dóbr.

— Gdybym stawiał opór, mogło dojść do rozlewu krwi, a nie chciałem, by mój brak rozwagi spowodował coś, co do końca życia miałbym na sumieniu. Nie chodzi o formy, tylko o istotę sprawy. Ta więziona i torturowana kobieta nie zasługiwała na takie cierpienie.

Sędzia Vidiella wtrącił:

— Nie osądzamy wydarzeń, do których nie doszło, nie czas ani miejsce po temu, a pan Claramunt występuje tu w roli świadka, nie oskarżonego. Proszę powiedzieć, co zawierał dokument, który wam przedstawiono?

— Było to notarialne potwierdzenie wyzwolenia niewolnicy, a dowód jej tożsamości stanowiło znamię w postaci czterolistnej koniczyny, które miała pod prawym ramieniem.

Teraz zabrał głos sędzia Bonfill i March:

— W jakim stanie była niewolnica?

— Pomimo mego sprzeciwu oślepieno ją i pozbawiono języka. Dlatego zrezygnowałem z funkcji kasztelana. Ten czyn wzbudził moją odrazę.

Oczy Montcusiego przypominały dwa płonące węgielki. Gdyby mógł, spaliłby żywcem swego dawnego podwładnego.

Na sali zapanowało pełne niepewności milczenie. Nikt nie ośmielał się przewidywać, czym to się skończy. Po chwili rozległ się głos sekretarza:

— Możecie opuścić podium. Nie wyjeżdżajcie z miasta bez zezwolenia, nie rozmawiajcie z nikim na temat tego, o czym tu mówiono, i bądźcie do dyspozycji trybunału, gdyby was jeszcze potrzebował. Niech woźny wyprowadzi świadka.

Claramunt opuścił salę bocznymi drzwiami.

Ponownie odezwał się Bonfill:

— Doradco Montcusi, wstańcie i odpowiedzcie na pytania sądu.

Bernat wstał z urażoną miną, jakby robił łaskę.

— Nie wiedzieliście, że niejaka Aixa była wyzwoloną niewolnicą?

— Jakim prawem ktoś mógłby ją wtedy podarować?

— Spytałem, czy o tym wiedzieliście.

— Oczywiście, że nie.

Teraz odezwał się Vidiella.

— Nie zażądaliście stosownych dokumentów na wypadek, gdybyście chcieli ją kiedyś odsprzedać?

— Zechce Wysoki Sąd mi powiedzieć, kto domaga się dokumentów tego, co dostaje w prezencie? Czy nie byłby to nie wybaczalny nietakt?

— Dlaczego nie zgłosiliście napadu na waszą posiadłość, jeśli uznaliście, że doszło do naruszenia prawa?

— Uważam, że sądy hrabstwa są od ważniejszych spraw i nie należy obarczać trybunału incydem, który — skoro nie połała się krew — jest bez znaczenia. Życie tej niewolnicy, jak się okazuje, wyzwolonej, nie było warte zachodu.

— A może obawialiście się oskarżenia o bezprawne działanie?

Doradca był zirytowany.

— Tak czy inaczej, byłby temu winien obywatel Marti, który swym obłudnym i podstępym darem sprawił, że źle postąpiłem.

Trzej sędziowie spojrzeli na siebie i po chwili milczenia kazali doradcy wrócić na miejsce i wezwali Martiego.

Tym razem przesłuchiwał go Bonfill.

— Czy zaprzeczycie, panie Barbany, że popełniście wykroczenie? Macie świadomość, że gdyby to był normalny proces, moglibyście zostać oskarżeni o napad na prywatną posiadłość, dokonany nocą, podstępnie i w grupie?

— Ocaliłem życie niewinnej kobiecie, a poza tym z zarzutu o napad bez zysków, rabunku i szkód łatwo bym się chyba wybronił. Zapewniam, że zapłaciłbym chętnie stosowną grzywnę.

— Nasz trybunał tym się nie zajmuje — zauważył Eusebi Vidiella. — Przedstawcie, za pozwoleniem moich uczonych kolegów, następny zarzut.

Marti podszedł do pulpitu, czując w skroniach pulsowanie krwi od gorączki.

Powiodłszy wzrokiem po sali, zwrócił się do sędziów.

— Wysoki Sądzie, zaledwie przed czterema miesiącami *masie* moich rodziców zaatakowała nocą banda zbirów, którzy obrócili piękną posiadłość w popiół. To najlżejszy zarzut, bo dobra materialne można odbudować, ale podczas tego tchórzliwego napadu zginęła moja matka, Emma de Montgri, i stary sługa, Mateu Cafarell, którego znałem od dzieciństwa. Matka udusiła się podczas tego dziwnego pożaru trującymi oparami dymu. Przed śmiercią opisała mi twarz jednego z napastników. Wszyscy ci tchórze byli zamaskowani, ale temu, który najwyraźniej im przewodził, spadł kaptur. Miał tak niezwykle wygląd, że jego opis wrył mi się w pamięci.

Trzy dni temu, w noc poprzedzającą rozpoczęcie *litis*, zostałem napadnięty i zraniony przez osobnika o identycznym wyglądzie i trudno mi to uznać za przypadek. Ten sam człowiek, który zaatakował moją matkę, chciał zabić mnie. Jedynie za sprawą szczęśliwego trafu albo opatrności do tego nie doszło.

— Czym ten człowiek tak się wyróżniał, że waszym zdaniem musi chodzić o tę samą osobę? — wtrącił się Vidiella.

— Otóż, Wysoki Sądzie, ludzie mają czasem szczególne cechy. Osobnik, który napadł na moją matkę i chciał zabić mnie, był albinosem o białych jak len włosach, niemal przezroczystych



jasnozielonych oczach i ospowatej twarzy. Powiedźcie, ile takich osób mieszka w naszym hrabstwie?

— Wyjaśnijcie, do czego zmierzacie — zażądał sędzia Ponę Bonfill.

— Jak mówiłem, przed śmiercią moja matka opisała dokładnie tego człowieka. Osobnik o takim samym wyglądzie napadł na mnie nocą w ciemnym zaułku, gdy wychodziłem z Pia Almoina, i zadał cios zatrutym sztyletem. Nie zginąłem tylko dzięki opatrnościowej interwencji spowiednika hrabiny, ojca Eudalda Llobeta, który może to poświadczyć. Gdyby nie on, nie doszłoby do tego procesu. Podsumowując, kto miał w tym interes? Kto, poza mną i czcigodnym *yeguerem*, ma swobodny dostęp do amfor z czarnym olejem?

Eusebi Vidiella zainteresował się szczególnie tym ostatnim pytaniem.

— Świadeństwo ojca Llobeta nie jest konieczne, gdyż mamy zeznania dowódcy straży, który pełnił służbę tamtej nocy. Ze chciejcie wyjaśnić ostatnią kwestię, którą poruszyliście.

— Niech Wysoki Sąd sam oceni. Wśród zwęglonych szczątków stajni w majątku mojej matki znalazłem to. — Marti położył przed trzema sędziami przyniesiony z pomocniczego stołu fragment amfory z wrytymi literami i rzymską datą. — Pożar był tak gwałtowny i trudny do ugaszenia, że natychmiast zrozumiałem, iż wzniecono go przy użyciu jakiegoś łatwopalnego materiału.

Bonfill przyjrzał się uważnie wręczonemu mu przedmiotowi, przekładając go z ręki do ręki, po czym rzekł:

— Wyjaśnijcie to.

— Wysoki Sądzie, wszystkie amfory, w których przywożę czarny olej z dalekich ziem, są ponumerowane i zarejestrowane. Robi się tak, by mieć nad nimi kontrolę, od momentu załadowania do wyładunku w Barcelonie. Początkowo, zanim zawarłem umowę z dostojnym *veguerem*, sprowadzanie ich do miasta wymagało zgody zarządcy do spraw aprowizacji, który zażądał, by rezerwa oleju była składowana w piwnicy jego domu. Ten fragment amfory pochodzi z partii towaru, do której tylko on miał dostęp.

W sali było cicho jak makiem zasiał. Sędzia Fortuny, po krótkiej naradzie z kolegami, zwrócił się do zarządcy:

— Panowie adwersarze, aby uniknąć straty czasu, zezwala się wam mówić z ław, o ile nie zostaniecie poproszeni, by podejść do pulpitu.

Marti był wdzięczny za to ułatwienie, gdyż bardzo bolała go głowa.

— Najdostojniejszy doradco, co macie do powiedzenia wobec dowodów, które przedstawia pan Barbany?

Bernat Montcusi był nieco zaszokowany, ale szybko wziął się w garść.

— Wysoki Sąd ma okazję przekonać się, ile zgryzot i przy krości niesie ze sobą gorliwe służenie hrabstwu. Oto, jak próbuje się przekreślać prawdę, aby uzasadnić coś, co nie ma ze mną nic wspólnego. Mój podstępny przeciwnik doskonale wie, jaki był cel magazynowania czarnego oleju w moim domu i jakie wiązały się z tym niedogodności i zagrożenia. Teraz jednak przedstawia sprawę w innym świetle, chcąc splamić moje dobre imię. Kiedy postanowił zawrzeć umowę z moim dostojnym kolegą, *veguerem* Barcelony, don Olderichem de Pellicer, aby w ten sposób zaoszczędzić na podatkach, które płaci się od towarów sprzedawanych w obrębie murów miasta, nakazałem mu zostawić w wielkiej piwnicy, zaadaptowanej do tego celu, rezerwę amfor na wypadek, gdyby kiedyś zawiodły dostawy. Polecilem służbę, by je policzył, ale było mi obojętne, ile ich jest. Pan Barbany twierdzi, że ten fragment amfory pochodzi z mojego magazynu. A ja pytam: czy nie z jego? Nie zdziwiłbym się, gdyby miał zatargi z matką, skoro będąc jedynakiem, pozwalał, by mieszkała samotnie w *masii* w Emporda, gdy mogła żyć luksusowo w Barcelonie. Powiedzcie, czcigodni sędziowie, która kobieta woli ciężkie życie na wsi i pracę od świtu do nocy zamiast wygod, jakich tylko można sobie zażyczyć, w jednym z najwspanialszych domów w mieście? Nie byłyby to pierwszy ani ostatni przypadek, gdy rodzinne właśnie prowadzą do odrażającej zbrodni.

Odrzucam stanowczo wszelkie oskarżenia i podstępne insynuacje, jakobym próbował spalić czyjkolwiek majątek, i oświadczam, że nie znam nawet albinosa, który podobno był sprawcą pożaru. Jeśli powód potrafi udowodnić, że mówię nieprawdę, niech to zrobi.

Po tym oświadczeniu trybunał, zamknąwszy sesję, udał się na naradę, uznając drugi dzień procesu za zakończony.

Marti, trawiony gorączką, wrócił do domu w towarzystwie ojca Llobeta, śledzony znów, tak jak poprzedniego dnia, przez tajemniczą kobietę.

Widząc, w jak opłakanym stanie jest Marti, Omar przeraził się i wyszedł im naprzeciw.

— Wyglądacie fatalnie. Ta sprawa wpędzi was do grobu.

— Powtarzałem wam tysiąc razy — wtrącił Llobet — to zbyt duży kęs i nawet ktoś tak wytrwały i sprytny jak wy go nie przełknie.

— Panie, na wszystko, co najbardziej kochacie, zostawcie tę sprawę, bo was zabije. Dla waszej matki ani nikogo innego nie da się już nic zrobić. Można zawsze unikają kary — nalegał Omar.

— Ostrzegałem go, zanim to się zaczęło, że próżne będą jego wysiłki, i widząc, co się dzieje, utwierdzam się w tym przekonaniu, ale cóż chcecie, jest uparty jak muł — westchnął ksiądz.

— Jak poszło dzisiaj?

— Montcusi jest szczwany jak lis i zwinny jak węgorz, ale bądźcie pewni, że w końcu go dopadnę — odrzekł Marti.

— Teraz położysz się do łóżka — oświadczył Eudald. — Zawiadomiłem lekarza Halewiego i zaraz tu przybędzie.

Marti wspiął się po schodach, podtrzymywany przez Omara i Eudalda, i dotarłszy do sypialni, runął na łóżko. Kiedy zjawił się lekarz, służący wyszedł. Gorączka wyraźnie się podniosła i chwilami oczy Martiego zasnuwała mgła.

Uczony Halevi odsunął opatrunek i przyjrząwszy się ranie uważnie, natychmiast wyraził swoją opinię.

— Ten, kto udzielił wam pierwszej pomocy, znał się na rzeczy. Rana jest zdezynfekowana i czysta. — Następnie zaczął ob-

macywać węzły chłonne na szyi chorego, pobrał za pomocą lancetu kroplę krwi z opuszka środkowego palca prawej dłoni i spróbował, jaki ma smak, potem przyjrzał się uważnie jego źrenicom i żółtawej barwie oczu, na koniec zaś dodał kroplę fioletowego płynu z małego flakonika do próbki jego moczu, oglądając ją pod światło. Jego diagnoza była precyzyjna i jednoznaczna. — Macie zatrutą krew i dopóki wasz organizm nie wyeliminuje trucizny z płynów ustrojowych, napady gorączki będą powracały i możecie nawet tracić wtedy przytomność.

— Jakie jest na to lekarstwo, panie? — spytał ksiądz.

— Czas, ojcze, tylko czas. I należy pić dużo koziego mleka.

— Ale panie... Marti uczestniczy w najważniejszej rozgrywce swego życia, w której stawkajest coś więcej niż zdrowie. Podajcie mu jakiś środek, by mógł zmierzyć się z tym wyzwaniem.

— Bądźcie bardzo ostrożni, ojcze Llobecie. Dam wam lek, którego nie powinniście dostać, bo przy nieodpowiedniej dawce może zabić. To wyciąg z bobu świętego Ignacego i orzecha wymiotnego. Podacie mu dokładnie jedną kroplę pierwszego dnia, dwie drugiego i trzy trzeciego. Nie przekraczajcie tych dawek. To stare lekarstwo pobudzi jego serce, wzmocni ducha i pomoże natychmiast odzyskać siły. Ale nie pomylcie się przy dawkowaniu.

Lekarz podszedł do swojej torby stojącej na stole, otworzył ją i wręczył zdenerwowanemu księdzu flakonik z zatyczką ze szlifowanego szkła, który Llobet odebrał od niego z takim namaszczeniem, jakby były to ziarenka czystego złota.

116

Dzień trzeci

Napięcie sięgało zenitu. Zwolennicy obu stron prowadzili zażarte polemiki, a w jednej z gospod doszło nawet do bójki na noże — podobno jakiś cyrulik zranił w szyję jednego ze swoich kompanów.

Hrabia i hrabina śledzili z zainteresowaniem zmagania bohaterów procesu i nawet między nimi pojawiały się różnice zdań.

Na prośbę Martiego, zważywszy na jego wyraźne osłabienie, pozwolono, by on i Montcusi siedzieli w ławach.

Wszyscy byli już na miejscach, gdy sędzia Fortuny obwieścił rozpoczęcie sesji.

— Otwieram trzeci i ostatni dzień rozprawy. Przypominam stronom, że zeznają pod przysięgą. Na zakończenie sędziowie zbiorą się i wysłuchają opinii członków *Curia Comitum*, aby uzgodnić werdykt, który prześlemy naszemu panu, Ramónowi Berenguerowi, by ogłosił wyrok. Przed podsumowaniem obie strony będą miały możliwość przedstawienia ostatnich dowodów, jeśli jeszcze jakieś posiadają.

Marti uporządkował swoje papiery, gotowy otworzyć *litis*, gdy tylko sędzia udzieli mu głosu, co niezwłocznie nastąpiło.

— Oddaję głos obywatelowi Barbany. Wysłuchajmy, co ma do powiedzenia. Przypominam, że następnie przemówi najdos-

tojnniejszy doradca Bernat Montcusi, po czym obaj mogą być ponownie przesłuchani przez ławę sędziowską, aby złożyć niezbędne wyjaśnienia.

Pozdrowiwszy zwyczajowo hrabiostwo, Marti rozpoczął:

— Czcigodni sędziowie, dostojni doradcy, przedstawiciele szlachty i kleru, szacowni obywatele Barcelony. Mój ostatni zarzut jest tak poważny, że nawet mnie trudno o tym mówić. Oskarżyłem doradcę hrabiego o spowodowanie śmierci swojej pasierbicy, nie podając jej przyczyny, gdyż nie była po temu odpowiednia chwila. Dziś ta chwila nadeszła.

Ludzie kręcili się niespokojnie, przeczuwając, że zostanie im wyjawiona straszna tajemnica.

— Oskarżam uroczyście Bernata Montcusiego, że zhańbił Laię Betancourt i zmuszał ją wielokrotnie do uległości, co doprowadziło w końcu do jej samobójstwa.

Na trybunie obywateli dało się słyszeć stłumiony krzyk, a przez całą salę przeszedł szmer. Bernat Montcusi zbladł i musiał powachlować się plikiem pergaminów wziętym ze stołu.

Sekretarz, stukając młotkiem, nie potrafił opanować wrzawy, i główny sędzia musiał zagrozić, że każe opróżnić salę. W końcu zgiełk ucichł.

— Obywatelu Barbany, wasze oskarżenie jest tak poważne, że jeśli nie zdołacie go udowodnić, możecie zostać pociągnięci do odpowiedzialności przez ten trybunał, który doradzi hrabiemu, by przykładowo was ukarał. Mówcie.

Marti Barbany, wyczuwając, że nadszedł decydujący moment, gotów był spalić za sobą mosty i wskazując palcem swego wroga, bardziej krzyknął, niż powiedział:

— Ten człowiek, który hańbi pełniony przez siebie urząd, wykorzystał władzę, jaką miał nad swoją podopieczną, i grożąc, że zabije jej przyjaciółkę Aixę, wielokrotnie ją gwałcił i sprawił, że zaszła w ciążę. Potem, znudzony swoją zabawką, oddalił ją i aby zatuszować sprawę, chciał, bym ją poślubił, co zrobiłbym bez wahania, gdyż bezgranicznie ją kochałem i wiedziałem, że ma czyste serce. Ona jednak, uważając się za skalaną, w przy-

plywie rozpaczy rzuciła się z murów rezydencji swego ojczyma i zmarła. Oto dowód na potwierdzenie moich słów.

To powiedziawszy, podszedł do ławy sędziowskiej i położył na stole list Edelmundy.

Przechodził on z rąk do rąk i kiedy trzech sędziowie zapoznali się z jego treścią, Eusebi Vidiella wstał i zaczął czytać go na głos.

Kiedy skończył, zebranych przeszedł dreszcz. Potem zażądał od Marti ego dalszych wyjaśnień, aby doradca mógł odnieść się do jego zarzutów, a hrabiowie, ich doradcy i widzowie znali podstawy oskarżenia.

Marti zaczął swą przemowę:

— Wysoki Sądzie, gdy ten list do mnie dotarł, nie mogłem uwierzyć w to, co przeczytałem. To prawda, że prosiłem o rękę Lai przed wyjazdem, i prawdą jest również, iż doradca, choć mi jej odmówił, dawał nadzieję, że wyrazi zgodę, jeśli zdobędę obywatelstwo Barcelony. Starłem się więc rozmawiać z Laią, gdy tylko miałem okazję, i wiedziałem, że mnie kocha. Będąc w podróży, otrzymałem list od ukochanej, w którym wycofywała się ze wszystkiego, co uzgodniliśmy, i radziła, bym zrezygnował z naszej miłości. Dostrzegłem jednak w tym liście wyraźne sprzeczności i widome oznaki, że nie należy brać dosłownie jego treści. Jak mogłem się później przekonać, prawda była całkiem inna. Ten człowiek wykorzystywał swoją pasierbicę, dręczył ją bez końca i grożąc śmiercią Aixy, zmusił ją, by zerwała ze mną i poddała się jego woli. Kiedy wróciłem, zmienił zdanie, i choć nie rozumiałem dlaczego, byłem mu za to wdzięczny, gdyż wyraził zgodę na nasz ślub. Wszystko jednak przepadło owej przeklętej nocy, gdy moja ukochana postanowiła z własnej woli opuścić zawstydzona świat żywych. Wtedy nie rozumiałem jeszcze powodu tego kroku, aż pewnego dnia dotarł do moich rąk list gospodyni doradcy, który wręczyłem Wysokiemu Sądowi i który został na głos odczytany. Laia urodziła temu człowiekowi syna, który wkrótce potem zmarł, ale gdy była w ciąży, osobnik ten próbował znaleźć dziecku ojca i jeszcze zrobić na tym dobry interes. Dlatego zaproponował mi rękę swojej pasierbicy. Kap-

ryśny los zrządził jednak inaczej. Jeśli przedstawione dowody nie są wystarczające, będę zmuszony stwierdzić, że w naszym hrabstwie istnieją dwa rodzaje sprawiedliwości.

Tym razem ciszy na sali nie zakłóciło nawet jedno westchnienie. Po chwili sędzia Bonfill nakazał Martiemu, by usiadł i zwracając się do doradcy, oznajmił:

— Panie Montcusi, oddaję wam głos.

Z miną człowieka strapionego, ale zdecydowanego walczyć na śmierć i życie, Bernat Montcusi skierował się do swego pulpitu.

— Wysoki Sądzie, pozwólcie, że tym razem, wobec tak po ważnych i niedorzecznych zarzutów, które zagrażają mojej wiarogodności i prestiżowi, będę bronił się, stojąc przy pulpicie.

Czystą perfidią jest przekręcanie faktów i opieranie argumentacji nie na dobrej wierze, lecz na fałszu i świadectwie osób kierujących się nienawiścią i żądzą zemsty.

Tu ostentacyjnie przerwał i westchnął głęboko jak człowiek, który woła o pomstę do nieba z powodu rażącej niesprawiedliwości.

— Rzeczywiście, miałem gospodynię, która służyła mi wiernie przez lata. Niestety, zaraziła się trądem i musiałem nie tylko zrezygnować z jej usług, ale także ją uwięzić. W istocie niejaka Edelmunda, bo tak miała na imię, cieszyła się moim zaufaniem, ale przestrzeganie prawa jest dla mnie o wiele ważniejsze niż uczucia i byłem zmuszony, wbrew własnej woli i mimo jej niechęci, odesłać ją do strzeżonego leprozorium u podnóża góry Montseny. Ten list to po prostu akt zemsty, owoc jej nienawiści do mnie. Zauważcie jednak, że zawiera on tylko jedną prawdę, wielokrotnie powtarzaną. Wspomina o niejkiej Aiksie, niewolnicy, która właśnie w tej roli trafiła do mojego domu. Wszystko inne to wymysły, plon nienawiści kielkującej w jej sercu. Ale powiedzcie mi, dostojni sędziowie, co mógł uczynić wierny obrońca prawa, choćby jego decyzja była najbardziej bolesna? Ta kobieta chciała pozostać w Barcelonie i odmawiała używania kołatki, która obwieszcza zbliżanie się trędowatego. Tylko dlatego napisała ten list. Ale skoro już zakwestionowano mój honor, opowiem po kolei, co się wydarzyło. Wcześniej tego nie zrobiłem,

sądząc, że dobre imię mojej drogiej córki, zmarłej w tak smutnych okolicznościach, zasługuje na trochę szacunku, a przede wszystkim dyskrecji. Teraz sprawa stała się zbyt skomplikowana, by wszystkiego nie wyjawić.

Zrobiwszy celowo przerwę, doradca podszedł do stołu, wziął karafkę, nalał wody do kielicha i upił spory łyk, czekając, aż obecni przyswoją sobie sens jego słów. Potem wrócił do pulpitu i podjął:

— Teraz, drodzy współobywatele, posłuchajcie uważnie i oceńcie, czy nie jest bardziej spójna prawdziwa historia, którą wam opowiem, niż lawina kłamstw spowodowana nienawiścią, jaką żywi do mnie najwyraźniej obywatel Barbany. Jak już wiecie, uzależniłem zgodę na ślub mojej pasierbicy z wyżej wymienionym jedynie od tego, by uzyskał obywatelstwo naszego wspólnego miasta. On jednak chciał ją zdobyć i uwiódł kilkakrotnie jedyny kwiat mego ogrodu, czyniąc to z pomocą niewolnicy Aixy, podkreślam, niewolnicy, w domu Adelaidy, niechlubnej pamięci piastunki mojej pasierbicy, o czym dowiedziałem się dopiero później.

Kiedy Barbany wyjechał, oznajmiłem córce, nie traktując poważnie jako dobry ojciec rodziny tej propozycji małżeństwa, która nie miała żadnego sensu, że nadszedł moment, by poszukać jej męża, i zająłem się tym, szukając kandydatów wśród synów ludzi z mojej sfery, których uważałem za odpowiednich dla niej. Wyobraźcie sobie moje zdziwienie, gdy Laia pojawiła się pewnego ranka w moim gabinecie i oznajmiła, że nie jest dziewicą, gdyż ten zuchwały młokos, za jej przyzwoleniem, spał z nią. Zauważcie, że nie twierdzę wcale, iż ją zgwałcił. Przyszuję, że wpadłem w szal i w mej duszy zagościło święte oburzenie. Zagroziłem jej, to prawda, że ukarzę prawdziwą winowajczynię, którą była niewolnica Aixa, i zapamiętam, iż to Adelaida udostępniła im gniazdko na schadzki. Wtedy też kazałem jej napisać w liście do Martiego, że się pomyliła i zrywa z nim, no i oczywiście odprawiłem niewolnicę.

Sądziłem, że w ten sposób sprawa się zakończyła, ale się myliłem. Wkrótce Laia znowu zjawiała się w moim gabinecie

i zagroziła, że odda się pierwszemu, którego spotka, jeśli nie pozwolę jej kontynuować tego niedorzecznego związku. Nie uląknęłam się tej groźby i pozostałam nieugięta. Po pewnym czasie znów stanęła przede mną, oznajmiając, że jest w ciąży. Wtedy zaczęła się moja udręka. Nie sypiałem po nocach, wysłałam ją na wieś, by miała czas na przemyślenia i by uniknąć skandalu z powodu narodzin dziecka. Nie mogłem się dowiedzieć, kto jest jego ojcem, gdyż odmawiała stanowczo podania nazwiska tego człowieka. Byłem w rozpaczliwym położeniu. Moja wiara nie pozwalała mi nakłaniać jej do spędzenia płodu, a miłość do niej sprawiała, że chciałem, by wyszła z tej opresji z jak najmniejszą szkodą. W końcu przyszło mi do głowy rozwiązanie, które — choć nie najlepsze — było jedyne. Udałem się w tym celu do mego przyjaciela i spowiednika, ojca Llobeta, który z racji obowiązującej go tajemnicy nie może zeznawać... Nie ośmieliłbym się mijać z prawdą, ponieważ wiem, że jest na tej sali. Pewnego wieczoru poszedłem do niego z wizytą do Pia Almoina i poprosiłem, aby po zapowiadanej już powrocie swego podopiecznego przekonał go, by okazał się mężczyzną, gdyż właściwie to on skradł Lai honor, i by poślubił moją córkę, zapewniając dziecku ojca. Tymczasem problem sam się rozwiązał, gdyż niemowlę, niestety, urodziło się martwe. Ojciec Llobet jak zawsze okazał mi pomoc. Kiedy ten człowiek — wskazał z dezaprobatą na Martiego — wrócił z podróży, spotkaliśmy się którejś nocy, by porozmawiać o sprawie. Rozkazałem, by sprowadzono moją córeczkę do Barcelony i gdy tylko przybyła, oznajmiłem jej, że zgadzam się na ślub i że wkrótce pojawi się u mnie jej narzeczony, by ustalić wysokość posagu. Nadal mam łzy w oczach, gdy przypominam sobie, jak jej twarz rozjaśniła się szczęściem po tylu bolesnych przejściach.

Gdy nadszedł wyznaczony dzień, pogodziłem się z Martim w jadalni mego domu i dałem mu ojcowskie błogosławieństwo. Dzień mijał bez szczególnych wydarzeń. Zauważyłem tylko, że ten człowiek pił za dużo wina. Podczas deseru, gdy był już nieco podchmielony, ośmielił się zażądać bez ogródek niewspółmiernie

wysokiego posagu. W obliczu mojego słusznego gniewu oznajmił, że bierze za żonę kobietę zhańbioną i że ma to swoją cenę. Nie zdążyłem mu odpowiedzieć. W tym momencie wbiegł do sali mój majordom, obwieszczając wielkie nieszczęście. Moja biedna córka, która podsłuchiwała, ukryta za balustradą na piętrze, jaką cenę wyznaczył za jej honor ukochany z jej snów, wspięła się na mury i rzuciła w przepaść. Reszta tej historii jest powszechnie znana. Widzowie byli poruszeni, lecz zdania były podzielone: na trybunie obywateli trzymano stronę Martiego, szlachta optowała za wersją doradcy, a kler się wahał. Po kolejnej dłuższej przerwie Bernat znów przemówił.

— Mam świadomość, że prawna argumentacja, którą za chwilę przedstawię, nie wzbudzi sympatii, ale unaoczni Wysokiemu Sądowi, iż również w tej kwestii rozumowanie przemawia na moją korzyść.

Zalóżmy, że w istocie byłem sprawcą całego tego nieszczęścia. Czyż mój oponent nie przyznał, że chciałem, by poślubił moją pasierbicę? W jaki sposób gwałciciel powinien naprawić wyrządzoną krzywdę? Czy nie ma jedynie obowiązku znaleźć męża dla ofiary gwałtu i godnie jej wyposażyć? To właśnie, moi panowie, w dodatku nie będąc niczemu winien, uczynił stojący przed wami pokorny sługa hrabstwa Barcelony.

Po tych słowach wrócił na swoje miejsce z przekonaniem, że zasiał przynajmniej ziarno wątpliwości w sercach członków dostojnego trybunału, nie mówiąc o prostym ludzie, którym zawsze łatwo było manipulować.

Trzej sędziowie spojrzeli na siebie i nachyliwszy głowy, zaczęli się naradzać. Potem Bonfill wstał.

— Doradco Montcusi, zamierzamy wezwać waszą dawną gospodynię, aby, przy zastosowaniu odpowiednich środków ostrożności, złożyła zeznania.

— Rozumiem, panie, że bardzo by pomogła, ale musielibyście wysłać woźnego do piekła, by ją odszukał. Otrzymałem wiadomość, że Edelmunda zmarła na trąd zeszłej zimy.

Opatrzność sprawiedliwych

Spotkanie odbywało się wieczorem w rezydencji Martiego. Brali w nim udział ojciec Llobet, kapitanowie Jofre i Felet, który wrócił właśnie z podróży, Grek Manipoulos oraz Omar, który tym razem, zważywszy na zdobytą z latami pozycję, występował bardziej w roli przyjaciela niż zarządcy.

Majordom Andreu Codina wprowadzał przybywających gości do salonu na piętrze. Wszyscy zajmowali miejsca w wygodnych fotelach ustawionych wokół wielkiego kominka obok sofy przeznaczonej dla Martiego.

Głos zabrał Eudald:

— Widzicie, drodzy przyjaciele, że jęczyczek wagi jest po środku. Ośmieliłbym się powiedzieć, że pojedynek jeszcze się nie zakończył. Obywatele są po waszej stronie, Marti, ale szlachta nie, a kler, który dobrze znam, nie zajmie stanowiska, dopóki sytuacja nie będzie jasna.

— Ale, o ile mi wiadomo, werdyktu nie wydają przedstawiciele żadnego ze stanów, tylko hrabia — zauważył kapitan Jofre.

Manipoulos stwierdził:

— Nie możemy zapominać, że tylko nieliczni uprzywilejowani mogą szeptać na ucho możnym i choć lud jest po waszej

stronie, nie ma wstępu do pałacu ani nie bierze udziału w obradach — zauważył chytrze Manipoulos.

— Oficjalnie głos doradczy mają tylko sędziowie, a zdaje się, że wasze argumenty głęboko ich poruszyły.

Llobet poruszył się w fotelu i odparł:

— Nie wszystkich, Felecie. Wiem, że co najmniej jeden z nich jest po stronie hrabiego.

— Powiedzcie mi, Eudaldzie, jakie konsekwencje mógłby mieć dla Martiego niekorzystny wyrok? — spytał Felet, który nie znał szczegółów sprawy, gdyż był w podróży.

— Straszne, mój synu, straszne.

— Jak to?

— *Litis* to proces w obronie honoru. Jeśli Marti go przegra, będzie to znaczyło, że w jakiejś sprawie skłamał i odszkodowanie, jakiego zażąda doradca, może go zrujnować.

— I *vice versa* — mruknął Jofre.

— Oczywiście. Obawiam się jednak, że jeśli nie dostarczy jakichś niepodważalnych dowodów, może przegrać. Ostrzegałem cię wiele razy podczas twoich wizyt w Pia Almoina, że wsadzacie rękę do gniazda os, Marti. Trzeba przyznać, że Montcusi jest przebiegły. Powołuje się na mnie, wiedząc, że nie mogę zeznawać, i wyciąga z twoich zeznań wszystko, co przemawia na jego korzyść. Zobacz, jak wykorzystał list Edelmundy, by uzmysłowić sędziom, że Aixa była niewolnicą... Masz trudny orzech do zgryzienia. Módl się, by Bóg cię oświecił.

Marti znów miał gorączkę i na jego czole perliły się krople potu.

— Powinniście odpocząć, Marti — powiedział Grek. — W przeciwnym razie będzie bez znaczenia, czy wygracie tę sprawę. Triumfować będą robaki na cmentarzu.

— Pojutrze jest dzień ostatniej szansy. Wiem, że do tego czasu nie zdołam odpocząć. Chcę, byście wszyscy wiedzieli, że dobra materialne nie są dla mnie ważne. Niewiele trzeba, by być szczęśliwym. Jeśli stracę wszystko, co zdobyłem, zacznę od nowa i z waszą pomocą sobie poradzę.

Rozmowę przerwał głos Andreu Codiny:

— Panie, chce się z wami zobaczyć ta sama kobieta, która przychodziła dwa razy wczoraj po południu. Tym razem nie jest sama.

— Powiedźcie jej, że pan Barbany nie może teraz nikogo przyjąć, niech przyjdzie kiedy indziej — odparł Eudald.

— Myślę, że powinniście jej wysłuchać, panie. Jest z nią pani Ruth.

Na dźwięk tego imienia na twarz Martiego powrócił rumieniec.

— Każcie jej wejść... Natychmiast!

Zebrani przyglądali się, jak Ruth, wychudzona, wchodzi zdecydowanym krokiem do salonu. Nieznajoma czekała na zewnątrz.

— Marti! — wykrzyknęła dziewczyna, widząc go leżącego na sofie.

Podbiegła do niego i przypadła do jego stóp.

— To nierozsądne, że tu przyszłaś, moja córko! — zganiał ją Llobet.

— Nie miałam innego wyjścia. Spotkałam tę kobietę w bramie domu. Nie chcieli jej wpuścić. Wtedy się przedstawiłam i kiedy dowiedziałam się, jaką przynosi wiadomość, kazałam służącym otworzyć drzwi. Myślę, że bardzo was zainteresuje to, co ma do powiedzenia. Czekaj na zewnątrz.

Marti pogładził włosy Ruth i próbował wyrazić oczami swoją miłość do niej.

— Zostawcie nas samych, przyjaciele, proszę.

Mężczyźni wyszli, uściskawszy przedtem Martiego na pożegnanie.

Kiedy opuścili salon, Marti rozkazał Codinie:

— Wprowadź tę kobietę.

Gdy czekali, pocałował namiętnie Ruth w usta.

— Tak bardzo za tobą tęskniłem!...

Dziewczyna, z oczami pełnymi łez i uśmiechem, odparła:

— Nie musisz się martwić. Już cię nie opuszczę.

Usiadła obok niego na sofie i oboje czekali na gościa.

Do salonu wszedł majordom, a za nim pojawiła się w drzwiach

kobieta w średnim wieku, ubrana jak wdowa, w czarnej bluzce i spódnicy oraz koronkowej mantyli przypiętej do włosów klamrą z rogu jelenia. Miała w oczach spokój i bogactwo salonu nie robiło na niej wrażenia.

— Przede wszystkim proszę o wybaczenie, że zjawiam się w waszym domu o tak niestosownej porze.

— Proszę, usiadźcie i wyjaśnijcie, o co chodzi — powiedział Marti.

Kobieta zajęła miejsce naprzeciwko nich, ściskając w rękach małą sakiewkę, której najwyraźniej pieczołowicie strzegła.

— Don Marti Barbany to wy?

— We własnej osobie.

— Przybywam wypełnić obietnicę, którą moja matka złożyła Lai Betancourt.

Marti spojrział z nadzieją na Ruth.

— Kim jesteście?

— Moje nazwisko nic wam nie powie. Mam na imię Aurea. Pozwólcie, że najpierw opowiem całą historię. Adelaida, moja matka, niech spoczywa w pokoju, była piastunką Lai Betancourt i wiodła spokojne życie. Dostojnik, z którym się procesujecie, uniemożliwił jej pozostanie w mieście, gdy się dowiedział, że spotykaliście się z Laią w jej domu. Ja byłam już wtedy żoną rymarza z miasteczka Montornes i żyłam w dostatku, gdyż ludziom jego profesji, gdy tyle wokół koni i zwierząt pociągowych, pracy nie brakowało. Dowiedziawszy się o waszych schadzkiach, pan Montcusi zaczął tak gnębić moją matkę, że musiała uciekać z Barcelony i schronić się u mnie. Cztery lata temu ona i mój mąż zmarli w krótkim odstępie czasu. Bieda i konieczność opieki nad dziećmi sprawiły, że zwlekałam z wypełnieniem jej ostatniej woli. Wieści o tym, co dzieje się w Barcelonie, docierają na prowincję, i usłyszawszy wasze nazwisko, skojarzyłam je z misją, którą matka zleciła mi przed śmiercią. Powiedziała: „Odszukaj Martiego Barbany i wręcz mu te dwa listy. Będzie wiedział, co z nim zrobić”. I dlatego przy szłam.

To powiedziawszy, kobieta otworzyła zawiązaną na sznurek sakiewkę i wyjęła z niej dwie koperty. Lakowa pieczęć na jednej z nich była nietknięta, na drugiej złamana.

Ruth wzięła je pospiesznie i podała Martiemu, który z powodu gorączki, upału i emocji pocił się obficie. Gdy czytał pierwszy list, dziewczyna podała kobiecie coś do picia, przepraszając, że nie zrobiła tego wcześniej.

Pismo ze złamaną pieczęcią miało następującą treść:

Droga Adelaido, nie wiem, czy ten list trafi do Waszych rąk. Mam poważne kłopoty i mogę już nie zobaczyć mego ukochanego. Jeśli więcej o mnie nie usłyszycie albo, co gorsza, dowiedziecie się o mojej śmierci, proszę, byście po jego powrocie z podróży zechcieli przekazać mu pismo, które dołączam. Jeżeli uda mi się uspić czujność Edelmundy, dostarczę je wam osobiście. Jeśli nie, znajdę inny sposób, byście je dostali.

Przyjmijcie ode mnie wyrazy miłości i wdzięczności,
zawsze Wasza

Laia Betancourt

Widząc wyraz twarzy ukochanego, Ruth wiedziała, że list ma ogromne znaczenie.

— Czy to coś ważnego, panie? — spytała kobieta. — Wybaczcie, że nie przysłałam wcześniej, mam teraz wyrzuty sumienia. Korzystając z tego, że odziedziczyłam po ojcu obywatelstwo Barcelony, brałam codziennie udział w *litis* i szłam potem za wami do waszego domu, by mieć pewność, że się nie mylę, zanim spełnię życzenie matki, choć kosztowało mnie to wszystkie oszczędności. Wczoraj wasi słudzy nie pozwolili mi wejść i dziś stałoby się tak samo, gdybym nie spotkała w bramie tej dziewczyny.

— Nie martwcie się tym, pozwólcie mi skończyć.

Ruth podała mu nóż i Marti wziął go drżącą ręką, rozciął pieczęć i zaczął czytać.

Barcelona, 10 lutego 1055 roku

Mój dobry, kochany Marti!

Nie wiem, czy ten list trafi do Twych rąk, a jeśli tak, czy będę wtedy jeszcze żyła. Nie przejmuj się tym, który otrzymałeś wcześniej, zmuszono mnie do napisania go. Kocham Cię całym sercem i niczego nie pragnęłabym bardziej, niż należeć do Ciebie, ale byłoby to zbyt piękne i nie jest mi pisane.

Jestem zdana na łaskę mego ojczyrna, zhańbił mnie i gwałci, gdy tylko ma ochotę, grożąc, że jeśli nie będę mu posłuszna, na moich oczach obedrze Aixę ze skóry.

Kiedy mnie zniewala, leżę jak martwa i jestem myślami przy Tobie. Nie wiem, jak długo to zniosę, ale wiedz, że moje serce należy do Ciebie i Tobie poświęcę ostatnią myśl przed śmiercią.

Kochająca Cię ofiarnie,

Laia Betancourt

Ręka Martiego opadła bezwładnie na bok. Ruth wzięła list i go przeczytała.

— Pani, przynosicie mi równocześnie życie i śmierć. Wiedzcie, że póki żyję, będę wam bezgranicznie wdzięczny. Zaczekajcie tu i pozwólcie, by Ruth, moja narzeczona, wręczyła wam dowód mojej wdzięczności.

Oczy Ruth załśniły, gdy usłyszała te słowa.

— Niczego nie chcę, panie. Pamięć mojej matki nakazywała mi spełnić ten obowiązek.

— Powiedzieliście, że jesteście wdową i że zadłużyliście się, by przyjść mi z pomocą. Chcę, byście wiedzieli, że już nigdy niczego nie zabraknie ani wam, ani waszym dzieciom.

Kobieta padła z płaczem na kolana, chcąc obsypać pocałunkami dłoń Martiego, lecz on podniósł ją z klęczek.

— Wstańcie, na Boga! To ja będę zawsze miał wobec was dług. Teraz wybaczcie, pani, ale muszę was opuścić.

I zwracając się do Ruth, w której oczach malowało się radosne zdumienie i zarazem ogromna udręka na wspomnienie wydarzeń z przeszłości, powiedział:

— Wezwijcie Omara i Andreu, żeby pomogli wam zaprowadzić mnie do łóżka, bo zaraz zemdleję.

Ruth, wraz z obydwojema mężczyznami, pomogła mu dojść do sypialni i pozostawiwszy go półprzytomnego pod opieką Aixy w półmroku rozświetlonym tylko jednym kagankiem, poszła wykonać polecenia, które wydawał jej pospiesznie, gdy układano go na łożu.

Kobieta przyznała się, że jest biedna, więc Marti postanowił wynagrodzić jej oddanie i wysiłki i ulżyć jej niedoli.

Ruth podeszła do kufra ze skrzyżowanymi obręczami, który należał do ojca Martiego. Umieściwszy klucze w przeciwległych zamkach, otworzyła go. Już chciała wyjąć *mancusos*, które miała wręczyć kobiecie, gdy widok znajomego przedmiotu leżącego w kącie kufra sprawił, że w jej głowie zakiełkował pewien plan. Czuła pulsowanie w skroniach i starała się uporządkować myśli. Miała tylko dwa dni, aby zrealizować swój pomysł, i ryzyko, jakie się z nim wiązało, było znikome w porównaniu z ogromnymi korzyściami, jakie mógł przynieść jej ukochanemu, który, trawiony gorączką i niemal nieprzytomny, nie był w stanie jej poprzeć ani powstrzymać. Zamknęła kufer i założywszy na nowo obręcze, wróciła do kobiety, która czekała w salonie muzyki, stojąc obok harfy zdobiącej jeden z kątów. Ujrzawszy Ruth, podeszła do niej.

— Weźcie to — powiedziała Ruth, podając jej pękata sa kiewkę.

— Co mi dajecie, pani?

— Pięćdziesiąt denarów. Tak kazał mój narzeczony — oznajmiła Ruth, delektując się tym słowem. — Dodał poza tym, że co roku będziecie otrzymywali taką sumę.

Kobieta nie mogła powstrzymać łez spływających jej po policzkach.

— Pani, nie mogę przyjąć takiej fortuny.

— Idźcie z Bogiem. Nie wyobrażacie sobie, ile dobrego uczyniliście dla tego domu.

— Będę was błogosławiła przez wszystkie dni mojego życia.

Ruth, nie zważając na wyrazy wdzięczności kobiety, przerwała jej słowami:

— Służący odwiezie was powozem. Nie powinniście o tej porze chodzić po ulicach Barcelony z taką sumą.

Kobieta wyszła, błogosławiąc swój los, a gdy tylko zniknęła za drzwiami, Ruth wezwała Omara.

Ich rozmowa trwała dłuższą chwilę. Wierny sługa, choć świadomy korzyści wynikających dla Martiego z planu jego pani, czuł się jednak w obowiązku przestrzec ją przed wielkim ryzykiem, na jakie się naraża, gdyby została zdemaskowana w środku nocy, przebrana za mężczyznę i mając przy sobie tak niebezpieczną rzecz.

Po północy przez bramę Regomira przejechał młody jeździec zaopatrzonego w glejt, który posiadali wszyscy pracownicy stoczni armatora Martiego Barbany, i skierował się stępem, by nie zwracać niczyjej uwagi, do końca plaży u podnóża góry Montjuic, gdzie lśniła widoczna aż z Barcelony łuna kuźni.

Gdy dotarł na miejsce, zsiadł z konia i przywiązawszy go do przeznaczonej do tego sztaby, zbliżył się do palenisk, gdzie odpoczywało kilku kowali, jedząc coś i popijając z bukłaków wino.

— Czy któryś z waszmościów zna kapitana Jofrego?

— Widziałem go niedawno w kuźni numer pięć. Tam go znajdziecie.

— Niech Bóg strzeże waszmościów. Dobrej pracy.

Pożegnawszy się, Ruth skierowała kroki do kuźni numer pięć, znajdującej się zaledwie sto metrów dalej.

Łoskot młotów uderzających w gorący metal na kowadłach wypełniał mrok dziwnymi rytmami. Kiedy dziewczyna, za zgodą stróża pilnującego wejścia, minęła okratowane drzwi kuźni, widok pieców syjących iskrami i czerwonej łuny odbitej w nagich

torsach kowali skojarzył jej się z obrazem samego piekła. Hałas był ogłuszający. Ruth podeszła do chłopców, którzy mieli za zadanie zbierać do wielkich parcianych koszy skrawki metalu, leżące obok skórzanych miechów, i wrzucać je z powrotem do pieców.

Krzycząc jednemu z nich wprost do ucha, by ją usłyszał, spytała o kapitana Jofrego, który odpowiadał, między innymi, za nadzorowanie pracy pieców produkujących metalowe części statków.

Chłopiec wskazał jej palcem kabinę w głębi kuźni, do której wchodziło się na górę po drewnianych schodkach. Ruth skierowała się tam, odprowadzana płomiennym wzrokiem mężczyzn, którzy wyczuli w swym otoczeniu kogoś obcego.

Jofre zauważył ją i natychmiast wychylił głowę, sądząc, że stało się coś złego, skoro tak nagle się zjawia. Ruth próbowała go uspokoić, ale panował taki hałas, że mogła wyjaśnić mu cel swojej wizyty dopiero wtedy, gdy wziął ją pod ramię i wszedłszy z nią do ciasnego pomieszczenia, zamknął drzwi.

W miarę jak tłumaczyła mu, o co chodzi, jego oczy coraz bardziej błyszczały.

— Gdzie jest ten pakunek?

— Tutaj.

Ruth wydobyła z fałd sukni niedużą sakiewkę i podała ją Jofremu. Ten podszedł do oświetlonego kagankiem stołu i wysypał jej zawartość.

— To wszystko?

— Nie, drugą połowę zostawiłam dla bezpieczeństwa w domu. Ta posłuży do przeprowadzenia eksperymentu.

— Ile mamy czasu?

— Ostatnie przesłuchanie jest pojutrze. Pozostaje nam zatem jeden dzień.

— Nie traćmy więc czasu.

Fragmenty łamigłówki

W powietrzu wyczuwało się niezwykle podniecenie. O ile w poprzednich dniach sala była wypełniona po brzegi, tym razem, zważywszy na to, że wszystko miało się rozstrzygnąć, nawet żołnierze pełniący wartę starali się zapewnić sobie miejsce w wielkiej sali. Wszyscy chcieli móc powiedzieć sąsiadom, przyjaciółom i krewnym, przybyłym z innych hrabstw: „Byłem tam owego dnia”. Tak czy inaczej ktoś niezorientowany w sytuacji, który musiałby wyrazić swoją opinię na podstawie reakcji publiczności, opowiedziałby się z pewnością po stronie doradcy hrabiego. Otrzymywał dużo więcej pozdrowień, gratulacji i wyrazów sympatii od klientów i krewnych, którzy, przeczuwając jego zwycięstwo, starali się do niego zbliżyć, niż błady jak ściana Marti, odzyskujący siły po ostatnim ataku gorączki i z dziwnym spokojem czekający przy stole na rozpoczęcie rozprawy.

Wszyscy byli już na swoich miejscach. Gdy trzy trybuny zajęły się widzami, sędziowie zasiedli za stołem, a oponenci naprzeciwko siebie, srebrne mauretańskie trąbki, dar od arabskiego króla Tortosy, i fanfary obwieściły przybycie hrabiostwa Barcelony, którym towarzyszył tym razem najstarszy syn Ramóna Berenguera, Pedro Ramón, mający zająć miejsce na tronie ustanowionym stopień niżej niż trony jego ojca i macochy.

Kiedy sędzia Vidiella oznajmił, że otwiera ostatni dzień *litis*, po którym zostanie ogłoszony werdykt hrabiego, na sali zapadła pełna napięcia cisza i spojrzenia kierowały się na przemian na obu oponentów.

— Zabierze głos don Marti Barbany de Montgri. Przedstawcie tu i teraz wszystkie ostateczne argumenty, bo nie będzie już innej okazji.

Marti poszperał w leżącej przed nim skórzanej torbie i wydobył list, który wszystkim pokazał.

— Proszę o zgodę, Wysokie Sądzie, bym mógł podejść do stołu i dostarczyć nowe dowody na potwierdzenie tego, co dotąd mówiłem.

— Zezwalam, ale powiedzcie najpierw, do czego zmierza cie — odrzekł Frederic Fortuny.

— Chcę, by mój przeciwnik potwierdził autentyczność pewnego listu.

— W porządku.

Marti wyszedł ostrożnie zza stołu. Starania lekarza Halewiego przyniosły efekt, tym razem obawiał się jednak najbardziej, by nagły atak gorączki nie sparaliżował go i nie pozbawił sił. W końcu dotarł do stołu sędziowskiego i wręczywszy dokument, wyjaśnił:

— Oto list, który otrzymałem dawno temu i chciałbym, by dostojny doradca powiedział, czy go zna i czy rozpoznaje pismo swej pasierbicy.

Trzej sędziowie przekazywali sobie list z rąk do rąk, po czym poleciwszy Martiemu, by wrócił na miejsce, wezwali do stołu Bernata Montcusiego.

Doradca zbliżył się dostojnie i powoli, jak przystało na jego pozycję i tuszę.

Sędzia Bonfill podsunął mu list. Montcusi, przyłożywszy do oka monokl, przyjrzał mu się z uwagą.

— Oczywiście, że poznaję ten list. Mówiłem o nim. Nie wiem, do czego zmierza mój przeciwnik, ale ten list potwierdza moje zeznania. Podyktowałem go mojej córce, gdy chciałem przerwać natychmiast ten przeklęty romans, który doprowadził do tragedii.

— Czy ciekawość powoda została zaspokojona? — zapytał sędzia Fortuny.

— Tak, Wysoki Sądzie. Chcę tylko, by ustalono jednoznacznie, że to pismo Lai Betancourt.

— Zostało to potwierdzone. Proszę wrócić na miejsce, eks celencjo. Niech mówi powód.

— Wysoki Sądzie, mam tu inny list, który chciałem pokazać, i który najwyraźniej został napisany tą samą ręką, co poprzedni.

— Podejdźcie.

Tym razem twarz doradcy wyrażała ciekawość zmieszaną z niepokojem.

Marti znów podszedł do stołu i wręczył sędziom list. Widząc, jak podają go sobie i wymieniają szeptem komentarze, widzowie wyczuli, że nadszedł kluczowy moment procesu. Nawet hrabia i hrabina byli zaintrygowani zwłoką sędziów, a członkowie *Curia Comitis* spoglądali na siebie z niepokojem.

Eusebi Vidiella, pełniący funkcję sekretarza, wstał.

— Zważywszy na wagę dowodu, wzywamy ponownie don Bernata Montcusiego.

Tym razem zachowanie doradcy się zmieniło. Wstał raptownie i wielkimi krokami podszedł do stołu sędziowskiego. Założył monokl i gdy przeczytał list, jego twarz posiniała.

— To nikczemne, ordynarne kłamstwa! Żądam, by ten fałszywy dowód spotkał się z natychmiastowym potępieniem!

Po krótkiej naradzie sędziów sekretarz wstał.

— Rozpatrzmy ten dowód w naszym gronie i później...

Spór przerwał głos hrabiego:

— Niech list zostanie odczytany na głos. *Litis* odbywa się publicznie, nie chcemy więc pozbawiać obywateli Barcelony prawa poznania wszystkich okoliczności sprawy.

Sędzia Bonfill wstał i w panującej na sali martwej ciszy przeczytał list Lai, zawierający poważne oskarżenia wobec jej ojczyma.

Gdy skończył, Montcusi podniósł się z miejsca i zaczął krzyczeć jak opętany:

— To kłamstwa, absurdalne bzdury i kalumnie! Żądam, by Marti Barbany przyznał się do sfałszowania tego oszczerczego listu, za pomocą którego próbuje mnie zdyskredytować!

— Ekszelencjo, przypominam, że nie udzielono wam głosu — oznajmił Bonfill, dodając: — Obywatelu Marti Barbany de Montgri, macie jeszcze czas sprostować wasze zeznania. Mówcie.

Marti wstał powoli. Po raz pierwszy miał świadomość, że to on przejął inicjatywę.

— Nie cofam ani słowa z tego, co powiedziałem. Ani obywatel Montcusi, ani ja nie jesteśmy w stanie potwierdzić, czy ten list napisała Laia Betancourt. Zważywszy jednak, że mój oponent rozpoznał jej pismo w poprzednim liście, proponuję, by zwrócić się do uczonych z *Escola scriptorum* przy katedrze o poświadczenie jego autentyczności.

Trzej sędziowie naradzali się, gdy przez zgiełk panujący na sali przebił się donośny głos Ramóna Berenguera:

— Niech tak się stanie! Wyjątkowo, wobec tej niespodziewanej zwłoki, zawieszamy proces do chwili, gdy czcigodni zakonnicy ogłoszą werdykt. Panie sekretarzu, zakończcie posiedzenie sądu.

Gdy sędzia trzykrotnie uderzał młotkiem w stół, zamykając rozprawę, a Marti wymieniał spojrzenia z Llobetem, który wychodził z sali, aby uściskać z radością Jofrego, Omara i Manipoulosa, na widowni rozlegało się tak głośnie tupanie, że przypominało ono staremu marynarzowi odgłosy morskiej nawałnicy.

Boska sprawiedliwość

Opinia uczonych była jednoznaczna. Oba listy napisane zostały tą samą ręką. Gdy sekretarz odczytał werdykt, sala zamarła. Dowody świadczyły niezbicie o winie Montcusiego. Hrabia spoglądał na niego z tronu surowo i posępnie. To, co zaczęło się niemal jak zabawa, próba zręczności i sprytu jego doradcy, kończyło się dramatycznie. Bernat spoglądał w przestrzeń, a na jego twarzy malowało się zagubienie. Głos sędziego Fortuny przywrócił obecnych do rzeczywistości.

— Pytam powoda, czy zgłasza jeszcze jakieś żądania wobec pozwanego, zanim zakończymy *litisl*

— Tak, Wysoki Sądzie.

— Mówcie zatem.

— Domagam się, by zwrócił honor naczelnikowi bankierów, Baruchowi Benvenistowi, straconemu publicznie, w dodatku w haniebnym sposób.

Słowa Martiego były jak piorun poprzedzający grzmot. Za chwilę miała rozpętać się burza, gdyż jego oskarżenie dotyczyło pośrednio hrabiego Barcelony.

Głos sędziego Fortuny brzmiał obojętnie, była w nim jednak nuta groźby.

— Macie świadomość, że kwestionujecie w ten sposób sprawiedliwość naszego pana?

— Jestem świadomy, że jedynie Bóg w niebiosach jest nieomylny.

— Wasza odpowiedź jest wymijająca. O ile nie wyjaśnicie waszych słów, być może wygracie *litis*, ale czeka was o wiele poważniejszy proces.

Barbany szykował się do stoczenia ostatniej bitwy. Doradca, dostrzegłszy wyłom w jego linii obrony, był gotów skorzystać z szansy.

Marti spojrział w kierunku tronów hrabiego i hrabiny i przemówił tak, jakby zwracał się tylko do nich.

— Najjaśniejsi hrabiowie, czcigodni sędziowie. Nie urodziłem się szlachcicem i nie kształcili mnie dworscy nauczyciele ani wybitni profesorowie ze szkoły katedralnej. Pochodzę z prostej rodziny i uczył mnie skromny prowincjonalny ksiądz, który potrafił mi jednak wpoić zasady równości i sprawiedliwości. Wiem, że wasza praworządność, hrabio, jest legendarna, i nie czynicie różnicy między szlachtą, obywatelami Barcelony i plebem. Dlatego lud was kocha i chce mieć za przewodnika naj słynniejszego chrześcijańskiego księcia. Ale sprawiedliwość, panie, opiera się na dowodach i zeznaniach, a gdy te, z powodów od was niezależnych, nie są wiarygodne, co więcej, są fałszowane, może się zdarzyć, że zostaje ukarany ktoś niewinny, a winowajca unika kary.

Marti skupiał uwagę obecnych i w powietrzu wyczuwało się rosnące napięcie. Po chwili przerwy, którą zrobił celowo, by jego słowa trafiły do publiczności, podjął:

— Przed kilkoma miesiącami skazaliście na szubienicę naczelnika bankierów, Barucha Benvenista, nie za to, że popełnił błąd, nie rozpoznając fałszywych *maravedies*, lecz za rzekomą próbę okradzenia hrabiowskiego skarbcza i zawłaszczenia złota ze sto pionych monet pod pretekstem, że były fałszywe. W ten sposób chciał podobno oszukać doradcę finansowego hrabstwa, którym jest nikt inny, jak pozwany Bernat Montcusi. Otóż, ekscelencje,

mam przy sobie niepodważalny dowód, że doszło do bezprawia i że godzi się bez wątpienia przywrócić dobre imię waszemu wiernemu słudze, a także żydowskiej wspólnocie z Cali.

Marti wyjął uroczyście z wypchanej torby dwie sakiewki, jedną ze zwykłego kurdybanu, drugą z delikatnej irchy z wyhaftowanym godłem hrabiowskim z czterema czerwonymi pasami, i położył obie na stole. Widzowie śledzili jego poczynania z taką samą uwagą, z jaką dzieci obserwują sztuki magika na rynku miasteczka. Tym razem Marti zwrócił się do publiczności na trybunach.

— Zobaczcie państwo, co tu mam. Moja pani Almodis raczyła nadać mi tytuł obywatela Barcelony w nagrodę za to, że zapewniłem oświetlenie miasta przed przybyciem ambasadora Sewilli, i wręczyła mi sakiewkę ze złotymi monetami, abym je rozdzielił między moich służących i uczcił w ten sposób to radosne wydarzenie. Nie chciałem jednak pozbywać się tak cennej pamiątki, podarowałem więc moim ludziom obiegowe *mancusos*, zachowując na dnie kufra sakiewkę z hrabiowskim godłem, którą wam przedstawiam i która nadal zawiera *maravedies* otrzymane od hrabiny. Dwa dni temu ktoś znalazł ją wśród wartościowych przedmiotów, które posiadam, i postanowił zanieść garść monet do mojej kuźni na wybrzeżu, by je stopić i w ten sposób sprawdzić ich wartość. Panowie, monety były fałszywe! A nie dotykał ich ani Benvenist, ani bankierzy z Cali. Oto dowód.

Najwolniej jak mógł, Marti wysypał na sędziowski stół zawartość drugiej sakiewki. Na blat wypadły nieregularne kawałki ciemnego metalu.

Hrabia zbladł, podczas gdy widzowie, zerwawszy się na nogi, wiwatowali, krzyczeli i dyskutowali. Na sali zawrzało od wrzasków i obelg, którymi obrzucali się wzajemnie szlachta i obywatele. Przedstawiciele kleru siedzieli spokojnie, czekając na rozwój wydarzeń.

Kiedy przywrócono porządek, główny sędzia kazał Martiemu kontynuować.

— Oto więc, najjaśniejsi hrabiowie, dowód, że wszystkie

maravedies, które dostarczył niechlubnej pamięci ambasador Abenamar, aby wykupić ar-Rashida, syna al-Mutamida, króla Sewilli, były fałszywe, a zatem nieszczęsny Baruch Benvenist poniósł niesprawiedliwą karę. Dlatego domagam się teraz z tego miejsca zrehabilitowania go i zwrócenia wszystkich dóbr jego spadkobiercom, gdyż dla niego samego nic już nie można zrobić.

To jednak nie koniec. Doradca ma dwa wyjścia: przyznać, że z powodu swej nieudolności i strasznego zaniedbania przyjął fałszywe *maravedies* jako prawdziwe, narażając na poważne straty skarb hrabstwa albo, co gorsza, że zdawszy sobie sprawę z oszustwa, próbował uniknąć odpowiedzialności, obarczając winą żydowskich bankierów i oskarżając ich, że chcieli okraść hrabiego i przywłaszczyć sobie złoto pod pretekstem, iż otrzymali od niego monety z ołowiu.

Tym razem, gdy Marti skończył żarliwą przemowę, na trybunie kleru rozległy się oklaski, którym zawtórowali również najbardziej nieugięci zwolennicy doradcy. Dowody były niepodważalne.

Kiedy owacja ucichła, sędzia Frederic Fortuny oddał głos Montcusiemu.

— Panie doradco, odpowiedzcie na postawione wam zarzuty.

Bernat Montcusi postanowił nie sprzedać tanio skóry. Wszedł na podium, oparł się o pulpit i wypatrując wzrokiem sojuszników wśród publiczności, zaczął szukać drogi ucieczki.

— Ekscelencje, Wysoki Sądzie, szlachetni panowie, duchowieństwo Barcelony, obywatele. Zawsze ściśle przestrzegałem prawa, znam moje przywileje i ograniczenia i wiem, że w przypadku *litu honoris* pozwany musi trzymać się tylko tych tematów, które poruszy powód. Ale skoro wspomniał on o bankierach, pomówmy o tym.

I grzmiącym głosem kaznodziei zaczął przemowę:

— Jak ten szubrawiec ośmiela się oskarżać mnie o cokolwiek, skoro gości w swym domu kogoś, kto narusza w oczywisty sposób rozkaz, wydany przez hrabiego Barcelony? Jak można dawać wiarę jego pomówieniom, jeśli pan Barbany jest winien łamania prawa, co dyskwalifikuje go jako oskarżyciela? —

Wycelował w Martiego gruby wskazujący palec prawej ręki. — Panie Barbany, czy nauczyciel, o którym wspominaliście, nie powiedział wam, że ten, kto osłania winnego nieposłuszeństwa, znieważa sąd i staje się współnikiem przestępstwa? Oskarżam was o ukrywanie w waszym domu najmłodszej córki skazanego Barucha Benvenista, która powinna wyjechać razem z rodziną, zesłaną na wygnanie wielkodusznym wyrokiem naszego pana Ramóna Berenguera. Jest Żydówką, ciąży na niej wyrok, a w dodatku gardzi nią jej wspólnota, gdyż mieszka poza Cali.

Nie jesteście godni stawiać mi żadnych zarzutów. Czyn, którego się dopuściliście, uniemożliwia wam wytaczanie *litis* przeciwko uczciwemu obywatelowi, przestrzegającemu prawa. Z tego względu wszystkie wasze oskarżenia nie mają wartości z przyczyn proceduralnych.

Widzowie spoglądali na przemian na obu oponentów i hrabiego.

— Jeśli potraficie wyjaśnić taką niegodziwość i perfidię, oddaję wam głos, byście spróbowali się usprawiedliwić. Panowie sędziowie, domagam się unieważnienia całego procesu, bo osoba, która go wytoczyła, nie miała do tego prawa.

Podciągnąwszy tunikę i odwróciwszy się ostentacyjnie, Montcusi ruszył na swoje miejsce.

Marti, który z powodu napięcia miał nawrót gorączki, zamierzał podejść do pulpitu, lecz zawrót głowy zatrzymał go przy stole.

Wtedy właśnie z trybuny odezwał się ojciec Llobet i zwróciwszy się do hrabiny, poprosił o zgodę na zabranie głosu. Gdy podchodził do podium, zapadła pełna wyczekiwania cisza.

— Nie przychodzę tu mówić o doradcy, lecz odeprzeć pewne nieprawdziwe zarzuty. Rzeczywiście, Ruth Benvenist, najmłodsza córka naczelnika bankierów, mieszkała jakiś czas temu pod opieką niani w domu pana Barbany. Przyjęła jednak chrzest, zanim minął termin wyroku skazującego ją na banicję. Osobiście ją ochrzciłem i umieściłem ją w klasztorze do wyjaśnienia sytuacji. Wiem również, że wkrótce wyjdzie za Martiego Barbany... — dodał, uśmiechając się do swego podopiecznego. — I rozumiem,

że zarzuty w stosunku do naczelnika Barucha i jego rodziny w obliczu przedstawionych tu dowodów zostaną cofnięte.

Bernat Montcusef opadł ciężko na krzesło.

Posiedzenie zamknięto i ludzie wyszli podekscytowani na ulicę, komentując wydarzenia tego emocjonującego dnia i spekulując, jaki werdykt wyda hrabia. Tymczasem Ramón Berenguer opuszczał salę ze ściągniętymi brwiami, zmartwiony niełatwym problemem, który miał do rozwiązania. Jedno było oczywiste: nie może na tym ucierpieć ani jego honor, ani finanse hrabstwa.

Owej nocy małżonkowie prowadzili rozmowę w napiętej atmosferze.

— Nie rozumiem twojej niefrasobliwości, Almodis. Jak mogłaś rozdawać bez porozumienia ze mną pieniądze, którymi tak hojnie cię obdarzyłem, i zaszkodzić w ten sposób hrabstwu?

Almodis skoczyła jak źmija — atak jest zawsze najlepszą obroną.

— Sugerujesz, że muszę pytać cię o zgodę, gdy chcę służyć mojemu ludowi? Uważasz, że moi biedacy nie powinni dostawać zupy, bo nie pasuje to twojemu zarządcy? Czyż nie powiedziałam ci, na co zamierzam przeznaczyć *maravedies*, które mi przekazałeś? Poza tym nikt nie mógł przewidzieć, w jakiej znajdziesz się opresji z powodu niedbalstwa i nieudolności twojego doradcy, którego zresztą nigdy nie darzyłam sympatią.

— Ale jak mam teraz uzasadnić swoją pomyłkę?

— Jesteś hrabią Barcelony i przed nikim nie musisz się tłumaczyć. Gdyby nie głupota zarządcy, niczego by ci nie zarzucano. *Maravedies* przechodziłyby z rąk do rąk, podążając swoimi drogami, gdyż pieniądze nie mają ojca ani matki, a gdyby ktoś wykrył fałszerstwo, hańbą okryłby się król Sewilli, gdyż to jego podobizna, a nie twoja, widniała na awersie monety. Zaczynaj zastanawiać się nad werdyktem i tym razem działaj roztropnie, bo musisz ukarać winnego całego tego zła. Nade wszystko Barcelona musi pozostać nieskalana i niech każdy dostanie to,

na co zasłużył. Powiem ci, że ocalisz honor, jeśli prosty lud dostrzeże w wyroku swego pana, iż nie popiera on możnych ze szkodą dla zwykłych poddanych. Zresztą don Marti Barbany nie jest byle kim: przyniósł ci już i może przynieść w przyszłości ogromne zyski.

— Wdzięczny ci jestem za radę, ale zapominasz, że kiedy cię poznałem, byłem już hrabią Barcelony. Wiem, że władca ma służyć swemu ludowi i powinien czynić to, co dobre dla większości. Mam świadomość, iż są chwile i okoliczności, gdy roztropność nakazuje odłożyć na bok uczucia i lojalność i możesz być pewna, że gdybym musiał wybierać między sercem i rozumem, ten ostatni będzie decydował. Jeśli po to, by statek nie zatonął, trzeba wyrzucić za burtę towar, tak się robi. Gdy zatem ktoś staje się balastem, należy się go pozbyć, choćby było to przykre. Wiedz jednak, że postąpię tak z własnej woli, nie za twoją radą. Przypominam ci poza tym, że to właśnie ty przekonałaś mnie, bym wyraził zgodę na *litis*... Gdyby nie ty, to wszystko by się nie wydarzyło.

Almodis znieruchomiła. Była pewna, że wszyscy w pałacu wkrótce będą wiedzieli o tej rozmowie. Ze wzrokiem utkwionym w mężu podeszła do niego i wzięła go za rękę. Na jej wargach pojawił się uwodzicielski uśmiech, dzięki któremu potrafiła zwykle *złagodzić* gniew hrabiego.

Tym razem było jednak inaczej. Hrabia cofnął rękę i odparł:

— Teraz, jeśli pozwolisz, chciałbym zostać sam, aby zastać się nad werdyktem.

I skłoniwszy głowę, wyszedł z komnaty.

Almodis stała przez chwilę, po czym podeszła do kredensu i naląła sobie z karafki sporą porcję likieru. Z kieliszkiem w dłoni usiadła na krześle przy okienku wychodzącym na ogród i upiwszy łyk trunku, uświadomiła sobie, że po raz pierwszy hrabia ją odtrącił. Dotknęła twarzy, poczuła pod palcami zmarszczki i w jej oczach załśniły łzy buntu.

Mieszka w Barcelonie, gdzie osiągnęła życiowy sukces. Dwukrotnie porzucona, zdołała dotrzeć na szczyt, co stanowiło nie

lada osiągnięcie. Wiedziała, że ludzie przypisują to żądzy władzy, ale jej najbliżsi, którzy dobrze ją znali, zdawali sobie sprawę, iż walczy o przyszłość swoich dzieci. Wciąż pamiętała dzień, gdy poznała swego blazna, i wrażenie, jakie wywarły na niej jego słowa, że zapoczątkuje nową dynastię w rejonie Pirenejów. Zawsze wiedziała, że przeznaczeniu należy pomagać, i nie szczędziła wysiłków.

Napotykała wiele przeszkód. Na myśl o Ermesendzie uśmiechnęła się mimo woli. Bez wątpienia ta straszna staruszka była jej godną rywalką i szczerze mówiąc, swym zniknięciem pozbawiła ją bodźców do działania. Walka, jaką podjęła, by doprowadzić do ekskomunikowania pary hrabiowskiej, choć toczona przeciwko Almodis, budziła w niej podziw, gdyż dowodziła niezwyklej odwagi. Przyznawała, że Ermesenda aż do śmierci była groźną przeciwniczką, której musiała stawiać czoło z determinacją niepozbawioną dyplomacji, gdyż hrabia w głębi serca kochał i szanował babkę, doceniając jej wysiłki, by umocnić jego władzę w podległych mu hrabstwach.

Potem Almodis przypomniała sobie swoje usilne starania, by zostać matką, gdy już nikt się tego nie spodziewał. Pragnęła nade wszystko dać mężowi spadkobiercę, sądząc, iż jego narodziny na zawsze umocnią ich związek. Urodziła bliźniaki i choć nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle, od tamtej chwili przysięgła sobie, że nigdy nie pozwoli się porzucić.

Miała teraz na swej drodze tylko jedną przeszkodę i musiała być ostrożna, jeśli chciała ją usunąć, nie ponosząc strat. Pedro Ramón, pierworodny syn hrabiego, przeszkadzał jej w osiągnięciu celu. To, co po przybyciu do pałacu uważała za impertynencje młodzika zazdrosnego o swe przywileje i prawa, zmieniło się z biegiem lat w otwarty konflikt. Z pewnością tej nocy czuł satysfakcję, będąc świadkiem, jak jego macocha została potraktowana przez swego męża.

Wypiła kolejny łyk likieru i westchnęła ciężko. Już ona zajmie się Pedrem Ramónem... Uśmiechnęła się z dumą, myśląc o swoich synach. Ramón Berenguer, bliźniak o jasnych włosach, miał

zadatki na księcia. Powinien być, i będzie, następnym hrabią Barcelony, bez względu na wszystko. Uniosła kielich i opróżniła go jednym haustem.

— Za ciebie, Ermesendo, moja droga nieprzyjaciółko. Od teraz będzie mi przyświecał twój przykład... Skoro nie mogę już walczyć bronią kobiety, wykorzystam oręż królowej.

120

Wyrok

Po zakończeniu ostatniego posiedzenia sądu ludzie wyczuwali, jaki będzie werdykt. Marti, w drodze z ratusza do swej rezydencji, był dosłownie oblegany przez tłum nieznajomych, którzy gratulowali mu, poklepywali go po plecach i zasypywali pytaniami. Dzięki obstawie, jaką stanowili masywny Eudald Llobet, trzech kapitanowie i jego służba, przedarł się jakoś przez ten ludzki mur.

Gdy dotarł wreszcie na dziedziniec swego domu, opuściły go siły i upadł zemdłony. Kryzys, spowodowany strasznym napięciem i resztkami trucizny, wywołał wysoką gorączkę i utratę przytomności. Marti majaczył przez kilka dni. Położono go w sypialni, zaciągając zasłonki wokół łoża z baldachimem, wygaszając lampy oliwne i uchylając wielkie okno, aby wpadało przez nie rześkie lutowe powietrze. Dla Ruth postawiono łóżko w nogach jego łoża. Spędzała przy nim dni i noce, pilnując, by brał lekarstwa, które przepisał mu lekarz Halevi, i próbując przyprawionego bulionu, który przysyłała z kuchni Marionie i którym starała się go karmić, gdy tylko odzyskiwał przytomność. Gdy Ruth musiała odpocząć, zastępowała ją Aixa. Niewidoma siadała przy łożu chorego i co jakiś czas kładła mu dłoń na czole, by sprawdzić, czy ma gorączkę. Jedyne osoby, które niezmiennie miały do Martiego swobodny dostęp, byli Eudald, Jofre

i Manipoulos oraz, oczywiście, lekarz Halevi. Kapitan Felet wypłynął w kierunku Bosforu.

Tak minęło prawie trzydzieści dni, podczas których w Barcelonie wiele się wydarzyło.

Ogłoszono werdykt i przedstawiciele wszystkich warstw społecznych komentowali decyzję hrabiego.

Mieszkańców Cali oczyszczono z wszelkich zarzutów. Naczelnik bankierów odzyskał dobre imię i honor. Stwierdzono, że nie przywłaszczył sobie złota hrabiego i obarczono go odpowiedzialnością jedynie za to, iż przyjął fałszywe monety, nie sprawdzivszy ich jak należy. Jego rodzinę uwolniono od kary banicji. Doradca do spraw aprowizacji, Bernat Montcusi, został tym samym uznany za głównego winnego niefortunnego incydentu, gdyż nie rozpoznał fałszywych *maravedies*. Nie to było jednak jego największym wykroczeniem. Udowodniono mu również, że kłamał, nie przyznając się do dręczenia swej pasierbicy, najpoważniejsze zaś było oskarżenie, iż zeznając pod przysięgą, próbował oszukać hrabiego, swego pana, co stanowiło niewybaczalny występki.

Doradca został pozbawiony wszystkich godności i całego majątku, odpowiadając na równi z Baruchem za pokrycie strat wynikłych z przyjęcia fałszywych *maravedies*. Za to, że splamił swój honor, próbując zrzucić winę na bankierów, skazano go na wygnanie poza obszar hrabstw Barcelony, Gerony i Osony na okres co najmniej pięciu lat.

Szlachta chwaliła werdykt, gdyż Montcusi, nie należąc do żadnego z wielkich rodów, nie był osobą popularną. Kościół wstrzymywał się od komentarzy, obywatele Barcelony zaś, których wielokrotnie krzywdził i wyzyskiwał, cieszyli się z porażki tego wpływowego dostojnika. Prosty lud, przekonawszy się, że tym razem nawet możnowładcę spotkała kara, uznał, iż hrabia traktuje tak samo wszystkich swoich poddanych i świętowano to w oberżach i karczmach.

Oczyszczający ogień

Późnym popołudniem zaczęły bić dzwony wszystkich kościołów w mieście. Ruth, czuwająca przy Martim, wyszła na galerię głównego dziedzińca, szukając kogoś, kto by jej wyjaśnił przyczynę owego zgiełku, który mógł przeszkadzać jej podopiecznemu. Natychmiast dostrzegła z wysoka, jak otwiera się główna brama i na dziedzińcu pojawia się zdenerwowany Omar, próbując powiedzieć majordomowi coś, czego tamten z góry nie mógł dosłyszeć.

Ruth krzyknęła z drewnianego balkonu:

— Co się dzieje, Omarze?!

— Już idę na górę, pani.

Gdy dziewczyna zobaczyła, jak Omar wbiega na schody prowadzące do głównej sali na piętrze, ruszyła szybko w ich kierunku.

Omar dotarł na górę zdyszany, pokonując po dwa stopnie naraz.

— Co się stało?

— Pożar, pani, straszny pożar. Jeśli wychylicie się przez balkon na wschód, zobaczycie wznoszące się w niebo słupy dymu.

— Ale gdzie się pali?

— Podobno w okolicach bramy Castellvell. Może się to źle skończyć.

— Co mamy robić?

— Zwołano ludzi pod kościół Sant Jaume, żeby przybyli wyposażeni w topory, motyki, kilofy i co tylko mają pod ręką. Wydano rozkaz, że potrzebne są wozy, furmanki i karety, za przęzone w muły i konie, jakie można znaleźć w obrębie miasta i na przedmieściach. Mają się kierować do bramy Castellvell, załadowane beczkami, bukłakami, kadziami, baryłkami... je dnym słowem wszelkimi pojemnikami, w których można prze wozić wodę.

W tym samym czasie w sali posiedzeń Pałacu Hrabiego Ramón Berenguer zgromadził wokół wielkiego stołu członków *Curia Comitum* wraz z *veguerem* miasta, Olderichem de Pellicer, i majordomem Gualbertem Amatem.

— Poinformujcie nas, Olderichu, co się dzieje.

Wszystkie głowy zwróciły się w stronę miejsca, które zajmował *veguer*.

— Otóż, panie, po południu zjawił się w moim gabinecie dowódca straży, który pełnił dziś wartę, i powiadomił mnie, że dom doradcy... przepraszam, Bernata Montcusiego, płonie ze wszystkich stron.

— Jak to możliwe, żeby palił się dom z kamienia przylegający do murów obronnych? — Odburknął Ramón Berenguer.

— Domyślam się, panie, że ogień podłożono.

— Skąd to przypuszczenie?

— Panie, wygląda na to, że pożar zaczął się równocześnie w trzech miejscach, a dym jest tak gęsty i czarny, jakby wydo bywał się z piekła.

— Jakie kroki powzięto? — spytał Gualbert Amat.

Olderich, zwracając się do księcia, odparł:

— Wezwałem mieszkańców, by zebrali się przed kościołem Sant Jaume, zaopatrzeni we wszystko, co służy do gaszenia ognia, a przy bramie Castellvell mają zgromadzić się właściciele wozów, furmanek i wszelkich środków transportu nadających się do

przewozu beczek, kadzi i innych pojemników na wodę. Moi ludzie każą im nabrać wody z morza albo z koryt Rec Comdal, Besós lub Llobregat, gdzie będzie najdogodniej. Ci, którzy nie będą mieli beczek, mają ładować na wozy piasek z plaży i wieźć go do bramy Castellvell.

Wszyscy mieszkańcy przystąpili do gaszenia pożaru. Ich wysiłki były jednak daremne. Eksperci doszli do wniosku, że ogień wznicił sam szatan i że płomienie dobywają się wprost z piekła. Miasto, zbudowane w większości z drewna, było w niebezpieczeństwie. Podczas gdy mężczyźni walczyli z ogniem, kobiety udawały się do kościołów i wraz z księżmi modliły się dzień i noc przed Najświętszym Sakramentem. Wozy, które dostarczały wodę, podjeżdżały kolejno pod mury i beczki podnoszono na krążkach, aby wylewać ich zawartość w środek płomieni i na ściany sąsiednich domów. Z drugiej strony sypano mokry piasek... Na próżno. Dowódca miejskiej straży pożarnej wydał rozkaz, by zdemontować stropy pobliskich domostw i usunąć wszelkie łatwopalne przedmioty, aby nie dopuścić do rozprzestrzeniania się ognia. Po dziewięciu dniach i nocach pożar ugaszono. Pogorzelisko robiło przygnębiające wrażenie. Dom podpalono celowo, niemal równocześnie w trzech miejscach, ale ognisko pożaru znajdowało się w piwnicy, gdzie doradca trzymał beczki z czarnym olejem. Po Montcusim nie pozostał żaden ślad i choć hrabia wydał rozkaz, by szukano wśród popiołów szczątków jego opasłego ciała, nikt go nie odnalazł. Natrafiono natomiast na zwęglone zwłoki kilku służących. Próbowali oni na próżno wypuścić zwierzęta ze stajni, gdzie magazynowano słomę, która spłonęła jak pochodnia.

Ramón rozmawiał z Almodis w zaciszu sypialni.

— Nic nie ocalało. Jakby ciążyła nad nim klątwa.

— Co świadczy o tym, że twój doradca wołał puścić majątek z dymem, niż oddać go swemu panu. I mówisz, że nie znaleziono na pogorzelisku jego ciała?



- Kazałem wszystko przeszukać. Jakby go piekło pochłonęło.
- Przypuszczam, że tam powinien trafić. Tak czy inaczej przysporzył nam wielu strat, gdyż spalony dom był sporo wart.
- Miał dużo większy majątek poza murami. Zleciłem księgowym, by przeprowadzili inwentaryzację i byłem zdziwiony, ile zgromadził za miastem ziem, nieruchomości oddanych w dzierżawę i młynów.
- A ty podarowałeś mu fortece w Terrassie i Sallent... Czasem, gdy masz do kogoś słabość, twoja hojność prowadzi do marnotrawstwa, a mnie odmawiasz garści monet na moje zbożne cele.

Marti wyzdrowiał. Czas, siła jego organizmu i starania Ruth zdziałały cud. Przede wszystkim jednak powrót do zdrowia zawdzięczał przepelniającym go uczuciom. Możliwość przyznania się do tego, że kocha Ruth, przed samym sobą, przed nią i całym otoczeniem dodawała mu skrzydeł. Przeżywał na nowo magiczną chwilę z poprzedniej nocy, gdy przewracał się niespokojnie na łóżku, nie mogąc zasnąć, i nagle otworzyły się na oścież prowadzące na taras drzwi sypialni, przesłonięte cienką zasłonką, przez którą wpadało do środka świeże powietrze. Zobaczył w nich zarys postaci, a potem ujrzał w srebrnym blasku księżycy nagie ciało Ruth, która zbliżała się do jego łóżka. Marti oniemiał z wrażenia. Nigdy sobie nie wyobrażał, że pod halkami kryje się takie piękno. Czarna burza opadających na ramiona włosów, wąska talia, krągłe biodra, długie nogi i dorodne piersi — jej sylwetka przypominała kształtami smukłą cytrę.

Dziewczyna odsunęła koc, którym był przykryty, i drżąc, położyła się obok niego.

— „I gdziekolwiek będę, prześlę wam pozdrowienia”. Pamiętasz? Czyny znaczą więcej niż słowa. Jesteś, Marti, jedynym obrońcą honoru mego ojca. Myślę, że nadeszła pora, byśmy poddali się naszym uczuciom. Chcę poczuć cię w sobie i zjednoczyć się z tobą. W ten sposób wypełni się to, co było zapisane

w gwiazdach od pierwszego dnia, gdy moje oczy dostały łaski ujżenia ciebie.

Dziewczyna pocałowała jego rozchylone wargi. Marti poczuł przyptyw życiowej energii i nie potrafiąc hamować tak długo tłumionej namiętności, posiadał Ruth w blasku księżyca.

Gdy tego ranka Llobet zaznajomił Martiego z wyrokiem i okolicznościami pożaru w domu zarządcy, w jego głowie zaczął kiełkować pomysł.

— Mówicie zatem, że to poważny uszczerbek dla hrabiowskiego skarbcza?

— Najwyraźniej. Zgodnie z wyrokiem dom miał stanowić część spłaty długu Montcusiego wobec miasta, a teraz została tylko działka. Co więcej, ogień zniszczył także okoliczne domy i ich właścicielom należy się odszkodowanie z kasy miejskiej.

— Widujecie się ostatnio z hrabiną?

— Regularnie. Dlaczego pytasz?

— Przychodzi mi coś do głowy.

— Już się boję.

— Pozwólcie, że pomówię o tym z Ruth, i jutro wam powiem.

— Więc mówicie, mój zacny Eudaldzie, że obywatel Barbany jest gotowy kupić działkę, na której stał dom doradcy, aby urządzić tam ogród i podarować go miastu, by mogły się tam bawić dzieci? — spytała zdumiona hrabina.

— Tak powiedziałem. Postawił tylko jeden warunek.

— Jaki mianowicie?

— Ma się nazywać Ogrodem Lai, a na środku stanie kamienny krzyż ku jej czci.

— Będę musiała skonsultować to z mężem, ale uważajcie sprawę za załatwioną.

— Domaga się czegoś jeszcze. Chce otrzymać zgodę na sprowadzenie do miasta bez cła rozmaitych krzewów, drzew,

roślin, zwierząt i ptaków z całego świata, a także wody niezbędnej do ich uprawy i hodowli. Ma kogoś, kto się tym zajmie, a także statki do przewożenia z dalekich lądów nowych gatunków.

— Czy pan Barbany pozwoli, by w którymś miejscu napisano, że Ogród Lai powstał dzięki wstawiennictwu hrabiny Almodis?

— Będzie z tego dumny, pani.

Półtora roku później

Barcelona szczyciła się Ogrodem Lai. Efekt zdumiał samego Martiego, który nie wyobrażał sobie, że Omar stworzy coś tak pięknego. Miejsce dawnej rezydencji Bernata Montcusiego było teraz przepiękne. Posadzono tam wyrosnięte już drzewa i krzewy, założono trawniki. Cały ogród, który przecinał niczym strumyk kanał nawadniający, otaczało żelazne ogrodzenie zrobione w kuźniach stoczni i będące prezentem od jej pracowników. Za ledwie przed miesiącem ogród otworzyła uroczyście hrabina Almodis w towarzystwie wysokich dostojników miasta, na których czele stał *veguer* Olderich de Pellicer.

Tego ranka olśniewająco piękna Ruth, której najwyraźniej służyło macierzyństwo, szła obok męża, niosąc na ręku zawiniętą w kocyk śliczną dziewczynkę. Marti nie rozumiał, dlaczego idzie z nim do ogrodu, gdyż odwiedzała go już wiele razy. „Dziś jest szczególny dzień”, oświadczyła mu Ruth.

— Powinnaś o tej porze nakarmić Martę, a tu nie możesz — protestował Marti, świeżo upieczony ojciec, zakochany w córeczce.

— Nie martw się o tę łakomczuchę, która ma bardziej wygórowane żądania niż hrabina.

— Ale dokąd mnie prowadzisz?

— Zobaczysz.

Doszli krętą ścieżką między sykomorami do krzyża z szarego marmuru i bazaltu, postawionego dokładnie w miejscu, gdzie przed laty rozegrała się tragedia.

Marti zbliżył się do niego zaciekawiony, gdyż dostrzegł u jego podstawy coś, czego przedtem tam nie było. Ruth zleciła wykonanie tablicy najlepszemu kamieniarzowi z Montjuic. Napis z brązu głosił:

STĄD ULECIAŁA DO NIEBA LAIA,
KTÓRA ZAWSZE BĘDZIE ŻYŁA W PAMIĘCI
TYCH, KTÓRZY JĄ ZNALI.
ANIOŁOWIE POWINNI PRZEBYWAĆ
WŚRÓD ANIOŁÓW.

W oczach Martiego zalśniły łzy. On, który pokonał tyle przeciwności losu i niebezpieczeństw, wzruszył się tym dowodem szlachetności Ruth.

— Co mogę dla ciebie zrobić, by odwdziżyć ci się za miłość i wielkoduszność?

Ruth spojrzała na niego zakochanymi oczami, po czym skierowała wzrok na córeczkę, która, nie rozumiejąc, o czym mowa, machała radośnie rączkami.

— Podaruj mi ziemię, mój kochany, na której każdy człowiek będzie mógł żyć wolny, praktykując swą wiarę, i na której nie będzie panów ani niewolników. Ziemię, gdzie wszyscy obywatele są równi wobec prawa i nikt nikogo nie może zniewolić, aby dorastały na niej wolne i szczęśliwe dzieci, którymi Bóg, rządzący naszymi losami, zechce nas obdarzyć.

— Bądź pewna, moja żono, że podaruję ci taką ziemię.

Od autora

Wiek XI w dziejach Katalonii dostarcza pisarzowi tyle materiału, że czytelnikowi tej książki fakty historyczne mogą wydać się fikcją literacką i odwrotnie.

Bohater powieści historycznej to na ogół wytwór wyobraźni autora. W tym przypadku było inaczej. Pierwowzorem postaci Martiego Barbany jest Ricard Guillem, rycerz, którego biografię studiował mediewista Jose Enriàque Ruiz-Domenec. Odegrał on tak znaczącą rolę w historii, że w pismach wpływowych mieszkańców Cali pojawia się jako Ricardus Barcinonensis (Ryszard z Barcelony). W podziemiach baru El Paraiiies, na obecnym placu Sant Miguel obok ratusza, zachował się do dziś fragment muru jego domu.

Jedenastowieczna Barcelona liczyła około dwóch i pół tysiąca mieszkańców. Największy awans w owej społeczności stanowiło zdobycie pozycji „obywatela”, który musiał mieć własny dom i zasługiwać na szacunek sąsiadów, oparty na nieposzlakowanej opinii. Posiadacz tej godności cieszył się wieloma przywilejami, tak więc obok trzech głównych stanów — szlachty, kleru i króla lub, w przypadku Katalonii, hrabiego — istniał czwarty: obywatele.

Nasz bohater, Marti Barbany, przybywa do Barcelony gotowy walczyć o zdobycie wysokiej pozycji w mieście i czyni to w czasie, gdy trwają pasjonujące zmagania między dwiema niezwykle ko-

bietami, Ermesendą z Carcassonne, dwukrotną regentką hrabstwa i babką Ramóna Berenguera I, a jego konkubina i późniejszą żoną, Almodis z Marchii, którą hrabia darzył namiętną miłością i którą porwał z zamku jej męża, hrabiego Ponce'a z Tuluzy (grobowce obu kobiet znajdują się naprzeciwko siebie w połowie wysokości muru po prawej stronie katedry w Barcelonie). Stronice tej książki wypełniają opisy wysiłków młodzieńca, jego czynów, podróży, dzieł, sukcesów i konkurów, którym przeciwstawiał się jego zaciekły wróg, ojczym jego ukochanej, a także opowieści o zwyczajach epoki, nawigacji, interesach, którymi zajmowali się Żydzi, i pałacowych intrygach.

Chcę zastrzec, by nie wprowadzać czytelnika w błąd, że pozwoliłem sobie na pewną dowolność w traktowaniu prawdy historycznej, której na ogół jestem wierny. Po pierwsze, dla potrzeb fabuły zmieniłem niektóre daty. Zlokalizowałem na przykład wizytę poety Abu Bakr ibn Ammara, czyli Abenamara, ambasadora al-Mutamida z Sewilli, w czasach panowania Ramóna Berenguera I Starego, podczas gdy miała ona miejsce, podobnie jak incydent z fałszywymi *maravedies*, wiele lat później. Poza tym źródłem zamożności naszego bohatera, który stał się niemal najbogatszym obywatelem Barcelony, nie mogła być ropa naftowa, choć najwyraźniej „grecki ogień” znano już w starożytności.

Nie należy zapominać, iż książka ta jest jedynie powieścią, której lektura ma sprawić przyjemność moim czytelnikom i obudzić w nich zainteresowanie historią.